
3 1761 07038021 7

JENERAŁ ZAMOYSKI

JENERAŁ ZAMOYSKI

1803—1868

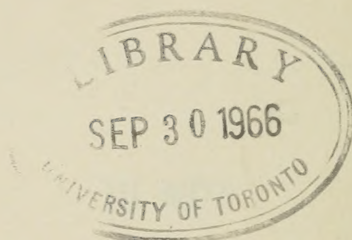
TOM III

1832—1837

POZNAŃ

NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

1914



Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego

Wspomnienia przez jenerała Zamoyskiego dyktowane lub spisywane w latach 1858—1867 oznaczone są, jak w tomach poprzednich, cudzysłowem «...».

Ustępy z listów lub notatek jenerała Zamoyskiego, umieszczone w przypiskach, opatrzone są znakiem (W. Z.).

I

WYJAZD Z KRAJU. — PIERWSZY POBYT W ANGLII

MAJ-LISTOPAD 1832

«[1]) Wyjeżdżając z kraju, pod naciskiem władz austryackich, na długie może lata, czułem, że, o ile się usuwam od cierpień, jakie pod obcem jarzmem znosić musieli ci, co w kraju zostawali, o tyle większy zaciągam obowiązek służenia ojczyźnie za granicą, jeśli nie materyalnie, to przynajmniej wiernem a nieustannem głoszeniem jej krzywd, oraz przypominaniem praw, które jej przyznała sama Europa. Polak, któryby, kraj opuszczając, wyrzekł się służenia mu na obczyźnie, byłby w moich oczach prostym zbiegiem.

Do działania na politycznem polu za granicą widziałem wytkniętą dla siebie drogę pod kierunkiem x. Adama Czartoryskiego. Jego wysokie urzędy i długoletnie polityczne doświadczenie, osobiste stosunki z mężami stanu Europy, poważanie, jakie dla siebie wśród nich zdobył, wszystko to zachęcało mnie do współudziału w jego pracy, do pomagania mu w tem, coby na korzyść Polski za granicą czynić usiłował.

---

[1]) Cudzysłowem «...» oznaczone są wspomnienia jenerała Zamoyskiego, przez niego dyktowane lub spisywane w latach 1858—1867.

Myśl pracy pod kierunkiem x. Adama nie była dla mnie nową. Od pierwszych kroków, jakie na własną odpowiedzialność w życiu stawiałem, szukając, jakbym mógł najlepiej ojczyźnie służyć, zrozumiałem, że przedewszystkiem potrzebny mi jest kierunek męża, któremubym do czasu przynajmniej ślubował posłuszeństwo we wszystkiem, coby dla ojczyzny czynić usiłował. Zrozumiałem, że wysiłki najdzielniejszych jednostek przynoszą pożytek wątpliwy, a nawet wprost szkodzić mogą, że tylko zbiorowa praca pożytek przynosi; taka zaś praca koniecznie wymaga przewodnika i kierunku.»

X. Adam od upadku powstania przebywał w Londynie; do Londynu tedy Zamoyski udać się postanowił, ale drogę zwrócił na Paryż, aby tam «mimochodem» załatwić sprawę z Janem Ledóchowskim[1]) z powodu jego wystąpienia przeciw ordynatowi na sesyi sejmowej w grudniu 1830. Zamoyskiemu towarzyszył mąż siostry jego, Celiny, Tytus Działyński.

Z dziennika podróży Władysława Zamoyskiego:

«19 maja w sobotę wyjechaliśmy z Krakowa; miałem własną bryczkę otwartą, do której zamówiłem parę koni pocztowych. Do Rokowa, pięć mil za Krakowem, odwieźli nas siostra moja Celina i brat August, niedawno z Brünn wypuszczony. Cały następny dzień spędziliśmy razem w Rokowie.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Roków, 20 maja, niedziela 1832.

Matko droga, żegnam, żegnam. Tysiączne serdeczności wszystkim dokoła, a szczególniej ojcu. Bardzobym pragnął, by Matka zobaczyła mój portret malowany przez

---

[1]) Jan Ledóchowski (1791—1864), od 1825 poseł jędrzejowski, w 1831 kapitan legii litewsko-ruskiej, potem dowódca pospolitego ruszenia w województwie krakowskiem, na emigracyi członek Towarzystwa demokratycznego.

Stattlera[1]). Jakżebym chciał, by Matce drogiej przyjemność sprawił. Stattler mówi, że, gdybym nie wyjeżdżał, tobym powinien jeszcze z piętnaście razy do tego portretu siedzieć; trapi się, że nie może skończyć, jakby chciał. Ja znajduję, że, jak na portret, to i tak dosyć, chociaż on ma pretensyę, żeby portret był obrazem. Należy mu się piętnaście dukatów, a do tego poczciwe słowo. Bardzo to zacny człowiek i dużo mi dopomógł. Jeżeli portret u niego zostanie, a ja powrócę, będzie mógł skończyć[2]). Raz jeszcze polecam mego nieocenionego Stanisława (Niewiadomskiego).»

《Do wspólnej podróży przez Austryę, ja jeden miałem paszport[3]). Działyński go nie miał i dostać go nie mógł. Stąd konieczność uciekania się do rozmaitych fortelów. I tak, na każdej stacyi pocztowej Działyński pieszo wyprzedzał mnie na gościńcu, a potem, udając przed pocztylionem niespodziewane ze mną spotkanie, przysiadał się na mojej bryczce, żeby się dać niby podwieść kawałek. Przed dojechaniem do następnej stacyi wysiadał, znowu kawał szedł pieszo i znowu niby niespodzianie dawał się wziąć na bryczkę i wieść dalej. Komedyę tę odgrywaliśmy przed każdym z kolei pocztylionem, dopóki trwała podróż przez Austryę.》

Z dziennika:

«21 maja, poniedziałek. Jedziemy z Rokowa na Wadowice, Białą. W Białej spotykamy transport naszych

---

[1]) Wojciech Korneli Stattler (1800—1875), urodzony w Krakowie, profesor malarstwa uniwersytetu jagiellońskiego, później szkoły sztuk pięknych, umarł w Warszawie.

[2]) Portret wypadł niezbyt korzystnie, gdyż Zamoyski nie był jeszcze wyleczony z dwóch ran na twarzy, otrzymanych pod Międzyrzecem i pod Opolem.

[3]) Wydany przez Metternicha, wręczony Zamoyskiemu przez Lorenza, konsula austryackiego w Krakowie.

oficerów. Minąwszy Ołomuniec, jedziemy na Przerów. — 23 rano stajemy w Brünn. — 25 po południu w Linz. — 26 rano w Schärding, granica bawarska; tu drugi odpoczynek. W Eggenfelden sprzedajemy bryczkę. Dalsza podróż do Monachium najętym furmanem przez Landshut.»

« Dostawszy się szczęśliwie do Bawaryi, spostrzegliśmy odrazu dziwną zmianę na twarzach mieszkańców. Przebijała się w nich ku nam życzliwość, której nie dostrzegaliśmy dotąd. Czy istotnie brakło jej dla nas w Austryi, czy też tam dopiero objawić się ona mogła, gdzie sami przestaliśmy ukrywać, żeśmy Polacy, dość, że ta życzliwość, której w całych Niemczech doznawała wtenczas polska emigracya, zadziwiającą była.

Na pierwszej zaraz stacyi (Vilbisburg), gdzieśmy jedli obiad, gdy chciałem płacić w traktyerni, — a zgodziliśmy się z Działyńskim, że ja przez drogę płatnikiem będę, — odpowiedziano mi, że rachunek już zapłacony. Zapytałem Działyńskiego, czy on w istocie zapłacił i dlaczego. Dopiero z zaprzeczenia jego odgadłem, że gospodarz, «Herr Urban», który uprzejmym zdradzał się uśmiechem, chciał nas bezpłatnie ugościć, jako polskich emigrantów. Stąd bliższa z nim rozmowa i powzięta od niego wiadomość o komitetach składkowych, istniejących na trakcie po miastach i miasteczkach dla wspomagania wychodźców polskich. Nie broniąc się od ofiarowanej jałmużny, złożyłem tylko na ręce gospodarza małą ofiarę dla komitetu.

Wyznaję, że ten objaw zacności ludu niemieckiego głęboko mi utkwił w pamięci i równoważył nieraz oburzenie i zadziwienie, jakie wzbudzał we mnie później niejeden lichy czyn czy to rządów, czy też niektórych pisarzy niemieckich. »

Wrażenie to nie zatarło się również w pamięci Działyńskiego: «Podczas peregrynacyi mojej do Paryża

1832 roku», opowiadał później, «poznałem prawdziwy naród niemiecki. Z towarzyszem moim do skromnych wstępowałem domów, jak przystoi tym, którzy nie mają paszportów. Tam powiadano mi: «towarzysz za obu zapłacił», jemu zaś to samo mówiono o mnie, ażeby bezpłatnie podać chleb dwom bojownikom, którzy za sprawę narodową walczyli. Albowiem Niemcy nasze boje nazywali walką za oswobodzenie i byli tego zdania, że pomiędzy szlachetnym naszym x. Czartoryskim a Waszyngtonem cnota była równa, a tylko szczęście było różne.»

《 Ówczesna klęska Polski obudziła w całych Niemczech głębokie dla niej współczucie, z którem się łączyła nietajona do Moskwy odraza. Wychodźców naszych rozbrojonych, opuszczających kraj pogrążony w tysiącznych niedolach, przyjmowali Niemcy jak półbogów niemal. U bram miasta witali uroczystemi deputacyami, znosili składki, wyprzedzali osobiste życzenia pielgrzymów. Zgoła nie było oznaki hołdu, którejby emigrantom polskim wówczas nie okazywano, a kiedy jeden z naszych oficerów zakończył życie w Frankfurcie, to, wedle słów ówczesnej korespondencyi, gdyby umarło dziesięciu burmistrzów frankfurckich, a trzy tamtejsze senaty odrazu z tego świata zeszły, nie widzianoby takiej uroczystości pogrzebowej. 》

Dnia 28 maja podróżni dojechali do Monachium, gdzie zatrzymali się dni parę; poczem, zaopatrzywszy się w paszport francuski, ruszyli dalej.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Augsburg, na przeprzęgu, 1 czerwca 1832.

... Zdrowie szanuj, głowę kształć, siłę moralną wzmacniaj, a wszystkiego, co ją osłabia, unikaj. Kształć się na człowieka, na męża więcej jeszcze, niż do szczególnego zawodu. Polecam Augusta twojej braterskiej pieczy; bądź jego przewodnikiem, znajdziesz w nim miłego i pe-

wnego przyjaciela. Dusza najzacniejsza, sąd trafny; znajduję, że go zaniedbujesz. Pamiętaj o nim, mianowicie, gdyby mnie nieszczęście spotkało.»

«Dalsza podróż na Ulm, Stuttgart do Strasburga dyliżansem coraz łatwiejszą się stawała. Mocno pragnąłem w niej pospiechu, tem bardziej, że nawet i spieszna jazda w owej porze wiele wymagała czasu. Ale spostrzegłem ze zdziwieniem, że w miarę, jak zbliżaliśmy się do celu naszej podróży, towarzysz mój na każdym kroku starał się mi ją utrudnić. Ciągle użalał się na to, że gwałt mu zadaję. Gdy chciałem jechać bez zatrzymywania się, narzekał na głód; gdy kazałem podawać jedzenie, jeść nie chciał. Pragnąc zgody, ustępowałem mu we wszystkiem, a że nigdy przedtem nie dostrzegałem w nim podobnego wymyślania, podziwiałem, jak się na nas sprawdza często powtarzane twierdzenie, że wspólna podróż bywa najtrudniejszą próbą cierpliwości i charakterów.

Dojechaliśmy jednakże do Strasburga w jakiej takiej zgodzie. Chciałem tegoż wieczora ruszyć do Paryża z odchodzącym raz na dobę kuryerem, tak zwanym «malleposte», który wtenczas w wygodnej kolasce miał dwa miejsca dla podróżnych. To już niby przebrało miarę cierpliwości Działyńskiego. Już nie tylko zastawiał się znużeniem, ale i nadmieniał o jakichś figurach politycznych, które mu potrzeba było w Strasburgu odwiedzić. Nie dość tego, sam ton narzekania jego stał się tak przykry, że nie tylko zgodziłem się na opóźnienie wyjazdu, ale chcąc się uwolnić od drażliwej rozmowy, poszedłem do teatru.

Tego właśnie potrzeba było Działyńskiemu. Gdym koło północy wrócił do oberży i zapytał, czy mój towarzysz jest w swoim pokoju, mniemałem bowiem, że w istocie spędził wieczór na jakichś knowaniach rewolucyjnych, odpowiedziano mi, że kuryerem pocztowym wyjechał do Paryża. Dopiero mi się wszystko wyjaśniło. Zrozu-

miałem, że wymyślania jego w czasie podróży miały na celu rozstanie się ze mną, by mnie wyprzedzić w Paryżu i przed mojem przybyciem sprawę z Ledóchowskim zakończyć.

Dziś wspomnieć o tem nie mogę bez śmiechu, ale wówczas doznałem istotnego gniewu i upokorzenia, żem się tak dał w pole wyprowadzić. Chciałem zażądać natychmiast wózka pocztowego i co tchu do Paryża pędzić. Nie zważałem na gruby wydatek, chociaż szczupłe miałem zasoby. Rozpytawszy się jednak, przyszedłem do przekonania, że nie tylko kuryera pocztowego nie prześcignę, ale nie zdołam nawet wyprzedzić zwykłego dyliżansu, który nazajutrz rano opuszczał Strasburg. Postanowiłem więc spokojnie doczekać rana, ale gdy poszedłem się położyć, spostrzegłem, że mi z pokoju zabrano szkatułkę, w której miałem pieniądze. Zapytany o nią sługa, nie umiał mi odpowiedzieć; dopiero gniew mój i groźba skłoniły gospodarza do wyznania, że mój towarzysz u niego złożył szkatułkę i jakiś powód wymyślił, dla którego miała mi być oddaną dopiero nazajutrz.

Kto pamięta jazdy dyliżansem, kto wie, jak odbywały się wolno, jak zatrzymywano się w drodze na śniadania i obiady, pojmie, com ucierpiał w tej podróży. Wiedziałem, że, jakkolwiek dyliżans wyjeżdżał zaledwie w kilka godzin po kuryerze pocztowym, w Paryżu stawał dopiero w dwadzieścia cztery godzin po nim, o rannej porze. Umyśliłem więc namówić konduktora, żeby, opłacając pocztylionów, przyspieszył przyjazd nasz do Paryża o tyle przynajmniej, abyśmy przededniem na miejscu stanęli. Liczyłem, że, chociaż Działyński będzie miał cały dzień na wyzwanie, do pojedynku nie zdoła doprowadzić prędzej, jak na drugi dzień przed południem. Zdawało mi się przeto, że, przyjeżdżając do Paryża wcześnie rano, potrafię pojedynek uprzedzić, a choćby na placu stanąć między przeciwnikami, byle nie dopuścić do strzału, a obu stronom dowieść, że mnie przed Działyńskim należy się w tej mierze pierwszeństwo.

Jakoż dyliżans dojechał do rogatek paryskich przededniem. Było to dnia 6 czerwca. Na rogatce dowiedzieliśmy się, że przez cały dzień poprzedni Paryż był w rozruchu. Pogrzeb jen. Lamarque[1]), słynącego z liberalnych zasad, stał się okazyą do zgiełku, który doszedł do rozmiaru wielkiej dwudniowej bitwy między ludem Paryża a wojskiem. Nie trafiała mi nigdy ani do przekonania ani do smaku taka metoda ulepszania narodowego bytu, w ten dzień jednakże powitałem wiadomość o paryskiej «émeute» z niejakiem zadowoleniem; mogłem bowiem z pewnością już liczyć na to, że wśród takiego zamieszania, zwłaszcza, że Polacy nie omieszkają upatrzyć w niem pożądanego dla siebie wypadku, Działyński, mimo najgorętszych chęci, musiał zapewne uledz konieczności i na zwłokę przystać.

Nie pamiętam już jakim sposobem wiedziałem, gdzie Działyński miał stanąć w Paryżu. Poszedłem do mieszkania jego na Cité Bergère, a wchodząc do wskazanego mi pokoju, kiedy właśnie dnieć zaczynało, z niemałą radością ujrzałem go śpiącego najspokojniej w łóżku. Po chwili wyznał mi, że wśród wczorajszego zgiełku nie mógł oczywiście uprosić żadnego rodaka, by mu chciał sekundować, że jednak Smitkowski, były kolega jego z jazdy poznańskiej, podjął się w jego imieniu wyzwać Ledóchowskiego.

Nie pomogło ostrzeżenie moje, że nie pozwolę na ten pojedynek, ani też zgłoszenie się do dawnego przyjaciela i towarzysza mego, Mycielskiego[2]) z prośbą o pośrednictwo. Mycielski zgodził się wprawdzie zanieść protestacyę moją do Ledóchowskiego, ale z sekundantami Działyńskiego, Bemem[3]) i Smitkowskim, doprowadził do tego tylko, że przyjęli oświadczenie moje, iż w żadnym

[1]) Maxymilian Lamarque (1770—1832), jenerał dywizyi za Napoleona I, jeden z przywódców opozycyi za Karola X.

[2]) Jenerał Michał Mycielski (1799—1843).

[3]) Jenerał Józef Bem (ur. w Tarnowie 1795, um. w Aleppo 1850).

razie nie dam się zaspokoić jego rozprawą z Ledóchowskim i że, póki tenże żyć będzie, nie przestanę domagać się wprost od niego zadośćuczynienia na piśmie.

W Paryżu tego dnia walka uliczna trwała do piątej po południu. Przeszliśmy z Działyńskim przez całą wzburzoną część miasta, Faubourg Saint-Martin. Po drodze napotykaliśmy barykady, czerwone chorągwie, słyszeliśmy niejednokrotnie okrzyki na cześć republiki.»

Działyński ze swej strony pisał: «Widziałem z blizka straszne bójki paryskie i ludożerczy wygląd hołoty, która walczyła, jak tygrysy».

O udziale Polaków w paryskich zamieszkach Zamoyski wspomina w liście do braci: «Dwóch naszych bałwanów wmieszało się do tego, jeden z nich członek komitetu (Lelewela). Włochów było nierównie więcej. Oczywiście nie powiem, że nasi dobrze robią, kiedy się do tego mieszają, bo któż więcej od nas samych ze wszech miar na tem ucierpi, ale powiem, że jest to skutek konieczny opuszczenia sprawy naszej przez wszystkie rządy europejskie. Od początku pisaliśmy do gabinetów, że zrobią z nas zdobycz dla wszelkiego rodzaju jakobinów, anarchistów».

«W dwa dni po tych wypadkach (8 czerwca) Działyński i Ledóchowski spotkali się w lasku pod Vincennes. Dla tem dobitniejszego rozróżnienia spraw naszych, nie chciałem Działyńskiemu na plac towarzyszyć. Odwiozłem go do Vincennes, ale zatrzymałem się opodal w lasku. Dopiero po chwili, usłyszawszy dwa strzały, pospieszyłem w ich kierunku. W drodze spotkałem Działyńskiego, a widząc, że zdrów, odetchnąłem z radości. Ledóchowski był ranny i zrazu zaledwie przypuścić można było, żeby rana nie miała srogich następstw. Działyński, który przed pojedynkiem zdawał się samej tylko pomsty szukać, teraz

przeciwnie wyrazem twarzy i słowami najżywszy żal wyrażał.»

Sam Działyński pisał o tym pojedynku do żony: «Ledóchowski ranny, ale dzielnie się znalazł. Odległość była o ośm kroków i sześć kroków po każdej stronie dla przybliżenia się. On ostrożnie posunął się nieco naprzód i wziął mnie na cel. Dwoma krokami dotarłem do baryery, wypaliłem i trafiłem go w szczękę. Zwolna podszedł ku baryerze i po chwili strzelił w ziemię. Czy to było z przezorności, czy z wspaniałomyślności, nie wiem, ale zmusił mnie tem samem do podania mu ręki. Teraz pielęgnuję go i zapewne będę musiał pożyczyć mu resztę pieniędzy, jaka mi jeszcze została. Kiedy twoi rodzice dali mi ciebie, ślubowałem im w głębi serca dozgonną wdzięczność. Dla wykonania tego ślubu pojechałem do Paryża, chciałem twoich braci zastąpić i wierzaj, wydało mi się, iż zbyt tanio opłacam posiadanie ciebie.»

«Szczęściem po opatrzeniu rany przez doktorów Blandin[1]) i Dupuytren[2]) okazało się, że postrzał nie był zbyt niebezpieczny. Kula okrążyła szczękę i zatrzymała się pod uchem. Jednakże pierwsze wrażenie było takie, że Działyński i wszyscy obecni, a potem inni znajomi żądali odemnie niezwłocznego zapewnienia, że się rzecz cała na tem skończy i że po tak ciężkiej Ledóchowskiego ranie, ja swojej sprawy nie będę poszukiwał. Co do mnie, sądziłem, że teraz właśnie była najodpowiedniejsza chwila, abym ponowił moje żądanie zadośćuczynienia piśmiennego. Zdawało mi się, że to, czego Ledóchowski wzbraniał się uczynić przed pojedynkiem, było nierównie łatwiejszem dlań do wykonania po odbytem spotkaniu i po odniesionej

---

[1]) Filip Fryderyk Blandin (1798—1849), słynny chirurg i profesor paryski.

[2]) Wilhelm bar. Dupuytren (1778—1835), znakomity operator i uczony, członek akademii francuskiej.

ranie. Udałem się też natychmiast do najszanowniejszych przyjaciół naszych, Kniaziewicza, Mycielskiego, Bema i przedstawiłem im żądanie moje, oświadczając, że niczego bardziej nie pragnę, jak zgodnego zakończenia sprawy.

Przyznano mi słuszność i nawet ci, którzy na razie gorszyli się moją zaciętością, wysłuchawszy mnie, podjęli się zaniesienia słów mych Ledóchowskiemu. Zwłaszcza Bem, który z początku w nieprzyjemny sposób odmawiał mi prawa dalszego dochodzenia rzeczy, stał się gorliwym moim rzecznikiem. Gdy jednak nie przyszło odrazu do porozumienia, postanowiłem wyjechać do Londynu, a Ledóchowskiemu zostawić czas do namysłu.»

Pogłoski o sprawie z Ledóchowskim doszły do Jana Zamoyskiego, przebywającego jeszcze w Petersburgu. Jan, sądząc, że brat szuka pojedynku i że jedynie w tym celu do Paryża pojechał, wyrzuca mu w liście z 7 maja 1832 fałszywe pojęcia o tem, czego honor wymaga: «Mogłeś z pogardą pominąć człowieka, jak się dowiaduję, splamionego. Sławy ojca ani okoliczność obecna, ani żadne prawo sposobami przez ciebie wybranemi bronić nie nakazywały. Uznałeś, że dopiero po skończonej potrzebie ojczyzny będziesz mógł żądać tłomaczenia. Wiem, żeś się nie oszczędzał w szczerej usłudze kraju, lecz czy tej potrzebie uczyniono już zadość? Wszakże ojczyzna prawie stracona, a czyż nie należy jej potrzebę za tem większą uznawać, im większe jest jej nieszczęście? A możeż jej teraźniejsza twoja wyprawa pomódz? Czyż nie wystawi narodu w najsmutniejszem, w haniebnem nawet świetle? Zgrozą, wstydem, rozpaczą przejmować nas powinny nieroztropne postępki wielu naszych. Czyż i ciebie do takich liczyć będziem? Ty od Boga otrzymałeś zapał, prowadzący do szlachetnych, bohaterskich nawet czynów, umiejże ogień ten niebieski w sobie szanować, chroń się od ślepych zapędów. Miarkuj rozwagą twoje czyny, nie

zniżaj się do nikczemnej roli pojedynkowego szubrawca. Nadto do serca bierzesz wiele rzeczy, które, jakkolwiek bolesne, trzeba z zimną krwią oceniać. Że postępowanie ojca było przedmiotem surowych nagan, nie powinno cię zadziwiać, ani twoją rzeczą było usprawiedliwiać to, co było lub jest skutkiem najzawikłańszych, najnieszczęśliwszych i nie dających się zdaleka rozumieć okoliczności.»

Z kilkodniowego pobytu w Paryżu Zamoyski zapisał tylko, że w niedzielę, 10 czerwca, był na paradzie gwardyi narodowej i że widział na niej Ludwika Filipa[1]), który «wygląda na nędznego dworaka o nieczystem sumieniu».

«W drogę do Londynu puściłem się 13 czerwca w towarzystwie x. de Beauvau[2]). W ostatniej chwili przysiadł się do nas Tytus Działyński, nie mając już nawet czasu na zabranie ze sobą jakiegokolwiek pakunku; wypadło stąd, że podczas całego pobytu w Londynie i na niejednym bywając proszonym obiedzie, obywał się odzieniem mojem, że zaś wielka była między nami różnica wzrostu i budowy, Działyński dziwacznie wyglądał, ale nic sobie nie sprawił, tak nam trzeba było grosza oszczędzać.

Pierwsze wrażenie o Anglii powziąłem z zachowania się urzędnika granicznego w Dover. Dowiedziawszy się, że Działyński nie ma paszportu, zaprosił go z sobą do biura i solennie zapytywał o imię, nazwisko, miejsce urodzenia. Ostatnie pytanie było: «Kogo pan znasz w Anglii?» Odpowiedź: «Nikogo». Wszystko to zapisawszy do szematu w rubrykach właściwych, z równą zawsze powagą wręczył Działyńskiemu papier, żadnej przeszkody do podróży dalszej nie stawiając. Ponieważ

[1]) Ludwik Filip (1773—1850), syn x. orleańskiego «Philippe Égalité», ożeniony z Maryą Amelią, córką Ferdynanda I, króla Obojga Sycylii, król Francuzów 1830—1848, zmarł w Claremont pod Londynem.

[2]) X. Karol de Beauveau, przyjaciel x. Adama.

Działyński słowa po angielsku nie mówił, towarzyszyłem mu do biura, byłem więc przy tej ceremenii obecny, a tak mi się ona podobała, że, chociaż dnia tego na żądanie przedstawiłem paszport, wydany mi przez x. de Broglie[1], a wizowany przez angielskiego posła[2], to potem już, płynąc do Anglii czterdzieści kilka razy, czy miałem paszport czy nie, robiłem sobie z tego przyjemność, żeby go nie pokazywać a używać swobodnego przystępu do jedynej prawdziwie wolnej między narodami Anglii. W końcu urzędnicy graniczni z obu stron cieśniny witali mnie jak dobrze znajomego, o nic nie pytając.

Przybyliśmy do Londynu 16 czerwca z rana dyliżansem (stage coach) przez Canterbury bez zatrzymania się. Zastaliśmy x. Adama w skromnem mieszkaniu na Baker Street, 17, Portman Square.

Podczas trwającego już kilka miesięcy pobytu w Anglii, x. Adam odnowił stosunki z wielu dawnymi znajomymi[3]: z lordem Grey[4], który od półtora roku był pierwszym ministrem, a niegdyś znał osobiście Kościuszkę,

---

[1]) Wiktor x. de Broglie (1785—1870), minister spraw zewnętrznych 1832—1834, prezes ministrów 1835—1836.

[2]) Leveson Gower, pierwszy hrabia Granville (1773—1846), poseł w Paryżu 1830—1841.

[3]) Dorota z Benkendorfów xiężna Lieven, żona posła moskiewskiego w Anglii, pisała do brata, jen. Alexandra Benkendorfa z Londynu, 5 stycznia 1832: «Gniewa mnie sposób, w jaki tu przyjmują Czartoryskiego; nie wahałam się wypowiedzieć Anglikom z tego powodu kilku ostrych prawd. Proś hr. Nesselrode o nadesłanie mi dokumentów, któreby wykazały, że mam słuszność. Mojem zdaniem ten cały hałas około Czartoryskiego pochodzi z czystej głupoty i braku wychowania; Anglicy uczą się łaciny, ale nie nabywają światowej ogłady.» (Letters of Dorothea princess Lieven, by Lionel Robinson. Str. 316)

[4]) Karol, drugi hrabia Grey (1764—1845), przywódca stronnictwa liberalnego whigów, minister spraw zagranicznych 1806—1807, prezes ministrów 1830—1834, przeprowadził reformę parlamentu 1832, bronił katolików irlandzkich, zbierał między Anglikami składki na pomnik Kościuszki w Krakowie.

gdy ten, jeszcze z ran maciejowickich niewyleczony, po raz drugi do Ameryki zdążał; z lordem Lansdowne[1]), prezesem rady tajnej, u którego stryja x. Adam za młodych lat w gościnie mieszkał; z xięciem Hamilton[2]), którego znał posłem w Petersburgu 1806—1807, za ministeryum Foxa[3]), a którego żona, słynąca z urody, spotkawszy się we Włoszech z siostrą x. Adama a moją ciotką, x. Maryą Wirtemberską, ścisłą zawiązała z nią przyjaźń; dalej z zawołanym niegdyś radykałem, dziś wiele spokojniejszym, ale zawsze zagorzałym whigiem o piorunującej wymowie, sir Francis Burdettem[4]) i wielu innymi, których nie pomnę.

Byli i tacy dawni znajomi x. Adama, którzy, pamiętając go z czasów, gdy używał wysokiego znaczenia i wpływu, zwłaszcza na kongresie wiedeńskim, teraz, kiedy był polskim emigrantem, znać go nie chcieli. Do takich w pierwszym rzędzie należał x. Wellington[5]), przez własnych rodaków zwany żelaznym xięciem, «the iron duke», a nie darmo zaszczycony tytułem feldmarszałka

---

[1]) Henryk Petty-Fitzmaurice, trzeci margrabia Lansdowne (1780—1863), członek każdego ministeryum whigów między 1830 a 1858, dwukrotnie odmówił urzędu prezesa ministrów, powszechnie szanowany dla nieskazitelności charakteru; żonaty z Ludwiką Fox Strangways, siostrą późniejszego hrabiego Ilchester, jednego z najgorętszych przyjaciół Polski w Anglii.

[2]) Alexander, dziesiąty xiążę Hamilton (1767—1852), whig, właściciel znacznych obszarów w hrabstwie Lanark w Szkocyi i prawie całej wyspy Arran w zatoce Clyde.

[3]) Karol Jakób Fox (1749—1806), liberał, słynny mówca, kilkakrotnie minister, dążył do zawarcia pokoju z Napoleonem I, gdy go śmierć zaskoczyła.

[4]) Sir Francis Burdett (1770—1844), członek izby gmin, najpopularniejszy z ówczesnych polityków angielskich, przyjaciel Foxa, jak on zwolennik Francyi i namiętny rzecznik wolności i postępu; za pisma przeciwne rządowi więziony po trzydniowym zbrojnym oporze w 1810 i ponownie w 1820; przerzucił się do stronnictwa torysów w 1835.

[5]) Artur Wellesley, x. Wellington (1769—1852), zwycięzca Napoleona pod Waterloo, kilkakrotnie członek ministeryum, skrajny tory.

moskiewskiego i mnogą liczbą moskiewskich orderów. Żołnierz nieustraszony, wódz roztropny i szczęśliwy, w prywatnem życiu prawy, czasem nawet rycerski, w publicznem umiejący mądrze uledz konieczności, czego dał świetny dowód, kiedy w 1830 na czele torysów przeprowadził, wbrew długowiecznym przesądom swego stronnictwa, prawo o emancypacyi katolików, Wellington w stosunkach codziennych był suchy, twardy, bezwzględny. O Polsce oczywiście mało wiedział, a zdaje się i nie chciał wiedzieć nic więcej nad to, co zapamiętał o Polakach, że, walcząc pod Napoleonem w niejednem z Anglikami spotkaniu odznaczali się bitnością i że następnie Polska, wraz z Napoleonem pokonana, stała się w 1815 roku narzędziem w ręku cara i dodawała mu potęgi, którą cała Europa czuła się zagrożoną. Podczas kongresu, Wellington upatrywał w x. Adamie nie Polaka, dopominającego się o jakiekolwiek prawne dla Polski istnienie, lecz stronnika Moskwy, przeciwko której Anglia, Francya, Austrya i Szwecya zawarły tajemny traktat, żeby nie dopuścić, by Xięstwo Warszawskie, zdobyte przez nią w czasie wojny, zostało w jej posiadaniu. Tak więc x. Adam, który na początku wieku, jako minister Alexandra, wielkiej wśród Anglików używał wziętości, któremu oni następnie zarzucali oddanie Polski w ręce tegoż Alexandra, x. Adam, którego całe życie świadczyło o jednej przewodniej myśli i chęci ratowania ojczyzny, dziś, w oczach Wellingtona i innych mężów stanu angielskich, zdawał się być człowiekiem pozbawionym stałej myśli i zasady. Mnie samemu lord Stuart de Rothesay[1]) mówił, że nie umie pogodzić występowania x. Adama przeciw Moskwie z działalnością jego na kongresie wiedeńskim, gdzie go uważano za gorliwego promotora polityki Alexandra, za człowieka, co usiłuje dumie jego służyć, granice jego państwa rozszerzać.

---

[1]) Karol baron Stuart de Rothesay (1779—1845), tory, ambasador w Paryżu 1815—1820, w Petersburgu 1840—1844.

Jakkolwiekbądź, chociaż Wellington zaparł się wszelkiego z x. Adamem stosunku i chociaż nigdy osobiście go nie poznałem, niektóre przymioty i zalety jego obudzały we mnie wysokie poważanie, nawet współczucie. Powodem do współczucia była niepopularność i zawziętość, jakich czasowo doświadczał od kraju i narodu, który mu pokonanie Napoleona zawdzięczał i hojnemi go za to darami nagradzał, a niemniej pozwalał motłochowi londyńskiemu lżyć go publicznie, wybijać kamieniami okna w ofiarowanym mu przez kraj pałacu, raz nawet, w piętnastą rocznicę zwycięstwa pod Waterloo, tak groźnie na ulicy go napaść, iż ucieczką musiał się ratować. Zażartość londyńskiego ludu Welligton roznamiętnił przeciwko sobie nie żadnym wyraźnym czynem, ale bezwzględną pogardą dla miotanych przeciw sobie obelg i nieugiętą stałością przekonań. Nadmienię jeszcze, że, kiedy następnie zbierano składki na zapomogę dla przybywających do Anglii Polaków, on stanowczo odmawiał swego datku, podczas gdy wielu innych, jakkolwiek podzielając jego niechęć ku Polakom, przyczyniało się do tych składek, chociaż chudym darem. Wyznam, że mi się więcej podobał ten otwarty przeciwnik, niż inni ze swą nieżyczliwą jałmużną.

Do znakomitych mężów stanu Anglii, z którymi x. Adama dawne wiązały stosunki, należał lord Brougham [1]), kanclerz, prezes izby lordów, a tem samem członek rady ministrów. Poznał go x. Adam, kiedy w 1814 roku po pierwszem pokonaniu Napoleona i wydaleniu go na wyspę Elbę, towarzyszył Alexandrowi do Anglii przed zjazdem na kongres do Wiednia. W Anglii naówczas Polacy znani byli z wierności, jaką jedyni ze wszystkich narodów Europy

[1]) Henryk, pierwszy baron Brougham and Vaux (1778—1868), whig, mąż stanu, mówca, filantrop, filozof i wszechstronny pisarz, pozostawił wiele prac naukowych, między niemi «Streszczenie podziału Polski»; w parlamencie przeprowadził kilka liberalnych reform; słynął z dziwactwa.

dotrzymali Napoleonowi do końca; widział przeto x. Adam potrzebę obznajmienia i pogodzenia opinii publicznej Anglii z przychylnemi zamiarami Alexandra względem Polski. Za jego namową Henryk Brougham, słynny już wówczas z nauki i wymowy jako adwokat i pisarz, podał do Edinburgh Review artykuł, w którym dowodził, że rozbiór Polski był największą polityczną zbrodnią i że, jeżeli odtąd sprawiedliwość ma być rękojmią pokoju i bezpieczeństwa Europy, to przedewszystkiem musi być wymierzona Polsce. Zachody x. Adama nie były wówczas bez pewnego skutku. Obudzone w publiczności angielskiej poczucie słuszności sprawy polskiej odbiło się na kongresie w depeszach i notach pełnomocnika angielskiego, lorda Castlereagh[1]), na które powołuje się z powagą i korzyścią każdy mówca angielski, w imieniu prawa międzynarodowego za Polską przemawiający.

Ale kiedyśmy w 1832 roku do Anglii przybyli, inne już względy ważyły u lorda Brougham i na postępowanie jego wpływały. Okazywał wprawdzie gościnność x. Adamowi, jak nieomal każdy w Anglii rad ją okazywać przybywającym z zagranicy znakomitościom, ale na wysokim swym urzędzie lord Brougham zdawał się wcale nie wiedzieć, nie pamiętać, co niegdyś pan Henryk Brougham pisał i drukował o Polsce; a obojętność, jaką okazywał dla dopełnionego na niej gwałtu i bezprawia, o tyle bardziej mnie raziła, że się rozpływał przedemną nad przymiotami x. Adama i współczuciem swojem, że nie powiem, litością dla niego.

Nie litość, ale prawdziwe współczucie, obok serdecznego poważania, okazywał x. Adamowi pierwszy minister, lord Grey. Szlachetny starzec szukał widocznie jakby co chwila okazać xięciu boleść z powodu niemożności, jak

---

[1]) Robert Stewart, wicehrabia Castlereagh, od 1821 drugi margrabia Londonderry (1769—1822), tory, minister wojny 1805—1806 i 1807—1809; od marca 1812 minister spraw zewnętrznych i twórca koalicyi przeciw Napoleonowi 1813.

mniemał, zapobieżenia strasznej klęsce Polski. Niemożność ta pochodziła nie z samej tylko przewagi i potęgi Moskwy; w tym razie, jak w wielu innych, tej przewadze najskuteczniej służyły nie własne siły Moskwy, nie dzielność jej wojska, nie wyższa biegłość ani geniusz jej ministrów, ale gotowa na jej skinienie powolność prawie wszystkich mężów stanu Europy.

I w rządzie angielskim napotykała Moskwa taką powolność we wszystkiem niemal, co dotyczyło Polski; w szczególności niezliczone jej składał dowody ówczesny minister spraw zagranicznych, lord Palmerston[1]), człowiek niepospolicie do publicznego życia uzdolniony, o ile życie to ma na celu osobiste wyniesienie i korzyści przez zdobywanie popularności we własnym narodzie, a względnej wyrozumiałości u obcych.

Kiedym go poznał, a, jak wszystkich w Anglii na wstępie, poznałem go przez x. Adama, lord Palmerston był jeszcze mało znany poza obrębem angielskiego rządu i parlamentu. Sprawował wprawdzie pod torysami i Canningiem[2]) przez kilka lat urząd sekretarza stanu wojny, ale w parlamencie dopiero w 1829 zabrał głos w sprawach zagranicznych. Niestety jednocześnie widziano go częstym gościem w poselstwie moskiewskiem, a wówczas głową poselstwa nie był sam ambasador, x. Lieven[3]); rządziła

[1]) Henryk Jan Temple, trzeci wicehrabia Palmerston (1784—1865), główny kierownik polityki zagranicznej angielskiej między 1830 a 1865. Zacięty nieprzyjaciel Ludwika Filipa, wspierał swym wpływem stronnictwa postępowe w Portugalii, Hiszpanii, Włoszech, Grecyi, stąd przezwany biczem na panujących «il flagello dei principi»; dążył do zrównoważenia sił wielkich mocarstw europejskich w celu zapewnienia przewagi dla Anglii.

[2]) Jerzy Stratford Canning (1770—1827), minister spraw zagranicznych 1807—1809 i 1822—1827, zmarł na stanowisku prezesa ministrów; pracował nad wyswobodzeniem Irlandyi, wyzwoleniem Grecyi, ubezwładnieniem i rozbiciem «świętego przymierza» Austryi, Prus i Moskwy.

[3]) Krzysztof x. Lieven (1774—1839), rodem Kurlandczyk, ulubieniec cara Pawła, poseł w Berlinie 1809—1812, w Londynie 1813—1834.

tam żona jego, głośna, nawet w latach dojrzałych, z wdzięków i rozumu [1]). Jej to przypisywano jakoby zaznajomienie lorda Palmerston z dyplomacyą europejską, a zarazem ujęcie go dla widoków Moskwy. Jakich ku temu użyła środków, czy lord Palmerston uległ samym tylko wdziękom jej osoby, czy też i pokusie pieniężnej, jak go oskarżają niektórzy, tego nigdy nie dochodziłem nie tylko dla tego, że nie miałem środków dochodzenia, ale że z umysłu postanowiłem nic o tem nie wiedzieć. Zmuszony z nim mówić i utrzymywać stosunki, jako z ministrem korony angielskiej, mającym za sobą większość parlamentu, stanowczo się trzymałem względem niego w taki sposób, jakby mi nie wolno było, że tak powiem, znać go inaczej jak z powierzonego mu urzędu. Gdy mnie w następnych latach jego zacięci nieprzyjaciele, rozumie się Anglicy, usiłowali wciągnąć w swoje przeciwko niemu agitacye, nie szczędziłem im materyałów, świadczących, że Palmerston nie odpowiadał pokładanym w nim nadziejom, z zajęciem czytałem ich prace, zaczerpnąłem z nich niejedną pociechę, bo wytaczane w nich były przy każdej sposobności gwałty i obłuda Moskwy, bo opierały się na zdro-

---

[1]) Dorota von Benkendorf x. Lieven (1784—1857). Po opuszczeniu Londynu prowadziła w Paryżu dom otwarty, do którego uczęszczali dyplomaci francuscy i zagraniczni, mianowicie Guizot.

Hrabia Malmesbury mówi w swoich wspomnieniach o xiężnie Lieven: «Gdy zaczynałem bywać w towarzystwie londyńskiem (1826), ona była posłową i jedną z modnych kobiet owego czasu. Miała sławę osoby uprzejmej i bystrej, ale wielkiej intrygantki. Cesarz Mikołaj posługiwał się nią, jako tajnym ajentem; wprost z nim korespondowała. Była postrachem naszych ministrów spraw zagranicznych.» (Memoirs of an ex-minister (lord Malmesbury). Edit. Tauchnitz. T. II, str. 229)

Wicekanclerz rosyjski, hr. Nesselrode, pisał do xiężnej Lieven, 1 lutego 1831: «Nigdy się nie zdradzam przed lordem Heytesbury (posłem angielskim w Petersburgu) z tem, co mi Xiężna donosisz o zwierzeniach ministrów; mogłoby to narazić jej stosunki z mężami stanu, którym Xiężna potrafiłaś natchnąć zaufanie, niebywałe dotychczas w dziejach Anglii.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 175)

wych i gruntownych zasadach, wymawiałem się jednak od jakiegokolwiek głośnego udziału w oskarżaniu angielskiego ministra o zdradę i przekupstwo. Odpowiadałem przeciwnikom jego: «Wam, jako Anglikom, służy do tego prawo, sam obowiązek nakazuje wam głosić przekonania wasze i ostrzegać współobywateli; ale mnie, cudzoziemcowi, to prawo nie służy, ani też ciąży na mnie ten obowiązek.»

Póki trwała nasza wojna, Palmerston zaręczał, że, opierając się na traktacie wiedeńskim, bronić nas będzie od zemsty cara, od konfiskat i zmian w konstytucyi[1]. Z czasem o tych zaręczeniach zapomniał.

W obu zachodnich gabinetach mieliśmy jednego tylko sprzymierzeńca w xięciu de Talleyrand[2], który wówczas w Londynie przebywał jako poseł i pełnomocnik rządu francuskiego przy konferencyach belgijskich. Widział on, że mimo powszechnego wzburzenia umysłów nie przyjdzie w Europie do wojny, że Anglia bądź co bądź starać się

---

[1]) Dowodem jego depesze do lorda Heytesbury, posła angielskiego w Petersburgu:

«22 marca 1831.

Powstanie Polaków i odrzucenie przez nich władzy cesarza i króla bynajmniej nie upoważnia Moskwy do łamania stypulacyi traktatu wiedeńskiego, gdyż te zobowiązania przyjęła ona na siebie względem innych państw nie tylko dla korzyści Polski, ale także dla bezpieczeństwa sąsiednich krajów.»

«23 listopada 1831.

Zalecaj ogólną i całkowitą amnestyę. Traktat wiedeński orzekł, że Polska będzie przyłączona do Moskwy przez swą konstytucyę, wskutek czego cesarz rosyjski tę konstytucyę nadał. Nie naciąga się tedy znaczenia traktatu, uważając, że konstytucya, w takich warunkach nadana, pozostaje odtąd pod sankcyą mocarstw.» (Life and correspondence of viscount Palmerston, by Evelyn Ashley. M. P. T. I, str. 273)

Depesze te pisane były z wiedzą prezesa ministrów, lorda Grey; x. Wellington pochwalał ich wysłanie. (Memoirs of viscount Melbourne. T. II, str. 151)

[2]) Karol Maurycy x. Talleyrand-Périgord, x. Benewentu (1754—1838), biskup augustoduński 1789, ajent dyplomatyczny pierwszej Republiki 1792, minister spraw zagranicznych za Dyrektoryatu i Cesarstwa, pełnomocnik Ludwika XVIII na kongresie wiedeńskim, doradca Ludwika Filipa i poseł w Londynie 1830—1834.

będzie o utrzymanie status quo i stosunków przyjaznych z Rosyą tem dla niej potrzebniejszych, im bardziej niepokojoną była na zewnątrz stanem Francyi i sprawą Belgii, a wewnątrz reformą parlamentu. Przewidywał, że, jeżeli w Anglii da się coś zrobić, to chyba skutkiem osobistej wziętości ludzi przemawiających za nami i dlatego nalegał na przyjazd x. Adama. Mówił do Niemcewicza: «Pana tu szanują, ale pan nie jesteś x. Czartoryskim, który jest znany w dyplomacyi, który wpływał na traktat wiedeński». Tylko x. Adam zdaniem jego mógł traktat wiedeński na naszą korzyść wytłomaczyć, a to było jedyne stanowisko, z którego na teraz można było stawać w obronie tego, co jest, a raczej tego, co być powinno.

Do znakomitych ludzi, których wówczas poznałem w Anglii, policzę jeszcze x. Sussex[1]), brata panującego króla Wilhelma IV[2]). Nie był on w ścisłem znaczeniu słowa mężem stanu, zaledwo był człowiekiem politycznym, jakim w Anglii jest każdy w miarę swego stanowiska, rodu lub majątku. On także znał Kościuszkę z czasu, gdy ten do Anglii wstępował, jadąc do Ameryki. Znał też we Włoszech pod koniec zeszłego wieku Dąbrowskiego i wielu Polaków, albo należących do polskich legionów, albo rzuconych za granicę przez ostatni rozbiór, i tak żywo dzielił ich uczucia, tak popularnym stał się między nimi, że dnia jednego, rozochoceni przy jakiejś uczcie, nie tylko że go namawiać poczęli do podjęcia sprawy Polski, zapowiadając, że królem jej przez elekcyę zostać może, ale niektórzy posunęli się nawet jakoby do złożenia mu przysięgi na wierność.

Dla x. Adama i dla mnie x. Sussex był nieskończenie uprzejmy, często nas do pałacu Kensington na obiady

---

[1]) August Fryderyk x. Sussex, hr. Inverness (1773—1843), szósty syn Jerzego III, gorący rzecznik liberalizmu, opiekun nauk i sztuk pięknych.

[2]) Wilhelm IV (1765—1837) trzeci syn Jerzego III, młodszy brat Jerzego IV, panował od 1830.

zapraszał. Obiady te kończyły się u niego, jak zwykle w Anglii, odejściem dam po deserze i poufałą rozmową między mężczyznami, a co więcej paleniem fajek i cygar koło stołu, kiedy wówczas fajka i cygara w Anglii w niższych tylko warstwach, między rzemieślnikami, używane były.

Wśród nowych znajomych x. Adama stali w pierwszym rzędzie ci członkowie obu izb, którzy w przeszłym i bieżącym roku z mniejszym lub większym naciskiem przemawiali za Polską. Takimi byli: lord Ebrington, później w izbie wyższej znany jako lord Fortescue[1]), a także pułkownik de Lacy Evans[2]), który pierwszy w ciągu naszej wojny przemawiał w izbie gmin o bezprawiach przez Moskwę popełnianych. Gdy ta przemowa niezbyt gorąco została przyjętą, lord Londonderry[3]), który już był obiecał zwrócić uwagę izby wyższej na interes Polski, wymówił się, że odjeżdża na wieś i odesłał udzielone sobie papiery.

Ale ponad wszystkich przychylnych nam członków parlamentu angielskiego odznaczał się gruntownem rozbieraniem przedmiotu znakomity prawnik, były sędzia w Indyach wschodnich, Cutlar Fergusson[4]). Był on już niemłody, przy wielkiej uprzejmości miał jakąś powagę, której nabył zapewne przez długi pobyt na Wschodzie. Słynął z pięknej wymowy i nieskazitelnego charakteru,

---

[1]) Hugon, drugi hrabia Fortescue (1783—1861), whig, wówczas członek izby niższej, wicekról Irlandyi 1839—1841.

[2]) Sir George de Lacy Evans (1787—1870), whig, członek izby niższej, jenerał i dowódca legii hiszpańskiej 1835—1837. W 1829 wydał pracę pod tytułem «The designs of Russia», w której wykazywał niebezpieczeństwo grożące Europie ze strony Moskwy.

[3]) Sir Charles William Stewart, trzeci margrabia Londonderry (1778—1854), młodszy brat byłego lorda Castlereagh, pełnomocnika angielskiego na kongresie wiedeńskim, skrajny tory.

[4]) Robert Cutlar Fergusson (1768—1838), whig, członek izby niższej, od 1834 minister sprawiedliwości dla Szkocyi (judge advocate general).

bywał przytem wesoły, żartobliwy; dla mnie okazywał się nadzwyczaj życzliwym. Zanosiłem do niego wszystkie pisma i materyały, mogące go obeznać ze sprawą naszą.

X. Adam opierał swe wywody w sprawie polskiej na następujących punktach:

1. Przed kongresem wiedeńskim żadne państwo nie uznało rozbioru Polski; prawną zatem podstawę do posiadania ziem dawnej Rzeczypospolitej uzyskały państwa zaborcze dopiero w 1815 roku.

2. Traktat ten wprowadził do międzynarodowego prawa nowość, kiedy uznał istnienie narodu polskiego pod trzema obcemi rządami i zabezpieczył Polakom, w granicach przedrozbiorowych, odrębne prawa, nie przysługujące ogółowi poddanych Prus, Austryi i Moskwy.

3. Uszanowanie tych praw stanowiło dla rządów zaborczych nieodzowny warunek posiadania ziem dawnej Polski.

4. Umowa, Polski dotycząca, stanęła na kongresie między państwami Europy, nie zaś między polskim narodem a panującymi nad nim monarchami. Wszystkie zatem państwa na traktacie podpisane, a nie wyłącznie państwa zaborcze, mają czuwać nad wykonaniem tej umowy; w przeciwnym bowiem razie Polska oddanaby została pod dziwny i niesłychany trybunał, pod sąd morderców, dobić ją pragnących.

Wiadomo, że traktat wiedeński nie był co do Polski ściśle wykonany. Nie upominali się o to Polacy, bo wbrew konstytucyi 1815 roku pozbawieni byli ajentów dyplomatycznych; nie upomniała się o to również Europa i ani razu w ciągu lat piętnastu nie wyszła z najzupełniejszej obojętności na losy prowincyi polskich, przez rządy zaborcze posiadanych.

Wobec tej obojętności jedynym środkiem, jaki pozostał Polakom do zwrócenia uwagi na krzywdy im zadane, było powstanie. Po powstaniu nie mogła już Europa udawać niewiadomości o błędach i niedostatkach

umowy wiedeńskiej. To też x. Czartoryski przedstawiał angielskim mężom stanu, że należy wznieść dzieło trwalsze i dać tej budowie pewniejsze rękojmie. Tłomaczył, że Mikołaj, unieważniając konstytucyę przez Alexandra nadaną, odjął tem samem Rosyi prawo posiadania Królestwa, że wyraz «konstytucya» musi pewne swobody oznaczać, a tych Polacy zostali pozbawieni. Przekładał, że, jeśli mocarstwa europejskie, wbrew traktatom, jedynie przez ludzkość, wmieszały się do sprawy greckiej i belgijskiej, to sprawa polska, prócz podobnych względów, ma za sobą prawa, na traktatach oparte. Samo wreszcie uszanowanie prawa publicznego nie dozwala, aby dwudziestomilionowy naród żył, wobec Europy, pod krzyczącem bezprawiem. Dodawał, że trzy rządy, nie mogąc, po zgwałceniu traktatu wiedeńskiego, wykazać prawnej podstawy, na mocy której dzierżą prowincye polskie, muszą cofnąć się chyba do traktatu tylżyckiego lub schönbrunnskiego, a gdy i te dzisiejszego stanu Polski nie uprawniają, wypadnie im odwołać się do traktatów rozbiorowych. Liberalizm XVIII wieku tolerował wprawdzie te układy, ale dzisiaj uczciwość za prawo poczytać ich nie pozwala.

Takie i tym podobne objaśnienia i wywody historyczne, poparte wielką znajomością rzeczy i ludzi, przekładał xiążę angielskim ministrom w rozmowach, listach, notach i obszernych memoryałach. Długo musiał pracować, przemawiać do godności rządu angielskiego, ostrzegać go przed rosnącą potęgą Moskwy, wskazywać mu środki do jej zgnębienia, zanim skłonił ministrów angielskich, by raczyli się narazić na zły humor ambasadora rosyjskiego i opinię swą o traktacie wyrazić dworowi petersburskiemu w formie choćby najprzyjaźniejszej, a przecież dla nas korzystnej. Niełatwem to było. Lord Palmerston utrzymywał, że zostały wprawdzie na kongresie oznaczone warunki względem Polski, ale że dawały się one różnie tłomaczyć, że, chociaż było powiedziane, iż

Królestwo złączone jest z Cesarstwem przez konstytucyę, nie powiedziano przez jaką, ani że cesarz nie ma prawa jej zmieniać. Twierdził również, że nie zdaje się, by dwory zachodnie miały prawo przeciw jej zmianom reklamować tem bardziej, że Austrya i Prusy, bezpośrednio interesowane w urządzeniu spraw polskich, wyraziły tęż samą co Rosya opinię. Jakoż x. Lieven wręczył lordowi Grey memoryał, w którym Austrya dowodziła, że traktat nie zmusza Rosyi do zachowania konstytucyi udzielonej Królestwu, że mocarstwa nie mogą zabronić Mikołajowi zaprowadzenia w niéj zmian dowolnych, że, dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa, trzeba odstąpić od gwarancyi przyobiecanych Polakom na kongresie.

«Cóż więc mamy czynić?» mówili do x. Adama ministrowie Anglii. «Skoro dwa mocarstwa najbliższe Rosyi nie są przekonane o potrzebie ograniczenia jej potęgi, jakże my mamy upierać się przy warunkach traktatu wiedeńskiego i wymagać, aby były dotrzymane?» «A nie zapominajcie,» dodawał lord kanclerz Brougham, «że Anglia była w czasie waszego powstania i jest dzisiaj w niemożności prowadzenia wojny z Rosyą. Handel jej ucierpiałby na tem. Wiele zresztą innych okoliczności zmusza nas do oświadczenia, iż wojny w obronie waszej nie podejmiemy, nie mówiąc już o tem, że sam osobiście, jako kwakier, wojną się brzydzę.»

Skoro tedy nie można było liczyć na wojnę, ani na pozyskanie sobie Austryi i Prus, jedna tylko pozostawała nam droga. Trzeba było wykazywać nieustannie, że Rosya dopuszczała i dopuszcza się względem nas krzyczących gwałtów i bezprawi i zdobyć tyle przynajmniej, żeby gabinety zachodnie, zamiast przyzwoleniem lub milczeniem nadużycia rosyjskie upoważniać, utrzymały sprawę polską w zawieszeniu. W istocie, zwyczajem było dawnej dyplomacyi zostawiać w zawieszeniu sprawy, których na razie nie można było rozwiązać, aby przy odpowiednich okolicznościach wprowadzić je napowrót w szereg interesów

żywotnych i domagających się sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Taką właśnie sprawą mogła, w przekonaniu x. Adama, stać się dla Francyi i Anglii sprawa polska. Zdaniem xięcia, nie potrzebowały te dwa państwa ponosić dla niej ofiar, ani rozpoczynać wojny, owszem w ich ręku mogła ona być pod pewnym względem rękojmią pokoju, siłą zawsze groźną dla Rosyi, wyrzutem zawsze sprawiedliwym dla Prus i Austryi. Aby zaś te pożytki tak wielkiej wagi Anglia i Francya mogły pozyskać, dość było odmówić sankcyi temu, co się w Polsce działo, dość paru słów przez ministrów w izbie wyrzeczonych, dość protestacyi. «Czego chcecie przez mocye i petycye wasze»? pytano x. Adama. «Chcemy», odpowiadał, «wyryć na ścianach parlamentów prawa Polski.»

Częstokroć upomnienia i nalegania x. Adama wywoływały u władz i ministrów same tylko westchnienia. Poza rządami były jednakże izby prawodawcze, a w nich członkowie za chwilowy kierunek spraw krajowych nieodpowiedzialni, więc skłonni do przemawiania za sprawiedliwością, chętni nawet do wykazania, że milczenie rządów jest wspólnictwem zbrodni przez cara względem Polski popełnianej. Do nich więc trafiał x. Adam w parlamencie angielskim i izbach francuskich. Pierwsze lata emigracyi poświęcił niemal wyłącznie temu zachodowi. W jednej i drugiej stolicy dostarczał mówcom materyałów potrzebnych do wnoszenia sprawy naszej, a nadewszystko osobiście docierał, ustnie przekładał. Nie wszyscy okazywali mu równą gotowość, niejeden się wymawiał, ale wszyscy zarówno osobie jego cześć okazywali.»

Wystarcza czytać rozprawy o Polsce w izbach angielskich i francuskich, by się przekonać, że nagromadzenie tylu dokładnych liczb, dat, faktów i to daleko od właściwych źródeł, musiało kosztować niemało pracy i trudu. A niedość było gromadzić materyały, należało je tłomaczyć na angielski lub francuski język, należało z mapą w ręku

objaśniać znaczenie i doniosłość niektórych faktów ludziom, nieprzygotowanym do ich zrozumienia. Trzeba było nadto za każdym razem zapewnić sobie obecność w izbie pewnej liczby członków na wypadek głosowania, bo, chociaż, za pośrednictwem dzienników, mówcy odzywali się właściwie do całej Europy, to jednak najwymowniejszy nawet czuł się sparaliżowanym, mówiąc do pustych krzeseł i wiedząc, że przy głosowaniu wniosek jego upaść musi dla braku potrzebnej ilości głosujących. Zebranie odpowiedniej liczby członków nie zawsze było rzeczą łatwą, bo niektórzy z nich umyślnie opuszczali izbę, ilekroć nie chcieli sprzeciwiać się wnioskowi mówcy wbrew sumieniu, a nie śmieli popierać go wbrew ministrom. Tak się niejednokrotnie zdarzało przy rozprawach o Polsce. Zwykle trzeba było rozsyłać osobiste zaproszenia do posłów, o których miano nadzieję, że się dadzą namówić do głosowania za danym wnioskiem, a że rozprawy często bywały odkładane z dnia na dzień, wielkiej wymagało czujności, by zaproszenia dochodziły we właściwej chwili.

Pozostał następujący wzór jednego z takich zaproszeń:

«Głosowanie niewątpliwe.

Upraszamy o obecność Pańską w izbie gmin dzisiaj, podczas rozprawy nad odroczonym wnioskiem pana N. N.»

«We Francyi członkowi izb prawodawczych trudniej było, niż w Anglii, wprowadzić dowolnie przedmiot jaki pod obrady izby, gdyż rozprawy toczyły się tam prawie wyłącznie nad przedmiotami przez sam rząd wnoszonemi. W Anglii, przeciwnie, jeden dzień każdego tygodnia przeznaczony jest na wnioski pojedyńczych członków i na rozprawy nad niemi, a prócz tego wnioski takie mogą być czynione przy każdym projekcie rządu, dotyczącym jakiegokolwiek na skarb wydatku.

Pierwszy raz sprawa polska poruszona została w parlamencie angielskim za staraniem Niemcewicza, którego Rząd Narodowy wyprawił do Anglii jeszcze w lipcu 1831

roku[1]). Po przybyciu x. Adama wyżej wspomniany pan Cutlar Fergusson, członek partyi rządowej, dał się skłonić do wniesienia w izbie gmin mocyi w sprawie polskiej (18 kwietnia 1832). Poparli go objaśnieni przez xięcia mówcy, odezwały się za nami jednogłośnie, choć słabo, wszystkie odcienie od torysów aż do radykałów i, jakkolwiek wszyscy twierdzili, że wojnie są przeciwni, to jednak zbliżono się wtedy do myśli o niej bardziej, niż w jakiejbądź innej w owym czasie okoliczności.

Aby poprzeć przychylnych nam członków parlamentu i skłonić rząd do energicznego działania, utworzył x. Adam w Londynie, pod przewodnictwem poety Campbella[2]), Towarzystwo Przyjaciół Polski[3]), do którego usiłował wciągnąć najznakomitszych ludzi ze wszystkich stronnictw, a xięcia Sussex uprosił, aby przyjął nad stowarzyszeniem opiekę. Za staraniem członków tego Towarzystwa zaczęło wychodzić pismo angielskie wyłącznie sprawie polskiej

[1]) Ogółem w 1831 sprawa polska była cztery razy przedmiotem rozpraw w parlamencie angielskim:

8 sierpnia stowarzyszenie «Westminster Union» przedłożyło izbie petycyę z prośbą, żeby przedstawiła królowi adres o usunięcie lorda Palmerston z rady ministrów z powodu lekceważenia, z jakiem przyjął memoryał, w którym domagano się pośrednictwa rządu angielskiego na korzyść Polski.

16 sierpnia pułkownik Evans zażądał od Palmerstona objaśnień, czy i jak państwa sąsiadujące z Polską, mianowicie Prusy, zachowały neutralność w czasie toczącej się wojny.

7 września pułkownik Evans odczytał w izbie skargę mieszkańców Westminster, że Anglia nie utrzymuje w Warszawie ajenta dla obrony poddanych Wielkiej Brytanii.

13 października pułkownik Evans wniósł do ministeryum prośbę o objaśnienie izby co do przyczyn polskiej wojny, co do neutralności Prus i usiłowań rządu angielskiego dla pogodzenia stron walczących, zapytał również, czy i w jaki sposób Moskwa zobowiązała się szanować konstytucyę Królestwa.

Wnioski te nie zostały uwzględnione.

[2]) Tomasz Campbell (1777—1844), autor ody na cześć Kościuszki.

[3]) Założone 25 lutego 1832 roku pod nazwą «Litterary Association of the friends of Poland».

poświęcone[1]). Już i w dziennikach zjawiały się artykuły przyjazne nam i pisane ze znajomością rzeczy. W chwili, kiedy do Anglii po raz pierwszy przybyłem, opinia na naszą korzyść budzić się już poczynała. Angielscy przyjaciele Polski i Polacy, z ramienia xięcia wysyłani, zabierali głos na meetingach gromadzących się w Londynie i na prowincyi, obznajmiali ludność ze sprawą polską, zbierali podpisy na adresach do parlamentu. Była to przychylność zbyt ogólnikowa jeszcze, nieokreślona, ale postęp był już widoczny.

Kto pamięta, z jaką oziębłością przyjęto w izbie niższej głos podniesiony za nami (16 sierpnia 1831) przez pułkownika Evansa w chwili, kiedyśmy jeszcze walczyli, gdy jeszcze można było wołać o ratunek dla ginących w srogim boju, kto pamięta, że naród angielski był głuchy na nasze konanie[2]), ten zrozumie, jakimi musieli być i jaką wziętość osobistą posiadać ludzie, którzy, jak x. Adam i Niemcewicz, zdołali tenże naród, tęż samą izbę, ten sam rząd przebudzić i zająć naszą sprawą już po jej upadku. Doszło do tego, że w izbie angielskiej rozprawiano obszernie nad obecnym stanem politycznym Polski i protestowano przeciw gwałtom na niej dopełnianym.

---

[1]) «Polonia or monthly reports on polish affairs»; poczęło wychodzić w Londynie 6 lipca 1832.

[2]) W pamiętnikach angielskich z tej epoki znaleźć można niejeden szczegół, uwydatniający obojętność Anglików na losy Polski. Xiężna de Dino, siostrzenica xięcia de Talleyrand, pisała z Londynu do marszałka Sebastiani, 8 stycznia 1831: «Sprawa polska, która tyle słusznego współczucia budzi na kontynencie, tutaj nikogo nie porusza. Pani Lieven rządzi lordem Grey i używa swego wpływu na odwrócenie uwagi ministrów od tego przedmiotu.»

Henryk Greville, w niespełna rok po upadku powstania, bo 30 lipca 1832, zapisuje w swoim Dzienniku: «Byłem wczoraj na obiedzie u lorda John Russel, siedziałem obok x. Czartoryskiego, który się wydaje bardzo niezabawnym człowiekiem.» Jakie mogły być powody przygnębienia xięcia, nie zdaje się domyślać i dalej pisze o czem innem. (Leaves from the Diary of Henry Greville. First series. Str. 3)

I podczas gdy izby francuskie mniemały, że zadośćuczyniły sowicie wszelkim obowiązkom względem Polski przez miliony, rozdawane jej wychodźcom, w Anglii zawiązywały się stowarzyszenia, które, pod skromną nazwą «assocyacyi literackich», występowały słowem i drukiem w obronie praw naszych, a wszystkie swe prace rozpoczynały od głoszenia protestacyi Wielkich Kanclerzy Korony i Litwy przeciw pierwszemu podziałowi 1772 i starożytnej Rzeczypospolitej Polskiej godła przybierały[1]).»

Wkrótce po przybyciu Zamoyskiego do Londynu, Fergusson zgodził się na powtórne poruszenie sprawy polskiej w izbie gmin. Zamoyski spisał dla niego niektóre szczegóły barbarzyńskiego postępowania cara względem Polaków, mianowicie względem x. Romana Sanguszki, który właśnie wówczas odbywał swą drogę krzyżową na Sybir. «Napróżno», pisał Zamoyski, «matka jego, x. Eustachowa, błagała cara o złagodzenie srogiego wyroku, napróżno wstawiała się za nią carowa i osobiście doręczyła mężowi podanie xiężny w sam dzień jego imienin, sądząc, że car w dniu tym będzie skłonniejszy do wielkoduszności. Car własnoręcznie dopisał na podaniu: «Pójdzie pieszo», i oto od 20 grudnia 1831 do chwili, o której mowa, Sanguszko, przykuty do jednej wspólnej sztaby żelaznej z dziewiętnastu innymi skazańcami, znajdował się w drodze liczącej od Kijowa, gdzie sąd nad nim się odbył, aż do granic Syberyi, trzy tysiące mil angielskich. Nieszczęsna matka do tej pory nie dowiedziała się jeszcze, która miejscowość Syberyi jest przeznaczona na ostateczne miejsce udręczeń i niedoli jej syna. Przed puszczeniem się w ten straszny pochód, xiążę prosił o księdza. Sprowadzono mu popa schyzmatyckiego,

1) Oprócz stowarzyszenia Przyjaciół Polski w Londynie powstały dwa podobne na prowincyi: w Sheffield, 10 października 1831, w Birmingham, 18 października 1831, ale nie doszły do tego znaczenia, co Towarzystwo londyńskie.

mówiąc, że, jako niewolnik, nie może mieć innej religii, jak religię swoich panów[1]).

Prześladowanie dotknęło i rodzinę xięcia. Zagrożono porwaniem jedynej jego dwuletniej córki, która przebywała na Wołyniu pod opieką swego dziada, x. Eustachego, jednego z nielicznych już wówczas kościuszkowskich towarzyszów broni. Razu jednego do domu sędziwego xięcia wtargnął oddział żołdaków moskiewskich z zamiarem uwiezienia dziecka. Wtedy starzec porwał na ręce wnuczkę, przyłożył jej sztylet do piersi i zagroził, że raczej ją zabije, niż da sobie odebrać. Przerazili się oprawcy taką stanowczością; tym sposobem dało się zyskać na czasie i uratować dziecko, wywożąc je do Galicyi.»

W notatkach dla Fergussona, Zamoyski wspomina również o postępowaniu rządu moskiewskiego względem mnóstwa dzieci polskich, które w siódmym roku życia wywożono w głąb Moskwy i umieszczano w szkołach «kantonistów», aby je tam wynarodowić, pozbawiwszy własnych rodzin, własnego języka i własnej wiary. Wywożenie rozpoczęto od dzieci żołnierskich i sierot wychowywanych w zakładach dobroczynnych. Nieraz porywano dzieci na ulicach pod pozorem, że to włóczęgi. «Wobec tych gwałtów», pisał Zamoyski, «domy szczelnie się zamykają, matki nie pozwalają dzieciom uczęszczać do szkół elementarnych, jedynych, jakie są jeszcze otwarte. Przerażenie i rozpacz tak owładnęły ludnością w Warszawie,

---

[1]) X. Roman Sanguszko (1800—1881) przebył w Tobolsku lata 1833 i 1834. Następnie przysłany z Petersburga żandarm przewiózł go do Kislar na Kaukazie. Podróż tę odbył x. Roman częściowo piechotą, ubrany w nędzny szynel, wśród zimy, przy 30 stopniach mrozu. Na Kaukazie służył trzy lata, ranny dwa razy w spotkaniach z Czerkiesami. W 1838 przybył po raz pierwszy na krótko w czerkieskim mundurze do Sławuty. Z Kaukazu przeniesiony został do Moskwy, tam ciężko zachorował i ogłuchł zupełnie. W roku 1843 otrzymał urlop i pozwolenie wyjazdu za granicę. Pojechał do Monachium, następnie do Ziemi Świętej. W 1845 wrócił na stałe do Sławuty.

że z obawy przed mogącym nastąpić wybuchem, patrole przebiegają miasto z działami i lontami zapalonemi.»

Należało też wytłomaczyć Fergussonowi znaczenie ukazu z maja 1832 o poborze rekrutów w Królestwie, którego doniosłości nie rozumiano w Anglii. «Ukaz ten», pisze Zamoyski, «jest wyraźnem pogwałceniem uroczystych obietnic, w niwecz obraca amnestyę, ma właściwie na celu skazanie ludzi, których amnestya pozornie ułaskawiła. Powołują nim na prostych szeregowców rzekomo tych tylko żołnierzy byłego wojska polskiego, którzy nie wysłużyli piętnastu lat przed wybuchem powstania, ale że służba obowiązkowa w Królestwie trwała dziesięć lat, więc pobór rekrutów stosuje się do wszystkich żołnierzy bez wyjątku. Powiedziano również w ukazie, że z pomiędzy żołnierzy i podoficerów, którzy z Prus i Austryi wrócili do Królestwa pod warunkiem, że nie zostaną zmuszeni do wojskowej służby, ci tylko będą do niej powołani, co nie mają środków do życia, ale czyż podobne zastrzeżenie nie da się dowolnie tłomaczyć? Czy wobec takich przepisów może kto być pewny, że każdej chwili nie zostanie zdegradowany na prostego żołnierza w szeregach rosyjskich[1])?»

---

[1]) Andrzej Zamoyski pisał do brata z Krakowa, 8 lipca 1832: «Wracać do kraju bardzo trudno, dopóki nie będzie czegoś stanowczego o rekrutach. Biorą dziś, kogo chcą, dzieci od matek porywają. Z Wołynia kilka tysięcy szlachty, która się nie wylegitymowała przed heroldyą, wysłano w głąb Rosyi na zaludnienie.»

Tytus Działyński pisał równocześnie do x. Adama: «Spieszę udzielić ostatnich wiadomości otrzymanych z Królestwa przez Kraków. Dopiero wywieziono 2 500 kobiet, mówią o wywożeniu, według zwyczaju, żon wszystkich nowozaciągniętych rekrutów na «zasilenie» kolonii wojskowych. Mnóstwo rodzin ukrywa się w puszczy białowieskiej, gdzie temi czasy cały pułk kozaków rozbito. Skądinąd dezerterzy moskiewscy potworzyli zbrojne bandy w okolicach Łysogóry, napadają i rabują dokoła. Żona moja pisze, że nie ma sił ani słuchać, ani opowiadać wszystkiego, co z tamtych stron donoszą. Zechciej Xiążę zawiadomić o tych szczegółach niedowiarków angielskich.»

Fergusson przedłożył izbie gmin swój wniosek 28 czerwca 1832. Domagał się w nim, by rząd udzielił izbie odpis manifestu cara z 26 lutego 1832, odnoszący się doń statut organiczny, mający zastąpić konstytucyę nadaną Królestwu przez Alexandra I i depeszę posła angielskiego w Petersburgu, załączoną do przesyłki tych dokumentów rządowi W. Brytanii. Izba przyjęła wniosek jednomyślnie. Porównywując znakomitą mowę Fergussona z zapiskami Zamoyskiego, widać, że niektóre z nich prawie dosłownie były zużytkowane; do takich należy ustęp o x. Sanguszce.

Szczegóły bezprawi moskiewskich, przytoczone w mowie Fergussona, nietylko że obudziły uwagę powszechną, ale nadto wywołały urzędowy, jakkolwiek słaby, protest ze strony rządu angielskiego. Świadczy o tem depesza lorda Palmerston z 3 lipca 1832 wysłana poufnie do lorda Durham[1]), który na kilka dni przed mocyą wyjechał do Petersburga w charakterze posła nadzwyczajnego. W dosłownem tłomaczeniu brzmi ona jak następuje:

«Zniesienie polskiej chorągwi, wprowadzenie rosyjskiego języka do czynności urzędowych w Królestwie, wywiezienie do Rosyi biblioteki narodowej i zbiorów publicznych, zawierających dary uczynione pod warunkiem, że nigdy poza obręb Królestwa Polskiego nie wyjdą, zamknięcie szkół i innych zakładów naukowych publicznych, wysłanie do Rosyi wielkiej liczby dzieci polskich pod pozorem wychowywania ich kosztem skarbu, przesiedlenie całych rodzin w głąb Rosyi, rozmiary i surowość poboru wojskowego, osadzenie mnóstwa urzędników rosyjskich na urzędach w Polsce, wdawanie się w sprawy kościoła na-

[1]) Jan Jerzy Lambton, pierwszy hrabia Durham (1792—1840), pierwotnie whig, następnie radykał posłował w Paryżu i dwukrotnie w Petersburgu, w 1838 przez kilka miesięcy gubernator Kanady; na tem stanowisku stłumił powstanie kolonistów francuskich w Niższej Kanadzie, ale oburzony ostrą krytyką swego postępowania w izbie lordów, rzucił samowolnie urząd i powrócił do Anglii.

rodowego, wszystko to zdaje się oznaczać wyraźny zamiar zatarcia politycznego bytu i narodowości Polski i przeistoczenia jej stopniowo w prowincyę rosyjską.

Najmniejsze zastanowienie się prowadzi do oczywistego wniosku, że taki zamiar wykonać się nie daje. Chcieć przemienić cztery miliony Polaków tak doszczętnie, żeby stali się Moskalami, byłoby zadaniem, na wykonanie którego trudno naznaczyć, ileby potrzeba czasu i wytrwałości. Ale samo dążenie do tego prowadziłoby do nieustannych i srogich nadużyć, które wytworzyłyby powszechnie potężne uczucie niechęci względem Rosyi. Te nadużycia należałoby uważać za otwarte gwałcenie zobowiązań, przyjętych przez Rosyę w Wiedniu 1815 roku.»

Nie wszyscy jednak w Anglii uwierzyć chcieli, że opowiadania o barbarzyństwach Moskali są ściśle z prawdą zgodne. Urzędowe akta rosyjskie, ogłaszane od czasu do czasu w dziennikach, a obliczone na łatwowierność nieświadomych rzeczy cudzoziemców, usprawiedliwiały te wątpliwości. Drugi ukaz, podobny do wyżej wzmiankowanego o poborze rekrutów, głosił, że pobór dzieci do batalionów wojskowych odbywa się za zgodą rodziców i jakoby w drodze łaski. Nie omieszkali skorzystać z tego przeciwnicy polityczni Fergussona; sir Robert Peel[1]), na posiedzeniu izby 16 lipca, zarzucił mu, że przesadnie stan rzeczy w Polsce przedstawia. Na zarzut ten odpowiedział Zamoyski (18 lipca) artykułem, w którym dowodził, że ostatni ukaz, ogłoszony już po wprowadzeniu w czyn poprzednich rozporządzeń, wywołany został poprostu wstydem wobec świata i ma na celu uśmierzyć powszechny okrzyk oburzenia, jaki się ze wszech stron podniósł przeciw moskiewskim okrucieństwom. «Zresztą», pisze Zamoyski, «zastanowiwszy się bliżej nad nowem rozporzą-

---

[1]) Sir Robert Peel (1788—1850), przywódca torysów, prezes ministrów 1834—1835 i 1841—1846; wsławił się zniesieniem ceł na zboże mimo oporu własnego stronnictwa

dzeniem, dziwię się, że ono sprawia tyle pociechy tkliwemu sercu sir Roberta Peela. Czyż rozporządzenie to nie jest właśnie dowodem, że istotnie rząd rosyjski znaczną liczbę dzieci polskich porywa od rodziców, a tąż «łaską» swoją jakież szczęście im gotuje? Oto, że czyni z nich żołnierzy moskiewskich i wyszle do sybirskich pustyni. Zdaje się, że i car zdołał wmówić w siebie, że jego rozporządzenia są dobroczynne. Gdy mu doniesiono o stanie umysłów w Królestwie, wzruszył ramionami i odpowiedział: «Trudno zaprawdę rządzić tym narodem!» A wszakże przyznać trzeba, że ostatni ukaz cesarski, gdyby był ściśle wykonany, stałby się jeszcze miłosierdziem w porównaniu z poprzedniemi, o których rząd rosyjski nie powiadamiał Europy, o których dowiadywała się ona tylko z jęków, wywołanych straszliwem wprowadzeniem ich w czyn!»

Rozprawy w izbie gmin z 28 czerwca nie przeminęły bez wrażenia i poza granicami Anglii.

Albert Grzymała do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 5 lipca 1832.

Wczoraj zastałem samą panią de Flahaut[1]). O rzeczach polskich tyle zachwyciłem, że rezultat ostatniej mocyi w parlamencie nie był spodziewany u dworu tutejszego i że go niemal zasmucił, ponieważ on uważa tak stanowcze zajęcie się losem Polski, bez jego wpływu, za uzurpacyę gabinetu londyńskiego w przedmiocie, który tutaj przywykli uważać za francuski. Ten wypadek do tego stopnia przykro działa na króla, że pochlebcy zaraz

---

[1]) Margaret Mercer Elphinstone, baroness Keith (1788—1867), żona jenerała hr. de Flahaut, adjutanta x. Orleanu, następcy tronu francuskiego. O jenerale de Flahaut x. de Talleyrand pisze w swoich pamiętnikach: «Posłany w 1831 roku jako poseł do Berlina, zamiast dążyć do pozyskania życzliwości rządu pruskiego dla Francyi, z taką gwałtownością przemawiał w obronie Polski, że po dwóch czy trzech miesiącach musiał swoje stanowisko porzucić, zniechęcony, że nie zdołał wywrzeć żadnego wpływu na jedno z państw zaborczych.» (Mémoires du prince de Talleyrand. T. III, str. 417, 418)

zrozumieli wolę jego, by owe posiedzenie parlamentu nie było przedmiotem rozmów pałacowych. Lękają się, żeby mowa nietylko większości izby, ale nawet samych ministrów angielskich, tak poniżająca mowy i uchwały tutejszych, nie była nowym przedmiotem niesforności lipcowych, alboli też przy otwarciu izb.»

Wkrótce nowa nastręczyła się sposobność do poruszenia sprawy polskiej w parlamencie angielskim, a to z powodu rozpraw o pożyczce rosyjsko-holenderskiej tak zwanej «russo-dutch loan». Sprawa tej pożyczki, niejednokrotnie w parlamencie angielskim poruszana, sięga czasów napoleońskich.

Po pierwszej abdykacyi Napoleona w 1814 roku, Holandya podjęła się zapłacić koszta wojenne w sumie pięciu milionów funtów szterlingów Anglii, Austryi, Prusom i Rosyi, odwdzięczając się tym państwom za pomoc udzieloną jej w odzyskaniu dawnych posiadłości i w nabyciu Belgii.

Po powrocie Napoleona z Elby, Anglia, Austrya i Prusy odstąpiły Rosyi przyznane im odszkodowanie; Anglia nadto wzięła na siebie spłacenie za Holandyę połowy całego jej zobowiązania, ponieważ taką samą sumę winna była temu państwu za nabyte od niego kolonie[1]). Moskwie te pięć milionów miało posłużyć do częściowego spłacenia dziewięciomilionowej pożyczki, zaciągniętej pod koniec XVIII wieku w domu handlowym Hope & Comp. w Amsterdamie. Pożyczka ta powstała częścią z długów Rzeczypospolitej polskiej i króla Stanisława Augusta, które Rosya przyjęła przy ostatnim rozbiorze, częścią z gotówki, którą sama pożyczyła podczas wojen napoleońskich.

---

[1]) Przylądek Dobrej Nadziei, Demerara, Esseguibo, Berbice. Te kolonie nabyła Anglia od Holandyi za pięć i pół milionów funtów szterlingów, z których trzy miliony były już zapłacone przed konwencyą z dnia 19 maja 1815

Umowa odpowiednia stanęła 19 maja 1815 roku na kongresie wiedeńskim. Płacone, co pół roku, przez Anglię i Holandyę raty, miały umorzyć całą należytość, wraz z doliczeniem 5 % po upływie stu lat (1915).

Powyższe zobowiązanie angielsko-holenderskie powzięte było jednak z tem zastrzeżeniem, że trwać będzie, dopóki traktat wiedeński w ogólności będzie zachowany, a w szczególności, dopóki Belgia pozostawać będzie pod rządami króla Niderlandów z domu Orańskiego. Odpadnięcie Belgii od Holandyi w 1831 roku umowę tę naruszyło. Holandya odmówiła dalszych wypłat, a Rosya przeciwko temu nie protestowała.

Pozostawało do rozstrzygnięcia, czy Anglia ma nadal spłacać przypadające na nią dwa i pół miliony f. szt. i czy może ją wogóle obowiązywać umowa, ściśle związana z traktatem wiedeńskim, skoro Rosya tenże traktat zgwałciła postępowaniem swojem względem Polski. W grudniu 1831 roku kontroler skarbu angielskiego odmówił wypłacenia przypadającej właśnie półrocznej raty. Za wdaniem się lorda Palmerston rata na ten raz wypłacona została, ale gdy przyszła kolej na następną, w lipcu 1832 roku, obie izby zajęły się roztrząsaniem tej sprawy.

Stronnictwo rządowe, pragnące wraz z lordem Palmerston utrzymania dobrych stosunków z Rosyą, głosowało za dalszem spłacaniem pożyczki rosyjsko-holenderskiej i nieznaczną większością głosów uchwałę przeprowadziło.

Jakkolwiek należało to uważać za tryumf moskiewskiej polityki, trudno było, zdaniem Zamoyskiego, o dogodniejszą sposobność do podniesienia sprawy polskiej. Twierdzenie swe opierał na następujących wywodach:

«Skoro Anglia przyznaje, że z rzetelnego tłomaczenia traktatu wiedeńskiego wynika obowiązek spłacenia pożyczki rosyjsko-holenderskiej, skoro dla wykonania tego traktatu nie cofa się przed ponownem przyjęciem na siebie tak uciążliwego zobowiązania, słuszną jest rzeczą domagać się, aby Rosya ze swej strony ściśle tego traktatu prze-

strzegała względem Polski i postawić to jako warunek «sine qua non» dalszej wypłaty.»

Angielscy przyjaciele Polski dali się nakłonić do wystąpienia w parlamencie z mocyą, opartą na powyższych wywodach.

X. Adama nie było wówczas w Londynie; pod koniec lipca, poszukując «taniej miejscowości na kąpiele morskie dla siebie i dzieciarni», udał się do Hastings.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«6 sierpnia 1832.

Dwa słowa tylko w pospiechu. Mocya jutro ma być, jest poprzedzona interesem jakimś handlowym, więc będzie «a House» (pełna izba). Sandona[1]) stroję jak mogę i Lushingtona[2]).»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 7 na 8 sierpnia rano, 1832.

Wracam z izby; mieliśmy, co Anglicy nazywają «a good debate» to jest, że rozmawiano godzin kilka rozmaicie; było kilka mów znacznych, mianowicie lorda Sandon doskonała i sir Francis Burdetta, który po oświadczeniu się za mową umiarkowaną wypalił jedną z najognistszych, jakie mi się tu słyszeć dało na wielkie podziwienie ministrów, którzy od zaplecznika takich gromów się nie spodziewali. Proszę sobie wystawić niespokojność moją, gdy Evans rozpoczął swój wniosek w izbie prawie pustej i w której, prócz Hume'a[3]), ani jednego dostrzedz

---

[1]) Dudley Ryder, wicehrabia Sandon, od 1847 drugi hrabia Harrowby (1798—1882), tory, ożeniony z lady Frances, córką margrabiego Bute, siostrą lorda Dudley Stuart.

[2]) Dr Stefan Lushington (1782—1873), znakomity prawnik, od 1838 członek rady tajnej (privy council) i sędzia przy admiralicyi. W 1845 rozstrzygał wraz z x. de Broglie spór między Francyą a Anglią o prawo rewizyi statków kupieckich, posądzanych o przewożenie niewolników.

[3]) Józef Hume (1777—1855) radykał, długoletni członek izby gmin i jeden z najlepszych jej mówców, gorący obrońca ludności robotniczej.

nie mogłem z naszych przyjaciół. Po Evansie lord Palmerston wykonał trudną obronę sprzymierzeńca (Moskwy), po nim sir Charles Wetherell [1]) przeciwił się wszelkiemu krokowi, mogącemu pociągnąć za sobą nieporozumienie z Moskwą i przeczył zgwałceniu traktatu, a żadnego jeszcze z przyjaciół naszych widać nie było; w ciągu dopiero mowy Hume'a przybywać zaczęli. Lord Palmerston, broniąc Moskwy, twierdził, że, jak w perskiej i tureckiej wojnie, tak w Polsce zaczepka poszła od nieprzyjaciół Rosyi, nie od niej! Sir Francis Burdett był przyszedł wcześniej, ale prawie drzemał, gdym się nakoniec odważył raz po raz członków młodszych nasyłać jemu, którzy mu dali uczuć, iż milczenie jego byłoby przyznaniem takich bluźnierstw. Najczynniej przyczynił się do pobudzenia go Labouchère [2]), bo żałował, że sam mówić nie mógł, a potem podobno żałował niemało, że tego potężnego nieprzyjaciela w pole wywołał. Ministrom aż gorąco się zrobiło, niezgrabnym jak zwykle i niegodnym sposobem w obronie postępowania Moskwy swego szukali usprawiedliwienia. Ale co nowego w tej dyskusyi, to, że torysowie starzy, sir Charles (Wetherell) i Inglis [3]) głośniej i śmielej za Moskwą się odezwali, niż dotąd. Słowem zbliżono się nieco i zmierzono, wykroczono trochę za obręb przychylności nieokreślonej i ogólnej. Torysowie starzy nie mogą Moskwy opuścić, nie mogą ku Francyi się nakłonić, ale ja mam za dobre, że się to wyjawia. Pierwszy skutek zaraz był w mowie impetycznej Burdetta, której początek był pyszny i nad wyraz na nieprzygotowanego gładki, koniec trochę rozwlekły, choć coraz ostrzejszy.

---

[1]) Sir Charles Wetherell (1770—1846), prawnik i polityk, skrajny tory, przeciwnik równouprawnienia katolików.

[2]) Henryk Labouchère, od 1859 baron Taunton (1798—1869), członek rady admiralicyi 1832—1834, wiceprezydent ministeryum handlu 1835—1839, minister handlu 1847—1852, minister kolonii 1855—1858.

[3]) Sir Robert Inglis (1786—1855), polityk angielski, przeciwnik równouprawnienia katolików i reformy parlamentarnej.

Ostatecznie Evans mocyę cofnął[1]), bo też takie było zdanie powszechne, ale wraz z wielu innymi oświadczył, iż opinia izby jest niewątpliwa. Burdett powiedział, iż «no honest man» kwestyi odmiennie uważać nie może, wiele mówił o potrzebie wojny. W ogólności debaty te będą bardzo pożyteczne i doprawdy nadspodzianie się udały. Oczywiście powiększa się interes dla nas. Widziałem to po staraniu młodych (posłów) dla wyszukania mówców i nastrajania ich. Była chwila, że tak mnie otoczyli, tak ich wysyłałem na prawo i na lewo, że aż mi się jakoś wstyd zrobiło i zacząłem przepraszać. Żywo zaprotestowali, mówiąc, że izba raczej powinnaby mnie przepraszać za to, że sprawę naszą jakoby zaniedbuje. Burdett powtórzył kilkakrotnie, iż, gdyby nie miał nadziei, że ministrowie stanowcze przedsięwezmą środki, nie mógłby znieść wstydu, który go dręczy za poprzednie postępowanie Anglii i ministrów w tej sprawie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«8 sierpnia 1832.

Rzecz ważna, że Moskale w bardzo zły humor są wprowadzeni temi powtarzającemi się debatami, a bardzo śmieszna, że rząd (angielski) stąd wpada w jakąś obawę; wczoraj podczas dyskusyi członkowie rządu przekładali posłom, iż takie debaty utrudniają stosunki z Moskwą etc. Nie czują tego, iż właśnie poprzećby mogły działanie rządu, gdyby rząd umiał działać. Oni zawsze sądzą, że coś wytargują od uczciwości i wspaniałomyślności Moskwy. Wierzyć nie mogą, widzieć nie umieją, iż między nimi a Moskwą wojna istnieje istotna, wyraźna, w której nic, tylko siła i ostre postawienie się posłużyć może. Rozumieć tego nie umieją, iż Moskwa, jeżeli okazuje niechęć, zły humor, jest to skutkiem nie postępowania Anglii i Anglików, ale niemocy, w której znosić musi wypadki,

---

[1]) Izba bez głosowania nad wnioskiem przeszła do porządku dziennego.

które są dla niej i zelżywe i staną się szkodliwe, jeżeli potrwają.»

Listy Zamoyskiego z owego czasu wyrażają dwa jakby sprzeczne wrażenia o możliwych owocach angielskich rozpraw parlamentarnych: ujemne co do skutków bliższych, dodatnie co do dalszych następstw. «Wyznaję», pisał, «że niewiele dotąd w Anglii się uzyskało, a nawet nic, jednak przyznać trzeba, że nikt jeszcze wybitniej od Anglików nie przemówił w obronie naszej za granicą. Można przypuszczać, że takie rozprawy, ponawiając się, będą początkiem tego, co z czasem potrafi silna opinia narodu angielskiego.

Dziwnie i nadspodziewanie wzmaga się tutejszego narodu opinia za nami. Ludzie najzimniejsi opowiadają z zadziwieniem, a prowincyonalne dzienniki potwierdzają, że ze wszystkich kwestyi obcych interesom wewnętrzym, dziś dla Anglii tak ważnym, ta jedna sprawa mocno i często wprowadzona bywa i od najniższych nawet warstw z uniesieniem przyjmowana.

W ciągu tego roku, już czterdzieści cztery petycye podano do parlamentu w sprawie polskiej z rozmaitych miejscowości i to podczas zamieszania, jakiego dawno w kraju nie było, wywołanego sprawą dla Anglii żywotną sprawą, która wstrząsnęła państwem w samychże jego podstawach[1]).

[1]) Reforma wyborcza, zwalczana przez torysów, broniona przez whigów. Lord Malmesbury w pamiętnikach swoich opowiada: «W 1830 roku, gdy whigowie wszystkie siły wytężali dla obalenia torysów, którzy już od trzydziestu lat rządy kraju sprawowali, a walka o «reform bill» za broń im służyła, byłem świadkiem, jak razu jednego lord Grey nazwał lorda Castlereagh, Broughama i Talleyranda największymi łotrami na kuli ziemskiej.» W 1831 tenże Malmesbury pisał: «Słyszałem lorda Carnarvon mówiącego do lorda Grey, że na to, aby doradzać takie środki, jakie on podaje, musi chyba mieć na karku głowę szaleńca, a w piersiach serce zdrajcy.» (Memoirs of an ex-minister (lord Malmesbury). Edit. Tauchnitz. T. I, str. 43, 44)

Wogóle jestem zadowolony z mego pobytu w Anglii; widzę, że warto jakiś czas tu przebyć. Być może, że okazały mi się i niektóre słabe strony tego kraju, przedtem mi nieznane. Jednakowoż znajduję, że ten naród ma zalety, które go w moich oczach stawiają wyżej od innych; stateczna jego wytrwałość w raz powziętych postanowieniach daje mi ochotę do pracy, ochotę do wywarcia tu wpływu na korzyść naszej sprawy. Zdaje mi się, że, kiedy myśl jaka tych ludzi ogarnie, to już jej nie zaniechają, że ten naród dochodzi do zamierzonych reform wytrwałemi wysiłkami, nie uciekając się do rewolucyi, które zawsze więcej niszczą, niż tworzą, więcej obalają, niż budują.»

W notatkach współczesnych Zamoyski pisze:

«Tak długo jak cześć dla władzy trwać będzie w Anglii, tak długo jak między stronnictwami będzie tam istniał antagonizm sił, a nie antagonizm bezsilności, Anglia jest bezpieczną. Niechaj demokracya światła, jędrna, przy odpowiednich zdolnościach, zwalcza prerogatywy potężnej arystokracyi: oto stan zdrowy, żywotny; same jego wstrząśnienia dowodzą energii, która walką i zwycięstwem się rozwija.

Wystawmy sobie położenie przeciwne: walkę niedołęstw, demokracyę bezsilną a gwałtowną wobec tronu o zachwianych podstawach i arystokracyi zniedołężniałej. Wystawmy sobie, co się dzieje, gdy takie żywioły, bezsilne a rozhukane, dobijają się o władzę. W takim stanie rzeczy żadne poważne stronnictwo istnieć nie może, każde gotowe łączyć się z przeciwnem, a sceptycyzm tak jest rozpowszechniony, że zaledwie kilka wyjątkowo wzniosłych umysłów zachowuje wiarę w jakąś zasadę. Oto stan ułudny i bezowocny.»

Powyższe uwagi nastręczał Zamoyskiemu ówczesny stan wewnętrzny Francyi, a nie lepsze odnosił wrażenie z postępowania tego państwa względem Polaków.

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Londyn, 12 lipca 1832.

Oburzony jestem zachowaniem się waszego rządu względem nas. Postępuje całkiem sprzecznie z tem, czego pozory przybiera. Nienawidzi nas a gości. Głosi przed Francyą i Europą, żeśmy się źle sprawowali[1]), a nikogo po imieniu nie nazywa, potem zaś czepia się jednego, który 5 i 6 czerwca był w Londynie; ogłasza, że wszystkich wydali, a nie wydala nikogo. Oficerowie nasi trzymani w bezczynności i bezkarności; sposób to najwłaściwszy do zdemoralizowania ich; prawdziwa szkoła bezrozumu i buntu przeciw władzy. Pozwalają im jakby umyślnie na wszystkie wybryki, aby mieć pretekst do pozbycia się ich. Czyż nie lepsza od takiej obłudy szczerość choćby przykra? Ale dzisiejszy rząd francuski chce naraz wszystkich oszukać i wszystkim się przypodobać.»

Współcześnie z rozprawami w izbie gmin nad «russo-dutch loan», toczyły się w Petersburgu tajne rokowania między pełnomocnikiem angielskim, lordem Durham, a wicekanclerzem rosyjskim, hr. Nesselrode[2]). Przypuszczano, że głównym przedmiotem rokowań była Turcya, ale lord Grey poufnie dał x. Adamowi do zrozumienia, że polecił lordowi Durham poruszyć również sprawę polską. Zamoyski mało do tego przywiązywał nadziei, niemniej żywo go zajmowały wiadomości dochodzące o lordzie Durham z Petersburga; w listach ówczesnych nieraz do tego przedmiotu wraca.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«9 sierpnia 1832.

Wczorajszy Times donosi o nadzwyczajnych grzecznościach czynionych lordowi Durham w Petersburgu przez

[1]) Podczas pogrzebu jenerała Lamarque.

[2]) Karol Robert hr. Nesselrode (1780—1862), wicekanclerz od 1829, kanclerz 1844—1855.

samego cesarza, którego tu naród sowicie błotem traktuje, którego sam lord Durham nieraz obrażał. Zwrócić chcę uwagę na niebezpieczeństwo, któremu podlega lord Durham; nie znam go, ale z opisania miarkuję, że musi być czuły na to, coby miłości własnej mogło pochlebić. Przytem godne jest uwagi, iż cesarz umie ująć sobie zagranicznych dyplomatów, i, jeżeli ma powody, by tego otumanić, wielkie jest prawdopodobieństwo, że mu się to uda.

Czy nie należałoby przeto, by Wuj parę słów, nie wiem z jakiej okazyi, napisał do niego, żeby jego miłość własną poruszyć w stronę przeciwną, żeby mu przyznać nasze obawy, by nie wpadł w sidła, które wielu ujęły; by przecież okazał się dumniejszym nad pochlebstwa zdradliwego i niezmiennego nigdy nieprzyjaciela. Zachęcić, by Ficquelmonta[1]) szukał i żony jego i przekonał się, jakie ze strony Moskwy bywają żądania i złości na postępowanie Austryi etc.»

Po ukończeniu rozpraw sierpniowych o Polsce, Zamoyski wybierał się do Hastings dla spędzenia choćby kilku dni przy x. Adamie. «Okrutnie mi żal», pisał do xięcia, 15 sierpnia, «jeśli na tak krótko tylko Wuja dogonię. Jutro w południe z Palmellą[2]) skończę, Ellice'a[3]) poruszyłem, Times[4]) zaczyna się odzywać, pisałem do

---

[1]) Jenerał Karol Ludwik hr. Ficquelmont (1777—1857), poseł austryacki w Petersburgu 1829—1839, na wiosnę 1846 jeździł do Berlina układać się o zabór Krakowa.

[2]) Don Pedro de Souza Holstein hr. Palmella (1786—1850), wówczas pełnomocnik Portugalii w Londynie, minister spraw zagranicznych i regent 1834—1836, prezes ministrów 1846—1850.

[3]) Edward Ellice (1781—1863), członek izby gmin.

[4]) «Times był wówczas, kiedy prasa codzienna tania nie istniała jeszcze, «królem dzienników»; jego wpływ i znaczenie w Anglii i całej Europie były ogromne, nie dające się obecnie z niczem porównać.» (Memoirs of the life and correspondence of Henry Reeve, by John Knox Laughton M. A. T. II, str. 403)

redaktorów, Bacha[1]) zapoznałem z sir Francis Burdettem».

Zanim te sprawy zostały załatwione, x. Adam postanowił wyjechać do Paryża; Zamoyski towarzyszył mu do Dover i pozostał tam dni kilka po jego wyjeździe.

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Dover, 23 sierpnia 1832.

Sam nie wiem, gdzie się obrócić. Moje zamiary są równie niepewne, jak cała nasza przyszłość. Chciałbym się zagrzebać w jakiej cichej dziurze i trochę odetchnąć. Salony mnie nużą, chociaż poczucie obowiązku przynagla mnie do bywania w nich. W tym kraju jest to niezbędne do polityki, o którą mi chodzi. Żal mi, że nie mogę w Anglii uczyć się o Anglii, jak tego niegdyś pragnąłem. Jednak, rozmawiając nieustannie o sprawach publicznych z wielu najznakomitszymi ludźmi, mogę lepiej przenikać życie polityczne tego kraju, niż gdybym mu się przypatrywał tylko z zewnątrz. Zawsze sobie obiecywałem, że kraj ten zbadam wszechstronnie. Ale gdzie teraz poniosę zdobytą wiedzę, gdzie zastosuję owe instytucye, owe fabryki, owe wzory? Ta myśl zniechęca mnie na każdym kroku, potrzeba mi wysiłku, żeby się jej nie poddawać. Jestem jeszcze ciągle jak w gorączce, żyję przeszłością, a przyszłością zajmuję się tylko dlatego, że jest z przeszłością związana.»

Następnie Zamoyski zwiedził Canterbury i Portsmouth, objechał wyspę Wight, bawił w gościnie u lorda Carnarvon[2]) w Highclerc i u lorda Lansdowne w Bowood.

Władysław Zamoyski do matki:

«Canterbury, 25 sierpnia 1832.

Odwiozłem wuja do Dover, skąd popłynął do Boulogne. W Auteuil u x. de Beauveau ma

[1]) Adolf Bach, rodem Niemiec, adwokat osiadły w Anglii, zapalony wielbiciel sprawy polskiej, wówczas sekretarz jeneralny Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski.

[2]) Henryk Jerzy Herbert, drugi hrabia Carnarvon (1772—1833).

się zjechać z żoną, która paszportu dotąd nie odebrała [1]).

Zjechałem tu dla sławnej katedry. Przypadkiem natrafiłem na wyścigi konne; co dawniej bawiło, to dziś obojętne, zasmucające nawet; przecież zajmuje mnie przypatrywanie się życiu, nawet materyalnemu, tego narodu w różnych klasach, czego w Londynie nie widać. Pierwszy raz zobaczyłem boksujących się naprawdę, nie zaś za pieniądze. Walczyli według wszelkich reguł, rozebrani, przy świadkach, w przytomności constable'a (policyanta) obecnego ze swoją wielką pałką, który im w niczem nie przeszkadzał. Skończyło się na tem, że jeden z walczących bez zmysłów wyniesiony został. Jest to istotny pojedynek, a pojedynek straszny.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Canterbury, 25 sierpnia rano, 1832.

Times 24 sierpnia zawiera znakomity adres Bawarczyków nadreńskich do króla [2]). Adres ten byłby aktem historycznym, gdyby był przed dwoma wiekami napisany i gdybyśmy nie mieli częstego doświadczenia, iż te warunkowe zaręczenia wierności i prośby są czystemi groźbami, którym poddać się lub niemi wzgardzić równie niebezpieczno. Gdy się ludy tak odzywają, już późno radzić; trzeba było uprzedzić.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Canterbury, 27 (sierpnia 1832).

Trafiłem tu na mieszkanie tak tanie i ciche, że się zatrzymałem kilka dni, by wykończyć niektóre pisma dla Wuja i dla Bacha, między niemi kilka kartek o naszych kobietach; niech tego Bach użyje, jak zechce.»

---

[1]) X. Czartoryska wybierała się do Lwowa i Sieniawy w sprawach majątkowych.

[2]) W tym adresie proszono króla bawarskiego, Ludwika I, o sprzeciwienie się uchwałom sejmu Związku niemieckiego w Frankfurcie z 28 czerwca i 5 lipca 1832, ograniczającym wolność zebrań, druku i prawa zgromadzeń narodowych w poszczególnych państwach Związku.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Dover, 30 sierpnia 1832.

Wczorajszy Times gromi znowu Mikołaja, aż zdrowo czytać i spodziewać się, że takie fakta zagrzmią w całym kraju. Wszystkie dzienniki je powtarzają wiernie [1]. Teraz, gdy gazety puste, pora do podawania tego, co nam służyć może.

Polecam list O'Connella [2], czytany na posiedzeniu unii w Dublinie 24 b m. i wyrazy: «Niech działalność nasza będzie pokojową, prawną, konstytucyjną, ale niech będzie wytrwałą, wyraźnie określoną.» Prawidło to Niemcom należy zalecać. I to: «Nie będziemy z nimi wojowali, będziem się z nimi prawowali [3]». Szczęśliwy jeszcze ten kraj, gdzie do prawa odwołać się można, tam też obowiązek i rozsądek zarówno radzą odwoływać się do prawa cierpliwie i wytrwale. Postępowanie O'Connella jest wzorem dzielności w prowadzeniu ludzi i powinno być pilnie uważane przez tych, którzy podobne cele mają. Bo też nadzwyczajnych rzeczy w tym kraju dokonał, a część sposobów przez niego użytych dałaby się zastosować do każdego kraju, jakkolwiek skrępowanego. Polakom potrzebaby naprzykład nie tracić z uwagi tej siły niezmiernej, jaką daje połączenie sprawy religijnej ze sprawą publiczną. Skłonność nasza do obojętności religijnej bardzo nam szkodzi i zmniejsza naszą siłę.»

---

[1] X. de Talleyrand pisał do x. de Broglie, 7 stycznia 1834: «Lieven bardzo się obawia wrażenia, jakie w Petersburgu sprawiają artykuły wydawane w angielskich i francuskich dziennikach przeciw Rosyi. Mówił, że cesarz jest młody i nieprzywykły do znoszenia podobnych obelg.» (Mémoires du prince de Talleyrand. T. V, str. 301)

[2] Daniel O'Connell (1775—1847), «Oswobodziciel», gorący katolik, wytrwały rzecznik i nieustraszony obrońca uciemiężonej przez protestantów Irlandyi.

[3] We shall not go to war, we shall go to law with them.

Władysław Zamoyski do matki:

«Portsmouth, 7 września 1832.

Społeczeństwo tutejsze zajęte obecnie całkowitem niemal przekształceniem dotychczasowego porządku i wszystko, cośmy tu lubili, to krajowcy sami obalić usiłują; ta okoliczność czyni pobyt w Anglii mniej dzisiaj ciekawym i pouczającym.

Gorączka demokratyczna opanowała znaczną część narodów; ci nawet, którzy nie pragną jej ostatecznych następstw, przyjmują bezmyślnie jej zasady. Spuściwszy lwa z łańcucha, na tem chcą się ograniczyć; nikt nie zdaje się myśleć o tem, jak pokierować tą rozkiełznaną siłą. Pokierowana przez ludzi z sercem i rozumem, mogłaby się stać cudotwórczą, rozwścieklona bierną i martwą opozycyą, musi sprowadzić straszne zniszczenie.

Widziałem dziś tutejsze potężne zakłady wojenne i siły gotowe; bodajby były dzielnie użyte w dobrej sprawie. Ale niema komu tą ogromną bronią władać.»

Wrażenia z wycieczki na wyspę Wight Zamoyski opisał jako ćwiczenie w angielskim języku w liście do swego profesora, pana Mackenzie[1]: «Zwiedziłem wysławianą dla swej piękności wyspę Wight; przynaję, że nie odpowiedziała moim oczekiwaniom. Zdaje mi się, że możnaby na angielskiem wybrzeżu znaleźć niejedną miejscowość mniej wychwalaną, a więcej na pochwały zasługującą. Dowodzi to raz więcej, jak jest potężnym wpływ mody. Wpływ ten zadziwia mnie zawsze w narodzie angielskim, tak z innych względów poważnym. Zarzucają płochość Francuzom, a jednak, zdaje mi się, że moda nigdy takiej władzy nie posiadała we Francyi, jaką dzierży w Anglii. Zdawałoby się, że Anglicy, ciesząc się większą, niż wszystkie inne narody, swobodą polityczną

---

[1]) Późniejszego sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Polski w Londynie.

i osobistą, nakładają sobie dobrowolnie pęta, w innych krajach w tym stopniu nieznane...

Dojechawszy do Cowes, już po odpłynięciu wieczornego statku, a nie chcąc dwunastu godzin czekać na następny, nająłem sobie malutką łódź dla przeprawienia się przez cieśninę do Southampton. Przewoźnikiem i właścicielem łodzi był stary majtek o jednej nodze, drugą zostawił pod Trafalgarem...»

O dalszej swej podróży Zamoyski pisze: «Southampton, śliczna miejscowość. Park w Highclerc u lorda Carnarvon, jeden z najpiękniejszych w tych stronach. Gospodarz staruszek bardzo uprzejmy; od Kościuszki począwszy, wielki przyjaciel Polaków i wielki tory.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Bowood, 19 września 1832.

Jestem tu u lorda Lansdowne z Niemcewiczem, który przepychowi tutejszych domów się dziwi i prawda, że są niemałe [1]). Przed chwilą wchodzi do mego pokoju i woła z zachwytem: «To rzeczy niesłychane! w «w. c.» pomieściłby się nasz kasztelan niejeden»! Niemcewicz tu w okolicy dawniej już bawi i bardzo go kochają i szanują. Tomasz Moore [2]) przybył umyślnie dla poznania go. Człek to maleńki, wiele mówiący i dowcipny, poezye swoje śpiewa przy klawikordzie z wielkim wdziękiem. Swą ojczyznę i jej biedy opiewa z uczuciem, ale widać woli zdaleka o nich śpiewać; całkiem tu żyje.

Są tu dwie młode mężatki, z których każda jedną z sióstr mi przypomina. Serce szuka w omamieniu nawet odetchnienia z tego życia zimnego, na które jest skazane,

---

[1]) Piękność siedziby lorda Lansdowne opisuje Henryk Reeve w listach do E. H. Handley z 8 lipca 1836: «Bowood jest przepełnione dziełami sztuki, góruje tam myśl i poczucie piękna. Nie można sobie wystawić czegoś bardziej uroczego, jak ta siedziba, której przepych służy tylko do uwydatnienia arcydzieł sztuki. Żyjemy tu w towarzystwie Tycyanów, Rembrandtów, Michała Anioła»

[2]) Tomasz Moore (1779—1852), poeta liryczny, rodem z Dublina, mieszkał w Sloperton cottage blizko Bowood.

i z tylu smutnych wspomnień i myśli, które nie przestają zajmować. Niemcewicz i tu znalazł dzieci, którym hołdy składa.

Pisałem do Andrzeja i innych; nic o nich nie wiem i szczerze się turbuję. W tym biednym kraju, kto wie, co kogo spotkać może.

Polityka tu na chwilę jakby usnęła; największa liczba aktorów używa chwili spoczynku, albo w cichości się gotuje do przyszłej walki przy wyborach i w nowym parlamencie.

Pod koniec miesiąca powrócę do Londynu na życie spokojne i tanie, chociaż przed Anglikami prawie wstyd wyznać, że się o tej porze siedzi w Londynie, tak to niemodnie i tak tam ma być ponuro i ciemno. Mnie to życie dosyć dogodzi i czasu tego starać się będę użyć pożytecznie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bowood, 20 września 1832.

Lord Durham wraca (z Petersburga); on i żona mocno znudzeni i niecierpliwi powrotu; listy otaczających go tchną urokiem na ich miłość własną rzuconym. Tu spodziewają się, iż on przecie tak dalece oszukać się nie da. Ja im wciąż mówię, że z Moskwą daremnie się łudzą nadzieją utrzymania pokoju, że najpilniej uważa stan Irlandyi i tam pieniądze posyła etc... Meetingi (w sprawie polskiej) są liczne i dosyć dobre, szczególnie ze względu na osoby, które w nich udział biorą. Merowie (burmistrze) często im przewodniczą, — ale wojny się boją, jak dzieci kominiarza.

Czy Wuj zauważył artykuł z Berlina o projekcie stowarzyszenia królów w celu powolnego, ale pewnego wytępienia zasad liberalnych, zawsze jakby wyradzających się w anarchię? Mam nadzieję, że Palmerstonowie i Spółka, a przynajmniej narody Francyi i Anglii zrozumieją, co to ma znaczyć.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Lawck Abbey, 25 września 1832.

...Za przybyciem d› Londynu pomówię znowu z Bachem o jakiej szkole dla naszych młodych. Ale od rządu ani dla szkoły, ani dla emigrantów, nic podobno nie wskóramy, chyba dorywczo, przypadkiem. Wiedzą, że we Francyi dają wszystkim przytułek, więc też sami ani chcą myśleć o tem. Zresztą mania rządzenia tanim kosztem (cheap government) opanowała tu wszystkie umysły; stanie ona na przeszkodzie niejednemu pożytecznemu dla nich samych przedsięwzięciu. Wszyscy mają głowę zaprzątniętą długiem państwowym i pozatem nic nie widzą, a nasi liberalni przyjaciele bardziej jeszcze od innych.»

Stosunkowy wypoczynek podróży zatruwały Zamoyskiemu wiadomości, dochodzące go raz po raz z Paryża, o istnej zarazie kłótni, nieporozumień, wzajemnych posądzeń i oskarżeń, jaka się tam wśród emigracyi szerzyła. Szukając przyczyny takiego stanu rzeczy, mawiał on, że, «Polacy są jakby dzieci wobec zamordowanej matki, które w swej rozpaczy jedne drugim zarzucają, że nie uczyniły, co należy, by ją uratować». W istocie oskarżenia odnosiły się przedewszystkiem do świeżo minionej przeszłości. Między innemi, ukazał się w druku, ogłoszony przez Michała Podczaszyńskiego wyjątek z dziennika korpusu jen. Różyckiego, a w nim nagana, tycząca się korpusu Ramoriny. Zamoyski pisał z tego powodu do xięcia, 27 sierpnia 1832: «Niech Wuj Różyckiego namówi, by nie opowiadał, nie pisał i nie kazał pisać rzeczy ujemnych o Ramorinie i jego doradcy, póki nie wysłucha jednego lub drugiego. W czasopiśmie Podczaszyńskiego [1]) są oskarżenia tego rodzaju całkiem nieuzasadnione i, jak mi się zdaje, szkodliwe. Przypuszczam, że Różycki nie jest temu obcy.»

[1]) Pamiętnik emigracyi.

W innym liście do niewiadomej osoby, bez daty, Zamoyski mówi: «Wojny opisywać nie należy, nie wyświetliwszy wprzódy wszystkich odnoszących się do niej okoliczności; nie godzi się rzucać bezpodstawnych podejrzeń. Prawda, że ojczyzna cierpi na każdem uchybieniu tych, co jej są winni poświęcenie bez zastrzeżeń, ale i nieuzasadnione zarzuty szkodzą sprawie naszej świętej.»

O oszczerstwach osobiście na niego miotanych innego był zdania, upatrywał w nich możliwą dla siebie korzyść.

«Rodacy mówią o mnie i drukują», pisał do matki, «jakoby postępowanie moje w ostatnich wypadkach było podejrzane. Czy myśli Matka, że im to biorę za złe? Bynajmniej. Żalu ku nim nie dopuszczam do serca. Sumienie mnie uspakaja i mówi, że prędzej czy później prawda się okaże. Tym, co mnie potępiają, zawdzięczam, że chwilowych moich zasług sobie nie przesadzam; oni mi uczuć dają, że ciągle pracować trzeba i nie liczyć na trwałość miłej sławy. A jakążby ta sława mogła być nagrodą, gdyby jej nie towarzyszyło świadectwo własnego sumienia, świadectwo droższe nad wszelkie inne, a nie mniej trudne do zdobycia i do zachowania...»

Skądinąd jednak Zamoyski uważał, że, oczerniając ludzi, którzyby jeszcze dla kraju pracować i krajowi służyć mogli, pozbawiając ich szacunku i zaufania, pozbawia się ich tem samem możności skutecznego służenia rodakom i krajowi. W nieporozumieniach emigracyjnych i wzajemnych oskarżeniach widział coś gorszego jeszcze, niż osobiste krzywdy i zniewagi, widział zarodki zawiści i niezgody, zagrażające przyszłości kraju. Obawiał się w szczególny sposób, by x. Adam nie stał się ich ofiarą, a tak, by Polska nie pozbawiła się samochcąc wpływu człowieka, który, jego zdaniem, sam w swojej osobie był jakoby żyjącym sztandarem ojczyzny, tym jednym, którego głos miał jeszcze jakie takie posłuchanie w sprawie polskiej. To też z niepokojem żegnał w Dover odjeżdżającego do Paryża wuja, a przez cały czas podróży po Anglii mocno

był zajęty myślą o stanowisku, jakie xiążę zajmie wobec zamierzonego wśród emigracyi wznowienia władzy narodowej polskiej w Paryżu. Bał się, by xiążę, ze zwykłą sobie wyrozumiałością na cudze poglądy i wymagania, nie dał się wyzyskiwać przez to lub owo stronnictwo.

Zapatrywania swe na działalność polityczną, do jakiej ówczesny stan rzeczy zdawał się powoływać xięcia, wyraził Zamoyski w kilku ówczesnych listach[1]). Błagał w nich wuja, by «z góry oświadczył, że nie przyjmie udziału w rządzie za granicą ustanowionym», gdyż, ponosząc trudy do władzy przywiązane, byłby jednak pozbawiony wszelkich środków do sprawowania jej. «Śmiesznem byłoby widzieć Wuja na czele jakiegoś urojonego rządu. Działanie jego powinno zostać tem, czem jest samo przez się, oparte na wpływie moralnym; wybory, mandaty, mniemane urzędy pozbawiłyby go tej istotnej siły, nic mu nie dodając. I bez mandatu Wuj nie ma sobie równego; gdyby zaś mandat przyjął, każdy dziennikarz uważać go będzie za swego mandataryusza, odpowiedzialnego nie tylko przed narodem i przed wyborcami, ale bezpośrednio przed nim. Przepraszam, ale lękam się, że tęgość bezwzględna, którejby teraz potrzeba w Paryżu, nie jest w charakterze Wuja, który owszem życzyłby przekonaniem i dobrocią ludzi prowadzić.

Nakoniec i tego się lękam, by Wuj nie dał się rozgoryczyć przeciwko tym, którym długo ulegał z uszczerbkiem dla sprawy, czego dziś żałuje. Gorycz nie dozwala wytrwać na raz obranej drodze.

Jeżelim dobrze zrozumiał lakoniczny, choć długi list Sienkiewicza, poszły wezwania na sejm do członków i to w imieniu xięcia, choć zarazem z wyrażeniem zdania jego przeciw temu zebraniu[2]). Byłoby to powtórzeniem

---

[1]) Z 25 sierpnia, 25 września, 10 października 1832.

[2]) Izby senatorska i poselska w Warszawie ogłosiły w dniach 19 i 20 lutego 1831 sejm za nieustający i uchwaliły, że równie w kraju jak za granicą obradować może, byle się zebrało co najmniej trzydziestu

kroku, którym (w czasie powstania), po potępieniu formy rządu, Wuj zgodził się na wzięcie w nim udziału. Dla tego jednego żałuję, że Wuj pojechał do Paryża. Dał się Wuj unicestwić podczas powstania i stracony był dla służby kraju; kilka miesięcy odosobnienia i samodzielnej pracy, niezależnej od wszelkiej pomocy i wszelkiego mandatu, wystarczyło, by Wuj wypłynął na nowo. Czy to nie wskazówka, co mu czynić wypada i jakiej trzymać się drogi: działać samodzielnie, działać silnie, o ile potrzeba jawnie; niech za Wujem idzie, kto chce. Wołać za sobą, przemawiać, ale uwag nie przyjmować, jak tylko w cztery oczy, aby tyle tylko z nich korzystać, ile się uważa, że warto. O ile mi się zdaje, takim duchem powinien się Wuj kierować na swojem stanowisku. Ile razy Wuj tak iść będziesz za własnem przekonaniem, proszę na mnie liczyć, jako na swe najgorliwsze narzędzie.

Moja gorliwość wówczas w niektórych szczegółach pójdzie może dalej nawet, niż moje przekonanie, bo pragnę jedności władzy a nie marzę dlatego o jej doskonałości. Ludzie nie rozumieją, że lepiej dwadzieścia razy pomylić się w wyborze człowieka, któremu się tak wielką odpowiedzialność porucza, zachowując możność jeszcze jednego

---

trzech członków. Na mocy tej uchwały, niektórzy posłowie od przybycia na emigracyę pragnęli zwołania sejmu, ale prawem ustanowiona liczba posłów znalazła się w Paryżu dopiero w styczniu 1833. Nie wszyscy jednak posłowie uznawali potrzebę obrad sejmowych. Jedenastu podpisało w styczniu 1833 motywowaną protestacyę przeciw otwarciu sejmu. Opierali się na tem, że prawo ustanowiło, iż sejm w każdem położeniu obradować może, nie zaś że obradować musi. Powoływali się także na ustawę 3 maja, która w paragrafie szóstym nazywa sejm nieustający sejmem gotowym. Dowodzili, że, gdyby okazała się istotna potrzeba zwołania sejmu, zawsze gotowi będą. Wskutek usunięcia się mniejszości, zabrakło wymaganej liczby posłów i sejm obradować nie mógł. Do członków przeciwnych obradom sejmowym należeli: x. Czartoryski, Ludwik Plater, Ludwik Pac, Gustaw Małachowski, Bonawentura Niemojowski, Teodor Morawski, Aloizy Biernacki, Kalikst Morozewicz, Stanisław Barzykowski, Józef Świrski i Józef Kaszyc

a lepszego wyboru, niż przystać na rząd zbiorowy, który uniemożliwia działalność naraz umiejętną i silną, a ubezwładnia i zużywa zdolności tych, co do niego należą.»

Zamoyski wyrażał jednak pragnienie, żeby się zebrało potrosze wkoło i pod kierunkiem xięcia grono wybitnych ludzi różnych opinii dla wspólnej pracy. Uważał, że do takiego grona należeć powinni: «Hoffmanowie, mąż i żona[1]), byle nadto nie podsycać już i tak sporej zarozumiałości pana, Morawski[2]), Barzykowski[3]), Sienkiewicz[4])».

«Myśl Sienkiewicza zawiązania konfederacyi podoba mi się», pisał, «bo podaje środek do rozpoczęcia natychmiast działania w kilka osób. Kto wie, czy nie ta myśl właśnie odpowiada obecnej potrzebie. Trzebaby ją silnie rozważyć, uzasadnić, a potem, jeśli dobra, szybko rozpocząć. Poprzednio o niej milczeć, nikogo się nie radzić. Rada bywa zdradą w takich razach. Dembiński[5]) byłby wziął za łeb Kruka[6]) i Lelewela[7]), gdyby się nie był poradził Nakwaskiego[8]). Do rzeczy zaczętej wnet przyłączy

---

[1]) Karol Hoffman (1798—1875), prawnik, publicysta, historyk zasłużony, w 1828 zaślubił Klementynę Tańską (1798—1845). Na wychodźtwie był jednym z redaktorów Kroniki emigracyi polskiej, 1834—1839.

[2]) Teodor Morawski (1797—1879), minister spraw zagranicznych od 20 sierpnia do 7 września 1831; na emigracyi napisał «Dzieje narodu polskiego».

[3]) Stanisław Barzykowski (1792—1872), członek Rządu Narodowego do spraw wojskowych od 31 stycznia do 17 sierpnia 1831; na emigracyi wiceprezes Towarzystwa literackiego polskiego po Ludwiku Platerze.

[4]) Karol Sienkiewicz (1792—1859), bibliotekarz w Puławach, na emigracyi sekretarz x. Adama.

[5]) Jenerał Henryk Dembiński (1791—1864), wódz naczelny od 10 do 16 sierpnia 1831.

[6]) Jenerał Jan Krukowiecki (1769—1850), prezes Rządu Narodowego od 17 sierpnia do 8 września 1831.

[7]) Joachim Lelewel (1782 - 1862), na emigracyi prezes «Komitetu narodowego stałego» od 15 grudnia 1831 do 25 grudnia 1832.

[8]) Henryk Nakwaski (1800—1876), poseł bracławski w 1831, publicysta. Mowa tu zapewne o niedoszłym zamiarze jen. Dembińskiego

się wielu... Wuj działać i przemawiać powinieneś, jak człowiek pewien, że inni za nim pójdą. Co do mnie, nie mogę mieszać się do tego, co nasi robią w Paryżu, nie mam ani dość jasnego sądu o tem, ani powagi.»

Oprócz powyższych listów pozostała z tego czasu krótka notatka Zamoyskiego, przeznaczona prawdopodobnie dla x. Adama:

«11 sierpnia 1832.

Naród rozbity, nie istniejący politycznie, dobijający się o niepodległość, potrzebuje dwóch warunków: ogólnego poświęcenia wszystkich z odsunięciem widoków osobistych i człowieka jednego, umiejącego i chcącego swoim rozumem i swoją duszą użyć tego ogólnego poświęcenia. Dopóki człowiek ten się nie zjawi, naród nie ocaleje. Żadne grono zastąpić go nie zdoła.»

Gdy Zamoyski w początkach października wrócił do Londynu, polityka już się tam budziła, ministrowie codziennie na rady się zbierali, choć jeszcze co noc wracali na wieś. Świeży powrót lorda Durham z Petersburga był obfitym przedmiotem do rozmów dyplomatycznych.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«10 października 1832.

O lordzie Durham słychać, iż przekonany: 1. że zrobił wrażenie i pogodził po części cesarza (Mikołaja) z whigami; 2. że pokazał, iż związek Anglii z Francyą jest niezachwiany i postanowienie tych dwóch rządów mocne upierania się przy prawach Polski na podstawie traktatu wiedeńskiego; 3. że Pozzo di Borgo[1]) pojechał

ujęcia w swe ręce dyktatury, nazajutrz po morderstwach 15 sierpnia 1831, i o radzie danej mu przez Nakwaskiego, że by tego nie czynił bez upoważnienia izb sejmowych.

[1]) Karol Andrzej hr. Pozzo di Borgo (1764—1842), Korsykanin, adwokat, ajent dyplomatyczny kolejno Anglii, Prus i Austryi, a od 1803, za poparciem x. Adama, Moskwy. Z jego to namowy wojska

do Metternicha, żeby go do whigów nakłonić i pokój ustalić. Jeżeli takie jego mniemanie rzeczywiście, to mała z niego nadzieja.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«(Paryż), 23 października 1832.

Widziałem się znowu z posłem wyspiarskim (lordem Granville), badałem go o Durhamie, mówiłem, żem bardzo ciekawy, czy też co powiedział o nas, co mówił i co odpowiedziano. Na te zapytania, wyłupił oczy, «vox faucibus haesit[1])», i tak został, jakby chciał i nie chciał coś wyrzec, jakby wahał się, czy można się zwierzyć. Aby przerwać milczenie, poddałem to, coś mi napisał, że pielgrzym (Durham) oświadczył (w Petersburgu), że istnieje stały związek dwóch mocarstw (Francyi i Anglii) i że oba nigdy nie przyznają stanu naszego, przeciwnego traktatom. Przyznał to i dodał, że sprawę naszą uważać należy za nie skończoną. Więcej nie mogłem z niego wydobyć, ale z tego wnoszę, że Durham musiał o nas mówić. Trzeba, żebyś się z nim poznał i do gruntu rzeczy starał się dojść. Zapomniałem nadmienić, że posłannik wyspy w dwóch rozmowach powtarzał mi frazesa, że dla mnie osobiście wiele zapewne zrobią, że mają wiele ufności, usłuchają zdania i t. p.»

Nie udało się jednak Zamoyskiemu dotrzeć do lorda Durham. Poseł kazał mu tylko powiedzieć, że widział w Petersburgu brata jego, Jana i podjął się listu od niego do xięcia. List ten zawiózł xięciu lord Lansdowne, udający się do Paryża w sprawach swego rządu.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«21 października 1832.

Lord Lansdowne obiecał mi Wuja szukać i widzieć w Paryżu. Proszę mu podziękować za grzeczność mi

---

sprzymierzonych wtargnęły do Paryża 1814. Po kongresie wiedeńskim poseł moskiewski w Paryżu, a od 1835 w Londynie; w 1839 wycofał się z życia publicznego i osiadł na stałe w Paryżu.

[1]) Głos uwiązł mu w gardle.

okazaną, choć zawsze po krajowemu nad wyraz zimną... Każdy Anglik, mający jakąkolwiek styczność z rządem, jest zakłopotany, gdy z Polakiem gada. Czują się poczęści odpowiedzialni za nasze nieszczęścia. Z takiem znudzeniem pytają o wiadomości z Polski, że się odpowiedź ogranicza do najkrótszych słów; mówię o salonowem towarzystwie [1]).

W Glasgow znowu się zawiązało Towarzystwo polskie, trzecie. Wpływ będzie dobry na Szkocyę, ale do Hull i Glasgow potrzebaby po jednym Polaku rozsądnym i wykształconym, któryby przy nich osiadł...

Rząd francuski zabronił odtąd wydawać paszportów naszym nieborakom do Francyi. Proszę Wuja otrzymać, jeżeli podobna, odwołanie zakazu, bo gdzież się podzieją?»

Tę ostatnią sprawę przyszło x. Adamowi omówić z nowem ministeryum, które się w Paryżu zawiązało, 11 października 1832. Prezesem mianowany został minister wojny, marszałek Soult [2]), ministrem spraw zewnętrznych x. de Broglie; z tymi dwoma ministrami mieli wychodźcy polscy najczęściej do czynienia [3]).

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 23 października 1832.

Widziałem się z (nowym) zawiadowcą spraw zewnętrznych; wiesz, że bywał u nas. Przyjął mnie z wielką uprzejmością, ale z westchnieniem niemocy. Obiecał, że wszyst-

---

[1]) Na te uwagi x. Adam odpisał (28 października 1832): «Znaki uprzejmości, które często znikają, nie są rzeczą dziwną. Ja także tego doświadczam, nie wiem, czy między wyższymi jedną osobę mógłbym wymienić, na której szczerą przychylność mogę liczyć. Ta gorycz jest do naszego położenia przywiązana. Mnie bardzo już ciężko być zawsze suplikantem i pukać, gdzie nie otwierają. Radbym odpocząć przez pół roku, — wszelako przestawać nie należy.»

[2]) Mikołaj Soult, x. Dalmacyi (1769—1856), marszałek francuski 1804, za Ludwika Filipa kilkakrotnie minister wojny i prezes ministrów.

[3]) Do 1 kwietnia 1833 wojskowi polscy we Francyi podlegali ministrowi wojny, od tej pory ministrowi spraw wewnętrznych.

ko uczyni, co tylko można, dla naszej sprawy, dla kraju, do którgo osobiście przywiązany. Z prawdziwem uczuciem oświadczył, że Francya nigdy nie uzna, ani potwierdzi teraźniejszego stanu Polski i że nigdy nam nadziei tracić nie należy. Prosił, żeby dać mu na piśmie punkty, na których teraz legalnie wstawiać się (za nami) i sprzeciwiać się (Moskwie) można i w czemby naszej emigracyi pomódz. Jest to zacny i na wskroś uczciwy człowiek, ale sumiennie przeciwny wojnie powszechnej, a tak lojalny i skrupulatny, że go zbójcy i filuty koniecznie oszwabią...[1]) Nowy prezes wręcz przeciwnych jest właściwości. Nie wie o niczem, tylko, jak podług dawnego mistrza (Napoleona I) ludzi buławą popędzać i to jedno umie dobrze. Nas nie cierpi, nie może strawić oporu naszych służenia za Śród-

---

[1]) Stanowisko xięcia de Broglie wobec sprawy polskiej poznać można najlepiej z listu jego do barona de Barante, posła w Petersburgu, z 16 października 1835: «Mimo całej wagi, jaką przywiązujemy do sprawy wschodniej, nie jest ona najdrażliwszą między Francyą a Rosyą; sprawa polska o wiele więcej się przyczyniła do oziębienia stosunków między obydwoma państwami i do rozdrażnienia cesarza Mikołaja przeciw nam. Wiadome jest umiarkowanie nasze w tej sprawie, wobec której nie mogliśmy pozostać obojętni. Gdy walka trwała jeszcze, obietnice łaskawości, uczynione panu de Mortemart, nastręczyły nam to umiarkowanie; odtąd bolesne doświadczenie przekonało nas, że wszelkie wstawiennictwo jątrzy tylko nieubłaganego zwycięzcę i że samo poczucie ludzkości nakazuje nam milczenie, jakkolwiek ono przykre. Raz jeden tylko «Moniteur» wypowiedział wrażenie, jakie nam sprawia gospodarka cara w Polsce; zmusiła nas do tego «Gazeta Petersburska» urzędowa, dowodząc, że istnienie odrębne narodu polskiego jest obce polityce ogólnej i zależne jedynie od Rosyi. Nie zwalczać podobnego twierdzenia byłoby mu potakiwać, musieliśmy temu zaprzeczyć. Dziś, gdy samo imię Polski, wymówione zwłaszcza przez francuskie usta, wywołuje wzburzenie w Rosyi, nie pora poruszać tę sprawę z gabinetem cesarskim... Nie potrzebuję dodawać, że, gdyby jakim pomyślnym zbiegiem okoliczności, nadarzyła się Panu sposobność przyjścia w pomoc nieszczęsnej Polsce, a choćby tylko jednemu z jej synów, powinieneś Pan skwapliwie z tego korzystać.»

ziemnem morzem[1])... Tułacze nasi wiele popsuli, wiele brużdżą, czy się poprawią, niewiadomo.»

Na zapytanie x. de Broglie, coby można uczynić dla przyniesienia ulgi polskim wychodźcom, x. Adam wręczył mu memoryał, w którym prosił:

1. O użycie naszych wojskowych gdziekolwiek się toczy walka o niepodległość.
2. O zarobek dla tych, co pozostaną we Francyi, ażeby ich ustrzedz od pijaństwa i żebraniny.
3. O umieszczanie młodych po szkołach.
4. O ustanowienie jakiejś władzy polskiej, pośredniczącej między rządem a wychodźcami i mogącej na ogół wpływać.
5. O opiekę nad żołnierzami, będącymi w Prusach i Galicyi.

O pierwszem z tych życzeń Zamoyski pisał w wiele lat później:

«Jedną z najbardziej naglących trosk x. Adama i jego współpracowników za granicą było obmyślanie zajęcia dla kilkotysięcznej emigracyi, ile być może wspólnego i łącznego; a że w jej liczbie przemagał żywioł wojskowy, że żyła pamięć byłych polskich legionów, stąd

---

[1]) Prusacy, chcąc pozbyć się żołnierzy polskich z 1831 r., czterystu kilkudziesięciu z nich wyprawili morzem z Gdańska do Francyi (w czerwcu 1832), jako «skompromitowanych». Konsul francuski wydał wszystkim paszporty do Bordeaux, ale, wchodząc w myśl Prusaków, ostrzegł zarazem rząd swój, że to są ludzie niesforni i niebezpieczni. Wobec tego rząd francuski postanowił nie dopuścić ich do wylądowania we Francyi, tylko wyprawić wprost do Algieru i tam wcielić do legii zagranicznej. Gdy żołnierze polscy sprzeciwili się przymusowemu wysłaniu ich do Algieru, wysadzono ich (w sierpniu 1832) na wyspę Aix, następnie przeniesiono na wyspę Oléron. Przez kilka miesięcy los ich pozostawał w zawieszeniu. Dopiero w grudniu 1832 rząd francuski odwołał swoje postanowienie i pozwolił im osiedlić się we Francyi.

usiłowania, by utworzyć polski legion, jakby straż honorową dla narodowej chorągwi.»

Pierwszą sposobność do pracy nad urzeczywistnieniem tego zamiaru podał Polakom hr. Palmella, pełnomocnik portugalski w Anglii, pragnący, za ich pomocą, powiększyć wojsko don Pedry, walczące przeciw don Miguelowi[1]).

Zdaje się, że to rozprawy o Polsce w parlamencie angielskim zwróciły uwagę Palmelli na Polaków, gdyż najwcześniejsza wzmianka o zamiarze utworzenia legii polskiej w służbie Portugalii znajduje się w liście Zamoyskiego do xięcia nazajutrz po rozprawach nad wnioskiem Evansa.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 9 sierpnia 1832.

Widziałem p. Palmella i załączam list jego. Propozycya jego jest: uformować legię polską z nazwiskiem, znakami i komendą polską. Don Pedro pragnie zaciągnąć sześćset do trzech tysięcy ludzi... Nie sądzę, by do tego wielką wagę lub nadzieję przywiązywać można, lecz zdaje mi się, że dla potrzebujących umieszczenia, a życzących nabycia znajomości wojny, sposobność dobra, przyzwoita. Powiedziałem o warunku zabezpieczającym opuszczenie tej

---

[1]) Don Pedro (1798—1834), cesarz brazylijski, odziedziczywszy po ojcu tron portugalski, zrzekł się go, po nadaniu Portugalii liberalnej konstytucyi, na rzecz swej małoletniej córki, dona Maryi da Gloria, 1827. Regencyę powierzył bratu swemu, don Miguelowi. Don Miguel, przy pomocy zwolenników absolutyzmu, tron zagarnął; wywiązała się stąd sześcioletnia walka, zakończona wypędzeniem don Miguela z Portugalii w 1833.

Lord Carnarvon, który się znajdował w Lizbonie, niedługo po uzurpacyi don Miguela, świadczy, że przeszło czterdzieści pięć tysięcy rodzin zostało przez despotę skazanych, czy to na uwięzienie czy na wygnanie; dwadzieścia tysięcy majątków było skonfiskowanych, a okrucieństwa i srogości dokonane w Portugalii przewyższały w stosunku do ilości mieszkańców okropności rewolucyi francuskiej za czasów Robespierre'a. (W. Z.)

służby w razie, gdyby ojczyzna wołała. Ofiarował na to, by co sześć miesięcy legii całej i każdemu (z osobna) wolno było opuścić (Portugalię), co pociąga za sobą przewiezienie na miejsce żądane, jakiebądź w Europie. Sądzę, iż Wuj może wysłuchać propozycyi w imieniu dona Maryi czynionych. Trudność zajdzie znowu od rządu francuskiego za prośbą Moskwy.»

W innych listach Zamoyski prosi xięcia, by tłomaczył rodakom, iż warto kosztem własnej krwi utrzymywać na obczyźnie korpus gotowy na usługi Polski; wyraża jednak obawę, że «nasi politycy paryscy uważać będą, iż lepiej, by nam krew w żyłach skrzepła, niżby się miała wylać z pożytkiem».

W tejże sprawie pisze do xięcia, 16 sierpnia 1832:

«Udało mi się dziś rano widzieć lorda Palmerston; zaciąg batalionu polskiego w Oporto pochwalił, za don Pedrem wyraźną oświadczył nadzieję, mówiąc, że chodzi tu o ogólną sprawę wolności; radził zawczasu zabezpieczyć istnienie polskiego korpusu po skończonej wojnie.» Na zapytanie, czy Moskwa nie zmusi don Pedry do rozwiązania legii w chwili zawarcia pokoju, Palmerston odpowiedział, że Moskwa nie zdoła przeszkodzić temu, na co Anglia zezwala, i obiecał poprzeć u rządu francuskiego zachody x. Adama.

Na dowódcę legii najodpowiedniejszy wydawał się Zamoyskiemu Chrzanowski[1]; x. Adam myślał o Umińskim[2], o którym pisze, że «stał się rozsądnym». Na to Zamoyski odpowiada: «Ten przydomek do niego się nie nadaje; o ile znam Umińskiego, przybiera on pozory rozsądku, kiedy, chcąc kogo w pole wywieść, nie ma odwagi na wyjawienie swoich zamiarów, nie przekonań, bo sądzę, że tych nie posiada. Ale może Wuj chciał powiedzieć, że uważa, iż Umiński jest mniej zuchwały, czy też więcej uległy i że w szczerość tych

---

[1]) Jenerał Wojciech Chrzanowski (1788—1861).

[2]) Jenerał Jan Nepomucen Umiński (1780—1851).

objawów nie wierzy. W takim razie przepraszam za złośliwą uwagę[1].»

Dnia 28 września 1832, x. Adam spisał z portugalskim dyplomatą Almeidą warunki, na jakich zaciąg legii polskiej mógłby przyść do skutku. Zamoyski czyni o tej umowie tylko krótką uwagę: «Projekt konwencyi z don Pedrem wcale mnie nie zadawalnia. Miłość własna na stronę, zdaje mi się, że z moich notatek można było wyprowadzić coś mniej obfitego w nieokreślone obietnice i zastrzeżenia, a bardziej dobitnego i praktycznego.»

Niektórzy wychodźcy, nie czekając wyniku układów z portugalskim rządem, pojedyńczo zaciągali się do wojska dona Maryi. Zamoyski, przesyłając x. Adamowi wiadomości, jakie od nich z Portugalii odbierał, pisze[2]: «O stanie wojska źle mówią. Wstrząśnij Wuj sumienie Almeidy co do zupełnego braku organizacyi wojskowej; bez niej nie zwyciężą. Jedni i ci sami ludzie przy równem uzbrojeniu i równych funduszach, według tego, czy mają organizacyę lub nie, są wojskiem lub stadem. Nic też nie obala zaufania cudzoziemców, jak brak organizacyi, który jest brakiem porządku... Wiadomość, jakoby Lelewel był znowu teraz za wyprawą naszych do Oporto, nie zmniejsza mojej niechęci ku tej wyprawie... Jako warunek pierwszy żądałbym, by rządy francuski i angielski wyraźnie tę rzecz same popierały tak, iżby niewątpliwem stało się powodzenie don Pedry. Brakuje tam nie tylko pieniędzy, ale nadewszystko głowy i głów...

---

[1]) Z czasem Zamoyski zmienił nieco zapatrywanie swoje co do Umińskiego. W jednym z późniejszych listów pisał do xięcia: «Umiński przy tysiącznych niedorzecznościach ma jednak tę zasługę, że zerwał z najgorszymi pośród nas. Cokolwiek można mu zarzucać ze względów czy to publicznych czy prywatnych, nie powinniśmy mu ubliżać i zmuszać poniekąd, by się wrócił do nieprzyjaznego obozu. Jeżeli za pomocą pewnych względów z naszej strony ludzie sobie wyobrażają, że on z nami trzyma, lepsze to, jak wieczne kłótnie, tak dla sprawy szkodliwe.»

[2]) Listy z 24 listopada, 23 i 30 grudnia 1832 i 7 stycznia 1833.

Moszyński nieborak zginął. To już drugi... Michałowski z czterech, mojem staraniem i kosztem wyprawionych, jeden tam pozostał. Służy jako żołnierz w szeregu u guidów, których jest sześćdziesięciu samych oficerów na koniach i mułach. Postanowił wytrwać tam do końca raczej, niż żebrać. Z dwóch batalionów francuskich jeden, który się odznaczył wieksząą odwagą, otrzymał nazwę Polaków. Zasiłki w ludziach ciągle z Anglii przybywają, lecz pieniędzy doczekać się nie mogą i żywności brak.»

Sprawa legii nie posuwała się naprzód. «Nasi przeszkadzają», pisał xiążę, «Almeida nie ma pieniędzy, ale główna wina ciąży na rządzie francuskim: rozlazły, waha się, niezręczny.»

Inna jeszcze okoliczność wpłynęła wówczas na to, że nawet tym z pośród Polaków, którzy pragnęli utworzenia zaciągu polskiego w Portugalii, rzecz wydała się na razie mniej pożądaną. Pod koniec 1832 roku zdawało się, że tuż pod okiem wychodźców w Belgii, rozpali się wojna, do której wciągnięte będzie jedno przynajmniej z państw zaborczych, Prusy. Xiążę uważał, że «w takim razie lepiejby było do bliżej nas dotyczącej wojny należeć[1])», a, sądząc, że siostrzeniec zechce wziąć w niej udział, zawezwał go, dla porozumienia się z nim, do Paryża.

Władysław Zamoyski do brata, Andrzeja:

«24 listopada 1832.

Nie pożegnałem Anglii na zawsze; tam chcę mieć mój punkt oparcia, moje schronienie do lepszych czasów. Kilka miesięcy, w tym kraju przebytych, dziwnie mnie do niego przyzwyczaiło i przywiązało. Zdaje mi się, że mam tu szczerych przyjaciół. Osobliwsi to przecież ludzie. Nie na jednego narzekałem w duszy, że tak są zimni, obojętni, gdy okoliczność niespodziana dała mi poznać w tychże samych ludziach dowody nader pochlebnej nieraz życzliwości. Powiedzieć nie mogę, bym się tam wielu

[1]) Rokowania z Portugalią podjęto ponownie w 1833 roku.

wyraźnych rzeczy nauczył, ale, żyjąc z tymi ludźmi, czułem, że mi się umysł z wielu miar rozwija.»

Jedna wszakże okoliczność uczyniła dla Zamoyskiego bolesnym ten pierwszy pobyt w Anglii: wiedział, że ojciec gani pracę, jaką tam podejmował. Ordynat w istocie obawiał się, by imię syna wmieszane, obok imienia xięcia, do głośnych na całą Europę rozpraw parlamentarnych o Polsce, nie ściągnęło gniewu Mikołaja na pozostałych w kraju członków rodziny. To też nieraz w przykry sposób wymawiał synowi, że nie tylko sobie zamyka raz na zawsze drogę do kraju, ale i braciom szkodzi.

Władysław Zamoyski do matki:

(listopad 1832.)

«Moja Matko droga, dobre słowo od ojca nigdy mi pożądańszem nie było. Serce mi się ściska, gdy wspomnę, jak surowo ojciec mnie sądzi. Tłomaczyć się niepodobna. Całem mojem życzeniem, by skutki mego postępowania spadły na mnie jedynie. Proszę go o jedno tylko, niech wierzy mojemu niezmiernemu przywiązaniu. Niech zrozumie jednakże, że to przywiązanie, jak jest najmilsze sercu memu, tak znowu ustępuje zawsze, gdzie obowiązek przemawia, obowiązek święty dla mnie, całe życie, całą istotę moją obejmujący. Niech to przebaczyć mi raczy, że ojczyzna dla mnie zawsze pierwsza, nie dlatego, abym cokolwiek kochał bardziej, niż rodziców, ale, gdy obowiązki się krzyżują, ojczyźnie zawsze daję pierwszeństwo, tej ojczyźnie, która, choć niby martwa dzisiaj, przedstawia mi się pod tysiącznemi cząstkowemi obowiązkami, z których każdy równie święty, równie pilny dla mnie, jak powód i cel, z którym się wiąże.

Wyczytałem w liście z Wiednia, że biednemu ojcu włosy zupełnie zbielały. Czy to prawda? Mój Boże, ileż to on zmartwień przebył, odkąd go widziałem. Powtarzaj, Matko droga, ojcu, że jabym chętnie wszystko na świecie poświęcił, byle życzliwość jego pozyskać. Widzę, że stosunki z wujem stoją na przeszkodzie, ale oprócz niezli-

czonych korzyści, które z tego dla mnie wynikają, byłoby prawdziwą niewdzięcznością i okrucieństwem usuwać się od niego, gdy jest sam jeden, jakby od wszystkich opuszczony, gdy moje przywiązanie jest nieraz ulgą dla niego. Co zaś do polityki, ja bardzo często niezależnie i odrębnie od wuja postępuję. Przywiązanie moje do niego i wszystko, co ono nastręcza, zdaje mi się obowiązkiem nieodzownym, a jak raz rzecz jaka przedstawia mi się jako obowiązek, to nie wiem, jakbym się mógł od niej uchylić. Ściskam i kocham Matkę moją z duszy.»

II

PARYŻ. — ANTWERPIA. — BRUXELLA

LISTOPAD 1832 — KWIECIEŃ 1833

«Wraz z zamknięciem parlamentu angielskiego sprawa Belgii zwróciła powszechną na siebie uwagę. Sprawa ta już od roku była przedmiotem obrad państw europejskich, głównie Francyi i Anglii, które co kilka miesięcy głosiły tak zwane protokóły toczących się w tej sprawie konferencyi dyplomatycznych w Londynie.

Wiadomo, że Belgia we wrześniu 1830 roku, za przykładem Francyi lipcowej, porwała się do broni przeciw narzuconemu jej w 1815 roku berłu króla holenderskiego[1]), wyparła z kraju wojsko jego i obrała sobie króla w osobie x. Leopolda sasko-koburskiego[2]). Gdy Holendrzy opuszczali Belgię, pozostała w ich ręku mocno obwarowana twierdza antwerpska. Pod dniem 15 listopada 1831 roku stanęła między Francyą a Anglią umowa, że król holenderski zaproszony będzie do ustąpienia i z tej cytadeli, której armaty trzymały wielkie, handlowe miasto Antwerpię, bogate w zabytki sztuki, a znajdujące się w granicach przez konferencyę dla Belgii zakreślonych, pod ciągłą groźbą zniszczenia. W razie zaś, gdyby Ho-

[1]) Wilhelm I (1772—1843), król niderlandzki 1815—1840.

[2]) Leopold I (1790—1865), trzeci syn x. Franciszka sasko-koburskiego, jenerał w służbie moskiewskiej 1805—1815, król Belgów od 1831.

5*

lendrzy nie ustąpili dobrowolnie z cytadeli, miała ich do tego zmusić, za zgodą Anglii, zbrojna interwencya Francyi. Wprawdzie protokół londyński zastrzegł, że wojsko belgijskie pozostanie świadkiem nieczynnym tej egzekucyi, ale nie należały do tego protokółu państwa niemieckie, mianowicie sąsiednie, a młodej Belgii nieżyczliwe, Prusy. Przypuszczano, że wojsko pruskie zechce wkroczyć na ziemię belgijską; w takim razie mogły nastąpić zawikłania ogólniejsze. Wiedziałem, że król Leopold, chcąc zaopatrzyć tworzące się wojsko belgijskie w doświadczonych oficerów, wezwał takowych ze świeżo przybyłej do Francyi emigracyi polskiej[1]). Skoro doszła wiadomość, że się król holenderski upiera i że armia francuska rugować będzie z Antwerpii garnizon holenderski, pospieszyłem na Paryż do Bruxelli.

W Paryżu czekała mnie niezakończona z Ledóchowskim sprawa. Rana jego okazała się lekką; po trzech miesiącach był zdrów zupełnie, mogłem więc śmiało raz jeszcze upomnieć się o wyrządzoną przez niego ojcu mojemu krzywdę. Mój przyjaciel, jen. Mycielski, zaniósł mu powtórne żądanie moje, aby pismem do mnie zaadresowanem kategorycznie oświadczył, że cokolwiekbądź sądzi o postępowaniu politycznem mego ojca, w niczem nie myśli ubliżać jego charakterowi[2]).

---

[1]) W liście do hr. Lehon, posła belgijskiego w Paryżu, król Leopold pisał, 9 kwietnia 1832: «Żal mi, że Chrzanowski pozostaje w Niemczech. Na pułkownika kawaleryi pragnę Kruszewskiego. Żebyśmy mogli dostać przynajmniej jednego dobrego polskiego jenerała!» (Les fondateurs de la monarchie belge: Léopold I par Théodore Juste. Première part e 1790—1832)

[2]) Wieści, dochodzące Zamoyskiego jeszcze w Londynie o Ledóchowskim, nie wróżyły łatwego zakończenia z nim sprawy. Major Smitkowski donosił z Paryża, 25 sierpnia 1832: «Od niejakiego czasu Ledóchowski zrobił się ultra-demokratą. Na obiedzie Dwernickiemu dawanym wniósł toast: «śmierć i zniszczenie szlachty bez wyjątku». A później dodał, że żałuje, iż go nie powieszono w nocy 15 sierpnia, bo wówczas, jako istotny arystokrata, zasługiwał na to. Łatwo sobie wy-

Wiadomość o wznowieniu sprawy z Ledóchowskim rozeszła się między emigracyą. Najpoważniejsze osoby, jako to członkowie obu naszych izb, jenerałowie, między nimi Dwernicki a nawet pośrednio x. Adam, wszyscy, w imię powszechnego dobra, naparli Ledóchowskiego, by mi żądanej satysfakcyi nie odmówił. To wmieszanie się najzacniejszych rodaków naszych i ich starania, by nakłonić Ledóchowskiego do wydania pisma przezemnie żądanego, były mi nader miłe, bo dowodziły, że wszyscy uważali to oświadczenie o moim ojcu za słuszne i należyte.

Ledóchowski ofiarował poddać się pod sąd arbitrów, wybranych po połowie z obu stron i dopełnić, coby oni wspólnie uradzili. Niemało miałem trudności w oparciu się temu niby bezstronnemu sposobowi załatwiania rzeczy. Postępowaniem mojem kierowało poczucie obowiązku, od którego nikt trzeci zwolnić mnie nie mógł. Ponieważ Ledóchowski ślepo na Dwernickiego się spuszczał, postanowiłem z Dwernickim rozmówić się w obecności x. Adama. Tak przyszło nakoniec do wymiany listów, która między nami zajść miała i która ostatecznie sprawę zakończyła. Wyjaśnienie Ledóchowskiego było co do słowa to samo, jakiego się domagałem w grudniu 1830 roku.»

W listach do rodzeństwa Zamoyski mówi o zakończeniu tej sprawy: «Wielką, nieskończoną mam wdzięczność dla wuja, bez którego podobno nie byłoby nigdy do takiego końca przyszło. Lecz wyznać muszę, że i sobie samemu winienem wdzięczność za wytrwanie w jednej i tej samej myśli dwa lata tak, iż przy nadejściu pory i okoliczności pomocnych rzecz się udała. Łajano mnie nieraz i niemało przez te dwa lata za uporne moje o to upominanie się. Jedni dziwili się mojej powolności, dru-

---

stawisz, kochany Pułkowniku, że tym sposobem zrobił się bohaterem... Jakoż natychmiast zdrowie oczyszczonego i odrodzonego posła wypito. Dziwić się tedy bynajmniej nie można, że na szczycie owej glory, przytłumiona wprzódy hardość na nowo się odezwała.»

dzy popędliwości. Zaręczam, że na przyszłość nie będę już gwałtownym, ale nie obiecuję zaprzestać obstawania przy swojem. Kiedy pewne przekonania nastręczają pewne postanowienia, to tych postanowień człowiek trzyma się po dwóch latach tak samo, jak pierwszego dnia.»

«Po zakończeniu sprawy z Ledóchowskim, zwróciłem całą mą usilność na zapewnienie sobie przyjęcia do służby belgijskiej.

Gotował się do tej wojny młody następca tronu francuskiego, x. Orleanu[1]). Między tymi, którzy do jego osoby byli przywiązani, znajdował się jenerał de Flahaut[2]), niegdyś ulubiony adjutant Napoleona, syn z pierwszego małżeństwa pani de Souza, pod której opieką spędziłem pierwsze lata życia. Za jego życzliwem dla mnie pośrednictwem poznałem x. Orleanu. Liczył on dopiero lat dwadzieścia jeden; nauki, jak i inni bracia jego, pobierał w szkołach publicznych. Rodziców moich poznał w roku 1829 na 1830 w Paryżu, u ojca swego naówczas jeszcze x. Orleanu, później króla Ludwika Filipa. Uderzyła mnie od pierwszego spotkania szlachetna postać następcy tronu, a z czasem coraz więcej w nim spostrzegałem zacności i wyższości. Sposobność bliższego poznania sam mi nastręczał, bo, chociaż król Ludwik Filip x. Adamowi na jedynej danej mu audyencyi wyraźnie powiedział, że go u dworu widywać nie może, gdyż «lepiej tak będzie dla xięcia i dla niego», chociaż i mnie przeto do dworu zamknięty był przystęp, wyjąwszy na balach, liczących kilka tysięcy zaproszonych, x. Orleanu od pierwszego spotkania dał mi poznać, że mnie często widywać pragnie. Szło mi o dostanie się do wojska belgijskiego, bo w Belgii

---

[1]) Ferdynand, x. Orleanu (1810—1842).

[2]) August Karol hr. Flahaut de la Billarderie (1785—1870), w 1831 poseł w Berlinie, następnie adjutant x. Orleanu, poseł w Wiedniu 1841—1848 i w Londynie 1860—1862.

miały nastąpić kroki wojenne. Druga żona króla Leopolda (Ludwika) była siostrą x. Orleanu; obiecał mi więc xiążę pisać za mną do szwagra, a żegnając mnie, zaprosił, bym go niezwłocznie odwiedził w obozie pod Antwerpią.

Jeszcze przed opuszczeniem Paryża, w ciągu krótkiego tam pobytu, zachęcony przez x. Orleanu, postanowiłem użyć prawa, służącego mi przez urodzenie na ziemi francuskiej, dla zażądania obywatelstwa francuskiego. Kodeks stanowi, że urodzony we Francyi cudzoziemiec, chcący dostąpić obywatelstwa, powinien złożyć odpowiednią deklaracyę w ciągu roku po dojściu do pełnoletności (w lat dwadzieścia jeden), a termin ten dla mnie już upłynął; w podaniu mojem tłomaczyłem opóźnienie zaciągnieniem się do służby wojskowej w Królestwie w dwudziestym roku życia i niemożnością wystąpienia z niej przed ukończeniem wojny 1831 roku. Ośmielił mnie do posłużenia się tem tłomaczeniem nie tylko x. Orleanu, ale i adwokat, który się sprawy podjął. Uwierzyłem, że sąd również chętnym się okaże.

Po złożeniu odpowiedniej deklaracyi w sądzie pierwszej instancyi departamentu Sekwany, udałem się do Bruxelli (12 listopada 1832), nie czekając na rozstrzygnięcie sprawy.

W chwili wyjazdu z Paryża przyszedł do mnie Bernard Potocki, mąż słynnej z patryotycznej dobroczynności Klaudyi Działyńskiej, siostry mego szwagra. Ofiarował się towarzyszyć mi do Belgii, by wspólnie próbować, czy nam się nie uda wejść do służby belgijskiej. Łatwo pojąć, jak miłym był mi taki towarzysz, zacny, w boju znakomicie mężny i przytomny. Znałem go w naszej wojnie jako adjutanta przy jen. Łubieńskim, a więc przy sztabie, którego byłem szefem. Słynął z tego, że, gdzie inny adjutant śmiałość przypłacił raną, nie dokonawszy zlecenia, on, właściwym sobie dowcipem, nie szukając popisu, umiał zawsze wypełnić dane zlecenie. Był przytem naj-

milszym towarzyszem, pełen wiadomości, oczytany, przytem serdeczny, a zawsze dowcipny.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 15 listopada wieczór (1832).

Przyjechaliśmy tu szczęśliwie wczorajszej nocy. Rano zaniosłem listy do króla, który był na wsi w Laeken. W godzinę potem odebrałem zaproszenie na obiad. Król na obiedzie był bardzo grzeczny, o Wuju mówił bardzo dobrze, mnie dziękował, żem przybył. Na moje zapytanie, czy mnie przyjmie do służby, odpowiedział, że tak, bez wątpienia. Adjutant jego, — podobno się zowie Chasteler[1]), — gorący patryota, nam bardzo rad, zapowiedział mi, iż moje miejsce będzie przy królu. Tutejsi wojskowi i nasi przekonani są, że to początek wielkiej wojny; dyplomaty francuskie twierdzą, że nie. Król bardzo pytał o Skrzyneckiego. Szczęściem dowiedziałem się zawczasu, że mu pieniądze posłał, przeto oświadczyłem bez ogródki, że go Austryacy z oka nie spuszczają i że jedynie dlatego nie przybył[2]). O Chrzanowskiego się pytał, zachwalenie moje zdawało się robić na nim wrażenie. Jest jedna dywizya bez dowódcy, król zdawał się skłaniać do myśli o Chrzanowskim. Bardzoby mnie zabawiło, gdybym mógł w ten sposób zemścić się na Chrzanowskim za obelgi, które na mnie rzucał (w Bolimowie), gdy mnie oskarżał, że go zgubić chcę mojemi oszczerstwami.»

---

[1]) Albert Franciszek, margrabia Chasteler (1794—1836).

[2]) Xiążę w tej sprawie pisał, 23 października 1832: «Pan de Coffret (jen. Skrzynecki) nie jedzie do Belgii, bo ze strony Rakuszanów ktoś wiele znaczący (Kolovrat?) odradził mu, mówiąc, że toby było zerwać z nimi a że oni mają dobre chęci i że trzeba czekać. W Pradze będzie zimował, ale gdyby wojna była, wówczas nie omieszka się stawić. O tych przychylnych chęciach między Rakuszanami z kilku stron dochodzą mnie oznajmienia... że też wyspiarze nie chcą, czy nie umieją z tą stroną się porozumieć.»

«Król Leopold, którego w 1829 roku poznałem w Ems[1]), nastręczył mi uprzejmie, gdym mu się przedstawił w Belgii, niejednokrotną sposobność do widywania go i dłuższych z nim rozmów. Opowiadał mi, jak w dziesięć dni po jego przybyciu do Bruxelli w roli nowo obranego króla, wojsko belgijskie, napadnięte przez Holendrów[2]), tak na całej linii pierzchnęło, że on sam z adjutantami i nieliczną, wierną sobie jazdą, zasłaniał odwrót i rozstawiał forpoczty, by choć w części ukryć rozsypkę i opóźnić pochód nieprzyjaciela, a przez to dać czas wojsku francuskiemu nadejść. Jakoż to wnet nastąpiło i skłoniło Holendrów do opuszczenia kraju, zostawiając załogę w jednej tylko Antwerpii. To wkroczenie armii francuskiej, nagłością potrzeby wywołane, niedługo trwało. Ludwik Filip niebawem ją wycofał, zapobiegając wszelkim innych państw reklamacyom. Był to, zaprawdę, dla króla Belgów początek panowania niewiele obiecujący. Ale mądry Leopold umiał klęskę obrócić na pożytek. Belgijczycy, wspominając o tej bitwie, mawiali często przedemną: «Smutne to dla nas wspomnienie, ale wyznać musimy, że od tej klęski dopiero otworzyła się dla nas możność zostania narodem niepodległym». Niejeden z nich i nieraz wyznawał przedemną, że łatwe wyrugowanie przez wybuch ludowy nieprzygotowanych Holendrów podniosło zarozumiałość Belgów do takiego stopnia, że żadnej już władzy nad sobą znać nie chcieli. Oburzali się przeciwko karności wojskowej, w dobrej wierze mniemali, że inne nastały czasy, że lud «w bluzach» nierównie więcej ma siły, jak regularne wojska, oparte na zastarzałych przesądach. Dopiero od czasu sromotnej rozsypki, weszło wojsko belgijskie w tryb organizacyi regularnej i poddało się koniecznym ku temu warunkom, mianowicie karności wojskowej. Wtenczas to król Leopold

---

[1]) Tom I, str. 290—294.

[2]) Pod Louvain, 12 sierpnia 1831.

zawezwał z Francyi znaczną liczbę doborowych oficerów francuskich, a także wielu z emigracyi polskiej.

Kiedy przybyłem do Belgii, wojsko to wyglądało już wcale nieźle. Nadewszystko uderzała mnie pilność i sumienna pracowitość młodych oficerów w sztabie. Nieraz z westchnieniem zapytywałem sam siebie, czy i nam kiedyś danem będzie nietylko w przysłowiu mówić o sobie, żeśmy zmądrzeli po szkodzie i otrząść się z zabójczego, a tak umiłowanego przez nas bezrządu!»

W listach do rodziny, wkrótce po przybyciu do Bruxelli, Zamoyski wyraża obawę, że mimo uprzejmości króla niełatwo mu przyjdzie umieścić się w wojsku belgijskiem. «Mnóstwo przyjętych już cudzoziemców wzbudziło wielką w tutejszych zazdrość, przeto król nie śmie. Odezwałem się z gotowością służenia bez żołdu, nie przez wspaniałomyślność, coby było śmiesznością, ale że nie było dla mnie innego sposobu wzięcia udziału w tej wojnie, kształcenia się w moim zawodzie.

Co do funduszu, jaki mi ojciec na utrzymanie przeznacza, byle był stały, zawsze mi wystarczy, zawsze będę zań wdzięczny. Nie wiem, skąd mi przyszło tyle filozofii, ale postanowiłem sobie patrzeć, jakie środki, nie zaś jakie potrzeby. Nieco więcej nie zawadzi, bo jest z kim się dzielić, nie będę dlatego jadał lepszych obiadów, ale będę mógł zadośćuczynić temu, co jest naraz obowiązkiem i rozkoszą.»

Ordynat pochwalił starania syna o umieszczenie w wojsku belgijskiem, a dla ułatwienia mu służby bezpłatnej, powiększył o trzecią część dochód, jaki mu poprzednio przeznaczył. Przestrzegał go jednak, żeby ostrożnie używał otworzonego mu w banku kredytu, «bo teraz o pieniądze trudno».

«Nim człowiek o górniejszych rzeczach pocznie myśleć», pisał do syna 5 grudnia, «powinien zacząć od zabezpieczenia sobie losu, ażeby miał sposób uczciwy do życia

i cudzej łaski nie potrzebował; jest to jedyny środek zachowania niepodległości. Dobrze robisz, że trwasz przy raz obranym zawodzie, bylebyś nie mieszał się do innych rzeczy, tylko swego pilnował i, jak się tego po tobie spodziewam, zasługiwał zawsze na powszechny szacunek. Nie radziłbym ci stawiać się zanadto na widoku przy następcy tronu (x. Orleanu), gdyż wszędzie panuje wielka uległość dla naszego monarchy; mógłbyś stać się przedmiotem not dyplomatycznych, przeto lepiej żądać innego umieszczenia. Nie snuj się tam, gdzie bywają ambasadorowie zagraniczni, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi. Te moje rady przekonają cię lepiej, niż próżne wyrazy, ile mnie obchodzisz, jak żywo pragnę, abyś sobie przyszłość, o ile może być najlepszą, zapewnił. Nie możesz mi mieć za złe, że mi boleśnie, iż w takiej odległości od siebie żyć będziemy. Teraz ani pragnę cię widzieć, jednak nie tracę nadziei, że za lat kilka, jeśli się namiętności uśmierzą, będę cię mógł odwiedzić.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 30 listopada 1832.

Przeszłej nocy rozpoczęto działać przeciw cytadeli. Dziś rano dowiedzieliśmy się, że to działanie nie wywołało ani jednego wystrzału armatniego. Somacya była posłana nad ranem. Natychmiast udaliśmy się na miejsce. Roboty były nadzwyczaj posunięte, cztery bateryе na ukończeniu. Dopiero koło jedenastej dano z cytadeli pierwszy wystrzał, a potem przez cały ciąg dnia od czasu do czasu po jednym, jakby na los szczęścia. Przez dzień dzisiejszy i noc poprzednią nieprzyjaciel mógł z łatwością zabić kilkuset Francuzów, nie zginęło ich i pięciu! Dziś rano wszyscy byli zdziwieni milczeniem Holendrów. Wojsko doznało zawodu. Ja też. Pierwszy strzał armatni wywołał widoczną radość na wszystkich twarzach; Francuzom nie chce się zwycięstwa bez sławy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, niedziela, 2 grudnia (1832).

Ogień utrzymuje się bardzo umiarkowany. Po kilka razy na dzień (Holendrzy) próbują wycieczki robić w różnych drobnych celach. Najczęściej odparci ze stratą. Dziś rano przy jednej tak blizko się starli, że oficer artyleryi francuskiej, wpadłszy na jednego Holendra, za kark go uprowadził. Ginie w tych okazyach po jednym, po dwóch ludzi z każdej strony. Belgijczykom okrutnie smutno i niekorzystnie z daleka na to patrzeć. Na pierwszą bombę rzuconą do miasta odpowie pięćdziesiąt moździerzy belgijskich, wymierzonych na cytadelę. Dziesięć francuskich bateryi i cztery moździerze przygotowują się obecnie. Sądzę, że pojutrze ogień rozpoczną i ufają, że holenderski ucichnie w trzydzieści sześć godzin. My tu bawimy i przygotowujemy się, jak we fraku można, a chociaż nas przypuszczają z łaski niebieskiej wstążeczki[1]), mimo to na Don Kiszotów wyglądamy. To też jutro rano wracam do Bruxelli, by przyspieszyć moje umieszczenie, ale poprzednio to jest dziś wieczór będę na obiedzie u x. Orleanu w Brascheat, o trzy kilometry stąd. On cały pierwszy dzień komenderował w przykopach, jako jenerał brygady i bardzo dobrze się z tego wywiązał; sam o ten posterunek prosił. Deszcz leje prawie nieustannie, przykop zrazu dosyć suchy teraz pełen wody, mrozy upragnione.

O Chrzanowskim nie wiem nic. Król tutejszy okrutnie mało sam decyduje, wszystko przez ministra robi, a minister wojny[2]) tchórz.

Sztab francuski zażądał kilkuset kanonierów i żołnierzy (belgijskich) bez broni do pomocy w robotach dalekich od ognia. Pan Gruszka (Ludwik Filip) wielką o to burę nasłał, tłomacząc, iż się to może Prusakom niepodobać! Jeszcze nie tak blizko do wojny ogólnej!»

---

[1]) Polskiego krzyża «Virtuti militari».

[2]) Ludwik baron Evain (1775—1852), rodem Francuz, w służbie belgijskiej od 1831.

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Bruxella, 6 grudnia 1832.

Sprawa moja nareszcie załatwiona. Król Leopold przyjął mnie w stopniu pułkownika i przeznaczył do swego sztabu. Moi nowi towarzysze broni są bardzo zazdrośni wobec cudzoziemców; możnaby prawie przypuścić, że lękają się świadków. Ale o tem cicho; nie powinienem już o nich w ten sposób mówić.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 7 grudnia (1832).

Ekwipuję się i wracam jutro do Antwerpii. Pragnąłem tego umieszczenia, powinienem tedy być rad z niego. Jest to najmilsze, co mi się zdarzyć mogło i póki huk armat trwa, będę bardzo zadowolony, ale jak ta muzyka ustanie, odczuje się niewola i żal z odłączenia od Wuja kochanego. Zostaje nadzieja, że bez żołdu łatwiej mi będzie miewać urlopy. Prócz tego, przyjęcie to jest tylko na czas trwania wojny lub stanu wojny. Potocki przyjęty na kapitana. Holendrzy bronią się teraz ostrzej; chwila upadku twierdzy niewiadoma. Proszę rodzicom nie donosić spiesznie, że wracam pod Antwerpię.»

Władysław Zamoyski do ojca:

«7 grudnia 1832.

Jest tu trzydziestu siedmiu naszych do wojska przyjętych. Wybór dobry w ogólności, dobrze się sprawują Miejscowi, choć zazdrośni, przyznają im zdatność. Rząd ostrożnie ich wybierał, mianowicie udało się dotąd zasłonić od napływu półgłówków i rozprawiaczy. Z tego względu zupełną mamy tu spokojność i szczerze rządowi dopomożemy, by się to tak i nadal utrzymało.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Antwerpia, 15 grudnia 1832.

Piszę przy nieustającym huku armat i bomb. Szczególny ten pojedynek przeciąga się. Tej nocy fort Saint Laurent wzięty przez Francuzów z sześćdziesięciu trzema żołnierzami i jednym oficerem holenderskim. Obrona jest

uporna, ale czysto bierna dotychczas, bez sztuki ani fortelów żadnych; ma wdzięczne pole w walce z oblegającym, który postępuje ostrożnie i nie żałuje czasu, by oszczędzać życia. Od dwóch tygodni straty Francuzów zaledwie przechodzą trzystu ludzi, to też dla amatorów i spektatorów niebezpieczeństwa prawie niema. Od 4 do 8 grudnia Francuzi dali czternaście tysięcy wystrzałów armatnich i z moździerzy. Dzisiaj co najmniej dwa razy tyle. Liczą, że garnizon składa się z czterech tysięcy żołnierza. Cała cytadela jest tak opancerzona (blindée) przeciwko bombom, że z wież miejskich nie można w niej dostrzedz żadnego ruchu. Zakładają się tu o to, jak długo potrwa obrona; jedni utrzymują, że do dwudziestego, drudzy, że do trzydziestego. Mnie się zdaje, że bliżej dwudziestego. Obrona Holendrów, jako słabszych przeciwko przemocy, wzbudza w nas raczej współczucie, jednak oni bronią swojej własności a nie ziemi swojej. Obrońcy tutejszej twierdzy są ludźmi, jakichby nam potrzeba, ale tym się dziwić przychodzi, którzy, obronę nakazując, w pomoc jej nic nie czynią.»

«W tej wojnie wszystko odbywało się wyjątkowym sposobem. Francyi, a jeszcze bardziej Belgii chodziło niezmiernie o to, by zasłonić miasto od zburzenia. Stanęło więc przed rozpoczęciem oblężenia ciche porozumienie między Francuzami a Holendrami, że wojsko francuskie od strony miasta nie będzie przystępowało do cytadeli, chociaż z natury rzeczy z tej strony właśnie warownia najmniej była obronna, ale że, przeciwnie, dobywać jej obowiązuje się od strony zewnętrznej, najobronniejszej. Zato jen. Chassé [1]), dowódca załogi holenderskiej, zobowiązał się nie strzelać do miasta.

---

[1]) Henryk Dawid baron Chassé (1765—1849), ur. w Geldryi, wstąpił do wojska francuskiego 1787, jenerał 1806, baron cesarstwa 1809, wrócił do Holandyi 1814, walczył przeciw Napoleonowi pod Waterloo.

Wojskiem francuskiem dowodził marszałek Gérard [1]).

Belgijskim szefem sztabu był jenerał francuski Hurel [2]), już niemłody, poważny, bardzo dla nas uprzejmy. Towarzyszył on francuskiemu dowódcy i zajął ze swoim sztabem kwaterę w mieście Antwerpii. Sztabowi temu przeto dana była sposobność, jeżeli nie uczestniczenia w pracach oblężniczych, to patrzenia z blizka na wszystkie ich szczegóły.

Było to dla nas, mianowicie dla mnie, praktyczne ćwiczenie w sztuce, do której się naukowo przykładałem z szczególnem upodobaniem. Co rano, wypocząwszy w wygodnych kwaterach w mieście, towarzyszyliśmy jenerałowi Hurel do przykopów. Po południu drugi raz, z własnej ochoty, najczęściej wraz z Potockim, obchodziłem linie francuskie. Znali nas wkrótce wszyscy oficerowie inżynierów i choć nie należeliśmy do wojska francuskiego, choć miejsca w przykopach niedużo zbywało, witali nas uprzejmie, poznawszy, żeśmy Polacy nie Belgowie, na których z mniejszą patrzyli życzliwością dlatego, że im przychodziło bez nich o ich sprawę walczyć.

Było rzeczą prawdziwie zajmującą, wobec dzielnej obrony potężnej, jak na te czasy, a wybornie obsługiwanej artyleryi, oraz ręcznego ognia, patrzeć na niepokonaną, niczem powstrzymać się nie dającą przewagę i co godzinny postęp pracy oblężniczej. Czołem szło czterech saperów, uzbrojonych w rydle tylko, a wkopujących się coraz w przykop, pod zasłoną tak zwanego grubego «gabionu», walca, uplecionego z łoziny, a napełnionego ziemią. Walec ten, sześć stóp średnicy mający, a około dwunastu stóp długi, toczą przed sobą saperzy, zasłaniając się nim od ognia ręcznego fortecy, sami okryci żelaznemi hełmami i pancerzami. Okopują się wzdłuż linii wytkniętej przez oficera inżynierów, a ziemię sypią do

---

[1]) Stefan Maurycy hr. Gérard (1773—1852), minister wojny 1830—1831, prezydent ministrów 1834.

[2]) Franciszek baron Hurel (1774—1847), w służbie belgijskiej od 1832.

małych znowu koszów, gabionów, z tyłu im podawanych, na cztery stopy wysokich, a dwie stopy średnicy mających, które ustawiają jedne przy drugich.

Za czterema saperami następuje szereg żołnierzy, także rydlami tylko opatrzonych. Ci doprowadzają przykop do właściwej głębokości i szerokości, wyrzucając ziemię poza gabiony, i tworzą te linie przystępu (lignes d'approches), które, w zygzak kopane, dochodzą nareszcie nad sam rów fortecy. Z podziwieniem patrzałem na odkomenderowaną do tego dzieła kompanię i na niecierpliwość, z jaką każdy w niej saper dopominał się o swoją kolej należenia do czwórki, na czele idących. Ta czwórka z przepisu luzowała się co dwadzieścia minut, a i ten czas zwykle nie uszedł, żeby z czterech od kuli nieprzyjacielskiej nie padł jeden albo więcej. Za tą kompanią, już pod zasłoną uzupełnionego przykopu, stał na straży batalion piechoty, biorący na cel wszystko, co za wałem fortecy żyjącego dostrzedz się dało, bo i stamtąd piechota celnemi strzałami usiłowała w podsuwających się trafiać.

Z równem zajęciem patrzałem na pracę i dzielność artyleryi, na sypane przez nią wały, baterye pod gęstym ogniem armatnim. Nastały deszcze: o tyle uciążliwsze było zaciąganie do tych bateryi ciężkich, trzydziestoczterofuntowych armat. Widziałem, jak dnia jednego dowódca oblężniczej artyleryi, jen. Neigre[1]) dla przykładu i zagrzania strudzonych kanonierów sam ramieniem się przyłożył do armaty, którą z ciężkiego błota ruszyć potrzeba było.

Prawą ręką jenerała Haxo[2]) był pułkownik inżynierów Vaillant[3]), niezmordowany i tak skromny, że, kto go z blizka w pracy nie widział, zaledwoby się domyślił, jak w pośród celującego nauką korpusu inżynierów fran-

---

[1]) Jenerał Gabryel baron Neigre (1774—1847).

[2]) Mikołaj Franciszek Haxo (1774—1838), jenerał inżynieryi, par Francyi.

[3]) Jan hr. Vaillant (1790—1872), marszałek i senator Francyi za Napoleona III.

cuskich, sam był celującym. Jenerał Haxo, który głównie w Hiszpanii za Napoleona I nabył w swojej sztuce doświadczenia, tamże w częstych z Polakami stosunkach zaprzyjaźnił się z niektórymi, a dla wszystkich zachował życzliwość. Korzystali z tego usposobienia Polacy do głównego sztabu należący. Było ich, prócz mnie i Potockiego, kilku; dwóch, z którymi przyjaźń mnie łączyła do ich śmierci, niestety wczesnej.

Pierwszym był podpułkownik Prószyński, Litwin, bystry, rzeczy wojskowych świadomy, nieco ostry, nie od wszystkich też lubiany. Pod koniec naszej wojny 1831 roku był szefem sztabu przy jen. Chrzanowskim[1]). W służbie belgijskiej doszedł do niemałego zaufania u króla. Zgon przedwczesny, po kilkunastu latach służby, odjął mu sposobność okazania zdolności wojskowych, któremi był udarowany.

Drugim był kapitan Linowski, syn Alexandra Linowskiego, przyjaciela i towarzysza Kościuszki, egzekutora testamentu x. Józefa Poniatowskiego, w końcu dyrektora poczt w Królestwie Polskiem. Kapitan Linowski młody, bardzo przystojny, odwagi znakomitej, serdeczny, powszechnie lubiany, dla mnie był szczególnie życzliwy[2]).

X. Orleanu, któremu dane było dowództwo brygady awangardy, mieszkał w poblizkiej wsi; dojeżdżałem do niego kilkakrotnie. Pierwszym adjutantem xięcia, od czasu jego pełnoletności, był zacny, poważny jen. Baudrand[3]) z korpusu inżynierów. Między innymi adjutan-

---

[1]) Po ustąpieniu wojska naszego do Modlina, Prószyński, wówczas szef sztabu jen. Umińskiego, używany był z naszej strony do układów z jenerałem Bergiem, przysłanym w tym celu przez Paskiewicza. (W. Z.)

[2]) Linowski zapisał mi w testamencie pierścień swego ojca z datą 3 maja 1791 i pistolety odziedziczone przez ojca po x. Józefie Poniatowskim wraz z listem króla Murata, proszącym x. Józefa, aby te pistolety przyjął od niego na pamiątkę. (W. Z.)

[3]) Franciszek Henryk Baudrand (1774—1848).

tami xięcia, kapitan duc d'Elchingen, drugi syn marszałka Neya, następnie został mi dobrym przyjacielem[1]).

W cytadeli antwerpskiej najdoskonalej zastosowane były prawidła sztuki obronnej systemu Vauban. Ale wiadomą jest rzeczą, że żadna warownia dłużej, niż pewien czas, oprzeć się nie zdoła oblężeniu trafnie a wytrwale prowadzonemu. Wiedział więc i król holenderski, że w kilka tygodni cytadela upaść musi, nie przedsiębrał jednak żadnej dywersyi, któraby wojsko francuskie od oblężenia odwrócić mogła. Niemniej dlatego żądał, by się garstka Holendrów w tej cytadeli bezwzględnie opierała; mniemał, że w obronie praw korony swojej godzi mu się od wojska żądać tej ofiary. Na dowódcę załogi przeznaczył starego, w bojach wypróbowanego żołnierza, inwalidę o drewnianej nodze, jen. Chassé, znanego mu z takiegoż uporu, jakim się sam rządził. Jen. Chassé mężnie oczekiwaniu króla odpowiedział, załoga zaś złożyła świetny dowód ofiary z siebie dla obowiązku.

Zdobycie cytadeli dawało się obrachować niemal na dnie i godziny. Po dwóch tygodniach oblężenia, przykopy zostały doprowadzone nad brzeg rowu cytadeli tak, że odległość między jedną a drugą walczącą stroną wynosiła już tylko około pięćdziesięciu kroków. Ledwo pojąć można, jak wobec potężnych armat, ognia kartaczowego i piechoty, ile tylko się jej zmieścić mogło na wałach fortecy, podobnem było wojsku oblegającemu coraz to bliżej, a zawsze zasłaniając się przykopem, przystąpić aż na szczyt szańca cytadeli (glacis) i tam usypać bateryę, przeznaczoną do zrobienia wyłomu w murze. Doszedłem do tej bateryi, kiedy wał naprędce usypany dawał się jeszcze kulom nieprzyjaciela wskroś przeszyć. Od jednej

[1]) Michał Ludwik Felix Ney, x. d'Elchingen (1804—1854), w czasie wojny krymskiej jenerał brygady; pod Gallipoli na cholerę skończył, powszechnie ceniony i żałowany. (W. Z.)

z nich padł trupem przy mnie młody a dzielny adjutant jenerała Haxo.

Łatwo się domyślić, że główna część pracy około sypania tej bateryi nocą się odbywała, ale cel dla oblężonych tak był wytknięty, że i przez noc przy tej pracy sroga była śmiertelność. Nie taką była przecie, by praca nawet na chwilę ustawała, ani, by dzielność i ofiarność oficerów i żołnierzy zachwianą była.

Mimo to niejeden głos dawał się słyszeć z narzekaniem na zbyt wolny postęp oblężenia, na przesadzoną jakoby ostrożność i ścisłość, z jaką jen. Haxo, kierując robotami, stosował się do teoryi. Miłość własna Francuzów cierpiała na tak długim oporze, stawianym armii francuskiej przez garstkę Holendrów. Co gorsza, obawiano się zawikłań politycznych, jakie wywołać mógł przedłużony pobyt wojska francuskiego w Belgii. Prusy zdawały się patrzeć niechętnie na gwałt czyniony królowi holenderskiemu, a jeżeli nam Polakom takie wmieszanie się Prus i sprowadzenie istotnej wojny pożądanem było, nie tak zapatrywały sie na to rządy państw sąsiednich. Anglia, chociaż się zgodziła na oblężenie cytadeli, tak niecierpliwie wyglądała końca, że nie wahała się żądać zwrócenia ataku na stronę, gdzie leżała właśnie najbogatsza część miasta, którąby cytadela dla własnej obrony była zmuszoną w takim razie ogniem działowym w gruzy obrócić. Domagał się tego bezwzględnie w imieniu rządu swego komisarz angielski przy głównym sztabie marszałka Gérard.»

W nieco późniejszym liście do x. Adama (30 grudnia 1832), Zamoyski pisał: «W chwili rozpoczęcia kroków wojennych przeciw Holendrom, a przed wyborami do izb, rząd angielski tak był przelękniony odzywaniem się torysów [1]), że przyszło od niego oświadczenie, iż, jeśliby

[1]) Obawiających się wpływu francuskiego w Belgii.

atak ze strony miasta mógł przyspieszyć wzięcie twierdzy tylko o dni ośm, należy miasto dla tych ośmiu dni poświęcić. Ta wiadomość pewna.»

«Jen. Haxo nie chciał o tem słyszeć. Mnie samemu mówił: «Nie przyspieszę postępu oblężenia kosztem choćby jednego życia, które sypaniem okopów, użyciem rydla i kilku godzin pracy zastąpić mogę». Pięknie zaiste odbijał spokojem i oględnością mąż świadomy wojny obok lekkomyślnej, nieludzkiej bezwzględności, do jakiej nieraz przychodzi dyplomacya, niby przeznaczona zasłaniać narody od wojny i krwi rozlewu.

Oblężenie trwało dni dwadzieścia cztery. Ogień armatni artyleryi holenderskiej utrzymywał się ciągle. Francuzi ze swej strony nieprzestannie zarzucali cytadelę bombami. Pod koniec jedna bomba przebiła sklepienie, pod którem był główny magazyn prochu cytadeli i wysadziła go w powietrze. Okoliczność ta, o ile wiem, pokonała ostatecznie zacięty opór komendanta. Doczekawszy się przytem otwartego wyłomu, widząc przygotowania robione przez Francuzów do przejścia rowu i przypuszczenia szturmu, jen. Chassé uznał, że miara jego obowiązku względem króla już dopełniona i że honorowi stało się zadość. Dnia 23 grudnia ogień ustał. Holendrzy zażądali kapitulacyi. Obrona ich odznaczała się tym szczegółem, że do ostatniej chwili zatrzymali działa w strzelnicach, a ich ogień armatni trwał gęsty i zabójczy aż do samego wieczora w dniu poprzedzającym kapitulacyę.

Załoga zasługiwała na wyższe jeszcze uznanie, niż jej dowódca, bo nierównie więcej od niego poniosła trudu i nie miała tej imiennej, osobistej chwały, jaką dowódca był wynagrodzony.

W kilku wojnach byłem, ale w żadnej nie pamiętam i nie doświadczyłem tak długiego, nieprzerwanego i na krótką odległość prowadzonego ognia, jak w tem oblę-

żeniu, któremu się przyglądałem, jako uczeń sztuki oblężniczej [1]). Pod tym ogniem mimowoli przypominałem sobie, jak w porównaniu bolesne dla mnie były ostatnie chwile naszej wojny 1831 roku, kiedy bez żadnej już nadziei nawet przedłużenia walki usiłowaliśmy choć o kilka godzin opóźnić ustąpienie za granicę. Czy to odpowiedzialność, czy smutek na sercu ciążący osłabiały wtedy ducha mego, nie wiem, dość że czułem się innym na końcu, niż z początku i przez cały ciąg naszej wojny. Nie doświadczałem już na sobie tego spokoju, tej nawet cichej radości, jaką we mnie budziły gęsto koło mnie przelatujące kule, które witałem z upodobaniem, bo mi dawały sposobność wypróbowania, jak mi drogą była sprawa ojczysta i jak wielką mi był łaską dar łatwego męstwa, zostawiający mi swobodę umysłu potrzebną, by tej sprawie służyć. Pod koniec czułem się inaczej. Byłem niespokojny, a chociaż pozostałem panem siebie, cierpiałem, fizycznie nawet. Świst kul, zdawało się, że mi wnętrzności przeszywa, a każda część korpusu poza obrębem oka mego była mi powodem bolesnego niepokoju.

W takim stanie, doczekawszy się końca wojny, sam nie wiedziałem, czy mam jeszcze lub też straciłem obojętność na niebezpieczeństwo, które na początku wojny taką mi wewnętrzną sprawiało radość, radość tem większą, żem w niej nie zasługę żadną, tylko zdolność i jakby narzędzie do zasług upatrywał. Gdy więc pod Antwerpią pierwszy raz znowu nadarzyła mi się sposobność doświadczenia, jakie na mnie wrażenie sprawi wojenne niebezpieczeństwo, skwapliwie wyglądałem chwili, kiedy znowu sam siebie wypróbuję, kiedy na nowo poznam, jak wytrzymuję strzał armatni lub karabinowy ogień. Wyznam, żem prawdziwej doznał rozkoszy, czując, że mi się to stało

---

[1]) Marszałek de Castellane w dzienniku swym z oblężenia Antwerpii mówi, że wojsko francuskie dało 64.000 wystrzałów armatnich. (Journal du maréchal de Castellane T. II, str. 54)

znowu prostem i łatwem, skoro mnie nie obciążała odpowiedzialność i boleść na widok upadającej ojczyzny.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Antwerpia, 23 grudnia 1832.

Donoszę spiesznie Matce drogiej, że od rana dzisiejszego ogień twierdzy ustał, że w tej chwili traktują o warunki kapitulacyi. Przepraszam teraz za troski i niepokoje, których znowu byłem przyczyną. Dla Zdzisława, któremu posłałem planik w ostatnim liście, dodaję, że po ośmnastogodzinnym szturmie do wyłomu, mur obalił się na przestrzeni sześciu kontrfortów, z tych cztery trzymają się dotąd. Potrzebaby jeszcze piętnastu godzin, ażeby przedostać się przez wyłom. Przeprawienie się przez fosę wymagałoby jeszcze dwóch dni co najmniej, mimo że wspaniały chodnik podziemny, przeszło pięćdziesiąt metrów długi, doszedł już do kontreskarpy. Ostatecznie Holendrzy najwięcej ucierpieli od pocisków pionowych (projectiles verticaux). Główna ich sztuka i zasługa pod względem energii i wytrwałości polega na sposobie, w jaki umieli ogień armatni oszczędzać i utrzymywać. Jeszcze mają kilka dział w bateryach, ze strony szturmowanej.»

Władysław Zamoyski do matki:

«23 grudnia wieczór.

Wojsko francuskie zajęło dzieła zewnętrzne cytadeli. Jen. Chassé poddał się. Jeżeli król holenderski zezwoli na wydanie dwóch twierdz, Liefkenshock i Lillo na Skaldzie, Holendrzy wyjdą wolni; jeżeli nie, pójdą w niewolę. Odpowiedź z Hagi spodziewana za dwa dni. Zapewne król holenderski nie wyda twierdz. Flota holenderska nacierała przez dzień dzisiejszy na posterunki francuskie, poniżej w pewnej odległości stojące, bezskutecznie.

Mieszkańcy tutejsi ledwo wierzą swemu szczęściu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 26 grudnia 1832.

Król holenderski odpowiedział, że twierdz nad Skaldą nie wyda. Tymczasem konwencya zbyt jest wyraźna: Francuzi zobowiązali się po wzięciu antwerpskiej twierdzy kraj tutejszy opuścić. I słowa dotrzymują! Anglicy mogą się pochwalić, że ich porządnie w pole wyprowadzili. Żal mi nieco tego wojska, które z lichą dosyć miną, nie dokonawszy, że tak powiem, niczego, wracać musi, — a przecież poniosło i trudy i straty. Rząd francuski dozna stąd może szkody wewnątrz. W istocie trudno mu będzie się wytłomaczyć.»

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Antwerpia, 25 grudnia 1832.

Już wiesz, że wasi poczciwi żołnierze strzegą drzwi cytadeli, do której Holendrzy powrócili bez broni. Wszystko zważywszy, było to piękne oblężenie. Wasze wojsko, wasza artylerya, wasi inżynierowie zrobili, czego, jeśli się nie mylę, żadne inne wojsko nie byłoby dokonało w tak krótkim czasie, z takim porządkiem i taką metodą. Cieszę się ze złego humoru, w jaki to wprawi Moskali, którzy przed byle jakiem chałupskiem tureckiem miesiące spędzają i tysiące ludzi tracą. Ludzie zapewne powiedzą, że można było jeszcze lepiej zrobić, — jabym to samo powiedział; w poważnych dziełach czytałem o sposobach nastręczonych i doświadczeniem i wiedzą, a których tu nie zastosowano. Jednakowoż dwadzieścia trzy dni, tylko siedmiuset zabitych i rannych, w tej liczbie szesnastu oficerów, na zdobycie takiej twierdzy i tak uporczywie bronionej: oto odpowiedź na niejedną krytykę. Przekonasz się z dobrego ducha, jaki mię ożywia, że się przenikam uczuciami, odpowiadającemi staraniom moim o naturalizacyę. Zresztą, ja wszędzie staram się wyśledzić stronę dodatnią, a nie to, coby krytykować można.»

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Antwerpia, 30 grudnia 1832.

Wycofanie się armii francuskiej sprawia, że jesteśmy tu więcej, niż kiedy na stopie wojennej; jednak w tym kraju o tej porze roku drogi są nie do przebycia. Czy do wiosny dyplomaci potrafią doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnienia rzeczy, to pytanie. My, Belgowie, o wojnie tylko marzymy i bardzo nam jej też potrzeba, tak dla odzyskania dobrej sławy, jak dla przekonania się sami, cośmy warci.»

Niełatwem było położenie króla Leopolda. Od początku wojny x. Wellington i lord Palmerston, zazdrośni o wpływy francuskie w Belgii, zarzucali mu, że zbyt wielu Francuzów do wojska przyjmuje, a gdy chciał wzmocnić armię belgijską polskim żołnierzem, świeżo wsławionym w 1831, natrafiał na opór Ludwika Filipa, wywołany obawą przed gniewem Moskwy. O tej ostatniej trudności wspomina król Leopold już 9 kwietnia 1832, w liście do posła belgijskiego, hr. Lehon[1]): «Nie zadziwia mnie nieprzyjazne stanowisko Francyi wobec Polaków; spodziewałem się tego; znalazłem jednak sposób poradzenia sobie. Z dwunastu tysięcy rekrutów tegorocznych, ośm tysięcy odebrało już rozkaz stawienia się do szeregów; wszyscy zbyt młodzi, lepiejby jeszcze w domu pobyli. Skarb dostarcza funduszów tak dla nich, jak dla czterech cudzoziemskich batalionów. Zamiast utworzyć pułk z cudzoziemców, utworzę polskie bataliony, co mi pozwoli zmieszać je z wojskiem i używać w zastępstwie młodych rekrutów.

To samo z kawaleryą; zamierzam wystawić bezzwłocznie sześć nowych szwadronów; niezmiernie byłbym rad utworzyć je z Polaków. Nie wywoła to więcej gadania, jak tysiące Niemców i Szwajcarów w wojsku holender-

[1]) Karol hr. Lehon (1792—1868), w 1831 należał do poselstwa, które ofiarowało koronę belgijską x. de Nemours, drugiemu synowi Ludwika Filipa, w 1832 przeprowadził układy małżeńskie między królem Leopoldem a x. Ludwiką orleańską, poseł w Paryżu 1831—1842.

skiem i mnóstwo Prusaków i Hanowerczyków w ich jeździe. Przedstaw w ten sposób sprawę rządowi francuskiemu, nie potrzebuje się do niej mieszać, lecz niech nie przeszkadza; podzielam zupełnie jego zdanie, że roztropniej będzie nie tworzyć odrębnego korpusu z Polaków, ale pochlebiam sobie, że to, co obmyśliłem, zaspokoi rząd francuski i że nam nie będzie przeszkód stawiał, szczególnie co do kawaleryi, której gwałtownie potrzebujemy.

Nie mylisz się w przypuszczeniu, że rząd francuski przeciwi się polskiej legii, a może i Rosya wzięłaby z niej pochop do turbowania nas; przyjmując Polaków w zastępstwie mojej młodej rezerwy, pozostaję panem położenia i nie narażam się na to, że korpus weźmie niepożądany kierunek. Widzisz, że usiłuję wejść w myśl króla (Ludwika Filipa), ufam, że tym sposobem nie upatrzy w tem żadnej szkody.»

Król Leopold pisze dalej, że, gdyby rządy Francyi i Anglii miały więcej śmiałości, sprawa Belgii dobrzeby na tem wyszła, ale «jedyną ich pobudką strach [1])».

W tymże czasie Prószyński wysłany został przez rząd belgijski do Paryża z poleceniem gromadzenia ochotników do polskich zaciągów. Ale rząd francuski oparł się temu stanowczo, musiał więc król Leopold od zamiaru odstąpić i poprzestać na przyjmowaniu Polaków pojedyńczo do służby.

Polacy jednak nie dali za wygraną, a niepewność położenia Belgii, nawet po wzięciu twierdzy antwerpskiej, zdawała się rokować dobre dla nich nadzieje.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 23 grudnia 1832.

Bem tu przybył od dni kilku. Uważam, że zamierza robić nowe podanie do tutejszego króla o formowanie oddziału wojska polskiego w Belgii; przystałby nawet na kolory niekoniecznie nasze, byle mieć samych Polaków.

---

[1]) Les fondateurs de la monarchie belge: Léopold I par Théodore Juste. Première partie 1790—1832. Str. 252—254.

Dobrzeby było, gdyby król się ośmielił o tem słuchać. Jeden powód więcej, by Wuj tędy przejechał[1]). Wątpię, aby ta myśl, od Bema podana, znalazła tu dziś wiele posłuchania; od Wuja nierównie więcej. Król zaś jak dawniej pragnął, tak i dziś jeszcze podobno. Wszystko przecie zależy od zezwolenia rządu francuskiego. Wuj osądzi, czy powinien mówić (o tem) tam, gdzie się obecnie znajduje (w Paryżu). Mnie się zdaje, że lepiej tu zacząć, a dopiero rzecz już gotową i skromną pod względem żądań naszych dać wiedzieć rządom innym. To pewna, że byle z naszych samych egzystował korpus, bez nazwiska nawet naszego, toby się wnet zewsząd gromadzili i rzecz samą liczbą stałaby się ważną. Wuj zna x. de Broglie i będzie mógł go poufnie wybadać co do tej formacyi. Kiedy na początku roku Prószyński jeździł do Paryża z poleceniem króla Leopolda do formowania legii, stary marszałek (Soult) najmocniej się oparł i rzecz całą obalił przez obawę, aby tego nie wzięli za złe ówcześni przyjaciele północni. Może ich dzisiaj mniej się boją i mniej przeto kochają. Bem, który także temu się wówczas przeciwił, dzisiaj żałuje.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Antwerpii, 25 grudnia 1832.

Proponowałem Bemowi myśl podstawową w formacyi legii następującą: Ogrom oficerów, oraz wysokość stopni i szybkość ich nabycia są wielką szkodą i ciężarem położenia naszego, oraz zawadą w formacyi jakiejbądź[2]); możnaby ogólnie postanowić, iżby wszystkie stopnie zajmo-

---

[1]) W drodze do Londynu.

[2]) Po przybyciu do Paryża, jen. Rybiński, ulegając wpływom kilku zauszników, rozdawał nominacye z awansem, jak gdyby jeszcze piastował naczelne dowództwo. Tyle przecież zasłużył się emigracyi naszej, że, wywiózłszy z sobą część archiwów sztabu głównego, mógł oficerom byłego wojska naszego wydawać świadectwa stopni, jakie w 1831 roku zajmowali. (W. Z.)

wane przed zakończeniem wojny (z 1831) stopniem jednym niżej tu przyjęte były. Nominacye zaś po wyjściu z kraju udzielone musiałyby albo upaść zupełnie, albo mogłyby być o dwa stopnie niżej przyjętemi. Sądzę, że z tej myśli wiele dobrego wyniknąćby mogło, ale nie taję sobie, iż przeciw niej walczyć będzie ciasny, brudny interes osobisty, ukryty pod barwą przywiązania do tak nazwanych pamiątek z ojczyzny wywiezionych; Bem także (tej myśli) zrozumieć nie mógł.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 7 stycznia 1833.

Bem zaczepił o legię trochę ni w pięć, ni w dziewięć, nie licząc się z tem, cośmy mu mówili, a szczególniej Prószyński. Tenże często ma sposobność mówienia o legii z królem, który jej pragnie, ale czeka, jak mówi, odpowiedniej chwili. Propozycya Bema nie mogła skutku otrzymać; nie zaszkodziła, ale na list swój do ministra nie otrzymał odpowiedzi. Wyjechał do Bruxelli a wkrótce i do Paryża wraca. Mrozy, zdaje się, zawieszą na czas do reszty możność ruchów; przecież Holendrzy zbierają się i ruszają i przechodzą z miejsca na miejsce. Gdyby przyszło do guzów, byłaby to gratka dla nas Polaków. Król widocznie na nas rachuje do rozstrzygających działań. Prószyńskiego bardzo ceni. Ja też Prószyńskiemu tak się usuwam, że zdaje mi się, iż jego podejrzliwość względem mnie upadła. Zdaje mi się nawet, że już mu zawdzięczam życzliwe o mnie słowa. Moje starania o umieszczenie w jakim pułku musiały go przekonać, jak mało zamierzam forytować się u dworu i o łaski ubiegać. To jego słabostka i o to dobija się z umiejętnością i pilnością, mogącą przydać się wszelkiej sprawie, w której korzyść swą upatrzy. Dobrze się prowadzi i do pewnego stopnia można na niego liczyć. Mówię o tem, bo Bem cierpiał na znaczeniu, do którego Prószyński tu doszedł. Nauczmy się uważać, jako pożytek dla sprawy, wszelkie znaczenie i poważanie, zdobyte przez którego z naszych,

tak długo, jak on się nie sprzeniewierzy. Proszę to Bemowi tłomaczyć. Ja zacząłem.»

《Ostatecznie zamiar utworzenia legii polskiej w Belgii nie przyszedł do skutku; rozbił się o opór, stawiany przez ministrów francuskich «du juste milieu[1]». Rząd Ludwika Filipa zarówno obawiał się narazić Moskwie, jak wyzwolić Belgię od zależności, w której usiłował utrzymać ją względem siebie.》

Z zapatrywaniem Francyi na sprawę belgijską zapoznał się Zamoyski u najlepszego źródła, bo od pełnomocnika francuskiego na konferencyach belgijskich w Londynie. Pisał o tem w rok później (2 lipca 1833) do x. Adama: «W rozmowie z x. de Talleyrand zapytywałem o Belgię; mówił z gniewem o myśli, by mogło istnieć nadal wojsko belgijskie: «Belgia jest krajem neutralnym, wystarczyć jej musi zbrojna policya. Król Leopold nie powinien być niczem innem, jak wielkim panem ukoronowanym, północnym Medyceuszem itd.; jeśli chce być czemś więcej, będzie czemś mniej. I przeciw komu to wojsko? On i tak nie może bronić się o własnych siłach, bez pomocy Francyi i opieki Anglii.» — Bardzo wątpię, by król Leopold i izby belgijskie zgodziły się na to. Prószyński pisze, że naszych król obiecuje zachować.»

Król Leopold nie tylko usiłował Polaków w służbie swej zatrzymać, ale dał im w tym czasie, w osobie jednego z nich, wielki dowód uznania.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 1 lutego 1833.

Co też powiedzą Moskale, że «buntowszczykowi» Prószyńskiemu król Francuzów dał krzyż legii honorowej. Wyznaję, iż niemało podnosi w moich oczach służbę tu-

---

[1]) Tą nazwą określano stronnictwo drobnomieszczańskie, które było podporą tronu Ludwika Filipa.

tejszą możność zasłużenia sobie na tę wstążeczkę czerwoną, której połączenie z niebieską (polską) taki zawsze na nasze oczy wywiera urok. Król Leopold bardzo się w tym przypadku dobrze pokazał i życzliwie, gdyż łatwo mu wierzyć można, jakim to trudnościom oprzeć się przyszło, by króla Francuzów do tego kroku nakłonić. Zacny on jest i nam nader życzliwy. Prószyńskiego ściskał przy oddaniu mu krzyża i sam się radował. Ale szkoda, że nie jest trochę tęższy w postępowaniu. Z tym narodem łatwoby mu to przyszło, tylko potrzebowałby więcej sam działać i za sobą prowadzić. On przeciwnie zbyt często dopuszcza, że ci ludzie, na ogół źle wychowani, mu ubliżają.»

Bardziej jeszcze, niż rozchwianie się zamiaru legii polskiej w służbie króla Leopolda, martwiły Zamoyskiego zawiści i lekkomyślne oskarżenia, jakie, wraz z napływem Polaków do Belgii, wkrótce i tam boleśnie odczuć się dały. Ofiarą ich padł jen. Chrzanowski, przybyły do Bruxelli, na początku grudnia 1832, w nadziei wstąpienia do wojska belgijskiego.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 25 grudnia 1832.

Uważam z żalem, iż przybycie Chrzanowskiego rodaków naszych, tu służących, bardzo zaniepokoiło, zwłaszcza wszystkich drobnych. Z Paryża dochodzą o tem podobnież wielkie krzyki. Ja tu naszym perswadowałem, że, gdy Chrzanowskiego za czystego uważają xiążę, Dembiński, Dwernicki, a nareszcie i ja, to na tem polegać mogą. Zaciętość Bema przeciw Chrzanowskiemu i mniemanie, że jego obecność w tutejszem wojsku może być zawadą w formacyi legii, chociażby był oddzielnie użyty, to wszystko zdało się obruszyć samego Prószyńskiego. Napisał do ministra wojny, zapytując poufnie, czy już co postanowił względem Chrzanowskiego i radząc, jeśli nie, by się wstrzymał z umieszczeniem go. Usunięcia Chrza-

nowskiego będę żałował, bo sądzę, że on mógł się wyrobić i wykształcić.»

Władysław Zamoyski do pułkownika Kruszewskiego[1]:

«Antwerpia, 31 grudnia 1832.

Xiążę pisze do mnie z Paryża: «Dowiaduję się, że Polacy w służbie belgijskiej pisali do komitetu Dwernickiego[2]), oświadczając, że chcą porzucić służbę, jeżeli Chrzanowski do niej wejdzie. Czy to podobne? Zmiłuj się, rozpowiedz Kruszewskiemu, gdzie jest słuszność i obowiązek. Nie prześladujmy się między sobą. Komitet odpisuje, że Chrzanowski pozostał w Warszawie z Moskalami (8 września 1831), ale Chrzanowski miał dymisyę i, gdyby nie pozostał, byłby wisiał[3]).» — Takie jest zdanie xięcia, dodam i moje. Jakim jest Chrzanowski, jakiem jego sumienie, o tem jeden Bóg, jak o każdym z nas, wiedzieć może. Nam też ani jego, ani kogokolwiek sądzić z czego innego, jak z czynów tylko. A ci, którym czyny Chrzanowskiego dokładnie są wiadome, nie uznają w jego postępowaniu nic hańbiącego. Zarzucić mu błędy, wielkie błędy, ja pierwszy gotów jestem; lecz kto z pomiędzy ludzi błędu nie popełnił, zwłaszcza na wysokich stopniach? Ale obok błędów policzę zasługi, zalety, dowody chętnego i światłego poświęcenia dla sprawy. Krok ostatni (pozostanie w Warszawie) jest najsmutniejszym wypadkiem, jaki dla Polaka pojąć mogę. Lecz w chwi-

---

[1]) Ignacy Kruszewski (1799—1879), były dowódca 3 brygady 3 dywizyi jazdy, przyjęty do służby belgijskiej wkrótce po upadku powstania, dowodził wówczas drugim pułkiem strzelców konnych w Kermpt. Mianowany jenerałem belgijskim w 1842, podał się do dymisyi w 1852 i osiadł w zaborze austryackim.

[2]) Komitet ten, zawiązany w Paryżu 22 października 1832, tworzyli jenerałowie: Dwernicki, Sierawski, Umiński; posłowie: Ledóchowski, Morawski, Jełowicki, Wołowski; sekretarz Rządu Narodowego Plichta i referendarz stanu Hube.

[3]) Klubiści warszawscy, którzy w dniu 15 sierpnia 1831 wydali na Chrzanowskiego wyrok śmierci, pociągnęli po upadku Warszawy za wojskiem do Modlina.

lach rozpaczy, a niestety i bezrządu wewnętrznego, ktoby śmiał drugich sądzić według zasad przyjętych w zwyczajnych okolicznościach! Iluż to zacnych obywateli właśni rodacy w różnych czasach i krajach wpędzili przez zbytnią surowość lub niesprawiedliwość na nieszczęsną drogę opuszczenia szeregów narodowych zwłaszcza, gdy te krwią własną się zalewały. Dosyć przytoczyć Lafayette'a[1]). Słusznie xiążę powiada, że Chrzanowski miał tylko wybór między tą ostatecznością a poddaniem się pod nienawiść i zemstę osobistą zbójów z dnia 15 sierpnia. Inne zarzuty jemu czynione o związkach z Moskalami, ja sam wiem dowodnie, iż są czystym fałszem. Życzeniem jego jest skromnem a wytrwałem trzymaniem się drogi wojskowej nie tylko nabierać zdatności, ale powoli zasłużyć na zaufanie rodaków i, jeżeli trzeba, na ich przebaczenie. A któż z nas tak doskonały, aby czasem przebaczenia nie potrzebował? Na ostatku powiem, że nie idzie mi dziś o osobę Chrzanowskiego, ale o sposób, w jaki niektórzy rodacy w tej rzeczy postąpili. Taka krzywda na całą sprawę naszą w oczach obcych niechybnie spaśćby musiała.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Antwerpia, 1 stycznia 1833.

Z żalem przychodzi mi donieść, że przyjęcie Chrzanowskiego na teraz już się podobno nie uda. Rząd już wie o krzykach i niespokojnościach smarkaczy naszych i wstrzymuje się przed niemi, chociaż minister sam przyznaje, iż widzi w nim zdatność niezwyczajną.»

W liście do jen. Dembińskiego z 4 stycznia 1833 Zamoyski nazywa pismo komitetu Dwernickiego (z 26 grudnia 1832) do belgijskiego ministra wojny «paszkwilem pełnym fałszu», wylicza oskarżenia w niem zawarte i zbija je punkt po punkcie:

---

[1]) Jenerał Maryan Józef margrabia Lafayette (1757—1834), po daremnem usiłowaniu wyratowania Ludwika XVI w 1792, schronił się do posiadłości austryackich.

«1. — «Chrzanowski został w Warszawie z nieprzyjacielem w chwili, gdy całe wojsko musiało miasto opuścić.» — Nie powiedzieć, że Chrzanowski poprzednio otrzymał dymisyę z wojska, jest to zarzucić mu dezercyę i przejście do nieprzyjaciela, co jest z prawdą niezgodne.

2. — «Podczas gdy jenerałowie polscy, którzy z towarzyszami broni nie wyszli na emigracyę, wszyscy wysłani byli w głąb Rosyi, on należy do małej liczby tych, którym dozwolono spokojnie w Warszawie pozostać.» — Moskale przeszło dwudziestu jenerałów naszych pozostawili w kraju; między nimi zostali jenerałowie: Klicki, Kołaczkowski, Ledóchowski, Lewiński, Szydłowski, Muchowski, Czarnomski, Młokosiewicz itd.

3. — «Przysięga złożona carowi.» — Do złożenia nowej przysięgi Moskale przymusili wszystkich mieszkańców; wojskowych zaś zmuszono do przysięgi na piśmie i podpisania się w stopniu, jaki mieli sobie nadany od władzy moskiewskiej przed wojną.

4. — «Chrzanowski otrzymał paszport za granicę w dawnym swoim stopniu podpułkownika.» — Tak samo postąpiono z jenerałami Kołaczkowskim i Lewińskim, którzy obaj otrzymali paszport na czas ograniczony w stopniach, jakie mieli przed wojną.

5. — «Następnie pojechał do Paryża.» — Każe się dorozumiewać, że za paszportem moskiewskim, co nie jest prawdą. Jen. Chrzanowski miał paszport moskiewski do Galicyi na miesięcy trzy. Po upływie tychże, naglony do powrotu przez rząd austryacki, oświadczył, że chce należeć do emigrantów polskich; internowany z innymi w Brünn, za paszportem francuskim przybył do Paryża.

6. — «W Paryżu nigdy nie był zaliczany do emigrantów polskich.» — Jakież to są warunki należenia do emigracyi? Jedyna cecha prawna należenia do emigracyi we Francyi jest ta, iż Polak, poddany rządu moskiewskiego, znajduje się we Francyi za paszportem rządu francuskiego, nie wizowanym od posła moskiewskiego.

«Komitet poczytywał sobie za obowiązek te szczegóły podać do wiadomości ministra, ażeby zadosyć uczynić honorowi narodowemu.» — Te szczegóły, te przytoczone fakta są albo fałszywe, albo w fałszywem świetle przedstawione. Jakim sposobem podanie ich ma zadosyć uczynić honorowi narodowemu, nie można sobie wytłomaczyć.»

Władysław Zamoyski do jen. Michała Mycielskiego:

«Bruxella, 7 stycznia 1833.

Niestety mamy już wskazówki o wrażeniu, jakie nieszczęsne pismo komitetu robi na samychże cudzoziemcach. Zadziwiło ono życzliwego sprawie naszej króla. Nie czas już dziś może zapobiedz temu złemu, ale czas upomnieć po bratersku członków komitetu; czas ludziom zacnym, którzy w tym czynie nie mieli udziału, odezwać się za nietykalnością honoru rodaka, nad którą czuwać było właśnie obowiązkiem komitetu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Bruxelli, 12 stycznia 1833.

Chrzanowski wyjechał; rzecz z nim tu skończona. Dobrze zniósł pismo komitetu, które mu minister wojny w niepojętej naiwności pokazał; uważa, że ono oddaje mu znakomitą przysługę i słusznie.

W każdem społeczeństwie bardziej wyrobionem pod względem moralności politycznej, niż nasza większość, czyn taki obaliłby władzę, którąby sobie nań pozwoliła... Zresztą ci ludzie chyba oszaleli, zapominają, że, jeśli nie najliczniejsza, to najpoważniejsza część emigracyi ich władzy nie uznała. Gdy się widzi na ich czele dwóch, którzy życie spędzili na odrwiwaniu swoich wierzycieli, i trzeciego, który od dwudziestu lat utrzymuje się z żebraniny, trudno zrozumieć, jakie oni rękojmie dawać mogą.

Odsyłam list do Bema, żal mi go nie czytać. Zapewne jest w nim ojcowska bura za niechęć przeciw Chrzanowskiemu. W oczach Bema największa, jak się teraz przekonałem, zbrodnia Chrzanowskiego, jest ta, że mu zawadza. Bem chce mieć w Wuju oparcie, być przy

nim pierwszy z wojskowych, a widząc Chrzanowskiego na tej samej drodze, czuje, że się wobec niego nie ostanie. Chrzanowski nie może być dla Bema narzędziem, a zatem jest przeszkodą. Na uśpienie sumienia sam w siebie wmawia i drugim dowodzi, że Chrzanowski zawsze był i będzie szkodliwym. Bem powinien pracować pod Wujem, ale nie trzeba dozwolić, aby stawiał się na równi z nim. To samo stosuje się do Chrzanowskiego. Chrzanowski przypuszcza możność wyniesienia się na najwyższe stanowisko za wpływem tego rządu obcego, który nas z powrotem do kraju doprowadzi. Bem liczy, że otrzyma to pierwsze stanowisko wyborem wojskowych na emigracyi. Obaj poddaliby się Dembińskiemu w nadziei pokierowania nim albo zastąpienia go w niedługim czasie.

Przepraszam, że tak się rozpisuję. Zdaje mi się, że trzeba nam się wystrzegać skłonności przypisywania otaczającym nam ludziom bezinteresowności i bezwzględnego poświęcenia. Nie mam osobiście nic przeciw Bemowi, ale zdaje mi się, że spostrzegłem w nim trochę więcej zajęcia się sobą i mniejszą zdolność do poświęcenia, niż to się zwykle okazuje w ludziach przeciętnej wartości.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 20 stycznia 1833.

Twoje spostrzeżenia o Bemie i Chrzanowskim mają wiele trafności, jednak sądzę, że nadto ostre. Ludzie naprzemian dają się wieść dobremi i złemi powodami, które nieraz jednocześnie nimi kierują. Ani jednych, ani drugich nie mogą się pozbyć, chyba że są, co bardzo jest rzadkie, bardzo dobrzy lub zupełnie źli. Jednak spostrzeżenia nie będą stracone.»

X. Adam zamierzył udać się pod koniec 1832 roku do Anglii, zatrzymało go jednak w Paryżu otwarcie izb francuskich (19 listopada 1832). Najlepsza to była chwila z całego roku do poruszenia we Francyi sprawy polskiej. Sposobność do tego dawały rozprawy izb nad adresem do

króla w odpowiedzi na mowę tronową. W tych adresach izby wyrażały królowi swoje żądania, tak co do spraw zewnętrznych, jak wewnętrznych. Do układania adresów wyznaczała każda z izb komisyę; prezesem jej był prezes samejże izby. W tych to komisyach omawiano wniosek o Polsce, który następnie umieszczano w adresie, jako paragraf dodatkowy czyli tak zwaną poprawkę, «amendement».

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 22 listopada 1832.

Chodzimy bardzo za uzyskaniem kilku słów za nami w adresie. Z parami szczególnie trudna sprawa. O to chodzi, żeby i ministrowie nie byli przeciwni. Ważną rzeczą, żeby się obie tutejsze izby odezwały; ich milczenie źleby się w parlamencie (angielskim) wydało. Ich słowa tam się odbiją.»

Po przeczytaniu pierwszego projektu poprawki, ułożonego w komisyi izby poselskiej, Zamoyski pisał do x. Adama z pod Antwerpii (2 grudnia 1832): «Wzmianka o nas w adresie, jakkolwiek zdaniem naszem licha, czyni wielkie, bo niespodziewane wrażenie za granicą. Wszyscy rodacy widzą w tem działanie Wuja.»

Udało się xięciu uzyskać coś więcej. Na posiedzeniu izby niższej 3 grudnia 1832 poseł Bignon[1]) wniósł poprawkę, w której powoływał się w sprawie polskiej zarówno na prawa i traktaty, jak na uczucia ludzkości. Poprawka ta brzmiała: «Współczucie Francyi dla bohaterskiego narodu zwiększyło się wraz z niesłychanemi nieszczęściami, jakie go gnębią. Sprawa tak droga narodowości polskiej, poręczonej prawem narodów i traktatami, nie przestanie zajmować uwagi rządu. Okoliczności się zmieniają; sprawiedliwość, prawo pozostają niezmienne. Jeżeli głos polityki europejskiej, który, mamy nadzieję,

---

[1]) Ludwik Edward baron Bignon (1771—1841), członek izby deputowanych, później par Francyi, były poseł Napoleona w Warszawie.

nie zawsze podnosić się będzie napróżno, dotychczas nie mógł być wysłuchanym, niechże wysłuchanym przynajmniej będzie, i to bezzwłocznie, głos ludzkości.» Powyższa poprawka przyjętą została przez całą izbę z wyjątkiem jakich dwudziestu głosów [1]).

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

«Bruxella, 6 grudnia 1832.

Wniosek pana Bignon, jego wyśmienita mowa, rozprawa i głosowanie w izbie, wszystko obudziło we mnie prawdziwą wdzięczność dla Francyi. Myśmy popełnili niedorzeczność, gdy kilku szaleńców nakłoniło nas do wygłoszenia, że «już niema Mikołaja»; oby teraz Europa okazała, że Mikołaj szaleństwo popełnia, gdy głosi, że naród polski już nie istnieje. To jedyna korzyść, do której ostatnie nasze wysiłki dają nam prawo.»

Ledwo się skończyła praca nad wprowadzeniem wzmianki o Polsce do adresu, rozpoczęła się druga, na razie bardziej jeszcze nagląca. W 1832 roku rząd francuski wydał na «żołdy» dla wychodźców dwa i pół miliona franków; chodziło o to, by i na rok następny podobną pomoc im zapewnić. Po niemałych trudach i zachodach uzyskano ją w kwocie 2.124.525 franków [2]).

O sprawach bieżących wśród emigracyi paryskiej xiążę pisał w tych czasach do Zamoyskiego:

«(22 listopada 1832) Nasi sejmują, choć bez kompletu. Jak Georges Dandin gwałtem chcą urzędować. Mnie się wydaje, że to z nudów; nie mają co robić, ale skutki opłakane.»

---

[1]) Izba parów nie wprowadziła wzmianki o Polsce do swego adresu ani w tym roku, ani w kilku następnych latach, dopiero z 1838 na 1839 odezwała się za nami i to bardzo słabo.

[2]) W rzeczywistości sumę tę znacznie przekroczono. Żołdy w 1833 roku wyniosły dla 4627 Polaków 2.224.108 fr. Pozatem wypłacono wychodźcom: na zapomogi 143.920 fr., na podróże 200.642 fr., na szpitale i lekarstwa 34 128 fr. Ogółem 2.602.798 fr.

«(4 grudnia 1832) Gustaw Małachowski przyjechał[1]). 29 listopada odbyło się zebranie, na którem nie byłem. Nasi demokraci opluli na niem Polskę, ile tylko mogli[2]).»

«(12 grudnia 1832) Jest w tej chwili jakaś zmiana dla nas na lepsze. Stary marszałek (Soult) daleko łaskawszy. O Portugalii znowu przebąkują. Mania sejmowania zawsze wre, ale pojęcia zdrowsze, jeśli się nie mylę, pomnażają się tu i w zakładach między naszymi. Pozzo (di Borgo) skarżył się x. de Broglie, że mnie przyjmuje. Taż sama scena, jaką lordowi Grey zrobiono w Londynie i takaż odpowiedź, nawet lepsza.»

«(26 grudnia 1832) Nowe zajście utrudnia otwarcie sejmu. Rząd za jakieś proklamacye dał rozkaz komitetowi Lelewela, aby z Paryża się oddalił[3]). Jest tam czterech posłów podpisanych. To dowodzi, że nasze obawy o sejm były słuszne. Tworzy się tu assocyacya, mająca jedynie na celu wychowanie naszej młodzieży. Jest naj-

---

[1]) Gustaw Małachowski (1797—1835), syn Stanisława, jenerała wojsk X. Warszawskiego i Anny z Stadnickich. Po ukończeniu nauk w liceum warszawskiem pracował 1815—1819 w petersburskiem ministeryum spraw zagranicznych pod Capo d'Istria; uczestniczył w kongresie akwizgrańskim 1818 i karlsbadzkim 1819. Wybrany posłem do sejmu Królestwa w 1827. W czasie powstania od 31 stycznia do 17 sierpnia 1831 pełnił obowiązki ministra spraw zewnętrznych; po morderstwach sierpniowych, złożywszy urząd, udał się jako ochotnik do korpusu Ramoriny, a następnie Różyckiego. Na emigracyi stanął w szeregu tych, którzy pod x. Adamem składali służbę dyplomatyczną polską.

[2]) Zebranie to odbyło się staraniem komitetu polsko-francuskiego w opactwie Saint Germain des Prés, pod przewodnictwem jen. Lafayette. Wystąpili na niem licznie najzagorzalsi demokraci polscy, między innymi Krępowiecki. Ten ostatni w francuskiej przemowie dowodził słuchaczom, że powstanie 1830 roku wywołane było przez szlachtę w celu ujarzmienia chłopów i zamienienia ich w niewolników.

[3]) Komitet wydał w grudniu 1832 po francusku odezwę: «Do braci Rosyan». Pozzo di Borgo skorzystał z niej, by wymódz na x. de Broglie wydalenie Lelewela i towarzyszy.

lepiej złożona i może mieć najkorzystniejsze rezultaty[1]).»

«(20 stycznia 1833) Różne rzeczy wstrzymały mnie tu nie bez korzyści. Projekt Sienkiewicza przyszedł do skutku pod inną formą, o czem powiem przy widzeniu się[2]). W Anglii bardzo mi brakować będziesz, żeby popęd dawać.»

Wiadomości odbierane z Londynu nie były zachęcające. Między innemi xiążę posłał Zamoyskiemu «ciekawy» list Niemcewicza o nieprzychylności dla Polaków życzliwego dotąd x. de Talleyrand, a posyłając go, pisał: «Co znaczy taka zmiana w Kulawym? Czyż podobna, aby się zwierzał xiężnie Lieven, że tak nam niechętny ten stary łajdak?»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 12 stycznia 1833.

List Niemcewicza nierozweselający. Szczęściem nie od kilku ministrów zależą wielkie sprawy ludzkie. Nie oni światem rządzą. Przyszłość nasza od nich nie zawisła, dlatego samego może, że daleka, a oni daleko ani widzą, ani patrzą, niczem nie kierują, baczne tylko oko zwracają na to, co się dzieje i pchają tam, gdzie upatrują najlepsze widoki. Obojętna, nielitościwa mowa Kulawego może

---

[1]) Towarzystwo pomocy naukowej, założone 29 grudnia 1832. Prezesem obrany został x. Adam Czartoryski, sekretarzem Aleksander Jełowicki. Radę składali: jen. Kniaziewicz, jen. Pac, B. Niemojowski, A. Mickiewicz, Cezary i Ludwik Platerowie, wreszcie dr Karol Marcinkowski, późniejszy założyciel poznańskiego Towarzystwa pomocy naukowej.

[2]) Dnia 21 stycznia 1833 x. Czartoryski, Stanisław Barzykowski, jen. Bem, jen. Dembiński, Ludwik Plater, Gustaw Małachowski i Józef Świrski, poseł hrubieszowski, podpisali ustawę związku tajnego, któremu dano nazwę «Stowarzyszenie jedności narodowej». Usiłowania jego miały na celu utrzymywać w całej sile ducha narodowości, dążyć do połączenia stronnictw i przygotowywać społeczeństwo do korzystania z pomyślnych wypadków, jakieby nadarzyć się mogły. (Emigracya polska. L. Gadon. T. II, str. 226)

pochodzi od natrętności poczciwego Niemcewicza. Jeśli obali chwilowe illuzye nasze, a zostawi nietykalną nadzieję i wiarę w dalsze losy, tem samem może wzmocni nas, choć ujmie codziennych urojeń, któremi się dusza bawi, w których znajduje jakby spoczynek, ale zarazem mitręgę.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 20 stycznia 1833.

Próbuję, czy list mój zastanie Wuja kochanego (w Paryżu). Wartoby przed wyjazdem przypuścić jeszcze jeden szturm do ministra spraw zagranicznych, albo do ministra spraw wewnętrznych, lub do marszałka o trudności, czynione Polakom na granicy. Niech zważą, że to jest niegodziwość, że przeciwi się prawu, dającemu przytułek Polakom. Te przeszkody tamują wnijście do Francyi tylko takim, których zwyczajem jest poddawać się istniejącym przepisom; inni w pierwszym urzędniku francuskim na granicy znajdują opiekuna, który im ułatwia wejście. Tym sposobem zaraz na wstępie rząd traci ich ślad i traci nad nimi wpływ udzielonego dobrodziejstwa.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 1 lutego 1833.

Już tedy Wuj kochany jest w Londynie; dochodzi mnie o tem wieść z różnych stron. Pospieszam z przesłaniem dziś udzielonych wiadomości z kraju. Pani Raczyńska pisze do syna[1]), że, przy ogólnem «przenoszeniu» ludności, z jednego jej majątku wywieziono trzydzieści rodzin i sześćdziesiąt szlachty czynszowej.

Rząd pruski nie zwalnia w niczem ze śledztw i procesów kryminalnych. Stan niepewności i obawy trwa ciągle w Poznańskiem. Jednych skazują na wyprzedanie się, drugich na wielkie kary pieniężne, najliczniejszych, niemajętnych na uwięzienie rozmaite. Panna Emilia

[1]) Bernarda, z pierwszego małżeństwa z Janem Potockim.

Sczaniecka[1]) skazana na piętnaście miesięcy więzienia, oprócz szkód, jakie na majątku ponosi. Niedawno aresztowano w Poznaniu i do Głogowy zawieziono byłego urzędnika pruskiego, Szumana[2]), bardzo dobrego Polaka, i profesora Libelta[3]) za jakieś podejrzenie polityczne. Papiery ich zabrano, a że trudnili się ułatwianiem komunikacyi między wygnańcami a ich rodzinami pod rządem moskiewskim zostającemi, wielka stąd obawa. Rządy, chcące poprzestać na jednem tylko upominaniu się o złagodzenie dzikiego postępowania i zemsty na osobach wywieranej, znajdą w tych szczegółach nowy powód do odezwania się, — lecz o powody nie trudno; chęci niema.»

---

[1]) Emilia Sczaniecka (1804—1896), powszechną otoczona czcią za poświęcenie, z jakiem pielęgnowała rannych w szpitalach warszawskich podczas wojny 1831 roku.

[2]) Pantaleon Szuman (1782—1849), urodzony w Pile w Wielkopolsce. Za X. Warszawskiego był prokuratorem przy trybunale siedleckim. Po 1815 z polecenia rządu pruskiego tłomaczył powszechne prawo krajowe na język polski, został radcą rejencyjnym, jako prezes ustanowionej w 1822 komisyi jeneralnej przeprowadził znaczną część regulacyi włościańskich w Poznańskiem, podczas rządów Flottwella w 1832 podał się do dymisyi. Uwięziony 14 stycznia 1833 za sprawą ajenta prowokatora Rosena, oskarżony o zbrodnię stanu i udział w ruchach rewolucyjnych niemieckich, przesiedział dwa miesiące w domu cholerycznym, a trzy lata w Magdeburgu, w więzieniu o oknach zawartych okiennicami. Nareszcie dla braku dowodów uwolniony, ale skazany na wygnanie z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska, osiadł na Pomorzu w Nowym Szczecinku. Po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV wrócił w ojczyste strony. Od 1841 do 1849 posłował w Poznaniu i Berlinie. Zmarł powszechną czcią otoczony w majątku swym Kujawkach, w Wielkopolsce, pochowany w Czeszewie.

[3]) Karol Libelt (1807—1875), matematyk, filozof. Był jednym z przywódców ruchu umysłowego w Poznaniu, skazany na śmierć po nieudanym wybuchu 1846, ułaskawiony na dwadzieścia lat fortecy; po dwóch latach więzienia uwolniony, brał wybitny udział w wypadkach 1848, posłował na sejm pruski do 1867. Żonaty 1° v° z Elżbietą z Jaworskich, 2° v° z Maryą z Szumanów, córką Maurycego, brata Pantaleona, opiekuna swych młodych lat.

W innych listach z tego czasu Zamoyski pisał: «Trudności dostania się do kraju, również jak wydostania się zeń, niesłychane. Andrzej (Zamoyski) dwa miesiące czekał na paszport do Wiednia dla poradzenia się lekarzy o chore dziecko, a w końcu niemiłosiernie mu go odmówiono[1]). August (Zamoyski) mimo wszelkich zachodów nie otrzymuje pozwolenia na odwiedzenie rodziców. Bernard Potocki, od granicy pruskiej tu wrócony, jedzie do Paryża. Oświadczyli wyraźnie, iż nie puszczają bez wizy posła moskiewskiego.»

Jednocześnie x. Adam przysłał Zamoyskiemu list brata jego Jana z Petersburga z opisem męczeństwa dwunastu żołnierzy polskich, ubitych na śmierć knutami w Kronsztadzie, 4 listopada 1832, za to, że odmówili złożenia przysięgi carowi[2]). Podobnąż śmiercią zginęło czterech żołnierzy w Berdyczowie, a kilku innych w Janowie. Ten ostatni wyrok wykonany był w obecności jen. Gorczakowa.

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 8 lutego 1833. Charter street,
Grosvenor square.

Tu rzeczy zastałem niebardzo dobrze. Wszyscy zdają się oziębieni, a to dlatego, że tak ważne mają na głowie interesa: Kościół irlandzki, Indye, Bank (dług państwowy); więc o nas ani słowa. Na nowo budować trzeba. Ministrowie zupełnie niemi i lodowaci; z Palmerstona ani

---

[1]) Natomiast w kilka miesięcy później musiał opuścić Kraków z umierającem dzieckiem i chorą żoną.

[2]) Szczegóły o wykonaniu barbarzyńskiego wyroku w Kronsztadzie spisane zostały przez naocznego świadka, Anglika, kapitana okrętu, Roeckinghama i przez niego posłane sekretarzowi Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski w Hull, «w nadziei, że wzbudzą w Anglikach chęć wspierania cierpiącej ludzkości». Pismo swoje kończył Roeckingham słowami: «Kiedy ujrzałem jedną z ofiar, przechodzącą koło mnie w postaci z krzyża zdjętego Chrystusa, wrażenie, jakie wtedy odebrałem, nie zatrze się nigdy w mojej pamięci». (Z Pamiętnika emigracyi Michała Podczaszyńskiego. Część II 1832—1833.)

słowa nie mogłem wydobyć, lorda Grey jeszcze nie widziałem. Assocyacya prawie rozbita, potrzebuje nowej organizacyi. Ja z Niemcewiczem nie możemy sobie dać rady.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 21 lutego 1833.

Assocyacya na nowo się organizuje. Bach pozostaje sekretarzem z drugim, młodym Mackenzie, który jest wyborny. Fergusson zawsze w dobrych chęciach. Medal[1]) czyni go jeszcze serdeczniejszym, szczerze przywiązanym i gorliwym. Cała trudność w tem, jak naszą sprawę na nowo wnieść, o co się dopominać. Czy znowu o papiery prosić? To już było. Prosiłem, ażeby się kilku przychylnych zebrało i naradziło, co i jak zrobić. Ja wziąłem za prawidło nie narzucać się oziębionym; zdaje mi się, że to na nich najlepszy sposób. Kulawy zaprasza na obiadki, ale o sprawie ani słowa nie mówiliśmy; wiem, że to do niczego nie prowadzi i że z Paryża do niego o tem nie piszą[2]). Tu będący Turek (poseł) radby nas mieć w Turczech, mnie do rady, a naszych wojskowych za sztabowych i organizatorów; mówi, żeby powiat lub wyspę nam dali. Przewiduję, że to są tylko słowa,

---

[1]) Dłuta Oleszczyńskiego, wybity w Paryżu staraniem x. Adama na cześć Fergussona.

[2]) X. de Talleyrand nie chciał ani słowem podniecać polskich nadziei, lecz wobec rządów Francyi i Anglii używał tych samych argumentów przeciwko Moskwie, co x. Adam. Dnia 6 stycznia 1834 pisał do x. de Broglie: «Nie pomijam żadnej sposobności, by zwracać uwagę ministrów angielskich na zaborczą politykę Rosyi. Moje słowa zdają się wrażenie wywierać na lordzie Palmerston.» 12 sierpnia tegoż roku: «Jestem bardzo uderzony polityką zaborczą, jednostajnie wytrwałą i przezorną, Rosyi, która wtedy tylko przyspiesza kroku, kiedy trzeba zręcznie korzystać z pomyślnej chwili. To jedynie mnie tutaj zajęło jako istotne niebezpieczeństwo, przeciw któremu cywilizowana Europa potrzebuje ścisłego połączenia sił Francyi i Anglii.» (Mémoires du prince de Talleyrand. T. V, str. 226)

bo nigdyby Moskwa na nic podobnego nie zezwoliła. Wszelako on pisał do swego rządu i, gdyby coś istotnego w tem było, rzeczby była godną niemałej uwagi. Sprawa portugalska nic nie postąpiła i może lepiej; nie wiedzieć, po jakiemu tam idzie, jednak układy nie są zerwane, mogą się znowu zaczepić, ale nic się nie klei, wybór tylko w rojeniach.

Mostowski[1]) dowodzi, że teraz trzeba cicho siedzieć, że próżno pukać tam, gdzie nie otworzą i że te pukania i głosy za nami sroższe tylko sprawiają prześladowania, że więc przez litość i rozum wszystkiego na teraz zaprzestać należy. Powiedz, czy my źle robimy, tu popychając? Czy moglibyśmy wszystkiego zaniechać? Czy bieda może się powiększyć? Nareszcie, czyż możem wstrzymać sympatyę, zamknąć usta chcącym mówić?

Adam Matuszewicz odwołany raptem w sposób bardzo nieprzyjemny za to, że «nadto poluje». Dobrze mu[2]).»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«9 marca 1833.

Spotkałem się z nimi wszystkimi (ambasadą rosyjską) na raucie u Lansdownów; z Pozzo przez kilka minut o dwa kroki staliśmy oko w oko.

Bardzo mi adjutantów potrzeba nie tak z braku sił, jak z nudów i odchęcenia. Nie mogę wszystkiemu wy-

---

[1]) Tadeusz Antoni Mostowski (1766—1842), syn Pawła, wojewody pomorskiego, następnie mazowieckiego, prawnik i pisarz, minister spraw wewnętrznych X. Warszawskiego od 1812, a Królestwa Kongresowego od 1815—1830. Ur. w Warszawie, um. w Billancourt pod Paryżem.

[2]) Adam Matuszewicz, (1796—1842), wówczas pierwszy sekretarz poselstwa moskiewskiego w Anglii, następnie poseł w Neapolu i Sztokholmie. Lord Malmesbury w wspomnieniach swoich opowiada, że jesienią 1833 spotkał go na wielkiem polowaniu w Szkocyi i tak o nim mówi: «Ten Moskal — niegdyś Polak — jest człowiekiem zdolnym i ulubieńcem złotej młodzieży Meltonu, gdzie grono pierwszorzędnych jeźdźców goni za lisem na najlepszych angielskich wierzchowcach.»

dołać. Wizyty oddawać, biegać, do drzwi pukać, mówić z kobietami, z młodymi, nawet ze starymi, dotrzeć do gazeciarzy etc. etc. Prócz tego potrzebuję o ciebie się opierać, kiedy serce upada. Widoki nie są różowe, mimo rozterek (rządu angielskiego) z Moskwą. Co zaś do sympatyi ogólnej, ta zawsze krzepnie, jeżeli nie jest coraz odgrzewana. Długoby pisać o tutejszych okolicznościach. Są światełka, które smutną ciemność nieraz rozświecają, ale boję się długiej jeszcze niewoli. Przyznam ci się, że teraz bardziej do mieszkania we Francyi jestem skłonny. Przekonałem się, że tam dla nas jednak więcej jest szczerej skłonności i sympatyi a to jest jedyną osłodą biedy znaleźć twarze uprzejme i nieznudzone naszem utyskiwaniem. Gdyby tutaj żyć, trzebaby przejść chyba do drugiej klasy, gdzie więcej serdeczności można znaleźć.

Czy prawda, jak piszą gazety, że Kulawy przybiera nowy wpływ na Kamieniu Palmowym (Palmerstonie)? Cokolwiekbądź, oni o nas nie dbają teraz. Sobie dogodzą, dla nas nie zrobią nic.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bruxella, 5 marca 1833.

Wartoby napisać co w gazetach angielskich o niepojętej odwadze Matuszewicza w przyjęciu posady w Dreźnie, gdzie czynność jego zasadzać się będzie na dokuczaniu rodakom, znajdującym tam przytułek. Niemcewicz powinienby wyżartować go, że, tyle poświęciwszy, stracił łaskę i przez tych samych jest poniżony, którym wszystko poświęcił.»

Na uwagi Mostowskiego, przytoczone w liście x. Adama z 21 lutego 1833, Zamoyski odpowiada w współczesnych zapiskach:

«Przybierać pozory śmierci, cicho siedzieć, na nieczynność się skazać, oto — mówią — jedyna dla nas roztropna polityka. Obaczmy, czy ci, którzy nam ją radzą, zasługują na zaufanie i czy poprzednie ich rady były dla nas korzystne?

. . Gdyśmy mieli jeszcze broń w ręku, ci sami ludzie nalegali, błagali w imię przyszłości, byśmy sprawy naszej nie zdawali na losy wojenne, byśmy starali się zyskać na czasie, unikali krwi rozlewu. Oświadczali nawet gotowość zaniesienia do stóp cara wyrazu naszej bezwarunkowej uległości. Uroczyście brali na siebie zaręczenie w imieniu monarchy, że on przebaczy, zapomni i utrzyma zobowiązania, któremi nasze stanowisko polityczne było zapewnione. Naczelnicy nasi wojskowi, niestety, aż nadto słuchali tych zgubnych rad.

Upadliśmy, a Moskale niezwłocznie znieśli wszystko, co traktaty dla naszej obrony ustanowiły i cały kraj śmiertelnym pokryli całunem.

A cóż uczyniły rządy, które niedawno jeszcze zaręczały, szczerze czy nie, że car wyczekuje tylko pierwszego zwycięstwa, by się okazać łaskawym?

Rządy zamiast w rozpaczy Polaków i oburzeniu własnych poddanych znaleźć siłę przeciw Moskwie, wydają się niemi tylko onieśmielone i znudzone. Milczą o mękach narodu, wyrywającego się z rąk oprawcy, puszczają w niepamięć nawet własne urazy, byleby jakimbądź kosztem, choćby własnej godności, pokój z Moskwą utrzymać. Nie wstydzą się uchodzić za przyjaciół rządu, który podpisane wspólnie z niemi traktaty gwałci.

Gdyby zaś jaka głęboka rachuba doprowadziła nas do zupełnego milczenia, wnetby te rządy głosiły, że błogi pokój i porządek w Polsce zapanował, skoro jej jęków już nie słychać[1]).»

Rodzice Zamoyskiego przenieśli się pod koniec 1832

---

[1]) «L'ordre règne à Varsovie». Słowa hr. Sebastiani, francuskiego ministra spraw zagranicznych, w izbie deputowanych, 16 września 1831, nazajutrz po nadejściu do Paryża wiadomości o upadku Warszawy.

Gdy w roku 1847 córkę hr. Sebastiani, xiężnę de Choiseul Praslin, własny mąż zamordował, ktoś napisał na murach jej pałacu: «L'ordre règne à l'hôtel Praslin».

roku na dłuższy pobyt do Florencyi dla ratowania zdrowia pani Zamoyskiej, podkopanego wstrząśnieniami lat ostatnich i widokiem coraz to głębszej niedoli kraju; towarzyszył im, prócz dwojga najmłodszych dzieci, Elizy i Stanisława, syn Zdzisław.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Bruxella, 20 stycznia 1833.

Cieszy mnie, żeś się wziął do łaciny; we Włoszech i łatwiej i większa w tem przyjemość. Ufam, że sztuki piękne przemawiają do twego serca, chociaż one w pierwszej młodości mniej zajmują. Pojedź do Pizy; Campo Santo jest wykładem o sztukach pięknych we Włoszech. Tam właśnie w tych pierwszych próbach miło jest poznawać geniusz, mimo rażących obok niedoskonałości. W późniejszych dziełach, gdzie już więcej sztuki i nauki, a gdzie geniuszu brak, nie widać takich błędów, ale natomiast jednostajna mierność. Włosi słusznie mówią, że lada nieuk pozna przywary dzieła, ale że tylko znawca umie rozpoznać zalety. Uwaga ta, nie tylko do głazów i płócien się stosuje, ale bardziej jeszcze do ludzi, do życia publicznego i do naszych półgłówków, którzy wszystkich i wszystko sądzą, a jedynie niedoskonałości umieją spostrzegać. Przeto tylko tych cenią, co podobni są do malarza, obiecującego obraz wspaniały, ale który do wykonania go nie przystępuje nigdy. Słowem, całe zaufanie pokładają w ludziach bez wartości. Zapędzam się w obszerną rozprawę, powodem mi do tego haniebne dokuczanie Chrzanowskiemu; użyli całej siły, żeby mu zaszkodzić...

Chwytaj to dobre, co ci się w życiu nadarza, boć to zwykle krótkotrwałe. Trzeba unikać usposobienia, w którem to tylko zdaje się pożądanem, czego posiadać nie można. Skoro kogo losy osadziły na stałym lądzie, nie ma co marzyć o admiralstwie, ani odwrotnie.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Bruxella, 9 lutego 1833.

Ważyło się tu polepszenie położenia mego, rzecz dziś upadła; zostało mi z niej trochę zaszczytu, ale nie dochodu. Nowy komendant dywizyi zażądał mnie na szefa sztabu, ale że wojna odroczona, jako cudzoziemiec, nie mogłem tego otrzymać [1]). Do jednej wojny użyć nas chcą, jakby brytanów doświadczonych. Trzeba cierpliwości; ufam, że mi jej nie zabraknie, ale czy ojciec będzie jej tyle miał? Niech Matka ojcu powtarza, ile pragnę rodziców zadawalniać, nawet gdy się własnym rozumem rządzę i jakby mi ich niezadowolenie bolesnem było. Wszystkie dawne więzy serca coraz mi się stają droższe, coraz mniej skłonny jestem tworzyć sobie nowe; przeszłość mi wystarcza, bylebym jej szczątki utrzymał. Matka nie tylko o moją przyszłość się turbuje, ale pyta, co będzie z światem naszym dzisiejszym. Odpowiedź niełatwa. Nadchodzą tłumnie ogromne wypadki, wojna zasad, wstrząśnienie wszystkich żywiołów społecznych. Kto weźmie górę, ile czasu przed walką upłynie, jakie z niej skutki wynikną? Kto odpowie? Lecz wśród tylu niepewności, nie jestże najlepiej, nawet we własnym interesie, obrać sobie drogę do własnego usposobienia odpowiednią: cnotliwą, roztropną, przedewszystkiem stałą. W czasach spokojnych można wybierać drogę według okoliczności, do nich się stosując. Lecz kiedy wszystkiego na świecie

[1]) Dnia 26 i 27 marca 1833 toczyły się w belgijskiej izbie poselskiej rozprawy o przyjmowaniu obcych oficerów do wojska. Twierdzono, że zajmują uprzywilejowane stanowiska i że rząd krzywdzi Belgów na korzyść zagranicznych arystokratów. Zarzuty te wymierzone były głównie przeciw Polakom. Odpowiedział na nie po francusku ppułk. Roślakowski w «Nocie o polskich oficerach w służbie belgijskiej». Wykazał w niej, że tylko dwudziestu dziewięciu Polaków pozostało w wojsku belgijskiem, że zajmują stopnie raczej niższe, niż te, które im się należą, a dwaj tak zwani arystokraci (Zamoyski i Potocki) tyle mają przywileju, że służą bez żołdu.

losy się ważą, kiedy od najdrobniejszej iskry co chwila wybuchają pożary, wtedy wszelkie rachuby daremne i jedna już tylko cnota ratuje. Droga cnoty jest jasną, ale trudną, wymaga wielkiej siły. Siłę taką znajdzie tylko ten, kto sobie obierze stanowisko proste, szlachetne, w któremby znalazł zaspokojenie swych uczuć. Ja życia swego inaczej już pojąć nie mogę.

Kształcąc siebie samego, albo doczekam się wypadków moim życzeniom sprzyjających i w wypełnianiu pewnych obowiązków znajdę najwyższe szczęście, albo, jeżeli nie nadejdą te wypadki, cnotliwem, umiarkowanem, niezmiennem, a zawsze bezinteresownem postępowaniem zapewnię sobie spokój duszy i szacunek samych nawet nieprzyjaciół. W wykonaniu błądzić będę, siła nieraz na chwilę upadnie, lecz, po wyprobowaniu się wypadkami, wiem już teraz, że w zasadzie się nie zmienię.

O jakże mi tęskno do spotkania! Potrzeba mi gwałtem uściskać, wywnętrzyć się i porozumieć. Mój trzydziesty rok nasuwa mi rozmaite myśli. Lepsza połowa życia już minęła. Pierwszy raz spostrzegam, że muszę się spieszyć. Dotychczas zawsze żyłem myślą w przyszłości, mówiąc: «Mam czas przed sobą». To też umiałem czekać. Naraz spostrzegam się, że jestem na schyłku. Usiłowania, by sobie stworzyć zatrudnienie, rozrywają myśl na chwilę, lecz gdy się nie wiedzie, daje się odczuć nasz upadek. Wtedy serce żywiej czuje rany, ale niech to Matkę nie niepokoi, nie zniechęcam się i nie upadam na duchu. Poważnieję, ale w mizantropię nie wpadam. Możebym sobie tu dopomógł, żyjąc nieco wytworniej, nie zaś tak skąpo, jak się do tego wprawiam; przecież środek ten nie przystoi dziś Polakowi.

Wuj pisał mi z żywem uczuciem o liście ojca; wdzięczności za to dostatecznie wyrazić ojcu nie potrafię. Ratujmy ostatnie pozostałe nam dobro: jedność i miłość między nami. Ściga mnie w mojem osamotnieniu obawa stracenia was z oczu. Proszę Zdzisława, żeby mi o sobie

i o życiu, jakie prowadzi, donosił. A Staś[1]) czy uczy się czego? Smutno myśleć, że tak mu się psuje wychowanie. Nas wychował ojciec z uczuciem, że tak powiem, nie tylko troskliwem, ale i bezinteresownem, kształcił nas na ludzi, którzyby sobie radzić umieli; tego, bodaj, czy nie kształci nieco dla siebie, tłomacząc sobie, że to i dla Stasia najkorzystniejsza droga w tych trudnych okolicznościach. Wychowanie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby przeszkody nie pochodziły od tych właśnie, którym najbardziej zależy na dobrym jego wyniku.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Bruxella, 28 lutego 1833.

Życzyłbym, żeby Zdzisław w młodości swojej zaznał trochę szczęścia. Nie dziwię się smutnemu a nawet zgryźliwemu usposobieniu ojca; ale jakże mi żałośnie, że Zdzisław poddaje się temu. Pierwszy raz zarzucę mu wielką zarozumiałość. Kto mu daje prawo sądzenia tak stanowczo i ostatecznie o naszej przyszłości? Czy godzi się tak lekko rzucać na swój naród wyrok śmierci wiecznej? Nie jestże w zasadach wiary strzeżenie odwagi i nadziei? Któż lepiej od Matki kochanej może mu to tłomaczyć, uczucie to w nim budzić, zagrzewać? Wpływ Matki na nas zawsze był wzmacniający. Skądże mi obawa, żeby dziś inaczej było? Niestety, czyjeż siły po tylu trudach nie upadły? Lecz Matka posiada w sobie te siły, jak dawniej; do nich się odwołuję, od nich żądam wsparcia dla Zdzisława. On dziś jest nieczynny, zmęczony chwilowo, niczem silnie nie zajęty, oddany może zbytecznie na jego lata i stopień wykształcenia religijności, która go odosabnia od spraw i obowiązków doczesnych. Uczucia te fałszywie pojęte wszelką dzielność przytłumią, gdy przeciwnie dobrze kierowane największą dzielność sprawić mogą.

---

[1]) Najmłodszy brat, Stanisław, ur. w Warszawie 13 sierpnia 1820, um. w Podzamczu 27 czerwca 1889.

Matko moja kochana, strzeż Zdzisława od zbyt zimnego i niby praktycznego, a tyle jeszcze nieoświeconego sądu. Pewna to rzecz, że nic trudniejszego do zniesienia nad widok nieustannego zwycięstwa złego nad cnotą, przemocy nad poświęceniem, trafu nad przezornością i najlepszą, jak się zdaje, rachubą. Dla duszy zacnej to próba najtrudniejsza, ale czy dusza jego upadnie pod tą próbą? Wolałbym mniej wzniosłą duszę, jeżeli w wzniosłych uczuciach czerpie ona tylko zniechęcenie.

Wielką szkodą dla naszej przyszłości, że w ostatnich wypadkach nie zaszło dosyć tych wielkich, bohaterskich a nieśmiertelną sławą nagrodzonych czynów, któreby młodzież budziły do naśladowania, jak nas budziły w młodości imiona Kościuszki, Poniatowskiego.»

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

(początek 1833.)

«Broń się od napadów rozpaczy, zniechęcenia, zbrzydzenia sobie świata i samej nawet przyszłości. Nie pozbawiaj się nadziei. Pamiętaj, byś w twem życiu z wielu względów niepraktycznem zachowywał rozum praktyczny. Wiele ku temu pomódz lub szkodzić ci może wybór w czytaniu. Unikaj książek teoretycznych wszelkiego rodzaju; rzecz dziwna, zdaje mi się, iż takowe właśnie mojemu usposobieniu służą, ale jestem przekonany, że dla ciebie są trucizną, tak z powodu twej natury, jak twego położenia i zupełnego dotąd w życiu nie otarcia się o rzeczywistość. Trzeba przez czytanie brak ten zastąpić, ile można. W polityce, w wojskowości i wogóle ucz się o faktach i takiem przynajmniej nabywaniem doświadczenia zbijaj przesadzoną skłonność do systematyzowania, do rozstrzygania kwestyi przez ogólnikowe zasady.

Twój list zmartwił mnie. Kto chce życie swe zużytkować, a nie tracić je na marnej zgryzocie i melancholii, ten powinien sam ze sobą postępować, jakby z powierzonem mu narzędziem, które należy utrzymywać tak, aby było zawsze gotowe i zdatne do użytku. Powinien

czuwać, aby narzędzie nie zaśniedziało przez nieużywanie, nie stępiło się na niewłaściwej robocie, nie zardzewiało od łez. Trzeba je ostrzyć i wprawiać się do dzielnego władania niem, przeto z nieugiętą wolą odsuwać wszystko, coby się tym obowiązkom przeciwiło. Zmartwienie często podwaja siły człowieka mądrego, bo je skupia na mniej przedmiotów. Nie kochałbym cię tyle, nie pokładałbym tyle nadziei w tobie, gdybyś nie odczuwał tego, co się dzieje, gdybyś nad tem nie bolał, ale pamiętaj miarę w tem utrzymać. «Porządek i miara» wielkie to prawidło. Pamiętaj, żeby smutek podwajał siłę twoich postanowień w walce ze złem. Ta walka jest przeznaczeniem wszystkich dusz zacnych, ona stanowi między niemi wielkie pobratymstwo we wszystkich krajach i w sprawach, nawet ze sobą sprzecznych. Kocham cię za twój zapał i gorliwość w przedsięwziętej pracy, ale zaklinam, żeby cię ta praca nie zasępiała. Pytaj własnego sumienia, czy możesz być spokojny, czy dopełniłeś obowiązku, nie oglądaj się na skutek. Pięknie to nie spocząć, póki rzecz nie dokonana, ale są rzeczy, które nigdy dokończyć się nie dają, do których nie tyle natarczywość, ile wytrwałość potrzebna. Do wytrwałości zaś potrzeba spokoju i równowagi.»

O stosunkach zawartych podczas tego pobytu w Belgii Zamoyski pisze do matki (9 lutego 1833): «Między tutejszymi, którzy mi są radzi, jest familia znaczna Robiano, do niej należy córka pani Stolberg; matkę zna i z uwielbieniem wspomina, tem mnie ujmuje. Państwo Vilain XIIII [1]), u których byłem przed laty z ojcem na

[1]) Karol Wilhelm Vilain XIIII (1803—1878), dyplomata belgijski, współpracownik księdza Lammenais, księdza Lacordaire i hr. de Montalembert w wydawnictwie pisma «L'Avenir». Po rewolucyi 1830 minister pełnomocnik Belgii przy Stolicy Św., królu Obojga Sycylii i w. x. Toskańskim, a w 1835 minister spraw zewnętrznych.

wsi, bardzo grzeczni; d'Arenbergi[1]) dosyć zimne, mam nadzieję, że się zmienią.»

Zamoyski zapoznał się również z posłem francuskim, hr. de Latour-Maubourg[2]), posłem angielskim, sir Robertem Adair[3]) i z posłem Stanów Zjednoczonych, panem Legusé.

Z rozmów z panem de Latour-Maubourg i innymi dyplomatami wyniósł przekonanie, że Francya nie przestaje myśleć o odzyskaniu granicy Renu, utraconej w 1815, i że chętnieby się zgodziła na ponowny kongres europejski celem sprawiedliwszego rozgraniczenia państw, co mogło mieć i dla Polski wielkie znaczenie.

Sir Robert Adair opowiadał mu, że, gdy był posłem w Wiedniu, cesarz Franciszek I, wzdychając nad Galicyą, mawiał, że, co źle nabyte, korzyści nie przyniesie: «Croyez-moi, un bien mal acquis ne prospère jamais».

Pana Legusé wspomina Zamoyski w liście do x. Adama (1 kwietnia 1833): «Człowiek to uczony i wzniosłej duszy. Stosunki z nim wyraźną mi korzyść przynoszą: rozszerzenie widnokręgu pojęć, utwierdzenie w zasadach zacnych, wzniosłych, śmiałych. Niestety niczego wyraźnego, ani bezpośredniego dla nas nie spodziewam się od niego, ani od jego kraju, chociaż jest wielbicielem naszej sprawy i obrony. Lecz doznałem w obcowaniu z nim, jakoby z niego we mnie wpływały nauka i siła. On mnie też poczciwie lubił i szukał. Ma lat trzydzieści sześć.»

---

[1]) Ród xiążęcy, niegdyś udzielny, w 1833 stał na jego czele x. Prosper Arenberg, ożeniony z x. Ludmiłą Lobkowic.

[2]) Armand Karol hr de Latour-Maubourg (1801—1845), poseł w Rzymie od 1837.

[3] Sir Robert Adair (1763—1855), jako poseł nadzwyczajny w Petersburgu załagodził zatarg między Anglią a Moskwą w 1789, jeździł do Wiednia dla zawiązania koalicyi przeciw Napoleonowi w 1806, w Konstantynopolu zawarł traktat między Turcyą a Anglią, zwany dardanelskim, 5 stycznia 1809. Poseł w Bruxelli 1830—1835, zdołał w 1831 nakłonić zwycięskiego x. Oranii do zawieszenia kroków wojennych przeciw Belgom i tem uratował Belgię.

Zamoyski zapoznał pana Legusé z dziełem x. Adama: «Essai sur la diplomatie», a następnie posłał mu mickiewiczowskie «Księgi Pielgrzymstwa». Pisał przytem (29 maja 1833): «Jest to książka zupełnie odmiennego rodzaju, niż pierwsza. Ona też dąży do skreślenia, acz w wiele śmielszy sposób, podstaw przyszłego stanu rzeczy. Daje zarazem pojęcie o poetycznej stronie usposobienia Polaków, w szczególności polskich wygnańców czyli pielgrzymów, jak ich autor nazywa. Ufam, że się Panu spodoba duch wiary, którym tchnie ten genialny utwór. Autorem przedmowy jest młody przyjaciel Polski, pełen serca i rozumu [1].»

Tymczasem położenie polityczne Belgii w niczem się nie zmieniało; król holenderski uporczywie się wzbraniał uznać jej niepodległość, ale kroków wojennych nie wszczynał z obawy przed Francyą i Anglią. Zamoyski, przewidując, że taki stan rzeczy może lata potrwać, jak się też w istocie stało, postanowił, do czasu przynajmniej, służbę belgijską opuścić. Juz pod koniec lutego pisał do x. Adama: «W rozmowie z królem oświadczyłem, iż, jeśli mnie zająć nie może, użyję czasu na dopełnienie innych obowiązków, a między niemi pierwszy: połączenie się z Wujem, który tego pragnie. Król najgrzeczniejszy, ale oprzeć się krzykom i zazdrościom nie umie, choć swoim nie ufa do wojny. Powiedziałem mu, że on jeden w tym kraju nam przychylny, nam życzliwy, nas pragnący, że mamy też wielkie poświęcenie dla jego osoby i prosiłem, by raczył czuwać nad nami.»

---

[1]) Karol hr. Montalembert (1810—1870, par Francyi, słynny mówca i pisarz, gorący obrońca katolicyzmu i Polski, członek Akademii francuskiej.

III

O PIERWSZYCH CZASACH EMIGRACYI

W początkach kwietnia 1833 Zamoyski otrzymał od belgijskiego ministra wojny urlop nieograniczony; skorzystał z niego, by pojechać do Paryża, gdzie się rozstrzygała w sądzie apelacyjnym sprawa jego naturalizacyi.

«Sąd departamentu Sekwany wyrokiem pierwszej instancyi odmówił mi obywatelstwa francuskiego, opierając się na zasadzie, że minął czas, w którym deklaracya moja przyjętą być mogła, z powodu, że prawo obowiązuje do złożenia jej, póki wiek dozwala pociągnąć nowego obywatela do powinności wojskowej. Wiadomość tę otrzymałem jeszcze podczas oblężenia Antwerpii. X. Orleanu, zawiadomiony o tem, skwapliwie doradzał mi zanieść powtórne podanie do sądu wyższego apelacyjnego, przyrzekając ze swej strony nie szczędzić zachodu dla przekonania sędziów, że warto mnie wciągnąć w poczet obywateli francuskich, o ile prawo dozwoli na to.

Wznowiłem tedy sprawę przed sądem apelacyjnym, a gdy przybyłem do Paryża, stawiłem się osobiście za poradą ludzi świadomych rzeczy u prezesa i u członków sądu, a także udałem się do trzech pierwszorzędnych adwokatów z żądaniem, by w sprawie mojej spisali tak zwaną konsultacyę prawną.

Ci trzej prawnicy[1]), obszernie rzecz rozebrawszy, wniosek swój o przyjęcie mnie do obywatelstwa krajowego oparli głównie na tem, że artykuł kodeksu naznacza wprawdzie rok po dojściu do pełnoletności, jako termin, w którym deklaracya ma być złożona, ale że ten przepis nie ma na celu wymierzenia kary za przestąpienie terminu; byłoby zaś karą zaprzeczyć obywatelstwa komuś, mającemu do niego prawo zwłaszcza, kiedy przeważne okoliczności opóźniły chwilę, w której doszło się do możności wejścia w posiadanie tego prawa.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 11 maja 1833.

Za dni kilka najdalej spodziewam się wyroku stanowczego, ale w chwili, gdy do celu dobijam, mimowolny mnie ogarnia żal i niepokój sumienia. Nikt lepiej odemnie nie może wiedzieć, jak niezmiennem jest moje uczucie dla ojczyzny, a jednak zdaje mi się, jak gdybym obecnie niewierność popełniał względem tej mojej pierwszej i największej miłości.»

«Wyrok sądu, wydany 5 czerwca 1833, był pomyślny dla mnie. Na mocy jego zostałem wpisany (17 sierpnia 1833) do ludności miejscowej w X okręgu miasta Paryża (przy ulicy Rivoli, nr 26), wybranym przezemnie na mieszkanie.

Pozostawała mi jeszcze jedna czynność do wypełnienia. Nie chcąc wziąć ostatecznej dymisyi z wojska belgijskiego, musiałem na ręce ministra wojny, marszałka Soult wnieść podanie do Ludwika Filipa o upoważnienie służenia w obcem wojsku, co też uczyniłem (30 listopada 1833). Przy tej sposobności przyszło mi usłyszeć wiele uprzejmych słów, mianowicie od marszałka, który

---

[1]) Filip Dupin, brat prezesa izby deputowanych, Emil Delapalme Chalret-Durieu.

mi kilka razy powtórzył, że mnie uważać będzie za dobry nabytek dla wojska francuskiego.

Obywatelstwo francuskie niewiele zmieniło w warunkach życia mojego i w stosunku do władzy francuskiej. Nie przestałem w oczach tej władzy być emigrantem polskim. Nie potrzebując, dzięki Bogu, rządowego subsydyum, nie bywałem i przedtem nigdy powoływanym, jak inni współwygnańcy, do meldowania się na policyi. Co więcej, ilekroć potrzebowałem paszportu, dostawałem go nie z policyi, jak wszyscy, jak Francuzi nawet, ale z ministerstwa spraw zagranicznych miewałem paszport gabinetowy. Ministrem był x. de Broglie, za młodu w 1811 i 1812 przywiązany do poselstwa francuskiego w Warszawie, któremu przewodził sławny abbé de Pradt, a następnie pan Bignon. Stąd i bliższa znajomość x. de Broglie z Polską i rodzinami naszemi, z Puławami nawet, stąd i uprzejma życzliwość, z jaką przyjmował x. Adama i innych Polaków. Oprócz ministra, tak zwany dyrektor polityczny spraw zagranicznych, Desages[1]) karyerę dyplomatyczną także był rozpoczął w Warszawie pod panem Bignon. Jego uprzejmość dla nas, powszechnie uznawana zacność i właściwa urzędowi powaga sprawiały, że był dla nas przez cały ciąg panowania Ludwika Filipa nieocenionym przyjacielem, zawsze gotowym oddać przysługę, na jaką go stało. Nietylko sam przez niego otrzymywałem zawsze potrzebne do rozmaitych podróży paszporty, zdarzało się, że na moje żądanie wyrabiał paszporty gabinetowe dla osób, których wystarczało mu wymienić nazwiska. Było to wielkiem ułatwieniem dla ajentów, których x. Adam wyprawiał następnie (od 1838) do różnych krajów i stolic. Przyjacielskie usposobienie dla mnie pana Desages było mi i skądinąd korzystne; rozmowa z nim o przeszłych a nawet i bieżących sprawach bywała mi istotną nauką.

---

[1]) Emil Desages (1793—1850), sekretarz poselstwa w Warszawie 1811, w Rio 1819, w Konstantynopolu 1821, kierownik polityczny spraw zagranicznych 1830—1848.

Nie dały mi się też uczuć żadne obywatelstwa francuskiego ciężary. Nie tylko nie byłem pociągnięty do konskrypcyi, od której mnie już wiek mój zasłaniał, ale, co mnie po dziś dzień zadziwia, nie byłem nigdy, mieszkając lat tyle w Paryżu, powołany do gwardyi narodowej. Co było tego powodem, nie wiem, bo przecie do ksiąg ludności zapisany byłem, a nieraz w czasach zaburzeń widywałem w szeregu tej gwardyi osoby znajome, wysokie sprawujące urzędy naprzykład wysłużonych jenerałów i wielu nawet Polaków, którzy, doszedłszy do mieszkania o własnych meblach, dlatego już pociągani byli do pełnienia z kolei służby w gwardyi narodowej. Nie umiem sobie wytłomaczyć wyjątku, jakiego doznałem, jak chyba tem, że, widząc mnie tak ciągle, tak zupełnie oddanego sprawie polskiej, władze francuskie nie chciały mnie obciążać podwójnym obywatelskim obowiązkiem. W istocie urok tej sprawy w osobie x. Adama Czartoryskiego był wielki; rzetelne też były od powszechności Francuzów uznanie i cześć dla xięcia. We mnie widzieli nieodstępnego przy nim pomocnika i podwładnego, a w oczach wszystkich otaczający xięcia Polacy byli żyjącą reprezentacyą, istotną służbą Polski.»

Zamoyski w chwili przybycia do Paryża w kwietniu 1833 kończył swój pierwszy rok tułactwa, dotychczas jednak z emigracyą osobiście mało się stykał. Dopiero nieco dłuższy pobyt w Paryżu dla otrzymania obywatelstwa francuskiego dał mu sposobność zapoznania się bliżej ze stosunkami panującemi wśród wychodźtwa. «Długo tu przesiadywać nie chcę», pisze do matki, «choćby z powodu nędzy tylu rodaków, którym dopomódz nie jestem w stanie», a w liście do x. Adama mówi: «wielka nędza rodaków większą jeszcze budzi obawę». Obawa dotyczyła rozpoczynających się wówczas «szalonych» wypraw, przedsiębranych przez wychodźców z myślą wywołania w kraju nowego powstania.

Pierwszą z nich podjął w marcu pułkownik Józef Zaliwski. Wiadomość o niej doszła Zamoyskiego jeszcze w Belgii.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«26 marca 1833.

Rozchodzi się pogłoska o przytrzymaniu kilku Polaków w Niemczech i Francyi, podejrzanych o zamiary burzliwe. Wymieniają Zaliwskiego, Czarnomskiego i innych. Niewiadomo, czy się wykryły ich zamiary, ani jakie mieli. Twierdzą niektórzy, iż stąd nowe zajdą w kraju prześladowania od Moskali, że wielu tam pokompromitowanych. Trudno mi temu wszystkiemu wierzyć. Cokolwiekbądź i choćby najgorsze dla pewnej liczby osób miały nastąpić skutki, ani bardzo się martwić. ani sprawców potępiać należy. Czyny tego rodzaju jedni tylko przedsiębiorą szaleńcy. Wielu pada, nim się jednemu uda dokonać zamierzonego dzieła, a gdy się uda, szaleńcy robią się bohaterami. Zdaje się niekiedy, że tak szaleńcy jak roztropni do ratowania sprawy potrzebni, każdy w swojej sferze i swoim sposobem dopomaga, a przynajmniej ma udział w rozwijaniu się wypadków.»

Na wezwanie Zaliwskiego puściło się w drogę około czterystu wychodźców; jedni mieli wkroczyć do Królestwa przez Wielkopolskę, inni przez Galicyę. Szli pieszo, «wędrowni żórawie», jak ich nazywano, przeprawiając się przez kilkaset mil nieprzyjaznego kraju, bez paszportów, bez pieniędzy, bez opieki, ścigani, chwytani przez żandarmów. Czasami napotykali na życzliwość i miłosierdzie. częściej padali ofiarą szpiegów moskiewskich, którzy się za ich wspólników i przyjaciół podawali. Do Galicyi i Wielkopolski doszli partyzanci w bardzo uszczuplonej liczbie, gdyż policya austryacka i pruska zawczasu o ich przybyciu uwiadomiona pilnie strzegła granic, wbrew nadziejom Zaliwskiego, który wystawił sobie, że partyzanci, nie mając zaczepnych zamiarów przeciw tym państwom, znajdą w Galicyi i Wielkopolsce bezpieczne oparcie.

Partyzanci, którym udało się przedrzeć do Wielkopolski i Galicyi, ukrywali się u tamtejszych obywateli, czekając na chwilę stosowną do przestąpienia granicy Królestwa. Chwila ta jednak dla niewielkiej garstki nadejść miała, a z tej garstki niemal wszyscy wpadli w ręce Moskali. Zaliwski prawie sam jeden uszedł ich rąk i po kilkomiesięcznem błąkaniu się w Kongresówce, powrócił do Galicyi.

Wkrótce po wyruszeniu z Francyi partyzantów Zaliwskiego nastąpiła wyprawa jeszcze szaleńsza. Niemieckie towarzystwa rewolucyjne wezwały wychodźców polskich do udziału w zamierzonych rozruchach w Niemczech z których pierwszy miał wybuchnąć z początkiem kwietnia w Frankfurcie nad Menem. Wielu naszych biedaków dało się obałamucić w nadziei, że, pomagając do wybuchu rewolucyi w Niemczech, przyczynią się tem samem do powodzenia wyprawy Zaliwskiego.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Paryż, 15 kwietnia 1833.

Transmigracya naszych napowrót ku Niemcom jest dzisiaj najważniejsza nowiną. Wszyscy nas o to pytają. Niewiadomo, co odpowiedzieć. Żałuję tego ze względu na los, na jaki się narażają; jednak przychodzi pytać siebie, czy nie doczekamy się jakiego nowego porządku rzeczy, sprowadzonego podobnemi ruchami. Co robić, na co rachować tam, gdzie takie wypadki mają rozstrzygnąć, których żaden rozum spokojny nie pochwali, nie przewidzi skutków. Jak nie powtórzyć, że to opór rządów wobec tego, czego mądry kierunek wymaga, wywołuje ostatecznie takie wybryki.

Jeżeli w Niemczech zrobi się co wielkiego, a wątpić (o tem) na prędzej lub później niepodobna, będzie to jakby następstwem opuszczenia sprawy naszej przez wszystkie rządy. Przed rokiem jeszcze mówiliśmy Anglikom, że Niemcy wzruszone zostały do najgłębszych korzeni upadkiem Polski i że to poruszenie nie skończy się

aż z obaleniem wszystkich zasad społecznych. Tymczasem sprawdza się może i to, co o Moskwie mówiliśmy, że, ile razy jej to potrzebnem będzie, potrafi przyspieszyć wybuch jaki cząstkowy. Kto może zaręczyć, czy to nie oni w Frankfurcie dopomogli.

Z Besançon wyszli: pułkownik Oborski, podpułkownicy: Lelewel, Szulc i Antonini. Wielkie pieniądze odebrali przed wyjściem. Wyszli z zachowaniem głębokiej tajemnicy i nie po szalonemu wcale.»

Do rewolucyi w Niemczech w owej chwili nie przyszło. Ruch frankfurcki ograniczył się do burdy, w jednym dniu stłumionej. Wobec tego owa «transmigracya» Polaków, idących na pomoc Zaliwskiemu, nie dosięgła nawet granic niemieckich. Wychodźcy polscy po parodniowym marszu zatrzymali się w drodze na ziemi szwajcarskiej, przez którą zmierzali ku Niemcom, a gdy rząd francuski nie wpuścił ich z powrotem do Francyi, musieli pozostać w Szwajcaryi. Na emigracyi przezwano ich Szwajcarzanami.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«22 kwietnia 1833.

W sprawozdaniu komisyi izby niższej o dodatkowym kredycie na zapomogi dla cudzoziemców powiedziano: «Komitet dla orzekania o słuszności próśb wychodźców, złożony z ludzi najpoważniejszych między nimi, ustanowiony jest przy boku ministra, który ostatecznie wyroki wydaje». Nie słychać dalej o tem nic. Czyby Wuj nie mógł napisać do którego z członków rady (ministrów) i wskazać ludzi odpowiednich: Dembińskiego, Platera, Morawskiego, Plichtę, może samego nawet Dwernickiego, chociaż brudnym się robi nad brudy w moich oczach pieniężnym nieładem. Że urwał od Wuja 2.000 (fr.), mam to za zbrodnię, a Wuja kochanego chciałbym wyłajać, że dał. Ja tu w trudniejszych okolicznościach zdobyłem się na odmowę i nie jestem bez obawy, co z niej wyniknie. Odmówiłem udziału w składce na naszych biednych sza-

leńców szwajcarskich, jeżeli przytem nie będzie wyrażone, że składka ma na celu wyłącznie ulżenie nędzy tych biedaków, ale nie jest bynajmniej dowodem uznania dla ich czynu, że tylko pod tym warunkiem zobowiążę się do dawania stałej zapomogi miesięcznej, inaczej zaś nie dam ani grosza. Myślę, że jest obowiązkiem każdego z nas wydać sąd o postępku, który dotyczy nie tylko owych pięciuset, co poszli, ale zarówno i tych wszystkich, co dlatego tylko zostali, że burda za krótko trwała.

Nieboracy, za tak zacnem idą uczuciem a nikt z nas nie śmie wyrzec zdania, któreby dla nich stało się, jeżeli nie kierunkiem, to przynajmniej wskazówką. Proponowałem, żeby komitet (Dwernickiego) przynajmniej jawnie ich zganił, chociażby tajemnie chciał chwalić. Wystawiłem potrzebę takiej oficyalnej nagany, by tym sposobem cała emigracya a mianowicie komitet odparł zarzut, zasłużony niestety, tajemnego kierunku nad tymi nieszczęśliwymi. Gdyby członkowie komitetu byli odrazu śmiało się oświadczyli przeciw temu, co zaszło, mogliby zapewne otrzymać dla wielu tajemne wpuszczenie napowrót do zakładów.»

Jakkolwiek Zamoyski ganił rodaków za udział w niewczesnych wyprawach, w zasadzie jednak nie wykluczał dla Polaków możności łączenia się z ruchami powstańczemi w Europie. Wiedział, że w danych razach narody nie mają innego sposobu wyzwolenia się od obcej przemocy i nie mógł brać rodakom za złe, że radziby innym dopomódz w zdobyciu wolności, której sami dla siebie żądają.

Miał też przekonanie, że emigracya polska powinna żyć i pracować, mając przedewszystkiem przyszłość, a więc wyzwolenie ojczyzny, na celu. Gdy mu zarzucono, że urzeczywistnienie takich marzeń wymagałoby przewrotu całego politycznego stanu Europy i że wobec tego emigrantów, a jest ich ośm do dziesięciu tysięcy, trzeba uwa-

żać za wrogów porządku społecznego, odpowiadał: «Porządek społeczny, który nie tylko owe dziesięć tysięcy, ale i cały wielomilionowy naród skazuje na zagładę, nie jest dobry; któż tedy za złe poczytać nam może, że jesteśmy wrogami takiego porządku».

Nie twierdził, aby należało ten porządek dowolnie gwałtem obalać, ale twierdził, że emigracyi nie można potępiać, że jest zeń niezadowoloną, bo zadowoloną być nie może. A im bardziej ożywiona będzie uczuciem, które jej, bądź co bądź, zjednało cześć ogólną, tem silniej będzie odczuwała swe pęta, tem bardziej sprzyjać będzie dążnościom, mającym na celu obalenie stanu rzeczy, który ją skazuje na tak ciężką dolę.

«Kto nie chce zrozumieć», pisał w ówczesnych notatkach, «że emigracya polska ma cel polityczny, ten sam siebie łudzi. Gdyśmy kraj opuszczali, gdyśmy żegnali nasze strony rodzinne, zostawiając ojczyznę i rodaków nieszczęsnemu ich losowi, czyż mieliśmy tylko ucieczkę na myśli? Zaprawdę nie. Odmówiwszy złożenia broni przed nieprzyjacielem, rozstaliśmy się z nią poza granicami kraju jedynie w nadziei, że na ziemi bratniej na nowo sposobić się będziemy do dalszej walki. Polacy skazali się na tułactwo, puścili się na najrozmaitsze niepewne koleje, poświęcili wszelkie osobiste względy, byle zastrzedz sobie swobodę służenia ojczyźnie. Wszystkich ożywiało to jedno wspólne uczucie, a chociaż, jak to bywa po wielkich klęskach, kiedy węzły społeczne porozrywane, dzielili się w zdaniach co do sposobów osiągnienia celu, to jednak, co do samegoż celu swych dążeń, byli jednomyślni, wszyscy jedynie o przyszłości marząc, jednej i tej samej przyszłości pragnąc.

Rząd francuski, w imię głoszonej przez całą Francyę sympatyi, dał polskim wychodźcom przytułek. Czyżby Francya nie rozumiała wówczas znaczenia i doniosłości tego, co czyni? Czyżby rząd nie zdawał sobie sprawy, że, przyjmując emigracyę, zaciąga tem samem moralne zo-

bowiązanie względem sprawy polskiej i Polaków? Czyżby nie rozumiał, że sam daje Polakom prawo do mniemania, że kraj, w którym znaleźli gościnne przyjęcie, uszanuje ich przekonania, że Francya, choćby nie mogła poprzeć ich nadziei, to, bądź co bądź, je uwzględni i z pobłażaniem zniesie, że oni jej wierni zostaną?

Już od samego przybycia wychodźców do Francyi łatwo było przewidzieć trudności, jakie z biegiem czasu z ich wyjątkowego położenia wynikną. Niewiele jednak zastanawiano się nad tem. Rząd nie przypuszczał, aby taki stan rzeczy właśnie dlatego, że był wyjątkowym, mógł być trwałym. Wbrew przekonaniu ludzi dobrze obeznanych z Moskwą i jej amnestyami, wystawiano sobie, że amnestya mniej więcej ogólna trudności te wnet usunie. Nie przypuszczano też, by tak znaczna liczba ludzi przez dłuższy czas utrzymała się w takim nastroju ducha, aby, odrzucając amnestye i mogące z nich wyniknąć osobiste korzyści, wytrwała w zaparciu się siebie i bezgranicznem poświęceniu. Z tego mylnego mniemania poszło, że rząd utrzymywał emigracyę na stopie tymczasowej, stąd rozmaite akta urzędowe, które świadczą, że nakłaniał wychodźców do powrotu pod berło cara [1]).

Nic dziwnego zresztą, że wobec tego mnóstwa cudzoziemców rząd francuski nie był w stanie postępować ze świadomością rzeczy: potrzebaby polskich oczu, by polskich wychodźców widzieć we właściwem świetle, polskich ust, by do nich skutecznie przemawiać. Ale rząd stale odrzucał pośredników polskich. Dlatego też ani on emigrantów nie rozumiał, ani emigranci rządu zrozumieć nie mogli i względem wszystkich rozporządzeń rządowych, nawet życzliwych, byli nieufni.

---

[1]) Minister wojny, marszałek Soult, wydał 24 lutego 1833 okólnik, w którym zachęcał Polaków do proszenia przez ambasadę moskiewską w Paryżu o amnestyę.

Wystawiając sobie zrazu, że mogą liczyć we Francyi na uszanowanie uczuć, z których emigracya powstała, i celu, jaki sobie wytknęła, wychodźcy wnet się ocknęli z tego złudzenia, a spostrzegłszy, że udzielane im żołdy są tylko jałmużną, uczuli się do żywego dotknięci. Tem się tłomaczy, dlaczego nie tylko nie okazują rządowi wdzięczności za zapomogi, które on wprawdzie wypłaca im nie z własnej woli, tylko jako wykonawca woli narodu, ale czynią go odpowiedzialnym za wszystkie spotykające ich przykrości i zarzucają mu, że woli narodu względem nich nie wykonywa w zupełności. Czyż w istocie rząd czyni zadość temu wszystkiemu, czego dobra sława i korzyść samejże Francyi zdają się od niego domagać w stosunku do emigracyi? Nikt nie twierdzi, by Francya miała obowiązek popierania polskich widoków, jeżeli one przechodzą miarę do osiągnienia możliwą, ale, kiedy rząd zwalcza lub podkopuje samoż istnienie emigracyi, staje się co najmniej winnym zdrady zaufania, które wychodźców do Francyi ściągnęło.

Emigracya powstała z wyraźnej myśli i w wyraźnym celu. Dla osiągnienia tego celu powinna stanowić jedno ciało zwarte, ściśle spojone nie tylko wspólną myślą, ale i wspólnym kierunkiem. W braku tych warunków istnieć nie może, ale, przestając istnieć jako jedno uorganizowane ciało, musi się rozpaść na mnóstwo odrębnych jednostek i uledz wszystkim następstwom takiego rozprzężenia. Przyszło już do tego, bo rząd nie uznał przewodniej myśli emigracyi, zaprzeczył jej wszelkiej cechy politycznej, chcąc w niej widzieć tylko zbiorowisko jednostek. Istota rzeczy nie zmieniła się przez to; natomiast powstał błąd, z którego muszą wyniknąć szkody, jakie wynikają zwykle z działania opartego na pojęciach z rzeczywistością niezgodnych.

Takiem postępowaniem rząd sprawił to, czego chciał uniknąć, sprawił, że emigracya stała się państwem w państwie, status in statu. Wytworzyła się w niej władza

niezależna od rządu a, chociaż pozbawiona siły wykonawczej, niemniej oporna a przedewszystkiem przeciwna rządowi duchem i dążnościami. Wyznać trzeba, że opór emigracyi przeciwko rozporządzeniom, mającym jej rozprzężenie na celu, jest uzasadniony. Jest to opór organizmu żyjącego przeciwko zarodkom śmierci. Przymusowe próżniactwo, na jakie skazano ludzi młodych, silnych, palących się do czynu, musi prowadzić do rozpaczliwych wstrząśnień, jakichby doznał człowiek żywcem do grobu zamknięty. Stronnictwa przeciwne rządowi, korzystając z tych okoliczności, utwierdzają wychodźców w przekonaniu, że się im dzieje niesprawiedliwość, a tak do reszty ich rozjątrzają. To też cierpienia emigracyi objawiają się w tysiączne sposoby, a jej stan chorobliwy coraz się zwiększa.

Kto wie, czy nie należy żałować, że rządy, pod naciskiem ludów, udzieliły Polakom przytułku. Przypuśćmy na chwilę, żeby im go wszędzie odmówiono. Wówczas nędza tego tłumu byłaby doszła do takich rozmiarów, stałaby się tak ohydną, że najtwardsze przeszyłaby serca. Ludzie ci, rozchodząc się na wszystkie krańce świata, staliby się wszędzie ciężarem, ale ludy miłujące wolność, wobec tej bezgranicznej nędzy, byłyby silniej odczuły następstwa polityki, której się ich rządy trzymają.

Nie taki jednak los spotkał emigracyę. W niektórych krajach znalazła ona schronienie, ale zarazem nielitościwie skazaną została na przyjmowanie jałmużny z buntem w sercu. Z opieki zaś, pozornie okazywanej przez rządy, najwięcej skorzystali dawni jakobini warszawscy i ci też na emigracyi rej wodzić zaczęli.»

W późniejszych latach, bo w 1853, Waleryan Kalinka[1]), podjął się na żądanie Zamoyskiego napisania dziejów

[1]) Waleryan Kalinka (1826—1886), historyk, sekretarz Zamoyskiego do spraw narodowych 1852—1868, wstąpił do zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego w maju 1868.

emigracyi polskiej. Zamiar ten nie przyszedł do skutku, ale Kalinka spisał długie swoje rozmowy z Zamoyskim o tym przedmiocie. Zapiski te dają poznać duchowe koleje, przebyte przez emigracyę w pierwszych czasach jej istnienia a także przyczyny, którym Zamoyski przypisywał stopniowe rozwijanie się wśród niej żywiołów rozkładowych:

«Łatwo było przewidzieć, że nasi republikanie i demokraci, co w czasie wojny nauczyli się perorować po klubach i kawiarniach, na emigracyi wezmą górę nad wojskowymi, którzy utrzymywali się jeszcze w jakiej takiej karności. Można było i to przewidzieć, że przymusowa bezczynność d pełni z czasem i wśród wojskowych tego apostolstwa nieporządku.

Słabego umysłu, a z pretensyami do wielkich rzeczy wchodzili polscy jakobini na ziemię obcą. Tam deklamacye liberalne i mało zasłużone tryumfy nadęły pęcherze puste. Mało kto zrozumiał znaczenie ówczesnych manifestacyi niemieckich. Chrześcijańskie uczczenie nieszczęścia wzięliśmy za uznanie naszych zasług i wielkości. Gdy przemawiano do geniuszu polskiego, który natchnął nasz naród «duchem nieśmiertelności», Lelewel w proklamacyi dziękczynnej bronił się od czynionego mu zaszczytu.

Przyjęcie doznane we Francyi obałamuciło naszych do reszty. W każdem niemal mieście zawiązywał się komitet, złożony z dam i mężczyzn, dla niesienia pomocy Polakom. Komitety wysyłały delegatów na spotkanie zbliżających się kolumn, mieszkańcy spieszyli zapraszać przybyłych do siebie: bogatsi oficerów, ubożsi żołnierzy; otwierano im bezpłatnie kasyna, teatry, kawiarnie i oberże. Podobało się to wiarusom. Chodzili krakusy w białych sukmanach po ulicach brząkając ostrogami; każdy o sto łokci urósł. A wszakże ludziom, co ojczyznę świeżo do grobu złożyli, nie przystawało oddawać się tak na ślepo chwilowemu entuzyazmowi cudzoziemców. Był to pierwszy błąd emigracyi; za nim poszły inne.

Wśród takich objawów serca ze strony narodu, spostrzegli Polacy ze zdumieniem wielką dla siebie niechęć rządu i jego stronników. Już pod koniec 1831 izby odrzuciły bez dyskusyi wniosek jen. Lafayette o przyznanie polskim wychodźcom praw cywilnych we Francyi, a K. Perier[1]) oświadczył, że Francya emigrantów przyjmuje jedynie z litości, ale żadnego z nimi sojuszu nie zawiera, gdyż, schlebiając ich zasadom rewolucyjnym, wypowiedziałaby wojnę Europie. Ubodło to Polaków. Cóż dopiero, gdy rząd z obawy, by wychodźcy nie burzyli wewnętrznego pokoju Francyi, uzbroił się przeciwko nim w prawo t. zw. kwietniowe, na mocy którego policya mogła do woli wydalać każdego emigranta[2]). To już oburzyło całą emigracyę i rzuciło ją w obóz opozycyjny, gdzie czyhali na nich republikanie i socyaliści. A tak, sprawa polska sama przez się kłopotliwa dla rządów stała się jeszcze trudniejszą przez bratanie się Polaków z nieprzyjaciółmi wszelkiego rządu.

Napróżno Bem, prowadząc kolumny wychodźców do Francyi, nawoływał, by postępowaniem swem okazali się godni szacunku przychylnych nam rządów. Napróżno upominał, aby, wbrew namowom komitetów socyalistycznych, nie mieszali się do spraw wewnętrznych Francyi. Głos jego zagłuszyli szaleńcy.

Z ówczesnych dzienników francuskich łatwo zrozumieć, że pochwały i nagany udzielane w nich Polakom były tylko zaczepną lub odporną bronią stronnictw francuskich i że, im które stronnictwo mniej miało nadziei dostania się do władzy, tem zapalczywiej broniło sprawy polskiej, puszczając ją w niepamięć, skoro do władzy doszło. Nieświadomi walk parlamentarnych, braliśmy tak-

[1]) Kazimierz Perier (1777—1832), bankier, prezes ministrów od marca 1831 do maja 1832.

[2]) Prawo to uchwalone 21 kwietnia 1832 w chwili przejazdu przez Paryż Orłowa, adjutanta cara i jakby na powitanie go, nazwanem zostało przez stronnictwa wrogie rządowi «prawem Orłowa» (loi Orloff).

tykę polemiczną za życzliwość ku nam, braliśmy za współczucie dla Polski manifestacye, które uczucie to zużywały na korzyść spraw nam obcych, a co gorsza, uwłaczały świętości naszej sprawy. Dowodzi to po raz setny, że nie wystarcza kochać ojczyzny, by w sprawie jej występować. Kochali ją zapewne po swojemu ci, co brali wówczas krzykliwość za patryotyzm, fanfaronadę za bohaterstwo, nierozwagę za energię, co pogardzali pracą cichą a wytrwałą, co zapominali, że nigdy nikomu w żadnej sprawie nie wolno przekraczać granic przyzwoitości. Kochali ją zapewne i członkowie komitetu Lelewela, utworzonego (10 grudnia 1831) w miejsce krótkotrwałego komitetu Bonawentury Niemojowskiego[1]).

A wszakże trudno pojąć, jak człowiek tak uczony a zarazem obeznany w pewnej mierze ze sprawami publicznemi, jakim był Lelewel, mógł upatrywać środek służenia ojczyźnie w pustych proklamacyach i nierozważnej opozycyi przeciwko rządom. On to jednak proklamacyami swemi zasypał cztery części świata[2]), on to z hałasem tych proklamacyi zaprowadził wychodźców do obozu opo-

---

[1]) Zaraz po upadku powstania kilkunastu Polaków, zgromadzonych w Paryżu, wybrało, 6 listopada 1831, komitet do zarządu interesów emigracyjnych pod prezydencyą Niemojowskiego. Niemojowski, jako ostatni prezes Rządu Narodowego, chciał osłonić tę władzę pozorem legalności, spodziewał się zyskać uznanie u rządów zachodnich a u rodaków uległość. Ale przekonał się wkrótce, że ministrowie nawet mówić z nim nie chcą. Co zaś do rodaków, władza Niemojowskiego była w ich oczach tak słabą i na niczem nie ugruntowaną, że kilka podszeptów Lelewela i dwie ćwiartki pisma Mochnackiego wystarczyły, aby ją obalić.

[2]) Lelewel w proklamacyi z 25 grudnia 1831 obwinia jedynie rząd i wodzów o upadek powstania; 31 grudnia 1831 prawi szlachcie węgierskiej o równości i zniesieniu przywilejów; 29 stycznia, 30 marca i 15 kwietnia 1832 oskarża ministeryum francuskie przed izbą deputowanych, a izbę przed narodem; 17 lutego 1832 pozywa rząd pruski przed sąd Boży; 24 marca 1832 grozi sejmowi niemieckiemu i królowi bawarskiemu za uszczuplenie wolności druku; 31 maja 1832 wzywa Moskali, aby wznieśli ołtarz wolności w miejsce zbyt długo czczonego

zycyjnego a, otwierając (8 grudnia 1831) podwoje «Zgromadzenia ogólnego» oświadczył, że «każdy Polak w Paryżu, który miał udział w powstaniu narodowem lub chęcią i sercem do tegoż przystępuje, jest osobą polityczną i władzą polityczną». Słowa te przyjęto głośnemi oklaskami, popularność Lelewela w górę poszła. Emigracya paryska, składająca się z byłych studentów, akademików, młodych urzędników i dziennikarzy, tłumnie rzuciła się na ulicę Taranne, gdzie rozpoczęły się narady komitetu nad sprawą Polski i emigracyi.

Mimo zasad czysto demokratycznych Zgromadzenia, powtarzały się wśród niego sceny, jakby żywcem wzięte ze szlacheckich sejmików XVIII wieku: kłótnie, obelgi, pojedynki. Krwi nie szczędzono. Ale kiedy x. Adam zamierzył utworzyć legię polską na korzyść sprawy, której car Mikołaj był otwartym przeciwnikiem, Lelewel krzyknął: «To zdrada! krew polska tylko do ojczyzny należy!»

Na prowincyi zrazu trochę lepiej się działo. Kolumny wojskowych udały się z rozkazu rządu do Besançon i Avignon, tworząc t. zw. w języku urzędowym «depôts», co nasi przetłomaczyli wyrazem «zakłady». W zakładach z początku było nieco więcej rozumu. Wprawdzie ajenci Lelewela czatowali na przybywających i starali się zdobywać na odurzonych oficerach i żołnierzach uznanie komitetu; wszakże zdrowy żołnierski rozum niejednokrotnie odrzucał te namowy. Nie mogła wojskowym podobać się władza, złożona po większej części z ludzi im nieznanych a przytem tak nieroztropnych.

---

bałwana; w lipcu 1832 zaskarża rząd hanowerski przed sejmem; 26 października 1832 zachęca Włochów, aby wydali wojnę swym królom; a skądinąd oddaje naszą sprawę 28 kwietnia 1832 pod opiekę mieszkańców Tampiko de Taumalipas, 9 maja 1832 panu Jackson w Nowym Yorku, 15 maja 1832 panu Attwood w Birmingham, republikanom niemieckim w Hambach a w końcu, opierając się na starym zakonie, proponuje traktat zaczepny i odporny żydom, 3 października 1832. (Z kartki obcą ręką)

Po komitecie Lelewela nastąpił (22 października 1832) komitet Dwernickiego, istna chorągiewka na dachu! Odbierać od każdego zakładu, a nawet pojedyńczego emigranta rozkazy i nagany, słuchać ich i do nich się stosować, patrzeć ustawicznie skąd wiatr wieje i wedle tego kierować zdaniem swem i sumieniem, mówić jednym biało, drugim czarno, kłamać wciąż swoim zasadom lub nie mieć ich wcale, a przytem trawić czas na czczych korespondencyach i próżnych zabiegach, oto były czynności prezesa «Komitetu Narodowego» emigracyi i środki, jakiemi przy władzy się utrzymywał. Jak nizko spaść może człowiek pewnego znaczenia, gnany na ślepo chęcią popularności, dał wówczas przykład jen. Dwernicki.

Za wpływem ajentów, korespondencyi i dzienników rozesłanych z Paryża, fermentacya polityczna, która już opanowała emigracyę paryską, przeniosła się do zakładów. Tak w stolicy, jak po departamentach Polacy wpadali w otwarte ramiona rewolucyonistów francuskich. Otworzono dla nich loże masońskie, przeprowadzano ich przez wszystkie stopnie masoneryi aż do najwyższych i tam, obok niektórych okruchów prawdy, którą każdy ksiądz katolicki z ambony głośno wypowiada, uczono ich, pod formami niedorzecznemi, równie niedorzecznej treści.

Znaczna część emigrantów zapisała się do went karbonarskich i niby pod sztandarem wolności ludów oddała się, z odstępstwem narodowej sprawy, pod kierunek wichrzycieli francuskich. Propaganda nierozumu rozwijała się na wielką skalę. Umiejętniejsi tłomaczyli mniej umiejętnym dzienniki i broszurki francuskie. Gdziekolwiek zatrzymywało się kilkunastu Polaków, tam zawiązywała się szkoła wzajemnego pouczania. Tłomaczono na język polski artykuły «Trybuny» i «Kurs rewolucyi francuskiej» Laponneraye'a; rozczytywano się w «Kontrakcie społecznym» Jana Jakóba Rousseau, w «Ruinach i Rozmyślaniach» Volneya, w mowach Robespierre'a, Marata i Saint-Justa, w relacyach procesów politycznych, w prze-

glądach: «Le Républicain» i «Le Défenseur des droits de l'homme». To była zwykła ówczesna lektura, a jakie ziarno na niwie nieuprawnej wydać musiała, pojąć łatwo.

Umysł polski bystry jest i szybko postępuje w złem czy dobrem. To też po kilku latach spędzonych w nieczynności i na gawędach, przyszliśmy do politycznych wniosków, że wszystkie rządy są złe, że w przyszłej Rzeczypospolitej nie będzie rządu, ani władz, ani kodeksów, ani sądów, że, co najwznioślejszego w teoryi wynaleźli mędrcy Germanii, Galli i Albionu, to my mamy urzeczywistnić w praktyce, że przedewszystkiem nie będzie u nas Kapucynów ani Bernardynów, co każą całować krzyże i jeść opłatki.

Wprawdzie, nie czekając, aż Polska będzie odbudowana, wielbiciele tych teoryi mogli znaleźć urzeczywistnienie swego ideału w głębi Afryki i Australii; ale takie to bywały rozprawy na emigracyi, takie pisano, takie drukowano po dziennikach emigracyjnych.

Rzecz zaprawdę dziwna i poczciwości natury polskiej zaszczyt przynosi, że, obok tak bezprzykładnego chaosu w głowach, zostały się w sercach skarby szlachetności, zapału i gotowości do nieograniczonych poświęceń. Ludzie młodzi, o umysłach o tyle przewróconych, że już nie umieli rozróżnić, co złe a co dobre, byli zarazem do najwyższego stopnia drażliwi o dobre imię Polaków, ścigali przestępców między sobą, ustanawiali sądy surowe, po bratersku opiekowali się uboższymi, odstępowali im część szczupłego żołdu i, skazując się dobrowolnie na głód i niewygody, ponosili wszelkie ofiary, ilekroć w ich zrozumieniu sprawa publiczna tego wymagała. Szukanie zarobku, myśl o polepszeniu własnego losu, głośno nazywano odstępstwem. I może być, że, gdyby w ówczesnych zabiegach o utworzenie legii zagranicznych mniej się troszczono o zabezpieczenie losu żołnierzy i oficerów, toby te legie znalazły więcej ochotników; mało kto zdo-

byłby się na odmowę, gdyby wyrzeczono, że czeka tam nędza lub śmierć.

Z wyjątkiem stowarzyszeń zakonnych, nigdzie idea braterstwa nie rozwinęła się tak potężnie, jak wśród emigracyi. Mógł biedny emigrant przejść Francyę od końca do końca, nie cierpiąc niedostatku ani razu. Każdy zakład obowiązany był przyjąć go, utrzymywać przez kilka dni i zaopatrzonego funduszem do następnej stacyi odprawić. Słowo dane ceniono tak wysoko, że wielu emisaryuszów, gdy raz zobowiązali się do udziału w jakiej wyprawie, choćby ich potem przekonano o jej szkodliwości, płakali a szli przecież z obawy przed zarzutem wiarołomstwa lub tchórzostwa. W najszaleńszych przedsięwzięciach ileż to było bohaterstwa, ile poświęceń nadludzkich prawie.

Zaprawdę emigracya złożyła krwawe dowody, że była prawdziwą przedstawicielką Polski. Cały nasz nierozum i cała zacność naszego charakteru objawiały się w niej, dochodząc aż do egzaltacyi. A jakaż przytem smutna nauka, że tyle poświęceń i tyle bohaterstwa nie posunęło na krok naszej sprawy, że owszem zadało jej niejeden cios fatalny.

A jednak, takie jest nieskończone miłosierdzie Opatrzności i taka moc żywotna narodu naszego, że nawet owe bujne chwasty, co na niwie emigracyjnej przez długi czas zdrowe pojęcia zagłuszały, w ogólnym wyniku na korzyść wyszły narodowi. Złą jest niezawodnie wszelka choroba, ale zło jest mniejszem, kiedy choroba, ograniczając się do jednego członka, uwalnia od niej całość organizmu. Naród nasz, odbywając gorączkę rewolucyjną w małej tylko cząstce swego organizmu, w ciele emigracyjnem, sam mało tą zarazą został dotknięty. W państwie wolnem ów fanatyzm, obalający sameż podstawy społeczeństwa, owe opinie sobie nieprzyjazne byłyby stanęły do boju z bronią w ręku i albo oddałyby nas powtórnie na łaskę nieprzyjaciół, albo zalałyby kraj morzem krwi, jak się to stało we Francyi. Wśród emigracyi walka za-

sad skończyła się rozlewem atramentu. Wybuchnęła za to z tem większą zaciętością a była tem niebezpieczniejsza, że najszaleńsze, najzgubniejsze dla naszej narodowości teorye zasilaliśmy bezprzykładnem poświęceniem i szlachetnością uczuć.

Wówczas to kilku intrygantów politycznych rozwinęło na wielką skalę talent kłamstwa i oszczerstwa w piśmie, noszącem nazwę «Nowej Polski», pod kierunkiem J. B. Ostrowskiego[1]). Ten Ostrowski, zwany Ibciem na emigracyi, już wśród klubistów warszawskich przygotowywał powstanie przeciw Moskwie za pomocą rzezi swoich przez swoich. W jego oczach pierwszym warunkiem do odrodzenia narodowego było wytępienie «gadziny», jak nazywał «arystokratów», obejmując tą nazwą wszystkich, którzy jego zapatrywań nie podzielali. Zasady, które przed powstaniem szerzył w kraju, po upadku powstania zawzięcie głosił na emigracyi. O nim to i o jego wspólnikach pisał Niemcewicz: «Ni orężem, ni żadną zasługą nie przyczyniwszy się do sprawy publicznej, przenieśli oni nie zadraśnięte osoby swoje za granicę i tu, utrzymywani kosztem obcym, szkalować i czernić nie przestają. Pismo ich pogardy jest godne, lecz niebezpieczne, rozgłasza bowiem między nierozważną młodzież, a nawet prostych żołnierzy, błędne zdania, zaraża umysły, karmi w sercach nienawiść.»

Bolesna to rzecz widzieć sąd i sumienie narodowe w tak ciężkim obłędzie, jakiego przykład dają niektóre pisma emigracyjne. A jednak, jeżeli wspomnienie takiego pisma, jak «Nowa Polska», sprawi, że inni nie pójdą na podobne bezdroża, jeżeli tą walką fałszu przeciw prawdzie naród okupił nieco dojrzałości politycznej, to i ta naj-

---

[1]) O tymże Ostrowskim Mochnacki powiedział, że po nim chyba nikt nigdy w całym świecie kłamać nie będzie, tak on już wysilił kłamstwo. W istocie, kłamstwo było jego codziennym chlebem, zatrudnieniem, rzemiosłem. On i jego poplecznicy zdolni byli nie tylko emigracyę, ale całą kulę ziemską błotem obrzucić.

smutniejsza karta z dziejów emigracyi nie będzie bez pożytku dla narodu.»

Powyższemu zdaniu Polaka o wychodźcach warto przeciwstawić sąd o nich słynnego w swoim czasie prefekta policyi paryskiej, Gisquet. Pisze on w swoich wspomnieniach[1]: «Pośród wychodźców znajdowali się i pospolici zbrodniarze, którzy, korzystając z zaburzeń w Polsce, pouciekali z więzień, a dostawszy się do Francyi, podawali się za wygnańców politycznych i, jako tacy, pobierali subsydya. Nie wypowiadając tu całej mej myśli, powiem tylko, że rządy Moskwy, Prus i Austryi nadto były przebiegłe, by nie utrzymywać wśród emigracyi swoich ajentów. Niezmiernie było dla policyi trudno rozeznać w tym tłumie niebezpieczne jednostki i dozorować ich matactw, gdyż wszystkie nazwiska polskie są do siebie podobne, a język dla naszych ajentów zupełnie obcy. Trudność tę usunięto z chwilą wstąpienia kilku Polaków w służbę policyi[2]. Wogóle mówiąc, emigranci mało zważali na władze miejscowe i nie poczuwali się do najmniejszej wdzięczności za gościnność i żołdy, udzielane im przez Francyę[3].»

---

[1]) Mémoires de Monsieur Gisquet, ancien préfet de police. T. IV, r. I.

[2]) Gisquet nie zdaje się nawet domyślać, że przyjęci do służby policyjnej Polacy należeli właśnie w pierwszym rzędzie do wyrzutków emigracyi. Dość powiedzieć, że I. B. Ostrowski (około 1842 otrzymał w prefekturze policyi posadę niby to tłomacza z pensyą miesięczną 300 fr. Odtąd, zamiast szkalować ziomków w «Nowej Polsce», szkalował ich w tajnych raportach, pełnych kłamstw. Dopiero rewolucya z 4 września 1870 pozbawiła Ostrowskiego posady. Dnia 5 września 1870 Władysław Mickiewicz, syn Adama, otrzymał za pośrednictwem Hipolita Carnot akta policyjne, dotyczące ojca. To mu dozwoliło stwierdzić służbę szpiegowską, spełnianą przez I. B. Ostrowskiego.

[3]) Źródłem tej niewdzięczności, często zarzucanej wychodźcom, było przekonanie, że więcej Francya winna Polsce, niż Polska Francyi. Nie mówiąc już o krwi polskiej wylanej w służbie Napoleona, Francya istotnie pozostała Polsce winna miliony, które jej przypaść miały z tytułu układów z Napoleonem w Bayonne 1808 roku.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«(Paryż), 13 maja 1833.

Zapyta mnie Wuj, co robiłem w czasie pobytu w Paryżu i osądzi może, że mało z niego pożytku. Mój interes i choroba Witolda[1]) cały mi czas zaprzątnęły. Pewną ilość osób poznałem, ale mało z tych, któreby na nasze sprawy w przyszłości wpłynąć mogły. Wynajduję wymówki, by się uniewinnić, że nic nie robię. Pilno mi do Wuja; przy nim moje zdolności się potęgują. Zostawiony sam sobie, ulegam pokusie lenistwa, które wmawia, że teraz nic niema do powiedzenia i nic do czynienia. Prawda, że już wszystko powiedzieliśmy, lecz, kiedy nas nie usłyszano i nie usłuchano, oczywiście dużo zostaje do powtórzenia. Ale dla Wuja chciałbym trochę wypoczynku, tak dla zdrowia, jak dla dania mu możności cofnięcia się myślą w przeszłość i opisania jej. To moja stała mrzonka.»

Choroba Witolda Czartoryskiego tem więcej czasu Zamoyskiemu pochłaniała, że zastępował przy nim naraz ojca i matkę. Xiążę zajęty był w Londynie, a xiężna przebywała chwilowo dla spraw majątkowych we Lwowie i w Sieniawie.

«Anna (Czartoryska)», pisała pani Działyńska ze Lwowa (16 kwietnia 1833), «przepędziła tu trzy tygodnie ze swoją dwuletnią córeczką. Nie wiedziała, czy ma się przedstawić arcyxięciu[2]), czy nie. Pytałyśmy o to pana Kriega[3]), który zaraz nazajutrz zaprosił ją do arcyxięcia na wieczór. Przyjął ją z niezmierną uprzejmością, dwie godziny tam przepędziła na rozmowie; nikogo prócz niej nie było.»

---

[1]) Witold Czartoryski (1824—1865), najstarszy syn x. Adama, przebył w owym czasie ciężkie zapalenie płuc.

[2]) Ferdynand d'Este (1781—1850), jenerał gubernator Galicyi 1832-1846.

[3]) Franciszek Krieg baron von Hochfelden (1776-1856), prezydent gubernialny Galicyi 1832—1847.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«(Paryż), 15 maja 1833.

Witold codzień zdrowszy. Przybycie matki wczoraj wieczór służy mu do reszty. Anna zdrowa, Izia śliczna. Cieszę się radością, jaką sprawi jej widok ojcu. Bodajby z tych dzieciaków pociechy tylko doznał. Widok Witolda dziś mnie raduje i rozrzewnia, gdy pomnę, żem się już lękać zaczynał. Marcinkowski dobrze sądził o jego słabości i strzegł go z poświęceniem nieograniczonem. Niepokój, jakiegośmy doznawali, wszystkich ogarnął. Żywe zajęcie się nim z powodu Wuja było pociechą, acz smutną. Tylko wspomnienie o tem jest dobre.»

Władysław Zamoyski do matki:

«(Paryż), 4 czerwca 1833.

Z kraju wiadomości okropne, niepokoje nowe; rozum je gani oczywiście. Jedna pociecha w tem, że wojna trwa i że tam jedynie siła panuje i przemoc. A przemoc sama na sobie oparta niedługo trwa. W Galicyi okazywali Annie to wszystko, co czują dla jej męża; wymagają tylko, by z jakobinami się nie wdawał Przywiozła nieco wiadomości o siostrach i braciach. Nieboracy, ileż tam między nimi trosk, zmartwień i biedy, a narzekać niepodobna, bo tylu innych cierpi wiele większe męki w ręku oprawców. Biedny Andrzej, gdy mu syn skonał, wyrzekł: «Dobrze, że choć ten uszedł z rąk Moskali[1]).» Oni jemu szczególnie dokuczają. Konstanty wielu ratuje; Działyńscy wygrali w drugiej instancyi proces, ale rząd gwałtu używa przeciw prawu. To nie potrwa; dobrze, że tym przynajmniej majątek ocaleje[2]).»

---

[1]) Jerzy Zamoyski, ur. 9 lutego 1829, um. 4 stycznia 1833. Krótko przedtem w listopadzie 1832 urodził się panu Andrzejowi syn, Jan. o którym pisał do matki: «Jak na psotę urodziła mi żona syna 29 listopada o wpół do dziewiątej wieczór, w sam czas i dzień naszej rewolucyi. Mam odrazę do tego wspomnienia za wszystkie szkody, które nam ta rewolucya wyrządziła.»

[2]) Wkrótce po wybuchu powstania listopadowego, 21 grudnia 1830, Flottwell, ówczesny prezes naczelny W. X Poznańskiego, i von

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Paryż, 20 maja 1833.

Dosyć dużo w świecie bywam, potrzeba tego, ale pracowita to rzecz. Muszę ci powiedzieć, że nie mogę kroku zrobić w Paryżu, żeby mi się ktoś o ciebie nie pytał: młodzi, starzy, stare, wszyscy cię kochają i cenią, aż mi zdrowo. Na obczyźnie wielką mam zawsze wdzięczność dla tych pomiędzy naszymi, którzy dobre o sobie zostawiają wspomnienia; bardzo miło mi się z tem spotkać. Z twojej łaski, xięstwo de Noailles[1]) i inni są dla mnie istotnymi przyjaciółmi. Pani Delfina (Mieczysła-

---

Rödern, jenerał komenderujący, wydali okólnik, wzywający obywateli tej prowincyi, którzy potajemnie udali się do «Polski», by wrócili do swoich domów w przeciągu czternastu dni, pod karą sekwestracyi majątków. Na mocy tego okólnika uległ sekwestracyi, w styczniu 1831, Kórnik, majętność Tytusa Działyńskiego. Tytus Działyński z kwatery głównej w Jędrzejowie, 4 maja 1831, wniósł przeciw temu protest, powołując się na to, że jest obywatelem nie Prus, lecz Królestwa, że przeto rozkazy gabinetowe pruskie do niego się nie stosują. Protest Działyńskiego nie został uwzględniony. Na mocy edyktów królewskich z 6 lutego i 26 kwietnia 1831 dobra kórnickie przekazano na rzecz funduszu prowincyonalnego szkolnego, a królewska rejencya w Poznaniu, jako zastępczyni fiskusa szkolnego, wytoczyła Działyńskiemu proces konfiskacyjny. Proces ten we wszystkich trzech instancyach rozstrzygnięty został na korzyść Działyńskiego. Sądy uznały go wprawdzie za obywatela pruskiego, ale przyjęły tak zwaną «bona fides» to jest, że mógł się uważać za obywatela Królestwa, działał przeto w dobrej wierze. Sekwestracya trwała od 8 lutego 1831 do 3 marca 1838. Była ona tak ścisłą, że najdrobniejsze przedmioty, należące do osobistego użytku właścicieli, pozostawały pod kluczem. Dopiero w 1834 udało się panu Fiałkowskiemu, pełnomocnikowi wojewodziny Działyńskiej, uwolnić z pod sekwestru i wysłać do Galicyi część bielizny i odzienia jej synowej. Regencya poznańska pozwoliła na to aż dwoma rozporządzeniami: z 25 sierpnia i 6 września. Spis dokonany w obecności urzędnika pruskiego wyszczególniał dokładnie ilość i rodzaj wydanych przedmiotów, począwszy od kaftaników dziecięcych aż do bielizny, sukien i bucików.

[1]) X. Paweł de Noailles (1802—1885), członek Akademii francuskiej, żonaty z Alicyą de Rochechouart.

wowa Potocka) zawsze cię bardzo kocha, ale ja jej kochać nie umiem; na to, aby się jej podobać, trzeba przekroczyć pięćdziesiątkę i dużo jej pochlebiać, jakby zepsutemu dziecku. Szkoda, bo zresztą miła.»

IV

TRZECI WNIOSEK FERGUSSONA (9 LIPCA 1833). — KONSULAT ANGIELSKI W WARSZAWIE

W sam dzień przyznania mu obywatelstwa francuskiego, 5 czerwca, Zamoyski wyjechał do Anglii wraz z Gustawem Małachowskim dla zastąpienia tam x. Adama, który na kilka dni przedtem do Paryża powrócił. Z drogi pisał do xięcia: «Od Anglików, tak dziś zajętych, czy potrafię otrzymać posłuchanie? Bądź co bądź wezmę się do tego odważnie, ale stosunki ze światem stają się bardzo trudne, gdy się jest osamotnionym i bez podpory przyjaciół.»

《 Głównym celem zabiegów owej chwili w Anglii była nowa mocya Fergussona, dostarczenie potrzebnych wiadomości członkom parlamentu, mogącym wziąć udział w rozprawach, a zarazem zasłonienie tych rozpraw od twardego i bezwzględnego przeciwienia się ministrów. Jak poprzednio, w okolicznościach podobnych, usiłowaliśmy uzyskać od nich bierne przyzwolenie na mocyę; o życzliwej zachęcie dla niej ani myśleć nie można było. 》

Przedmiotem mocyi miało być wystosowanie petycyi do króla z żądaniem, by «nie uznał ani zatwierdził obecnego stanu Polski, jako gwałcącego traktat wiedeński». Na mocyę wyznaczono dzień 9 lipca.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 16 czerwca 1833.

Gdy Fergusson na sesyi z 11 poprzedził zapowiedzenie mocyi krótką przemową, izby przyjęły mówcę z wyraźnem upodobaniem.»

Dopisek Małachowskiego:

«Nie pamiętają tu, by zapowiedź jakiej mocyi przyjęta była tak powszechnemi oklaskami.»

W innym liście Małachowski donosi, że byli już «niemal u wszystkich im potrzebnych», także u lady Tankerville[1]) na wieczorze, u Patten Wilsona[2]) na balu, że wyjeżdżają z lady Dudley Stuart[3]) na parę dni na wieś do sir George Warringtona, że za chwilę ma się widzieć z Kulasem (x. de Talleyrand) i t. d.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 18 czerwca 1833.

Eustachy Sapieha[4]) przyjechał. Rzecz doskonała; starać się będę, by się zapoznał więcej w świecie tutejszym, gdzie tylko z nazwiska znany i z szlachetnego postępowania. Opowiada różne nowe okropności. Pani Wąsowiczowej dobra na Litwie skonfiskowano, na których sama po wojnie była i z sekwestracyi potrafiła uwolnić. Wypadek ciekawy, godny podania Mickiewiczowi, że klasztor Dominikanów w Tulczynie, założony umyślnie

---

[1]) Armanda Zofia hrabina Tankerville, córka x. Antoniego de Gramont, umarła 1865.

[2]) Jan Wilson Patten (1802–1892), członek izby gmin 1830—1874, wówczas mianowany pierwszym baronem Winmarleigh.

[3]) Krystyna lady Dudley Coutts Stuart, córka Łucyana Bonaparte x. Canino, umarła w Rzymie 19 maja 1847.

[4]) X. Eustachy Sapieha (1797—1860), syn x. Franciszka, starosty uszpolskiego, jenerała artyleryi litewskiej i Pelagii z Potockich, córki Szczęsnego. W 1831 był adjutantem jen. Łubieńskiego; zaślubił 1° v° siostrę Wilson Pattena, po której wczesnej śmierci zwrócił szwagrowi znaczny jej posag, co mu wielkie uznanie w Anglii zjednało, 2° v° Różę Mostowską, córkę Tadeusza, ministra spraw wewnętrznych i Maryanny z Potockich, starościanki kaniowskiej.

dla straży grobu familijnego Szczęsnych Potockich, zniesiony, oddany popom, a ciało Szczęsnego Potockiego najłaskawiej dozwolono, na żądanie familii, wydobyć z grobu i wywieść. W Niemczech i Dreźnie wielkie naszych prześladowanie, wypędzają z Drezna, paszportów do żadnego pogranicznego państwa nie dają, po drogach chwytają i, jak twierdzą, Moskalom wydają. Prusacy, gdy Polaka trzymają, przymuszają do kraju wracać lub osadzają w fortecach.

U x. Sussex miałem poranek długi przy kawie we dwóch. Wiele rozmawiał, rozprawiał; mało o interesach wie. Brata wąsatego (Mikołaja I) nienawidzi zawsze. Na królu i roztropności jego polega. Tak i inni. Dopóki (król) z izbą niższą trzymać będzie, to pokój w kraju jakkolwiek utrzyma.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 21 czerwca 1833.

Z Timesem poznałem się; oznajmiają zarazem przychylność i trudność zajmowania się czem innem, prócz spraw wewnętrznych. Do Lushingtona niepodobna było przystąpić. Sandon bardzo dobry. Wilson Patten, nowym zapałem ożywiony przez przybycie Sapiehy, pracuje nad torysami; sir Robert Inglis oświadczył, iż sprawa polska nie jest sprawą jednego stronnictwa, gdyż postępy Moskwy całemu krajowi zagrażają. Sapieha postanowił pozostać tu aż do 9 lipca. Jego obecność sama przez się działa. «Morning Chronicle[1])» doniósł w tych dniach o wyjeździe z Londynu xięcia i o przybyciu nas dwóch z wyrażeniem, że Małachowski jest sekretarzem dla spraw zagranicznych, a ja siostrzeńcem xięcia. Nieźle, iż widzą, że nie ustajemy w usiłowaniach i że xiążę niemi kieruje.»

X. Adam, odpisując na otrzymane wiadomości, prosi swoich dwóch wyręczycieli w Londynie, by «dobyli wszystkich sił, ażeby się rozprawa udała». Pyta, czy poroz-

[1]) Organ Palmerstona.

syłali notaty do członków, mających popierać Fergussona; poleca, by pisali do Niemcewicza i Waleryana Krasińskiego, aby ci na prowincyi pobudzali naszych przyjaciół do podawania petycyi; wymienia znajomych, o których sądzi, że daliby się skłonić do popierania wniosku; ostrzega, kogo trzeba odwiedzić na wsi, kogo w mieście, w jakiem biurze, o jakiej godzinie. Zachody takie przedstawiały w owym czasie więcej, niż kiedykolwiek, trudności z powodu walki stronnictw politycznych, jaką Anglia szarpana była, a wśród której «ministeryum», według słów xięcia Adama, «z trudem utrzymywało swoją znękaną nawę między skałami, o które co chwila rozbić się mogła».

Wspólnym przeciwnikiem, zarówno konserwatywnych torysów jak liberalnych whigów, było stronnictwo radykalne, ale i w niem dawały się spostrzedz dwa różne dążenia. «Jedni», pisze Zamoyski, «chcieli najprzód zniszczyć torysów, a dopiero potem zabrać się do walki z whigami, aby następnie przyciągnąć ich do swego obozu; inni zamierzali obrócić się przeciwko whigom, aby otrzymać zwycięstwo dla torysów, którzy, zdaniem ich, nigdy długo przy władzy utrzymać się nie zdołają.»

Zasadą polityczną x. Adama było, żeby sprawy naszej nie wiązać z żadnem w szczególności stronnictwem. «Z O'Connellem się tam zetkniesz», pisał do siostrzeńca (28 czerwca 1833), «pamiętaj, aby ci to gdzieindziej nie zaszkodziło. Naszem godłem jest nie należeć do żadnej partyi a u wszystkich wsparcia szukać.» Stosownie do tej zasady Zamoyski i Małachowski utrzymywali stosunki z wybitniejszymi członkami wszystkich stronnictw.

Przed każdym wnioskiem o sprawie polskiej poselstwo moskiewskie w Londynie usiłowało za pomocą dzienników przeciwdziałać wrażeniu, jakie te rozprawy wywierały na ogół narodu angielskiego. W czerwcu 1833 Times zamieścił dwa artykuły tego rodzaju. W pierwszym wyliczano dowody łaskawości cara względem oficerów polskich zesłanych w głąb Rosyi; w drugim umieszczona

była korespondencya z Rygi «o układach, toczących się w Londynie z x. Adamem w celu zwrócenia mu majątków», o których w innem piśmie zaręczano, że nigdy skonfiskowane nie były.

Zamoyski, odpowiadając na pierwszy z tych artykułów, przypominał niedawne egzekucye w Kronsztadzie i Janowie: «Co zaś do układów między x. Czartoryskim a carem», pisał, «nic łatwiejszego jak w samym Londynie przekonać się o ich bezpodstawności. Nieźle jednak przypomnieć, że Moskale nie bez przyczyny rozsiewają tego rodzaju pogłoski. Wiedzą oni, jakiego blasku przyczynia sprawie polskiej szlachetna niedola przezacnego naczelnika tego narodu; wiedzą, w jak kłopotliwem położeniu czują się mężowie stanu Europy wobec x. Adama, którego przyjaźnią niegdyś się szczycili; wiedzą też, że tego rodzaju wiadomości dobrze są przyjmowane, bo rządy, znużone strasznym stanem Polski, sumienie sobie niemi zaspakajają [1].»

Zamoyski nie poprzestał na zbijaniu powyższych artykułów; podobnie jak w roku ubiegłym zebrał dla dzienników nowe szczegóły o prześladowaniach w Polsce. Dostarczyły mu ich listy z kraju. Pisano stamtąd: «Szkoły w Królestwie zamknięte, nauczycieli domowych trzymać nie wolno. Mnóstwo kościołów pozamykanych. Zakonnicy nagromadzeni w kilku pozostawionych klasztorach z głodu umierają. Rozwody udzielane są wszystkim, którzy chcą się na schyzmę zapisać. Ile razy nie można dowieść, że nowonarodzone dziecko było ochrzczone przez księdza katolickiego, każdy pop ma prawo ochrzcić je na prawosławie. Księży katolickich

[1] Do jakiego stopnia nawet życzliwi cudzoziemcy nie mogli, czy nie chcieli zrozumieć stanowiska Polaków względem Moskwy, dowodzi między innemi list pana Cuvillier Fleury, jednego z redaktorów Journal des Débats, a zarazem sekretarza xięcia d'Aumale. Przesyłając razu jednego Zamoyskiemu 600 fr. na ubogich wychodźców, badał go, «czy niepodobna x. Adamowi pojednać się z carem».

mało, bardzo o nich trudno. Corocznie wymagana przysięga od członków każdej rodziny, że nie będą posyłać wychodźcom wiadomości ani pieniędzy.»

Podobne szczegóły przesyłał Zamoyskiemu i xiążę. «Wszystkie skonfiskowane intraty», pisał, «idą do szkatuły cara, który w tej grze bardzo zagustował i cieszy się każdą nową zdobyczą[1]). Ani piędzi ziemi nie rozdał dotąd swoim, co go dla wielu znienawidzonym czyni. To dodatek prawdziwie moskiewski, że do własnej szkatuły te rozboje zabiera. Gdzieindziej na instytuty dobroczynne lub inne publiczne cele obracają skonfiskowane fundusze, aby celem pokryć rabusiostwo; w Moskwie niema tych udawań, nie żenują się. X. Alexandrowej Sapieżynie skonfiskowano teraz majątek, aby się dzieciom nie dostał. Tylko dożywocie jej zostawiono i ziemi i sprzętów tak, iż xiężna nie może zgubić łyżki ani stłuc salaterki, by tej szkody najjaśniejszemu panu nie zapłacić. Zsyłają do jej domu częste wizyty, by się przekonać, czy co ze sprzętów nie zginęło. Niesłychana jurysprudencya.»

Wobec takich i tym podobnych szczegółów dziwiono się w Anglii niemało wiadomościom, pojawiającym się równocześnie w dziennikach, zwłaszcza niemieckich, o świetnych balach i zabawach, urządzanych w Warszawie. «Bale dawane są z rozkazu Paskiewicza», pisano Zamoyskiemu z kraju, «a po kobiety do tańca Moskale posyłają egzekucye. Raz, gdy na balu u Paskiewicza za mało było kobiet, a ktoś doniósł, że u pani Woydy jest ich pewna liczba, posłano kilka karet i oficerów z rozkazem, aby

---

[1]) Rozporządzeniem Rady Administracyjnej ulegały konfiskacie dobra tych wszystkich, którzy kraj opuścili po dzień 1 stycznia 1832 nawet za paszportem. Kto miał jakie usprawiedliwienie, musiał je poprzeć dowodami. Rozporządzenie to sprzeciwiało się zarówno artykułowi 165 dawnej konstytucyi Królestwa, który znosił konfiskatę, jak i nowemu statutowi z 26 lutego 1832, który przywracał konfiskaty, ale tylko za zbrodnie stanu pierwszego rzędu. (Notatka G. Małachowskiego z 1833)

dwanaście panien stawiło się do tańca. Wzięto je bez matek, a te pieszo goniły za niemi. Na prowincyi dzieje się nierównie gorzej jeszcze. Jenerałowie nadużywają dowoli władzy już i tak nieograniczonej.»

Wśród prac nad przygotowaniem mocyi Gustaw Małachowski powrócił do Paryża, by x. Adamowi, którego lekarze do wód wysyłali, zdać osobiście sprawę z dotychczasowych czynności i nie zostawić najważniejszego punktu, jakim był Paryż, bez wszelkiego wpływu na ministrów. «W Londynie Zamoyski, jako bardziej znany, ze zwykłą sobie gorliwością i talentem rzeczy prowadzić będzie», pisał Małachowski, oznajmiając xięciu swój przyjazd.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 8 lipca 1833.

Jutro dzień mocyi, wiele będzie do czynienia, do nauczania. Jaki będzie obrót rozpraw, tego przewidzieć nie umiem. Jednej rzeczy jesteśmy jakby pewni, to, że Fergusson dobrą powie mowę. Dni temu parę miałem sesyę z lordem Morpeth[1]), trwała godzin kilka. Odczytaliśmy wiele pism. Obrał sobie za przedmiot główny prześladowanie religii i fakta odrębne, nie dotykające stosunków między rządami; jego ojciec jest w ministeryum. Wtem rzecz się zmieniła. Odesłał pisma, druki i wymówił się od obecności na sesyi, podając za przyczynę «bardzo ważny wypadek w rodzinie, o którym jednak nie ma prawa mówić»... I lord Ebrington kominka zwinął, na sesyi nie będzie. Jutro rano ma wyjechać dlatego właśnie, by jej uniknąć. A ten jego krok jest oznaką oczywistą, że rząd się oprze wnioskowi stanowczo. Czemu ledwo uwierzyć można, to, że (lord Ebrington) powiedział koledze jednemu: «Warunki traktatu wiedeńskiego nie są tak wyraźne, tak stanowcze;

[1]) Jerzy Wilhelm wicehrabia Morpeth (1802—1864), syn Jerzego szóstego hrabiego Carlisle.

lord Wellington, który sam należał do traktatu», co nie nie jest prawdą, «twierdzi, iż on nigdy podobnego zobowiązania dla Rosyi w traktacie nie rozumiał». Wyznaję, że te słowa warteby drugiego «spisku prochowego[1]). Takie to obrzydliwe, nikczemne i pełne złej wiary. Ebrington powiedział, że tak silne oświadczenie może wciągnąć kraj w wojnę, a tego niepodobna ryzykować. Więc tedy, czem Rosya będzie gorzej deptała po nich, tem ich będzie widziała pokorniejszych. Opuszczają nas i inni. Pan Grote[2]), ofiarowawszy się mówić o Krakowie, odesłał mi dziś udzielone mu papiery i wymówił się innemi, obszernemi pracami.

W lordzie Sandon mam dotąd dobrą nadzieję; przecież nie wiem, czy się przygotuje, bo także inną robotą zajęty. Takie są oznaki niepomyślne. Dodać jednak muszę, że sir Francis Burdett sam był u mnie onegdaj, co jest dobrym znakiem. C'Connell dobrze przygotowany, Attwood[3]) nabity jak armata. Do reszty ujął mnie lord Dudley Stuart[4]) pilnem i ochoczem przyłożeniem się do rozpoznania rzeczy. Pułkownik Evans będzie popierał,

---

[1]) W 1605, za panowania Jakóba I, kilku katolików do rozpaczy doprowadzonych okrutnemi prawami przeciw «papistom» usiłowało wysadzić w powietrze parlament angielski.

[2]) Jerzy Grote (1794—1871), historyk i polityk angielski.

[3]) Tomasz Attwood (1783—1856), radykał, ulubieniec ludu, walczył skutecznie o przeprowadzenie reformy parlamentarnej, w 1832 wszedł do izby gmin, na podstawie nowej ustawy wyborczej, jako pierwszy poseł z Birmingham, pozostał członkiem parlamentu aż do 1839, ale nie zdobył w nim znaczenia ani wpływu.

[4]) Lord Dudley Coutts Stuart (ur. w Londynie, 4 stycznia 1803, um. w Sztokholmie, 17 listopada 1854), ósmy syn Jana, pierwszego margrabiego Bute, a jedyny z drugiego małżeństwa tegoż z Franciszką, córką Tomasza Coutts, słynnego bankiera, zmarłą 12 listopada 1832. Ożenił się w roku 1824 z Krystyną Bonaparte, po której został syn jedynak, Francis Coutts, kapitan w 68 pułku, zmarły 1 sierpnia 1889. Lord Dudley Stuart był najwierniejszym przyjacielem, jakiego Polska kiedykolwiek miała.

ale bez przygotowania. Lord Kerry[1]), syn Lansdowne'a powiedział mi, że mówić nie będzie, ale będzie za mocyą głosował. Jutro mam godzinę zamówioną z Bulwerem[2]), który, tuż po mocyi Fergussona, ma wnieść żądanie o papiery lorda Durham. Ciekawa rzecz, iż jemu Pozzo sam powiedział, że lord Durham w Petersburgu słowa «Polska» nie wyrzekł. Zdaje się, iż Wellington torysom zabronił głosować za tem, iż traktat jest złamany.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 11 lipca 1833.

...Trudno mi opisać dosyć żywemi kolorami świetny wieczór onegdajszy. Odnieśliśmy zwycięstwo i korzyści wyższe nad wszelkie spodziewane... Mowa Fergussona była pyszna, uczyniła wrażenie takie, że ministrowie, którzy przyszli bardzo pewni siebie, uczuli nagle, że są w grożącem niebezpieczeństwie. Posłano natychmiast po lorda Grey do izby (lordów), gdzie o tymże czasie była rozprawa, w której rząd pobitym został. Lord Grey prosił Fergussona, by cofnął mocyę przez wzgląd na utrzymanie się ministeryum. W tejże chwili rozesłano po całe wojsko ministeryalne, a mnie opadli znajomi, młodzi członkowie rządu, wystawiając, iż przez upadek ministeryum tylko stracić możemy, i przekładając potrzebę cofnięcia mocyi a poprzestania na mowach jednomyślnych. Udział radykała Attwooda w dyskusyi o mało nie wielce szkodliwy; adres komitetu polskiego czytany przez niego był jedyną częścią jego mowy, której z cichością i z wyrazem współczucia słuchano, reszta ze śmiechem była przyjmowana, a ministrom ułatwiła wystawienie wojny,

---

[1]) Wilhelm Tomasz Petty-Fitzmaurice, hr. Kerry (1811—1836), najstarszy syn margrabiego Lansdowne, członek izby gmin 1832—1836.

[2]) Henryk-Lytton-Earle Bulwer, od 1871 baron Dalling and Bulwer (1801—1872), pisarz i dyplomata angielski. Członek izby gmin 1830—1837, następnie poseł w Madrycie, Washingtonie, Konstantynopolu.

jako skutku bezpośredniego adresu (izb do króla w sprawie polskiej), gdyby taki nastąpił.

Spodziewam się, że nadal komitet lub komitety wszelkie emigracyjne wybiorą sobie lepszego pełnomocnika, ale zawsze przytoczyć będą mogły, że izba wysłuchała odezwę cierpliwie i z pobłażaniem dla nieregularności kroku tego[1]). Attwood najlepszy człowiek, zapalony nasz i wojny adwokat, ale w izbie nienawidzony i żadnym talentem nie zdobywa sobie znaczenia. Po niedorzecznej choć najżyczliwszej mowie Attwooda mówił sir Robert Inglis. Wystąpił nakoniec lord Palmerston. Sądzę, iż nigdy nie było znakomitszego ogłoszenia praw naszych przedtraktatowych, praw Anglii i Europy traktatem zawarowanych, oraz zgwałcenia tychże traktatów [2]).

Celem oświadczeń tak silnych i opowiadań tak obszernych była oczywiście potrzeba zdobycia napowrót większości wyrwanej mu z rąk przez mowę Fergussona, której wrażenie niepospolite z tego najbardziej ocenić

---

[1]) Równocześnie z adresem komitetu Dwernickiego złożono w izbie petycyę od mieszkańców Birmingham z 20.000 podpisów i od Stowarzyszenia politycznego z Glasgow. W obu petycyach domagano się, by członkowie izb czynili usiłowania dla przywrócenia Polsce niepodległości. Do zbierania podpisów przyczynili się Niemcewicz i Waleryan Krasiński.

[2]) Następujący ustęp mowy Palmerstona w drukowanem sprawozdaniu pominięto: «Traktat z 1815 został pogwałcony przez rząd rosyjski w stosunku do Polski w sposób systematyczny, gorszący i barbarzyński». (The treaty of 1815 has been with regard to Poland systematically, scandalously and barbarously violated by the governement of Russia)

Hr. Nesselrode odpowiedział na mowę Palmerstona 5 sierpnia 1833 notą tak silną, że jeszcze w dziesięć lat później (4 lipca 1842) Brunnow, poseł rosyjski w Londynie, powoływał się na nią jako na najlepszą odpowiedź na wszystkie rozprawy w parlamencie angielskim przychylne Polsce. (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VIII, str. 176)

można. Stratford Canning[1]) wystawił bardzo silnie groźną potęgę Moskwy i potrzebę oparcia się jej. Mowa O'Connella była piękną jak nawałnica, grubiaństwami nieco osłabiona, ale ważna. Wyłożył bardzo ładnie, że nie wojną, której się (Anglicy) tak lękają, ale zwycięstwem moralnem Polska znów powstanie. Zadał kłam nieprzychylnym twierdzeniom o stosunkach szlachty względem chłopów. Przypomniał, że prawo polskie z 1791 ich wyzwoliło, a że od tego czasu niewolnictwo przywrócone zostało i utrzymane jedynie pod zaborem Moskwy. Powodem do tej uwagi był pierwszy numer nowego dziennika, «The Radical», z przestrogami dla Anglii, by nie zapalała się do sprawy polskiej, która jest sprawą arystokracyi przeciw chłopom i że ostatnie powstanie w wielkiej części się poczęło od zamiaru Moskwy uwolnienia chłopów.

Wszczęła się rozprawa już nie o prawach wyłożonych, przeciwko którym żaden głos się nie odezwał, ale o stosowności adresu do króla, a raczej chwili, w której miał być podany. Występowali lordowie Althorp[2]), John Russell[3]), który, mimo suchej nad wyraz i kwaśnej mowy, niczem innem nie namawiał do cofnięcia mocyi, jak głoszeniem jednomyślności izby, oraz wrażenia moralnego, jakie stąd na korzyść tej sprawy wyniknie. Nakoniec i Stanley[4]) pierwszy raz w rozprawach o Polsce dał się

[1]) Sir Stratford Canning, od 1852 wicehrabia Stratford de Redcliffe (1786—1880), kilkakrotnie członek izby gmin. Poseł w Stambule 1842—1858, nazwany przez Turków «wielkim ambasadorem», a przez chrześcijańskich poddanych Porty «sułtanem sułtanów».

[2]) Jan Karol wicehrabia Althorp, od 1834 hrabia Spencer (1782 do 1845), minister skarbu 1830—1834.

[3]) Lord John Russell, od 1861 pierwszy hrabia Russell (1792—1878), trzeci syn Jana, szóstego xięcia Bedford, członek izby gmin 1813—1861, należał do każdego ministeryum whigów od 1830, prezes ministrów 1846—1852, minister spraw zagranicznych 1858—1865.

[4]) Edward Geoffrey Smith lord Stanley, od 1852 hr. Derby (1799—1869), kilkakrotnie minister, prezes ministrów w 1866, kanclerz uniwersytetu oxfordzkiego.

słyszeć i z drugimi zgodnie mówił. Tymczasem usiłowania wszelkie czyniono koło Fergussona, celem odwrócenia go od głosowania. Otaczali go wszyscy dawni przyjaciele nasi: lord Ebrington, który po to tylko na sesyę przyszedł, sir Francis Burdett, który dlatego wyrzekł się przygotowanej mowy, Charles Fox, lord Althorp i inni. Fergusson, jak naczelnik wytrwały w boju, znosił wszystko, ale cierpiał widocznie na wymówki przyjaciół. Przysyłał pytać o moje zdanie. Odpowiedziałem, że zdania innego nie mam i mieć nie mogę, jak tylko jego własne, że, gdy tak daleko rzecz doprowadził, tak świetne korzyści odniósł, niczyjej rady mu nie trzeba, że o nasze zdanie, a nawet xięcia, turbować się nie potrzebuje, będzie (ono) zawsze wyrazem wdzięczności dla niego. Tak rzecz stała, gdy po wymówkach Sheila[1]), jak gdyby chciał od głosowania odstąpić, Fergusson powstał i oświadczył, że przy mocyi obstaje. Sir Robert Peel wtenczas dopiero mówić począł, przez co zarzuty jego przeciw mocyi zostały bez odpowiedzi i urwały nam zapewne kilka głosów, między niemi lorda Sandon, który w krótkiej i niedosłyszanej mowie oświadczył się przeciw mocyi, jako dążącej do wojny. Izba była w stanie rozdrażnienia, bo wszyscy jednomyślnie czuli, a ci, którzy uznawali potrzebę wsparcia ministeryum, pobitego już w tamtej izbie, mieli żal do Fergussona i prawie do nas, że ich stawiamy w konieczności głosowania przeciw nam. Fox przychodził do mnie i sposobem zwykłym jemu, chcąc wszystkim i wszystkiemu dogodzić, oświadczył, iż, gdyby spodziewał się po swoim głosie wojny dla nas, głosowałby za Fergussonem, ale że odstępować rządu nie może, skoro dla nas żadna stąd korzyść. Ja starałem się zachować pozór, jakobym był mowami zaspokojony tak dalece, iż głosowanie było już prawie obojętne dla nas, było rozprawą

---

[1]) Ryszard Lalor Sheil (1791—1851), adwokat, pomocnik O'Connella, pierwszy członek rady tajnej katolik, poseł we Florencyi od 1850.

między Anglikami co do czasu, co do środków, do której ja się mieszać nie mogłem.

Skutek głosowania[1]) w najpierwszej chwili zmartwił wszystkich i nas samych, ale dosyć było kilku godzin, by to wrażenie sprostować. Fergusson sam nie wiedział, czy zrobił dobrze, czy źle. Powołany do przerachowania głosów tak był przerażony, widząc ogromną większość przeciw sobie, że powiedział lordowi Dudley Stuart, żeby chętnie dał 1.000 f. szt, by mógł cofnąć mocyę bez głosowania. Dziś czuje, że zrobił najlepiej. List Wuja przyczynił się do nadania mu takiej wytrwałości. Przypomniał mi Skrzyneckiego pod Ostrołęką, kiedyśmy mu wszyscy bez wyjątku, na nasz wstyd niestety, przekładali konieczność ustąpienia z pola bitwy, a on na wieczną swą sławę wytrwał, mimo tych rad zgubnych. Głosowanie to, samo przez się, zrobi wielkie wrażenie. Poznają, że walka rozpoczęta; odstąpienie od mocyi byłoby zrobiło wrażenie, że walki rozpoczynać nie można. Skutkiem odstąpienia byłoby zwątpienie o przyszłości, dziś przeciwnie wszystkie usiłowania popierać i łączyć się będą dla umocnienia tych dziewięćdziesięciu siedmiu członków. Kwestya ta wnijdzie tym sposobem w «pledges[2])». Wczoraj spędziłem dzień cały na usiłowaniach i pismach do redaktorów, celem rozniesienia tego zapatrywania na rzecz. Szczęściem wszyscy to zrozumieli. Do członków, którzy nas opuścili, umyśliłem, przy żądaniu zwrotu papierów udzielonych, napisać w tym sensie, wyrażając wszystkim słowa najwyższego zadowolenia, oraz wdzięczności naszej dla Anglii. Tak napisałem do lorda Sandon, sir Francis i lorda Morpeth, ażeby przez niego doszło do członków rządu. U Palmerstona zostawiłem bilet. Słowem, wszędzie głoszę swą radość i wdzięczność. Wyspiarze na chwilę się dzi-

---

[1]) Za mocyą głosowało dziewięćdziesięciu pięciu członków przeciw stu siedmdziesięciu siedmiu.

[2]) Zobowiązania przy wyborach.

wią, ale potem łączą się w zdaniu o ogólnym skutku tego posiedzenia i kontenci, że my się nie gniewamy na nich.»

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«11 lipca 1833.

Nader ważne i ciekawe jest wytłomaczenie głosowania przez dzienniki, ze wszystkich najbardziej przez ministeryalny «Globe». Uwagi z tego źródła tak dokładnie oddają to, co w rzeczywistości było, że trzeba je przesłać pismom niemieckim, szwajcarskim i francuskim rozmaitych stronnictw. Z rozpraw poznasz, ile się przydały starania koło torysów; nawet sir Robert Inglis głosował za mocyą. Rzecz uderzająca, że ta kwestya wszystkie partye jednoczy, wszystkie zazdrości zawiesza. Sir Robert Inglis chwalony przez Times i Morning Herald, a Times chwalony przez Standard: arka przymierza narodów. Niechby tę myśl Mickiewicz rozwinął.

Chciałbym, żeby dobrze opisane dyskusye jak najprędzej doszły do kraju. Ważną rzeczą tłomaczyć naszym obowiązek nie psucia nadal sprawy naszej niewczesnemi wybrykami, kiedy ją narody i same nawet rządy podejmują. Jeżeli co wstrzymać je może od moralnego wspierania naszej sprawy, to obawa, że my tego wsparcia nadużywamy niewcześnie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«12 lipca 1833.

Stare torysy, stare kongresowe dyplomaty sami już przestają zaprzeczać oczywistości zobowiązań Rosyi względem Europy, do szanowania oddzielnego istnienia Polski. Jest to dziełem mowy Inglisa i mowy lorda Palmerston, oraz, jak się rozumie, mów Fergussona. Torysów jednak uderzyła nadewszystko zmiana zdania Inglisa i solenne jego w tej mierze oświadczenie. To jest po większej części dziełem nieoszacowanego Pattena. Kwestya ta jednak dla torysów może być jeszcze wyraźniej wyłuszczona.»

Wilson Patten do x. Adama:

«Warrington, 21 sierpnia 1833.

Skoro Xiążę musiał Anglię opuścić, trudno było znaleźć lepszego zastępcę nad Zamoyskiego. Nie tylko zdobywa sobie powszechny szacunek, ale podziw wznieca swą gorliwością, niezmordowaną pracą, a nadewszystko roztropnością. Niepodobnem było postawić rzeczy na lepszej stopie, niż on to uczynił. Miłem musiało być Xięciu jednomyślne zapatrywanie izby na sprawę polską, ale byłby Xiążę miał wiele większe zadowolenie, słysząc mowę Fergussona i widząc, jak była przyjętą przez wszystkie stronnictwa. Takie było ubieganie się o głos, że wielu z tych, co mówić zamierzali, nie doszło do słowa.

Lękam się jednak, że skutek tej mocyi nie będzie bez ale. Okazała ona jednomyślność Anglii w sprawie polskiej, ale czy mowy Palmerstona i innych ministrów, którzy brali udział w rozprawie, nie utwierdzą Moskwy w poczuciu bezpieczeństwa? Mojem zdaniem nie potrzebowali, i to w taki sposób, wyrażać swych obaw przed wojną . . .»

Pierwsze wrażenie x. Czartoryskiego o rozprawach, mimo niepomyślnego wyniku głosowania, było dość korzystne: «Powinniśmy sobie winszować», pisał do siostrzeńca. Mniej korzystnem było wrażenie późniejsze, jak to widać z następującego listu:

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«22 lipca 1833.

Dopiero teraz czytałem mowę Palmerstona in extenso; wieleby było do napomnienia; przebaczyć mu nie można, że Podole i Litwę psom na pastwę rzucił [1]), powiedziawszy wprzódy, że Moskwa przez zbrodnię polityczną je posiadła. Anglia tej zbrodni nie potwierdziła i sankcyę jedynie jej dała pod warunkiem zachowania narodowości,

[1]) Palmerston w mowie swojej bronił tylko praw Królestwa Kongresowego.

tak w Królestwie, jak we wszystkich prowincyach, w których ten warunek nigdy nie był dochowany i w których narodowość jest teraz tak nieludzko, tak potwornie zdeptaną i rozszarpaną. Jakże tedy Palmerston śmie takie sprzeczności oczywistej prawdzie mówić? To zbić koniecznie trzeba.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«26 lipca 1833.

Bardzo jestem wzruszony sposobem, w jaki Fergusson przyjął mój list[1]). Niemała to pociecha i godzi z ludzkością widzieć człowieka rozumnego i z wyższemi zdolnościami, który uważa sprawę nieszczęśliwej Polski dla siebie jako sprawę serca i sumienia.

Powiedz także lordowi Dudley nasze najwdzięczniejsze dzięki.»

X. Adam usiłował obznajmiać rządy zachodnie nie tylko ze sprawą naszą i postępowaniem cara względem Polski, ale z zaborczą polityką Moskwy wogóle i z jej zamiarami względem ościennych państw. Otwierać oczy dyplomatom francuskim i angielskim na knowania Moskwy w Europie i Azyi, bezustannie wykazywać ich niebezpieczeństwo, oto zadanie, jakie sobie, wraz z x. Adamem, Zamoyski postawił. A zadanie było niełatwe, gdyż oba rządy zachodnie miały wówczas uwagę zwróconą w innym kierunku. Rząd francuski dążył przedewszystkiem do ustalenia w kraju nowego porządku rzeczy, zaprzątała go również kosztowna wojna w Algierze. W Anglii reformy wewnętrzne pochłaniały uwagę a z zewnętrznych spraw najwięcej budziła zajęcia wojna domowa w Portugalii, nierozstrzygnięte następstwo tronu w Hiszpanii i spór belgijsko holenderski. Oba rządy stosunkowo mało zwracały uwagi na politykę Moskwy; ich brak czujności pod tym względem najlepiej wykazała

---

1) Z podziękowaniem za mocyę.

wojna, tocząca się od końca 1831 roku na Wschodzie, a której doniosłość zachodnia Europa nie odrazu zrozumiała. Wojna ta, rozpoczęta pod błahym pozorem między sułtanem Mahmudem II[1]) a wicekrólem egipskim, Mehemed Alim[2]), mogła rozstrzygnąć o losach Turcyi, gdyż Mehemed Ali dążył do oderwania od niej nie tylko Egiptu, ale również Palestyny i Syryi. Sułtan, osłabiony niedawną walką z Moskwą (1827 1829), nie zdołał stawić czoła zbuntowanemu baszy. Ibrahim[3]), syn Mehemeda, dotarł wkrótce, z zwycięstwa w zwycięstwo, aż do Azyi Mniejszej Mahmud zwrócił się w październiku 1832 o pomoc do Francyi i Anglii, które w owej chwili nie miały nawet posłów w Stambule[4]). X. de Broglie odpowiedział na wezwanie sułtana ofiarowaniem swego pośrednictwa w załatwieniu sporu z Mehemed Alim; lord Palmerston wszelkiej pomocy wręcz odmówił. Odpowiedź obu państw zachodnich nadeszła do Konstantynopola równocześnie z wieścią o nowej klęsce wojsk sułtańskich pod Konieh (21 grudnia 1832), po której droga do stolicy stała dla Ibrahima otworem. W tej ostateczności sułtan, acz niechętnie, zwrócił się po ratunek do cara. Mikołaj, w przeciwieństwie do Anglii i Francyi, rozumiał ważność chwili; nie tracąc czasu, w początkach lutego 1833, wysłał okręty z wojskiem na wody tureckie Jednakowoż, za sprawą Francyi, sułtan nie odrazu przyjął niebezpieczną pomoc. Dopiero 5 kwietnia flota cara zarzuciła kotwicę w Bosforze, a wojsko jego rozłożyło się obozem na azyatyckim

---

[1]) Mahmud II (1785—1839), sułtan turecki. Za jego panowania (od 1808) odpadły od Turcyi: Bessarabia Grecya, Algier, Egipt.

[2]) Mehemed Ali 1769—1849), Turek macedoński, do Egiptu wyruszył z wyprawą Napoleona, zdobył tam władzę i został wicekrólem.

[3]) Ibrahim basa (1781—1848), przybrany syn Mehemed Alego, słynny wojownik i administrator.

[4]) Francya jeszcze nie zamianowała posła po ustąpieniu jen. Guillemot w 1831 a nowomianowany poseł angielski, lord Ponsonby, używał wywczasów we Włoszech.

brzegu Turcyi, naprzeciw Stambułu. Nigdy jeszcze nie zbliżyła się Moskwa tak dalece do celu swych wiekowych usiłowań, jak w owej chwili. Dzięki jednak staraniom nowomianowanego posła f ancuskiego, admirała Roussin[1]), udało się doprowadzić w Kutajeh, 5 maja 1833, do układów między Mahmudem a Mehemed Alim, a to zanim posiłki moskiewskie użytemi zostały. Wraz z nastaniem pokoju, Francya i Anglia zażądały od sułtana oddalenia sił moskiewskich. Dnia 10 lipca opuściły one istotnie państo ottomańskie. W przeddzień, 9 lipca, obchodzono w Stambule urodziny cara Mikołaja z wielką okazałością. Hr. Orłow[2]), poseł Butieniew[3]), kontradmirał Łazarew[4]) i jenerał Murawiew[5]) otrzymali od sułtana dyamentowe ordery, oficerowie i żołnierze moskiewscy złote i srebrne medale. Orłow wywiózł z Turcyi korzyść innej jeszcze wartości: przymierze odporne zawarte z sułtanem w imieniu cara na lat ośm, dnia 8 lipca 1833, w Hunkiar-Iskelessi. Tem przymierzem car przyrzekał dostarczać sułtanowi posiłków na lądzie i morzu, ilekroć bezpieczeństwo i spokój Turcyi będą tego wymagały. W zamian za zapewnioną sobie pomoc, sułtan zobowiązywał się, w tajnej zrazu klauzuli traktatu, zamykać, na żądanie Moskwy, cieśninę Dardaneli dla okrętów wojennych obcych państw. Obie części układu zarówno były dla Moskwy korzystne. Pierwsza oddawała państwo otto-

[1]) Albin René Roussin (1781—1854), wiceadmirał i par Francyi, poseł w Stambule 1832—1839, minister marynarki 1840.

[2]) Alexy hr. Orłow (1787—1862), pełnomocnik moskiewski w Adryanopolu 1829, poseł nadzwyczajny w Stambule 1833.

[3]) Apolinary Butieniew (1787—1866), poseł w Stambule 1830—1840, w Rzymie 1843—1856, po wojnie krymskiej ponownie poseł w Stambule.

[4]) Michał Łazarew (1788—1851), dowódca floty moskiewskiej na morzu Czarnem 1832—1845.

[5]) Mikołaj Murawiew (1713—1866), jenerał-adjutant, dowódca korpusu moskiewskiego nad Bosforem 1833, namiestnik Kaukazu 1854, zdobywca Karsu 1855.

mańskie pod jej straż, a tem samem upoważniała ją do ciągłego wkraczania w jego sprawy i granice; druga czyniła ją wyłączną i bezpieczną panią na morzu Czarnem, otwierając jej przystęp do morza Śródziemnego. I tak, dzięki nieoględności Francyi i Anglii, Moskwa mogła, w niespełna dwa lata po zwyciężeniu Polski, walne odnieść zwycięstwo nad Europą w Turcyi.

Pozostały o tych wypadkach uwagi Zamoyskiego i xięcia, które są jakby echem ich rozmów z ministrami Anglii i Francyi.

Jeszcze przed przyjazdem do Londynu Zamoyski pisał do x. Adama: «Sprawy wschodnie sam nie wiem, jak uważać. Chwila ta jest stanowcza. Boję się, że Angliki wpadną w łapki moskiewskie z taką nieświadomością, w jakiej oni zawsze zostają o wszystkiem, co nie na ich wyspie się odbywa. Zdaje się, iż najtrafniej mogliby poznawać swój interes, biorąc zawsze stronę przeciwną Moskwie. Teraz zajęło ich żywo ratowanie państwa tureckiego, lękają się bowiem, by Moskwa upadku tego państwa nie użyła na swoją korzyść. Lecz ona nie zawsze zaborami władzę swoją wzmaga. Zabory poprzedza protekcyą dla rządu konającego; dlatego to wspiera Turków, by w tym stanie niemocy pozostali do czasu, kiedy się nasunie okazya zaboru. Dziecinną jest obawa, by Moskale nie opanowali Carogrodu wobec grożących i gotowych do przeciwienia się jej mocarstw; obawy takie służą tylko Moskalom na okazanie przed światem, iż niesłusznie bywają posądzani o złą wiarę.

Powolność Moskwy w sprawie tureckiej niechaj nie podnosi dumy Anglii i Francyi, niech wezmą przestrogę z szybkości, z jaką na rozkaz z Petersburga, flota moskiewska stanęła w Bosforze, słowem z dowiedzionej możności dokonania dzieł najbardziej korzystnych dla niej, nimby Francya i Anglia zdążyły przedsięwzięciom tym oprzeć się.

Gdy się mówi o nieograniczonej żądzy Moskwy do rozprzestrzeniania potęgi swojej, każdy zwykle wyobraża

sobie napoleońską żądzę wojen, sławy i zaborów. Lecz tak nie jest. Moskwa od wojen niepewnych strzedz się będzie, na pewno tylko uderza. Dlaczego ustąpiła? Bo świeże rany jeszcze goi, bo lęka się zajścia, dopóki do zupełnych sił nie przyjdzie, bo czeka chwili, w którejby Francya i Anglia były zajęte trudnościami innemi.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 21 czerwca 1833.

Pytałem x. de Broglie, czy nie potrzebowaliby wiadomości o wojsku moskiewskiem, o położeniu miejsc, portów etc. na Wschodzie, że są tu tacy, którzy, zrobiwszy kampanię z wojskiem moskiewskiem aż do Adryanopola, byliby wstanie rzucić wiele światła w podanych hipotezach. Jął się tego z ogniem. Wtedy mu powiedziałem, iż do życzenia byłoby, aby raczył oświadczyć, na jakie punkty trzeba szczególniej uwagę obrócić, na jakie zapytania odpowiedzieć, gdyż trudno jest, nie mając takiego określenia, trafić na żądane informacye. Odpowiedział, że o tem pomyśli; Chrzanowskiego do tego użyję.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«19 lipca 1833.

Alians z Turcyą[1]) jest meisterstück. Dają Turkom instruktorów i inżynierów do fortec. Czy można lepiej zadrwić z tutejszych cymbałów? To przedziwne. Turcya jest prowincyą (moskiewską). Więcej nie potrzeba.»

Wkrótce po mocyi Fergussona magrabstwo Westminster[2]) zaprosili Zamoyskiego na kilka dni do siebie na wieś. Oczekiwano tam właśnie króla Wilhelma IV.

---

[1]) Traktat w Hunkiar-Iskelessi.

[2]) Robert Grosvenor, margrabia Westminster (1787—1845), żonaty z Eleonorą, córką hrabiego Tomasza Wilton.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego.

«18 lipca 1833.

Towarzystwo było tak nieliczne, iż uważałem za potrzebne tłomaczyć się z tego, że nie jestem przedstawiony u dworu, że, czując, iż we mnie przemaga cecha Polaka i powstańca, nie chciałem narzucać się królowi. To wszystko gospodyni bardzo grzecznie mu powtórzyła, co uszło za jakąś pół prezentacyę. Zdało mi się rzeczą pożyteczną, choć takim sposobem dawać się poznać powoli. Zdobywanie osobistego szacunku jest obecnie jedynym dla nas sposobem przypominania imienia Polski na każdym kroku. W tej też myśli nie korzystam z obywatelstwa francuskiego, żeby być przedstawionym. Zdaje mi się, że większa korzyść z tego, że jestem znany jako Polak i człowiek dobrze wychowany, niż gdybym był przedstawiony jako obywatel francuski. Uważałem, że wszyscy byli jakby wdzięczni za moją delikatność.

Było tam wielu członków rządu. Rozmawiałem z kilkoma o mowie Fergussona. Lord Lansdowne, który mnie zawsze wyciąga na gadanie, sam zaś prawie nigdy nie mówi, tym razem dziwnie obszernie się tłomaczył i przychylnie dla nas. Cieszył się, że widzę w oświadczeniach rządu korzyść dla naszej sprawy. Mówił, że rząd bardzo chętnie choć tyle czyni dla nas i że on ma nadzieję, iż takie oświadczenia powtarzane będą, dopóki skutku nie przyniosą.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 19 lipca wieczór.

Powzięte w tej chwili wiadomości ze źródła urzędowego utwierdzają moje spostrzeżenia o zmienionej w sposób widoczny polityce rządu. Wyraźnie są z Moskwy niekontenci i to jest istotną tajemnicą naszego powodzenia i wszystkich ich pięknych słów[1]). Dziwiłem się wyrażeniom, które zdawały mi się wymożone chęcią zapo-

[1]) Przy rozprawach nad wnioskiem Fergussona

bieżenia mocyi. O wiele lepiej, jeżeli to własny ich interes nimi kierował, ale o tyle bardziej trzeba ich w tej chwili naglić.»

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 26 lipca 1833.

Dzisiejsze gazety, donosząc, że ministeryum pobitem zostało na jednej klauzie bilu irlandzkiego w izbie wyższej, wytłomaczą najlepiej stan obecny umysłów osób składających rząd, stan niepewności, która ich trzyma w zawieszeniu a od spraw zagranicznych uwagę odwraca. Wprawdzie na 117 klauzie dopiero torysy wystąpili, nie prędzej, i bez pretensyi obalenia rządu obecnego, ale stąd poznać można, w jakiem oczekiwaniu ministrowie zostają. Zresztą łatwo poznać, że, choć torysy głoszą, że bilu a tem mniej rządu obalać nie chcą, przecież wprowadzona klauza jest jakby policzkiem dla ministrów, bo cóż śmieszniejszem może być w bilu, który ukróca przywileje kościoła anglikańskiego (w Irlandyi), jak zastrzeżenie, że w parafiach, w których przez trzy lata nie odbywano nabożeństw dla braku parafian i które dlatego mają być zniesione, fundusze zaoszczędzone w ten sposób użyte będą najpierw na odbudowanie kościoła anglikańskiego i innych zakładów tej parafii, na razie zniesionej. Tę jedną odpowiedź dać mogę na wszelkie żale z powodu obojętności i nieuwagi na ważne wypadki i groźne postępy nieprzyjaciół zewnętrznych. Nigdy bardziej przejęty nie byłem tem, jak trudno rządowi wolnemu czuwać dostatecznie nad polityką zewnętrzną, zwłaszcza gdy wewnętrzne zachodzą choroby. Przecie to i my stąd upadli i stąd Rzym pierwszych oglądał Gallów.

Widziałem Palmerstona, powyższe uwagi aż nadto mogą ci dać poznać ogólne wrażenie z tego spotkania: grzeczny był, ale zimny, nieporuszony, nieprzenikniony. Udzieliłem mu wiadomości ważnych o Hiszpanii i Rosyi wspólnych krokach,[1]) o uzbrojeniu Francyi etc... stał nie-

---

[1]) Hr. Orłow udał się z Konstantynopola prosto do Madrytu.

poruszony, jak człowiek w letargu, który słyszy i czuje, a ruszyć się nie może...»

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 30 lipca 1833.

Niedołężność tutejszych rządzących do spraw zagranicznych coraz smutniej mnie uderza. Poseł tutejszy w Berlinie[1]), którego nastrajaliśmy roku przeszłego, jest tu na krótko. Rozmowa z nim przekonała mnie, że plecie o tamtejszym rządzie, systemacie i duchu, jakby nie był nigdy na miejscu. On tam widać siedzi jedynie, żeby paszporta wizować i zjadać pensyę, którą nie inaczej, jak tylko tam na miejscu, pobierać może. Nie widzę w nim pilnej uwagi na sprawy Europy, tem mniej na naszą sprawę i stosunki jej z rządem pruskim. Jego całem pragnieniem, tak jak największej liczby teraźniejszych rządzących, jest zmniejszyć u nas okrucieństwa, a gdy to nawet się nie udaje, pragną samych siebie durzyć i (o nas) nie wiedzieć. Kiedy z takimi rozmawiam, robi to na mnie wrażenie, jakbym chciał wlać życie w trupa. Uczucie własnej niemocy i niedołężność przemaga nawet ich nienawiść ku Moskwie.

Nie zgrozaż to, że nikt z naszych nie stara się o to, by lordowi Minto dostarczyć faktów i tłomaczeń potrzebnych? Tę myśl trzebaby przesłać do Poznania do ludzi zdolnych. Xiążę niechby o to po przyjacielsku, ale ostro, napomniał Mostowskiego.»

Pokojowe zakończenie zatargu wschodniego i obawa wojny, znamionująca rozprawy z 9 lipca, były wskazówką, że ministrom i publiczności angielskiej trzeba z większym

[1]) Gilbert Elliot hrabia Minto (1782—1859), poseł w Berlinie 1832—1834, pierwszy lord admiralicyi 1835—1841, kanclerz prywatnej pieczęci królewskiej 1846—1852. W 1847 jeździł w misyi dyplomatycznej do Szwajcaryi i Włoch.

jeszcze, niż dotychczas, naciskiem tłomaczyć możność załatwienia sprawy polskiej drogą układów i mogące wyniknąć dla Anglii i Francyi korzyści z podjęcia śmiałej działalności w tym kierunku.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, lipiec 1833.

Trzeba dziś zająć się silnie myślą kongresu lub konferencyi o sprawach naszych. Gdy Palmerston tyle wyznał i głośno wyrzekł, czyż mogą Francya i Anglia, skoro są zgodne w uznaniu złamania traktatu, nie przyjść do wspólnych kroków dyplomatycznych? Trzeba im te kroki wytknąć i zbić myśl fałszywą, jakoby nie było środka między milczeniem a wojną. A od czegoż te armie dyplomatów, jeżeli nie dla wojowania piórem, w celu odwrócenia potrzeby wojowania bronią.»

Zamoyski, oceniając szczególne uzdolnienie dyplomatyczne Gustawa Małachowskiego, pragnął, by on wypracował obszerny memoryał o potrzebie kongresu ogólnoeuropejskiego w sprawie polskiej. List swój kończył słowami: «Podaję myśl, ale sam nie zdobędę się na takie pismo, to twój fach, nie mój». Małachowski w tych ostatnich słowach upatrzył obelgę dla dyplomacyi, a stając w jej obronie, odpowiedział, że w każdym razie zawód dyplomatyczny moralniejszy jest od zawodu wojskowego, w którym wolno śmierć z za płota zadawać, nikogo tem nie gorsząc. Co zaś do dwulicowości, zwykle zarzucanej dyplomatom, robił uwagę, że każdy chętnie upatruje źdźbło słomy w oku bliźniego.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 30 lipca 1833.

Musiałem się źle wyrazić, kiedym rozbudził w tobie mniemanie, że chciałem w twojem dyplomatycznem oku słomkę upatrzyć. Nie posądzaj mnie o takie uprzedzenie. Najlepiej mnie zrozumiesz ze słów, które niedawno pisałem do Timesa: «Między zgwałceniem wyraźnych zobowiązań a wojną, mającą na celu przywrócenie prawa siłą, jest

mnóstwo stopni pośrednich. We wszystkich czasach najcięższe trudności bywały usunięte staraniem dyplomacyi, która za pomocą protokółów, konferencyi i kongresów otrzymuje najczęściej skutki lepsze od tych, jakie się zdobywają krwawemi bitwami, a czasami nawet zwycięstwem. Któż tedy powiedzieć może, że poza tem, co już uczynione dla Polski, pozostaje tylko wydanie wojny?

Spodziewam się, że te słowa otrzymają mi twoje przebaczenie za wszystkie wyrażenia niedokładne i żarty nawet, które o dyplomacyi, jak o każdej rzeczy, pozwolić sobie można bez szkody, a zwłaszcza niczego tem nie dowodząc. Co do większej moralności wojny z bronią lub też wojny piórem łatwoby się zgodzić; nie tak, gdyby porównać działanie dyplomacyi w stosunkach, niby przyjaznych, z otwartą wojną. Ale na to najprędzej się zgodzim, że według czasu, różnemi środkami, a zawsze całą siłą i natężeniem służyć nam ojczyźnie należy.»

Do powszechnego kongresu europejskiego nie przyszło, natomiast odbyły się narady między władcami trzech państw zaborczych[1]). «Tak więc», pisze Zamoyski, «oni o zniszczeniu naszem radzą otwarcie, a inne mocarstwa nie mają śmiałości mieszać się do tego, kiedy same powinnyby powołać owe trzy mocarstwa do tłomaczenia się w tym przedmiocie.»

---

[1]) Lord Palmerston donosił o tem (3 września 1833) bratu, sir William Temple, w tych słowach: «Nesselrode pisze do Lievena, oczywiście w zamiarze, by mi list pokazał, że zjazd ma na celu jedynie zbliżenie się serc, że polityka nic z tem nie ma do czynienia. Jak można się trudzić pisaniem takich błazeństw! Doprawdy zdawałoby się, że chcą, byśmy nigdy i słowa nie wierzyli z tego, co mówią.» (Life and corespondence of viscount Palmerston, by Evelyn Ashley. M. P. T. I, str. 292)

W kilka dni potem, 10 września 1833, Nesselrode pisał do żony: «Talleyrand powiedział xiężnie Lieven, że zjazd może mieć znaczenie polityczne lub go nie mieć; postaramy się, żeby je miał, a nie brak nam osnowy do tego.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 251)

W dniu 14 sierpnia 1833 cesarz austryacki, Franciszek I[1]), zjechał się w Cieplicach z królem pruskim, Fryderykiem Wilhelmem III[2]). Wokoło nich zebrało się liczne grono dyplomatyczne.

Pani Kisielew[3]) do Władysława Zamoyskiego:

«Cieplice, 16 sierpnia 1833.

Pytasz o wiadomości stąd. Chociaż co dzień siadam do obiadu obok Metternicha[4]), a wieczory spędzam wśród mnóstwa dyplomatów, jak Ancillon[5]), Humboldt[6]) i tenże Metternich, to jednak o sprawach politycznych wiemy tu mniej, niż gdziekolwiek. Ci panowie w towarzystwie nigdy o polityce nie mówią; natomiast zabawiają siebie i drugich opowiadaniem przenudnych dykteryjek, od których zasnąć można. Król pruski, którego też codzień widuję, jeszcze mniej mówi od innych. Jednakowoż wielu przypuszcza, że sprawy polskie są przedmiotem rozpraw monarszych. Nie mamy tu przyjaciół, oto wszystko, co ci powiedzieć mogę.»

Do Cieplic miał zjechać i car Mikołaj, ale opóźniony przez gwałtowną burzę morską, która mu nie pozwoliła dopłynąć z Kronsztadu do Szczecina, przybył dopiero w parę tygodni później drogą lądową do Święcia nad Odrą. Spotkał się tam z królem pruskim, 5 września, i przepędziwszy z nim cztery dni, wyruszył w odwiedziny

---

[1]) Franciszek I (1768—1835), panował od 1792.

[2]) Fryderyk Wilhelm III (1770—1840), panował od 1797.

[3]) Zofia z Potockich, córka Szczęsnego, Polka gorąca mimo małżeństwa z Moskalem, jenerałem Pawłem Kisielewem (1788—1872), wielkorządcą Mołdawii i Wołoszczyzny 1829—1834, członkiem komitetu tajnego dla spraw włościańskich 1835, posłem w Paryżu 1856—1862.

[4]) Klemens Lotar Wacław x. Metternich (1773—1859), austryacki minister spraw zagranicznych 1809—1848, kanclerz od 1821.

[5]) Jan Fryderyk Ancillon (1767—1837), pruski minister spraw zagranicznych od 1832.

[6]) Fryderyk Henryk Alexander baron v. Humboldt (1769—1859), słynny przyrodnik, podróżnik, mąż stanu.

do cesarza Franciszka I do Münchengrätz; poprzedził go tam wicekanclerz hr. Nesselrode.

Te ostatnie narady, w których wziął również udział pruski następca tronu, późniejszy król Fryderyk Wilhelm IV, trwały dni ośm. Przedmiotem ich, prócz Polski, były sprawy Wschodu, Belgii, Szwajcaryi, Portugalii, Hiszpanii, a zwłaszcza Niemiec i Włoch, gdzie stowarzyszenia młodej Germanii i młodej Italii niemało niepokoju trzem rządom sprawiały. Nie odrazu dowiedziała się Europa, jakie postanowienia powzięte zostały w Cieplicach i Münchengrätz; dwie tylko rzeczy nie ulegały wątpliwości: zacieśnienie węzłów między członkami «świętego przymierza» i silne ich postanowienie dobicia Polski. W tym celu trzej mocarze podpisali tak zwany «kartel extradycyjny», którym obowiązali się wydawać sobie wzajemnie polskich poddanych, posądzonych o zbrodnię stanu, bunty lub spiski. Zjazd miał zatem służyć przedewszystkiem do spełnienia tego, co Fryderyk II nazywał «komunią czyli spożyciem wspólnie ciała i krwi Polski», a porozumienie trzech monarchów pod tym przynajmniej względem wydawało się tak zupełnem, że pani Kisielew pisała: «Cud Trójcy św. ponawia się w świętem przymierzu, jedność ducha, myśli i dążeń w trzech osobach [1])».

Zamoyski zamierzał po mocyi Fergussona wyjechać do Szwajcaryi, gdzie się miał spotkać z rodzicami, różne wszakże sprawy zatrzymały go w Londynie, a nie było komu ich powierzyć. «Dużo nad tem cierpię», pisał do brata Zdzisława (13 lipca 1833); «łatwo uwierzysz, jak mi pilno

---

[1]) Król pruski jednakowoż dopiero po dłuższem wahaniu dał się namówić do podpisania przymierza. Xiężna Metternich w październiku 1833 pisze: «Dotychczas niewiadomo, czy Ancillon podpisał układy zawarte w Münchengrätz. Tymczasem stracił czas niepowetowany, co dowiedzie Anglikom i Francuzom, że trzy państwa niezupełnie się z sobą zgadzają.» (Mémoires du prince de Metternich. T. V. str. 458.

do was, ale Niemcewicz jeździ po Szkocyi, przeto jestem tu jakby sam jeden z Polaków.»

X. Adam też uważał, że «trzeba koniecznie zawsze mieć kogoś w Londynie dla pracy około spraw polskich». Pragnąc, żeby siostrzeniec mógł do rodziców pojechać, kłopotał się tem, kto go zastąpi. Pyta, czyby x. Eustachy Sapieha nie mógł, przynajmniej na pewien czas, objąć tego stanowiska.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«12 lipca 1833.

Sapieha zaraz po mocyi wyjechał (na wieś). Wstrzymać go nie próbowałem. Zdaje mi się, że do takiej pracy namówić nie można; zacny on, ale nie był nigdy człowiekiem pracy. Tu potrzebna jest wytrwałość, nie żądanie w jednym dniu wszystkiego, przestawanie na dopełnieniu obowiązków, na dokonaniu wszystkiego, co z siebie zrobić można, a czekaniu cierpliwie chwili, gdy te usiłowania osiągną skutek jakikolwiek. My zawsze chcemy trudności jednem słowem, albo jednem uderzeniem przemódz.»

Z listów do Małachowskiego pokazuje się jednak, że Zamoyski usiłował nakłonić Sapiehę do pracy w Anglii i że mu się to do pewnego stopnia powiodło. «Zapewniałem go», pisze (22 i 26 lipca), «że i jabym wielu rzeczy się nie chwycił, gdyby nie z rozpaczy, że nikt się nie bierze do pracy, oczywiście potrzebnej. Ostatecznie zgodził się na to, by wziąć na siebie korespondencyę z Londynu. Zrozumiał, że jego nazwisko i poważanie, jakie sobie zdobył swojem zachowaniem i ofiarami, są siłą, której nie wolno mu odłogiem zostawić, i że co najmniej powinien wybrać między pracownikami dla sprawy tych czy tego, któremu da moralne poparcie swego nazwiska. Ma tę wielką zaletę, że jest dyskretny. Najwięcej stoi mu na przeszkodzie brak wiary w skuteczność naszych zachodów.»

Do spraw, które zatrzymywały Zamoyskiego w Londynie, należał spodziewany wkrótce wyjazd do Warszawy nowo mianowanego konsula angielskiego, pułkownika

Barnett[1]. «Wielka część zasługi tej nominacyi», pisał x. Adam (5 lipca 1833), «należy się Niemcewiczowi, który o to nie przestawał kołatać i którego przed moim wyjazdem Backhouse[2]) już uprzedził, że konsul będzie mianowany i że subjekt do tego zdatny znaleziony.»

W oczach Zamoyskiego punktem ważniejszym jeszcze pod względem politycznym, niż Warszawa, był Kraków z powodu pobytu tamże trzech rezydentów i ich nieustannych knowań na zgubę Polski[3]), a także z powodu możności przekonania się naocznie, że porozumienie trzech rządów nie jest tak ścisłem, ani ich siła zbiorowa tak wielką, jak to na Zachodzie mniemano. W jednym z ówczesnych listów mówi: «Trzeba uprzedzić zarzut kupczyków w izbie gmin, że Kraków nie jest miastem handlowem. To prawda, to też nie powinien być tam wysłany konsul, ale ajent dyplomatyczny. Konsule byliby nawet śmieszni w mieście niehandlowem i nie mieliby dosyć powagi wobec rezydentów. X. de Broglie doskonale to rozumie. A któż będzie mógł zaprzeczyć, że ta miejscowość jest ważna dyplomatycznie?»

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«26 lipca 1833.

Co do ajencyi krakowskiej, w rozmowie ze mną powiedział Palmerston otwarcie, że nie sądzi, by teraz rzecz

---

[1]) Pułkownik Karol Jan Barnett, mianowany konsulem warszawskim 31 maja 1833, konsul w Egipcie 1841—1846. Umarł 1856.

[2]) Podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych 1827—1842.

[3]) Dnia 30 maja 1833, rezydenci trzech państw opiekuńczych utworzyli między sobą «konferencyę», która odtąd samowładnie rządziła Krakowem. Tegoż roku, 15 sierpnia, dwory opiekuńcze narzuciły uniwersytetowi jagiellońskiemu nowe ustawy pod nazwą «statutu organicznego»; statut (ob. § 47) odbierał rządowi rzeczypospolitej krakowskiej prawo mianowania profesorów uniwersytetu; prawo to przywłaszczały sobie trzy dwory opiekuńcze i podzieliły się w tym celu wydziałami wszechnicy. Austrya objęła prawo mianowania profesorów na wydziale medycznym, Prusy na wydziale prawniczym, Moskwa na wydziale teologicznym. (W. Z.)

się dała zrobić i z uśmiechem godnym politowania wyznał, iż płaca tego ajenta jest przeszkodą!

Ze zgrozą donieść muszę, że wyjazd Barnetta wstrzymany oczekiwaniem odpowiedzi z Petersburga!! Powiadają, że to tylko przez grzeczność i tylko co do wyboru osoby. Cokolwiekbądź, nazywając rzeczy po imieniu, jest to nikczemność.»

Zamoyski skorzystał ze zwłoki w wysłaniu Barnetta, by go «nastroić, zaopatrzyć, uzbroić». Kasztelana Ludwika Platera[1]) prosił, by, jako dobrze świadomy stosunków warszawskich, zebrał wszelkie wiadomości, mogące się konsulowi przydać: «Opisy osób wybitnych: doktorów, jak Malcza[2]), Golcza[3]); urzędników, jak Brodzkiego, Łubieńskich[4]): kupców, kobiet, Moskali z przestrogą o każdym.» Sam zaś napisał dla Barnetta następujące wskazówki:

«Stanowisko konsula angielskiego w Warszawie mało ma znaczenia pod względem handlowym. Urzędnik, którzyby ograniczał się na niem do czynności oficyalnych, wkrótce popadłby w zapomnienie, a urząd prawdopodobnie wnet zostałby zniesiony. Przeciwnie, człowiek, którzyby na tem stanowisku zdołał zdobyć swą działalnością znaczenie polityczne, mógłby się stać pożytecznym swemu rządowi, a wkrótce niezbędnym.

Pod rubryką pożądanych dla rządu angielskiego wiadomości trzeba zamieszczać:

---

[1]) Kasztelan Ludwik Plater (1775—1846), dyrektor lasów rządowych w Królestwie od 1816. Posłany w 1831 przez Rząd Narodowy w misyi dyplomatycznej do Paryża. Na emigracyi pierwszy wiceprezes polskiego Towarzystwa literackiego.

[2]) Wilhelm Malcz (1795—1852), lekarz wielce ceniony.

[3]) Prawdopodobnie Jan Goltz (1781—1864), syn Karola Bogumiła, przybocznego lekarza x. Adama Kazimierza Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, wychowaniec korpusu kadetów w Warszawie.

[4]) Zapewne Henryk Łubieński, wiceprezes banku polskiego, i jego bracia.

1. Wypadki urzędowe, akta, gazety, ukazy, srogości, tudzież wyjaśnienia rozporządzeń, mających na celu oszukiwanie Europy.

2. Objawy dające poznać stan moralny kraju: stopień przygnębienia, zniechęcenia lub nadziei, oporu biernego i głuchej rozpaczy.

3. Stan handlu, jakim był, jakim mógłby być.»

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 30 lipca 1833.

Z żalem widzę, że Barnett goły i jedzie z nader szczupłą pensyą, która mu nie dozwoli życia w niczem zbliżonego do tego, jakie prowadził Schmidt[1]). Przynajmniej zacny, bardzo chętny i dobrze usposobiony.»

Wyjazd pułk. Barnett nastąpił w połowie sierpnia; tyle jednak polskie zachody zdołały otrzymać, że do instrukcyi, wręczonej mu w ministerstwie spraw zagranicznych, dołączono polecenie «przejeżdżania się do Krakowa». Z pierwszych czasów pobytu jego w Warszawie, Zamoyski zapisał następujący znamienny szczegół: «Barnetta biurko wyłamano dwukrotnie, klucz do tajnej korespondencyi zabrano. Raz przyjął to w milczeniu, za drugim razem upomniał się. Odpowiedziano mu prostem zadaniem fałszu.»

Przyjazd pułk. Barnett do Warszawy wypadł w chwili, gdy w całym kraju naszym dawały się odczuwać nieszczęsne skutki wyprawy Zaliwskiego; ona to w części wywołała kartel extradycyjny i środki obmyślane w Münchengrätz na wytępienie narodowości polskiej. Sam Zaliwski, schroniwszy się do Galicyi, nie zbity z toru bezowocnemi ofiarami, które wyprawa jego pochłonęła, wydał w pierwszych dniach czerwca 1833 roku odezwę, dla przekonania rodaków, że każdy prawy Polak powinien jemu zaufać, a x. Czartoryskiego uważać za zdrajcę; oznajmiał zarazem, że powstanie odracza do wiosny 1834 roku.

---

[1]) Konsul pruski w Warszawie za czasów w. x. Konstantego.

Austryacy zrazu nie niepokoili partyzantów, którzy się do Galicyi chronili, dopiero gdy policya wykryła, że Zaliwski zawiązuje tam stowarzyszenia węglarskie, zaczęła ich szpiegować i chwytać. Srogie nastały czasy. Byle jaka i byle czyja denuncyacya wystarczała dla sprowadzenia na obywatelskie dworki chmary policyantów i żołdactwa. Przeprowadzano rewizye, plądrowano domy i folwarki, aresztowano panów i sługi, na których padało podejrzenie, że mają jakiekolwiek stosunki z emigrantami, że ich u siebie goszczą, ukrywają, że im udzielają wsparcia. Wszystko to poczytanem było za zbrodnię stanu. Z każdym dniem zwiększała się w kryminale lwowskim liczba więźni. Znęcano się nad nimi, głodem ich morzono, odmawiano czystej bielizny, świeżego powietrza, skazani byli na zimno, kajdany, biczowanie. Nie lepiej się działo pod innemi zaborami.

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«5 lipca 1833.

Wiadomości z kraju okropne, ciekawe. Partyzanci, przybyli doń z manifestami demokratycznemi, musieli je spalić, widząc, że duch tam wcale inny. To niewczesne wtargnienie mieszkańcy mają za zdradę moskiewską.

Do dwóch tysięcy obywateli zaaresztowanych. Pannę Kawecką rozstrzelano i drugą pannę skazano na rózgi i więzienie dwuletnie[1]), ojciec jej stary umarł z żalu Wszystko za udzielanie pokarmu partyzantom; gdziekolwiek oni się pokażą, Moskale biorą właściciela.

W Poznańskiem rząd pod pretekstem, że właściciele (ziemscy) przepuścili ich, więzi, konfiskuje, wywłaszcza niezmierne sztrafy naznacza. Chłapowski[2]) skazany na 20.000 tal. i dwa lata fortecy, Mycielscy, Mielżyńscy także. Język po szkołach zakazany, wszystko się robi po niemiecku,

---

[1]) Była to panna Chołoniewska. Brata jej Moskale schwytali i rozstrzelali wraz z Arturem Zawiszą.

[2]) Jenerał Dezydery Chłapowski (1788—1879).

żaden Polak do urzędu nie dopuszczony, wójtów skasowali, wyborów niema. Niemcy wywłaszczają obywateli; do rekrutów biorą z największą srogością; chcą zniemczyć prowincyę wbrew traktatom. Piszą, że taka tam exasperacya, iż na moje wezwanie lub Bema lub kogoś poważnego, zaraz cała prowincya powstanie.

To wszystko z listu do Morawskiego od jednego z biedaków, co tam poszli i tego gorzkiego piwa nawarzyli [1].»

We Lwowie procesy i sądy trwały przeszło trzy lata. Nareszcie ośmiu emigrantów, którym żadnej winy nie dowiedziono, prócz przestąpienia granicy, skazano na długoletnie ciężkie więzienie i w okowach, piechotą do Kufsteinu zapędzono. Jak Polska długa i szeroka, nie było serca na brzęk tych oków głuchego.

Ta garstka «szaleńców», ci ludzie, którym sami Polacy zarzucali tak zabójczą nieroztropność, tak lekkomyślne narażanie siebie i kraju na niepowetowane klęski, ci ludzie naraz, w oczach całego narodu, zostali uwieńczeni palmą męczeństwa.

A współczucie dla prześladowanych i oburzenie na prześladowców nietylko w polskich sercach pałało. Dla większego bezpieczeństwa wszelkie straże powierzone były nie żołnierzom rodem z Galicyi, ale Czechom i Węgrom;

---

[1]) O nich Mostowski, były minister spraw wewnętrznych, pisał do x. Czartoryskiego, 11 lipca 1833: «Partyzanci stawają w sprzeczności z narodem, bo naród pragnie odetchnąć, wypocząć i materyalnie się pokrzepić, oni zaś cząstkowemi i krwawemi a próżnemi zamachami niszczą zawiązki przyszłego bytu i sił krajowych».

List ten pisany był z Berlina, gdzie Mostowski od 1831 przebywał i dalej zamierzał pozostać. Z tego zamiaru tak się xięciu tłomaczył: «Blizkość dymów ojczystych, do których oprócz stosunków rodzinnych i majątkowych jakiś tajemny djabeł kusi, i, jeżeli nie nogi, to myśl i uwagę mimowolnie ściąga, przywiązuje nas do tutejszego miejsca, w którem zresztą zupełnej używamy swobody, tak dalece, że od trzech lat nikt mi za złe niema, że z szlafroka rzadko wyłażę i nikogo dotąd w mieście nie widuję».

zgroza zaś i w ich sercach wzniecona wymownie się objawiała. Jeden z partyzantów, Borkowski, opowiada, że węgierscy strażnicy szczególniej litościwi się okazali; jeden z nich pocieszał go, mówiąc: «Bądź pan spokojny, Bóg mocniejszy nad te Niemcy, w nim miejmy nadzieję, Bóg da, że jeszcze przepędzim tych cesarskich aż do Wiednia». Kilku czeskich strażników skazanych zostało na trzy lata ciężkich robót za pobłażliwość Polakom okazaną. Borkowski mówi, że w czasie tej krzyżowej drogi, z więzienia do więzienia, niezliczone acz ukryte dowody życzliwości otrzymali: «Przejeżdżając przez Rzeszów, spotkaliśmy się z obywatelem Tytusem Działyńskim. Zajechawszy do jednej z nami karczmy, gdy się dowiedział, że nas wywożą do Kufsteinu, prosił oficera, który jechał z nami, aby mu pozwolił nas widzieć. Wszedłszy do nas, na widok kajdan, któremi okuto wyniszczone nasze szkielety, załamał ręce i ze łzami nas ściskał, pocieszał a wrogów przeklinał; przy wyjeździe, czule nas żegnając, złożył na ręce oficera znaczną dla nas ofiarę. Prawdziwie godny brat Klaudyny. Była to chwila, o której zamilczeć nie mogę, tem bardziej, że wówczas nikt do nas potępionych zbliżyć się nie śmiał[1].»

Współczucie dla uwięzionych i wysiłki dla ratowania ich bywały czasem skuteczne.

Tytus Działyński do x. Leonowej Sapieżyny:

(1833)

«Polecam z głębi serca dwóch ludzi, błagam o litość nad nimi, obaj w okowach. W niedzielę rano będą odstawieni do granicy i wydani Moskalom. Można sobie wystawić, jaka straszna śmierć ich czeka. Jeden ma zaledwie ośmnaście lat, twarz śliczna, chociaż oczy zapadłe od łez. Piszę do prezydenta Kriega, proś męża, aby

---

[1]) Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej do Polski w 1833 roku przez Karola Borkowskiego, oficera artyleryi polskiej. Lipsk 1862.

mu list mój wręczył. Jestem chudopachołkiem, jednak wysyłam ten list sztafetą; odżałuj dukata, żeby tym samym sposobem przesłać do władz w Złoczowie przychylne rozkazy prezydenta, jeśli podobna je otrzymać. Porusz niebo i ziemię. Oni obydwaj są młodzi, może rodziców mają. Już tu nie chodzi o dnie, ale prawie o godziny. Polecam ich z pełnem zaufaniem twojej dobrej i szlachetnej duszy.»

Dalsze listy pokazują, że udało się x. Leonowej ludzi tych uratować.

Dwudziestu pięciu emigrantów, którzy wpadli w moskiewskie ręce, nie zaznało mąk długiego więzienia. Na śmierć skazani, nad grobem pocieszali się myślą, że niedowierzającej Europie dowiodą, że «Polska jeszcze nie zginęła, że żyje, że jej krew w żyłach nie skrzepła, skoro się leje».

Jeden z nielicznych partyzantów, którym udało się wymknąć z Królestwa, znalazł schronienie w Anglii.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 26 lipca 1833.

Przyjechał tu Borzewski[1]). On w Płockiem w lasach trzymał się z oddziałem, który dochodził do dwustu ludzi. W tem, co opowiada, są szczegóły do głębi poruszające; sam ma coraz łzy w oczach. Widok tego młodzieńca jest do najwyższego stopnia naraz zajmujący, wzruszający a zarazem rozpaczliwy. Dobrowolnie się zaślepiał, wmawiając w siebie, że wszelkie powątpiewanie o stosowności wezwania, za którem szedł, pochodziło z braku odwagi i hartu. Dziwna prostota, jednocześnie wyrzuty sumienia, przekonanie, że działał z czystych pobudek, żal do wstydu mimowolnego posunięty z powodu nieszczęść, do których się przyczynił, a skądinąd przecież ta

---

[1]) Kalikst Borzewski, b. porucznik 8 pułku ułanów, w 1832 wstąpił w tymże stopniu do wojska belgijskiego, otrzymał stopień kapitana w służbie hiszpańskiej, zmarł w Migo, w Hiszpanii 1836.

sama zawsze gotowość do podobnego kroku, skoro lepsza pora nadejdzie. Nakoniec mało zachwiana wiara w naczelnikach tej wielkiej niby a tak małej wyprawy, może dlatego, że tych naczelników sam nie znał i nie zna dotąd. Czuje, iż był źle kierowany, ale nie wie przez kogo. To wszystko składa się na obraz charakterystyczny najlepszej części naszej emigracyi. Cokolwiekbądź, piękne to jeszcze, dopóki takie czyste uczucia, jak u niego, ale to nie zawsze bywa, a zbyt często za zasłonę służy. Namawiam go, by to, co czuje, szczerze wyłożył na piśmie.»

Wzmagające się prześladowanie w kraju coraz powiększało liczbę wychodźców, to też listy x. Adama i Zamoyskiego w latach 1833 i 1834 odnoszą się w znacznej mierze do starań, czynionych tak w Anglii, jak we Francyi dla ulżenia losu tych nieszczęśliwych. «Wszystkie rządy niemieckie wyganiają Polaków», pisze xiążę 14 czerwca 1833, a 30 czerwca dodaje: «Środki rządów przeciwko nam coraz sroższe; nareszcie dla Polaków, od śmierci i kajdan uciekających, nie będzie gdzie się podziać, gdzie pozostać, gdzie pojechać. Zewsząd wyganiają, nigdzie nie przyjmują. Powinnyby rządy na to okropne położenie mieć wzgląd.»

Wstęp do Anglii wolny był wprawdzie dla wychodźców, ale rząd zapomóg im nie udzielał, a przybywało ich coraz więcej bez środków do życia, bez znajomości języka, bez rzemiosł. Nie tak było w pierwszych chwilach emigracyi, gdy Francya stała otworem dla wszystkich. Wówczas mało ubogich Polaków chroniło się do Anglii, a ci co się tam udali, choć chleba mieli niewiele, nie o chleb prosili Anglików; wszelką okazywaną im życzliwość wyzyskiwali na wywoływanie mów i pism w obronie sprawy narodowej. Późniejszym zaś przybyszom trzeba było przedewszystkiem dostarczyć chleba. Służyły do tego między innemi składkowe bale, koncerty, zabawy. Nie dogadzały one rządowi moskiew-

skiemu, to też obecni w Londynie Moskale starali się przeszkodzić im wszelkiemi siłami. Xiężna Lieven pod tym względem, jak pod wielu innemi, znakomicie służyła zamiarom swego rządu. «Gazety żalą się», pisał Zamoyski (2 lipca), «że z bazaru królowej nie tylko nic dla Polaków nie dają, ale wyłączają wszystkich cudzoziemców, cierpiących z powodów politycznych. Nic dziwnego, xiężna Lieven tak w bazarze jak w Almacks[1]) prezydowała w rozbieraniu praw cudzoziemców do zapomogi.» Równocześnie jednak Zamoyski donosił, że słynny skrzypek włoski Paganini będzie grał publicznie w Vauxhall[2]) i że połowa dochodu pójdzie na komitet polski. Podczas tego koncertu, w którym udział wzięły znakomite śpiewaczki Malibran, Pasta i inni znani artyści, jakaś szajka przez poselstwo moskiewskie opłacona usiłowała przeszkodzić muzyce i śpiewom. Moskiewskim prozelityzmem odznaczyła się przy tej sposobności xiężna de Dino, siostrzenica x. de Talleyrand. «Najpaskudniej się znalazła», mówi Zamoyski, «mogła milczeć, wolała xiężnie Lieven okazać się wierną.»

O udziale Zamoyskiego w zachodach na korzyść wychodźców wspomina Niemcewicz w swym pamiętniku pod dniem 12 lipca: «Hoży, piękny, młody Władysław Zamoyski, wzięty u wszystkich piękności londyńskich, dokonał, że zawiązało się w Londynie, ku wsparciu błąkającej się naszej młodzieży, towarzystwo dam, które urządza bale, koncerty, bazary.»

Rząd francuski w przeciwieństwie do angielskiego dawał zapomogi wychodźcom, ale dlatego właśnie bronił się od nowych przybyszów, to też starania xięcia w Paryżu polegały głównie na otrzymywaniu dla nich paszportów do Francyi. Po wyjeździe xięcia do Barèges, zastępował go w tych staraniach Małachowski. Do niego tedy

[1]) Miejsce publicznych zabaw w Londynie, bardzo wówczas uczęszczane.

[2]) Publiczna sala balowa i koncertowa.

zwrócił się Zamoyski 16 lipca z prośbą, by «uczynił, co potrafi, dla czternastu Polaków zagrożonych wydaleniem z Drezna, którzy tem samem, że najdłużej byli przez rząd saski tolerowani, dali dowód spokojnego postępowania». W następnym liście z 26 lipca pisze o tychże wygnańcach: «Król saski[1]) osobiście się oparł wypędzeniu tej garstki; zaręczył niejako za nich i prosił, by do śmierci jego przynajmniej w spokoju zostawieni byli. Niemniej przecież staraj się, ażeby obiecane upoważnienie posłane było posłowi, gdyż Prusacy i Moskale nie przestaną nalegać.»

Przewidywania te okazały się słuszne. Rząd saski, ulegając groźbom, wydalił Polaków z Drezna. Między wydalonymi byli Wincenty Tyszkiewicz[2]) i Klaudya Potocka, która tam przy swej matce, wojewodzinie Działyńskiej, bawiła od upadku powstania.

Dla Polaków, którzy pragnęli z Anglii pojechać do Francyi, trzeba było otrzymać paszporta w poselstwie francuskiem w Londynie.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Londyn, 18 lipca 1833.

Stary Kulas (Talleyrand) na zapytanie moje, czy da paszport do Francyi Sołtanowi[3]), odpowiedział, że jedynie tylko rekomendacya xięcia zdoła go odtąd zrobić mniej

---

[1]) Antoni Klemens (1755—1835), brat króla Fryderyka Augusta III, panował od 1827.

[2]) Wincenty Tyszkiewicz (1796—1856), poseł skwirski w 1831.

[3]) Adam Sołtan, syn Stanisława Sołtana, marszałka W. X. Litewskiego i Franciszki Radziwiłłówny, urodzony w Warszawie 1792, ożeniony z Idalią Pociejówną, wstąpił do wojska 1808, mianowany podporucznikiem przez x. Józefa Poniatowskiego, odbył kampanie 1809 i 1812, pułkownik 1831. Po powstaniu opuścił kraj, skazany na śmierć zaocznie i pozbawiony majątku. Trzech synów jego porwano gwałtem z domu dziadka, gdzie się wychowywali i umieszczono w szkole kadetów w Petersburgu. Adam Sołtan żył przez długie lata na wygnaniu, głównie w Paryżu; umarł w Wielkopolsce, u córki Maryi, wydanej za Alfonsa Sierakowskiego z Waplewa.

uważnym na instrukcye. To trzeba xięciu zakomunikować, ale nie rozgłaszać. Jest to nowy dowód siły moralnej, do nazwiska xięcia przywiązanej, a jeżeli to wyjątkowe poważanie jego imienia jest zarazem oznaką niechęci ku ogółowi, tem silniejszą pokaże się jego powaga osobista, tem ważniejszem być może jej użytkowanie, byle trafne. Jest to nowym dowodem, że xiążę może, a przeto powinien, w oczach rządów niektórych, przybierać w zupełności postać reprezentanta sprawy naszej i działać stosownie. Nie głosić o tem nic albo jak najmniej. Zachować stosunki swoje z rządami w ścisłej tajemnicy, tak dla zachęcenia rządów tych do ufności i uwolnienia ich od wyrzutów Moskwy, jak też dla zasłonienia siebie od krzykaczy naszych. W tem działaniu, powtarzam, sekret pierwszym warunkiem a bardzo trudnym dla nieszczęśliwych, nieuznawanych od nikogo otwarcie, stojących między obietnicami rządów, w niczem takowe nie wiążących a mniemaniem, iż dla nas nie w rządach, ale w narodach nadzieja, przeto w głośnem przemawianiu do nich. Miara między temi drogami naszym obowiązkiem.»

Dla zastąpienia Zamoyskiego w Londynie zjechał Niemcewicz. Mówił wprawdzie, że Zamoyski «zdatnością, postacią, stosunkami towarzyskiemi» jest nierównie pożyteczniejszy, niż «stary, opryskliwy dziad», czynił wszakże dużo, a zarazem przysyłał xięciu, zwykle w żartobliwy sposób, uwagi o tem, co wkoło siebie widział i słyszał. «Z rozrzewnieniem patrzałem», pisze razu jednego, «jak w izbie parów kulawa ropucha (Talleyrand) ściskała się z Lievenem.» W tym samym liście zapowiada, że zaproszony na wieczór do lorda Palmerston pojedzie mu złożyć kondolencyę, że popadł w niełaskę u cara. Innym razem wspomina o kilkunastu biedakach naszych, «którzy, narobiwszy hałasu w stolicy, wyszli całą bandą na prowincyę, chcąc się śpiewaniem polskich pieśni utrzymywać. Daj Boże, żeby nie z czego gorszego.»

Bolesnym był w istocie dla Polaków, dbałych o dobrą sławę ojczyzny, nieustający napływ rozmaitych włóczęgów, wyzyskiwaczy wszelkiego rodzaju i pochodzenia, którzy, podając się za polskich bohaterów lub męczenników, wyłudzali wsparcie, gdy wielu prawdziwie zasłużonych umierało z głodu. Niemcewicz o tych mniemanych emigrantach pisze: «Wraz z walecznymi wyszła z kraju ciemna, bez czci i wiary hołota i hańbi naszą sprawę.» Walka z tymi ludźmi o tyle była trudniejsza, że ściągała na ogół Polaków podejrzenie, że się wzajemnie nienawidzą i zgody między sobą utrzymać nie mogą. Wyznać trzeba, że wielu było i takich, co choć uczciwi, woleli natrętnie żebrać, niż na chleb pracować. Niemcewicz oburzał się, martwił, zrzędził, ale przybywających otaczał swoją opieką, wspierał o ile możności, starał się o stosunki dla nich i zajęcie; w zachodach swoich nie ustawał. I teraz powracał do Londynu z odbytej właśnie wycieczki po Szkocyi i Irlandyi, gdzie parę miesięcy spędził, aby «żebrać» na pomoc naukową dla synów polskich wychodźców.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Calais, 12 sierpnia 1833.

Z za morza nie wiozę nic nowego. Portugalią wyłącznie zajęci[1]), ale to ich wplącze w hiszpańskie stosunki, gdzie bliżej z północnymi się spotkają; bodajby z dobrym skutkiem[2]). Lecz w teraźniejszych ludziach mało nadziei, chybaby ich niespodzianie wielkie wypadki nadmiarem

[1]) Lord Palmerston czynnie wspierał królową Maryę przeciw don Miguelowi. Dnia 5 lipca 1833 kapitan, później admirał, sir Charles Napier (1786—1860) zniszczył flotę don Miguela koło przylądka św. Wincentego.

[2]) Dnia 20 czerwca 1833 król hiszpański Ferdynand VII, śmiertelną złożony chorobą, zamianował swym następcą małoletnią córkę Izabellę; państwa zachodnie sprzyjały temu. Wobec silnego stronnictwa w Hiszpanii za bratem króla, don Carlosem, popieranym przez rządy północne, zawikłania międzynarodowe zdawały się z chwilą śmierci króla nieuniknione.

strachu do śmielszych kroków zmusiły. Coraz widoczniej zdaje mi się, że wszelkie dobro dla nas przyjdzie od samych nieprzyjaciół, już przez ich zewnętrzne, nieustające a groźne postępy, już przez wewnętrzne kiedyś wstrząśnienia. Do Paryża jadę z obawą, bo jestem bez wiadomości, a od naszych waryatów złego obawiam się co chwila.

Wczoraj zjechał do Londynu Olizar[1]), ten, co z Wincentym Niemojowskim[2]) wpadł w ręce Moskali; umknął po piętnastomiesięcznem więzieniu, wypuszczeniu i przytrzymaniu na nowo. Jedzie prosto do Paryża; ciekawe i okropne jego opowiadania.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Paryża, 20 sierpnia 1833.

Ostatnia czynność w Londynie nas dotycząca jest meeting zebrany dla składki na Szwajcarów naszych. Lord Dudley Stuart, poczciwy, najpilniejszem staraniem dokazał tego, że zebrali się ludzie najznakomitsi i przemawiali, jako to: margrabia Clanricarde[3]), lord Sandon i kilkunastu M. P.[4]), obecnych lub zapisanych, np. lord Morpeth, margrabia Conyngham, lord Robert Grosvenor etc. Mimo takiego przewodnictwa, zgromadzenie nie przechodziło dwustu osób. Radykały, zawstydzeni przez arystokratów, oznajmili, iż powodem (ich nieobecności) była niewiadomość o meetingu i wnieśli drugi meeting, na który zapowiedzieli pięć tysięcy osób. Ten

[1]) Narcyz Olizar (1794—1862), jeden z organizatorów powstania na Wołyniu, kasztelan wołyński 1831.

[2]) Wincenty Niemojowski (1784—1834), członek Rządu Narodowego do spraw wewnętrznych od 31 stycznia do 17 sierpnia 1831. W końcu września uwięziony przez Moskali umarł w Moskwie, w drodze na Sybir.

[3]) Ulick John de Burgh, pierwszy margrabia a czternasty hrabia Clanricarde (1802—1874), podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych 1826—1827, poseł w Petersburgu 1838—1841, kanclerz pieczęci królewskiej 1857.

[4]) Members of parliament, członkowie parlamentu.

odbyć się miał dzisiaj w Exeter Hall, Strand. (Poprzedni meeting przyniósł 400 f. szt.) Po raz to pierwszy arystokraci stanowczo wystąpili, co też gazety głoszą z dodaniem wyrzutów dla opieszałości reszty mieszkańców. To może nam otworzy wnijście do izby wyższej, bo, chociaż tym razem głoszono, że ten krok ma być wolny od znaczenia politycznego, wiadomo, jak tę rzecz od polityki oddzielić podobna. Lord Dudley stał się dla nas nader ważnym nabytkiem, tak dla gorliwości i śmiałego postępowania, jak dla wzięcia u ludzi i przyjaźni, jakiej używa powszechnie w towarzystwie i w modnym świecie. Za postępowanie swoje odebrał wielkie pochwały od xiążąt Devonshire[1]), Sussex i innych.

Szwajcarzy odpisali nieźle (na posłane pieniądze), chociaż ich próżność demokratyczna dziwnie im odejmuje zrozumienie wartości wyrazów, co sprawia, że nie trzeba dosłownie brać tego, co piszą. Zresztą ich słowa nigdy nie wiążą. Jednak dobrze, że zrozumieli, iż, mimo różności zdań, xiążę i inni mogą zachować wzajemnie braterskie uczucia. Dosyćby było ważne przyznanie, że xiążę jest naczelnikiem narodu, gdyby to nie było przyznane celem uzyskania pomocy i wsparcia. Bądź co bądź, jest to stwierdzeniem faktu.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«(z Barèges), 25 sierpnia 1833.

Lord Dudley Stuart wyszedł, widzę, na człeka, z czego niezmiernie się cieszę, bo nie można być zacniejszym. Brakowało mu tylko, by się sam poznał na sobie. Dziwi mnie, że xiążęta Devonshire i Sussex chwalili Dudley Stuarta; dlaczego sami nic nie robią?»

W ówczesnych notatkach Zamoyski robi z powodu tego meetingu następującą uwagę:

«Sprawa nasza miała dotąd zwolenników prawie tylko między średnią warstwą społeczeństwa i w stron-

---

[1]) Wilhelm Spencer Cavendish, szósty xiążę Devonshire (1790-1858).

nictwie najliberalniejszem. Ostatnie rozprawy o mocyi Fergussona już w tej mierze okazały zmianę stanowczą. Meeting dnia 13 sierpnia zwołany był przez parów, a między nimi byli tacy, którzy mają stanowiska znakomite w rządzie i w towarzystwie. Że zaś poseł moskiewski zamyka na zawsze swój dom każdemu, którego imię da się słyszeć między obrońcami Polski, towarzystwo londyńskie dzielić się wkrótce będzie na tych, co bywają, i na tych, co nie bywają w poselstwie moskiewskiem.»

Dziękując lordowi Dudley Stuart za zwołanie meetingu i zbieranie składek dla Szwajcarzan, Zamoyski przypominał mu (24 sierpnia 1833), jak ważną rzeczą, by wychodźcy nie wystawili sobie, że pieniądze dla nich w Anglii zebrane są dowodem uznania dla ich wyprawy. «Nikt z tych, którzy się do składki przyczynili, nie mógł mieć na myśli pochwalenia ich niedorzeczności, lecz jedynie ratowanie ich w nędzy, w jaką popadli. Tyle już czyniąc dla Polaków, masz prawo, a nawet obowiązek, przy pomocy materyalnej, przesłać im i dobrą radę, wykazać, jak nieroztropnie z ich strony podobne ruchy rozpoczynać bez poradzenia się tych na emigracyi, którzy godni są zaufania i zdolni dobrze poradzić. Tłomacz im, jak nadal zachowywać się powinni, by sprawie narodowej skutecznie służyć. Któż lepiej od waszych wielkich radykałów może uczyć roztropności potrzebnej przy działaniu politycznem. Któż lepiej wykazać może, że, jakkolwiek taka działalność wynika z poświęcenia, potrzeba jej kierunku mądrego dowódcy i to dowódcy tak postawionego, by mógł, z wysoka patrząc, wskazywać chwilę do działania odpowiednią.»

V

LEGIA PORTUGALSKA. – POBYT W SZWAJCARYI

W Paryżu od dłuższego już czasu wrzała wśród Polaków namiętna burza wywołana wznowieniem rokowań z Portugalią o legion polski. Rokowania te odroczone, lecz nie zerwane pod koniec 1832, podjął na nowo jen. Bem po powrocie swoim z Belgii na wiosnę 1833. Zamoyski pisał wówczas do xięcia (22 kwietnia): «Trzebaby bardzo nieprzewidzianych wypadków, aby to dało się jeszcze wykonać. Ta myśl nigdy się naszym nie podobała.»

Bem, nie bacząc na trudności, pojechał do Oporto i tam zawarł 19 maja 1833 z rządem portugalskim konwencyę, mocą której zobowiązał się wystawić, pod nazwą «legii dona Maryi», korpus złożony z Polaków, liczący co najmniej 1.700 ludzi, najpóźniej na 1 lipca tegoż roku. Legia miała pozostać na żołdzie królowej do czasu ustalenia jej rządów w Portugalii; mundur, komenda i dowództwo miały być polskie, prawa wojskowe francuskie, kokarda portugalska. Legioniści mieli korzystać z praw obywatelstwa w Portugalii. Po skończonej wojnie rząd dona Maryi obowiązywał się dostarczyć im środków do utworzenia polskiej szkoły wojskowej a dwudziestu czterech Polaków przypuścić do szkoły i służby morskiej. Z Oporto Bem wrócił do Paryża na Londyn, gdzie Zamoyskiemu pokazał podpisaną przez siebie umowę. Po

przejrzeniu jej, Zamoyski wyraża w liście do x. Adama z 16 czerwca 1833 żal, że zawartą jest przez Bema we własnem jego imieniu, gdyż Bem po przyjęciu służby, jako podwładny ministra wojny, straci możność upominania się o dopełnienie umówionych warunków. «Zawarcie obecnej konwencyi», pisze, «zatraciło najważniejszy warunek już zezwolony, uznanie w xięciu przedstawiciela czyli zastępcy rządu polskiego. Konwencya zawarta i podpisana przez dowódcę legii samego będzie jakby kontraktem zawartym z najemnikiem; zawarta na mocy upoważnienia danego z jednej strony przez don Pedrę, z drugiej przez xięcia staje się konwencyą polityczną. Oczywiście należy unikać form zbyt wybujałych i takich, któreby naszej miłości własnej tylko pochlebiały, a dla rządu portugalskiego mogły być utrudnieniem wobec mocarstw zazdrosnych o przyznanie nam podobnego znaczenia i korzyści.»

Po powrocie do Paryża, Bem zajął się zbieraniem ochotników do legii, ale jakkolwiek przygotowany był na trudności ze strony rodaków, nie domyślał się, jakie przybiorą rozmiary.

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 5 lipca 1833.

Wszystkie wiatry z jaskiń niezgody są wypuszczone, aby zniweczyć legię. Komitet (Dwernickiego), jenerałowie, demokraty łącznie wrzeszczą i podszczuwają przeciwko; połączonemi siłami chcą zamknąć jedyną ziemię, gdzie Polacy mogą się zbrojnie zebrać. Takie to jest fatalne i złośliwe zaślepienie. Już wszyscy powiadają, że są z rządu francuskiego kontenci i że pod jego opieką pozostać należy. Wśród fal i burz Bem stoi jak skała i powiada, że mimo tego wszystkiego rzecz pójdzie i uda się.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 8 lipca 1833.

Względem Oporto ten sam stan rzeczy się przeciąga ze strony szalejącej większości, jak się zdaje, emigracyi.

Poza wczoraj zbór demokratyczny spalił odezwy Bema i podobno jego effigię, a Mickiewicza i całego Pielgrzyma[1]) za zdrajcę mnie zaprzedanego ogłosił. Piękne są rady Palmerstona w ostatniej rozmowie z Małachowskim: «czekać należy», ale ażeby czekać, trzeba mieć nadzieję. Rządy są przeciw tak zwanej propagandzie, bardzo to dobrze, ale, aby przeciw złej propagandzie działać, trzeba wspierać dobrą, propagandę słuszności, praw narodów, propagandę uczciwych ludzi przeciw szatańskiej tyranii, chcącej ludzkość ujarzmić. Wtedy tylko ludzie «bonae voluntatis» przemogą, kiedy sobie dadzą wszędzie ręce i kiedy rządy, mieniące się ich tarczą i reprezentacyą, staną przy sterze ruchu i na jego czele pójdą szczerym i odważnym krokiem.»

Dnia 12 lipca 1833, w Melun pod Bourges, porucznik Platon Pasierbski strzelił do Bema zajętego przyjmowaniem ochotników z tamecznego zakładu, szczęściem nie zranił go, poczem umknął do Anglii.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«22 lipca 1833.

Cóż to za zgroza z tym hultajem, co Bema napadł. Spodziewam się, że nie ujdzie gilotyny. To jedyna odpowiedź na takich ludzi, których liczba niestety wzrasta, a wszystko z łaski rządu (francuskiego), który całą emigracyę nielitościwie skazał na żebractwo i wszystkie skutki brudne i okropne takiego położenia. Zaprzeczyć nie można, że rząd jest sprawcą wszystkiego, skoro miał możliwość temu przeszkodzić, skoro go ciągle ostrzegano i błagano, żeby przedsiębrał środki niezbędne dla zapobieżenia rozkładowi, którego stale pragnął.»

X. Adam, chcąc Bema poprzeć, w liście otwartym do niego z 21 lipca 1833 oświadczył się za zaciągiem do

---

[1]) Czasopismo emigracyjne; wydawcą jego był od 4 listopada 1832 do 25 marca 1833, Eustachy Januszkiewicz, od 5 kwietnia do grudnia 1833 przyłączyli się do niego Bohdan Jański i Mickiewicz.

Portugalii, byle udział w nim był zostawiony dobrej woli i zdaniu każdego z Polaków.

Władysław Zamoyski do Gustawa Małachowskiego:

«Paryż, 20 sierpnia 1833.

List wuja i wytrwałość Bema obalają wzniesione widma. Z wszech stron napływają ochotnicy. Pytanie, wielu się znajdzie między nimi żołnierzy zdatnych. Pytanie też, czy nie jest już zapóźno i czy Portugały jeszcze nas zechcą[1]). Tymczasem Bem natęża wszelkie usiłowania. Wiadomości dalsze o większym lub mniejszym oporze ze strony don Miguela rozstrzygną zapewne o tem. Jakkolwiekbądź, gdyby nawet rzecz upadła, wygraną będzie zasada i przy pierwszej zdarzonej sposobności, naprzykład w Hiszpanii, gdy tam z kolei się zacznie, już się nie będziem wahać.»

Inna jeszcze przyczyna wpłynęła na zmianę usposobienia emigrantów względem legii. Rząd francuski długo zwlekał z wydaniem upoważnienia na formowanie jej a wojskowym, pragnącym udać się do Portugalii, odmawiał paszportów. Dopiero 25 lipca 1833 hr. d'Argout[2]) wydał rozporządzenie, mocą którego wychodźcy, zaciągający się do legii, otrzymać mieli nie tylko paszporty, ale i zasiłek na drogę oraz żołd do końca roku. Tak znaczna zapomoga, usuwając trudności pieniężne, zachęciła wielu emigrantów do udziału w tej formacyi, bez względu na protesty komitetów emigracyjnych. Ale nie minęło kilka tygodni, kiedy nagle owo rozporządzenie cofnięto i to pod błahą wymówką, że zgromadzenie się w oznaczonym przez konwencyę czasie małej tylko garstki ochotników każe powątpiewać o możliwem utworzeniu legii.

[1]) Wojna w Portugali miała się już ku końcowi. W dniu 24 lipca wojska dona Maryi wkroczyły do Lisbony pod wodzą x. Terceiry. Don Miguel trzymał się jeszcze w północnej części kraju.

[2]) Antoni Maurycy hr. d' Argout (1782—1858), minister spraw wewnętrznych 1 stycznia 1833 — 5 kwietnia 1834, minister skarbu 18 stycznia — 7 listopada 1836, następnie dyrektor Banku francuskiego. Należał do dworskiego stronnictwa.

Jenerał Bem do Władysława Zamoyskiego:

«La Rochelle, 25 sierpnia 1833.

D'Argout przybiera pozór szarlatana, gdy mówi, że zaledwie sześćdziesięciu ludzi zebrało się (w La Rochelle) i że wątpi, aby legia sformować się mogła. Wie on dobrze, że ci sześćdziesięciu są to żołnierze i podoficerowie z zakładu w Bourges, którzy wymaszerowali mimo oporu oficerów. Ale inaczej będzie on śpiewał, jak się przekona, że, mimo jego głupiego zakazu i niesłowności, nasi pójdą nawet bez otrzymania zasiłku na podróż. Niektórzy już wyruszyli bez paszportów. Inni pytają mnie, co mają począć. Do zakładu w Cahors, składającego się przeważnie z artylerzystów, posłałem dzisiejszą pocztą rozkaz do wymarszu, bądź co bądź. A tak rząd francuski będzie miał skandal, jeśli go sobie koniecznie życzy. Za zakładem w Cahors pójdzie Bergerac; tu w okolicy, jak i w pobliżu Nantes, mamy po dwustu ludzi. Wszyscy znaku tylko czekają, a ten znak damy, skoro przewóz będzie zapewniony. Liczę, że zdołam zebrać między 5 a 10 września co najmniej tysiąc podoficerów i żołnierzy, którzy ani dbać będą o życzenia pana d'Argout i zażądają wypuszczenia ich z Francyi. Mam mocny zamiar narobienia hałasu, jeżeli nam przeszkodzą w tem, do czego mamy prawo.»

Władysław Zamoyski do jenerała Bema:

«Paryż, 28 sierpnia 1833.

Jenerale, po odebraniu listu twego z dnia 25 poczynione usiłowania u tutejszego rządu nie zostawiają mi żadnej nadziei, by co w postępowaniu swojem zmienił. Jego tłomaczenia są niegodziwe i bezczelne, niemniej pospieszam z prośbą, abyś Jenerał nie poddawał się żadnym uniesieniom, ani pismom, ani krokom jawnie uchybiającym rządowi. Nie zapominaj Jenerał, ile w podobnych razach ganiłeś popędliwość innych. Nie tylko dalszy los legii, ale i nas wszystkich długo może jeszcze zależeć będzie od tego rządu. Nie ściągaj na siebie żadnej winy,

nie wywołuj żadnej urazy choćby pozornej. To tylko czyń, co może dopomódz przedsięwzięciu... My wszystko tu uczynimy, co będzie w naszej mocy.

29 sierpnia.

Zdążę jeszcze dodać parę słów. Albo legia pójdzie, a natenczas potrzeba pomocy rządu tutejszego, przeto obrażać go nie należy, albo, jeśli się nie uda, trzeba, żebyś Jenerał przed zawiedzionymi i oskarżającymi rodakami zdał sprawę z przyczyn zawodu. Natenczas wydrukować coś potrzeba, lecz w tym nawet razie jeszcze przekonasz Jenerał najlepiej o dobroci swej sprawy, gdy bez namiętności poprzestaniesz na suchem wyłożeniu faktów i przytoczeniu pism. Wydrukowanie np. listu do króla napisanego będzie zarazem jawnie przekonywujące i pełne godności. Przepraszam, że tak temi uwagami nudzę, aleś Jenerał przestraszył wszystkich przyjaciół swojem oburzeniem, jakkolwiek najsłuszniejszem. Słowem, Jenerale kochany, zaklinam cię, użyj całego starania, cierpliwości, powagi, żeby nie dopuścić do «hałasu». Racz pamiętać, że xiążę cię wsparł swem imieniem, że przeto twe czynności w części na niego spadną. Ja z mojej strony ponawiam wyrazy najszczerszej życzliwości, która jedna może mi dać prawo do tak otwartej mowy.

Jakkolwiek ważnem byłoby dla nas sformowanie legii, przecież nie usprawiedliwiałaby narażenia imion naszych najlepszych. Legia się zrobi, jeżeli nie dziś, to za pierwszą okazyą. Przy Jenerale zawsze zostanie zasługa, żeś dał zrozumieć emigracyi jej pożytek. Obowiązek spełniłeś w zupełności; nazwiska swego nie zużywaj, rozbijając się o niepodobieństwo, jeśli ono będzie oczywiste.»

Koniec starań o legię był ze wszech miar niespodziany. Jenerał Bem pragnął od rządu portugalskiego otrzymać koszta przewozu ochotników, odmówione mu, wbrew przyrzeczeniu, przez rząd francuski i w tym celu udał się do Lisbony. Don Pedro, nie chcąc się zapewne

narazić naraz Francyi i Moskwie, a przytem zawsze bez grosza, nie tylko złamał konwencyę, rzekomo z powodu, że legioniści nie stawili się na czas, ale co więcej, kazał (10 marca 1834) aresztować Bema, gdy się upomniał o zwrot wyłożonych na legię pieniędzy. Poseł angielski lord Howard[1]) uzyskał jego uwolnienie w kwietniu tegoż roku i odstawił na angielskim okręcie do Gibraltaru, skąd Bem do Paryża powrócił.

Zamoyski pisze, że, sądząc po listach otrzymywanych z Portugalii, don Pedro zachowuje się «jak waryat», że przypomina swem postępowaniem w. x. Konstantego i rządy tegoż w Królestwie. «Tak samo wiele rozpowiada o konstytucyi i dziennikom rządowym każe o niej pisać, a sam ciągle ją gwałci, czyniąc na każdym kroku, co mu się święcie podoba. Jedną rzecz tylko trzeba mu przyznać, że chce utrzymać niepodległość Portugalii, ale na to, by mógł zwyciężyć bez obcej pomocy, trzebaby mu głowy i pieniędzy. Głowy niestety brak mu zupełny. Zamiast zjednywać sobie stronników don Miguela, przyprowadza ich do takiej rozpaczy, że wzmaga tym sposobem zapamiętały ich opór. I własnych stronników nie oszczędza. Oddalił od steru wszystkich ludzi przywiązanych do konstytucyi lub poprzednio w kraju zasłużonych. Wystarcza, by kto miał wybitniejsze zdolności, aby popadł w niełaskę u niego i to począwszy od xiążąt Palmelli i Terceiry[2]) aż do oficerów najniższych stopni, jak się to okazało po wyprawie do Algarvii, której to jednak wyprawie dona Marya koronę zawdzięcza. Takie zachowanie się zniechęca wszystkich i oburza.»

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Zamoyski, mimo pragnienia pracy przy x. Adamie, ciągle się z nim mijał.

[1]) Karol August baron Howard de Walden and Seaford (1799—1868), poseł w Sztokholmie 1832, w Lizbonie 1833, w Bruxelli 1846.

[2]) Antoni Józef hr. Villaflor, xiążę Terceira (1792—1860), wódz naczelny wojsk don Pedry, kilkakrotnie minister.

W lecie 1833 xiążę zajęty był w Paryżu, póki sprawy polskie zatrzymywały Zamoyskiego w Londynie, a gdy Zamoyski do Paryża powrócił, xiążę dla zdrowia przebywał w Pirenejach. Zamoyski miał nadzieję zjechać się z wujem w czasie umówionego spotkania z rodzicami w Szwajcaryi i xiążę tego pragnął, ale, nie chcąc narażać siostry na zemsty moskiewskie, odstąpił od zamiaru. «Z listu twojej matki widziałem», pisał do siostrzeńca, «jak dalece stracha się nas widzieć. Boję się, że ciebie uściskać jest ostatecznością tego, na co sobie pozwolić może.» Zachodziła w istocie obawa, że ordynat cofnie w ostatniej chwili udzielone synowi pozwolenie przyjazdu.

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 18 sierpnia 1833.

Nie bez obawy otworzyłem listy Matki, lękałem się znaleźć w nich jakie słowo, któreby mnie zmusiło do wyrzeczenia się podróży. List Matki mnie uszczęśliwia, skoro nie zakaz, ale tylko obawy ojca mi wyraża. Zaręcz mu Matka, że wszystkich ostrożności będę przestrzegał, że czuję ich potrzebę i niczego nie zaniecham. Jednak, niech Matka zwróci uwagę ojca na to, że nie trzeba przesadzać w uległości nawet wobec najokrutniejszego i bezlitośnego zwycięzcy. Są ofiary, którymby nie uwierzyli, choćby były spełnione, tak są przeciwne naturze; przypuszczaliby tylko, że się ich czujność omyliło.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Lyon, 1 września 1833.

— Jestem tu na godzin kilka. Przyjechałem w południe, wyjeżdżam wieczór; jutro tedy rodziców uściskam. Bogu dziękuję zawczasu. Po trzech nocach jazdy czeka mnie czwarta, nogi się skarżą, ale pilno.

...Jeżeli Witołd (Czartoryski) w Paryżu zostanie, to nie można dosyć przyłożyć starania, by go odosobnić od wiru, w którym żyjemy, od wiru naszych interesów, oraz krajowych. Zresztą przykładać go surowo do prawideł szkół publicznych bez żadnych, a przynajmniej (jak) naj-

mniej wyjątków. Wstyd mi, gdy pomnę, że ja Wujowi myśli swoje o tem wykładam. Trzeba być na przeprzęgu pocztowym, żeby się do tego stopnia zapominać.

Pierwszy raz tu jestem. Kraj piękny, kolor nieba już południowy... Przywitałem się z radością z moim starym przyjacielem le Mont Blanc.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Aix en Savoie, 12 września 1833.

Przyjęcie, jakiego tu doznałem, przewyższyło wszelkie moje oczekiwania i nadzieje. Zaliczę je do najszczęśliwszych chwil mego życia. Spieszę o tem donieść tem bardziej, że to Wuja wprost dotyczy, bo tu patrzą na mnie jakby na cząstkę jego samego. O szczegółach opowiem przy spotkaniu, teraz powiem tylko, że ojciec dla mnie jak najlepszy, wzruszenie jego było widoczne i głęboko mnie rozrzewniło. Okazywało się ono także, ile razy mówił o Wuju; polecił mi mnóstwo zajmujących rzeczy jemu opowiedzieć, a jego sposób zapatrywania się na nie całkiem nieoczekiwany. Chociaż znikąd żadnych nadziei nie widzi dla nas, ani się czegokolwiek dobrego na przyszłość spodziewa, to jednak już nie probuje usprawiedliwiać postępowania cara, które zresztą od pierwszej chwili uważał za występne i dla niego samego szkodliwe. Już się całkowicie pogodził z myślą, że będę się trzymał drogi, którą Wuj dla siebie obrał i zdawałoby się nawet, że go cieszy to trochę poważania, które mogłem sobie zdobyć. Dawno już nie czułem się tak szczęśliwym. Niestety, krótko to trwało; już się z nim rozstałem. O pożegnaniu naszem nigdy nie zapomnę.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«(z Pontarlier), 22 września 1833

Z matką, Zdzisławem i Elizą podróżujemy bardzo wolno po tym pysznym kraju. Mówimy nieustannie o Wuju. Ze Zdzisława bardzo jestem zadowolony, niepodobna mieć zacniejszej duszy. Staram się wyleczyć go z rozpaczy, jaką mu sprawia wszelka niedoskonałość,

bo to prowadzi do zniechęcenia. Jeżeli Wuj napisze do niego, póki będzie w Rzymie, gorliwie wypełni wszystko, co mu Wuj rozkaże. Ja ze swej strony radzę mu tylko, żeby się w Rzymie dobrze rozejrzał i zapoznał z różnemi osobistościami a nam dokładną sprawę o nich zdawał. Żeby ich przekonał, że są źle powiadomieni i oszukiwani. Żeby zapowiedział dostarczanie dowodów i otrzymał na to upoważnienie. Żeby nas zasłonił na przyszłość od niewczesnych wystąpień a możeby i otrzymał jakie kroki na naszą korzyść czy to wprost, czy za pośrednictwem innych katolickich państw. Sądzę, że rachować będziem mogli na Zdzisława w dość obszernej mierze, jakiekolwiek będzie jego stanowisko. Stara się zabezpieczyć sobie wstęp do Galicyi, zamyśla o pobytach w Wiedniu celem służenia na tej drodze. Ja na każdą drogę się zgadzam, byle na niej działać dobrze.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 18 października 1833.

Głęboko odczułem twoją radość, twoje szczęście. Takie chwile wynagradzają wszystkie przykrości. Jakże mi żal, że nie mogłem mieć udziału w waszem szczęściu; on mi się bardzo należał. Jeżeli jesteś przy rodzinie, uściskaj ich i powiedz moją radość dla ciebie, mój żal dla siebie. Cieszy mnie niezmiernie, co mi o Zdzisławie piszesz. Szkoda, że nie może tu być, ale gdziekolwiek będzie, może pracować, pomnażać znajomości i być bardzo użytecznym; jeden o nim jest głos i jedno oczekiwanie. Skoro już nie będziesz z nimi, wracaj jak najprędzej.»

W połowie października Zamoyski odwiózł matkę aż pod mury Florencyi, do której jednak nie wstąpił, by nie wpaść w oczy poselstwu moskiewskiemu i jego szpiegom. W drodze powrotnej do Paryża zboczył na dwa tygodnie do Genewy.

Władysław Zamoyski do matki:

«Genewa, 20 października 1833.

Jechałem nieustannie, dlatego prędzej pisać nie mogłem. O jednej rzeczy tylko mógłbym mówić: o rozstaniu się naszem i głębokiem zranieniu, jakie mi sprawiło, tak żywem, tak bolesnem. I Matka moja tak żałośnie mnie żegnała, że tej chwili nie zapomnę nigdy. Moja Matko kochana, proszę zaspokoić mnie i powiedzieć, że po tej pierwszej chwili wróciła odwaga, cierpliwość i spokój. Przecież to nie na długo będzie, nieprawdaż? Na to, oj na to, proszę o odpowiedź po rozmowie z ojcem.»

W Genewie spotkał się Zamoyski z Ignacym Sobolewskim i jego synami, Jerzym i Józefem.

《Sobolewscy, chociaż niby nie emigranci, zamieszkali po 1831 roku na stałe w Genui z ojcem i wielką między Włochami zyskali wziętość. Jerzy, lat kilka służąc w wojsku naszem, był adjutantem cesarza Alexandra, przy którym ojciec jego, pan Ignacy, od 1815 do 1824 był ministrem sekretarzem stanu Królestwa. Józef w dyplomacyi doszedł do stopnia pierwszego sekretarza ambasady moskiewskiej w Londynie. W 1831, podczas powstania, nietylko dał dymisyę, ale zachowaniem swojem pozyskał szacunek wszystkich w Londynie, nawet Moskali i samejże ambasadorowej, xiężny Lieven.》

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Genewy, 20 października 1833.

Widziałem się dosyć długo z panem Ignacym i dwoma synami jego. Ostatnich mogę sobie rokować, żem zwerbował i że to nabytek nader ważny. Są wyborni, młodszy będzie nam użyteczny, pełen jest chęci.

Nie bez żalu patrzę na ten upływający rok, przez który kilka tygodni ledwo przepędziłem przy Wuju kochanym, przy którym przebywać jest najdroższą korzyścią dzisiejszego położenia mego. Spodziewam się, że mnie

przecież ta zima jakkolwiek wynagrodzi. Jestem bardzo rad z Romana Załuskiego[1]); jego rozmaite opowiadania są nadzwyczaj zajmujące.

Przeczytałem właśnie pisemko M. Mochnackiego[2]) niemieckie (Über die Revolution in Deutschland), porwało mnie i oczarowało z wyjątkiem ostatnich kartek, w których jakby pragnął za pomocą niedorzecznych wniosków wykazać, co w systemie jego jest bezpodstawnem. Naiwność, z jaką po tysiąc razy wznosi się ponad rusztowania Konwentu, byłaby śmieszną, gdyby nie była straszną. Wszystko to jednak nie odstrasza mnie od tego człowieka. Jego pióro jest potęgą, mogłoby służyć sprawie, którą dziś zwalcza.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Genewy, 27 października 1833.

Zabawiam się tu nieco, bo chcę zgłębić niektórych naszych. Załuskiego położenie bierze obrót nowy, zdaje się, iż mu będzie przyznane obywatelstwo krakowskie, a przeto powróci do kraju. Żałować niepodobna, gdy to jest polepszeniem losu dla niego, ale dla nas strata. Już się wybierał do Paryża, a mało mamy podobnych.

Z tego, co słyszę, Jelski[3]) wyjechał z projektem przyłożenia się do piśmiennictwa peryodycznego i rościł sobie

---

[1]) Roman Załuski (1792—1865).

[2]) Maurycy Mochnacki (1804—1834), pisarz i polityk, podczas powstania członek Towarzystwa patryotycznego i podporucznik w 1 pułku strzelców pieszych.

[3]) Ludwik Jelski (1785—1843), kapitan wojsk X. Warszawskiego, nadzwyczajny referendarz stanu Królestwa Polskiego 1825, załatwiał misye finansowe powierzone mu przez Lubeckiego w Wrocławiu, Lipsku, Berlinie, prezes Banku polskiego 1829. Na wiosnę 1831 wysłany przez Rząd Narodowy w misyi do Wiednia, internowany przez Austryaków w Bernie morawskim. Po upadku powstania wyjechał do Anglii, wywożąc kapitały narodowe w kwocie 15.000.000 złp., które w roku 1833 Bankowi polskiemu zwrócił. Po krótkim pobycie w Szwajcaryi przeniósł się do Paryża, gdzie był sekretarzem Towarzystwa literackiego. W 1834 założył w Paryżu przedsiębiorstwo finansowo-przemysłowe, na którem zbankrutował.

nadzieję powodzenia, nawet pieniężnego, przy innych. Bodajby wytrwał. Potrzeba do tego takich różnorodnych zdolności, jakie on posiada; potrzeba wytrwałości, do czego tak mało kto z nas zdolny. Zdaje mi się rzeczą nader ważną, by imię Wuja pozostało dalekie od wspólności z jakąkolwiek redakcyą. Nie dawać imienia swego zawczasu do rzeczy niepewnej, niestałej, wreszcie ujmującej godności; owszem, zachowywać to imię dla rzadkich, stanowczych chwil.

Szwajcarzanie nasi sprawiają się dobrze i na szacunek zasługują; zamiar wyrugowania ich nie przyjdzie do skutku. Wielu wynajduje sobie zatrudnienia zyskowne, powiadają, że takich jest do stu czterdziestu. Rzecz uderzająca, że ten dział emigracyi, choć pozbawiony stałego funduszu na utrzymanie, a może dlatego samego po części, lepiej, spokojniej i korzystniej zapewne dla przyszłości naszej się zachowuje, niż inne.»

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Genewa, 27 października 1833.

Nasi wychodźcy, do tego kraju przybyli, nie są lubiani, bo się ich zasad i zamiarów boją, ale przyznają im jednogłośnie prawość i godność niepospolitą w postępowaniu tak władze, jak i mieszkańcy. Konfederacya niemiecka chciała otrzymać od króla holenderskiego przymusowe wyprawienie emigrantów polskich z któregoś portu holenderskiego do Ameryki. Wręcz odmówił, chybaby sami emigranci dobrowolnie na wyjazd się zgodzili. Ale Niemcy bez tego warunku nastawali o to.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Genewa, 25 października 1833.

O Janie zastałem tu nowe i coraz pochlebniejsze dla naszej miłości własnej wiadomości [1]), lękałbym się nawet

---

[1]) Z innych listów rodzinnych widać, że Jan Zamoyski, pracując wówczas przy ministrze sekretarzu stanu, Stefanie Grabowskim, w Petersburgu, ściągnął na siebie niełaskę Mikołaja.

o ich skutki, gdybym nie czuł, że to jest jedyne szczęście, które dla niego pozostaje i niczem drogo nie jest okupione. Wreszcie coraz silniej się przekonywam, że nie na tej drodze najniebezpieczniej i że gorzej wychodzą ci, którzą idą niestałym i niepewnym krokiem. Oczywista rzecz, że, im kto bardziej niewolniczo wobec Moskali się stawia, tem mniej wolności mu pozostawiają. Piszą mi, że Konstanty (Zamoyski) często bywa w Warszawie, gdzie dla niego wszyscy grzeczni i że przez to może pomagać wielu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z Genewy, 2 listopada 1833.

Ja tu bałamucę, nie chciałem minąć sposobności widzenia się z Bernardem Potockim, a zwłaszcza z jego żoną. Przybyli onegdaj. Zdaje mi się, że ten czas niestracony. Młodzieży (tu) naszej niemało, świeżej jeszcze i nie zkantowanej i starych paru dobrych. Severine[1]) tu przybył na kilka tygodni, oczywiście na szpiegowanie młodzieży naszej, zwłaszcza szkolnej. Bernardowie powiadają, że we Francyi, a mianowicie w Avignonie, po większej części znaleźli rodaków bardzo rozsądnych i cierpliwych.»

Władysław Zamoyski do matki:

(z listopada 1833.)

«Z Bernardem bardzośmy się do siebie zbliżyli. Więcej ma wartości, niż jej chce pokazać. Umysł ma pełen wdzięku, serce doskonałe, w moich oczach ma i tę wielką zaletę, że jest wesoły tą wesołością, co nie rani tych, którym jej braknie.»

---

[1]) Dymitr Severine (1792—1865), poseł moskiewski w Bernie szwajcarskim.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Berne, 7 listopada 1833.

Byliśmy (Zamoyski i Załuski) u posła francuskiego[1]. Odebrał właśnie zawiadomienie od x. de Broglie, że każdy z naszych Szwajcarzan, który zechce przez Francyę udać się gdziekolwiekbądź to jest do Egiptu, Hiszpanii, Anglii, Belgii lub Ameryki otrzyma wolne przejście z funduszem na koszta podróży. Powrót do zakładów we Francyi dotąd nie jest dozwolony; poseł przecież z przyciskiem powtarzał, że zdaje mu się, iż, gdyby podali prośbę do króla, mogliby i to otrzymać. On dla niektórych, tak jak i my w Paryżu, wyrobił takie pozwolenie. Czy wielu z pomiędzy naszych odważy się na podanie takiej prośby, mimo gróźb tutejszego tak zwanego «ogółu», tego nie wiem jeszcze. Wielu oczywiście jest do tego skłonnych, ale się boją i swoich i zawodu u rządu francuskiego. Poseł dodał, że, gdyby Wuj przyłączył swoje starania do prośby przez nich podanej, toby mogło rzecz rozstrzygnąć. Nie wiem, czy niektórzy nie podali takiej prośby wprost do Paryża przez rząd berneński; o tem trzebaby się dowiedzieć u posła szwajcarskiego w Paryżu i dopilnować.

Zastałem tu jen. Różyckiego[2] i kilku naszych, narzekają bardzo na uciskających niesłychanie kilku demokratów, między którymi rej wodzi K. Zaleski[3]. Władza owego ogółu, z którym się łączy komitet honorowy, zależy w większej części na tem, iż potrafili to zrobić, że im wszyscy oddali swoje papiery, przeto każdemu nieposłusznemu grożą zniszczeniem onych. Poseł francuski,

---

[1]) Hipolit de Gueulluy, margrabia de Rumigny (1784—1871), poseł w Dreźnie, następnie w Szwajcaryi, ożeniony z córką marszałka Mortier, x. Trévise; do śmierci życzliwy dla Polaków.

[2]) Jenerał Samuel Różycki (1784—1834).

[3]) Konstanty Zaleski (1803—1868), filaret, zesłany do Petersburga 1821, skazany na prostego żołnierza 1825, przedarł się do wojska polskiego 1831 i odbył całą kampanię. Należał do wyprawy Zaliwskiego 1833 i sabaudzkiej 1834, był redaktorem Orła Białego 1840, wziął udział w zjeździe słowiańskim w Pradze 1848.

mimo licznych nieprzyzwoitości, jakich doznaje od naszych nieboraków obłąkanych, nie przestaje okazywać największą dla nich powolność i nawet uczucia przychylne. To ich ratuje, że wszystkich bez wyjątku postępowanie moralne jest wyborne, na to zgadzają się wszyscy krajowi; podziwiają ich bezinteresowność, szlachetność uczuć, poddanie się losowi; ich gotowość do każdej roboty zadziwia wszystkich. Przecież poseł nastaje na rząd berneński, żeby rozbić i rozproszyć naczelny komitet; co i jak się to wykona, nie wiem jeszcze. O Moskwie wyraża się ze zgrozą.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Berne, 7 listopada 1833.

Poznałem tu Matki przyjaciela, posła francuskiego, kilka dni z nim przepędziłem; nie można być lepszym. Stosunek nasz z nim tem cenniejszy, że jest bardzo dobrze widziany przez króla Francuzów. Dla mnie stał się prawdziwym przyjacielem, tak jak nim jest dla Polski. Polacy, których tu widziałem, okazali się dla mnie nadspodziewanie łaskawi: mam nadzieję, że byłem i będę im pożyteczny.»

Z Genui wstąpił Zamoyski do Bienne, siedziby owego osławionego «naczelnego komitetu» Szwajcarzan. O panujących tam stosunkach podporucznik Szczepanowski wyrażał się, że «ani piekło, ani inkwizycya nie mają nic potworniejszego nad tę sytuacyę wzajemnych wyrzutów i oskarżeń».

Niewiadomo, jakie wrażenie Zamoyski wywiózł z Bienne, ale o tem, jakie tam odwiedziny jego sprawiły, pisał Henryk Krajewski z Bernu (25 listopada 1833): «Areopag w Bienne jest zadowolony, żeś go odwiedził; samo przejście przez przybytek świątyni wolności oczyszcza cię w ich mniemaniu z grzechów arystokratycznych. Są tam dobre chłopcy, lecz niemieckie uczty [1]) tak ich upoiły, że do dziś dnia wytrzeźwieć nie mogą.»

---

[1]) Podczas pochodu emigracyi przez Niemcy 1831.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Paryż, 20 listopada 1833.

Zastałem wuja zdrowego, mieszkają rue d'Angoulème St. Honoré; ja nająłem sobie mieszkanie blizko na rue Miromesnil, 3. Niemcewicz przyjechał tu na zimę, oddałem mu list Matki, który natychmiast ucałował przed odczytaniem. Ociężał nieco, ale zdrów. Uczciliśmy go tu skromnym obiadem; były mowy różne i zdrowia. Wszystko odbyło się szczęśliwie i gładko. Fetowało go Towarzystwo literackie polskie. Xiążę prezydował. Mowy, jakie mieli wzajemnie do siebie xiążę i Niemcewicz, były bardzo ładne.

Obchodziliśmy także dzień św. Elżbiety z tylu względów nam pamiętny. Rano w St. Philippe du Roule odprawił mszę św. ksiądz polski, były wikary końskowolski, dziś krzyżem ozdobiony[1]). Rozpamiętywałem z wujem i sam z sobą wszystkie w czterech pokoleniach pamiętne dnia tego wspomnienia[2]).

Przybył White[3]) z Warszawy, widział naszych wszystkich, miło było wypytywać go, choć opowiadania rozdzierające. Konstanty (Zamoyski), niby lepiej uważany w Warszawie, nie uszedł jednak śledztwa z powodu mnóstwa byłych wojskowych, przyjętych na urzędników do ordynacyi.»

---

[1]) Ksiądz Szymon Skórzyński, rodem z Szczebrzeszyna, kapelan egii litewsko-wołyńskiej w 1831.

[2]) Imieniny Elżbiety z Flemingów jenerałowej Czartoryskiej; ślub jej wnuczki, Celiny Zamoyskiej z Tytusem Działyńskim w złotej sali w Puławach, 19 listopada 1825; imieniny drugiej wnuczki xiężnej jenerałowej, Elizy Zamoyskiej, później Zenonowej Brzozowskiej; trzeciej wnuczki, Izabelli Czartoryskiej, później Janowej Działyńskiej; wreszcie prawnuczki, Elżbiety Działyńskiej, później Adamowej Czartoryskiej z Rokosowa.

[3]) Artur White należał do grona Anglików, których x. Czartoryska, jenerałowa ziem podolskich, sprowadziła do Polski w celach przemysłowych, rolniczych itp.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Paryż, 21 stycznia 1834.

Sołtan jedzie do Rzymu na pobyt dość długi może[1]); xiężna Kazimierzowa Lubomirska jest jego ciotką. Zapoznaj się z nim jak najbliżej, wart tego z wszech miar, tylko jedno jest mu do zarzucenia, wielkie osłabienie nadziei, którego pragnę najmocniej, żebyś się wystrzegał, pamiętając zawsze, że wiara i nadzieja są pierwszemi, świętemi obowiązkami naszemi. Pominąwszy ten zarzut, który w Sołtanie uniewinniają wielkie zmartwienia, znajdziesz w nim szanownego, godnego i roztropnego człowieka. Brak nadziei rodzi zwykle mniejszą energię w usiłowaniach, staraj się przeto swoją czynnością w krótkim, jak się domyślam, pobycie, wynagrodzić to, co jemu brakuje. Kroków niestety żadnych na naszą obronę otrzymać się nie da, ale pierwszy krok w tem, żeby się Rzym do żadnej pomocy najeźdźcom danej skłaniać nie dał. Ostrożność wielka wam potrzebna, o tem wiecie. Główny sposób na to, nie gadać nigdy inaczej, jak tylko sam na sam, a jedno wszędzie, nieustannie, niezmordowanie powtarzać.»

---

[1]) Na prośbę Zamoyskiego, hr. de Mérode Westerloo, jeden z najznakomitszych mężów stanu i patryotów belgijskich, zaopatrzył Sołtana w listy polecające do hr. de Beaufort, posła belgijskiego przy Stolicy św. i monsignora Cappacini, dawnego nuncyusza w Bruxelli, wówczas jednego z ministrów papieskich. Pisał przytem do Zamoyskiego, 8 lutego 1834: «Porwanie i wywiezienie synów pana Sołtana do żywego nas dotknęło i oburzyło. Widząc to straszne prześladowanie, boleśnie nam wspomnieć, że powstanie Belgii, które tak szczęśliwym zostało uwieńczone skutkiem, może przyczyniło się do wywołania bohaterskiego, ale przedwczesnego powstania Polski; kilka lat później a może i jej byłoby się powiodło.»

VI

PRACE, RUCHY I BIEDY EMIGRACYJNE W ROKU 1834

Prócz ostatnich miesięcy i kilkodniowej wycieczki do Anglii Zamoyski przepędził rok 1834 w Paryżu, przy xięciu, zajęty pracą dla izb i dzienników a także mnogiemi biedami naszych, którym, jak pisał do matki, «zawsze się usiłuje, niekiedy i uda zaradzić».

Izby francuskie na rok 1834 otwarte zostały 23 grudnia 1833.

« Skoro komisya adresowa została zamianowana, x. Adam odwiedzał po kolei jej prezesa i członków i na te wizyty mnie z sobą zabierał. Aby zastać tych panów, którzy poza izbą rozmaite sprawowali urzędy, trzeba ich było odwiedzać w godzinach rannych. Tak więc z początkiem grudnia co rano o godzinie dziewiątej wybieraliśmy się na te odwiedziny. Podziwiałem nieraz niezłomną wytrwałość, z jaką x. Adam w podeszłych już latach podejmował te trudy. Pomnąc na jego poprzednie stanowisko, boleśnie było widzieć go prawie w ubóstwie, ale była też i pociecha, gdy się widziało z jakiem uszanowaniem, z jaką życzliwością przynajmniej osobistą wszędzie go przyjmowano. Skutkiem jego wysileń ile było adresów do tronu z izby

niższej przez ośmnastoletnie panowanie Ludwika Filipa, tyle było wzmianek o Polsce i o zdeptanem publicznie prawie europejskiem. Zrazu niemało napotykaliśmy trudności, wielu członków izb ubolewało nad peryodycznem wprowadzaniem do adresów dodatkowego paragrafu o Polsce, ale z czasem ci sami ludzie niemal wszyscy przyzwalali nań chętnie, przyznając, że nagłe zaniechanie tego dodatku miałoby znaczenie, na które żaden z nich zgodzićby się nie chciał. Nie nagliły izby, aby wskutek dopominania się o pogwałcone traktaty rząd natychmiast przedsiębrał jakie stanowcze kroki, ale, raz wszedłszy w tryb corocznego ponawiania protestacyi, nie chciały przez zaprzestanie jej dać pozoru, jakoby zwątpiono ostatecznie o sprawiedliwości.

W zachodach około członków izb dopomagali xięciu kasztelan Ludwik Plater, poseł Morozewicz, a najskuteczniej Franciszek Wołowski [1]), były mecenas i radca stanu, uczony prawnik, mający wziętość między prawnikami francuskimi, doskonale też język francuski posiadający. Pomagał on nie tylko sam, ale i przez syna swego Ludwika [2]), który w Paryżu jako uczeń prawa w szkołach się odznaczył, otrzymał naturalizacyę francuską, został adwokatem i głównym kierownikiem pisma miesięcznego: Revue de juris-prudence.

Dla skupienia sił i zdolności, jakich dostarczyć mogła emigracya, ku pracy nad izbami i opinią publiczną przez dzienniki, utworzyło się w Paryżu, 29 kwietnia 1832, Towarzystwo literackie polskie na wzór podobnego w Anglii, złożonego z przyjaciół Polski. Wytrwałe prace Towarzystwa literackiego doszły do takiej miary i ważności, że się

---

[1]) Franciszek Wołowski (1786—1844), deputowany warszawski.

[2]) Ludwik Wołowski (1810—1876), sekretarz legacyi polskiej w Paryżu 1831, profesor prawodawstwa przemysłowego w paryskiej szkole sztuk i rzemiosł 1839, poseł departamentu Sekwany 1848, założyciel i pierwszy dyrektor francuskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego (Crédit Foncier) 1851, członek akademii nauk w Paryżu i akademii umiejętności w Krakowie, senator drugiego cesarstwa.

stały istotną w sprawie krajowej zasługą. Duszą Towarzystwa był Ludwik Plater a prezesem x. Adam, corocznie na to stanowisko do końca życia wybierany. Nie najmniejszą korzyścią Towarzystwa była dana członkom sposobność do bliższego poznawania się nawzajem i wspólnego omawiania spraw bieżących. W tym też celu członkowie przyjmowani byli z największą łatwością, bez względu na literackie uzdolnienie. Wystarczyło być Polakiem bez plamy i być przedstawionym przez dwóch członków. Ale że prezesem Towarzystwa był x. Adam, nie wstępowali do tego grona ludzie, którzy w braku jasnych i wyrobionych pojęć i dążeń politycznych, szukali odznaczenia w bezwzględnem i bezzasadnem potępianiu wszystkiego, co w ciągu ostatniego powstania czynili lub czego nie czynili ludzie przez naród powołani do steru, a w pierwszym rzędzie były prezes Rządu Narodowego.

Za staraniem Towarzystwa co roku przed otwarciem izb wygotowane było do druku pismo pod tytułem «Quelques mots sur la question polonaise», do rozdawania członkom izb i dziennikarzom. Pismo to, podając bieżące wiadomości o gwałtach przez zaborcze rządy popełnianych, przypominało prawo traktatami zawarowane, którym te czyny uchybiały[1]). Pod kierunkiem xięcia, wyręczając go niekiedy w pouczaniu innych, sam się douczałem i obznajmiałem z publicznem prawem europejskiem. Mało dotychczas znając izby francuskie, pilnie się przysłuchiwałem rozprawom od samego otwarcia izb, a chociaż wolę rozprawy Anglików, to i francuskie lepiej wypadły, niż się tego spodziewałem.»

Podczas zachodów około komisyi izby wyższej, Zamoyski spisał rozmowę swoją z jednym z jej członków:

---

[1]) Zachodziła w tem trudność, by nie żądać zbyt mało i tem sobie nie uchybić, by nie żądać zbyt wiele i tem powodzeniu sprawy nie zaszkodzić. (W. Z.)

«4 grudnia 1833.

Pan Bertin de Vaux[1]) dowodził mi, że, gdyby chodziło o samą tylko Moskwę, nie oglądanoby się na nią, bo i ona na nic i na nikogo się nie ogląda, ale Austrya i Prusy obrażają się też za każdą wzmiankę o Polsce. Francya zaś wszelkiemi siłami unikać musi wojny europejskiej, do wywołania której sprawa polska przedewszystkiem przyczynić się może, bo sprzymierzeni głoszą, że, skoro Polacy we Francyi szukają schronienia, to Polskę w samejże Francyi ścigać i zgnębić trzeba. Nadmienił też o duchu anarchistycznym, panującym wśród emigracyi polskiej i pytał: Gdybyście nawet nie byli zwyciężeni przez Moskwę, czyż inne powody nie byłyby was wyrzuciły poza granice Polski?»

W innym całkiem duchu przemówił 6 stycznia 1834 na posiedzeniu izby niższej pan Bignon, członek komisyi adresowej, znany z przychylnych uczuć dla Polski. Nie zawahał się powiedzieć, że, dopóki Polacy nie wyłamią się z pod jarzma, jakie na nich ciąży, dopóty prawo i sprawiedliwość nie odzyskają znaczenia w Europie, że dopiero wówczas ustaną bezprawia a poczucie ludzkości weźmie górę nad barbarzyństwem, gdy Polska się wyzwoli. Wskazywał na niebezpieczeństwa, zagrażające ze strony państw zaborczych i innym krajom: Turcyi ze strony Moskwy, Włochom ze strony Austryi, Związkowi niemieckiemu naraz od Austryi i Prus; dowodził, że Francya ma prawo domagania się, by inne państwa dotrzymywały zobowiązań traktatowych, skoro ona sama cierpliwie znosi położenie, jakie wynikło dla niej z traktatów 1815 roku. Dla tych wszystkich względów wzywał izbę, by przyjęła paragraf adresu, kładący nacisk na obowiązek szanowania traktatów i tem samem okazała królowi gotowość popie-

---

[1]) Ludwik Franciszek Bertin de Vaux (1771—1842) należał przed 1830 rokiem do redakcyi «Journal des Débats», po rewolucyi lipcowej posłował w Hadze.

rania go we wszystkiem, coby w tym kierunku czynić postanowił.

Mowa pana Bignon tem silniejsze wywarła wrażenie, że wypowiedział ją z wielkiem umiarkowaniem a doniosłość jej spotęgowała się jeszcze, gdy wstąpił na mównicę minister spraw zagranicznych, x. de Broglie, i oświadczył, że rząd potwierdza zapatrywania komisyi adresowej i przy sposobności odpowiednio działać będzie[1]).

Rozprawy o polityce zagranicznej w izbie niższej skończyły się 9 stycznia 1834 jednomyślnem uchwaleniem nie tylko paragrafu ogólnikowego o uszanowaniu traktatów, ale nadto dodatku odnoszącego się wyłącznie do Polski. Dodatek ten wniósł pan Odilon Barrot[2]), który, wbrew przeciwnym twierdzeniom jen. Bugeaud[3]) i ministra handlu, pana Thiers[4]), dowodził, że sprawa polska od stu lat ściśle jest związana z losami Francyi i dla niej pożyteczna, że zatem Francya, w imię samej uczciwości, nie ma prawa jej opuszczać, tylokrotnie nazwawszy ją świętą i francuską. Paragraf dodatkowy wyrażał przekonanie izby, że «rząd J. K. Mości już wystąpił przeciw temu, co się dzieje w Polsce i że nadal silnie i wytrwale przemawiać będzie w obronie tego walecznego a tak nieszczęśliwego kraju». Wobec jednomyślności izby Thiers

---

[1]) Słowa te wywołały niepokój wśród dyplomatów; x. de Broglie jął się tłomaczyć, przyznając, że były niezręczne i przypisując je chorobie, która mu przytomność umysłu odebrała. (Mémoires du prince de Talleyrand. T. III, str. 308—312)

[2]) Kamil Odilon Barrot (1791—1877), przywódca opozycyi zwanej dynastyczną.

[3]) Tomasz Robert Bugeaud de la Piconnerie (1784—1849) za Napoleona I odznaczył się w wojnie hiszpańskiej, w sprawach wojskowych był powagą. Objął dowództwo nad armią francuską w Algierze 1836, został marszałkiem 1843, a po zwycięstwie nad Marokańczykami 1844 xięciem d'Isly.

[4]) Adolf Thiers (1797—1877), minister handlu i robót publicznych 1832, spraw wewnętrznych 1834, prezes ministrów 1836 i 1840, prezydent trzeciej rzeczypospolitej francuskiej 1871—1873.

oświadczył, że, chociaż wniosku pana Odilon Barrot nie pochwala, to jednak mu się nie przeciwi.

Mimo przyjęcia poprawki do adresu, Zamoyski uważał, że nie należało pozostawić bez odpowiedzi twierdzeń panów Bugeaud i Thiers. Dzienniki rządowe nie byłyby przyjęły artykułu zbijającego wywody ministra, w tych zaś, które były przeciwne rządowi, nie chciał Zamoyski sprawy polskiej bronić, by nie ściągnąć niechęci rządu na Polaków; napisał tedy do Timesa na ręce lorda Dudley Stuart:

«10 stycznia 1834.

Pan Thiers, powołując się na zdanie jen. Bugeaud, orzekł wobec izby poselskiej, że rząd francuski nic nie mógł uczynić (w 1831 roku) dla ratowania Polski. Twierdzenie swoje oparł na tem, że Polska jest o 1.600 km. oddalona od Francyi, że Francya potrzebowałaby 800.000 bagnetów, żeby posłać 400.000 nad Wisłę, że dla ratowania Polski musiałaby się narażać nie tylko Moskwie, ale zarazem Austryi i Prusom, że Prusy byłyby się połączyły z Moskwą i zgniotły Warszawę w dwa tygodnie, że wreszcie sam Napoleon nie zdołał Polski odbudować.

Minister wezwał obecnych do wykazania mu, jeśli potrafią, że się myli. Wezwanie to przyjmujemy, gdyż nie o przeszłość wyłącznie tu chodzi.

Czyż trudność pochodząca z odległości może być uważana za niezwyciężoną? W takim razie Francya raz na zawsze musiałaby się wyrzec wpływu na narody, z któremi nie graniczy bezpośrednio, chociażby właśni jej mężowie stanu uważali te narody za wskazanych dla niej sprzymierzeńców, jak to o Polsce orzekli Colbert, Choiseul, Talleyrand.

Niezaprzeczenie w zwykłych warunkach Francya musi mieć 400.000 wojska pod bronią, aby mogła myśleć o walce z Moskwą. Ale w chwili wojny polskiej Moskwa była wyczerpana przez cztery kampanie z Persyą i Turcyą, które kosztowały ją 300.000 żołnierza. Z ośmiu kor-

pusów, składających wówczas armię moskiewską, cztery tylko były kompletne: pierwszy i szósty oraz korpusy grenadyerów i gwardye; reszta to jest drugi, trzeci, czwarty i piąty były niekompletne i składały się z rekrutów. Cztery wpierw wymienione korpusy wkroczyły do Królestwa Polskiego w początkach lutego 1831, przyczem połowa gwardyi została w Petersburgu. Drugi i trzeci wkraczały następnie jeden po drugim, połowa piątego prawie ciągle zajmowała Wołyń i Podole, połowa czwartego walczyła na Litwie. Druga połowa piątego strzegła Wołoszczyzny, druga połowa czwartego Kaukazu. Trzeba było także strzedz Finlandyi, gdyż niezadowolenie tej prowincyi było widoczne. Szósty korpus już w kwietniu po części przez wojnę, po części przez cholerę w niwecz się obrócił. Pod koniec maja wszystkie korpusy armii moskiewskiej znacznie były nadwerężone. Odtąd walka toczyła się przez kilka miesięcy z rozmaitem powodzeniem. Któż tedy może powiedzieć, że trzeba było 400.000 żołnierza, by przywrócić równowagę sił między walczącymi?

Turcya, widząc Francyę gotową do stawienia oporu Moskwie, byłaby chętnie wzięła udział w wojnie i dostarczyła 30 do 40 tysięcy wojska. W takim zaś razie jedna sześciotysięczna dywizya francuska mogła utworzyć jądro armii, zagrażającej Mołdawii i Wołoszczyźnie, a tem zmusiłaby piąty korpus rosyjski, jedyny w pobliżu państw naddunajskich, do opuszczenia Wołynia i Podola, gdzie zebrane były ogromne zapasy broni i amunicyi i gdzie powstanie byłoby się rozwinęło w sposób stanowczy.

Na północ floty, francuska i angielska, krążąc po morzu Bałtyckiem mogły z łatwością przeciąć jedyną komunikacyę między Moskwą a Prusami podczas dwóch ostatnich miesięcy powstania. Chcąc rzecz szybko zakończyć, można było jakie 20.000 wojska wylądować w Połądze na początku czerwca z bronią dla powstańców litewskich i amunicyą dla wojska posłanego z Warszawy

na Litwę. Zmusiłoby to armię moskiewską do cofnięcia się za Niemen.

Mówią, że w takim razie Prusy byłyby wojska swe pchnęły do Warszawy. Zdaje się, iż Prusy byłyby niemało się zastanowiły, nimby odrzuciły noty Francyi i Anglii, poparte obozami nad Meuzą i w Hanowerze[1]. Ale, przypuszczając nawet, żeby się to stało, zbrojne wkroczenie Prus do Królestwa Polskiego stanowiłoby sprawę europejską, stałoby się ponownie przedmiotem ogólnych traktatów, któreby zapewniły Polsce, choć pokonanej, los stokroć mniej okrutny, niż ten, jakiego teraz doznaje.

Nieraz już była mowa o tem, ale płytkie a stanowcze wywody pana ministra handlu wymagają powtórzenia, że samo zmuszenie Prus do neutralności byłoby Polsce przyniosło korzyści niezmierne, a wszakże Prusy nie są o 1.600 km. oddalone od Francyi.

Przytaczają przykład Napoleona, utrzymują, że nawet on nie mógł podźwignąć Polski, a wszakże nie byłby wyrzucał sobie, że jej nie podźwignął i nie byłby uważał tego za jeden z powodów własnego upadku, gdyby prawdą było, że jej podźwignąć nie mógł.

Co do Austryi, znaczna część jej ludności, a nawet wojska, najżywsze miała dla Polski współczucie. Rzecz to zresztą wiadoma, że sąsiedztwo Moskwy jest dla Austryi ciągłym postrachem i że z dniem, kiedy państwa zachodnie sprzymierzą się na dobre przeciw Rosyi, Austrya przyłączy się do nich. Dzień ten prędzej czy później nadejdzie, bo Rosya w pół drogi się nie zatrzyma i ostatecznie groźbą się stanie dla państw zachodnich.

[1]) Podczas zatargów holendersko-belgijskich (1830—1839) Prusy niemałą okazywały ochotę do zbrojnej interwencyi na swoją i króla Wilhelma korzyść; stanowcze postawienie się Anglii i Francyi wystarczyło, by je powstrzymać. Tak samo podczas wojny domowej portugalskiej (1827—1833) oba państwa zachodnie zmusiły Hiszpanię do neutralności.

W tej olbrzymiej walce, w tej krucyacie cywilizacyi przeciw barbarzyństwu pierwsze zadanie przypaść musi Anglii[1]).»

W Anglii jednakże, mimo chwilowego oburzenia na Moskwę, wywołanego traktatem w Hunkiar Iskelessi, za mało zwracano i nadal uwagi na politykę cara. Mikołaj, korzystając z tego, odniósł niebawem drugie zwycięstwo dyplomatyczne nad Turcyą; była niem konwencya zwana petersburską, zawarta 29 stycznia 1834. «Konwencyą tą» pisał Zamoyski, «Turcya odstępuje Moskwie część swych posiadłości w Azyi i to taką, która wydaje w ręce Moskwy klucze do pasma górskiego, broniącego dotychczas Turcyi z tej strony od najazdu.»

Konwencya ta zaprowadzała zatem znaczną zmianę w stanowisku Turcyi. Dziwnie brzmiały wobec tego słowa wypowiedziane przez króla Wilhelma IV przy otwarciu izb angielskich (4 lutego 1834): «zamiarem moim przeszkodzić wszelkiej zmianie stosunków między cesarstwem tureckiem a innemi państwami» i dane tym izbom dawniej już (29 sierpnia 1833) przyrzeczenie, iż Anglia baczną zwróci uwagę na wypadki, mogące nadwerężyć obecny stan i przyszłą niepodległość państwa tureckiego.

W artykule do dzienników angielskich Zamoyski, wspominając o konwencyi petersburskiej, przypominał, że «nie pierwszy to raz postępowanie Moskwy staje w jaskrawej sprzeczności z zapewnieniami rządu angiel-

---

[1]) Ob. o tym przedmiocie «Mémoires du maréchal Suchet, duc d'Albufera. (T. I, r. II)

X. Adam przy każdej sposobności nastręczał Anglikom myśl o przymierzu z Austryą, dla oswobodzenia jej z pod moskiewskich wpływów. W liście Palmerstona do brata, sir William Temple, z 3 marca 1834, odnajduje się jakby echo tej zasady politycznej xięcia: «Jeżeli ona (Austrya) rzetelnie przyłączy się do nas w oporze przeciw knowaniom Moskwy, zadamy szach mat Mikołajowi. Austrya zaś połączy się z nami, skoro ujrzy, że bierzemy się do rzeczy poważnie i okażemy gotowość do walki.» (Life and correspondence of viscount Palmerston, by Evelyn Ashley. M. P. T. I, str. 297)

skiego. W 1828 (29 lipca) król Jerzy IV tak samo urbi et orbi głosił w mowie tronowej że cesarz rosyjski zobowiązał się nie blokować Dardaneli, gdy w Petersburgu blokada Dardaneli, wskutek niepowodzeń pierwszej kampanii tureckiej, musiała już być postanowioną, skoro rozpoczęła się w kilka tygodni później (12 września). Warto pamiętać, że Moskwa zarówno z niepowodzeń, jak ze zwycięstw korzystać umie, by okazać, iż lekceważy Europę i własne zobowiązania.»

Krótko po konwencyi petersburskiej (7 marca 1834) pani Zamoyska pisała do syna z Florencyi: «Moskale tu przebywający wyrażają się z nadzwyczajnem lekceważeniem o Turcyi; mówią, że sułtan jest teraz tylko namiestnikiem cara. To Anglików doprowadza do wściekłości.» Zamoyski odpowiada: «Anglia sama sobie winna, że Moskwa tak się w dumę wzbija.» W innych zaś pismach z tego czasu usiłował wykazywać, że wszechstronny wpływ Moskwy na sprawy europejskie nie pochodzi z jej istotnej potęgi, ale stąd, że umiejętnie wyzyskuje tchórzliwość, jaką wszystkie państwa wobec niej okazują.

Stosunki zawiązane z rodakami w Szwajcaryi sprawiły, że za powrotem Zamoyskiego do Paryża posypały się listy do niego od Szwajcarzan z rozmaitemi poleceniami. Jednym chodziło o posady i zarobek, drudzy pragnęli powrotu do Francyi i prosili o poparcie, inni wreszcie wybierali się do Egiptu, do wojska Ibrahima baszy, przy którym przebywał od czerwca 1833 jen. Dembiński w nadziei, że zdoła zdolności swe zużytkować w razie nowej wojny Mehemeda Ali z sułtanem a zwłaszcza ze sprzymierzoną z nim Moskwą. Ci ostatni prosili «kochanego pana Władysława» o listy polecające do Ibrahima, do konsulów francuskich i angielskich a przedewszystkiem do jen. Dembińskiego, «bo te będą najpotrzebniejsze». Chodziło też o fundusze na drogę, gdyż rząd szwajcarski nic nie dawał, a francuski przeznaczał tylko po dziesięć soldów

na milę (lieue 4 km), wobec czego «przyjdzie chyba piechotą puścić się w drogę». Stąd prośby, by to przedstawić x. Adamowi, — «może uzna potrzebę przysłania jakiego zasiłku».

Zamoyski nieskory był do popierania wędrówek do Egiptu. Jen. Dembiński od czterech miesięcy nic o sobie nie donosił, a tak długo, jak on nie zbadał, czy basza zechce Polaków do wojska przyjmować, nie godziło się, zdaniem Zamoyskiego, namawiać ich na rzecz bardziej nieobliczalną w następstwach, niż wszystko, co dotychczas przebyli. Ponieważ żadne inne widoki nie otwierały się dla Szwajcarzan, nie pozostawało, jak wyjednać im pozwolenie powrotu do Francyi. «Na jednej tylko Francyi możemy teraz nadzieje nasze pokładać», pisał Zamoyski do pana de Rumigny, 4 grudnia 1833, zaręczając, że pieniądze i zachody, w tym celu wychodźcom poświęcone, będą dobrze użyte. Tymczasem, mimo wysiłków pana de Rumigny, i te nadzieje zawiodły, niestety, jak się zdaje, w znacznej mierze z własnej winy polskich tułaczów. W czasie, gdy część Szwajcarzan udawała się do łaski królewskiej, inni nie przestawali wydawać pism przeciw rządowi francuskiemu i królowi. «Nasi szaleńcy wyuzdaną wojnę wydali wszelkiej władzy», żalił się z Szwajcaryi Roman Załuski; «czy można się dziwić, że wobec tego rządy nam nie dowierzają?». Szczęściem rząd berneński uchwałą «wielkiej rady» pozwolił Polakom przebywać i nadal w Szwajcaryi, nie zważając, że się narażał przez to na tysiączne przykrości ze strony innych państw. W tymże czasie bazar, urządzony w Genewie staraniem Seweryna Mielżyńskiego[1]), przyniósł wychodźcom 7.000 franków. «Za każdą rzecz płacono podwójnie i potrójnie», pisał Załuski, wnioskując z tego, że «sprawa polska głęboko jeszcze

[1]) Seweryn Mielżyński (1805—1872), założyciel muzeum Mielżyńskich w Poznaniu 1870.

tkwi w sercach, skoro porusza wnętrzności ludzi lodowato obojętnych na wiele innych spraw».

Wkrótce jednak Szwajcarzanie ściągnęli na siebie nowe utrapienia uczestnictwem w nieudanem powstaniu Sabaudczyków przeciwko rządom króla sardyńskiego, Karola Alberta[1].

Od pewnego już czasu budziła się we Włoszech pod wpływem pisarzy, jak Silvio Pellico, Massimo d'Azeglio, Gioberti, Balbo i innych podwójna myśl oswobodzenia ojczyzny z pod przemocy austryackiej i połączenia wszystkich części Włoch pod jednem berłem. Jednocześnie pod kierunkiem Mazziniego[2] tworzyły się tajne stowarzyszenia patryotyczne, powstał związek «młodej Italii», mający na celu obalenie wszystkich rządów istniejących podówczas we Włoszech, nie wyłączając władzy świeckiej papieża.

Szwajcarzanie nie uniknęli tych wpływów i, gdy zjawił się w Bernie jen. Ramorino, namawiając, by wyruszyli z nim do Sabaudyi, stu pięćdziesięciu przyrzekło stawić się na jego wezwanie, mimo że był to ruch przedwczesny, bez warunków powodzenia. Z pomiędzy samychże zwolenników Mazziniego ludzie roztropniejsi nie radzili zaczynać, chcieli zapewnić się wprzódy, czy Francya ich sprawę popierać będzie. Sam Ramorino, według świadectwa jednego ze spiskowców, kapitana Rochetin[3]), długo wahał się, zanim przyjął naczelnictwo wyprawy,

---

[1]) Karol Albert (1798—1849), panował od 1831; po stłumieniu rewolucyi piemonckiej z pomocą Austryaków, pozostawał przez szereg lat pod wpływem Metternicha; dopiero w 1848, za przykładem Piusa IX, nadał swemu państwu konstytucyę a wkrótce potem wypowiedział wojnę Austryi, zakończoną klęską pod Nowarrą. Umarł, po zrzeczeniu się korony, w Oporto.

[2]) Józef Mazzini (1808—1872), zagorzały republikanin, życie strawił na spiskach przeciw rządom włoskim.

[3]) Kapitan Wiktor Henryk Rochetin, urodzony w Paryżu, wychowany w Polsce, gdzie jego rodzina osiadła, brał udział w powstaniu 1831, walczył pod Zaliwskim na Żmudzi, następnie był adjutantem jen. Ramoriny.

ofiarowane mu w Londynie, w połowie 1833 roku, za pośrednictwem adwokata Cometti. Pisał do Mazziniego: «Powstańcie bezemnie; jak zbierzecie wasze siły, obejmę nad niemi dowództwo i niczego nie zaniedbam dla zapewnienia im zwycięstwa.» Mazzini odpisał: «Nie biorąc odrazu udziału w wybuchu, wzbudzisz, Jenerale, posądzenie, że ci brak wiary w przyszłość Włoch. Czemuż nie chcesz dzielić z nami pierwszych niebezpieczeństw i pierwszych zwycięstw? ...Jesteśmy gotowi... Czemuż nie chcesz nami kierować? Zaklinam cię w imię sprawy, w imię ojczyzny włoskiej, w imię wszystkiego, co ci drogie, przybądź, przybądź bez zwłoki.»

Wskutek wahań Ramoriny, wybuch, zapowiedziany pierwotnie na pierwsze dni października 1833, odłożono do stycznia następnego roku. Temu opóźnieniu przypisywał Mazzini po części niepowodzenie swych usiłowań[1]).

Łatwo było przewidzieć, jakie skutki wynikną z tej wyprawy dla Polaków biorących w niej udział. Henryk Krajewski, donosząc Zamoyskiemu o knującem się «szalonem» przedsięwzięciu, przepowiada z góry, że rewolucyoniści włoscy «za pierwszym wystrzałem armatnim uciekną» i nie wierzy, by «wojsko piemonckie, gdyby istotnie chciało zrzucić z siebie jarzmo Karola Alberta», potrzebowało czekać przybycia kilkuset naszych, którzy «teatralnym sposobem ukryci na statku, przepłynąwszy jezioro genewskie, mają debarkować w Sabaudyi». «Ale znasz naszych zapaleńców», dodaje i nie dziwi się ostatecznie, że biedacy «w dzisiejszem swem położeniu jak tonący brzytwy się chwytają».

Po chybionem przedsięwzięciu Krajewski pisze (12 lutego 1834): «Poszło naszych szaleńców stu pięćdziesięciu, których żadne perswazye powstrzymać nie mogły.

---

[1]) Z papierów kap. Rochetin w muzeum rapperswilskiem. Guizot również twierdzi, że Ramorino uległ jedynie długim i namiętnym naleganiom Mazziniego. (Mémoires pour servir à l'histoire de mon temps. T. III, str. 237)

Szczęściem nie dozwolono im debarkować na drugim brzegu, a tak nie przyszli do tej ostateczności, żeby po odegranej komedyi, bez wystrzału złożyć broń z hańbą.» Co do Ramoriny, Krajewski mówi, że był widocznie oszukany, bo rachował na «1.500 Włochów determinowanych, a zastał ich tylko dwustu i z niewielkiem sercem», że zatrzymanie naszych w Coppet zupełnie mu ducha odjęło[1]), «to też zabił się własną ręką», rozumie się moralnie, bo nie na tem skończyła się jego karyera.

Klaudya Potocka do brata, Tytusa Działyńskiego:

«Genewa, 27 lutego 1834.

Złe tu chwile przebyliśmy. Wychodźcy włoscy i piemonccy chcieli zmienić rząd sabaudzki, piemoncki, może i całych Włoch. Zaciągnęli Niemców, Francuzów i biednych Polaków, których krwi jeszcze nie dosyć popłynęło. Postawili Ramorinę na swem czele i weszli jako wojsko powstańcze do Sabaudyi, tak z Szwajcaryi, jak z Francyi. Liczyli na rozpacz wywołaną w sercach krwawem tyraństwem Karola Alberta. Ostatecznie można zrozumieć spisek, historya nas do nich przyzwyczaiła, wiele z nich nawet usprawiedliwia, ale nie przeczuwała, że w XIX wieku przyjdzie jej zapisać melodramaty.

Ramorino wszedł do Sabaudyi w nocy z 31 stycznia na 1 lutego, a wyszedł z niej i broń złożył w Szwajcaryi 2 z rana, poturbowawszy urzędników celnych i kilku włościan, którzy się do nich przyłączyli[2]). Nie pytaj

---

[1]) Polacy ruszyli do Sabaudyi podzieleni na maleńkie oddziały, jeden z nich żołnierze szwajcarscy zatrzymali w drodze, inne dotarły do granic Sabaudyi i stamtąd cofnęły się napowrót do Szwajcaryi.

[2]) Kapitan Rochetin pisze: «Według raportów jenerała Bianco i pułkownika Antonini, Polaka, z 300 Włochów, którzy dnia poprzedniego zebrali się pod sztandarem Młodej Italii (zamiast paru tysięcy obiecanych przez Mazziniego) pozostało w nocy z 1 na 2 lutego zaledwie 150. Ramorino zebrał radę wojenną. Przywódca polityczny wyprawy, Mazzini, leżał chory, ale obecni byli: jen. Bianco, jen. Roman Sołtyk, Polak, jen. Vigo, Hiszpan, pułk. Antonini, oraz naczelnik Sabaudczyków i kilku innych. Ramorino przedstawił, co zaszło, wykazał, z jaką ogól-

mnie o znaczenie tej mistyfikacyi. Dla honoru Ramoriny chciałabym przypuścić, że jest zdrajcą, bo wówczas byłaby jakaś zgrabność w jego postępowaniu; jeśli nim nie jest, jak ogólnie sądzą, to ta przejażdżka, bo nie można nazwać tego potyczką, tłomaczyć się nie daje.

Polaków, którzy mieli udział w tej przeprawie, trzymają teraz w koszarach pod dozorem wojskowym. Prawdopodobnie będą odesłani do kantonu berneńskiego, który ich przygarnął za pierwszem przybyciem do Szwajcaryi.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 12 lutego 1834.

Jakże bolesne są te zajścia, wywołane naszem obecnem położeniem. Litość obudzona naszą niedolą zyskuje nam jeszcze trochę pobłażania u cudzoziemców, ale jakże niedaleko od litości do pogardy. Szczęściem pogarda nie odnosi się do naszych charakterów, tylko do naszego braku roztropności i zdrowego sądu, ale na to, by ludzie mogli pragnąć naszego odrodzenia, ileż nam roztropności i zdrowego sądu potrzeba. Chociaż tylko stu pięćdziesięciu Szwajcarzan dało się wciągnąć do wyprawy, to jednak nikt nie pamięta, że większość pozostała i wszyscy mówią wyłącznie o tych, co poszli. Ufam, że 1.000 fr. posłane dla nich na ręce pani Klaudyi doszły już po wyprawie i nie do niej posłużyły, ale na chleb dla biedaków.»

Rząd kantonu berneńskiego okazał się zrazu wspaniałomyślnym względem wychodźców i nie odmówił im powtórnego przytułku; za jego przykładem poszło pół kantonu bazylejskiego. Dopiero 21 kwietnia 1834, na

ną niechęcią spotykają się spiskowcy na każdym kroku i w końcu zawezwał obecnych do wypowiedzenia otwarcie swego zdania. Jednomyślnie zapadło postanowienie rozpuszczenia oddziału. Ramorino schronił się u wójta poblizkiej wioski pod Genewą, z trudnością uchodząc śmierci od kuli szaleńców. Nazajutrz kilku Polaków próbowało nakłonić Mazziniego, by raz jeszcze próbował szczęścia, ale wręcz odmówił...» (Z papierów kap. Rochetin w muzeum rapperswilskiem)

skutek gróźb Austryi, Piemontu i państw niemieckich, że otoczą Szwajcaryę kordonem, wezwała wielka rada berneńska Polaków do opuszczenia kraju. Rząd francuski dał się już poprzednio (30 marca) nakłonić do udzielenia im wolnego przejścia przez Francyę a nawet zasiłku na podróż. Kilkudziesięciu schroniło się do Anglii, niektórym udało się powrócić do Francyi, garstka pozostała w Szwajcaryi[1]).

W kilka zaledwie tygodni po wyprawie sabaudzkiej, wybuchły pod wpływem tych samych podżegaczy rozruchy we Francyi. Dnia 21, 22 i 23 lutego 1834 walczono w Paryżu z powodu ograniczenia wolności prasy, w Lugdunie zaś wybuchł w kwietniu między właścicielami warsztatów tkackich a robotnikami zatarg, który doprowadził do krwawych starć wojska ze sprzymierzonymi przeciw rządowi socyalistami, republikanami i bonapartystami. Walka trwała dni pięć (9—13 kwietnia) i zakończyła się zwycięstwem rządu, ale stała się hasłem do podobnych zajść w wielu innych miastach na prowincyi a wreszcie wywołała nowe i najkrwawsze zaburzenia w Paryżu; pochłonęły one mnóstwo ofiar, mimo że walczono tylko przez jeden dzień (14 kwietnia).

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 22 kwietnia 1834.

Przebyliśmy tu znowu gwałtowne wstrząśnienia. Trudno powiedzieć, czy to koniec czy dopiero początek. Dla nas zajmującym jest widok owoców, jakie przynosi polityka, której sami padliśmy ofiarą. Zdaje się, iż ona i Francyi nie wychodzi na korzyść. Widok ten bardzo jest bolesny. Szczęściem nasi w tych burdach nie mieli udziału.»

W istocie na ten raz Polacy oparli się pokusie. Mimo to za staraniem rządów zaborczych niektóre dzien-

---

[1]) Ob. Vademecum polskie Karola Hoffmana i Kronikę emigracyi polskiej. Tom I.

niki głosiły, że Polacy, bez względu na dobrodziejstwa przez rząd francuski im świadczone, wzięli znaczny udział w rozruchach. Zamoyski w listach do «Journal des Débats» i innych dzienników zbija te twierdzenia i pisze, iż «z największem zadowoleniem przekonał się z urzędowych źródeł, że między oskarżonymi o uczestnictwo w zaburzeniach nie było ani jednego Polaka».

Z końcem lutego 1834 zaczęły dochodzić do Paryża żale i skargi z Egiptu od kilku Szwajcarzan, którzy, nie zważając na ostrzeżenia, udali się tam pod koniec 1833 a teraz, zawiódłszy się w nadziejach, wracali do Europy.

Ignacy Szczepanowski do Władysława Zamoyskiego:

«Alexandrya, 26 lutego 1834.

Wracam z Egiptu i tu się nam po polsku powiodło. Moskale zaintrygowali tak szkaradnie, że tego durnia baszę przestraszyli. Wydał rozkaz, aby Polakom przybywającym nie pozwolono nawet wylądować. Dembiński, dowiedziawszy się o tem, pomimo że to, jak sam wicekról (Mehemed Ali) w mojej przytomności powiedział, ani jego, ani też tych, co już byli przyjęci, nie dotyczyło, oburzony na postępek rządu, który zszedł do roli najemnika rosyjskiego, rzucił dymisyę i odmówił 18.000 fr. żołdu, ofiarowanego mu za sześciomiesięczną służbę. Na naleganie, aby pozostał a przynajmniej przyjął żołd, odpowiedział: «Służyłem, aleście mi nic zrobić nie dali, darmo pieniędzy brać nie chcę. Nie przyjechałem tu zbogacić się; ofiarując wam służbę moją, rozumiałem poświęcać ją miłej nadziei służenia mojej ojczyźnie. Rzucam przeto wasz kraj i wracam do Europy dzielić los rodaków moich.» — Jest on tu celem uwielbienia, dobijają się o zaszczyt mówienia z nim, całem postępowaniem na to zasłużył. Wszyscy wracamy oprócz Szulca [1]).

[1]) August Szulc, ppułkownik inżynieryi, doszedł w służbie egipskiej do wielkiego znaczenia, umarł w Kairze, 22 września 1853.

Zdaje się, że po tym kroku baszy nikt z Polaków zostać nie powinien.»

Zamoyski, w zapiskach dla dzienników, podał następujący szczegół o Dembińskim: «Bezinteresowność posunął do tego stopnia, że odesłał baszy sześć koni, darowanych mu przez niego, a że basza nie chciał ich przyjąć z powrotem, Dembiński kazał je sprzedać i pieniądze wręczyć konsulowi francuskiemu na pomnik Józefa Sułkowskiego, który był ulubionym ordynansem Bonapartego a zginął podczas buntu w Kairze (27 października 1798).»

Oddając hołd należny postępowaniu Dembińskiego, Zamoyski żałował jednak, że dał się on tak prędko odstraszyć trudnościami; «dalszy pobyt w Egipcie byłby mu może dozwolił spełnić choć w części zamiary, które go do tej podróży skłoniły».

Za przybyciem do Marsylii jen. Dembiński skarżył się Zamoyskiemu, że nie nadchodzi przyobiecany mu paszport do Paryża i donosił, że kilku Polaków z Egiptu wraca do Francyi, drudzy popłynęli do Stambułu, inni zmierzają do Persyi. Krótko potem, 15 maja, dziękując za odebrany paszport, mówi: «Bardzo słuszna szanownego xięcia rada, aby się potulnym tu pokazać, ale trudno było się nie zniecierpliwić, kiedy, po tak przykrej żegludze, przywitano mnie tu piętnastodniowym aresztem i to jeszcze tak upokarzającym, że na okręcie musiałem go wysiadywać. Nie mogłem tego nie dać uczuć w mem piśmie, ale to już minęło i jak widać, złych nie miało skutków.»

W Austryi i Prusach coraz sroższą była dola rozbitków wojska polskiego, zatrzymanych w granicach tych państw od 1831 roku. «Postanowienia powzięte względem Polaków w Münchengrätz wchodzą w bezwzględne wykonanie», pisze Zamoyski 10 grudnia 1833. W istocie Austrya, na żądanie Moskwy, trzymała byłych wojskowych

polskich po fortecach, jedną im tylko swobodę zostawiając powrotu do Królestwa i zdania się na łaskę cara. Niektórzy wrócili, ale los, jaki wielu z nich spotkał, stał się dla innych ostrzeżeniem. Rząd austryacki, nie mogąc pozostałych nakłonić do powrotu pod moskiewskie panowanie, począł wyprawiać ich w sierpniu 1833 małemi oddziałami do Tryestu dla przewiezienia ich stamtąd do Ameryki. Pan Desages, radca stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, uwiadomił Zamoyskiego, że między Polakami, oczekującymi w Tryeście na okręt do Ameryki, jest dwudziestu pięciu opatrzonych w paszporty francuskie, wydane im poprzednio przez marszałka Maison, posła w Wiedniu, których użyć nie mogli, gdyż Bawarya nie przepuściła ich przez swe granice. Ci za przybyciem do Tryestu udali się pod opiekę konsula francuskiego, pana Levasseur, błagając go, by uzyskał dla nich pozwolenie na pobyt we Francyi. X. de Broglie pięć razy wniósł tę sprawę na radę ministrów i tyle tylko otrzymał, że owym dwudziestu pięciu pozwolono przybyć do Tulonu, byle stamtąd udali się do Algieru. Okręt austryacki przywiózł ich do brzegów francuskich w pierwszych dniach stycznia 1834. Pozwolono im wylądować, przyjęto gościnnie, ale wkrótce zażądano, by wsiedli na francuski statek «Malwina», który miał ich przewieźć do Algieru. Oświadczyli, że nie odpłyną, póki nie nadejdzie z Paryża odpowiedź na podaną przez nich prośbę pozostania we Francyi. Komendant miasta dał słowo, że nie wyprawi ich, zanim odpowiedź nadejdzie, wymagał jednak, żeby natychmiast udali się na pokład Malwiny i tam oczekiwali na rozstrzygnięcie swych losów. Usłuchali na razie, ale po kilku godzinach powrócili do miasta. Komendant rozgniewany kazał ich po mieście chwytać, do portu dorożkami odstawiać i pod strażą na statku trzymać; że zaś z Paryża nadeszła odmowna odpowiedź, przewieziono ich do Algieru.

W Prusach cięższą jeszcze była dola rozbitków naszych. Znane są krwawe zajścia pod Elblągiem, kiedy

Prusacy, zagnawszy polskich żołnierzy nad granicę moskiewską, zamordowali kilkunastu, którzy się przez nią przeprawić nie chcieli. Innych osadzono po fortecach i obchodzono się z nimi jakby ze zbrodniarzami. Wiadomo, że kilkuset wyprawionych zostało do Francyi w 1832; potem drobne już tylko oddziały byłych żołnierzy polskich wyprawiano od czasu do czasu z Prus do Francyi i Anglii.

«Dotąd jest tysiąc naszych po fortecach pruskich», ubolewał x. Adam, «co to za bieda, że ich nikt oswobodzić nie chce. Pracujemy nad tem.» Xiążę w istocie usilnie się starał nakłonić rząd francuski do układów z posłem pruskim w Paryżu, co do przewiezienia znaczniejszej liczby wychodźców naraz. «Transport na wielką skalę, zmniejszając koszta przewozu, przyspieszyłby wykonanie rzeczy», pisał Zamoyski w memoryale dla rządu francuskiego i obliczał koszt po 80 fr. od osoby.

Ale pomoc znikąd nie przychodziła; tymczasem rząd pruski pod koniec 1833, zapewnie także w myśl postanowień powziętych w Münchengrätz, zapragnął pozbyć się Polaków i zażądał, aby każdy z nich podpisał zobowiązanie, jakoby dobrowolne, że albo natychmiast wróci pod zabór moskiewski, albo do Ameryki wyjedzie, lub też do końca życia zgadza się pozostać w kazamatach pruskich. Wobec tych ostateczności wszyscy wybrali wyjazd do Ameryki i na trzech nędznych statkach, wynajętych przez rząd pruski, odpłynęli z Gdańska, ufając, że jakaś pomyślna okoliczność na brzeg francuski ich wyrzuci. Jeden z tych statków, «Elisabeth», miotany przez burzę od samego Gdańska i mocno uszkodzony, zawinął do Hawru, gdzie go na kwarantannie zatrzymano. X. Adam, zawiadomiony o tem przez panów Mallet, bankierów paryskich, mających ciągłe stosunki z Hawrem, napisał do więźniów, zapytując o ich los, zamiary, nadzieje i objaśniając, jakie kroki przedsięwziąć powinni, jeżeli pragną we Francyi pozostać. Ajent domu bankowego Mallet doniósł Zamoyskiemu z Hawru 12 stycznia 1834, że odnalazł Elizabetę,

chociaż z wielką trudnością, że statek ten przewozi do Ameryki stu pięćdziesięciu polskich więźniów, ale pod tak ścisłą strażą, że niepodobna poufnie się z nimi rozmówić, że zaledwie zdołał w imię ludzkości uprosić, by mu dozwolono wręczyć jednemu z nich za pomocą bosaka list xięcia.

Tenże ajent, 14 stycznia, pisał, że chwilowo więźniowie są na wolności i po ulicach się przechadzają, gdyż kilkudziesięciu z tamtejszej młodzieży czółnami dopłynęło do Elizabety i, opanowawszy statek, przybiło z nim do przystani. Komendant sprowadził siłę zbrojną, ale ta nie dała się użyć przeciw Polakom, tak iż więźniowie bez przeszkody na ląd wyskoczyli; «dotąd spokojnie się sprawują, tylko kilku, którzy z tobołkami na plecach puścili się w drogę do Paryża, żandarmi z powrotem odstawili do miasta».

Anastazy Dunin[1]) do Władysława Zamoyskiego:

«Havre, 23 stycznia 1834.

Z niecierpliwością oczekujemy tu postanowienia izb co do losu naszych. Okazują największą odrazę do dalszej przeprawy morskiej, a pomnąc, ile się już nacierpieli, trudno im się dziwić. W życiu nic tak brudnego nie widziałem, jak schroniska przeznaczone na Elizabecie tak dla oficerów jak dla żołnierzy. Zgniła podłoga, zgniłe materace, zaduch nie do wytrzymania. Ci, co naszych wyzwolili, prawdziwą mają zasługę. To też serdeczne podziękowanie złożyłem czterdziestu ośmiu młodym bohaterom, którzy tego dokonali.

Obecnie nasi żołnierze utrzymują się kosztem rządu po dwanaście soldów dziennie. Są w dobrem zdrowiu i uradowani. Wśród nich zdawało mi się, żem jeszcze w Polsce.»

---

[1]) Anastazy Dunin, były adjutant Dwernickiego, zginął 6 sierpnia 1840 w Boulogne sur mer podczas nieudanego zamachu stanu x. Ludwika Napoleona Bonaparte przeciw rządom Ludwika Filipa.

Adam Łuszczewski do Władysława Zamoyskiego:
(z Hawru, bez daty.)

«Utworzył się tu komitet dla opieki nad wychodźcami. Pan Brunett, jeden z głównych kupców tutejszych, należący do partyi zwanej «du juste milieu», chciał należeć do tego komitetu. Wszyscy tutaj uważają to za rzecz bardzo dla nas pomyślną. Pan Brunett robi starania, żeby przez pana Maître, który jest posłem do izby, a zarazem burmistrzem tutejszym i także przez panów Pinton, Arago[1]) i innych posłów, którzy się oświadczyli za nami, wyrobić u ministra zapomogi dla naszych rodaków. Pan Brunett pojechał na kilka dni do Paryża; dobrzeby było, żebyście panowie do niego trafili.»

Zamoyski pisze w współczesnych notatkach, że «rząd francuski w tym wypadku jak w niejednym poprzednim okazał się ludzkim, gdyż zaniechał zamiaru wydalenia nieboraków».

Nieco odmienny los spotkał dwa inne statki, «Union» i «Maryanne», które razem z Elizabetą z Gdańska odpłynęły, wioząc każdy po dwustu dwudziestu pięciu Polaków. Oba burzą zagnane zostały do portów angielskich: pierwszy 12 stycznia 1834 do Harwich, drugi 31 stycznia do Portsmouth. Pruscy komendanci tych statków, uważając wychodźców za więźniów, których mieli wprost do Ameryki przewieźć, stanowczo sprzeciwili się wylądowaniu ich i pragnęli przyspieszyć dalszą podróż.

Z listów lorda Dudley Stuart, Lacha Szyrmy[2]) i innych dochodziły x. Adama wieści o rozpaczliwem położeniu naszych rodaków, o nędzy, jaką cierpieli, o gro-

---

[1]) Dominik Franciszek Arago (1786—1853), astronom, matematyk i polityk, członek skrajnej lewicy.

[2]) Krystyn Lach Szyrma (1790—1866), profesor filozofii na uniwersytecie warszawskim od 1824, pułkownik i dowódca gwardyi akademickiej 1830—1831, na emigracyi gorliwy pomocnik lorda Dudley Stuart, pisał dużo o sprawie polskiej po angielsku, przełożył na język angielski Mickiewicza: «Księgi Pielgrzymstwa».

żącym im gwałcie, trawiącym ich niepokoju, a zarazem o uszanowaniu, jakie swojem postępowaniem wzbudzili, nawet u swoich strażników. Poseł Stanów Zjednoczonych, zapytany przez Szyrmę, jakiego losu dla tych ludzi spodziewać się można w Ameryce, odpowiedział, że, skoro nie znają języka, nie mają rzemiosł, a, jako cudzoziemcy, do wojska amerykańskiego zaciągnąć się nie mogą, nie radzi, by się tam udawali.

Wychodźcy o tem tylko marzyli, jakby się dostać do Francyi i w tym celu przesłali do rządu francuskiego prośbę na ręce x. de Talleyrand. Dla poparcia ich starań Zamoyski ze swej strony napisał w lutym 1834 do króla Ludwika Filipa, przypominając, że już zeszłego listopada miał zaszczyt wręczyć mu podanie, przesłane na ręce x. Adama z fortec pruskich przez Polaków tamże od dwóch lat więzionych, z prośbą o przyjęcie ich do Francyi. Przypominał łaskawe przy tej sposobności wyrazy J. K. Mości i zaręczenie dane wówczas przez marszałka Soult, prezesa rady ministrów, że ci Polacy będą mogli wstąpić do legii zagranicznej, jeżeli tego zażądają. Donosił, że przybyli właśnie do portów angielskich i że zaraz za przybyciem ponowili prośbę o wolny wstęp do Francyi, wyrażając zarazem gotowość wstąpienia w ostatecznym razie do służby w Algierze.

Zamoyski wiedział dobrze, że wychodźcy nie mają ochoty do tej służby, ale wiedział także, jak trudno otrzymać dla nich od rządu francuskiego pozwolenie na pobyt we Francyi i że wobec tego jedynym sposobem uratowania biedaków od deportacyi do Ameryki byłoby przewiezienie ich do Algieru. A i to przedstawiało niemało trudności. Zrazu minister spraw wewnętrznych, oznajmiając izbie o gotowości polskich wychodźców do służby w Algierze, oświadczył, że przewiezienie ich wyniesie 60 do 70 tysięcy franków i nikt przeciwko temu nie zaprotestował, ale niedługo potem Thiers zaczął się z tem odzywać, że, «jeżeli ci ludzie chcą służyć w Algierze, to muszą tam

stawić się własnym kosztem». «Ależ odmawiając im przewozu, odmawia się im przyjęcia», pisał Zamoyski w liście do króla i dowodził, że przybycie ich do Algieru podniesie na duchu Polaków, którzy już tam służą, że ten polski zawiązek wojskowy korzystnie wpłynie na całą emigracyę i innych emigrantów do legii ściągnie, że lepiej dla Francyi opłacać żołnierzy, niż próżniaków, jak również dla wychodźców lepiej służyć, niż żyć z jałmużny.

Zamoyski pisał w tej sprawie także do Thiersa, a tymczasem dla zaspokojenia naglących potrzeb biedaków sam w imieniu xięcia składki dla nich zbierał i za pośrednictwem lorda Dudley Stuart do Harwich i Portsmouth posyłał. Korzystając też z życzliwego usposobienia następcy tronu, usiłował i jego zająć losem wygnańców. Na zarzut x. Orleanu, że Polacy sami odmawiają wstępowania do legii zagranicznej, Zamoyski odpowiedział: «Zrażeni są twardem i nielitościwem zachowaniem się rządu; nic łatwiejszego, jak ich pozyskać i do służby w Algierze zachęcić, byle życzliwie się z nimi obejść, nie wyprawiać ich gwałtem, zezwolić im na pobyt we Francyi, a potem przynęcić ich utworzeniem w legii zagranicznej polskich batalionów, z polską komendą i polskiemi znakami, zapewniając, że kilkoletnia służba w Algierze bez nagany da polskim żołnierzom prawo do względów u rządu na równi z francuskimi żołnierzami».

Myśl swoją Zamoyski obszerniej rozwinął w nocie podanej x. Orleanu; mówi w niej: «Wstręt Polaków do legii zagranicznej nie pochodzi, jak to niektórzy im zarzucają, z obawy klimatu, odległości itp.; mało między nimi jest takich, którzyby bez wahania do Egiptu się nie zaciągnęli. Zresztą Polacy, a w szczególności ci, co teraz z Prus przybywają, a którzy z takiem męstwem przetrwali tam dwa lata przy ciężkich robotach, dowiedli, jakiego są ducha. A zatem, jeśli teraz nie chcą zaciągnąć się do legii algierskiej, to jedynie dlatego, że stracili zaufanie do

ludzi rząd obecny przedstawiających i do ich zamiarów względem przyszłości Polski. O tej przyszłości mówiąc z Polakiem, nigdy o jego męstwie powątpiewać nie trzeba. W imię ojczyzny Polak da wszystko zrobić ze sobą, ale choćbyś mu nieba przychylał, stanie oporem, gdyby miał to okupić zrzeczeniem się nadziei podźwignienia kraju...»

Jednocześnie Zamoyski usiłował samychże rodaków do służby w Algierze przekonać. W maju 1834 pisał: «Emigracya nie odpowie oczekiwaniu narodu i swemu powołaniu, gdy się rozbije na niezliczone cząstki wzajemnie sobie obce. Wszystkie dotychczasowe próby, by ją zjednoczyć i nadać jej kierunek silny, stanowczy, okazały się daremne. W takim stanie rzeczy myśl utworzenia z pośród emigracyi oddziału wojska nowej nabiera wagi. Gdyby wybory na emigracyi zdołały utworzyć władzę centralną, którąby potrafiła naraz kierować emigracyą i przemawiać do narodu, obudzić jego ufność i utrzymywać w nim wiarę w przyszłość, natenczas utworzenie z emigracyi wojska byłoby rzeczą mniejszej wagi. Ale kiedy kraj, wskutek braku jedności między emigrantami, pozbawiony jest opieki nad jego sprawą, kiedy głuche milczenie lub co gorsza sprzeczne tylko z sobą głosy dochodzą go kiedy niekiedy od nas i to ze stanowiska, na którem wolno nam jest wszystko powiedzieć, kiedy naród nie widzi nikogo, coby go przedstawiał wobec Europy, czyż w takim stanie rzeczy istnienie korpusu polskiego pod rządami Francyi, nie nabiera ogromnego znaczenia? To grono, samą liczbą swą ważne, a więcej jeszcze pamięcią o dawnych legionach, jakieżby na kraju czyniło wrażenie, jakiegoby ducha wzniecało we wszystkich sercach polskich?

Do przyczyn nienawiści, wznieconej na emigracyi przeciw tej myśli, policzyć trzeba mniemanie, jakoby dowódca oddziałów polskich pod rządem Francyi, a nawet każdy oficer w nich służący, mógł tem samem,

w chwili nowego w Polsce wybuchu, dojść do wielkiego między rodakami znaczenia. Stąd niechęć tych, którzy nie chcą lub nie czują się zdolni zabezpieczyć sobie tych korzyści. Lecz zawiść zaślepia ich. Żołnierzy na emigracyi zaledwie mamy tylu, ileby się oddać dało pod dowództwo jednego pułkownika. Jakież stąd znaczenie tak wielkie, żeby aż zawiść obudzało? Osobiste żadne. Oddział tylko, nie jednostki, posiadałby znaczenie nieobojętne. Wielu dzisiaj na formacyę wojskową piorunujących przestałoby się jej przeciwić, gdyby się o tej prawdzie przekonali.

Inni radziby przeszkodzić wszelkim zaciągom polskim pod rządem francuskim dlatego, że Francya tylko poza obrębem swych posiadłości europejskich na podobne zaciągi zezwala. Ależ prawo to odwołanem być może; miało ono na celu wyłączenie z wojska francuskiego Szwajcarów, znienawidzonych za bitwy staczane podczas wielkiej rewolucyi «przeciwko wolnościom narodowym», nie zaś Polaków, znanych we Francyi z poświęcenia dla jej sprawy. Dopókąd zaś nie będzie zniesionem, poprzestajmy na tem, co się na razie da osięgnąć, gotując się cierpliwie do korzystania z lepszych czasów. Chcieć wszystkiego albo niczego jest zasadą szaleńców. Nie godzi się porzucać, ani nawet odkładać działania dlatego, że ono niezupełnie odpowiada naszym życzeniom. W polityce pierwszą zasadą nie tworzyć systematów sprzecznych z rzeczywistością. Wobec stosunków raczej przyjaznych między państwami Europy jest rzeczą niemal cudowną, że nam się nadarza sposobność utworzenia oddzielnego polskiego korpusu.

Czemże usprawiedliwimy się przed ojczyzną z gnuśnie przepędzonych na emigracyi lat? Bracia nasi w pułkach moskiewskich, pod srogiem prześladowaniem, służą ojczyźnie jak męczennicy wierze, a my się tu targujemy, gdy interes sprawy nas powołuje, i zaniedbujemy sposobności, które nam służą jużto na uratowanie emigracyi

od nieczynności zabójczej, jużto na założenie zawiązku hufca narodowego, jedynego dzieła, jakie ogół emigracyi może dokonać w usłudze ojczyzny.»

Inaczej zapatrywało się na tę sprawę stronnictwo demokratyczne. W jego pismach głoszono, że rząd francuski dla ulżenia sobie wydatków i dla przypodobania się Moskwie chce polskich żołnierzy do Afryki wyprawić; stąd u wielu mniemanie, że Afryka jest grobem, który ich żywcem pochłonie.

Żołnierze, przybyli do Harwich, zgodzili się wbrew wpływom komitetu demokratycznego na wyjazd do Afryki i na wstąpienie do polskiego batalionu, istniejącego tam od 1832 roku. Ale rząd francuski, zagniewany w owym czasie na polskich wychodźców, nie spieszył z przysłaniem statku po nich; w ciężkiej nędzy musieli czekać parę miesięcy, aż pod koniec kwietnia dostali się do Oranu. Lekarz francuski, przysłany na stwierdzenie ich stanu zdrowia, zaświadczył, iż nie pamięta, aby napotkał kiedy taki procent rosłych i pięknych mężczyzn. Może i z tego względu podobali się Francuzowi, że, ledwo wszedł na statek, wszyscy jednym głosem krzyknęli: «Niech żyje Francya!» Włączono ich do batalionu polskiego i odtąd działo im się nieźle.

Żołnierze, których burza zagnała do Portsmouth, odmówili służby w Algierze a tak pomnożyli liczbę ubogich wychodźców i bez tego coraz się wzmagającą.

Szczodrobliwość prywatna w Anglii nie mogła już podołać nędzy tułaczów, postanowiono więc wnieść podanie do izby gmin o zapomogę dla nich. Postanowienie to uchwalono 19 lutego 1834 na meetingu zwołanym przez Towarzystwo literackie. Przemówiło na nim wielu znakomitych członków parlamentu. Podanie o zapomogę złożył w izbie 25 marca 1834 pułkownik de Lacy Evans, a żądanie swoje oparł w części na tem, że rząd angielski hojnie wspierał francuskich emigrantów, gdy się do Anglii

schronili w czasie wielkiej rewolucyi. W podaniu wyrażono nadzieję, że Anglia nie odmówi pomocy walecznym ludziom, mającym prawo do jej przyjaźni i wdzięczności, bo walczyli za wolność, bo mają prawdę po sobie, bo naród ich został łupem zdradliwego i najniesprawiedliwszego napadu a przelewał niejednokrotnie krew swoją za wiarę i oświatę. Lord Palmerston wtórował «sympatyi dla walecznych Polaków», ale oświadczył, że to nie upoważnia rządu do szafowania groszem publicznym. Wniosek pułkownika Evans upadł. Na nowym meetingu, zwołanym przez Towarzystwo literackie 3 maja 1834, zebrano dla wychodźców 11.000 franków i, chociaż po oświadczeniu lorda Palmerston mało było nadziei uzyskania pomocy rządowej, postanowiono wnieść do izby powtórne podanie o subsydya. Przyjaciele nasi uważali, że zajęcie izby polską niedolą, a zarazem zmuszenie Anglii do ponoszenia w pewnej mierze skutków nieszczęsnego stanu Polski będzie miało doniosłość i polityczną o tyle ważniejszą, że na razie Anglia nie miała innego sposobu okazania, że nie jest ani głuchą, ani obojętną na gwałty popełniane w Polsce. Wielkie jednak zachodziły trudności. Wyprawa sabaudzka wszystkie rządy przeciw Polakom podburzyła. Rząd angielski już nie tylko ze względu na oszczędność, ale wprost dla pozbycia się Polaków postanowił odmówić im zapomogi. Do złego usposobienia rządu przyczyniło się i to, że sprawę subsydyów w parlamencie podniosło dwóch radykałów: Evans i Buckingham[1]). Wniosek Buckinghama dla nawału przedmiotów nie wszedł na porządek dzienny. Lord Dudley Stuart korzystał z tego, by dalsze kroki

[1]) Jakób Silk Buckingham (1786—1855), pisarz i podróżnik, poseł do parlamentu 1832—1837, występował zawsze w obronie wolności przeciw nadużyciom rządowym. Jeden z twórców ruchu antyalkoholicznego.

w parlamencie wziąć na siebie, niepewny jednak przyzwolenia ministeryum, bez którego w Anglii żaden wniosek pieniężny od członka izby wychodzić nie może, zapowiadał tylko: «zwrócenie uwagi izby na nieszczęśliwy stan Polaków w Anglii». Tem podejściem zapewnił sobie pole do walki, a potem zajął się werbowaniem sprzymierzeńców w izbie i ministeryum. List po liście pisze do Zamoyskiego, prosząc, nagląc, by przyspieszył przyjazd, łaje, że się spóźnia, grozi, że sam niczemu nie poradzi, dopomina się, by x. Adam przynajmniej listownie wpływu swego użył na ministrów. Zamoyski w liście do matki żali się, że «te pisaniny i to w obcym języku tyle czasu zajmują, że o wiele łatwiejby było rzecz prowadzić na miejscu». X. Adam nie chciał jednak jechać w owej chwili do Anglii, ani Zamoyskiego tam posyłać, by, na wypadek niepowodzenia w izbie, nie usprawiedliwić w oczach łatwowiernych rodaków pogłosek, że wpływu swego używa dla przeszkodzenia subsydyom, w celu zmuszenia emigrantów do służby wojskowej.

W przeddzień rozprawy, lord Dudley, dręczony niepewnością, donosi xięciu, że dotąd od ministra skarbu, lorda Althorp, nie uzyskał upoważnienia na przedłożenie izbie wniosku o zapomogę. Pozwolenie to przyszło dopiero w ostatniej chwili. W sam dzień rozprawy (3 czerwca 1834), wychodźcy piszą z Londynu, że wszelka nadzieja stracona i nie szczędzą wyrazów gniewu na Anglię. Dopiero nazajutrz donoszą o zmianie swych zapatrywań.

Jenerał Roman Sołtyk[1]) do Władysława Zamoyskiego
«(z Londynu), 4 czerwca 1834.

Lord Dudley Stuart zaczął mówić o samej północy Parlament był znużony poprzedniemi dyskusyami, przy-

---

[1]) Roman Sołtyk (1791—1843), pułkownik artyleryi za X. Warszawskiego, jenerał brygady 1831, poseł koniecki.

tomnych było około stu pięćdziesięciu członków, z których jedna trzecia przy rozpoczęciu mowy wyszła. Lord Dudley Stuart mówił trzy kwadranse z wielkiem czuciem[1]. Z początku uwaga nie bardzo była zwrócona, co przytomnych na sesyi Polaków obawą napełniało, lecz zdaje się, że każdy ze stu członków, wtedy obecnych, przybył na sesyę z determinacyą dania pomocy Polakom i że sami tylko najgorętsi nasi przyjaciele w izbie pozostali. Ministrów było przytomnych pięciu, Palmerstona nie było. Lord Althorp zabrał głos i powiedział, że rząd J. K. Mości z wielu względów, a mianowicie dla jednej przyczyny, — zdaje się, że robił aluzyę do kongresu wiedeńskiego, — na tę mocyę przystaje. Poczem mówili po krótce Buckingham i Hume, a cokolwiek dłużej i z większą wymową Fergusson. Jak tylko mówca rządu (lord Althorp) mówić przestał, wszyscy członkowie ze wzruszeniem wołali: «hear! hear! hear!» i również jednomyślnie mocya przyjęta została, po tak krótkiej dyskusyi. Szczęśliwy i mało spodziewany wypadek jest skutkiem w części zmiany ministeryum[2], w części nadzwyczajnej potrzeby, w jakiej się nasza emigracya znajduje, a może pomyślniejszego także politycznego wiatru. Chodzi teraz tylko o ustanowienie sumy i podziału tejże: co do tego przyjętą jest zasada, że żaden wygnaniec polski, odtąd do Anglii przybywający, płacy nie otrzyma. Potrzeba to koniecznie we Francyi ogłosić, aby na tak wielką biedę tutaj nie zjeżdżali. Starać się będę, aby suma przez rząd dana wynosić mogła f. szt. 12.000 (250.000 fr.)[3]».

---

[1]) Przytoczył prawie cały list, jaki od x. Adama w tej sprawie otrzymał. (W. Z.)

[2]) 27 maja 1834 ustąpiło z ministeryum kilku członków, z powodu wyznaczenia komisyi dla zbadania i sprostowania krzywd, wyrządzonych kościołowi katolickiemu w Irlandyi.

[3]) 9 czerwca 1834 izba oznaczyła wysokość zapomogi na 10.000 f. szt.

Wilson Patten do Władysława Zamoyskiego:

«4 czerwca 1834.

Trudno sobie wyobrazić nędzę i niedolę (extent of misery and wretchedness), do jakiegoby tu doszło w krótkim czasie między twoimi rodakami, gdyby nie pomyślny skutek mocyi lorda Dudley. On nie posiada się z radości. Należało mu się to powodzenie za jego niezmordowaną i wytrwałą dzielność. Łączę moje serdeczne powinszowania do tych, które ci wszyscy twoi przyjaciele stąd zasyłają.»

Rozdawnictwo uchwalonych zapomóg rząd angielski powierzył Towarzystwu literackiemu przyjaciół Polski. Wyższym oficerom przyznano tygodniowo 16 szylingów, od kapitana do chorążego 10 s., żołnierzom w Londynie 7 s., a w Portsmouth 5 s. 3 pensy. Zapomoga miała być wypłacana wychodźcom miesięcznie przez cały rok. Komisya w tym celu wyznaczona składała się z lorda Dudley Stuart, Adama Smith, Mackenzie, kapitana Bansemera, jenerałów: Romana Sołtyka, Umińskiego i dra Lacha Szyrmy.

Prawie równocześnie z uchwaleniem subsydyów zjechało do Londynu trzech głośnych demagogów: Puławski, Worcel, Krępowiecki. Wypowiedzieli oni natychmiast walkę komisyi płatniczej za to, że nie mieli udziału ani w jej wyborze, ani w rozdawnictwie udzielanych przez nią zapomóg; utrudniło to komisyi i tak niełatwe jej zadanie.

Dr Lach Szyrma do Władysława Zamoyskiego:

«(z Londynu), 1 lipca 1834.

Roman Sołtyk na sesyach (komisyi) nie bywa, bo, będąc pod pantoflem pani demagogii, zląkł się co zbroić przeciwko zasadzie wyborów, której ona tak się tu domaga.»

Skończyło się na tem, że dla świętej zgody sami tylko angielscy członkowie komisyi trudnili się wypłacaniem żołdów, nie położyło to jednak końca trudnościom.

Duch demagogiczny zaczął się wkrótce szerzyć między spokojnymi dotychczas wychodźcami, dotarł i do wiarusów w Portsmouth, którzy, pod jego wpływem, potworzyli między sobą stronnictwa i podzielili się na «arystokratów i demokratów», zwalczających się wzajemnie za pomocą pięści i pałki.

Dr Lach Szyrma do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 15 sierpnia 1834.

Dyabłaście nam napędzili waszymi expulsés[1]) i podobną im czeredą. Bluźnią tu i wyklinają przez całe dnie a w nocy pod prezydencyą prałata Puławskiego gaudy sobie wyprawiają. Orgie te trwają do rana przy hałasie i rozlegających się wolności pieniach. Herszt hyclów Puławski zapowiedział, że dziś, jako w dniu 15 sierpnia, da lekcyę o wieszaniu w Warszawie. Po takim bezwstydniku wszystkiego spodziewać się można. W tak świetną rocznicę noc będzie zapewne huczniejsza, niż którakolwiek z poprzednich. Założyli na ten cel «club», aby przy zamkniętych drzwiach tajne misterye obchodzić i tylko wypróbowani mają mieć tam przystęp. Zebrali podobno do trzydziestu takich koryfeów. Reszta, spostrzegłszy, że ich zaprowadzono zbyt daleko, odszczepiła się. Szkoda, że ta odszczepiona część zamyśla tworzyć nowy ogół, bo stąd wyniknie, że ogółowo gryźć się będą, a tamci zawsze ich przeszczekają. Wielu już dosyć mając na tem, co się tu nawarzyło, ucieka co tchu na prowincyę, do Szkocyi, do samej Ameryki, aby odczepić się od tej zgrai kłótliwej. Szczęśliwy, co tak zrobić może. Przyślijcie nam Niemcewicza, tę relikwię Polski a nim od dyabłów opędzać naszą sprawę będę.»

Dr Lach Szyrma do Władysława Zamoyskiego:

«23 września 1834.

Oba «ogóły» stanęły przeciw sobie zbrojno i po argumentach kijowych grożą sobie dwunastu pojedynkami.

---

[1]) Krępowiecki, Puławski i Worcel wydaleni byli z Francyi Belgii za burzliwe postępowanie.

Sam prałat (Puławski) został wyzwany, ale złożył się prawami kanonicznemi, które duchownym zabraniają pojedynków! Worcel, Krępowiecki i komp. na łeb na szyję stąd się wybierają i kołacą u Towarzystwa o pieniądze na podróż. Puławski ze zmniejszoną garstką swej demagogii udaje się na wyspę Jersey. Jest to widoczna rejterada z obszernej sceny działania dla ludzkości na mniejszą, ale korzystniejszą, gdyż wyspa ta ma nadzwyczaj tani tytoń i trunek na frasunek...

Idą stąd dwie prośby na ręce xięcia: jedna o służbę w Algierze, druga o pozwolenie wstąpienia na ziemię francuską tym rodakom, którzy nie pobierają żołdu od rządu angielskiego. W biedzie i stanowczych chwilach zawsze ucieczka do xięcia.

Wczoraj poszedł żołd dla żołnierzy w Portsmouth; Stawiarskiemu, księdzu Zienkowiczowi i Sobolewskiemu, jako burzycielom, został odmówiony. Żołnierze nie zasłużyli, aby ich karać; postępowanie ich dawniejsze na pochwały tylko zasługiwało, a to, co teraz się stało, nie jest ich winą. Ale co poczną za rok, gdy żołd rządowy się skończy? — to pytanie.»

Przyszłość «Portsmucian», jak ich nazywano, tem niepomyślniej się przedstawiała, że wynalezienie zarobku było dla nich zrazu trudnem, prawie niepodobnem, gdyż robotnicy angielscy tchnęli zawiścią względem cudzoziemców. Gdy np. panowie Gould, właściciele fabryki w Portsmouth, przyjęli do roboty dwóch Polaków, robotnicy fabryczni, uważając to za krzywdę dla miejscowych, zbuntowali się przeciw swym pracodawcom.

Zresztą i w innych krajach i na wszystkich polach działalności spotykali się Polacy z podobną zawiścią. «Wszechmocny Prószyński», jak go towarzysze broni nazywali dla szczególnej ku niemu życzliwości króla Leopolda, pisał do Zamoyskiego z Bruxelli, 21 września 1834, że król nie zatwierdził jego nominacyi na szefa sztabu 3 dywizyi: «Niechęć przeciw cudzoziemcom rośnie z każdym

dniem i, jeżeli wkrótce nie będzie wojny, to niewiadomo, co poczną wojskowi polscy w Belgii. Szczęśliwy, kto ma parę groszy na kawałek chleba, bo chleb dawany przez cudzoziemców jest pełen goryczy...»

Propaganda bezrozumu, w imię której demagodzy polscy w Londynie dawali lekcye wieszania a szeregowcy w Portsmouth dzielili się na «arystokratów i demokratów», szerzyła się na większą jeszcze skalę po zakładach emigracyjnych we Francyi. W każdym niemal zakładzie, a było ich do dwustu, powstawały wrogie sobie obozy. Wyznawcy zasad demokratycznych zawiązywali się w odrębne grona czy towarzystwa i nadawali im, według rozmaitych odcieni tychże zasad, nazwy: gromad, gmin, ogółów ogółowych, szczegółowych itp.

Wspólnym przedmiotem nienawiści demokratów był x. Czartoryski. Jemu przypisywano upadek powstania, zarzucano mu, że przemawia do rządów i izb «bez mandatu» w imieniu Polski, że sprawy polskiej broni wyłącznie na zasadach traktatu wiedeńskiego, szydzono, że bawi się zakładaniem towarzystw literackich, nie troszcząc się o tysiące rodaków pogrążonych w nędzy i niedoli, a jednocześnie oskarżano go, że nieproszoną opiekę nad ziomkami roztacza.

Bywały jednak chwile, w których zdawało się, że uznanie i wdzięczność dla xięcia wezmą nakoniec górę nad stronniczem uprzedzeniem i namiętnościami. «Krzykacze i zapaleńcy», pisze Zamoyski do matki (12 lipca 1834), «uspakajają się trochę i, jeżeli duch demagogiczny panuje jeszcze między mniej oświeconymi, to jednak ci wszyscy, co dalej widzą, zwracają się do wuja, coraz lepiej rozumieją go i oceniają.» — Krzykacze i zapaleńcy złożyli wkrótce dowód, że nie uspokoili się wcale. W kilkanaście dni po powyższym liście Zamoyskiego «ogół» zakładu w Poitiers wydał odezwę, w której ogłaszał światu, że «wychodźcy polscy, ujrzawszy z zadziwieniem, że

x. Adam Czartoryski poważa się działać w interesach emigracyi na szkodę jej całości i przeznaczenia i, zważywszy, że niewiadomość o uczuciach, jakie obudza w rodakach postępowanie tego człowieka w rewolucyi i emigracyi, może wprowadzić w błąd najszczerszych zwolenników sprawy ludu polskiego, mają za obowiązek publicznie ogłosić, iż tenże Adam Czartoryski nie posiada ich zaufania, ale uważany jest za nieprzyjaciela emigracyi polskiej».

Odezwa ta wydana 29 lipca 1834, a z czasem potwierdzona paru tysiącami podpisów, wyszła 12 września 1834 w dzienniku «Le Messager[1])». Oryginał oddano do przechowania jen. Dwernickiemu. O sposobie zbierania podpisów na tym akcie major Underowicz tak się wyraża: «Wymożono podpisy na niewiniątkach, podpisywano często, nie wiedząc, co się podpisuje lub jedna i ta sama ręka kilkunastu podpisywała».

Zamoyski w późniejszych, urywkowych wspomnieniach pisze o odezwie poitierskiej:

«Wspomnę mimochodem o agitacyi ślepej i przewrotnej, w jaką część znaczna emigracyi naszej dała się wciągnąć przeciwko mężowi, którego prace, zasługi i ofiary dla ojczyzny, nie potrafiły zasłonić od zawiści i zawziętości. Z boleścią wyznać trzeba, że się sprawdziła na naszej emigracyi, a przynajmniej na znacznej jej części, uwaga, która w podobnej okoliczności wyrwała się z duszy umiejącej przebaczać: «Niezmierną musiała być ich boleść, skoro się tak niesprawiedliwymi okazali». Rozrzucona po licznych zakładach w całej Francyi emigracya polska zdobyła się na podpisanie aktu, jakby wyklęcia x. Adama Czartoryskiego i wypowiedzenia mu wszelkiego prawa do przemawiania w imieniu Polski.

---

[1]) W tym samym czasie, 16 września 1834, car Mikołaj podpisał na x. Adama wyrok śmierci z podwójnem obostrzeniem.

Smutne to, ale nauczające. Niechaj się nikt nie łudzi, by, ślubując ojczyźnie życie, siły, wszystkie myśli i zdolności, uniknął sądów bezwzględnych i niesumiennych. Najznakomitsi mężowie są wystawieni na oszczerstwa i to tem więcej, im więcej ich cnota zabezpiecza oszczerców od zemsty i odwetu. Nie uszli tego ani Kościuszko, ani Poniatowski, ani Dąbrowski. Dąbrowskiemu jakobini chcieli odebrać dowództwo legii, Kościuszko z Paryża usunął się od nich do Zeltnera, aby uniknąć zamachu na swoje życie. Zresztą czemże był ostracyzm, jeżeli nie bronią intrygantów przeciwko najzacniejszym i najlepszym? Historya zapomni o tych przemijających wybuchach złości i głupoty, ale czy współczesnym wolno pomijać szkody, jakie wyniknąć muszą z oszczerstw miotanych na ludzi zacnych i pożytecznych? Czyż to nie przeszkadza ich działalności? Kto ich siłę działania zmniejsza, ten szkodę sprawie zadaje. Ale i społeczność, w której sądy takie znajdują choćby na dzień jeden uznanie i poklask, niechaj się nie łudzi, niech wie, że na niej cięży obowiązek naprawy złego, zmazania niegodziwości, niechaj okaże, że, jeśli są w niej zapamiętali i przewrotni, przeważa jednak liczba ludzi prawych, umiejących rozpoznać drogę obowiązku i prawdę, choćby z narażeniem, wyznawać.»

Wielu z najpoważniejszych członków emigracyi postanowiło wystąpić głośno przeciw zniewadze wyrządzonej xięciu. Niektórzy jednak dla rozmaitych powodów odmówili swych podpisów na zamierzonej protestacyi. Jen. Dembiński i Bonawentura Niemojowski, ostatni prezes Rządu Narodowego, woleli sami osobno do xięcia napisać; jen. Tyszkiewicz i x. Eustachy Sapieha sądzili, że xiążę nie potrzebuje, aby jego dobrej sławy broniono; jen. Pac uważał, że dla pozyskania podpisów ułożono protestacyę zbyt bladą i nie odpowiadającą jego przekonaniom, ani śmiałości, z jaką zwykł je głosić. Zamoyski, odpisując na te rozmaite uwagi, nalega na to, że za zniewagę pu-

bliczną należy się protestacya również publiczna; że protestacya nie ma na celu obrony xięcia i jego dobrej sławy, ale że jest potrzebna dla dobrej sławy narodowej; że każdy ma obowiązek stawania w obronie ludzi zacnych, gdy ci doznają niesprawiedliwych napaści, ohydnych potwarzy; że nie godzi się własnem milczeniem ośmielać ludzi złych; że są obowiązki solidarności obywatelskiej, których pomijać nie można; że trzeba stawać w obronie praw, które, acz nie są wpisane do kodeksu kryminalnego, są wyryte na dnie każdej zacnej duszy.

Jeżeli nie wszyscy, to jednak wielu najzacniejszych wychodźców podpisało się na protestacyi posłanej do «Le Messager» 24 września 1834. Poza tem ukazało się w «Kronice emigracyi polskiej» kilkanaście zbiorowych i kilka pojedyńczych oświadczeń przeciw poitierskiej odezwie.

Widok niedorzeczności, jakie się popełniały na tułactwie, nasunął kilku wychodźcom myśl sprzęgnięcia najlepszych żywiołów emigracyjnych do wspólnej pracy narodowej pod kierunkiem x. Adama. Potrzebę tę odczuł najsilniej może Maurycy Mochnacki, do niedawna zagorzały xięcia przeciwnik. Przechowały się trzy jego listy do Zamoyskiego w tej sprawie wystosowane. Pierwszy dotyczy czasopisma, jakie należałoby wydawać na wychodźtwie, drugie dwa omawiają potrzebę ujęcia emigrantów w karby ścisłej organizacyi i plan tejże. Widocznem z nich, że w oczach Mochnackiego jedynym środkiem zjednoczenia i upamiętania emigrantów, a zarazem jedynym celem godnym ich starań, było wspólne i karne przygotowywanie z xięciem na czele samych siebie i kraju do nowego powstania.

Maurycy Mochnacki do Władysława Zamoyskiego:

«(z Paryża), 17 września 1834.

...Pismo powinno dzielić się na trzy części główne: 1. rzeczy zagraniczne; 2. interesa krajowe; 3. emigracyjne.

Kraj nie wie, co się dzieje w Europie; interesem trzech dworów jest utrzymywać go w tej niewiadomości,

a zatem część dziennika poświęcona expozycyi ogólnej, rozumowanej ważniejszych wypadków na świecie... dogodziłaby jednej z najistotniejszych potrzeb nieszczęśliwego narodu. Części tej możnaby nadać tytuł: wiadomości zewnętrzne czy zagraniczne.

Powtóre: interesa krajowe. Część ta jest najważniejsza. Polska jest pod obcem jarzmem, a zatem powstać raz jeszcze musi i powinna. Z tego tematu wychodząc, znajdzie dziennik okazyę do szeregu artykułów o insurekcyi. Dotąd zawsze prawie na jednym tylko punkcie naród powstawał. Ta polityka nas gubiła. Będzie więc obowiązkiem pisma wpajać w naród, że jego obowiązkiem jest powstać przeciwko całemu świętemu przymierzu, — razem, w jednym czasie, na wszystkich punktach naszej ziemi. Ta materya traktowana przezornie, z taktem, tem silniejsze wrażenie sprawi, że dziennik ten za organ xięcia uważany będzie. W Polsce wszystkie imaginacye zostaną ocucone, nawet w zwątlałe nadzieje nowy duch wstąpi, gdy pomyślą sobie ludzie w tym kraju, że całą myśl xięcia zajmuje insurekcya, że on ani na chwilę nie zwątpił o możności skruszenia obcego jarzma. Tu otworzyłoby się pole do artykułów szczegółowych w przedmiocie insurekcyi, a najpierw wojskowych... W toby wchodziło ocenienie położeń, lasów, biegu rzek, stosunku płaszczyzn do pozycyi górzystych, — słowem wszelkie strategiczne i taktyczne wiadomości. Do tej samej kategoryi należałyby artykuły o broni w powstaniu, o organizacyi powstańskiej etc. Powtóre wypadałoby uważać kraj z punktu statystycznego, naprzykład z jakich elementów składa się ludność Polski? jak cenić te elementa we względzie insurekcyi?... I tak: dotąd jedna część Polski jeszcze sama nie powstała od zaboru. Galicya jest krajem pod względem militarnym najdogodniejszym dla insurekcyi powszechnej dla Karpat i Węgier... Głównym punktem powstania z tego punktu jest Ruś. Trzeba więc interesa Rusi poruszyć. Lud ruski dziki, barbarzyński, ale nie

znerwowany jeszcze, rządzony przez popów, fanatyczny, powabiany z jednej strony przez Austryę, z drugiej przez Moskwę. Jeśli jedno z tych dwóch mocarstw Ruś polską pociągnie, jeśli, czego nie daj Boże, wypolszczy zupełnie, natenczas Polska na wieki w ruinach swoich pogrzebana będzie... Albo nie masz polityki polskiej, albo jest ona cała w tym wielkim i niezmiernym przedmiocie.

Po trzecie: interesa emigracyi. Kto chce poruszyć do powstania całą Polskę, znajdzie wiarę, gdy będzie wpajał w emigracyę zasadę zbrojnej legii. Ta trzecia część dziennika stanie się popularną, jeżeli dwie pierwsze largement traktowane będą. W rzeczy samej, dopiero z takich punktów wzięta legia, czy w Algierze, czy gdziekolwiek dalej nawet, stanie się rzeczą narodową...

Gdyby to przypadło do przekonania Pułkownika, mógłbym, odłożywszy wszelkie inne zatrudnienia na bok, całą pracę poświęcić dziennikowi, którego wychodzenie byłoby użyteczne sprawie publicznej.»

Maurycy Mochnacki do Władysława Zamoyskiego:

«Auxerre, dnia 13 października 1834.

List szanownego i kochanego Pułkownika z dnia 25 września odebrałem[1]), lecz w Auxerre ostatki mojej słabości tak mnie jeszcze dręczyły, że przez te dni kilkanaście nie miałem sił odpowiedzieć na to pismo, potrzebujące całej mojej głowy i pilnej uwagi. Dzisiaj więc to zaledwo czynię przy mocniejszem zdrowiu.

A najpierw co do obawy, aby stowarzyszenia, gdy już przyjdzie do skutku, ktoś potem nie porwał i przed czasem nie zawołał: «daj ognia». Ta obawa Pułkownika w sobie słuszna koniecznie zmniejszyć się będzie musiała, gdy rozważymy naturę organizacyi tego związku. Organizacya jest zupełnie wojskowa i bardzo absolutna.

Emigracya, podług planu, składa część wojska narodowego. Dzieli się ona na korpusy, dywizye, brygady,

---

[1]) Listu tego niema.

pułki, bataliony, nareszcie kompanie. Lecz te części, te podziały ogólne o sobie nie wiedzą. Jeden korpus nie wie o drugim itd. Zaledwie ludzie jednej kompanii znać się mogą; tylko naczelnicy korpusów, dywizyi, brygad itd. wiedzieć mogą, kto się w ich oddziałach znajduje. Tylko u steru koncentruje się znajomość ludzi, wchodzących do stowarzyszenia, a stopnie podrzędne, jak być powinno w każdej hierarchii wojskowej, zamieniają się mocą przysięgi w narzędzia powolne wyższej, całą maszyną kierującej woli.

Trzebaby więc, żeby ktoś chyba w sterze, — w kapitule, — chciał zawcześnie zawołać: «do broni»[1]), a dopiero wtedy ziściłaby się ta obawa szanownego Pułkownika.

Ja tę całą rzecz uważam ze strony bardzo praktycznej. W emigracyi ludzie godni i rozważni, — którzy niewątpliwie stanowią większość, — znudzeni do najwyższego stopnia, umilkli i zobojętnieli; tem milczeniem, w części i pogardą, ośmielona mniejszość burzy, krzyczy i sprawia publiczne zgorszenia. Cóż na to poradzić? Jakim sposobem zraliować, zebrać dobrze myślących, ażeby podali sobie ręce i stłumili fakcyę niebezpieczną, a dzisiaj działającą pod obcym, moskiewskim wpływem? Pułkownik odpowiadasz na to..., że powinni się stowarzyszyć dla obrony przeciwko złemu. Lecz mnie się przynajmniej zdaje, że ten cel stowarzyszenia nie będzie dostatecznie przemawiał do umysłów, które znużyły już rozterki emigracyi, które opanował indyferentyzm. Trzeba koniecznie silniejszego bodźca, słowa więcej magicznego, żeby wprowadzić w czynność część uczciwą emigracyi; trzeba, krótko mówiąc, czegoś, coby uderzyło imaginacyę. Insurekcya w kraju, pod przywództwem xięcia, jako już mającego z krajem zawiązane w tym względzie liczne stosunki, otóż jest ten środek zajęcia i połączenia ludzi...

---

[1]) Dopisek Zamoyskiego: «Tak też bywało».

Wszystko zależy na tem, by wyprowadzić emigracyę z tej bezczynności, z tej obojętności politycznej, pod wpływem której intryganci mogą się dopuszczać excesów, szkodzących i emigracyi i krajowi. Środkiem do tego jest tajny związek, pod przywództwem xięcia; ten zaś związek inaczej nie stanie, tylko za wskazaniem mu, — czy jako podstawy, czy jako celu, — ogólnego powstania narodowego...

Obawiam się przy tej okazyi powiedzieć jednej rzeczy, ażebym u szanownego Pułkownika nie wpadł znowu w posądzenie widoków niepraktycznych. Ja mocno wierzę jeszcze w podobieństwo rzeczywistego osiągnięcia celu, dla którego chcielibyśmy pod zwierzchność jednej głowy naczelnej zjednoczyć teraz emigracyę to jest w podobieństwo poruszenia do insurekcyi całego narodu polskiego...

Z tem wszystkiem nie sądź, szanowny Pułkowniku, ażeby mnie to przekonanie w działaniu dzisiejszem potocznem do jakowego raptownego, nierozważnego kroku pociągnąć mogło.

...Spieszę z udzieleniem Pułkownikowi raportu z tego, co się w Auxerre dzieje w interesie porządku i w interesie opozycyi przeciwko publicznym u nas zgorszeniom.

Nie mogę sobie nadto powinszować, żem tu przyjechał; znalazłem tu oficerów, składających większość zakładu, przejętych chęcią najgorliwszą potłumienia fakcyonistów. Major Dembowski, Olszewski[1]), Bajerski, Gorzkowski, Kiersz, Wolicki, Groza, kapitanowie i wielu innych są to ludzie nieoszacowani. W tych dniach ustanowiona tu została komisya korespondencyjna do uskutecznienia stałych komunikacyi ze wszystkiemi zakładami we Francyi, z których już kilka weszło w związek

[1]) Antoni Julian Olszewski (1800—1868), kapitan 4 p. strzelców konnych, otrzymał krzyż Virtuti militari 15 maja 1831, służył jako major w dywizyi polskiej na Wschodzie w 1856.

listowny z depôt w Auxerre, uprzedzając oficerów tutejszych. Wyszła już stąd protestacya przeciwko deklaracyi z Poitiers, posłana do Kroniki na ręce Alexandra Jełowickiego[1]); zakład postanowił także napisać i publikować dość ostry list do jenerała Dwernickiego za jego nierozważne i szkaradne oświadczenie, które na nim wystraszyła Honoratka; zakłady w Tonnerre, Avalon, Bourges, Caen łączą się z nami w jednej myśli. Wszystko mi każe się spodziewać, że czynność stąd energicznie rozwiniona może pociągnąć za sobą całą emigracyę.»

W następnym liście, z 26 października 1834[2]), Mochnacki powtarza te same myśli i życzenia, co w poprzednim, nadmienia o potrzebie ustanowienia biura centralnego dla mającego się założyć stowarzyszenia i pisze:

«Tyle razy mówiliśmy o tem ze sobą, szanowny Pułkowniku, że jest jeszcze dla nas, dla narodu w tem ratunek, ażeby Polska postrzegła xięcia na czele tych idei powstania.

Nieprzyjaciele kraju i emigracyi dowodzą, że xiążę chce tylko Polski kongresowej i amnestyi. My, przeciwnie, dowodzimy, — chociaż tego dowodzić ludziom dobrej wiary nie trzeba, — że xiążę zamierza poruszyć stąd do obrony całą Polskę.

O ile to publicznie da się zrobić, bez skompromitowania ostatnich środków pozostałych narodowi do własnej obrony, o tyle należy i trzeba koniecznie szerzyć to przekonanie, to wyobrażenie o xięciu...

Im więcej osób poznaję tu na prowincyi, tak z Auxerre jak z innych zakładów w departamencie, tem bardziej utwierdzam się w opinii, że emigracya en masse

---

[1]) Alexander Jełowicki (1804—1878), poseł hajsyński i podporucznik legii litewsko-ruskiej w 1831; wyświęcony na kapłana w 1841, później przełożony polskiej misyi xx. Zmartwychwstańców w Paryżu.

[2]) List ten wyszedł w druku w dziele Stanisława Szpotańskiego: Maurycy Mochnacki, w Krakowie, Akademia Umiejętności 1910. Str. 247—250.

jest zacna, prawa i rozsądna, a wyskoki i zdrożności są w niej tylko wyjątkowe. Nawet do tych trafić jeszcze można, którzy, w bezczynności dotychczasowej z naszej strony, nie wiedząc, co ze sobą począć, rzucili się do społecznego sektarstwa.»

Na dwa ostatnie listy Zamoyski odpowiada (12 listopada 1834), że myśl o powstaniu wcale go nie trwoży, byle jej nie podawać jako pomysł nowy, bo tak nie jest. Ta myśl powinna być podstawą wszystkich naszych czynności i niejako żywiołem naszym, ale nie nowym i natychmiastowym celem: «Nie trzeba nam nowego powstania wywoływać, ale nowe środki doń wytwarzać, — to nasze zadanie. Dobrze jest przypominać krajowi naszą stałą nadzieję, pamiętać jednak trzeba, że ona nie powstała na emigracyi, że wywieźliśmy ją z kraju, zatem nic nowego nie podajemy. Przez nasze usta sam kraj przemawia, a emigracya głosi to tylko, czego kraj chce i czego w kraju nikt nie potępi, bo nawet najbardziej nieszczęściem znękani nie zaprzeczą, że wojna o niepodległość u nas nie ustała, że ciągle się utrzymuje. W kraju panuje jednak przestrach okropny, stąd nowe zamiary od emigracyi pochodzące naraziłyby ją na zarzut, iż, czując się bezpieczną na obcej ziemi, zapomina, że jedno słowo przez nią nieoględnie wypowiedziane może tysiącem ofiar w kraju opłacić przyjdzie. Zarzut ten już kilkakrotnie spadł na niektórych towarzyszy naszych, nie ściągajmy go na siebie. Emigracya powinna poprzestawać na przypominaniu rzeczy dobrze znanych, nie zaś głosić, że xiążę rozpoczyna coś nowego albo do czegoś nowego przystępuje. Rządy zaborcze i ich posłowie nie pominęliby tej sposobności, by z nową natarczywością wyrzucać Francyi, iż pokrywa opieką swoją nieprzyjaciół, burzących porządek i spokój ich państw. W kraju zaś wystawionoby sobie, że musiały zajść jakieś nowe, ważne wypadki; pytanoby nas, jakie wydarzenia upoważniają emigracyę do ściągania na kraj nowych prześladowań. Uważam za

postęp wśród Polaków, że przestają liczyć na wyłączną pomoc ludów, przekonali się, że ona równie jest zawodna, jak pomoc rządów. Ten postęp w dojrzałości będzie miał dobre skutki dla emigracyi: mniej się będzie oglądała na cudzoziemców, większą zwracać będzie uwagę na siebie samą i na rozwijanie własnych sił i zdolności w sposób praktyczny.»

Z powodu ofiarowanego mu wiceprezesostwa zamierzonej organizacyi, Zamoyski mówi: «Nigdy nie uchylałem się od pracy, którąbym mógł z pożytkiem wykonać, ale nie mam zamiłowania do tytułów, a nie mieszkając stale w Paryżu, nie mógłbym brać na siebie obowiązków do tego tytułu przywiązanych. Nadto zbyt jestem związany z xięciem, aby odpowiedzialność za moje czynności na niego nie spadała. Nie sądzę zaś, by xiążę miał występować na czele tego działania. Imię xięcia zachować trzeba jako palladium przyszłości, a nie zdzierać zeń uroku codziennem urzędowaniem, zwłaszcza kiedy urząd jest bez władzy. Najstosowniejszym do pokierowania organizacyą wydaje mi się jenerał Dembiński, któryby pewnie prezesostwa nie odmówił, gdyby go znaczna liczba rodaków o to prosiła. Jest majątkowo niezależny, żołdu od Francyi nie pobiera, jest szlachetny, xięciu oddany, byłby radom jego uległy.»

Na zapytanie Mochnackiego, czy dałoby się przypuścić, że cały naród powstanie na wszystkich punktach jednocześnie, Zamoyski odpowiada: «Nie pojmuję innego sposobu działania, ale wszystko zależy od chwili i od pewnej liczby mężów uzdolnionych do pokierowania sprawą zgodnie i w porozumieniu. Że ta chwila jeszcze nie nadeszła, na to wszyscy się zgodzą. Idzie o to, abyśmy jej doczekać umieli i aby nas nie zaskoczyła znowu, jak tylokrotnie, nieprzygotowanych, nieuzdatnionych [1]).»

---

[1]) Wiadomo, że śmierć (20 grudnia 1834) przerwała prace i plany Mochnackiego. Myśl zrzeszenia emigracyi około x. Adama do wspólnej pracy nad przygotowywaniem powstania podjęło grono jego uczniów i wielbicieli w 1838 roku.

Poza pracami odnoszącemi się do spraw bieżących, wychodźcy poświęcali wiele czasu na pisma dotyczące przeszłości. Było to ulubione zatrudnienie Zamoyskiego; z każdej wolnej chwili korzystał, by do niego powracać. «Zajmuje mnie historya naszej wojny», pisał do brata 10 czerwca 1834, «zbieram pamiątki i przypomnienia dla użytku piszących». To też piszący często zwracali się do niego po radę i pomoc. Ludwik Mierosławski, 19 grudnia niewiadomego roku, wyraża życzenie widzenia się z Zamoyskim dla poradzenia się go co do kilku ważnych punktów historyi naszej rewolucyi, gdyż «nie potrafiłby wykończyć niektórych rozdziałów bez zasięgnięcia jego rady[1])». — Mochnacki w liście bez daty umawia się o dzień i godzinę dla odczytania tego, co o powstaniu wydaje; innym razem (2 września 1834) skarży się na wydawców: «Stosunki moje z entrepryzą dzieła są zupełnie zerwane. Ci ludzie namiętni wstrzymują wydanie od miesiąca skończonego tomu dlatego jedynie, że nie jest szalony jak oni. Jest to konspiracya szału przeciwko bezstronności i dobrze zrozumianemu interesowi kraju[2]).» Henryk Żmijewski przysyła z Oranu «na rozkaz szanownego Pułkownika» «Rys naszego powstania». Ramorino pisze, że ma nadzieję, wspólnie z Zamoyskim, popracować nad historyą polskiej wojny i oprzeć ją na ściślejszej prawdzie i dokładności, niż wszystkie te, które dotychczas wydano. Wreszcie Niemcewicz zapowiada swój przyjazd z Montmorency do Paryża dla wspólnego

---

[1]) «Il faut absolument que je vous consulte sur quelques points importants de notre histoire (dernière révolution), chose que je ne puis faire par écrit. — Vous serez bien aimable de me faire savoir dans votre réponse à quelle époque vous pensez être à Paris, afin que je distribue mon temps en conséquence et remette de côté les chapitres que je ne saurais arrondir sans les avoir soumis à votre judicieux examen». — W tymże liście L. Mierosławski prosi Zamoyskiego o polecenie go belgijskiemu ministrowi wojny i podaje szczegóły o swojem uzdolnieniu i naukach.

[2]) Ob. dzieło Stanisł. Szpotańskiego: Maurycy Mochnacki. Str. 244.

odczytania tego, co napisał do dzieła: «La Russie et la Pologne».

Te wspólne czytania, te wspólne prace były największą, nieomal jedyną pociechą wygnańców wśród ciężkiej doli emigracyjnego życia.

Niemcewicz w dzienniku swoim, użalając się codzień prawie na osamotnienie, tęsknotę, starość, zapisuje 15 marca 1834, że Adam Mickiewicz obiecał przyjść mu przeczytać ustępy z poematu «Pan Tadeusz», nad ukończeniem którego pracował. «Im bardziej obce panowanie zatraca narodowość naszą, tem bardziej skreślone w tym poemacie pamiątki droższemi potomności się staną», mówi Niemcewicz i dodaje: «Czemprędzej więc zaprosiłem na to czytanie x. Adama Czartoryskiego, jenerała Paca, Kniaziewicza i pułkownika Władysława Zamoyskiego. Wszyscyśmy z rozkoszą słuchali opisania scen; te nas nie bez rozrzewnienia a czasem uśmiechu przenosiły w dziedzinę domową.» Czytanie zakończyło się «obiadkiem». Niemcewicz zapisał w swoim dzienniku spis potraw podanych przez niego autorowi i słuchaczom «Pana Tadeusza». Była to zupa grochowa z kiełbasą.

Wśród zajęć, które mu serce i umysł pochłaniały, Zamoyski mógł bez przesady pisać do matki: «Żaden dzień zamierzonej czynności nie wystarcza. Powodem do tego życie mocno zatrudnione, już to dzieleniem prac wuja, już pracami naukowemi, już salonowem marnowaniem czasu, które coraz bardziej się przykrzy, a do którego silę się, gdyż zawsze będę pożyteczniejszy między ludźmi i do ludzi, niż między papierami i do pióra.» Mimo to nie przestawał utrzymywać ścisłych stosunków z matką. «Żal mi każdego dnia», mówi, «w którym do Matki pisać nie zdołam; pragnąłbym jej donieść o każdym dniu i jego czynnościach, wtajemniczyć ją w moje smutki, żeby mnie Matka na wskroś znała i rozumiała.»

Z rodzeństwem Zamoyski utrzymywał z konieczności nader rzadkie stosunki. Pośredniczką między nimi była matka. Ona przesyłała Władysławowi listy braci i sióstr, pełne szczegółów o tem, co się w kraju działo i co dla podźwignienia go czynić usiłowali.

Andrzej Zamoyski do matki:

«Zwierzyniec, 2 sierpnia 1833.

List Matki drogiej obudził mnie jakby ze snu, — w istocie kilka to już miesięcy nie pisałem, zajęty dniem i często nocą, bo dużo było roboty. Pracując wśród popłochu, w jakim żyjemy, zdawało mi się, że czynię dosyć i pisać zapomniałem. Rozumiem, że się Matka trochę niecierpliwi na nasze milczenie, ale Matka nie bardzo sroga, nawet gdy srogą być chce. Nie mogę wyrazić, ile mam upodobania w pracy, którą podjąłem, w myśli, że ojciec zadowolony i zdala pochwala nasze wysiłki. Konstanty chodzi za interesami w stolicy, a ja tu i jakoś nam idzie, ale serca ściśnione, życie nasze rozbite, pisanie listów tak utrudnione, że pisać swobodnie nie można.

Nowy rządca (ordynacyi) poczciwy człowiek, dobry szlachcic, dobry gospodarz, dobry rachmistrz. Ja wziąłem na siebie papiery, pisma, część najmniej zajmującą. Jeśli nam trudno o szczęście, to przynajmniej zajęcia nam nie brak. Chłopi nabierają zaufania, przychodzą z zażaleniami, kłopotami, widzą, że nas to obchodzi. Ufamy, że ich położenie potrochu się poprawi. Byłbym chciał żonę z chorem dzieckiem posłać do wód, do Akwizgranu, ale bardzo się obawiam, żeby im paszportu nie dali.»

August Zamoyski do matki:

«Październik 1833.

Konstanty zaprzągł mnie do gospodarstwa. Mieszkam w Xiążpolu pod Tarnogrodem. Czynszuję chłopów. Już stu kilkudziesięciu przy mnie przeszło na czynsz. Spodziewamy się, że za rok nie będzie ani jednego pańszczyźnianego chłopa w całej naszej osadzie. Chłopi nas błogosławią, a intrata się podnosi. Konstanty ma ochotę

jeszcze tego roku zrobić próbę fabrykacyi cukru z buraków. Fabrykant uczony człowiek, biorę od niego lekcye fizyki i chemii. Jest także były profesor szkoły politechnicznej, Rybicki, wziął na siebie blich, gorzelnię i będzie robił olej. Mamy dobór ludzi, jakich mało; nie mają chleba, wzięli się do gospodarstwa. Miło być pomiędzy nimi, najprzyjemniejsze towarzystwo. Siedzę tu już piąty miesiąc i widzę codziennie korzyść z mojej pracy. Jeżdżę po dobrach, więc gdzie zajadę, zawsze się czegoś nauczę. Nie wiedziałem, że rolnictwo jest tak piękną nauką. Ileż to rzeczy umieć potrzeba, aby być dobrym rolnikiem. Teraz Konstanty wymyślił zaprowadzić spółki gospodarskie. Lekcye jego o rolnictwie są przedziwne. Mamy przyjemne chwile, ale bywają i gorzkie żale. Jadę do Podzamcza, aby zostać wójtem, gdyż to uwalnia od konskrypcyi, która jest okrutna.»

August Zamoyski do matki:

«1 stycznia 1834.

Będąc w Warszawie, byłem przedstawiony feldmarszałkowi (Paskiewiczowi). Konstanty musiał niedawno temu wydać bal, bo marszałek sam się zaprosił. Niech się Mama nie dziwi; nic się nie robi nad to, co konieczne. W Warszawie niezabawnie, to też myślę drapnąć nazad do Xiążpola. W Xiążpolu daleko przyjemniej czynszować chłopów. Byłem przejazdem w Puławach. Jakże tam smutno! Wszystko obszedłem. Tyle tam różnych miłych wspomnień, a jak spojrzeć, że to wszystko pustkami stoi, strasznie smutno. Konstanty pisze, że ksiądz Teraszkiewicz[1]), który się w ordynacyi rodził, nie może się teraz wydziwić dobrobytowi chłopów w Xiążpolu; pisze także, że, gdy przyjechał do Gruszczyna, zdawało mu się, że go ludzie unikają, a gdy zapytał, czy go nie poznają,

---

[1]) Jan Teraszkiewicz (1793—1863), ur. w Xiążpolu w Lubelskiem, um. w Chełmie. Rektor seminaryum 1832, sufragan chełmski, biskup bełzki 1841, administrator dyecezyi chełmskiej 1851, przedstawiony w tymże roku na biskupa chełmskiego, nie doczekał się bulli papieskiej.

gospodyni jedna powiedziała, że wstydzą się, iż tak im dobrze; wszyscy się okupili.»

Pani Tytusowa Działyńska do x. Leonowej Sapieżyny:

(bez daty.)

«Przeciwko żydom są jakieś dość surowe rozporządzenia w Królestwie co do szynków. Ci jednak, co mogą dać jakieś dowody, że podczas wojny ponieśli od Polaków jaką krzywdę, albo im jaką wyrządzili, otrzymują wyjątkowe pozwolenia, wręcz przeciwne prawu. Do dziesięciu przykazań boskich Mikołaj dodał teraz dziesięć swoich dla tych, co chcą mieć paszporty za granicę, ale takie są, że mało kto nie przestąpił jednego lub drugiego a najczęściej wszystkich.

Jenerał Wincenty Krasiński wiele dobrego czyni teraz w Warszawie. Najprzód bardzo dużo daje a potem wstawia się za wielu niewinnymi i otrzymał uwolnienie kilku. Znowu bardzo obiecują w Polsce jakąś amnestyę ogólną, ale to podobno tylko dla tych, których żadną miarą karać nie mogą. O tych, co na śmierć skazani, wygnani, na Sybirze lub w więzieniu, nie będzie mowy.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 11 lutego 1834.

Cieszę się, że Konstanty z żoną zaraz po balu[1]) wyjechał i pragnę najmocniej, żeby tego nie powtarzał. On, jak dawniej nie lubił wystawy, tak dziś gotów nadużyć tego środka w celach zacnych. Ale są względy przyzwoitości narodowej, które zawsze źle jest pomijać i nigdy to na korzyść nie wyjdzie.

Z Matką spędzam mój tłusty wtorek. O dwa kroki stąd, u pana Mieczysława Potockiego[2]), tańczą. «Sprawiłem sobie tę przyjemność, że tam nie poszedłem.»

---

[1]) Danym dla Paskiewicza.

[2]) Mieczysław Potocki (1799—1878), syn Szczęsnego, żonaty 1° v° z Delfiną Komarówną, 2° v° z Emilią Świeykowską.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«23 lutego 1834.

Niech ci Bóg szczęści, to moje życzenie, powiem niemal i nadzieja[1]). Posiadasz niektóre warunki do szczęścia potrzebne, pilnuj ich; niech ci każda szczęśliwa okoliczność posłuży do uzbrojenia się w to, co czyni człowieka niezależnym od zewnętrznych okoliczności i przygotowuje go do zniesienia miary zmartwień, jaka czeka każdego w życiu, a dla nas — Polaków — większa, niż dla innych. Żądza szczęścia jest cechą młodości, przecież naucz się umiarkować tę żądzę, pomnij, że ze szczęściem spotkać się i raz w życiu nie każdemu dane; gdy się trafi, przyjmij je jako przywilej. Ja zawsze uważałem chwile szczęścia, gdy się nadarzały, jako zapas na długą i przykrą podróż, jako balast do mego okrętu, jako nabytek, którego nic mnie już nie pozbawi, jako źródło, u którego czerpać będę siły czy to do dalszego życia bez szczęścia, czy do znoszenia przeróżnych zmartwień. Lekkomyślnością i niewdzięcznością jest nie oceniać szczęścia obecnego i jedynie się zatapiać w tem, co bolesne, a tak zużywać siły na własną szkodę, nie na swoją i drugich korzyść, jakby należało.»

Na wyrażone przez Zamoyskiego życzenie, by mu dozwolono przyjechać na ślub brata, ordynat odpowiada «Nie pojmuję, jak możesz myśleć o odwiedzeniu nas. Czy nie rozumiesz srogości czasów, w jakich żyjemy? Wszak ci, co przebywaliby z tobą, ulegliby prześladowaniu, którego granic zmierzyć niepodobna. Czas jeden mógłby rzecz złagodzić, ale nowe wykroczenia[2]) wywołują nowe srogości.» To też upomina syna, żeby nawet nie pisywał do braci i powtarza: «w bardzo trudnych czasach żyjemy, nie trzeba zapominać o tem». Namawia go,

[1]) Zdzisław Zamoyski zaręczył się pod koniec 1833 z Józefą z Walickich, wdową po Stanisławie Rzewuskim, siostrzenicą Jana Kozietulskiego, bohatera z pod Somo-Sierry.

[2]) Wyprawa Ramoriny.

by poświęcił kilka tygodni na wyuczenie się rachunkowości. Donosi, że Szlubowscy kupili Radzyń[1]), posiadłość x. Adamowej Czartoryskiej za milion złotych. «Jest to za nic,» mówi i dodaje: «może obawa konfiskaty nagliła do sprzedaży». Nareszcie poleca synowi, by mu zdawał regularne rachunki z funduszów powierzonych Jelskiemu, który, zdobywszy sobie jako dyrektor banku warszawskiego dobre imię w handlu europejskim i zaufanie u swoich, założył w 1834 roku w Paryżu dom handlowy.

Pani Zamoyska troszczyła się o podarunek dla przyszłej synowej. Pisze do Władysława: «Wymagania jej są takie skromne, takie proste, że stanowczo odmawia wszystkiego, coby tchnęło zbytkiem, ale do rysunków ma upodobanie. Wystaraj się w Paryżu o parę najładniejszych, jakie będziesz mógł dostać, akwareli.» Zamoyski przesłał matce widoczek Wateleta i «Pocztyliona» Michałowskiego[2]), przytem rad stwierdza, że roboty artysty rodaka są niezmiernie cenione w Paryżu: «Akwarele Michałowskiego płacą się po 400 do 600 fr., najmniejszy szkic nie sprzedaje się niżej dwustu.»

Ślub Zdzisława Zamoyskiego odbył się we Florencyi 6 kwietnia 1834. Wkrótce potem pani Zamoyska wyjechała do Wysocka w blizkości Jarosławia dla odwiedzenia matki. Pod koniec maja pisze z Wiednia: «Przykro teraz jechać do Galicyi, gdyż wskutek wypraw jakichś szaleńców, którzy starali się znowu powstanie wywołać, rząd (austryacki) podwaja surowość i mnóstwo ludzi zacnych i spokojnych pada ofiarą tego szaleństwa. Nie wiedzieć,

---

[1]) W Siedleckiem ze wspaniałym zamkiem, postawionym w pierwszej połowie XVIII wieku przez Eustachego Potockiego.

[2]) Piotr Michałowski (1800—1855), ur. w Krakowie, przed powstaniem pracował pod Lubeckim w wydziale górniczym Królestwa, po wojnie 1831 przez lat cztery poświęcał się w Paryżu z wielkiem powodzeniem malarstwu; wróciwszy do kraju, osiadł na wsi w krakowskiem i oddał krajowi znakomite usługi jako obywatel i przewodniczący w Radzie Administracyjnej W. X. Krakowskiego w 1848.

co o tem myśleć; naprowadza to na dziwne i straszne podejrzenia.»

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Paryż, 20 czerwca 1834.

Miej odwagę niezłomną[1], nie przykuwaj się do przeszłości, znieś, co nieodzowne i patrz zawsze naprzód. Jakichkolwiek nieszczęść doznajemy, jakiekolwiek straty ponosimy, mamy zawsze przed sobą coś zacnego do czynienia, obowiązki do spełnienia, a wszelki obowiązek spełniony jest rozkoszą i pociechą, częstokroć jedyną, ale niechybną. Ty o tem wiesz, ani cię uczyć chcę, ale mi serce mówi, że ci ulgę przyniosę, przymuszając cię do odwagi, do stawienia czoła tym okropnym nieszczęściom.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 1 lipca 1834.

Że Leon utratą dzieci zgryziony, nie dziw, ale że przez to stracił na energii, to źle. Kiedy x. Adam w starszym już wieku stracił jedynego wówczas syna, smutek swój pokonał, by służyć sprawie i nigdy dzielniej nie służył, jak wówczas, podczas sądu sejmowego. Trzeba Leona otrząsnąć, a on niech żonę podźwignie. Oboje mają piękne i wielkie obowiązki przed sobą.

Ciotkę Wirtemberską ściskam serdecznie. Czyżby nie można jej synowi pazurów pokazać? Przecież on teraz wypadł z łaski nawet swego ohydnego kuzyna[2].»

---

[1] X. Leonowa Sapieżyna straciła prawie równocześnie sześcioletnią córkę, Celinę w Karlsbadzie i jednorocznego syna, Włodzimierza, w Zarzeczu.

[2] Cara Mikołaja. Carowa Marya, matka Mikołaja, była bratową x. Wirtemberskiej.

VII

PODRÓŻ DO ALGIERU

PAŹDZIERNIK 1834 — STYCZEŃ 1835

Zamoyski od dawna pragnął osobiście przekonać się, jaki jest los Polaków dobrowolnie lub z przymusu przebywających w Algierze i czy zawiązany tam batalion polski ma warunki rozwoju; pragnął też podnieść na duchu biednych wygnańców. X. Orleanu przyrzekł dać mu rozmaite wskazówki i listy polecające do tamtejszych władz francuskich; w tym celu zaprosił go na kilka dni do obozu pod Compiègne w czasie jesiennych ćwiczeń wojskowych.

Podczas tych odwiedzin Zamoyski spisał jedną z rozmów, jakie wówczas miał z następcą tronu:

«Compiègne, 24 sierpnia 1834.

Mówimy o naszem powstaniu i o tem, że można mu było dopomódz bez ogólnej wojny. Król (Ludwik Filip) nigdy nie wierzył, by się dało co dla nas uczynić, Kazimierz Perier nic uczynić nie chciał. X. Orleanu mówił: «smutna to i bolesna sprawa z jakiejkolwiek strony na nią patrzę». Potem wyrażał zupełne zwątpienie o możności utrzymania ducha w narodzie przy takiem prześladowaniu i tępieniu. Wątpił i o duchu naszych włościan, których miał za niewolników (serfs); pytał, czem może być ich patryotyzm. Powstałem przeciw

zwątpieniu o naszej przyszłości, wystawiałem szkodę czynioną nam przez to zwątpienie, mówiłem o sile wiary naszej i o tej potrzebie ojczyzny, potrzebie niezrozumiałej dla ludów, które ojczyzny nie straciły, a nawet nie były narażone na jej utratę. Xiążę tylko nienawiść do wrogów pojmował; tłomaczyłem, że nienawiść była tylko podrzędnem uczuciem u nas, ale że pierwszem, największem, jedynem jest potrzeba ojczyzny. Przytaczałem przykłady patryotyzmu naszych włościan, wspominałem o powstaniach następujących po sobie a coraz wzrastających w mocy[1]), mówiłem o poczuciu ojczyzny i jej wartości coraz silniejszem, im dalej od chwili utraty tego skarbu.

Mówiłem o legii polskiej, o jej ważności dla Francyi, o umniejszeniu liczby nieczynnych emigrantów, o ożywieniu emigracyi przychylnym duchem ku rządowi, a tem samem zwróceniu całej Polski ku Francyi, o korzyściach w razie wojny europejskiej.

Rozmawiałem też z jenerałem Schneider[2]), prezesem komitetu piechoty i jazdy, o tejże formacyi; pragnie jej. Trudność w chęci izby zmniejszenia kadrów wojska. Tłomaczyłem, że wielka liczba oficerów naszych w stosunku do ilości żołnierzy pochodzi między innemi i stąd, że władze francuskie same na początku zachęcały każdego nieco lepiej wychowanego, by podawał się za oficera dla osiągnienia przynajmniej 45 fr. miesięcznych subsydyów.»

W miesiąc później x. Orleanu ponownie zaprosił Zamoyskiego tym razem do St. Cloud.

---

[1]) Pierwszemu rozbiorowi Polacy żadnego nie stawili oporu; zbrodnia dokonała się wśród pokoju. Po drugim rozbiorze napotkała już Moskwa na bohaterski opór, poznała znowu dawną dzielność polskiego żołnierza; niemniej powstanie w 1794 liczyło zaledwie 20.000 żołnierza i jedna tylko część kraju w niem udział wzięła. W roku 1812 stanęło pod bronią 80.000 żołnierza, ale Wołyń, Podole, Galicya nie ruszyły się. W 1831 przeszło 100.000 ludzi z wszystkich części dawnej Polski walczyło o niepodległość. (W. Z.)

[2]) Antoni Wirgiliusz Schneider (1779—1846), minister wojny 1839—1840.

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 29 września 1834.

...Odmówić xięciu niepodobna, ale to rozpacz, choć rzecz sama w sobie dobra. Zasłabłem też od kilku dni, zbyt się przepracowałem w czasie ogromnych upałów; ta choroba również mnie w rozpacz wprowadza, bo mi pracę opóźnia a skończyć muszę przed wyjazdem.»

Rozpacz tem się tłomaczy, że Zamoyski przed udaniem się do Algieru zamierzał zboczyć do Niemiec, by matce, powracającej z kraju do Florencyi, towarzyszyć przez część drogi. W miarę jak się zbliżała chwila tego spotkania, cierpiał na każdem opóźnieniu. Ostatecznie wyjechał 8 października z Auteuil, gdzie przy wuju przebywał u x. de Beauveau[1]).

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Carlsruhe, 12 października 1834, szósta rano.

Podróżowanie w Niemczech tak jest powolne, że mam czas dwa słowa napisać; rad jestem przesłać serdeczne podziękowanie za okazaną mi dobroć w dzień wyjazdu. Przyzwyczajony jestem do niej, a jednak ilekroć jej doznaję, budzi we mnie największą wdzięczność. Szczęśliwym się czuję, kiedy Wuj uważa, że mu się na coś przydać mogę, bo to jest jednem z najżywszych moich pragnień, odkąd jestem na świecie.

Nie czuję najmniejszego zmęczenia, choć już trzecią noc spędzam w tych niemiłosiernie krótkich koczach; trapią mnie tylko nieustanne tutejsze popasy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Monachium, 17 października 1834.

Pobyt tu naprowadza mnie na ciekawe wnioski co do przyszłości państwa austryackiego. Takie sprzeczne dążności rozwijają się w niem, że z czasem niechybnie

---

[1]) X. Karol de Beauveau-Craon (1793—1864), senator za drugiego cesarstwa; ożeniony 1° v° z córką x. Antoniego de Praslin, 2° v° z Ludwiką Komarówną, siostrą Delfiny Potockiej.

rozpaść się musi na odłamy, z których każdy ma już swój plan i swego upatrzonego naczelnika. Czechy wahają się, czy przystaną do Niemiec czy do słowiańskiej konfederacyi. Następca tronu tak jest słabowity, że nie rokują mu i dziesięciu lat życia. Drugi z rzędu, Ferdynand[1]), jest ogólnie nielubiony. Polityka gabinetu całkowicie oddana Moskwie ze strachu przed prądami Zachodu. To samo można powiedzieć o drobnych państwach Rzeszy.

Pani de Vaudreuil[2]) twierdzi, iż lekarz towarzyszący Annie[3]) do Ems opowiadał tam, że był jej podsunięty przez przeciwników Wuja (demokratów) dla śledzenia jej kroków. Co do mnie, choć uważam, że to rzecz nikczemna, nic mi ona nie zawadza. Raczej cieszę się z tego. Mam przekonanie, że tacy ludzie powinni przypatrywać się nam z tak blizka, jak im się podoba.»

Zamoyski spotkał się z matką w Salzburgu i odwiózł ją do samej Florencyi, do której jednak i tym razem nie wstąpił, by ojca nie narażać. Następnie udał się do Tulonu; w drodze przyłączył się do niego Bernard Potocki.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Tulon, 8 listopada 1834.

Jutro z Bernardem wsiadamy na parowiec «le Crocodile», obiecują nam, że w trzech dniach staniemy w Algierze. Na statku parowym podobno nie sposób pisać z powodu trzęsienia, będę przecież próbował. Słyszę ze smutkiem, że Wuj kochany znowu niezdrów. Boże mój, zachowaj nam to zdrowie i te siły, które są naszem życiem, naszym kierunkiem jedynym, naszą nadzieją a mojem w szczególności szczęściem.»

---

[1]) Późniejszy cesarz Ferdynand I (1793—1875), panował 1835—1848.

[2]) Żona hr. de Vaudreuil, posła francuskiego w Monachium.

[3]) X. Adamowa Czartoryska.

Z Tulonu pisał Zamoyski do Hipolita Błotnickiego[1]), o przysłanie mu kilku książek i pism, któreby mogły rodaków w Algierze ucieszyć. Prosi o «dwa egzemplarze «Pana Tadeusza» starannie oprawne w warsztacie x. Ogińskiego[2]) z wybiciem na okładce adresu rękodzielni» i o kilka numerów «Kroniki emigracyi polskiej».

Władysław Zamoyski do matki:

«12 listopada 1834, dopływając do Algieru.

Dziś spodziewam się wylądować w Algierze po przeszło czterodniowej przeprawie dość nudnej. Mieliśmy przez cały czas wiatr wprost przeciwny tak, iż prócz parowego żaden inny okręt nie byłby mógł opuścić Tulonu. Po pierwszym dniu oswoiłem się z morzem dosyć, żeby nie stracić zupełnie tego czasu. Wczytałem się w Algier doskonale, wybadałem towarzyszów podróży znających ten kraj tak, że dalszą podróż odbędę z korzyścią. W Tulonie zastałem list x. Orleanu, polecający mnie gubernatorowi Algieru[3]). Nie wątpię, że list ten, zapewniający mi wszelkie udogodnienia na czas pobytu w Algierze, sprawi przyjemność Matce, ale może zaniepokoi ojca. Spostrzeże w nim ślad tego, czego się dla mnie obawia, znajdzie dowód, że ludzie wiedzą, iż jestem zajęty losem moich towarzyszy niedoli. Ufam jednak, iż spostrzeże zarazem, że mnie to nie potępia w oczach królewicza i rządu, przeciwnie. Zresztą nie Matce to potrzebuję tłomaczyć, że nie mógłbym i pojąć dla siebie życia, któreby się nie wiązało ze służbą rodaków. Alboż ojciec kiedy inaczej postępował?

---

[1]) Hipolit Błotnicki (1795—1886), nauczyciel Juliusza Słowackiego, następnie synów i wnuka x. Adama Czartoryskiego. W 1831 porucznik legii litewsko-ruskiej, przez wiele lat sekretarz Towarzystwa dobroczynności pań polskich w Paryżu.

[2]) X. Gabryel Ogiński (1784—1842), członek rządu powstańczego na Litwie w 1831, na wychodźtwie założył introligatornię, pod koniec życia prosił o amnestyę. Umarł w Wilnie.

[3]) Jenerał Jan hr. Drouet d'Erlon (1765—1844).

Komendant statku wojennego, którym płynę, kapitan Janvier, jest nader przyjemnym człowiekiem. Najstarszy po nim oficer, stary wilk morski, bardzo zabawny. Oprócz niego i mnie zasiada do stołu wraz z komendantem pułkownik piechoty, który odbył wojnę hiszpańską z Chłopickim. Wielce mi będzie pomocny w Algierze, gdzie pułk jego stoi. Obznajmia mnie z całą służbą, jakiej tam od wojska wymagają. Bernard jada ze sztabem; porównujemy jego informacye z mojemi.

Widok Afryki pyszny; brzeg wysoki, na oko żyzny, za nim w odległości ośmiu mil wznosi się pasmo gór Atlasu. Myśl moja zwraca się od tych wybrzeży ustawicznie ku miłym chwilym, które dopiero przy Matce przepędziłem. Bogu za nie dziękuję, a jednak serce krwawi i nie jest zaspokojone.»

Gubernatora, hr. d'Erlon, zastał Zamoyski za wylądowaniem obłożnie chorym; przyjął go tymczasowy dowódca korpusu okupacyjnego w Afryce, jen. Voirol [1]), znajomy z pod Antwerpii, z którym niejednokrotnie wymieniał listy o potrzebach i życzeniach polskich legionistów. « Napotykam tu wiele uprzejmości », pisze Zamoyski, «a najwięcej przyczynia się do tego jen. Voirol; nastroił widocznie jenerała Rapatel [2]), który go ma w Algierze zastąpić, gdyż i ten wyraża się przychylnie o Polakach. Jen. Trézel [3]), szef sztabu tutejszej armii, przy którym Chrzanowski mógłby uchodzić za Apollona belwederskiego, też przychylny dla nas. Jest to człowiek światły, zdolny; przez niego najdokładniej się obznajmiam ze stanem rzeczy w Afryce.»

Polski batalion, cel podróży Zamoyskiego, znajdował się wówczas w Oranie. Zamoyski nie od razu mógł się doń dostać. Na przeszkodzie stanęła mu grasująca

---

[1]) Baron Teofil Voirol (1781—1853).

[2]) Baron Ludwik Rapatel (1782-1852), naczelny dowódca wojsk francuskich w Algierze 1834.

[3]) Kamil Alfons Trézel (1780—1860), minister, par Francyi.

w Oranie cholera, z powodu której nie byłby mógł stamtąd wrócić do Algieru bez odbycia kwarantanny i to nie w Afryce, ale aż w Tulonie, dla braku odpowiednich urządzeń na miejscu. Usilnie zaś pragnął, po odwiedzeniu polskiego batalionu, rozmówić się o nim z życzliwym dla nas hr. d'Erlon. Z przymusowego pobytu w Algierze skorzystał dla obeznania się z ludźmi i krajem.

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Algier, 25 listopada 1834.

Domyślicie się, że moja podróż nie ma na celu zaspokojenia próżnej ciekawości. Nie jestem jednak obojętny na nowość i osobliwość tego miejsca. Pierwszą rozkoszą powietrze niewypowiedzianie miłe w tej porze roku, jakby czerwcowa pogoda z deszczem od czasu do czasu. Ziemia potrzebuje tego deszczu dla odzyskania zieloności po letnich upałach, które tak niszczą tu roślinność, jak zima gdzieindziej. Listopad i grudzień są tu wiosną. Jednakowoż niektóre rośliny dzielnie przetrzymują skwary letnie; miejscami brzegi zielenią się dębami, drzewem wawrzynowem, oliwkowem, pomarańczowem, rozmarynem i wielu innemi, których nazwisk nie znam. Gdzieniegdzie widać palmy, banany; w godzinach południowych bije z całej tej roślinności ta nieokreślona woń, którą my napotykamy w naszych cieplarniach. Niesłychana mnogość kaktusów i aloesów szpeci widok, jednak na ogół okolice Algieru są piękne i wesołe. Miasto oparte jest o wysokie wzgórze, wystające nad obszerną zatoką. W tyle spostrzegać się daje piękny łańcuch Małego Atlasu, na wschód i zachód od Algieru piętrzy się nad samym brzegiem morskim, jak okiem sięgnąć. Dokoła Algieru Francuzi są w spokojnem posiadaniu dziesięciomilowej przestrzeni górzystej. Poza nią ciągnie się aż do stóp Atlasu obszerna dolina zwaną Metydżą. Pobyt w niej niebezpieczny tak z powodu zabójczej febry, panującej tam przez dobre pół roku, jak z powodu

Arabów rabusiów[1]). Rolnictwo w takich warunkach nieponętne, prawie niemożliwe. Niektóre plemiona koczownicze trzymają się w obrębie francuskiej posiadłości, ale takich jest mało. Piliśmy u nich mleko i jedliśmy placki na ich sposób pieczone. Inne plemiona, poza tym obrębem, mają z Francuzami stosunki na wpół przyjacielskie. Odwiedziliśmy je podczas targu, który się co tydzień odbywa na środku Metydży i w Buffarik. Było tam do 2.000 Arabów z bydłem, końmi i nędznemi towarami. Towarzyszyła nam straż «honorowa», złożona z dwóch szwadronów, a sądząc po wyrazie twarzy Arabów, nie była zbyteczną. Nie przeszkadza to Francuzom głosić, że Arabowie nie żywią względem nich nieprzyjaznych zamiarów. To najgorsze, że ta ludność ma złych doradców i zapamiętałe upodobanie do wojny podjazdowej oraz rabunków.

Francya zajmuje również kilka punktów wzdłuż wybrzeża; najgłówniejszemi są: Bône, Bougie, Oran, miasta jako tako obronne, w każdym razie dostatecznie zabezpieczone przeciw tubylcom. Poza mury tych miast Francuzi mało wychodzą i tylko zbrojno.

U was tam śnieg i zimno, a ja tu przy otwartem oknie cieszę się ciepłem po niedawno doznanem zimnie w Alpach. Algier szczyci się wśród Arabów sławą miasta rozkoszy. Dla nas te rozkosze ograniczają się do klimatu; poza tem trudno pojąć, na czem mogą polegać w tym bezładnym natłoku domów, poprzedzielanych uliczkami tak wązkiemi, że nawet człowiek tego wzrostu, co Chrzanow-

---

[1]) Wyprawy korsarskie Arabów algierskich stały się od połowy XVI stulecia to jest od chwili przejścia Algieru pod panowanie tureckie plagą wybrzeży morza Śródziemnego, a nawet Atlantyku i Północnego morza. Hiszpania, Holandya, Anglia a szczególniej Francya za Ludwika XIV kilkakrotnie próbowały ukrócić te rozboje, ale nadaremnie. Dopiero 12 czerwca 1827 flota francuska pod dowództwem admirała Dupré blokowała miasto Algier, a 5 lipca 1830 dej Algieru poddał się i Francya opanowała to miasto; zanim jednak zdobyła całą prowincyę, minęło pół wieku.

ski, nie mógłby się na nich swobodnie wyciągnąć. Światło dzienne pada na nie tylko od czasu do czasu, a zamieszkane są przez ludzi najbrudniejszych, jakich kiedykolwiek widziałem: białych, czarnych, mulatów. Wszystko to wrzeszczy, kłóci się na zabój, a tyle wierzy w Mahometa, ile w Paryżu wierzą w Chrystusa. To też demoralizacya przechodzi tu wszelką miarę i przypomina opisy miast skazanych na zagładę w księdze Rodzaju.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Bougie, 4 grudnia 1834.

Trafiła mi się sposobność odbycia podróży do Bône, na wschód od Algieru, wraz z jenerałem Monck-d'Uzer,[1]) dowodzącym na tym punkcie. Jenerał był nad wyraz uprzejmy, wszystko nam ułatwił, by w trzech dniach poznać ten punkt i ocenić jego korzyść i niedogodności. Nie dość na tem. Potrafił w tak krótkim czasie urządzić dla nas bardzo ładne polowanie na dziki, a o włos, żeśmy nie pojechali szukać ściganego od niejakiego czasu tygrysa, co tak blizko morza już dzisiaj rzadkie. Dzików sam ubiłem trzy, wszystkiego ubito ośm, prócz innej zwierzyny. Polowanie to jest bardzo zabawne. Na ogromnym stepie, zarośniętym wysokiem zielem, teraz suchem, w kilkadziesiąt koni ściga się dzików po jednemu chartami. A kto na lepszym koniu bliżej dosięgnie dzika, ten do niego strzela w pędzie z konia, albo też, gdy go psy osadzą, do stojącego, z wielką ostrożnością, żeby chartów nie zastrzelić. Bernard Potocki, choć niewielki myśliwy, także zabił dzika i szakala.

Między głównemi ciekawościami tej okolicy są zwaliska Hippony, stolicy św. Augustyna, gdzie wspominałem Matkę kochaną i domyślałem się, że będzie rada, iż odwiedziłem to święte miejsce. Najlepiej zachowane są

---

[1]) Ludwik wicehrabia Monck-d'Uzer (1777—1840) odznaczył się w Hiszpanii 1809 i 1813.

tam ogromne cysterny, dzieło Rzymian. Bône jest w dzisiejszych posiadłościach Francyi w tej stronie punktem najbardziej zajmującym z powodu przychylności Arabów. Mimo różnicy wiary przekładają oni rząd Francuzów nad turecki. A że tu o 140 km. ku południowi od Bône, w Konstantynie, bej turecki, były namiestnik deja algierskiego, dotąd się sprzeciwia władzy francuskiej, przeto Araby mają sposobność pokazania, kogo chcą słuchać i komu służyć. Dnia 20 z. m. tysiąc Turków konstantyńskich wybierało w okolicy Bône daniny od Arabów i rabowało. Jenerał d'Uzer napadł ich znienacka i tak nieprzygotowanych, że ich trupem położono przeszło dwustu i dwunastu wzięto w niewolę. Ze strony Francuzów padło tylko dwóch Arabów, będących w ich służbie.

Do ciekawości Bône należy dowódca dwóch szwadronów Arabów w służbie francuskiej. Są to jakby kozaki arabskie, wcale dzielne. Dowódca, rodem Francuz, ale dzieckiem schwytany na morzu i u dworu beja w Tunisie wychowany na muzułmanina. Śliczny mężczyzna, odważny, zręczny, pełen fanfaronady wschodniej. U dworu tunetańskiego wpadł w oko córce beja. „Jakie stąd przygody wynikły, on jeden potrafi powiedzieć, ale o mało nie były jego zgubą. Uciekł przed zemstą beja, jakby cudem. Znany jest na całem wybrzeżu afrykańskiem pod nazwą Jussuffa[1]). W ostatniem spotkaniu on sam ze swymi Arabami najwięcej się przyczynił do zwycięstwa i nielitościwego mordowania rozbitych.

Objeżdżając okolice, mieliśmy raz dla dalszej przejażdżki eskortę, ale z samych Arabów złożoną. Jeden

---

[1]) Jussuff-bej (1807—1866), zwycięzca Abd-el-Kadera pod Tlemcen 1838, bej Konstantyny, zdobywca pod jenerałem Bugeaud prowincyi orańskiej. W 1845 przyjął w Paryżu chrzest, otrzymał stopień jenerała francuskiego i ożenił się z córką jenerała Guilleminot, byłego ambasadora Francyi w Konstantynopolu. Podczas wojny krymskiej dowodził oddziałami ochotniczemi.

z nich służył nam za tłomacza. Wstąpiliśmy do osady jednego plemienia. Przyjęto nas z radością. Musieliśmy przyjąć śniadanie: mleko, suchary i kaszę pszenną doskonałą z cebulą i z masłem. Nazywają ją tu kuskusu. Jedliśmy pod obszernym namiotem z burej wełnianej materyi. Siedzieliśmy w środku. Po jednej stronie przy nas stały dwa konie, uwiązane za nogi a, wyciągając szyję, dzieliły się z nami kuskusem. Z drugiej strony był namiot kobiet, które tu mają twarze odsłonięte, ale na nie obyczaj nie każe patrzeć. Słowem, zdaje mi się, że, choćby się i znalazł Wacław Rzewuski[1]), jużby mnie niczego nie mógł nauczyć o tutejszych okolicach i zwyczajach.

Wracając do Algieru, wstąpiliśmy tu do Bougie, na dwadzieścia cztery godzin. Punkt ten jest co do usposobienia mieszkańców wręcz przeciwny od Bône. Tu osada francuska dwutysięczna zamknięta jest w swoich szańcach i nie bez trudności i straty znosi nieustanne prawie napady Kabylów, górali afrykańskich, dzikich i zawziętych. Francuzi tracą tu bezskutecznie ludzi i pieniądze. Niestety, cała ta posiadłość afrykańska nie pokazuje dotąd w jasnem świetle ani charakteru ani zdolności rządu i narodu francuskiego. Cóż to za brak zasad, najprostszej uczciwości i rozumu! My ubolewamy nad naszemi nieudolnościami, nad brakiem cnót i nieodzownych zdolności, a toż my święci i mądrzy w porównaniu z tem, co tu widać. Co z tym narodem będzie, — a co z nami?»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bougie, dnia 4 grudnia 1834.

Doniosłem Wujowi kochanemu o naszej przejażdżce do Bône. Ta strona Afryki od dawna mniej dzika z po-

[1]) Wacław Rzewuski (1765—1831), znany na Wschodzie jako emir Tadż-el-Faher, kilka lat spędził w Arabii, skąd sprowadzał stada koni do swego majątku Sawrania na Ukrainie. Na wieść o powstaniu listopadowem wyruszył ze swymi kozakami do boju, wziął udział w nieszczęśliwej bitwie pod Daszowem (14 maja 1831), gdzie zginął nie wiadomo czy zabity przez chłopa, czy przez własnego kozaka.

wodu, że tam w blizkości były osady: francuska w Port de la Calle i genueńska Port Génois, które oswoiły i handlem przynęciły mieszkańców. Nakoniec władza francuska, w szczęśliwszych zostając rękach, nie splamiła się tam od początku okupacyi żadnemi zbrodniami krwawemi i gwałtami, jak to było na innych punktach a przecież i tam, jak się przekonaliśmy, nie sama cnota rządzi, ani bezinteresowność nieograniczona.

Główna trudność na tym punkcie pochodzi z niezdrowego klimatu a wielka szkoda, bo inaczej kraj ten ze wszech miar byłby łatwiejszy i do obrony i do uprawy i dla handlu więcej obiecujący. Ale gorączki są prawie nieustanne. Po kilkodniowym wietrze południowym liczba chorych w szpitalu i w mieście podwoiła się. Należy o tem pamiętać. Kiedy nas chcą używać do stałego pobytu w Afryce, niechże nam dadzą jakieś rękojmie, że do mniej zdrowych osad używać nas nie będą; powtóre, niech nam zapewnią, tak jak żołnierzom francuskim, prędkie przewożenie chorych do Francyi na wyleczenie. Znalazłem w Bône młodego doktora Worms[1]), który był u nas (w 1831); dostałem od niego niektóre liczby szpitalowe ważne a dostanę więcej. Jest przy szpitalu wojskowym i dobrze widziany.»

Wobec wypadków cholery raz po raz powtarzających się w Oranie zniknęła nadzieja prędkiego zniesienia kwarantanny. Zamoyski, nie chcąc dłużej zwlekać odwiedzenia polskiego batalionu, wyrzekł się zamierzonego powrotu do Algieru i 12 grudnia 1834 puścił się morzem z Bernardem Potockim w drogę do Oranu.

Polska formacya, która tak żywo Zamoyskiego obchodziła, że dla odwiedzenia jej podjął długą i w owym czasie kosztowną podróż, powstała pod koniec 1832 w samym

---

[1]) Mayer-Goudchaux Worms, ur. 1807 w Metz, lekarz wojskowy w Afryce 1833—1840, naczelny lekarz armii francuskiej 1852—1867.

Algierze za namową i pod kierunkiem majora Horaina[1]). Horain wskutek wychowania za granicą mniej od innych krępował się poglądami rodaków i ich postanowieniem niesłużenia w wojsku francuskiem poza granicami Francyi; na pierwsze przeto wezwanie rządu zgodził się na wstąpienie do legii zagranicznej, żadnych nie stawiając trudności. Za jego radą i przykładem poszło dwudziestu dwóch oficerów i trzydziestu trzech żołnierzy z zakładu w Lunel. «Ogóły» i «komitety» zarzucały Horainowi i jego towarzyszom, że zrywają jedność emigracyi, groziły pojedynkami, klątwami itp. Zamoyski znajdował przeciwnie, że krok Horaina był śmiały, energiczny, pochwały godzien.

Mała liczba ochotników przybyłych z zakładu w Lunel nie wystarczała na utworzenie odrazu kompanii polskiej. Utworzono takową dopiero w następnym roku, dołączając znaczną ilość żołnierzy, którzy uciekli z pułków pruskich. Gdy liczba ochotników wzrosła do blizko czterystu, powstały cztery kompanie; wysłano je do Bougie, gdzie toczyły się wówczas walki z Arabami. Tam, w rozmaitych potyczkach, odznaczyli się nasi. Trzech oficerów i pięciu podoficerów otrzymało krzyże wojskowe. Następnie oddziały polskie przeniesione zostały z rozkazu ministra wojny do Oranu, gdzie utworzono jeszcze dwie kompanie z dwustu dwudziestu Polaków przybyłych z Harwich. Było zatem wogóle kompanii sześć, składających niekompletny batalion czwarty, a dowódca legii,

---

[1]) Tadeusz Horain (1804—1839), rodem z województwa płockiego, nauki pobierał w Paryżu; kapitan 17 p. piechoty liniowej i adjutant jen. Różyckiego 20 czerwca 1831, otrzymał krzyż «Virtuti militari» po bitwie pod Opatowem 20 lipca 1831, major przy sztabie głównym 25 września 1831. W legii zagranicznej dowódca batalionu od 23 sierpnia 1832, ozdobiony legią honorową po bitwie nad brzegami Makty 22 lipca 1835, umarł w szpitalu w Bougie 26 maja 1839, wskutek ran odniesionych pod murami Gigelli. Jeden z przednich szańców tej twierdzy otrzymał jego nazwisko.

pułkownik Bernelle, miał nadzieję dojść wkrótce do ośmiu to jest do kompletnego batalionu. Szefem batalionu pozostał Horain, oficerami byli po większej części Polacy[1]). Między żołnierzami znajdowało się trochę Czechów, Morawczyków, Słowaków; włączono ich do batalionu, mniemając, że mają coś pokrewnego z Polakami. Była nawet garstka Niemców; z tymi, jak świadczą ówczesne listy, nasza «wiara» zgodzić się nie mogła.

Władysław Zamoyski do matki:

«Oran, 14 grudnia 1834.

Stanęliśmy tu wczoraj. Port tutejszy jest o 8 km. stąd w Mers-el-Kebir. Na samem wylądowaniu napotkaliśmy zaraz twarze, którym mundur obcy nie odjął cechy dobrze nam znanej. Byliśmy jeszcze na morzu, a już nas zdaleka witano. Po nazwiskach sądząc, myślałem, że nie znam tu żadnego oficera, aż tu nieledwie każdy mnie znał albo z boju albo dawniej jeszcze. Inni znowu są rodem z Maciejowic lub ordynacyi. Co krok żołnierz któryś mnie wita, to z pułku 1 ułanów, to z 5 lub innych. A żołnierze to są istotni w mundurach i z bronią, nie tak jak nasi teraz wszędzie z kijem i torbą! Zamek w Mers-el-Kebir zajęty jest przez trzy kompanie polskie, mimo przepisu, który wyklucza oddziały wojsk nie francuskich od zajmowania miejsc oszańcowanych. Miło mi było nad wyraz, gdym u bramy zamku, niegdyś hiszpańskiego, ujrzał naszego żołnierza na warcie, dalej dowódcę warty podoficera z krzyżem naszym[2]). Opadli nas natychmiast zewsząd, rzeczy por-

---

[1]) Oficerów było wogóle 24, z tych 16 Polaków.

Podofic.	„	„	40,	„	29	„
Kaprali	„	„	49,	„	34	„
Kapitanów	„	„	6,	„	1	Polak

[2]) Był to zapewne Józef Krzeczkowski, o którym Zamoyski mówi w współczesnych zapiskach: «Krzeczkowski, podoficer w batalionie polskim, ozdobiony krzyżem, dawniej w pułku 1 strzelców kon-

wali i nie puścili dalej. Swoim obiadem: barszczem, pieczenią huzarską i naleśnikami częstowali i przetrzymali na noc u siebie tak, że dziś dopiero tu stanęliśmy i poznali komendanta, jenerała Desmichels[1]). Jego żona jest Wielkopolanka, wychowanica pani Mycielskiej, dziś już niemłoda, bardzo przyzwoita i uprzejma, a Polka zapalona[2]). Jenerał też uprzejmy; gubernator uwiadomił go, że płynę do Oranu, by się poznać ze stanem batalionu polskiego i że misyę tę wypełniam ze zgodą rządu.

Jest tu także trzydziestu polskich wygnańców cywilnych na żołdzie francuskim. Jeden z nich, oficer czwartaków, po wojnie znalazł zatrudnienie u Konstantego w ordynacyi, musiał jednak wkrótce schronić się do Austryi, skąd go wysłali do Ameryki. Tu przybył temu trzy miesiące. Nasz batalion liczy do sześciuset ludzi. Moje przybycie, zdaje się, jest im przyjemne. Są trochę znudzeni i słabego ducha, bo też nikt i nic im tu ducha nie dodaje. Nie czują ważności i wartości swego działania i położenia. W tem uczuciu jedynie mogliby znaleźć środek przeciw tęsknocie, na którą cierpią. Jak zwykle żołnierze, chcieliby mieć innego dowódcę, niż tego, który jest. Doskonałej sławy używają wszędzie, gdzie tylko byli w tych stronach. Jenerał bardzo im przychylny.»

---

nych, opowiada mi o radości, jaką powstającej w 1806 młodzieży naszej w kraju sprawił widok rodaków z Dąbrowskim przybyłych i ze służbą wojenną już obeznanych. Wiarus prosty, ani czytać nie umie, ale pełen roztropności.» (W. Z.)

[1]) Ludwik baron Desmichels (1779—1845) odznaczył się w wojnach napoleońskich, komendant w Oranie 1833—1834, usunięty z tego stanowiska, na żądanie hr. Drouet d'Erlon, pod zarzutem sprzyjania Arabom ze szkodą Francyi; od 1835 nadzorca jazdy.

[2]) Julia z Gruszczyńskich baronowa Desmichels, wychowanica nie Mycielskich, ale Mielżyńskich z Chobienic. Poznała i poślubiła jenerała Desmichels podczas pochodu wojsk francuskich przez Polskę w 1806. Bardzo była poważana przez Napoleona I, który jej piękność podziwiał.

W chwili gdy Zamoyski przybył do Oranu, jenerał Desmichels miał właśnie odbywać inspekcyę wojska pod jego rozkazami będącego. Zamoyskiego zaprosił do towarzyszenia mu w tej inspekcyi. Wypadła ona dla polskiego batalionu jak najlepiej. Jenerał Desmichels nie mógł się go nachwalić pod względem służby, postawy, przykładnego prowadzenia się żołnierzy. Zapowiedział pochlebne sprawozdanie do ministra i przyrzekł uwzględnić w niem uwagi Zamoyskiego, szczególnie co do potrzeby zamianowania polskich kapitanów. Zamoyski wyniósł z inspekcyi wrażenie korzystne.

W ówczesnych listach do x. Adama[1]) pisze: «Praca, jaką im zadają przy budowie dróg, lekka i zabiera zaledwie trzy godziny dziennie. Nasi traktowani na równi z Francuzami, a może i lepiej. Dość że pod względem materyalnym nie mają na co narzekać. Pod względem wojskowym są wyśmienici, celujący. Mnie tak witają, że mi i miło i gorzko się robi. Nieboracy smutni są, może dlatego, że nie dość dotychczas liczni, że rzadko im kto powie o ważności ich stanowiska i o pożytku ich poświęcenia[2]). Ten batalion jest jeszcze jakby martwym materyałem, z któregoby dopiero coś odpowiedniego zrobić trzeba. Monotonia niekorzystna, lepiejby służyła wojna. Dla wojskowych cóż lepszego, jak te utarczki z Arabami, w których ostatecznie ledwo dwóch na stu rocznie ginie. Trudno będzie naszych wiarusów ustrzedz od nudów przy długotrwałym pokoju. Brak ducha,

---

[1]) Z 29 grudnia 1834 i 2 stycznia 1835.

[2]) Józef Tański, oficer polskiego batalionu, pisał z Oranu 1 stycznia 1834: «Jedynie przykrą tu rzeczą dla żołnierzy jest odosobnienie i niemożność zrozumienia urządzeń francuskich, które zostawiają znaczną swobodę żołnierzowi, nasi zaś przyzwyczajeni byli do nieustannej opieki przełożonych. Tak samo i podoficerowie mają tu więcej władzy i powagi, niż w innych armiach, jednak gdy nie znają swych obowiązków, podwójnie bywają karani. Położenie oficerów jest najmniej korzystne; nie mają znaczenia, jakiem się cieszą gdzieindziej.»

którzyby ich ożywiał, przypisuję w części nieumiejętnemu doborowi oficerów zbyt młodych, bez uroku w oczach żołnierzy, nie umiejących mówić do nich o niczem poza służbą. Może też być, że tę posępność żołnierzy trzeba przypisać zasadzie, jaką się ich komendant Horain rządzi i że coś jest w tem jego winy.

Jest to człowiek bardzo dobrze wychowany, ale wychowanie jego zupełnie francuskie. Polski nie zna, to, co polskie, jest dla niego obcem, na imię ojczyzny nic się w nim nie odzywa, ani wspomnienie, ani nadzieja. W sprawach dotyczących Polski wygląda obojętny, a może tylko nieśmiały, bo nie obeznany i nie dość zasłużony. Wszystko bierze tylko na rozum i każdą rzecz o tyle dobrze czyni, o ile można dobrze czynić to, w czego pożyteczność się nie wierzy i do czego serca się nie przykłada. Zimny, suchy, dla podkomendnych przyjemny nie jest. Ma zalety i wady w rodzaju Prószyńskiego, może jeszcze bardziej sztywny i ostry, ale zdolny, zapobiegliwy, ma swoją wartość. Trzebaby mu być bardziej Polakiem, wówczas byłby doskonałym. Być może, że właśnie dlatego, że jest na wpół Francuzem, lepiej dogadza swoim zwierzchnikom. Byłby doskonałym pod rozkazami Polaka, przejętego ważnością zadania na takiem stanowisku. Horain uważa, że powinien zamilczać polskie uczucia i ściśle się zamykać w obowiązkach oficera francuskiego, że, jakkolwiek Francuzi życzliwie się z nami obchodzą, nam nie wypada zapatrywać się na służbę w ich wojsku ze stanowiska czysto polskiego, że powinniśmy stawiać interes francuski na pierwszem miejscu.

Bądź co bądź, utworzenie polskiego batalionu jest niemałą zasługą i Horainowi należy się za to szacunek każdego Polaka. On mówi wyraźnie, że nie własną korzyść, ale polską formacyę ma na celu a żołnierze, nawet podoficerowie, zdają się o tem nie wiedzieć; nie lubią go, chcą się na nim zemścić, opuszczając gromadnie batalion po ukończonych trzech latach. Nie domyślają

się, że Horain przyjęty będzie do wojska francuskiego z dniem, kiedy zabraknie Polaków pod jego komendę. Niema Francuza, któryby go nie uważał za najlepszego szefa batalionu w tutejszem wojsku. Był już podany na podpułkownika. Opuszczenie batalionu przez Walewskiego, Stadnickiego, Tańskiego nasuwa myśl, że ten batalion, niby polski, traci swą odrębną cechę. Rozkaz tyle razy zapowiadany przez marszałka Soult, żeby oficerowie byli wyłącznie Polacy, wcale tu nie doszedł a w każdym razie nie był wykonany. Trzeba, żeby xiążę (Adam), nim którego Polaka poleci na kapitana, otrzymał od kandydata słowo, że Horainowi ulegać będzie nie tylko przed frontem, ale i poza frontem. Rządu zaś uwagę trzeba zwrócić na to, że, jeżeli nasi żołnierze się zniechęcą i służbę opuszczą, rząd będzie musiał znowu umieszczać ich po zakładach, co wynosi przeciętnie 500 fr. rocznie na głowę; w wojsku wydatek na nich wiele mniejszy. Ten argument powinien trafić do przekonania.

Ale jak ducha wzniecić wśród odrętwiałych umysłów? Na to jednogłośnie odpowiadają mi, żebym sam się do legii zaciągnął. Pomijając, co w tem mojej miłości własnej pochlebia, nie mogę zaprzeczyć, że jest w tem i coś prawdy. Mało czyni, kto sam siebie nie daje sprawie, którą popiera. Chcąc coś pożytecznego uczynić, trzeba się zespolić ze swojem zadaniem. Czuję, że mój osobisty udział w tej polskiej formacyi miałby swoje znaczenie; nie chcę tedy stanowczo odmawiać. Skądinąd, wyznaję, że nieznośnie byłoby mi narażać się na zarzut, jakiby mnie niechybnie spotkał, że moje usiłowania miały osobisty interes na celu[1]), podczas gdy w moich oczach objęcie dowództwa nad tą garstką ludzi,

[1]) Zamoyski nie był jeszcze powrócił do Paryża a 20 stycznia 1835 Niemcewicz zapisuje w swoim dzienniku: «Słowaczyński głosi, że Władysław Zamoyski wpadł w służbę francuską, naturalizował się Francuzem pod obowiązkiem, że emigrantów polskich do Algieru przeniesie.»

i to w czasie pokoju, byłoby największem poświęceniem. Gotówem zawsze służyć i pomagać, byleby nie brać na siebie jakiegokolwiek dowództwa. Dotychczas jednak nie przekonano mnie, abym miał być środkiem zaradczym na wszystkie niedostatki tej formacyi, ani też wiem, czyby rząd rad mnie w niej widział. W każdym razie o tyle tylko puściłbym się na to, o ile byłbym przekonany, że to istotny obowiązek. Nie byłoby to przyjemnością, ale gdzieby teraz przyjemność być mogła! Nie chciałbym też sam za siebie o tem stanowić, uczyniłbym to tylko na rozkaz Wuja [1]).»

O stosunkach władz francuskich w Oranie do miejscowej ludności Zamoyski wspomina w listach do rodziny:

«grudzień 1834.

Gdy jenerał Desmichels przybył do Oranu w maju 1833, zastał miasto otoczone przez niezliczonych Arabów; nie dozwalali oni Francuzom wyjść na krok poza mury. Trwało to od lat dwóch. Jenerał Desmichels w ośm dni po przybyciu zrobił z częścią garnizonu wycieczkę na nieprzygotowanych Arabów i poraził ich na głowę, zatem poszły inne utarczki, w których zawsze był zwycięzcą. Opanował dwa nadmorskie miasta: Arzew i Mostaganem. Jednocześnie, znudzony walką z hordami, które nie stawiały dosyć oporu, by je mógł ostatecznie pokonać a ciągle na nowo powstawały, — jeżeli nie z tą samą śmiałością, to zawsze z równą nienawiścią, — okazywał gotowość do zawarcia z niemi pokoju i, o ile to na wojnie możebne, zachował wobec nich ludzkość i prawość wielką. Zawarcie pokoju przedstawiało jednak pewne trudności, gdyż Arabowie nie mieli stałego rządu i często sami między sobą prowadzili wojnę. To też jenerał, upatrzywszy na-

---

[1]) Inny jeszcze wzgląd odstręczał Zamoyskiego od służby w Algierze, jak to widać z jego listu do Alberta Grzymały (9 sierpnia 1832): «Wolałbym Oporto od Algieru, szczególnie dla sposobu, w jaki Francuzi wzięli się do opanowania tego kraju i dlatego, że opór Arabów jest tak słuszny, jak wszelka obrona niepodległości.»

koniec w jednym z naczelników, Abd el-Kaderze[1]), większe znaczenie i lepsze usposobienie, sam mu dopomógł do ujęcia władzy nad plemionami okolicznemi i zawarł z nim pokój, następnie potwierdzony w Paryżu. Pokój ten trwa od dziesięciu miesięcy. Abd-el-Kader nie tylko dochowuje warunków, ale oczywiście zmierza do oparcia się na Francyi dla rozszerzenia swej własnej nad Arabami władzy.

Tu więc Francuzi ograniczyli dobrowolnie swe panowanie do morskiego wybrzeża, Arabom zostawiając wnętrze kraju. W Algierze przeciwnie, gubernator ogłasza się namiestnikiem króla Francuzów, panującego nad całą rejencyą algierską. Ta anomalia stanowi dziś punkt niezgody między dowódcami francuskimi. Z Algieru nie mogłem i ja zrozumieć pokoju zawartego w Oranie, ale dość mi było pobyć na miejscu kilka godzin, by zrozumieć, że tam może natrafiono na jedyny sposób rozwiązania sprawy, odstępując od urojonego panowania nad całą rejencyą. Za to zapewniono sobie zawieszenie wszelkich kroków wojennych, co jest rzeczą wielkiej wagi, bo, przy skąpem dosyłaniu środków z Francyi, wojna szła i idzie dotąd na innych punktach krokiem niepewnym, niegodnym wielkiego państwa, nie zapewniającym korzyści ani pokoju, ani wojny. W Oranie utworzono władzę centralną arabską, na którą w potrzebie można będzie uderzyć, a przez którą tymczasem wpływ się wywiera na wnętrze kraju. Ale Oran jest tak mało znany i rozumiany w Algierze, jak Algier w Paryżu. Te Francuzy strasznie lekkomyślne; do tego łączą się osobiste zawiści, zazdrości, nikt się nie godzi na myśl, która nie od niego samego pochodzi.

W Oranie, tak jak w Algierze i w Bône, pozostała część tubylców złożona jest z Maurów to jest z Arabów,

[1]) Abd-el-Kader (1807—1883) bronił niepodległości Arabów przeciw Francuzom przez lat piętnaście. Wzięty w niewolę 1847, więziony do 1852, umarł w Damaszku. Podczas prześladowania, jakie wybuchło w Syryi przeciw chrześcijanom 1860, uratował wielu z nich od okrutnej śmierci.

zamieszkujących miasta, i z żydów, ale ci ostatni, z wyjątkiem samego Algieru, w małej są liczbie. W innych miastach, zajętych przez Francuzów, jak Bougie, Mostaganem i Arzew, tubylcy tłumnie porzucili swoje siedziby, najczęściej zmuszeni do tego przez jakiego wojskowego naczelnika. Maurowie i żydzi bardzo do siebie podobni, trudnią się jedni i drudzy drobnym handlem. Turcy prawie wszyscy kraj opuścili, tylko najubożsi zostali i ci, którzy tworzą w służbie Francyi na wpół regularne wojsko. Osad rolnych dotąd prawie że niema. Najpierwsi koloniści wymarli z głodu i chorób.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Oran, 29 grudnia 1834.

Opowiem na prędce podróż odbytą do miasta Mascara, 100 km. na wschód-południe stąd. Miasto stołeczne Abd-el-Kadera, emira Arabów, albo, jak się mieni, xięcia wiernych.

Nasza karawana składała się z Potockiego i mnie, z oficera i żołnierza strzelców konnych, z żyda tłomacza, umiejącego po arabsku i trochę po francusku, z poganiacza mułów, noszącego pakunki i żywność, a nareszcie z dwóch Arabów konnych, przysłanych przez Abd-el-Kadera do eskortowania nas. Jenerał Desmichels, najlepszy z ludzi, dał nam pod siodła dwa swoje wyśmienite konie, jak nam tego wnet dowiodły, przebywszy w jednym dniu przestrzeń z Oranu do Mascara. Wyruszyliśmy o drugiej z rana, o dziesiątej jednogodzinny popas, a o ósmej wieczorem dociągnęliśmy do Mascara. Bramy miasta były zamknięte.

W Mascara przebywa i urzęduje francuski rezydent, Abdallah d'Arbonne, rodem Syryjczyk, potomek krzyżowców, osiadłych w Palestynie. W 1799 zaciągnął się do oddziału mameluków w armii egipskiej. Odbył wojny napoleońskie, został komendantem szwadronu. Doskonale mówi po arabsku, po francusku a nawet kilka słów po polsku i po moskiewsku, których się nauczył, będąc jeńcem w 1812 roku.

Po forsownym marszu spaliśmy do rana jak zabici. Ze świtem spotkała nas uprzejmość emira pod postacią barana i misy miodu, tudzież odwiedziny przybocznych jego dostojników. Od dziesięciu miesięcy, jak pokój stanął między nim a Francyą, ani razu tu się nie zjawił oficer stopnia równego mojemu; przyjęto mnie tedy z wielkiemi honorami. Ponieważ nie miałem urzędowego charakteru a jestem poparty przez x. Orleanu, dowiedziałem się ku wielkiemu memu zadziwieniu, że mam być przedstawiony emirowi, jako przyjaciel syna króla Francuzów, a zatem przyjaciel samego króla. Abd-el-Kader, — wyraz ten znaczy sługa pański, — ma lat dwadzieścia ośm; twarz Chrystusowa, czarna broda, niebieskie oczy, rysy delikatne. Mówią, że dużo ma rozumu i wrodzonej przenikliwości.

Gdy Francuzi stąd Turków wyrzucili, Arabowie chętnie z tego wyzwolenia skorzystali, co im nie przeszkodziło napadać na Francuzów, ilekroć ci wychylali się poza swoje porty i twierdze. Wkrótce potem rozmaite plemiona postanowiły obrać naczelnika z pośród siebie. Abd-el-Kader naznaczony został na tę godność przez swego ojca, marabuta[1]), który sam rządzić nie chciał. Nowy emir odznaczył się walecznością w kilku nieszczęśliwych dla niego spotkaniach z Francuzami. Obecnie korzysta z zawartego pokoju, ażeby poddać sobie plemiona, które mu jeszcze posłuszeństwa odmawiają. Półtrzecia dnia spędziliśmy na jego dworze, który raczej na podwórze wygląda, mimo czterech armatek, jakie go bronią. Sułtana widzieliśmy trzy razy, niespokojny jest o trwałość pokoju. Kilkakrotnie kazał mi wyrazić swoją dobrą wiarę. Zaręczenia te zdawały mi się szczere i oparte na dobrem zrozumieniu własnej korzyści. Raz, gdy mu wspomniałem o jakichś trudnościach, powiedział: «Jestem człowiek prosty, potęgi mam mało; wchodząc w porozumienie z królem Francuzów, szukałem oparcia i sądzę, że to nie powinno mnie osłabić».

---

[1]) Kapłana muzułmańskiego.

Mówiąc to, miał na myśli trudności w poradzeniu sobie z Arabami, między którymi niejeden za grzech mu poczytuje sprzymierzanie się z chrześcijanami. Rozmowa jego zajmująca, bo roztropna i rozumna. Bernard odznaczył się prawieniem komplementów na sposób wschodni, do czego ja żadnych nie okazuję zdolności.

Drugiego dnia, według zwyczaju, Abd-el-Kader podarował każdemu z nas konia. Hetki to są, ale hetki, które idą z łatwością mil piętnaście na dzień. Ja swego darowałem batalionowi polskiemu na kolendę, wystarczy im na zapłacenie jednego obiadu. Wywdzięczyłem się Abd-el-Kaderowi parą kruciczek, które jego dworzanom bardzo w oko wpadły, bo nigdy podobnych nie widzieli. Mile były przyjęte, sułtan bawił się niemi przez kilka dni.

Po widzeniu się z Abd-el-Kaderem, resztę dnia objeżdżaliśmy okolicę nadspodziewanie dobrze uprawną, wieczory przepędzaliśmy u Syryjczyka-Francuza. Schodzili się tam Arabowie, wyciągaliśmy ich na rozmowy nader ciekawe. Podczas tych rozmów najlepiej mogłem ocenić błogosławione skutki pokoju. Poufałe stosunki z Francuzami łagodzą obyczaje Arabów i uśmierzają ich nienawiść tem bardziej, że są oni daleko mniej fanatyczni, niż Turcy. Mam przekonanie, że, jeżeli pokój potrwa lat kilka, to choćby potem znowu przyszło do wojny, będzie ona daleko mniej dzika, niż poprzednia. Abd-el-Kader dopiero postanowił, że kaidżi (sędziowie) będą płatni przez niego, ażeby ich powstrzymać od rabowania podsądnych. Wogóle dąży on na małą stopę do naśladowania Mehemed-Alego.

Jeden z naczelników arabskich, który bardzo Francuzom sprzyja, prosił, żebyśmy, wracając do Oranu, po drodze na nocleg do niego wstąpili. Przyjął nas pod namiotem; dywany rozciągnięte na ziemi służyły nam za łóżka. Częstował nas potrawami, w których pieprz zwykły i czerwony zastępował wino, zakazane przez Mahometa. Myśleliśmy, że nam podniebienia odpadną. Nasz gospodarz i towarzysz podróży nazywa się Mohamet-Szadli, jest jednym z naczelników plemienia Szugarim.

W Mostaganem powróciliśmy pod francuskie panowanie. Kraj żyzny, ale od mieszkańców opuszczony. Oficerowie garnizonu, uprzedzeni o naszem przybyciu przez jenerała, najuprzejmiej nas przyjęli. Przepędziwszy dzień jeden z nimi, powróciliśmy do Oranu marszem jeszcze forsowniejszym niż do Mascary. Cała ta podróż zajęła siedm dni w sposób nadzwyczaj przyjemny. Ruch, jakiego tu używam, sprawia, że się mam znakomicie.»

Ruchu nie brakło Zamoyskiemu do końca pobytu w Oranie dzięki polowaniom, na które zapraszał go pułkownik jazdy, Oudinot[1]), syn marszałka, zapalony myśliwy. Jedno z nich opisał Zamoyski w liście do matki:

«Polowanie tu podobne jak w Bône, a konie jeszcze lepsze i dzielniejsze. Raz, mając konia doskonałego, wszystkich wyprzedziłem z jednym Arabem z jazdy francuskiej, ścigając ogromnego dzika. Dałem doń ognia bezskutecznie, a nie mając nadziei, by inni strzelcy mnie dopędzili, porwałem od Araba pałasz prosty, długi i, spostrzegłszy, że nie z odyńcem, ale z maciorą mam do czynienia, usiłowałem z konia przebić ją pałaszem, alem ją w pędzie wyprzedził. Stanęła w krzakach zdyszana. Ja z konia, — i ku niej zmierzałem, kiedy ona z krzaku prosto na mnie wypadła i wbiła się łopatką na nadstawiony pałasz. Mimo głębokiej rany poczęła znowu uciekać, pozostawiwszy mi w ręku skrwawiony pałasz. Dopadłem konia, który opodal stał nieporuszony i przebiłem ją przez krzyż na wskroś, tak iż się pałasz w ziemię zaorał, ale mi go z ręki wyrwała, uchodząc powoli, aż ją dopadł strzelec z nabitą bronią i dobił. Pojedynek ten zdobył mi uszanowanie Arabów, którzy skłonni są uważać nas, Europejczyków, za mazgai. Dla zaspokojenia Matki i własnego honoru zaręczam, że nie było żadnego niebezpie-

---

[1]) August Oudinot (1799—1835), pułkownik strzelców afrykańskich, poległ w walce przeciw Abd-el-Kaderowi pod rozkazami jenerała Trézel 26 czerwca 1835.

czeństwa z samicą, jakkolwiek ogromną; z samcem nie byłbym się na to narażał, proszę wierzyć.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Między wyspami balearskiemi a Hiszpanią,
na żaglowym statku wojennym, Durance,
19 stycznia 1835.

Nie byłbym przypuszczał, że tak długo potrafię w Oranie zabawić bez doznania przykrości a jednak wyznać muszę, że mi tam dobrze było. Wszyscy, począwszy od jenerała i garnizonu, licząc doń polski batalion a kończąc na ostatnim polskim wychodźcy, wszyscy byli jak najlepsi dla mnie. Byliby mi głowę zawrócili, gdybym od dawna nie przywykł odnosić podobnych rzeczy nie do siebie, ale do mego celu i do mojej pracy. Te dowody życzliwości od swoich mogą mi się stać bardzo pożyteczne, mogą mi dopomódz do otrzymania tego, czego od rządu dla nich uzyskać pragnę. Ze strony cywilnych były one dla mnie wielką niespodzianką, bo im zaraz na wstępie oświadczyłem, że dla batalionu przyjeżdżam, a oni, gwałtem do Afryki przewiezieni, pod wpływem naszych paryskich półgłówków, związali się przysięgą, że nigdy do wojska nie wstąpią. Szczęściem od tego czasu nieskończone dowody życzliwości jenerała Desmichels wielce ich uspokoiły, a ja na tem dobrze wyszedłem. Chcąc uczcić, jak się wyrazili, moją wierność dla sprawy, zaprosili mnie na śniadanie. Przyjąłem pod warunkiem, że będzie bardzo skromne. Takiem też było. Wręczyli mi pierścień żelazny, żałobny po x. Józefie i z jego wizerunkiem. Jeden z nich, major Bielewicz, zrobił z niego ofiarę, by mnie nim w imieniu wszystkich obdarzyć. Wiem, że te szczegóły Matkę drogą ucieszą, dlatego dla niej samej je piszę. We Francyi odwykłem od podobnych wrażeń; tam się jedni przed drugimi kryjemy, unikając tak pochwały jak nagany; tu zdało mi się, żem jeszcze w Polsce.»

Władysław Zamoyski do matki:

«27 stycznia 1835, zawsze jeszcze na Durance. Dnia 20 wieczorem powstał silny wiatr północno-zachodni, który wnet się zamienił w gwałtowny huragan. Z jego łaski nie brakło mi niczego do urozmaicenia podróży. Dotychczas za każdą żeglugą nieroztropnie wzdychałem za widokiem burzy; obecnie dosyć jej użyłem, aby sobie wyrobić pojęcie o tem wspaniałem zjawisku, nie przypłacając go zbyt drogo. Cały dzień 21 i 22 gwałtownie byliśmy burzą miotani, a że nas było dwustu podróżnych, wobec ogólnego strachu, dobra była sposobność wypróbowania samego siebie. Lęk jednak nie ogarniał ludzi, mających dosyć zimnej krwi dla zdania sobie sprawy z przedziwnego porządku i spokoju, jakie panowały we wszystkich szczegółach służby morskiej. Ostatecznie żadnej szkody nie doznaliśmy, a dokuczyła nam tylko woda, zewsząd nas zalewająca, przy bardzo zimnym wietrze. Dnia 22 wiatr znacznie ucichł, ale morze ogromnie jeszcze było wzburzone. Biedny jakiś żołnierz w ostrym napadzie obłędu rzucił się w fale. Na pierwsze zawołanie: «człowiek tonie» (un homme à la mer), spuszczono łódź ratunkową z oficerem i pięciu majtkami, wszyscy na ochotnika. Nie mogę wyrazić, jaka boleść mnie ogarnęła, gdym patrzał na tych dzielnych ludzi, puszczających się na ratunek człowieka, którego tak trudno było ratować. Walka ich z rozbujałem morzem trwała przeszło godzinę a tem przykrzejsze na widzach sprawiała wrażenie, że Durance nie od razu dała się zatrzymać. W miarę jak się oddalała, traciliśmy z oczu łódź ratunkową i kłodę (bouée), zarzuconą na kotwicy dla oznaczenia miejsca, na którem należało szukać biednego topielca. Kłoda taka w najlepszym razie służy tonącemu na doczekanie się ratunku. Nieboraka nie odnaleziono, ale zaszczytem dla majtków w takim razie wrócić przynajmniej z kłodą, kiedy człowieka uratować nie mogą. Tak uczynili majtkowie i oficer naszego okrętu, ale nie na tem się skończyło

niebezpieczeństwo. Najgorszą była dla nich chwila przesiadania się z łodzi na okręt przy rozhukanych bałwanach. Wielkiej trzeba było zręczności i niemało szczęścia. To też gdym nareszcie zobaczył oficera z powrotem na pokładzie, po strasznym niepokoju doznanym z jego powodu, uściskałem go jak brata.

Burza odpędziła nas od brzegów hiszpańskich ku sardyńskim wybrzeżom i od pięciu dni z trudem usiłujemy zbliżyć się do Marsylii, płynąc ustawicznie pod nieznośny wiatr północny. Statek tak był rozkołysany, że nie można niczem się było zająć ani rozerwać; wreszcie dzisiaj ukazały nam się wzgórza Tulonu, ale z tym wiatrem ciągle przeciwnym nie wiem, kiedy do lądu dobijemy, a w Marsylii nie policzą nam długiego pobytu na okręcie i będzie trzeba jeszcze dziesięć dni kwarantanny odbyć.

29 stycznia.

Nasza Durance doskonale znosi pełne morze; mówią, że tak je lubi, iż niepodobna ją do lądu doprowadzić. Od dwóch dni liczymy domy na francuskiem wybrzeżu, ale ledwo dziś wieczór wylądujemy.»

Między listami, pisanemi podczas spokojniejszych chwil tej przykrej żeglugi, znajduje się długi list Zamoyskiego do brata, Zdzisława. Mówi w nim: «W samą burzę 21 stycznia myślałem o twoich dwudziestu pięciu latach tego dnia kończących się. Wystawiałem sobie, że prawdopodobnie listu tego nie poślę marsylską pocztą, ale że go w butelce wrzucę do morza, ażeby dobił, jak mu się uda.» List ten, jak inne z owej chwili, nosi ślady przebytej burzy, pognieciony, podarty, wodą morską spłukany.

W Marsylii na kwarantannie Zamoyski opracował obszerny memoryał dla ministra wojny o stanie polskiego batalionu, o trudnościach, z jakiemi walczy i warunkach niezbędnych do jego dalszego rozwoju; polecał zastąpienie oficerów cudzoziemców Polakami i to wyborowymi, utworzenie drugiego batalionu piechoty, dwóch szwadronów jazdy i nadanie tak rozwiniętemu oddziałowi znamion polskich narodowych.

VIII

W PARYŻU (LUTY — CZERWIEC 1835). — STARANIA LORDA DUDLEY STUART

Z kwarantanny udał się Zamoyski do Tulonu; tam czekała na niego wiadomość o ciężkiem zapaleniu płuc, przebytem przez x. Adama. Szczęściem niebezpieczeństwo było już zażegnane; Sienkiewicz pisał, że xiążę «po upuszczeniu $2^1/_2$ funtów krwi, czterdziestu pijawkach i po dwutygodniowej egzystencyi o wodzie z syropem czuje się do zadziwienia silny na ciele i spokojny na umyśle». Mimo to Zamoyski, wyrzekając się dawno powziętego zamiaru zwiedzenia Tulonu, redut w Lugdunie i twierdzy Grenoble, «klejnotu jenerała Haxo», pospieszył do Paryża.

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 26 lutego 1835.

Wuj powoli wraca do zdrowia. Leczył go od pierwszej chwili dr Louis[1]), zalecony xięciu przez doktorów Dworzaczka[2]) i Marcinkowskiego, gdy opuszczali Paryż[3]). Z naszych był ciągle w domu dr Hoffmann Alexander z Warszawy, młody, zdatny, były sztabs lekarz pułku naszego.»

---

1) Piotr Louis (1787—1872), twórca statystyki lekarskiej.

2) Ferdynand Dworzaczek (1804—1877), lekarz wojskowy w Zamościu w czasie powstania, otrzymał krzyż Virtuti militari 4 czerwca 1831.

3) Pierwszy wracał do Warszawy, drugi do Poznania.

Wielu znajomych i przyjaciół odwiedzało xięcia; do najczęstszych gości należał Niemcewicz. Jedne z tych odwiedzin opisał w swoim dzienniku, 1 lutego 1835: «Poszedłem o wpół do trzeciej odwiedzić x. Adama Czartoryskiego i pana Władysława Zamoyskiego; rozmawialiśmy o biednej ojczyźnie naszej i przyjaciołach. Widziałem Izię (Czartoryską), czteroletnią dziewczynkę, wzór dowcipu i wdzięku. Jest w jej pokoiku rycina Barbary Radziwiłłówny; wskazując nań: «A ty, Iziu», zapytałem, «czy pójdziesz także za króla jakiego?» Ona na to: «Jeżeli się król polski urodzi, to pójdę za niego». Odpowiedź ta czteroletniego dziecięcia jest prawdziwie zadziwiająca, dowodzi jak to imię: «Polska» już w małych piersiach silnie panuje.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 28 lutego 1835.

Tysiąc spraw i interesów czekało tu mego przybycia. Jeżeli z jednej strony ubolewam, ile razy mnie kto inny, lepszy, w interesie jakim zastąpić nie może, to z drugiej strony dały mi się tu słyszeć wyrazy, które serce głęboko rozrzewniały, o powszechnym przyjaciół wuja żalu z powodu mojej nieobecności w chwili jego niebezpiecznej choroby. Powiedziałby kto, że ufali mojemu do niego przywiązaniu, iż potrafię go ustrzedz od złego i dobrem otoczyć. Wyznaję, iż z radością sam spostrzegam, że moje przywiązanie do wuja nie jest dla niego bez pożytku, bo też jest to jednem z najgorętszych moich życzeń.

Wczoraj dzień był piękny. Wuj wyjechał karetą i dziś znowu, bez szkody żadnej. Anna, która od mego przybycia dopiero zaczęła z domu wychodzić, korzysta teraz z zapust, żeby się nieco pobawić. Ja podobno aż z początkiem postu ukażę się w świecie, do którego mi nie pilno. Jednak byłem wczoraj na balu u dworu, niespodziewanie bardzo proszony. Zapewne winienem to następcy tronu, który znowu niepospolitą okazuje mi

uprzejmość. Jest to tem grzeczniej z jego strony, że ją okazuje zawsze, dając mi dowody interesowania się mojemi zatrudnieniami i moim celem, i że to czyni dziś, wśród odmętu, w jakim zamek cały znajduje się z powodu rozprzęgnienia ministeryum i mimo czynnego udziału, jaki sam bierze w tych wypadkach.

Mieszkam w jednym domu z wujem: przyjmuję jednego z naszych wiarusów na służącego, żeby pomagał w usłudze domowej, którą, dla zastosowania się ściślejszego do dochodów, umniejszono znowu.

Izba niższa bardzo zajęta w tej chwili myślą zmuszenia rządu do ograniczenia posiadłości francuskich w Afryce do kilku placówek wojskowych. Zmniejszonoby tym sposobem i armię. Czyż się da wobec tego przeprowadzić nową formacyę? To rzecz wątpliwa. A jednak nie przestanę do tego namawiać rządu i rodaków.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 13 marca 1835.

Dotąd dla polskiego batalionu nic zrobić nie mogłem, gdyż od trzech tygodni nie było tu rządu! Dziś przecież jest znowu, niemal ten sam, co wprzódy[1]). To też rozpocznę kroki w interesie formacyi wojskowej. Rodacy tutejsi wiedzą o moich usiłowaniach i poczynają zmieniać dawną swą niechęć na ochotę do tego. Ze strony rządu, niestety, nie rachuję na usposobienie podobne[2]), wyjąwszy u następcy tronu, który z dzisiejszym składem osób rządowych nie bardzo sympatyzuje.

Zastałem tu znowu biografię xięcia niedokończoną. Przyłożyłem się przeto do niej całą duszą i cieszę się, że, jeżelim nie potrafił zupełnie usunąć wszystkiego, co mi się w niej nie zdawało trafnem, przynajmniej mogę sobie

---

[1]) X. de Broglie, prezes ministrów i minister spraw zewnętrznych, marszałek Maison wojny, Thiers spraw wewnętrznych, Guizot oświaty.

[2]) Marszałek Maison, od którego ta sprawa głównie zależała, powracał z poselstwa w Petersburgu, gdzie uległ moskiewskim wpływom.

przyznać znaczne w niej ulepszenie. Biografię obszerniejszą po polsku mamy gotową, którą może pod innym tytułem np. «Historya prowincyi przez Moskwę zabranych», potrafimy wydać. Sienkiewicz przykłada się serdecznie do tej pracy.»

Między wydawnictwami, w których Zamoyski brał wówczas czynny udział, wybitne miejsce zajmowała «Kronika emigracyi polskiej». Zawdzięczamy jej wiele wiarogodnych i zajmujących szczegółów o tem, co się od 1834 do 1839 działo w kraju i na emigracyi a o czem w kraju nie wolno było pisać, na emigracyi zaś częstokroć pisano niedokładnie.

Zamoyski wielką przywiązywał wagę do utrzymywania na wychodźtwie pisma nienamiętnego, prawdomównego, roztropnego, któreby łączyło emigracyę z krajem i, podtrzymując nadzieje, wskazywało jednocześnie drogę do ich ziszczenia. Pragnął wydawnictwa, któreby wyrozumiałością na rozmaite poglądy, byle uczciwe, kojarzyło wychodźców. Kronika nie zawsze odpowiadała jego życzeniom; często się na nią żali, pragnie ją «ujędrnić», życzy sobie, żeby raczej opowiadała o tem, co może na duchu podnosić niż o sprawach, które lepiej byłoby przemilczeć. Niemałą jednak przyznawał jej wartość, choćby dlatego, że redaktorowie byli ludźmi zacnego charakteru, kłamstwem się nie posługiwali. To też usilnie starał się dla niej o prenumeratorów i wspólników, sam niejednokrotnie artykułami ją zasilał, zwykle bezimiennie.

W pierwszą rocznicę założenia Kroniki, 29 marca 1835, zwołane zostało w Paryżu posiedzenie akcyonaryuszów, jak się nazywali, a w rzeczy samej założycieli i współpracowników Kroniki. Rachunki wykazały niedobór, pochodzący nie tylko z niedość znacznej liczby prenumeratorów, ale także z opóźniających się opłat. Trzy stąd spadły obowiązki na akcyonaryuszów: pokrycie deficytu, nawoływanie prenumeratorów do uiszczenia zaległości i staranie się o większą liczbę czytelników. Listy Zamoyskiego

świadczą, że tym trzem dokuczliwym obowiązkom z niemałym trudem starał się zadośćuczynić.

Brak funduszów na każdym kroku odczuwać się dawał na wychodźtwie.

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Paryż, 15 marca 1835.

Skrzynecki cierpi niedostatek. Nie jestże to zgrozą dla rodaków, którzy, blizko będąc, najlepiej o tem wiedzieć mogą[1]? Czy godzi się, żebyśmy się tu składali na niego? Dom bankowy L. Jelski & Comp. zaawansował mu 5.000 fr., za które zaręczyło kilku z pomiędzy nas; należy do nich x. Adam. Opowiedzcie to wkoło siebie, mianowicie bogaczom, którym Bóg nie będzie błogosławił w niczem, jeśli się oddadzą samolubstwu. Działyński wie oddawna o Skrzyneckim i jego niedostatku; niechaj nie przestaje czuwać, aby temu zapobiegać[2]. Jakiekolwiek są ujemne strony Skrzyneckiego i on chwały Polsce przysporzył; zapominając o nim i o jego ubóstwie, sami sobie uchybiamy.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 1 kwietnia 1835, dzień miłej pamięci[3].

Od dwóch tygodni nie pisałem, bo w tem miasteczku trudno o czas, bo czuję potrzebę ruchu dla zdrowia i często pilną robotę rzucam, by się przejechać albo przebiedz. Wuj się ze mną po trochu konno przejeżdża; wiosna się zaczyna po zimnych dniach i przymrozkach, które, po afrykańskim klimacie, wcale mi nie były do gustu. Xiężna urządza koncert na dochód Towarzystwa dobroczynności; nie wiedziała nieboraczka, co na siebie bierze. Po dziesięciu dniach pracy usilnej, nieźle jej się udało rozsprzedać bilety, ale dotąd nie wie, co publiczności dać za te pieniądze. Nie byłbym przypuścił, że tak tu trudno

[1]) Skrzynecki mieszkał od roku 1832 w Pradze czeskiej.

[2]) Tytus Działyński miał wówczas cały majątek pod sekwestrem pruskim.

[3]) Czwarta rocznica bitwy pod Kałuszynem

o artystów, których ani za darmo, ani za pieniądze, ni uprosić, ni ubłagać. Przecież mamy w Bogu nadzieję, czynimy, co możemy. Jules Janin[1]) felietony swoje w «Journal des Débats» oddał xiężnej na usługi.

W ostatniej jeszcze chwili zaszła niespodziana trudność. «Nasze demagogi», pisze Niemcewicz w swoim dzienniku, «wyrobili na prefekcie policyi, że koncertu zabronił. Musiał x. Adam udać się do ministra spraw wewnętrznych o zniesienie zakazu».

Koncert odbył się 4 kwietnia w operze włoskiej i przyniósł czystego dochodu 6.000 fr.; wiele było w tem zasługi Chopina, który, widząc, że xiężna w kłopocie, ofiarował jej swoje usługi.

Z wiosną x. Adam na tyle do sił powrócił, że mógł 3 maja przewodniczyć zbierającemu się w ten dzień posiedzeniu Towarzystwa literackiego. Zamoyski pozostał nadal członkiem biura do korespondencyi angielskich.

Doroczne mowy x. Adama w dniach 3 maja i 29 listopada drukowane były w Kronice i osobnych odbitkach. Trzeba je było tłomaczyć i podawać do francuskich i angielskich dzienników, co, według zmiennych prądów polityki, niemało czasem przedstawiało trudności.

W chwili, gdy Zamoyski czuwał nad powrotem wuja do zdrowia i pomagał xiężnej Adamowej w jej miłosiernych przedsięwzięciach, nie domyślał się, że matka, o której mówił, iż mu jest «droższa nad życie, nad wszelki wyraz, nad wszystko, co żyje», zapadła w chorobę, która ją miała w niespełna dwa lata do grobu doprowadzić. Z listów pani Zamoyskiej widać jednak, że stan jej zdrowia nie od razu okazał się groźnym lub też że grozę jego starała się przed najbliższymi ukryć.

---

[1]) Juliusz Gabryel Janin (1804—1874), ulubiony wówczas krytyk i felietonista, słynny z dowcipu.

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«z Florencyi, marzec 1835.

Lekarz zaleca mi spokój; robię, co mogę, aby się w nim utrzymać, przynajmniej co do ciała, bo dla duszy trudniej; troski i zmartwienia snują się, jedne drugie gonią i liczba ich się wzmaga. Trudne życie, wiemy o tem; trzeba jednak iść dalej z męstwem i ufnością.

Cieszę się, że jesteś przy wuju, że on ma ciebie, a ty masz jego. Cieszę się też, żeś wiarusa przyjął do służby, że masz pomoc. Ufam, że ją zawsze mieć będziesz, a gdybyśmy wszyscy byli bez niej, to będziemy jedni drugim służyli i pomagali.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Florencya, 7 kwietnia 1835.

Mieszkanie mamy bardzo przyjemne, dobrze mi w niem; pod oknami, otwierającemi się aż do samej ziemi, ogród pełen kwiatów. Miły to kącik, ale że wszystko co miłe i piękne, wzbudza tysiące smutnych i drogich wspomnień, więc to wszystko, choć przyjemne, nie rozwesela; wszystko teraz jest smutnem.

Na lato zamieszkamy willę Careggi, o kwadrans od miasta. Willa wybudowana przez Medyceuszów temu czterysta lat. Wawrzyniec Medyceusz tam umarł[1]); pokój jego od tej pory został nietknięty. Położenie piękne, jak wszędzie, dom trochę ponury, ale chłodny na lato.

Ja już nigdy nigdzie nie bywam, tylko z rana idę piechotą do kościoła o dwa kroki, a po południu odbywamy długie przejażdżki po tych pięknych okolicach.»

Dopiero w połowie kwietnia Zamoyski domyślił się z listów rodzeństwa, jak ciężką była słabość matki.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Paryż, 18 kwietnia 1835.

Nie wiem, czy kiedy doznałem smutku równego temu, jaki mnie ogarnął na wiadomość o grożącem matce

[1]) Na podwórzu pokazują studnię, do której pospólstwo wrzuciło jego lekarza domowego za to, że nie potrafił go uratować.

niebezpieczeństwie. Są nieszczęścia zbyt srogie, by je umysł mógł przypuszczać. I ciebie podobne uczucie dotknęło, bo i ty matkę kochasz całą gorącą duszą twoją. Czuwaj nad nią jakby nad życiem nas tylu, którym jest częścią życia najdroższą. Przemyśliwam nad sposobem odwiedzenia jej i jakby osiąść przy niej na czas pewien. Powiedz mi, czybym mógł to zrobić, uzyskawszy od tutejszego rządu umieszczenie przy poselstwie we Florencyi? Głosiłbym tam na wszystkich rogach ulic, że zostałem Francuzem, urzędnikiem «du juste milieu, le plus épicier qu'il soit ou le devienne». Gotów jestem na wszystkie te kłamstwa, byle się do matki dostać i w chorobie ją pielęgnować.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 18 kwietnia 1835.

To niebezpieczeństwo, ta nagła trwoga, której pierwszy raz w życiu doznaję, odsłoniły mi cały świat myśli i uczuć, których dotąd nie znałem a które tak są bolesne. Obrawszy sobie zawód wojskowy przypuszczałem, że to Matka mnie straci, i starałem się ją z tą myślą oswajać. Teraz za to przepraszam. Nie wiedziałem, jak gorzkiem jest takie przypuszczenie. Rozstać się z Matką drogą byłoby dla mnie rozstaniem się z jedynemi chwilami szczęścia w życiu. Nikt tak mnie nie zna, jak Matka droga, nikt tak mnie nie rozumie i w nikim nie znajduję tak pewnego i przyjaznego sądu o wszystkich czynnościach moich. Matka jesteś mojem sumieniem a sumieniem więcej od mojego pobłażającem. Zawsze pragnąłem, by życie moje było krótkie a pełne; zdawało mi się, że i pod tym względem Matka zapatrywanie moje dzielić musi, bo zawsze widziałem ją szczęśliwą szczęściem swych dzieci. Zmartwienie, jakie ze śmierci mojej dla Matki przeczuwałem, nie truło mi błogiego uczucia, że Matka mnie przeżyje i zrozumie. Być zrozumianym w ostatniej chwili, zostawić po sobie wspomnienie śmierci, którąby świadczyła o żądzy mojej poświęcenia się dla

kraju, to stanowiło w oczach moich wartość i nagrodę życia i było jedynem osobistem pragnieniem, na które sobie pozwalałem. Ale na to, aby się cieszyć tą nadzieją, Matka droga była mi niezbędną, bo nikt tak nie przenikał myśli przewodniej mego życia i moich czynów. Przebacz, Matko droga, żem cię kochał więcej dla siebie niż dla ciebie; samaś tego zawsze żądała. Ileż to było słodyczy w tych stosunkach z Matką; słodycz tak wielka, że zapełniała mi serce i zastępowała wszystko, czego mi skądinąd braknie a czego szukać nie myślałem. Matka zdawała się tak zadowolona i szczęśliwa z mego przywiązania, że to mi starczyło za wszystko; nie tylko nie czułem próżni serca, ale bałem się prawie, by mnie jaka inna miłość nie ogarnęła i nie uszczupliła miejsca, które Matka w sercu mojem zajmuje.

24 kwietnia, Wielkanoc. — Święcone u wuja liczne i tym podobne przeszkody nie dały dokończyć listu. Ściskam Matkę ukochaną i Bogu poruczam moje najdroższe dobro.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Florencya, 7 maja 1835.

Jakżeby miłem było tak być kochaną przez ciebie, gdyby ta miłość mogła być dla ciebie źródłem szczęścia i pokoju, ale kiedy się staje przyczyną niepokoju, kiedy pomnę, że mogłaby się stać powodem wielkiego zmartwienia, prawiebym wolała wyrzec się tego, co jednak jest mojem szczęściem, urokiem mego życia; chciałabym, żebyś mnie mniej kochał. Prosiłam Boga, żeby mi żyć pozwolił dla ciebie i dla nich wszystkich, tak sercu drogich a jednak mam wrażenie, że tobie bardziej jestem potrzebna niż wszystkim tamtym... Ufam, że wyzdrowieję, ale gdyby się Bogu podobało inaczej, zgódźmy się z wolą jego, jakąkolwiekby była, oswójmy się z tą myślą: trochę prędzej, trochę później. — On pomoże, On pocieszy, On umocni. Jakżebym chciała, byś dzielił ze mną to przekonanie.»

Władysław Zamoyski do matki:

«27 kwietnia 1835.

Mniej bywam tego roku w towarzystwie niż zeszłego, wyrzucam to sobie, jako dowód zniechęcenia. Ale mieliśmy tu wielkie dodatkowe zmartwienia. Nagła śmierć Gustawa Małachowskiego bardzo była dla nas bolesną. To jeden z naszych filarów upadł[1]). Wuj nad grobem jego przemówił doskonale i rzewnie nas wzruszył. Zdzisław także z nami pożałuje Potkańskiego[2]), który dopiero co umarł na piersi. Niepojęta jest liczba rodaków, wpadających tu w suchoty. Te pogrzeby emigracyjne mają coś uroczystego i poważnego bardzo. Na nich jednych gromadzą się jeszcze wszyscy.»

Władysław Zamoyski do matki:

«15 maja 1835[3]).

...Niestety więcej życzyć niż winszować sobie możemy. Dopiero byliśmy na mszy z wujem, Anną i dziećmi. Mszę, jak zwykle przy naszych tu domowych i krajowych świętach, odprawił ksiądz Skórzyński. Byli: Sienkiewicz, Błotnicki i stara Wolska[4]). Wszyscy mi winszowali takiej Matki, a nie wiedzą, w jakiej jestem o nią obawie, w jakim niepokoju. Nigdym się tak nie modlił, jak teraz, ani też czułem takiej chęci uczczenia imienin Matki mojej drogiej. Zbierzemy się na śniadanie w kawiarni ogrodu tuileryjskiego. Prócz wyżej wymienionych będą Mostowscy i Niemcewicz, którego odpis na zaproszenie załączam: «W tak drogie dla mnie święto

---

[1]) W czasie pochodu pogrzebowego z mieszkania zmarłego do kościoła de l'Assomption a następnie przez bulwary na cmentarz Père Lachaise dwa razy nieznajomi złożyli wieńce laurowe na trumnie Polaka wygnańca.

[2]) Adolf Potkański (1799—1835), podpułkownik kwatermistrzostwa, otrzymał krzyż Virtuti militari nr 12, dnia 3 marca 1831.

[3]) Dzień imienin pani Zamoyskiej.

[4]) Konstancya Wolska, piastunka córeczki x. Adama, wielkiej zacności kobieta, bardzo w domu xięstwa poważana; ojciec jej, murgrabia pałacu powązkowskiego, był zamordowany przez żołnierzy Suworowa w 1794.

stanę bez zawodu na wezwanie walecznego mego Bayarda. Ciecie[1]).» Widzi Matka, że ani on przestał być Cieciem, ani ja w jego oczach Bayardem.»

Niemcewicz dnia tego zapisuje w swoim dzienniku: «Pan Władysław Zamoyski obchodził imieniny pięknej i wdzięcznej matki swej. Niegdyś wesołe, dziś rzewne są tylko obchody podobne; myśl się przenosi w ojczyste siedziby i kwili.»

Władysław Zamoyski do matki:

«18 maja 1835.

Onegdaj i wczoraj byłem u xięcia Orleanu w Chantilly, dokąd mnie zaprosił na wyścigi konne i piękne polowanie na jelenie. Xiążę gości zamęcza rozrywkami od rana do późnej nocy; to też ruchu miałem dowoli i zdrów jestem. Chantilly jest piękną miejscowością, trawnik do wyścigów śliczny. X. Orleanu bardzo zachęca wszystko, co ma na celu ulepszenie rasy koni we Francyi. Wogóle ma on w znakomitym stopniu ten wyższy pogląd na rzeczy, który dozwala zajmować się niemi energicznie a bez namiętności. Mimo rozrywek, napotykanych na każdym kroku i upodobania, jakie w nich znajduje, celu nie traci z oka ani na chwilę.

Anna (x. Czartoryska) była w tych dniach proszona do królowej i pani Adelaidy[2]), które przyjęły ją z największą grzecznością, nawet z wielu oznakami współczucia i nadziei a nienawiści dla naszych wrogów. Tylko, choć po dniach lipcowych, prawda zawsze jeszcze mało w tych zamkach przebywa. Wracają tu Granvillowie wkrótce; cieszę się z tego, choć coraz mniej w świecie bywam.»

Z miesiącem majem nadeszła dla emigracyi chwila pełna troski; izby francuskie, po zwykłych ostrych w tym

[1]) Najmłodsza córka pani Zamoyskiej, Eliza, będąc dzieckiem, tak przezwała Niemcewicza.

[2]) X. Adelaida Orleańska (1777—1847), siostra Ludwika Filipa, u której zwykle szukał rady i podpory.

przedmiocie rozprawach, miały uchwalić budżet na rok następny a tak u parów jak u deputowanych uwaga była napięta na potrzebę zmniejszenia wydatków.

Łatwo pojąć, jaki niepokój ogarniał wychodźców w przewidywaniu, że mogą z dnia na dzień zostać bez chleba i dachu; niemniejszy był niepokój x. Adama i jego otoczenia na myśl, że przyjdzie im patrzeć na nędzę, której zapobiedz nie będą w stanie.

Władysław Zamoyski do Wojciecha Grzymały:

«10 maja 1835.

Jutro o trzeciej staw się u xięcia, uzbrojony we wszystkie uwagi na piśmie, które potrafiłeś do tej pory zebrać, jako przyczynek do argumentów i propozycyi dla członków komisyi, mającej zaproponować cztery miliony na subsydya dla emigrantów. Dziś wieczór niespodzianieśmy się dowiedzieli, że ta komisya ma się zebrać pojutrze rano dla przygotowania swego raportu.

Ufam, że za otrzymaniem tej kartki raczysz z łóżka wyskoczyć i zredagujesz natychmiast wszystkie mądre pomysły, z któremi wczoraj mi się zwierzałeś. Xiążę kilku innych z pomiędzy naszych zaprasza jednocześnie. Odczytamy wszystkie podania i uporządkujemy je, o ile się da, do wieczora.»

Przechowały się owe notatki Grzymały wraz ze sprawozdaniem referenta komisyi budżetowej, posła Vatout[1]), i uwagami nad niem Zamoyskiego. Porównywując je z rozprawami w izbie, łatwo się przekonać, że, jeżeli nie wszystko tak uchwalono, jak xiążę tego pragnął, to jednak uwagi w jego imieniu podane ministrowi spraw wewnętrznych, członkom komisyi i innym, którzy głos w rozprawie zabierali, niemało przyczyniły się do jej ostatecznego wyniku.

---

[1]) Jan Vatout (1792—1848), radca stanu, bibliotekarz Ludwika Filipa, poszedł za królem na wygnanie, umarł w Claremont pod Londynem.

Wobec rzuconego w izbie oskarżenia, że Polacy nie chcą pracować i dlatego budżet obciążają, Zamoyski wykazywał, że na ogólną liczbę 4.800 polskich wychodźców jest ich już 2.000 uczciwą pracą zajętych. Równocześnie zbijał wniosek o zmniejszanie wychodźcom zapomóg w miarę jak znajdować będą zarobek, twierdził, że takie prawo wyjdzie jedynie na korzyść próżniaków.

Podczas rozpraw w dniu 2 czerwca, Thiers, wówczas minister spraw wewnętrznych, w wyrazach z jego strony wyjątkowo życzliwych, pochwalił zachowanie się Polaków, nacisk położył na ich potrzeby i cierpienia, zaznaczył, że dość już dużo wychodźców dobrowolnie wyrzekło się subsydyów, że jednak stu pięćdziesięciu musiało na nowo upomnieć się o pomoc. Wykazał, że w roku 1834 wydatek ogólny na wychodźców wyniósł 2.406.075 fr., przewyższył tedy sumę budżetową o 136.299 fr. Wobec tego prosił na rok następny o podwyżkę 560.000 fr. Izba uchwaliła tylko 500.000 większością dwustu dwunastu głosów przeciw dwudziestu sześciu. Z ogólnej sumy budżetowej wypadło na żołdy dla 4.713 Polaków 2.310.365 fr.[1])

W Anglii z początkiem 1835 poruszono sprawę polską kilkakrotnie tak w parlamencie, jak na publicznych zebraniach. Dostarczyło do tego sposobności: otwarcie izb, zamianowanie nowego posła angielskiego przy dworze cara, walne posiedzenie Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski i zawiązanie Towarzystwa dobroczynności pań angielskich dla ratowania ubogich wychodźców.

Król Wilhelm IV, otwierając izby, oświadczył, że «stosunki Anglii z innemi państwami dają wszelką rękojmię utrzymania błogiego pokoju». Lord Dudley Stuart podczas rozpraw nad mową królewską wyraził, 26 lutego 1835, zadowolenie, jakie mu sprawia ta nadzieja, ale wyznał,

[1]) Prócz Polaków korzystało z subsydyów francuskich w 1835 roku: 4 Hiszpanów, 1 Hanowerczyk, 708 Włochów i 2 Szwajcarów z kantonu Neuchâtel.

że nie jest uradowany chlubieniem się stronników ministeryalnych z rosnącej ufności, jaką trzy despotyczne mocarstwa, Prusy, Austrya i Rosya, zaszczycają rząd J. Kr. Mości. «Gdy pomnę», rzekł, «jak jedno z tych mocarstw zachowało się w Frankfurcie, jak drugie ciąży na Włoszech a trzecie na całym Wschodzie z wielką ujmą dla Anglii, jak ono złupiło Polskę wbrew traktatom przez Anglię zawarowanym, jak wszystkie trzy zawsze były i są wrogami wszelkiej wolności, nie widzę powodów szczycenia się tem zaufaniem.» Lord Dudley dowodził dalej, że «mocarstwa, gwałcąc traktaty, w których Anglia uczestniczyła, wprost jej ubliżają»; mówił, że, gdyby w Londynie podczas polskiego powstania znalazł się u steru rządów człowiek z otwartą głową i silną wolą, to mocą traktatów mógł był Polskę ocalić a Europa miałaby obecnie bezpieczną warownię przeciw moskiewskiej zaborczości, z którą prędzej czy później przyjdzie jej walczyć.

Wkrótce potem, 13 marca 1835, wszczęły się w izbie niższej rozprawy nad wyborem posła angielskiego do Petersburga. Dla zrozumienia ich doniosłości trzeba się cofnąć o parę lat wstecz.

W listopadzie 1832 mianowany został posłem do Petersburga długoletni sekretarz i pełnomocnik angielski w Stambule, sir Stratford Canning[1]). Mikołaj, nie chcąc, by tak dobry znawca stosunków wschodnich śledził z blizka jego politykę, wręcz oświadczył, że Canninga nie przyjmie. Palmerston w rozmowie z xięciem Lieven nazwał postępek cara bezczelnem zuchwalstwem (an

[1]) Na pierwszą wiadomość o tej nominacyi, kapitan Chesney, przyjaciel Canninga, pisał do niego (2 listopada 1832): «Cieszę się dla ciebie wiadomością zawartą w dziennikach a śmiem powiedzieć, że nie tylko dla ciebie, ale i dla John Bulla, który tym sposobem będzie przynajmniej wiedział, co niedźwiedź knuje (what the bear is about) i potrafi mu czoło stawić wśród gąszczów i mroków północnej polityki. Żal mi tylko, że nie możesz być naraz w Petersburgu i w Stambule.» (The life of the R. H. Stratford Canning, viscount Stratford de Redcliffe, by Stanley Lane-Poole. T. II, str. 18)

outrageous piece of arrogance) i postanowił, zgodnie z królem, innego posła do Petersburga nie mianować a sprawy poselstwa powierzyć tymczasowemu pełnomocnikowi. Mikołaj odpowiedział odwołaniem xięcia Lieven z Anglii [1]). Taki stan rzeczy przeciągnął się aż do upadku whigów i objęcia władzy przez torysów w grudniu 1834. Nowy prezes gabinetu, sir Robert Peel, i minister spraw zagranicznych, x. Wellington, nakłonili Wilhelma IV do zamianowania na opróżnioną posadę lorda Londonderry. Tym razem wybór zadowolnił cara, ale oburzył Anglię. Poseł Sheil postawił wniosek o cofnięcie nominacyi, «gdyż Anglia potrzebuje w Petersburgu człowieka, mającego pogląd jasny na politykę moskiewską i zdolnego stawić jej czoło, a lord Londonderry nie posiada tych warunków». Cutlar Fergusson poparł Sheila, przypomniał, że już czwarty raz staje przed izbą w obronie traktatów, któremi W. Brytania zawarowała narodowość polską i że, gdy ostatni raz tę sprawę poruszył (9 lipca 1833), ówczesny kierownik polityki zagranicznej, lord Palmerston, sam stwierdził zgwałcenie traktatu wiedeńskiego i zaręczył, że Anglia nie uznała obecnego stanu Polski i upomniała się o jej zgwałconą konstytucyę. Fergusson wyraził nadzieję, że i teraźniejsze ministeryum, działając zgodnie z poprzedniem, nie da się przedstawić w Petersburgu przez człowieka znanego z wręcz przeciwnych zapatrywań. Na dowód przytoczył słowa lorda Londonderry, wypowiedziane przed izbą lordów w sierpniu 1834: «Rosya ma wszelkie prawo trzymać się własnej polityki w Turcyi, skoro Anglia działa niezgodnie z traktatem wiedeńskim w sprawie belgijskiej a w Polsce udziela zachęty buntowniczym poddanym cesarza rosyjskiego.» «Mniemam»,

---

[1]) Planta, podsekretarz ministerstwa spraw zagranicznych, pisał do Canninga o odwołaniu x. de Lieven (23 lipca 1833 : «Gioia! Gioia! byle tak się stało. My na tem tylko skorzystamy.» (The life of the R. H. Stratford Canning, viscount Stratford de Redcliffe, by Stanley Lane-Poole. T. II, str. 20)

kończył Fergusson, «że nikt dotąd w Anglii, na jakiembądź stanowisku, nie ośmielił się nazwać Polaków buntownikami. Konstytucya i niepodległość Królestwa były im zabezpieczone i mieli do nich równe prawo, jak car do swej korony. Izba i przeszły minister spraw zagranicznych przyznali, że opór Polaków przeciw Rosyi był usprawiedliwiony i że nie można nazwać go buntem. Czyż godzi się posyłać obecnie do Rosyi ambasadora, który oświadczył się przeciw sprawie nieszczęśliwego narodu polskiego i orzekł, że rząd angielski niesłusznie i zanadto ujął się za nim?»

Inni członkowie z równą siłą wystąpili «przeciw nominacyi, jeśli nie jest jeszcze dokonaną a za cofnięciem jej, jeśli już podpisana». Prezes ministrów, sir Robert Peel, bronił lorda Londonderry i oświadczył, że nie będzie doradzał królowi cofnięcia podpisu. Po przemówieniu pierwszego ministra, kilku jeszcze mówców, nie tylko z pomiędzy przeciwników rządu, ale i jego zwolenników, wyraziło wstręt powszechny w Anglii do wyboru lorda Londonderry. Lord Dudley Stuart powiedział: «Gdybym pragnął porażki ministeryum, cieszyłbym się z tej nominacyi, ale, nie życząc sobie jego upadku, martwię się krokiem tak nieroztropnym. Nie pojmuję, co mogło skłonić xięcia Wellington do podobnego wyboru. Niema rzeczy, któraby mu tyle zaszkodzić mogła w oczach Anglików.» Następnie przytoczył słowa Paskiewicza do jednego z Polaków: «Amnestya jest dla Europy, Syberya dla was», i żądał, by nie trzymano izb w niewiadomości co do postępowania Moskwy w Polsce i Turcyi.

Po innych przemówieniach w tym duchu, Sheil oznajmił, że odstępuje od wniosku, «gdyż sam przebieg posiedzenia powinien skłonić lorda Londonderry do zrzeczenia się stanowiska, na którem naród angielski nie pragnie go widzieć».

Biograf lorda Londonderry robi uwagę, że gabinet znalazł się po tej rozprawie w trudnem położeniu, ale że

lord Londonderry wyprowadził go z kłopotu: «Dowiedziawszy się nazajutrz z dzienników o rozprawach w izbie gmin, oświadczył tegoż dnia w izbie lordów, że żaden wzgląd nie wymoże na nim po tem, co zaszło, przyjęcia urzędu, jaki J. K. Mość łaskawie mu przeznaczył. Czułby się w fałszywem położeniu, z umniejszonym wpływem i nie mógłby się wywiązać ze swego poselstwa z należytą godnością i dobrym skutkiem[1].» Tegoż dnia (16 marca 1835) lord Dudley Stuart z niemałem zadowoleniem zaznaczył w izbie niższej, że «lord Londonderry zmuszony był wyrzec się ambasady petersburskiej z powodu obelgi, rzuconej na najszlachetniejszy naród, jaki kiedykolwiek stanął do walki w obronie swej niepodległości».

Wielki stronnik Moskwy, x. Buckingham[2]), ubolewając w swoich wspomnieniach nad krzywdą wyrządzoną lordowi Londonderry, pisze: «Człowiek ten najszlachetniejszego charakteru, wielkich zdolności, znakomitego rodu, mile widziany przez cesarza rosyjskiego, został pozbawiony możności służenia swemu krajowi w chwili, kiedy porozumienie londyńskiego dworu z petersburskim wielce było pożądanem dla obu. Można przypuścić, że niedorzeczna polityka Anglii, której uwieńczeniem była wojna krymska, rozpoczęła się z tym dniem i że byłoby się oszczędziło wiele krwi i grosza, gdyby lordowi Londonderry danem było spełnić ważne posłannictwo, jakie mu król powierzył[3]).»

Doroczne posiedzenie Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski odbyło się 28 marca 1835; wziął w niem udział po raz pierwszy były kanclerz i słynny mówca,

---

[1]) Lives of lord Castlereagh and sir Charles Stewart, the second and third marquesses of Londonderry, by sir Archibald Alison Bart. T. III, str. 263.

[2]) Ryszard Plantagenet Campbell, drugi x. Buckingham i Chandos (1797—1861).

[3]) Memoirs of the courts and cabinets of William IV and Queen Victoria. Duke of Buckingham and Chandos. T. II, str. 409.

lord Brougham; przemawiali prezes Towarzystwa Beaumont[1]), wiceprezes, lord Dudley Stuart i świeżo przybyły z Ameryki pan Abden, który zdawał sprawę z przykrego położenia Polaków w Stanach Zjednoczonych, wskutek nieprzychylności, jaka się tam ku nim rozwijała pod wpływem moskiewskim[2]).

Uchwalono, że Towarzystwo złoży podziękowanie burmistrzowi (lord mayor) Londynu i radzie miejskiej za ich wielką hojność i gościnność podczas wspaniałego balu, danego 27 listopada 1834 w ratuszu na korzyść ubogich Polaków; dnią tego we wspaniale przystrojonych i oświeconych salach zebrało się 4.000 osób wszystkich stanów i stronnictw, wiedzionych współczuciem dla Polski.

Na temże posiedzeniu Towarzystwa postanowiono rozpocząć wydawnictwo, któreby broniło choć pośrednio sprawy polskiej. Wydawnictwo takie o tyle było potrzebniejszem, że poprzednie czasopisma: «Polonia» w Londynie i «Polish Record» w Hull, założone w 1832, wielką na razie oddawszy przysługę, dla braku funduszów upadły. Lord Brougham przyrzekł zamierzonemu dziełu pomoc «Towarzystwa pożytecznych nauk», którego był członkiem, a prezes «Assocyacyi», hojny i bogaty W. Beaumont, wziął na siebie koszta wydawnictwa w kwocie 36.000 fr., zysk zaś, gdyby się okazał, postanowił oddać do kasy

---

[1]) Tomasz Wentworth Beaumont (1792—1848), gorący liberał i reformista, poseł do parlamentu z Northumberland 1818—1826 i 1830—1837, drugi prezes Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski, założyciel kwartalnika: «The British and Foreign Review, or European Quarterly Journal». Wielki przyjaciel Polaków; korzystając z wolności, zostawionej pod tym względem protestantom, dał jednemu z swych synów na chrzcie św. imiona: Dudley-Zamoyski. (Burkes Peerage, baronetage aud knightage, 1907, str. 38)

[2]) X. Adam wiedział dobrze, jak ciężka dola czeka wychodźców w Ameryce; to też Zamoyski w jego imieniu, w lutym 1835, otrzymał po długich staraniach od rządu francuskiego przyjęcie do Francyi nowego transportu pięćdziesięciu ośmiu wychodźców, odstawionych przez Austryę do Tryestu dla wyprawienia ich stamtąd do Stanów Zjednoczonych.

«Assocyacyi». Kwartalnik, «The British and Foreign Review», miał wykrywać działania moskiewskie, gdziekolwiekby dały się dopatrzeć a można powiedzieć, że dla uważnego badacza przejawiały się one wszędzie, gdyż wszędzie Moskwa starała się wpływ swój wywierać. Nowy przegląd miał tedy bronić Polski, wojnę wydając Moskwie.

W kilka tygodni potem, 30 maja 1835, lord Dudley Stuart zawiadamiał x. Adama, że w sam dzień 3 maja zawiązało się w Londynie Towarzystwo pań pod kierownictwem margrabiny Lansdowne dla wspierania ubogich Polaków, że posiedzenia tego Towarzystwa odbywać się będą co poniedziałek w biurze «Assocyacyi», 10 Duke street, St. James's i że pan Mackenzie, sekretarz honorowy «Assocyacyi», oddał się na usługi margrabiny i jej pomocnic

Z Edynburga lord Erskine[1]) donosił również, że za poprzedniem staraniem Niemcewicza i pani Cruicshank zawiązało się tam podobne stowarzyszenie pod przewodnictwem xiężnej Hamilton, na wzór towarzystwa założonego w Paryżu przez x. Czartoryską. Lord Erskine, wyrażając swą radość z tego powodu, dodawał, że «od najmłodszych lat sprawa Polski żywo go obchodziła, bo nauczony był wolność cenić nietylko dla własnego kraju».

---

[1]) Dawid Montagu, drugi baron Erskine (1776—1855), syn Tomasza, wielkiego mówcy i prawnika. Poseł w Stanach Zjednoczonych 1806—1809, w Wirtembergii 1825—1828, w Bawaryi 1828—1843.

IX

SUBSYDYA W ANGLII. — O LEGIĘ HISZPAŃSKĄ. — PORTFOLIO

Praca nad otrzymaniem subsydyów we Francyi nie była jeszcze ukończona, kiedy nadeszła chwila podjęcia podobnych zachodów w Anglii.

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 6 czerwca 1835.

Zaszła mi potrzeba niespodziana jechania do Londynu; jadę jutro. Tracę tym sposobem podróż z wujem do Bretanii, na którą się cieszyłem. Powód do mojej podróży: wątpliwość, czy ministrowie zechcą ponowić na ten rok wsparcie zeszłego roku naszym przyznane. Przyjaciele nasi w Londynie nastają, bym się stawił z listem od wuja w celu nakłonienia ministrów. Mam nieco nadziei; gdybym jej nie miał, nie jechałbym. Rodacy wiedzą o mojem życzeniu, by się nasi żołnierze zaciągali do służby wojskowej a nie gnuśnieli w nieczynności. To też w razie, gdyby mi się nie udało subsydyów otrzymać, nie brakłoby ludzi, coby głosili, że pojechałem do Anglii, aby przeszkodzić ich udzieleniu.»

Zamoyski stanął w Londynie 9 czerwca. O swej podróży mówi tylko, że «morze było spokojne jak staw w Podzamczu». W chwili jego przyjazdu inne już ministeryum Anglią rządziło niż podczas niedawnych rozpraw

nad wyborem posła do Petersburga. Dnia 8 kwietnia torysi, po kilkomiesięcznych zaledwie rządach, ustąpili miejsca whigom. Na czele gabinetu stanął lord Melbourne[1]; sprawy wewnętrzne objął lord John Russel; zewnętrzne lord Palmerston; zarząd skarbu, w miejsce przychylnego nam lorda Althorp, mniej życzliwy Spring Rice[2].

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 12 czerwca 1835.

Widziałem lorda Palmerston; wyraził żal, że wychodźcy nie udają się do Kanady, gdzie wielu dawnych żołnierzy angielskich znajduje umieszczenie pomyślne jako rolnicy. Twierdziłem, że tak do tego, jak do wojskowego zaciągu we Francyi, potrzeba ufności w życzliwość rządów. Był bardzo uprzejmy, zostawił mi niezłą nadzieję.

Rzecz ciekawa, że lord Melbourne, który wyraźnie mówił lordowi Dudley: «nie lubię Polaków» a to, ile sądzić można, więcej z obojętności niż z niechęci, w tejże samej rozmowie dziwił się sympatyi, którą w narodzie angielskim upatruje dla nich i powiadał, że coraz się przekonywa, że, gdyby w czasie naszego powstania rząd angielski chciał wystąpić przeciwko Moskwie, nawet przyjść do wojny z nią, naród byłby tę wojnę poparł. Mamy za co ich przeklinać, tak za to, że nie zrozumieli tego w przeszłości, jak za to, że i dzisiaj opierają się popędowi narodu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«London, 89 Jermyn Street, 16 czerwca 1835.

W sobotę widziałem pana Spring Rice i lorda Melbourne, jednego po drugim. Pierwszy pięknemi słowy mnie witał, ale zaczął od oświadczenia, że decyzya już powzięta w radzie, żeby wsparcia nowoprzybyłym od-

---

[1]) Wilhelm Lamb, wicehrabia Melbourne (1779—1848), prezes ministrów 1835—1841.

[2]) Tomasz Spring Rice, od 1839 pierwszy baron Monteagle (1790—1866), kanclerz skarbu 1835—1839.

mówić [1]). Nie wahałem się mu oświadczyć, że przysłany będąc właśnie, by prosić o przyjęcie nowoprzybyłych na żołd, nalegać będę, póki stanowczej nie odbiorę odmowy, że deputacya izby niższej prosić go będzie o to (samo). Poczęliśmy rzecz rozbierać; powodów, jakie mu wykładałem, nie będę wyliczał, dość powiedzieć, że zmiękczyły kanclerza, skończył na zapewnieniu, że na ten rok nie ma nic przeciwko temu, ale że należy lorda Melbourne nakłonić do wniesienia na radzie tej modyfikacyi. Radził, by deputacya izby niższej także do lorda Melbourne się udała. Po dwakroć zapewniał, że zachowanie Polaków jest bez zarzutu i że to jedynie umożliwia proszenie izb o przedłużenie im subsydyów.

W parę godzin potem widziałem lorda Melbourne; przyjął mnie grzecznie, ale tylko po angielsku przemawiając, stąd konieczność dla mnie wykładania po angielsku całej rzeczy. Słuchał i nielitościwie milczał przez cały ciąg mego «speech». Nakoniec nalegał na potrzebę zapobieżenia temu, aby wsparcie nie ściągało coraz większej liczby (wychodźców). Zapewniałem, że tak nie jest, że nowoprzybyli przybyli nie z chęci, że z pomiędzy dawnych ci, którzy mogli, opuścili Anglię w liczbie stu trzydziestu a na ich miejsce przybyło tylko siedmdziesięciu, a że w tymże czasie Francya przyjęła nowych ośmiuset ośmdziesięciu. To porównanie liczb zdaje się mocno ich uderzać. Nareszcie lord Melbourne także zmiękł. Prócz Palmerstona, xięcia Sussex prosić będę o wstawiennictwo.

Fergusson zawsze jest zarówno nasz przyjaciel, ale pod względem działań parlamentarnych jest teraz zupełnie nie do użycia [2])»

---

[1]) Wychodźcom, którzy przyjechali do Anglii po 9 czerwca 1834 to jest po uchwaleniu pierwszych subsydyów.

[2]) Z powodu objęcia w Szkocyi urzędu ministra sprawiedliwości.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Hampstead, 7 lipca 1835.

Palmerston zanotował niektóre twierdzenia, mianowicie porównanie subsydyów tu i we Francyi dawanych, oraz tu płaconych do dziś dnia Hiszpanom[1]), które są więcej niż o połowę wyższe (od udzielanych Polakom). Nakoniec widziałem i lorda Lansdowne u siebie; poczciwy, dwa razy mnie odwiedzał[2]), i tego zobowiązałem do odezwania się w radzie. Wszystkim wystawiałem, że rząd może poprzestać na utrzymaniu sumy przeszłorocznej 10.000 f. szt., zostawiając, tak jak roku zeszłego, rozrządzenie i podział Towarzystwu literackiemu, że samo Towarzystwo będzie czuło potrzebę odwrócenia Polaków od dalszego przybywania. Argumenty te i inne zdawały się trafiać do tych trzech ministrów, każdy do innego. Lord John Russel w ten moment odpisał na mój list, zapewnia grzecznie, ale trochę sucho, że rząd postara się uczynić dla polskich wychodźców, ile mu obowiązek pozwoli.»

Mimo tych zachodów ministrowie odgrażali się, że, chociażby izba subsydya uchwaliła, będzie to pomoc ostatnia i że więcej się nie ponowi. Zamoyski wraz z lordem Dudley wszelkie poruszał sprężyny, by temu zapobiedz. Lord Dudley ściągnął na siebie zarzut lorda Melbourne, że zwaryował na punkcie Polaków: «Stuart is quite mad about the Poles».

W sam dzień rozprawy, 9 sierpnia, Zamoyski raz jeszcze napisał do kanclerza skarbu, błagając go, żeby łaskę, którą rząd chce uczynić nieszczęśliwym, uczynił w sposób jak najmniej dla nich dotkliwy i bez zapowiadania, jak na rok przyszły postąpić zamierza.

Poruszył i inne sprężyny. Miał w redakcyi Timesa kilku dobrze wyszkolonych przyjaciół. Jeden z nich,

[1]) Zmuszonym do opuszczenia kraju, po stłumieniu przez xięcia d'Angoulême rewolucyi hiszpańskiej w 1823 roku.

[2]) W czasie choroby, jaką Zamoyski wówczas przebył.

Alsager, na prośbę o artykuł w obronie subsydyów odpisał: «Kiedy chodzi o sprawę tak słuszną, jak wasza, nadzieja nigdy zupełnie zamrzeć nie może; co do nas, w każdej nadarzającej się sposobności, radzi będziemy jej służyć, o ile to będzie w naszej mocy. Nieustannie i gorąco Boga prosimy (constant and earnest prayer), aby krzywdy, jakie kraj wasz ponosi, były ostatecznie powetowane.»

Pan Alsager nie poprzestał na liście prywatnym. Z rana w sam dzień rozprawy wyszedł w Timesie artykuł, który wpaść musiał w oczy wszystkim członkom izby. Przytaczano w nim nowy ukaz cara, skazujący dwa tysiące czterystu Polaków na konfiskatę majątków i tłomaczono, że Anglia, trzymając skarb państwowy otworem dla polskich wychodźców, okaże przed Europą, jak się zapatruje na bezprawia, które tylu zacnych ludzi na głód skazują.

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 10 sierpnia 1835.

Donoszę, że subsydyum 10.000 f. szt. uchwalono wczoraj i w sposób lepszy niż w roku zeszłym, bo bez żadnej opozycyi, bez wymówek o próżniactwie a co najważniejsze bez zastrzeżeń, że na rok przyszły więcej nic nie dadzą. Żem się w tej sprawie przysłużył, to sobie przyznać mogę i radośnie, że z takim skutkiem, bo rzecz szła oporem.»

W liście do lorda Melbourne (3 września 1835) Zamoyski wyraża nadzieję, że rząd zechce i nadal, zgodnie z poczuciem narodu, okazywać się ojcowskim względem wychodźców, «dla nich zaś najpiękniejszy dzień zabłyśnie, gdy będą mogli, poświęcając się jakiej wspólnej z Anglią sprawie, wdzięczność swoją jej okazać».

Rozprawy nad budżetem doprowadziły izbę niższą do rozbierania w osobnej komisyi potrzeby i ważności konsulatów angielskich w różnych krajach i miejscowościach. Była to pożądana sposobność do wznowienia starań o konsula dla Krakowa.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«4 sierpnia 1835.

Ja tu posunąłem może już niedaleko kresu interes konsula. Oglądają się tylko na Francyę, ale komitet izby niższej i Palmerston, skąpcy (whigi) i torysy, wszyscy zarówno uznali słuszność żądania i ważność propozycyi. Fergusson wnosił takową z pism dawniejszych i z nowego, które wygotowałem i które myślę umieścić w «Polonais[1])», bo mi się wydaje dobre.»

W zasadzie tedy rzecz była postanowiona, ale tylko w zasadzie; dalszemu jej dochodzeniu przeszkodziło blizkie ukończenie rozpraw parlamentarnych. Zamoyski, nie chcąc, by sprawa poszła w niepamięć, napisał obszerne wyjaśnienie: «O dodatkowych stypulacyach traktatu wiedeńskiego co do Krakowa[2])». W piśmie tem wykazywał, że traktat wiedeński przez szczegółowe zawarowanie swobód Krakowa a mianowicie jego akademii, otwartej dla młodzieży z wszystkich części dawnej rzeczypospolitej, chciał postawić Kraków na straży narodowości polskiej, a że wbrew tym zobowiązaniom, niema niegodziwości,

---

[1]) Dziennik «Le Polonais», wydawany przez Władysława Platera w Paryżu 1833—1836.

[2]) Artykuł I tych stypulacyi orzeka, że Kraków ze swoim obwodem będzie uważany po wszystkie czasy (à perpétuité) jako miasto niepodległe i ściśle neutralne «pod wysoką opieką trzech rządów». Artykułem VI państwa opiekuńcze obowiązują się «po wszystkie czasy szanować neutralność miasta Krakowa z jego obwodem i strzedz, aby przez innych szanowaną była; żadne wojsko nie będzie mogło nigdy pod żadnym pozorem wkraczać do miasta». O tyle zabezpieczały się trzy rządy wzajemnie, ale jakie było zabezpieczenie dla Krakowa, o tem można sądzić z drugiej części tegoż VI artykułu. Postanawia ona, że w zamian za otrzymane przywileje, Kraków nie będzie miał prawa dawać przytułku ludziom uważanym przez jedno z trzech państw za zbiegów, dezerterów, złoczyńców i będzie obowiązany wydawać ich na żądanie państwa, którego są poddanymi. Jeżeli zaś rząd Krakowa nie zechce lub nie będzie mógł zadośćuczynić tym wymaganiom, trzy mocarstwa same wezmą na siebie wykonanie swych żądań.

którejby nie dopuszczały się trzy rządy dla zniszczenia tego ostatniego szańca polskiej myśli i polskiego ducha[1]).

Przy zamknięciu izb, 10 września 1835, Wilhelm IV dziękował im za gotowość, z jaką uchwaliły fundusze, nie tylko na pokrycie bieżących wydatków, ale i dla ulżenia niedoli tych, co się odwołali do poczucia sprawiedliwości i hojności angielskiego narodu. Łatwo było zrozumieć, że słowa królewskie odnosiły się do zapomogi uchwalonej dla Polaków.

Ale ratowała ona zaledwie pewną ilość wychodźców od nędzy; wiedział o tem Zamoyski, to też, nie czekając nawet zakończenia sprawy, wziął się do lepszego zorganizowania dopiero co założonego Towarzystwa dobroczynności pań angielskich.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«4 sierpnia 1835.

Towarzystwo dam jako tako w lepszym stanie zostawię niż zastałem za przybyciem. Jełowicki[2]) dopomógł. Z literackiego (Towarzystwa) mały zawsze użytek. Lord Dudley jeden pracuje, a i on zabity rozdzielaniem żołdów; próbuję go otrząsnąć z tego, aby więcej pilnował części politycznej. Używam niezmiernej łaski u ministrów: mówią o mnie z wielką łaskawością, nie wiem za co, ale będę wiedział z czasem, na co użyć. Palmerston dziwnie grzeczny, to mniejsza, ale jak rozumie nasze położenie, nasze życzenia i nadzieje, to dziwne i tem ważniejsze, że on coraz w znaczeniu rośnie między kolegami.

White nieborak, z przepaści i rozpaczy prawie raptem niespodziewanie dźwigniony na konsula w Granville pod Hawrem, szczęśliwy nad wszelki wyraz[3]).»

---

[1]) Pismo to ukazało się w «British and foreign Review», numer październikowy 1835

[2]) Alexander Jełowicki jeździł wówczas po Anglii.

[3]) White, po powrocie z Polski, nie od razu znalazł zajęcie i popadł w wielką biedę; Zamoyski gorąco go polecił lordowi Palmerston.

Zamoyski nie długo się wahał, jak wyzyskać okazywaną mu w Anglii życzliwość. W pierwszych dniach sierpnia rozeszły się po Londynie zaproszenia na wielką zabawę (festival) w Vauxhall, brzmiące jak następuje:

«poniedziałek, 14 sierpnia 1835.

Na korzyść polskich tułaczów w niedoli.

Pod wysoką opieką Ich K. W. xiężnej Kent[1]) i xięcia Sussex. Obecni będą: lord Melbourne, lord Palmerston, xiężna Sutherland[2]) etc.»

Dziwną się wydaje ta odezwa wobec tego, co Zamoyski pisał z Londynu w ubiegłych latach o odwadze, potrzebnej Anglikom, by się w wyższem towarzystwie przyznawać do stosunków z Polakami i do litości względem tych «buntowników, rewolucyonistów, demagogów, którzy spokój i porządek w Europie mącą swą niesfornością i niewdzięcznością dla cara», jak o wychodźcach mawiała xiężna Lieven. Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, co mówiono w poselstwie moskiewskiem 14 sierpnia o polskich orłach, rozwieszonych na «Vauxhall» z napisem: «Jeszcze Polska nie zginęła», co mówiono na pieśń tę odegraną przez orkiestrę w obecności królewskich opiekunów.

O tymże czasie i w Belgii odezwały się głosy życzliwe dla Polaków.

W sierpniu 1835 rząd belgijski domagał się od izb uchwalenia prawa, na mocy którego mógłby wydalać cudzoziemców, burzących spokój w Belgii. Prawo to miało głównie na celu francuskich karlistów i republikanów, ale dotyczyło i Polaków.

---

[1]) Wiktorya Marya Ludwika (1786—1861), xiężniczka sasko-koburska, siostra Leopolda I, króla Belgów, żona xięcia Edwarda Kent, czwartego syna Jerzego III, matka królowej Wiktoryi.

[2]) Henryka Elżbieta Georgina (1806—1868), córka Jerzego, szóstego hrabiego Carlisle, żona Jerzego Granville, drugiego xięcia Sutherland, pierwsza dama dworu królowej Wiktoryi i długoletnia opiekunka Polaków.

Wielu członków izb powstało przeciw temu wniokowi; jeden z nich, poseł Jullien, twierdził, że od kilku lat żaden cudzoziemiec nie zakłócił spokoju Belgii, a wszyscy żyliby odtąd pod ustawiczną groźbą wydalenia, nie dla tego, żeby zawinili przeciwko krajowi, który im przytułku udzielił, ale dlatego, żeby pierwszy lepszy urzędnik mógł ich kosztem zaskarbiać sobie łaski jakiego obcego poselstwa. «Wy tu, panowie, spokojnie zajmujecie wasze poselskie krzesła», zakończył swą mowę pan Jullien, «ale wyście też mieli waszą rewolucyę, mieliście pana, któregoście z jego posiadłości wyrzucili. Któż wam ręczy, że nie będziecie kiedyś zmuszeni żebrać dachu i chleba na obcej ziemi? Zastosujcie się do rady Ewangelii, czyńcie dla nieszczęśliwych wygnańców to, cobyście chcieli, żeby wam uczyniono. Nie narażajcie się na to, abyście się mieli rumienić przed nimi, przed ich ziomkami, gdyby wam przyszło do ich kraju się schronić.»

Zmartwienia i niepokoje, jakie raz po raz na Zamoyskiego spadały, przy ciągłej wytężonej pracy, ciężko się na zdrowiu jego odbiły. W tydzień po przybyciu do Anglii, gdy starania o subsydya ledwo były rozpoczęte, poważnie zaniemógł.

Władysław Zamoyski do matki:

«23 czerwca 1835.

Zachorowałem na żółtaczkę; można się domyślić, ile mi to nie na rękę przy niedokończonych interesach tutaj i wołających mnie napowrót do Paryża. Doktora przyprowadził mi poczciwy lord Dudley Stuart, który mnie odwiedza dwa razy na dzień. Cieszę się, że tu mnie ta słabość napadła, bo tutejsi doktorzy nierównie śmielsi od francuskich; kogo nie zabiją, to pewnie wyleczą. Jedna w nich niedogodność to szalone ceny, gwinea od wizyty, apteka jeszcze szaleńsza. Nie mam służącego, ale mnie pielęgnuje infirmierka stara, poczciwa i staranna, ona też dwie gwinee tygodniowo kosztuje.

Racz Matka to ojcu czemprędzej przedłożyć, bo ja tu wcale lekko opatrzony przybyłem. Tylko proszę bardzo, żeby mi Matka nic nie przysyłała, i tak już wiele czyni dla mnie; nie chcę, żeby Matki dary szły na opłacenie tak niemiłej rzeczy, jak choroba; to z prawa i z obowiązku na kochanego ojca spada. Muszę kończyć, bo mi każą leżeć bez ruchu, ni myśli. Stara «nurse» zrzędzi i nazywa mnie: «naughty boy», zwłaszcza jak jakiego dyabła wzywam. Kiedym cierpiał mocno, wołałem o pomoc do Boga, ale wnet myśl moja na Matki chorobę wyłącznie się zwracała i kończyłem, jak zwykle, prosząc o Matki zdrowie i już mi się o nic więcej prosić nie chciało. Ściskam cię, Matko, ściskam i kocham i tęsknię do czasu, kiedybym z tobą pożył i przy tobie spoczął i tobie był podporą.»

Jak się Zamoyski musiał z pieniędzmi liczyć, świadczy książeczka jego wydatków. Widać z niej, że w pierwszym tygodniu pobytu w Anglii wydał na swe utrzymanie dwadzieścia sześć szylingów, w drugim siedmnaście, a w trzecim jedenaście; co było w następnych tygodniach, niewiadomo, ale że nie było dostatnio, można sądzić i z listu, który odebrał podczas swej choroby od lorda Carnarvon [1]); daje on pojęcie o dostatkach tych nawet między emigrantami, którzy uchodzili za bogaczy.

«Bardzo się zmartwiłem», pisał lord Carnarvon, «dowiadując się, że jesteś chory. Ufam, że się nie obrazisz, iż, wiedząc o chwilowych trudnościach, w jakich się znajdujecie z powodu nieszczęśliwego stanu twej ojczyzny, proszę, byś tak dalece był na mnie łaskaw i przyjął załączoną tu odrobinę. Mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co, pod naciskiem podobnych politycznych wypadków, jabym chętnie od ciebie przyjął. Proszę, uczyń mi tę łaskę i wierzaj, że ci jestem szczerze oddany.»

---

[1]) Henryk, trzeci hrabia Carnarvon (1800—1849.

Zamoyski odpisał: «Nie tylko nie jestem obrażony, ale, przeciwnie, do najwyższego stopnia wzruszony postępkiem twoim, bo mi dowodzi, żeś odziedziczył po ojcu współczucie dla naszego narodu. A skoro twój szwagier wymógł na mnie obietnicę, że nie odmówię tego, coś mi przysłał, myślę, że odpowiem twemu zamiarowi, prosząc, abyś mnie upoważnił do użycia twego daru, dwudziestu pięciu f. szt., na rzecz Towarzystwa przyjaciół Polski, do których tak słusznie się zaliczasz. Chciej mi powiedzieć, czy zezwalasz? Ja zaś winienem twojej przyjacielskiej troskliwości zaręczenie, że nie jestem w potrzebie, przeciwnie mogę z nieszczęśliwszymi od siebie rodakami dzielić się tem, co posiadam. Twoje dobrodziejstwo dla nich będzie mi cenniejsze niż gdyby mnie samego dotyczyło.»

Niemniej hojnym od lorda Carnarvon okazał się lekarz Zamoyskiego, dr Marshall Hall; całkowite wynagrodzenie za lekarską posługę przy nim posłał do Towarzystwa dobroczynności dla ubogich wychodźców.

X. Adam, dowiedziawszy się o chorobie Zamoyskiego przez lorda Dudley Stuart, pisze do siostrzeńca: «Wszyscy znajomi zmartwili się twoją chorobą, bo wszyscy bez wyjątku, ale wszyscy cię lubią, bo też wszystko zawsze dajesz a mało co wymagasz.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Hampstead, 7 lipca 1835.

Jestem tu od dwóch dni z rozkazu lekarza, w ładnej miejscowości na wzgórzu, trzy mile angielskie od Londynu, wsławionej z orzeźwiającego powietrza.

Mam pokoik z widokiem na to nieskończone ogromne miasto, otoczone mgłą i dymem. Jestem sam jeden i nikomu nie powiedziałem o mem pustelniczem schronieniu, bo nie uszedłbym wizyt licznych. Jeden tylko White odwiedza mnie i wysługuje mi się z niewymowną grzecznością i pilnością. On mi wyszukał ten doskonały i tani pokoik, on dwa razy w tydzień przywozi mi listy z Paryża przez ambasadę angielską przysyłane i odwozi

moje. Przechadzam się jak najwięcej, czytam i piszę, unikając wszelkiej pracy, o co mi najtrudniej, bo nie umiem zająć się byle czem; owszem, zdaje mi się zawsze, że ulżę naprężeniu umysłu, gdy wypiszę, co mam na myśli to jest gdy uczynię tyle, ile jest w mojej mocy dla dopięcia celu, który mnie zajmuje. Zdrowie się polepsza, siły zaczynają wracać. Okolica tu bardzo ładna, pagórki zielone, w odległości widać wioski z ładnemi kościołkami; gdybym umiał rysować, tobym nieraz miał ochotę. Przed wieczorem wychodzę na błonia (commons), na których zawsze kilka partyi «criquet» się rozgrywa i mnóstwo dzieci się bawi. O dziesiątej idę a przynajmniej mam iść spać, ale często ulegam rodzinnemu nałogowi i przedłużam nieco.

W pośród ogromnych wydatków, wynikłych z choroby, trafił mi się inny znowu, który zrobiłem w myśli, że ojciec go pochwali. Był tu portret Jadwini (x. Leonowej Sapieżyny) u Haytera[1]), daleko już posunięty, ale nie skończony; przyznam, żem bardzo kontent z tego nabytku i radbym go zatrzymać, ale kieszeń wyschła, przeto proszę go ojcu ofiarować. Dobrze też, że portret Jadzi z rąk niewiernych wydobyty.»

W Hampstead, 10 lipca 1835, doszła Zamoyskiego wiadomość o śmierci x. jenerałowej Czartoryskiej w dniu 17 czerwca. Śmierć jej była dla niego ciosem tem dotkliwszym, że wiedział jak wielkiem będzie zmartwieniem dla wuja i matki.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Hampstead, 10 lipca 1835.

Żałuję nad wyraz, że nie jestem przy Wuju. Zdaje mi się, iż nikt mnie nie zastąpi, nikt tyle współczucia nie okaże, nikt nie potrafi serca i umysłu ugłaskać, jakbym ja mógł przy takiem przywiązaniu, jakie mam do niego. Niedość, że strata bolesna, idzie jeszcze za nią

---

[1]) Sir George Hayter (1792—1871), malarz nadworny.

wiele smutnych następstw, które czynią ją dotkliwszą; rozerwie się to ognisko, około którego nie przestawało się gromadzić tyle uczuć nam wspólnych, nam nawet poświęconych.

Chciałbym Wuja kochanego żal koić a czuję, że mnie samego mocno dotyka, a gdy pomnę o mojej biednej matce, natenczas najsłabszym się czuję. Już miarkuję po długiej przerwie w jej listach, że ta wiadomość ją doszła i wstrząsnąć musiała nader dotkliwie.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«18 lipca 1835.

Masz racyę, że nikt, jak ty, nie byłby mnie zrozumiał, nikt, jak ty, nie może odczuć mego żalu i powodów do niego. Twoje współczucie prędzej i słodziej byłoby mnie rozrzewniło i dałoby ci prawo wymagać odemnie mocy i rezygnacyi. Broń mnie od zniechęcenia i jakiejś niemocy moralnej, od której po zbyt dotkliwych stratach trudno się obronić. Na nabożeństwie żałobnem rodacy wszelakich odcieni licznie się zebrali; bardzo mnie to wzruszyło.»

Tego rodzaju oznaki współczucia dochodziły xięcia i z kraju. Pani Działyńska pisała z Wysocka: «Jakaż to słodka pociecha widzieć, że żal nasz jest rozumiany i podzielony nie tylko przez tysiące ludzi, których babunia tak szczodrze swemi dobrodziejstwy wspierała, ale nawet przez takich, którzy jej osobiście nie znali. Otaczaliśmy jej zwłoki wraz z księżmi i mnóstwem ubogich, którzy ją jak matkę opłakiwali. Na nabożeństwie ogromny był napływ ludzi. Dużo jest rzeczy, których o niej ze względu na policyę głosić nie można, ani ich podawać za przykład, ale o tych wszycy wiedzą.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Hampstead, 13 lipca 1835.

Moja Matko droga, biedna, kochana Matko! Uderzył w nas tedy ten cios bolesny tak długo przez łaskawość bożą opóźniany a tem samem prawie więcej jeszcze bolesny, bośmy się oswajali z nadzieją, coraz mniej uspra-

wiedliwioną. List Jadwisi, acz krótki, daje szczegóły ile być mogą pocieszające o końcu kochanej babuni spokojnym, przytomnym, pełnym dowodów jej dobroci.

Dziś wysłuchałem mszy św. za jej duszę i dopiero uczułem ulgę w zmartwieniu, gdym pomniał, że ją spotyka już teraz nagroda za długie, zacne, piękne i użyteczne życie. Biedny wuj, ileż to razy pocieszaliśmy się wzajemnie nadzieją, że Bóg nam ją dochowa do chwili, gdy ją znowu otaczać staraniem będziem mogli. O biednej cioci Wirtemberskiej ani śmiem myśleć, dla niej to dopiero strata; gdzie się obróci, gdzie głowę złoży. Ściskam Matkę drogą, kochaną, dziś tak biedną niestety. Mój Boże, ileżbym nie dał, żeby spędzić chwil kilka przy tobie, Matko moja.

Odebrałem w tej chwili kilka słów od wuja, smutnych, bolesnych, ale spokojnych. Wyjechali wszyscy do Montmorency na czas krótki.»

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Richmond, 21 lipca 1835.

...Mój obecny konik i moja obecna meta to Hiszpania i możność utworzenia tam nareszcie zawiązku (wojskowego), który, jak wiesz, był mojem głównem pragnieniem od czterech lat. Przedsięwzięcie pod niejednym względem mało nęcące, lecz odpowiada naszemu celowi gromadzenia rozproszonych sił z nadzieją pewnej trwałości.

Niezmierną miałbym ochotę tysiączne szczegóły ci opowiedzieć o moim obecnym tutaj pobycie, który, mimo choroby, bardzo był zajmujący. Zrobiłem, słyszałem, widziałem niejedną rzecz pożyteczną. Osobliwsza jest różnica między mojem życiem w Paryżu a tutaj, tutaj a gdziekolwiek indziej. Szczególnym zbiegiem okoliczności jestem tu figurą, dla której najznakomitsi ludzie a tembardziej mniejsi mają względy i jakieś poważanie; to ostatnie po większej części pochodzi z poważania, jakie mają dla wuja i dlatego, że mnie przy nim poznali.»

Wiadomość o jednym z «tysiącznych» szczegółów, o których Zamoyski wspomina w powyższym liście, przechowała się w jego luźnych zapiskach:

«14 lipca 1835.

Byłem dziś rano u jenerała Alava[1]). Uważałem od dawna niezwykłą jego dla mnie uprzejmość i życzliwość coraz w ostatnich czasach wzrastającą. Dziś w rozmowie o formacyi legii polskiej we Francyi (dla Hiszpanii), gdy nadmieniłem o udziale, jaki w niej chcę mieć: «O, co do ciebie», odpowiedział, «to inna sprawa, dla ciebie rzeczy tak się urządzą, jak sam zechcesz; możesz mnie w tem wszystkiem uważać i używać, jako swego pełnomocnika.» Dziękowałem serdecznie staremu jenerałowi za jego dla mnie łaskawość, aż on mi powiada: «Ale bo nie wiesz, ot, czy zdolnym jesteś tajemnicy dochować?» «Oczywiście», odpowiedziałem. «A więc, czy wiesz, że dużo się tobą w tych czasach zajmowano? Temu dni kilka, kiedyś mnie tu zostawił z Mendizabalem[2]), mówiliśmy o tobie jako o mężu dla dona Maryi[3]) a w godzinę potem obaj mówiliśmy o tem lordowi Palmerston. Mendizabal, jak wiesz, rządzi Portugalią i o wszystkiem postanawia, jak sam chce. On pierwszy o tem pomyślał.» Zdziwiony nad wyraz, nie wiedząc, jak to przyjąć, udałem, że biorę to za żart, ale on tem silniej tłomaczył, że tak było istotnie i ponawiał zlecenie zachowania tajemnicy. Zapewniłem, że pewno nie ja ją wydam, bobym się nie chciał wystawić

---

[1]) Don Miguel Ricardo de Alava (1771—1843), jenerał hiszpański, poseł w Hadze, następnie w Londynie, powszechnie szanowany dla nieskazitelnej zacności charakteru.

[2]) Juan Alvarez Mendizabal (1790—1853), bankier i polityk liberalny hiszpański, kilkakrotnie minister skarbu, w 1835 ajent Portugalii w Londynie.

[3]) Dona Marya II da Gloria, królowa portugalska, świeżo owdowiała po dwumiesięcznem małżeństwie z x. Augustem Leuchtenberskim, wydana powtórnie za mąż w 1836 za x. Ferdynanda Koburg-Kohary.

na niechybny śmiech. Gdy powtórnie nalegał, że mówi poważnie, przestałem na prostem wyrażeniu zadziwienia, w które mnie jego słowa wprawiają i z naciskiem okazałem chęć mówienia o czem innem, chroniąc się od wydania przed nim mojej myśli, żebym nie porzucił ani dla tronu mojej emigranckiej czamary i tej szabli, którą ojczyźnie jeszcze służyć mam nadzieję. Ta w istocie jedna myśl mi się nasuwała, ale czułem niestosowność wyjawienia jej.

Przypominam sobie teraz, że przed kilkunastu dniami Mendizabal zastał mnie u jenerała Alava; nie znaliśmy się. Alava mnie przedstawił z wielu słowami grzecznemi, mówiąc, żem jest siostrzeńcem x. Czartoryskiego, na co Mendizabal powiedział, że wie o tem i że my podobno pochodzimy ze szczepu królewskiego w Polsce. Mówił to po hiszpańsku, przeto udałem, że nie rozumiem. Ale biedna ta królowa dona Marya, kiedy na takim musi polegać swacie, biedny ten kraj, któremu tak trudno o króla. Ja ich z tej trudności nie wyprowadzę. Osobliwszy czas, kiedy narody takim podlegają przypadkom, osobliwszy świat, w którym taki niedostatek ludzi!!»

W pismach Zamoyskiego niema dalszej wzmianki o tej rozmowie. Łatwo pojąć, jak rządy Francyi i Anglii, żyjące w nieustannej obawie politycznych zawikłań z Moskwą, przyjęłyby pomysł panów: Alava i Mendizabal. Niemniej łatwo pojąć, coby car Mikołaj nań powiedział. Bądź co bądź, można przypuścić, że nadzwyczajna w owym czasie uprzejmość lorda Palmerston dla Zamoyskiego pochodziła w pewnej mierze ze zwierzeń obu posłów i pomogła Zamoyskiemu w załatwieniu niejednej sprawy.

Nadzieja utworzenia polskiej legii w służbie hiszpańskiej ściśle była związana z ówczesnym stanem politycznym tego kraju. Od śmierci Ferdynanda VII w 1833 toczyła się tam zacięta wojna domowa między stronnictwami Karlistów i Krystynosów. Karliści wierni prawu

salickiemu, wprowadzonemu do Hiszpanii przez pierwszego Burbona, Filipa V (10 maja 1713), chcieli wynieść na tron don Carlosa, młodszego brata zmarłego króla. Don Carlos, jako zwolennik absolutyzmu, popierany był przez Moskwę, Austryę i Prusy. Krystynosi, zgodnie z ostatnią wolą Ferdynanda VII, bronili praw jego małoletniej córki, Izabelli, i jej matki, regentki Krystyny. Krystyna, jako przedstawicielka zasad konstytucyjnych, popieraną była przez Anglię i Francyę.

W 1834, 10 kwietnia, królowa Krystyna, czyniąc zadość żądaniom swych stronników, ogłosiła konstytucyę a 22 kwietnia tegoż roku zawarła z Portugalią, Francyą i Anglią tak zwane «poczwórne przymierze» przeciw don Carlosowi, który ciągłe nad jej jenerałami odnosił zwycięstwa.

Portugalia wysłała wojska na pomoc Krystynosom. Anglia i Francya, nie chcąc się narazić trzem dworom północnym, które nie uznawały Izabelli za prawowitą królowę Hiszpanii, odmówiły wyraźnego wystąpienia w jej obronie, ale że sprzyjały stronnictwu konstytucyjnemu przyszły mu jednak z pomocą choć w pewnej mierze. Anglia upoważniła pułkownika Evans do wystawienia na jej koszt dziesięciotysięcznej legii z ochotników, wbrew poprzednim rozporządzeniom Jerzego III, które zakazywały poddanym Wielkiej Brytanii przyjmować służbę w obcem wojsku[1]).

Rząd francuski dozwolił zaciągać we Francyi ochotników do wojska hiszpańskiego i oddał, konwencyą z 28 czerwca 1835, pod rozkazy Krystyny legię zagraniczną z gotowością powiększenia jej z 5.000 na 10.000 żołnierza. Polski batalion miał wraz z całą legią być

[1]) Z zapisków Zamoyskiego widać, że i kilku Polaków zaciągnęło się do legii Evansa: Adam Wahulewicz, żołnierz z jazdy wołyńskiej, Józef Kunicki z 4 pułku ułanów, Kazimierz Czarnecki i Stanisław Pawlicki z 4 pułku piechoty liniowej.

przewieziony na statkach wojennych francuskich do hiszpańskich portów. Oficerowie, którzy nowej służby odmówili, odesłani zostali do Francyi.

W pierwszych dniach czerwca, gdy się rozeszła we Francyi wiadomość o mającej się zawrzeć konwencyi, jenerał Dembiński ofiarował rządowi francuskiemu i hiszpańskiemu swe usługi na dowódcę legii pod warunkiem, że polscy wychodźcy, którzyby pragnęli do wyprawy należeć, będą się tymczasem organizowali w Paryżu.

Zamoyski, chociaż tak gorący zwolennik polskich wojskowych formacyi, że mógł o nich pisać do brata: «one były mojem głównem pragnieniem od czterech lat», nie sądził jednak, by Polakom należało wstępować do służby hiszpańskiej na jakichbądź warunkach. Nim go doszła wiadomość o konwencyi z 28 czerwca, pisał z Londynu do x. Adama (30 czerwca 1835): «Jeśli coś hiszpańsko-polskiego się rozpocznie, nie mogę dość nalegać, by głosić i wmawiać we Francuzów, że to się nie może zrobić inaczej, jak tylko za ich pomocą, według ich przepisów, dla ich ostatecznego użytku. Inaczej nie wiem doprawdy, czy warto co robić. W istocie dla samej Hiszpanii i żeby po powróceniu tam spokoju zostać na koszu i wrócić znowu do Francyi na «réfugiés», to doprawdy nie warto, nieledwie powiem, że nie należy. Jeżeli co formujemy, to nie dla sprawy cudzej, ale dlatego, by naszą krwią w sprawie cudzej przelaną okupić korzyść naszą to jest zebrać i ustalić hufiec narodowy. Cokolwiek czynimy, tracić tego z oka nie powinniśmy. Innym ochotnikom zapewniają się korzyści osobiste, wynagrodzenia pieniężne dla wysłużonych, dla ich wdów i sierot; my w miejsce tych korzyści żądać winniśmy warunków dla ogółu a najprzód dalszego, po skończonej teraz potrzebie, trwania korpusu.»

Rząd hiszpański nie przyjął zrazu usług Dembińskiego. Xiążę de Frias[1]), poseł królowej Krystyny, ofiarował dowództwo legii jenerałowi Desmichels, który krótko przedtem opuścił Oran[2]). Dembiński oświadczył gotowość zajęcia się mimo to organizacyą polskich ochotników. «Kocham Dembińskiego», pisze Zamoyski (9 lipca 1835), «że chce iść pod rozkazy Desmichelsa. Taką drogą poświęcenia dla rzeczy a zaniechaniem osobistych pretensyi dojdziem może do czegoś.» Przez chwilę zdawało się, że i Zamoyski pod rozkazami jenerała Desmichels służyć będzie, gdyż marszałek Maison, na przedstawienie tegoż jenerała, zgodził się na to. Wnet jednak postać rzeczy się zmieniła. Jen. Desmichels, przekonawszy się, jak to pisał do Zamoyskiego (13 lipca 1835), że «Ludwik Filip a za nim wszyscy ministrowie, z wyjątkiem Thiersa, chcą jak najmniej mieszać Francyę, nawet pośrednio, do sporów hiszpańskich», zrzekł się dowództwa. Na jego miejsce przedstawił się powtórnie Dembiński. Dnia 6 lipca 1835 był u marszałka Maison i u pana Thiers. Od obu doskonale przyjęty otrzymał oświadczenie, że wszelkiemi sposobami będą go wspierali i obiecują armaty i broń, byle poseł hiszpański tego się domagał. W przeddzień x. Adam był na obiedzie u Thiersa, gdzie mu po-

---

[1]) Bernardyn Ferdynand de Velasco y Pimentel, x. Frias (1782—1851), poeta, poseł nadzwyczajny w Paryżu od 8 lutego 1834 do 6 grudnia 1835.

[2]) Wiadomo, że jen. Desmichels zamierzał ograniczyć władzę francuską w regencyi Oranu do wybrzeży morza Śródziemnego, pozostawiając panowanie nad wnętrzem kraju Abd el-Kaderowi. Władze algierskie, przeciwnie, chciały przeszkodzić rozwijającej się potędze Abd-el-Kadera i ustalić panowanie Francyi nad całą regencyą. Wskutek tych nieporozumień jen. Desmichels opuścił Oran. Następca jego, jen. Trézel, po kilku szczęśliwych potyczkach z Abd-el-Kaderem, poniósł w walce z nim ciężką porażkę w przesmyku nad brzegami Makty, 28 czerwca 1835. Legia zagraniczna wzięła udział w tej bitwie; jen. Trézel w raporcie do ministra wojny wyraził się zaszczytnie o Polakach, którzy w niej walczyli.

wiedziano, że legię oddają pod komendę Dembińskiego. «Nie można tego zrozumieć», pisze xiążę, «ale trzeba przypuścić, że z kolizyi hiszpańskiej i francuskiej próżności zrodził się Dembiński.»

Z listów Dembińskiego [1]) i z kopii pism urzędowych [2]) widać, że podał on 8 lipca 1835 xięciu de Frias i ministrom francuskim cały plan powiększenia legii zagranicznej z 5.800 piechoty na 10.000 żołnierza wszystkich trzech broni, w tem 600 jazdy z Polaków utworzonej; na trzech oficerów, dwóch miało być Polaków. Xiążę de Frias plan pochwalił i rządowi swemu do podpisania przesłał. Tymczasem, 18 lipca, nadeszła z Madrytu expedycya, w której zatwierdzano Dembińskiego jako dowódcę legii. Xiążę de Frias ostrzegł go jednak (15 lipca), że przez wzgląd na Francyę upoważnił byłego podpułkownika wojsk francuskich, Schwartza [3]), do utworzenia na własną rękę dwóch batalionów piechoty.

W liście z 10 lipca Zamoyski donosi x. Adamowi, że jen. Alava powiedział mu poufnie, iż Francya daje Hiszpanii dwa miliony na rozpoczęcie zaciągów: «Z tem możnaby już coś zacząć. Pragnę należeć do tej formacyi; co zaś do przeznaczenia, jakieby mi dano, zostawiam to do woli Dembińskiego. Podjąłbym się chętnie dowództwa kilku szwadronów jazdy albo i kilku batalionów piechoty. Lękam się, by mnie nie żądał do swego sztabu, a i tego bym nie odmówił, choć po wojnie zarzekałem się, że nigdy więcej szefostwa sztabu się nie podejmę.»

Wiadomość o rokowaniach między Dembińskim a xięciem de Frias wznieciła wśród wychodźców dużo wrzawy.

---

[1]) Do Zamoyskiego z 13, 17, 18 lipca, do x. Adama z 15 lipca 1835.

[2]) Plan organizacyi podany xięciu de Frias 8 lipca, list xięcia de Frias do Dembińskiego z 9 lipca i odpowiedź tegoż 10 lipca.

[3]) Schwartz, inaczej Suarce, w czerwcu 1831 wziął dymisyę z wojska francuskiego i udał się do Polski, otrzymał krzyż złoty, «Virtuti militari», jako podpułkownik 1 pułku strzelców pieszych, dnia 25 lipca.

We Francyi przeciwnicy x. Adama rozsyłali już w czerwcu po zakładach ajentów i pisma, by odwracać rodaków od zaciągania się do legii. «Łatwo tedy zepsują,» pisał x. Adam, «do czego i tak dojść trudno». O tych, co się w Anglii znajdowali, Zamoyski mówi: «Plotą sami nie wiedzą co, wielu sroży się przeciw wszelkim zaciągom». Zamoyski miał jednak przekonanie, że w osobistem zetknięciu się z rodakami potrafiłby niektórych przynajmniej życzliwie dla zamiarów Dembińskiego usposobić. W tej myśli zamierzał odwiedzić żołnierzy w Portsmouth. Przychylni mu rodacy starali się odwieść go od tego kroku. Porucznik Józef Purzycki, dawny towarzysz z służby belgijskiej, pisał: «...Jestem pewien złego przyjęcia; są oni w ręku ludzi przewrotnych. Wierz mi, Pułkowniku, że ci, im więcej widzieć będą twoje postępowanie szlachetne i korzystne dla kraju, im więcej okażesz zdolności i taktu, tem zawziętszych będziesz miał w nich nieprzyjaciół. Wielkie nieszczęście, że ci biedni żołnierze zostawieni byli samym sobie, że nie było człowieka z dobremi chęciami, coby wzbudzał w nich zaufanie i kierował nimi Prości, szczerzy, poczciwi, chwycili się tych, którzy im się za opiekunów gwałtem narzucili. Nikt lepiej nie zna menerów (emigracyjnych) i ich zwolenników, jak ja. Między pierwszymi mało jest ludzi prawych, drudzy są prawie wszyscy nadto poczciwi na nieszczęście. Ich materyalne położenie bardzo jest dzisiaj dobre, lepsze jak w kraju. Mają mieszkania darmo, węgle darmo, 7 szylingów na tydzień, z tych trzy do menażu a cztery do ich rozrządzenia. W porcie potrzebują wielu rąk do pracy, więc brakuje rąk do uprawy roli. Nasz lud rolniczy lubi takiego rodzaju prace, za rozrywkę je uważa. Zarabiają po trzy, cztery a czasem pięć szylingów dziennie. Zarzucają Pułkownikowi, żeś dokładał wszelkich usiłowań, wspólnie z lordem Stuart, oddanym x. Czartoryskiemu, by wstrzymać zaakordowanie żołdu, aby ich zmusić do przyjęcia służby w Hiszpanii. Odezwę Pan posłałeś, niech więc mają czas do naradzania się. Dowiemy się, jak to przyjmą.»

Niechęć do służby hiszpańskiej nie była jednak wśród wychodźców ogólna. Dembiński pisał do Zamoyskiego (13 lipca 1835): «Możemy mieć znakomity dobór oficerów, bo, mimo pogróżek demagogów, wszystko, co najlepsze, ciśnie się do legii.» To też jenerał odrzucał bez litości nie zasługujących na szacunek; między innymi odprawił jakiegoś kapitana U., «bo to hulaka, długów narobił w Belgii i odjechał, nie zapłaciwszy». «Ja zaś chcę», mówi Dembiński, «nie tylko bitnych i zdolnych, lecz moralnych.» Zgłosiło się też «ośmiuset Szwajcarów i sporo młodzieży niemieckiej», która pragnęła «zaprawić się do wojny» pod polskim wodzem.

Okazało się jednak wkrótce, że władza przyznana przez rząd hiszpański Dembińskiemu tak była szczupła, że nie miał nawet pewności, czy potwierdzą w Madrycie wybranych przez niego oficerów. Zamoyski w kilku listach do x. Adama wyraża przypuszczenie, że Dembiński sam trochę temu winien: «Zamiast zaimponować błaznom, oddał im się w ręce z bezgraniczną bezinteresownością. A tu nie idzie o bezinteresowność osobistą, ale o sprawę; nie wyrzekać się, ale dobijać trzeba o to, co do jej powodzenia potrzebne; inaczej wszystko skończy się na oszwabieniu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Londyn, 18 lipca 1835.

.... Zgroza, zgroza — przyjęcie oddzielne komendy Suarce'a. Dembiński powinien srożej się stawić temu basałykowi. Alava wcale inaczej tu postępuje z Evansem. Nie tylko zaprzestał wszelkich z kimbądź zachodów o wojsko, ale nawet do Evansa nikomu nie daje rekomendacyi i tak rzeczy porządnie się robią, inaczej paskudnie. Niech Dembiński zbyt nie szafuje bezinteresownością i dobrodusznością z obawy, aby tych pereł wieprze nie zdeptały. Niech się postawi i niech go szanują.»

Dnia 25 lipca nadeszła z Madrytu niepomyślna odpowiedź na plan reorganizacyi legii, podany przez

Dembińskiego, a wkrótce potem przybył do Paryża jenerał hiszpański, Landaburu[1]) z obszernemi instrukcyami. Nie zezwalano w nich ani na oddział polskiej jazdy, ani na polskich oficerów, wszyscy żołnierze nowego zaciągu mieli być Francuzami a oficerowie wojskowymi francuskimi. Godzono się tylko na dwóch adjutantów Polaków. «Rząd hiszpański wyraźnie nas się boi», pisał Zamoyski. Dembińskiego wszakże starano się pozyskać dla wojska królowej Krystyny, obiecując mu, że legia będzie podniesiona do 12.000 ludzi i że jenerał może liczyć na stałą służbę w Hiszpanii. Dembiński odpowiedział, że nie upiera się przy korpusie wyłącznie polskim, ale że dowództwo nad legią obejmie tylko wtedy, jeśli Polakom będzie wolno służyć w niej na równi z Francuzami. W liście do Zamoyskiego z 6 sierpnia mówi, że miał audyencyę w Tuileryach i że Ludwik Filip winszował mu naczelnictwa legii, lecz dodał zaraz, iż, «jako król Francuzów, nic z tem nie ma do czynienia». A gdy mu Dembiński powiedział, iż sam jeszcze nie wie, czy do Hiszpanii pojedzie, bo tyle napotyka trudności i to nie od nieprzyjaciół, ale od przyjaciół, Ludwik Filip odrzekł, że nic bez trudności nie przychodzi i że jemu także przyjaciele więcej kłopotu przysparzają, niż nieprzyjaciele. Niemcewicz otrzymał również posłuchanie u króla; pisał po niem do Zamoyskiego (17 sierpnia 1835): «Ludwik Filip lisim ogonem ze mną kręcił». W istocie król Francuzów i jego trwożliwi ministrowie, widząc wrastający opór przeciw Krystynie x. Metternicha[2]) i cara Mikołaja, który jawnie wspierał don Carlosa za pośrednictwem holenderskich bankierów i ochotników, nie śmieli się narazić tak potężnym przeciwnikom ani dla prędszego ukończenia wojny domowej w Hiszpanii ani, tem mniej, dla dostarczenia Polakom

[1]) Roman Landaburu (1777—1850), jenerał brygady, otrzymał rozporządzeniem królewskiem z 12 lipca 1835 polecenie zorganizowania legii zagranicznej w Paryżu.

[2]) Ob Mémoires du prince Metternich. T. VI. Correspondance avec Apponyi.

jakichkolwiek korzyści. Jednak powoli tylko i z wielką oględnością wycofywali obietnice poczynione xięciu de Frias i Dembińskiemu, nie chcąc ściągać na siebie gniewu tak własnych izb jak i uczestników poczwórnego przymierza[1]). Wobec uniżoności Ludwika Filipa względem cara nie można się dziwić, że słaby rząd królowej Krystyny, choć pragnął korzystać z usług doświadczonego jenerała, liczył się z gniewem Moskwy. Za wymówkę do nieprzyjmowania wychodźców polskich posłużyła rządowi hiszpańskiemu mniemana ich burzliwość. Niemcewicz pisze: «Hiszpanie odpowiedzieli, że nie chcą niespokojnych Polaków».

Jenerał Alava w przekonaniu, że obecność Zamoyskiego w Paryżu usunęłaby niejedną trudność, a sam będąc na wyjezdnem do Hiszpanii, namówił go, by się udał do Paryża. Tymczasem, na kilka godzin przed odejściem dyliżansu, w którym Zamoyski miał już miejsce zamówione, doszła go wiadomość o zerwaniu układów z Hiszpanią. Po długich rozprawach Dembiński zakończył je, mówiąc jenerałowi Landaburu: «Myślałem, że chodzi o wojnę istotną, a widzę, że chodzi tylko o wojnę de ore».

Na gadaniu tedy skończył się i powyższy rozdział dziejów emigracyjnych, ale to kilkomiesięczne zajmowanie się rzeczą, która nie miała przyjść do skutku, kosztowało dużo pracy, trudu i przykrości. Nie najmniejszą stanowiły liczne zgłoszenia od naszych najlepszych oficerów, którzy w gorących wyrazach błagali, by ich wyrwać z rozpaczliwej bezczynności; na każde miejsce zgłaszało się do pięciu

---

[1]) Gniewu tego nie uniknął jednak rząd francuski. Palmerston w listach ówczesnych gorzko się skarży na wiarołomstwo Ludwika Filipa względem Anglii i Hiszpanii. Biograf zaś jego pisze: «Postępowanie Francyi w sprawie hiszpańskiej pociągnęło za sobą ważne następstwa, gdyż przygotowało późniejsze niesnaski między Anglią a Francyą w sprawie wschodniej. Długoletnie przymierze obu państw, rękojmia wolności i postępu dla Europy, poczęło się rozluźniać w Hiszpanii.» (Life and correspondence of viscount Palmerston, by Evelyn Ashley. M. P. T. I, r. X)

i więcej. Wielu wyższych oficerów chciało służyć bez względu na stopnie i żołdy.

Bądź co bądź, Zamoyski uważał, że czas i trudy tej sprawie poświęcone nie były daremne. «Pokazują one», pisał do matki, «tak rządom, jak emigracyi i krajowi, jakie nasze położenie, jakim duchem jesteśmy ożywieni i w jakiej trwamy nadziei a skądinąd oswajają naszych z myślą korzystania z pierwszej podobnej sposobności. Niemałem też było dla mnie zadowoleniem widzieć cudzoziemców, którzy zrazu nie rozumieli mojej gotowości ruszenia na tę wojnę, a którzy teraz, gdy spostrzegli, o co rzecz się rozbiła, rozumieją doskonale. Najtrudniej bowiem dla nich rozumieć i pamiętać, że my nie dla siebie, nie pojedyńczo iść gotowi, ale ogółem i dla sprawy. Co do siebie ograniczam się na powiedzeniu: Mój Boże, bądź wola twoja, wyrzekam się tej sposobności, jakbym się jej chwycił i zawsze chwycić się gotów będę.»

Niemniej bolesnym musiał być ten nowy zawód, skoro Zamoyski pisze o tymże czasie: «Najdotkliwszem może doświadczeniem jest nieustannie zawiedziona nadzieja, gdy się ją opiera na tem, co słuszne, szlachetne, wielkie. Potrzeba mężnej duszy, żeby przenieść takie próby i to coraz się powtarzające, bez zniechęcenia, bez bluźnierstwa, bez zamknięcia się w ostatecznem samolubstwie[1]).»

Wśród zachodów i zawodów spowodowanych rokowaniami o legię hiszpańską wyszedł w Londynie 8 lipca

[1]) Chociaż układy między Dembińskim a xięciem de Frias spełzły na niczem, myśli wychodźców przez kilka następnych lat często zwracały się ku Hiszpanii, gdyż tam walczyło sześciuset żołnierzy i ośmnastu oficerów naszych z francuskiej legii zagranicznej. Mówiono o tej legii, że podczas bitwy stanowiła straż przednią, przy odwrocie straż tylną, w pochodzie kolumnę flankową, że żaden oddział w tej wojnie tak się nie odznaczył walecznością, karnością, cierpliwem męstwem, że żaden nie odniósł tylu korzyści, nie rozstrzygnął tylu wątpliwych zwycięstw, nie powetował tylu błędnych kroków (Annuaire politique pour l'année 1837). Naszym żołnierzom przyznawano powszechnie, że

1835 pierwszy zeszyt kwartalnika Beaumonta «The British and Foreign Review, or European Quarterly Journal», którego wydawnictwo postanowionem było na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół Polski, 28 marca tegoż roku.

Jeszcze przed ukazaniem się nowego przeglądu Zamoyski pisał do xięcia (12 czerwca): «Beaumont przedni ze swoją Review; jaką ona będzie co do talentu, to jeszcze wątpliwe, ale co do ducha, to niewątpliwe, bo całą duszą zajmuje się tem pismem. Żadnych ustępstw swoim współpracownikom, nawet lordowi Brougham, nie robi. Polska jest dla niego głównym celem wydawnictwa.»

Zamoyski jednak trochę się niepokoił, mawiał, że «Beaumont ma serce i pieniądz, ale nie ma głowy», to też

---

z wszystkich legionistów są «najpoczciwsi, najuczciwsi, najwaleczniejsi». Sześciu polskich oficerów otrzymało ozdobę wojskową imienia Ferdynanda. W bitwie pod Huesca (24 maja 1837) poległ podporucznik Maxymilian Rudnicki, Krakowianin, «młody, piękny, waleczny, kochany i żałowany od wszystkich», — pisze o nim towarzysz broni. Ciężkie rany ponieśli kapitan Piotr Pogonowski, podporucznik Mokrzecki, podpułkownik Antoni Wodzyński, Ludwik Świdziński i Henryk Krajewski, dowódca szwadronu polskich ułanów. Wkrótce potem legia została rozwiązaną, a w roku następnym (1838) ucieczka don Carlosa do Francyi położyła koniec wojnie. Polskim oficerom w dowód uznania dozwolono wstąpić do regularnego wojska królowej w zajmowanych poprzednio stopniach. Zaciągnęli się między innymi: Józef Purzycki, Łucyan Woroniecki, Henryk Krajewski i Skarżyński. Dobre imię, jakie zdobyli sobie wśród walki, posłużyło im podczas pokoju. Łucyan Woroniecki pisze do Zamoyskiego (3 marca 1843): «Stoimy garnizonem w Madrycie, pełniąc służbę w pałacu. Bywamy wszędzie widziani i przyjmowani dobrze. Szczególnie bywamy u hrabiny de Montijo (matki późniejszej cesarzowej Eugenii), gdzie nieraz słyszym mówiących o was, gdzie widzim ładne Kastylianki, które w mozolnej pracy xiężnej Czartoryskiej dla biednych naszych emigrantów przeszłej zimy tak skuteczną niosły pomoc. U tej pani de Montijo mieliśmy wielki bal kostyumowy, wspaniały z bogatych strojów. Kadryl z Krakowiaków, który to strój w wielkiej tu jest modzie, najwięcej się odznaczał. Przeszło pięćset osób składało tę świetną zabawę. Znajdował się na niej Napoleon Bonaparte, syn Hieronima. Krajewski zawsze wesół i ślicznie wygląda.»

niemałej doznał radości, czytając pierwszy zeszyt przeglądu. Artykuł wstępny przewyższył jego oczekiwania. Autorem tego wstępu był, jak się zdaje, sam Beaumont; tłomaczył w nim, że «zadaniem kwartalnika bronienie wolności bez zaciągania się pod sztandar żadnego stronnictwa». Tenże zeszyt zawierał dwa artykuły «wyborne o dyplomacyi moskiewskiej na Wschodzie i Zachodzie[1]) oraz znakomity dopisek», dodany już po odbiciu zeszytu. W tym dopisku lord Brougham, wyjaśniając swą słynną mowę o wychowaniu, wypowiedzianą 23 maja 1835 w izbie lordów a mylnie wziętą przez Francuzów za krytykę ich szkolnictwa, wyraźnie wskazywał, kogo chciał w niej napiętnować i pisał: «Są kraje, opoki legitymizmu, w których nie wolno dzieci uczyć dziejów narodowych. Ta księga mądrości jest dla nich zamkniętą. Młodzieży nie wolno nabywać wiedzy najpotrzebniejszej dla członków myślącego i cywilizowanego narodu. Dlaczego? Bo dogodniej dla panujących, aby młodzież nie przeglądała ostatnich stronnic tych dziejów. Dowiedziałaby się z nich o pogwałconych prawach i przywilejach, o niedotrzymanych obietnicach; dowiedziałaby się, że naród z poważną przeszłością, niepodległy, który nikogo nie skrzywdził, został ujarzmiony, złupiony, że go mordowano, podano w niewolę. Dzieje te nauczyłyby czytających, że są monarchowie, którzy żyją z łupiestwa na zewnątrz a z prześladowania wewnątrz, którzy truchleją wobec ludzi wolnych, monarchowie, którzy, do ludzi podobni, nic ludzkiego w sobie nie mają. Cóż dziwnego, że nauka dziejów w ich państwach zakazana, skoro nie mogą z nich wymazać swych zbrodni. Dziękujemy jednak Opatrzności, że dzieje te, bądź co bądź, będą czytane, a poznanie ich sprawi, że ród tyranów prędzej czy później zgładzony będzie z powierzchni ziemi.»

---

[1]) Oba wyszły z pod pióra Dawida Urquharta. Pierwszy był przedrukiem jego głośnej broszury: «England, France, Russia and Turkey», drugi «The Quadruple Treaty» objaśniał znaczenie przymierza Hiszpanii z Portugalią, Anglią i Francyą.

Łatwo sobie wystawić, jakie wrażenie sprawiały takie słowa, zwłaszcza, że pochodziły od członka najpoważniejszego zgromadzenia prawodawczego W. Brytanii, byłego kanclerza, prezesa izby lordów, członka rady tajnej. Zdaje się, iż lord Brougham pisał je pod wpływem ukazu z 29 maja 1835, którym Mikołaj obwieszczał założenie w Petersburgu szkoły prawa. Ukaz ten wymieniał wszystkie przedmioty obowiązujące w nowej szkole, tańca nawet nie pomijał, tylko o nauce historyi nie było w nim wzmianki. Lord Brougham zaręczał Zamoyskiemu, że mu «ktoś», zapewne poseł moskiewski, dowodził niestosowności i niebezpieczeństwa tej nauki.

W listach do brata, Zdzisława, wspominając o dalszych zeszytach kwartalnika, Zamoyski mówi: «Beaumont płaci ogromnie za artykuły. Dziwna rzecz, jak człowiek bez talentu, trochę nawet waryat, za pomocą pieniędzy, przy dobrej woli, wiele uczynić potrafi[1]). Artykuły o polityce zewnętrznej, zwłaszcza o Wschodzie, znakomite, w znacznej części pisane przez urzędników tutejszej dyplomacyi bezimiennie, ale z wiedzą ministra. Wielka to dla mnie korzyść znać tych panów, oni też zaczynają cenić nasze współpracownictwo.»

Do wybitnych znajomości, zawartych wówczas przez Zamoyskiego w świecie dyplomatycznym angielskim, zaliczali się: Dawid Urquhart[2]), sir John Mac Neill i lord Durham.

---

[1]) Henryk Reeve pisze do swego przyjaciela, E. H. Handley, 8 lipca 1835: «Puszczam się w drogę, zaczynając od Paryża, w zamiarze zdobycia dla «Review» współpracowników z pośród znakomitości europejskich. Beaumont płaci gwineę od strony, a gdy rad z artykułu, dodaje gratyfikacyę.»

[2]) David Urquhart (1805—1877), służył sprawie greckiej pod lordem Cochrane w 1827, po pokoju adryanopolskim (1829) zdobył wielki rozgłos pismami, w których wykazywał, że Moskwa zamierza opanować Turcyę europejską. W 1835, jako sekretarz poselstwa angielskiego w Stambule, przygotował traktat handlowy między Anglią, Austryą, Turcyą, ale

O pierwszym z nich Zamoyski pisze do Zdzisława (21 lipca 1835):

«Kwestya wschodnia zaczyna budzić tu zajęcie, wychodzą o niej druki wielkiej wagi; znam się blizko z autorem najznakomitszych. Szukaj artykułów jego w różnych «Quarterly Review»: bezimienne, ale poznać je łatwo z ducha silnie Północy przeciwnego. Pismo tego autora: «England, France, Russia and Turkey» wyszło w lutym bieżącego roku a dziś drukuje się piąte wydanie. Autor był na Wschodzie trzy razy od lat sześciu. Był wszędzie, gdzie z blizka dążeniu Północy mógł się przypatrywać i badać, jakie siły by jej przeciwstawić, siły, o których twierdzi, iż są wielkie jeszcze. Rzecz dziwna, człowieka tego nie znał lord Durham, udający się drogą Wschodu do Petersburga i mnie przyszło zapoznać ich.»

Urquhart, nie odmawiając swej pomocy kwartalnikowi Beaumonta, przygotowywał na własną rękę wydawnictwo, większą jeszcze mające doniosłość. Pismo to pod nazwą «Portfolio [1])» miało wychodzić jednocześnie po angielsku i po francusku. Wydawca zapowiadał, że ma na celu wyświetlanie działań dyplomatycznych w miarę ich przebiegu, nie zaś po dokonanych dramatach, jak dotąd bywało, a tajne akty dyplomatyczne z lat ubiegłych podawać będzie o tyle, o ile one wyjaśniają obecną politykę Moskwy, Prus i Austryi.

«Portfolio» było zarazem materyałem i podstawą do pracy podjętej przez Beaumonta a poniekąd i dopełnieniem tego, czego Kwartalnikowi nie dostawało. W pierw-

---

wnet ustąpił ze stanowiska, nie mogąc się zgodzić z ówczesnym posłem, lordem Ponsonby. Odtąd słowem i drukiem nie przestawał zwalczać polityki zagranicznej W. Brytanii i zarzucać Palmerstonowi służalstwa a nawet przedajności względem Moskwy. Wielkie położył zasługi, budząc w narodzie angielskim świadomość celów i dążeń gabinetu petersburskiego w Europie i Azyi.

[1]) Collection of state papers illustrative of the history of our times. London, Ridgway, Piccadilly.

szym numerze Urquhart zamieścił notę z roku 1831 tajnego radcy pruskiego Bernstorffa[1]) do króla Fryderyka Wilhelma III o potrzebie utworzenia jedności Niemiec materyalnej i duchowej. Hr. Bernstorff nalegał na konieczność zaprowadzenia związku celnego między wszystkiemi państwami niemieckiemi. Ten list i przyłączony doń memoryał wskazywały rządowi pruskiemu drogę, której się po dziś dzień wiernie trzyma.

W tym samym numerze umieszczono depesze hrabiego Pozzo di Borgo do wicekanclerza Nesselrode o stanie wewnętrznym Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, Grecyi, Austryi. Depesze te w wyrazach łagodnych i gładkich dają raczej odgadywać niż wymieniają słabe strony tych państw. Wskazują, jak je można między sobą poróżnić, jak je wyzyskać dla własnych zamiarów, jak zapobiedz przymierzom między silniejszemi a narzucić swą opiekę słabszym. Pozzo di Borgo wychwala opiekę Moskwy nad Francyą i radzi nadal ją wywierać, rozwodzi się nad szkodliwością dla Francyi wpływu duchowieństwa i pozwala domyślać się, że Prusy posłużą za narzędzie do otrzymania kiedyś od niej wszystkiego.

Ukazanie się pierwszego zeszytu «Portfolio» wywołało popłoch w kołach dyplomatycznych. X. Melania Metternich, żona kanclerza, pisze w swoim dzienniku (17 lutego 1836): «Klemens (x. Metternich) przyszedł do mnie niezmiernie wzburzony. Przyniósł mi gazetę, w której umieszczone były wyjątki z depesz, pisanych w 1829 roku przez Pozzo i Tatiszczewa. Wydawnictwo takich dokumentów jest przerażające[2]). Źródłem ich jest broszura, która wychodzi w Londynie pod tytułem: «Portfolio» a zawiera pa-

---

[1]) Hr. Albrecht Bernstorff (1809—1878), bratanek Krystyana Bernstorffa, ówczesnego pruskiego ministra spraw zagranicznych, który z duńskiego posła w Berlinie przeistoczył się w pruskiego dyplomatę.

[2]) Już w 1831, na wiadomość o zaginieniu papierów z Belwederu, Nesselrode pisał do xięcia Lieven (Petersburg, 1 lutego): «Niestety,

piery autentyczne znalezione podczas rabunku warszawskich archiwów (1830). Kopie tych depesz udzielone były w. x. Konstantemu i ten piękny zbiór jest teraz w druku[1]).»

Karol Greville, sekretarz tajnej rady królewskiej, pisze, że dokumenty, które ukazały się w «Portfolio» przywiózł do Londynu x. Adam Czartoryski i że to on zwrócił na Urquharta uwagę pana Fox Strangways, podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych a swego poufnego przyjaciela. Dalej mówi: «Palmerston był wówczas bardzo niechętnie usposobiony dla Moskwy i wiedział doskonale o kilku przedsięwzięciach, natchnionych przez x. Adama Czartoryskiego i przez jego energicznego siostrzeńca, hr. Władysława Zamoyskiego, który bardzo wielki miał wówczas posłuch u angielskiego rządu.» Jako te «przedsięwzięcia» Greville wymienia wydawnictwo «Portfolio», zamiar ustanowienia konsulatu w wolnem mieście Krakowie i późniejsze nieco (1837) wysłanie okrętu Vixen z solą i prochem dla Czerkiesów[2]).

Najlepszą bronią przeciw «Portfolio» było twierdzenie, że zawarte w niem dokumenty są fałszywe. Środka tego chwyciła się dyplomacya moskiewska. Lady Burgersh, później hr. Westmoreland, siostrzenica Wellingtona, pisze do męża (Paryż, styczeń 1836), że Pozzo di Borgo zapy-

---

prawdą jest, że akty dyplomatyczne wpadły w ręce buntowników. Lord Grey słusznie tem zatrwożony. Ja po nocach nie sypiam, gdy myślę o zawikłaniach, jakie mogą wyniknąć z ich ogłoszenia. Jedyna nadzieja, że Polacy nie zdążą ich wydrukować i w obieg puścić.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 175, 176)

[1]) Mémoires du prince Metternich. T. VI, str. 96, 97. Wydawca tych pamiętników wyjaśnia, że kanclerz austryacki wysłał w tej sprawie do Petersburga obszerną depeszę i dwadzieścia pięć dokumentów dla zbicia twierdzeń hrabiego Pozzo odnośnie do polityki dworu wiedeńskiego.

[2]) The Greville Memoirs. Część II. T. I, str. 117—120.

tany, co myśli o «Portfolio», odpowiedział: «Cóż mam mówić o wydawnictwach gorszących i podrobionych? Chyba to, że żyjemy w czasach, kiedy zgorszenia są na porządku dziennym». «On się tak zaciął», dodaje lady Burgersh, «w postanowieniu nie wyrażania swego sądu o tem, że nie chce nawet zajrzeć do tutejszych archiwów, gdzie wie, żeby te depesze odnalazł, chcąc nieco z większym pozorem prawdy utrzymywać, że są mu zupełnie obce[1]).»

O sir John Mac Neillu[2]) Zamoyski mówi w liście do x. Adama (18 lipca): «Jest to człowiek bardzo interesujący i znakomity. Podziela zupełnie sposób widzenia Urquharta. Szczegóły od niego powziąłem i powezmę najwyższej wagi.»

Zapewne pod wpływem rozmów z Mac Neillem, Zamoyski postanowił nakłonić lorda Palmerston do umieszczenia przy poselstwie angielskiem w Teheranie Polaka, któryby śledził dla Anglii działanie polityczne i wojskowe moskiewskiego rządu w Persyi i na jej granicach. Miał przekonanie, że Polakowi, byle odpowiedniemu, rozumiejącemu ducha i język Moskali, przyszłoby to wiele łatwiej niż Anglikowi a dla samej Anglii byłoby z pożytkiem. Gdy pierwszy raz Cutlar Fergusson poruszył tę sprawę z Palmerstonem, na żądanie Zamoyskiego, tenże zbył go, twierdząc, «że niema na to funduszów». Zamoyski, donosząc xięciu o tym niedostatku skarbu angielskiego, streścił swoje wrażenia dwoma wykrzyknikami. Widząc zaś, że wymowa Fergussona, na którą więcej liczył, niż na własną, nic nie zdobyła, sam poszedł do Palmerstona: «O Persyi taka jego odpowiedź», pisał do xięcia, «że tam, mimo rywalizacyi na innych punktach, interes Anglii

---

[1]) The Correspondence of Priscilla, countess of Westmoreland, str. 48.

[2]) Sir John Mac Neill (1796—1883), przez szereg lat od 1836 jako poseł angielski w Teheranie, stawiał czoło postępom Moskwy na pograniczu Indyi wschodnich.

i Moskwy jest dzisiaj ten sam, ustalenie na tronie tego samego xiążątka, że przeto Polak przy misyi angielskiej stałby się powodem dla Moskali do narzekania, że jednak czuje użytek z takiego Polaka i że, gdyby do tego przyjść miało, ten Polak mógłby otrzymać fundusze, ale musiałby się tam znajdować jakby nie należący do poselstwa angielskiego. Widząc, że rzecz tak dobrze rozumie, pozostało mi tylko dodać, że, gdy tego zapragnie, xiążę mu wskaże osobę godną zaufania i zdatną.»

Lorda Durham, dopiero co zamianowanego po raz drugi posłem przy dworze moskiewskim, poznał Zamoyski u wspólnych znajomych. Lord Durham mówił mu, że przed udaniem się do Petersburga pragnie czas jakiś przebyć w Stambule dla zapoznania się ze sprawą wschodnią. Zamoyski spisał rozmowę, jaką miał z lordem Holland[1]), członkiem rządu, o nowym pośle i jego zamiarach:

«2 sierpnia 1835.

Lord Holland wyraził wątpliwość, czy daleka podróż, którą lord Durham ma odbyć przed udaniem się do Petersburga, będzie przydatną. Odpowiedziałem: «Lord Durham głosi, że drogę tę obrał dla okazania jawnie, że głównym jego celem czuwanie nad niepodległością Stambułu i Dardaneli.» Lord Holland na to z uśmiechem: «Mówił on podobnie o Polsce, gdy pierwszy raz w 1832 jeździł do Petersburga i cóż dla Polski uczynił?» Dalej zawsze z uśmiechem rozmaite robił uwagi o osobliwem stanowisku cara względem lorda Durham, którego, jako radykała, lubić nie może. Mówiąc o próżności posła

---

[1]) Henryk Ryszard Fox, trzeci baron Holland (1772—1840), bratanek słynnego Foxa, w którego gabinecie zasiadał 1806 roku i, jak on, zwolennik zasad liberalnych, kanclerz hrabstwa Lancastre. Żona jego, kreolka, z domu Elżbieta Vassall, 1° v° za sir Jeoffrey Webster, znana z dowcipu i złośliwości, była postrachem londyńskiego świata artystycznego i politycznego, wśród którego rej wodziła; Polakom okazywała życzliwość.

i jego czułości na pochlebstwa, opowiadał, że za pierwszym powrotem z Petersburga tak miał głowę zawróconą uznaniem dla Moskwy i cara i tak sobie upodobał moskiewszczyznę, że przywiózł mnóstwo pamiątek z Moskwy a także wzór całkowity chałupy i chłopskich zabudowań gospodarczych do naśladowania dla Anglików. Lord Holland z podziwem pytał, czegoby od Moskwy w jakimkolwiek kierunku nauczyć się można. Z rozmowy tej sądzę, że nieobojętne były moje słowa do lorda Durham, gdy, mówiąc o zarzucie czynionym mu, jakoby był moskiewszczyzną przejęty i widząc, że się na ten zarzut obruszył, dodałem: «Rad jestem słyszeć z ust Lorda, iż tak nie jest, bo takie podejrzenie, dotyczące ministra angielskiego lub francuskiego, jest w moich oczach hańbiącem.»

Zamoyski, gdy chciał zwrócić uwagę dyplomatów na rzeczy, które im się wprost nie dawały powiedzieć, używał do tego pośrednictwa dzienników, podając im o danym przedmiocie czy to całe artykuły, czy notatki do obrobienia. Notatki tego rodzaju o poselstwie lorda Durham spisał dla Timesa w sierpniu 1835. Przypominał w nich, że «w 1832 car Mikołaj okazał zrazu niezadowolenie z zamianowania posłem lorda Durham, ówczas whiga, a on sam zaręczał, że poselstwo to przyjął jedynie w nadziei ratowania Polski. Ale dziecinna próżność posła wnet dała carowi poznać, jak łatwą będzie dla niego zdobyczą. Nie szczędzono mu pochlebstw i zaszczytów[1]); te zaś celu nie chybiły. Lord Durham dał sobie wmówić, że car chętnie przyjmie wpływ gabinetu angielskiego za jego pośrednictwem i powrócił do Anglii z gorącem pragnieniem nawiązania przyjaznych stosunków między Londynem a Petersburgiem.

---

[1]) Oprócz kosztownych podarunków, lord Durham otrzymał od cara cztery ordery: św. Andrzeja, św. Alexandra Newskiego, św. Anny i Orła Białego.

Nowe zapatrywania lorda Durham niemile były widziane przez jego dawnych kolegów i przyjaciół, whigów, a lord Durham, zrażony, ze sprzymierzeńca autokraty przeistoczył się w radykała. Trzy lata minęły; lord Durham wybiera się znowu do Petersburga, tym razem dla ratowania Stambułu i Dardaneli. Czy z tego trzeba wnioskować, że Konstantynopol skazany na te same losy, co Polska?

Jeżeli lord Durham dba o swoją dobrą sławę jako mąż stanu, niech się tym razem lepiej ma na baczności, pamiętając, że gabinet moskiewski umie wyzyskiwać zarówno próżność jak chciwość swoich przeciwników: jednych przekupuje, drugich olśniewa.»

W notatkach przeznaczonych bezpośrednio dla posła Zamoyski pisał:

«Zwykłe szpiegostwo moskiewskie podwoi się jeszcze względem lorda Durham z powodu jego zasad radykalnych i donosów, jakie go z tutejszej ambasady moskiewskiej wyprzedzą w Petersburgu. Są ludzie, z którymi nie trzeba się tam widywać, jak tylko pod zasłoną nocy i na ustroniu, by ich w podejrzenie nie podawać. Rząd cara poczytuje urzędnikom swoim stosunki z dyplomatami angielskimi za zbrodnię.

Trudno obecnie wymienić choćby jednego człowieka, zajmującego w Petersburgu wybitne stanowisko, któryby umiał pogodzić uczucia patryoty Moskala z pojęciami europejsko-liberalnemi. Moda nawet takich pojęć minęła w wyższych warstwach społeczeństwa; utrzymuje się ona tylko między młodymi bez urzędów i tylko dopóki się na urzędy nie dostaną. Nawet Puszkin, ich najznakomitszy poeta, choć pisał poprzednio w duchu liberalnym, od niejakiego czasu w łaskach u dworu. To też, choć warto go pytać o ducha i usposobienie narodowe w Cesarstwie, nie można ślepo polegać na tem, co on dzisiaj mówi. Jego sława literacka może służyć za wymówkę do poznania się z nim.

Między ludźmi u steru jeden tylko wicekanclerz hr. Nesselrode zachowuje jeszcze jakąś cechę ministra z czasów Alexandra i jakieś ślady polityki rozumniejszej, mniej wrogiej względem ludów. To też niewiele ma dziś wpływu. Jenerał Benkendorf[1]) jest podobnego usposobienia, ale zdolności ma mało, wpływu bardzo mało, jednak osobiście w łaskach. Jenerała Czernyszewa[2]), ministra wojny, można uważać za naczelnika stronnictwa starorosyjskiego. Chwała wojenna, nienaruszalność wewnętrznego ustroju państwa, rozszerzenie jego granic a zarazem zamknięcie ich przed wpływami Europy — oto szczyt pragnień tego stronnictwa. Odznacza się ono nienawiścią do Polski. Jeżeli może być mowa o czyimkolwiek wpływie na cara, to chyba o wpływie Czernyszewa. Jednak, ściśle biorąc, jest on tylko gorliwem narzędziem w ręku swego pana i umie myśli jego wyprzedzać. Car bardzo jest zazdrosny o swoją władzę i nikogo do wpływu na czas dłuższy nie dopuszcza.

Pani Hytrow, matka pani Ficquelmont, posłowej austryackiej, jest córką feldmarszałka Kutuzowa. Stąd cieszy się wielkiemi względami i bezkarnie objawia pojęcia bardziej liberalne niż te, na które dziś można pozwalać sobie u dworu. Pani Ficquelmont pomogłaby do zawarcia stosunków ze swoim mężem. W Moskwie są z Austryi niezadowoleni, możnaby to ostatnie państwo doprowadzić do przymierza z Anglią.»

---

[1]) Alexander hr. Benkendorf (1783—1844), jenerał jazdy, od 1826 naczelnik III wydziału kancelaryi cesarskiej czyli policyi tajnej, szef żandarmów.

[2]) Alexander hr. Czernyszew, od 1841 xiążę (1785—1859), za cara Alexandra używany do poufnych rokowań z Napoleonem I, minister wojny 1832—1852. X. Marya Wołkońska, żona dekabrysty Sergiusza Grzegorzewicza Wołkońskiego, mówi w swych wspomnieniach, że jen. Czernyszew podczas wykonywania wyroku śmierci na dekabrystach, objeżdżał szubienice i szydził ze skazańców. (Mémoires de la princesse Marie Wolkonsky, str. 13)

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 1 września 1835.

Jestem znowu rekonwalescentem, ale nauczony doświadczeniem uciekam stąd na wypoczynek. Doktor przeznaczył mi na miejsce wygnania Dieppe.

Poznałem tu z wielką przyjemnością Jana Tyszkiewicza [1]), syna owego wileńskiego bogacza, który to jeździł po Ameryce. Nadspodziewanie podobał mi się: człowiek z sercem i rozumem, zdaje się zdatny do interesów. Przybył tu na krótko z Litwy po dwuletnim tam pobycie. Wiele dobrych, obok smutnych szczegółów, o kraju opowiada. Duch chłopów doskonały. Szlachta jednodworcy w czasie powstania zimna, dziś do rekrutów pociągana, stała się doskonałą. Tak jest od Żmudzi aż na Białą Ruś. Z Litwinek niekontent, przecież swoją siostrę wyłącza, powiada, że może być wzorem dla Polek. O rozterkach emigracyjnych mało tam dochodzi, a gdy dojdzie, to ich martwi. O demokracyi wiedzieć nie chcą. Na Litwie panuje mniemanie, jakoby Moskale byli przygotowani na myśl utracenia Królestwa prędzej czy później. I dlatego zdaje się, iż dziś obchodzenie się z mieszkańcami Królestwa gorsze, jak w prowincyach.

Wiadomości nader ważnej, ale której nie trzeba rozgłaszać, udzielił mi Tyszkiewicz, że nasza poczciwa wiara, bijąc się na Kaukazie z zacięciem i rozpaczą, tak dalece zwróciła uwagę cara, że znów im zaufał i uorganizował w bataliony z polskimi oficerami i te, mówią, że biją się wzorowo. Biedne ofiary nie wiedzą, co czynią. Ale jakże to ważnem będzie, gdy się rozpocznie działać na nich od Kaukazu. Tamże im rozsyłać Wallenroda.»

---

[1]) Jan Tyszkiewicz (1801 — 1862), założyciel ordynacyi birżańskiej.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Na statku parowym z Brighton do Dieppe,
5 września 1835.

Długo do ciebie nie pisałem, bo byłem słaby, po słabości mocno zajęty a przez to znowu słaby. Mimo to, mimo przekonania, że spoczynku mi trzeba, niepodobno, żebym nie odpisał na twój list. Ten list mocno mnie smuci, okazuje skłonność, którą w tobie znam i zawsze karcić usiłowałem, do ponurego i zgryźliwego poglądu na rzeczy i na siebie samego. Przypisywałem to twemu położeniu, brakowi czegoś, coby twoją uwagę silnie zajęło czemś pożytecznem i zacnem, nie zaś sobą samym. Ale po kilku latach takie tłomaczenie traci wagę i człowiek staje się odpowiedzialnym za to, że nie wynalazł sobie przedmiotu zajęcia, takowe bowiem zawsze znaleźć się daje. Kto go dostrzedz i obrać nie umie, sam sobie winien. Nie chcę cię łajać za przeszłość, ale upamiętać na przyszłość. Pilno jest, ażebyś dążył do wyraźnego celu, abyś życie oddał temu celowi, abyś siebie uważał za narzędzie, którego zdolność nie powinna wzbudzać ani pychy, że tak wielka, ani rozpaczy, że zbyt mała, bo nie idzie o ciebie, ale o cel, a przeto bylebyś dał, co masz, nie powinieneś gryźć się o to, czego dać nie możesz. Takie uczucie najlepiej służy celowi a zarazem i narzędzie najlepiej wykształca. Pycha nie zaspakaja się tem, by służyć jak kto może, ale chce samolubnego zadowolenia, że się służyło świetnie. Zatem idzie, że się zaniedbuje często obowiązki, o których się przypuszcza, że nie dość świetne przyniosą owoce. Zwracam twą uwagę na źródło złego, jednak proszę, żebyś się nie zagłębiał w rozpoznawaniu własnej choroby... Celu, któremuby życie poświęcić, nikt nikomu wskazywać nie może. Myśl taka, gdy nie wyjdzie z własnego natchnienia, będzie miękka, mało dzielna. Jabym ci nic innego wskazać nie mógł, jak tylko mój własny cel a ten ci jest znany. Nie pojmuję, jakby cel ten mógł nie być i twoim w szerokiem pojęciu.

Kto ma obowiązki wyraźne, nagłe, mało zajmuje się samym sobą. Kto takich nie ma, temu grozi niebezpieczeństwo zwichnięcia rozumu, zgryźliwości, jeśli nie odrętwienia duchowego. Czy twoje dzisiejsze położenie nie jest fałszywem? Jesteś odosobniony od wszystkich rodaków, obcy wszelkim ich pracom. Gdybyś miał inną duszę, mógłbyś poprzestać na życiu samolubnem a przynajmniej zamkniętem w obrębie najbliższych więzów i obowiązków rodzinnych. Ale tak nie jest. Stąd gryziesz się. Pilno jest, abyś się złączył z rodakami i podzielał ich życie to jest ich prace.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Dieppe, 11, rue de la Halle aux blés,
7 września 1835.

Stanąłem tu wczoraj, do Paryża nie myślę długo jeszcze zjeżdżać; tam spokojność umysłu równie niepodobna jak w Londynie. Różne mi się snują projekta. Doktor chce, bym płynął do Szkocyi i przez miesiąc październik chodził pieszo po górach. Kochany lord Dudley chce mi towarzyszyć. Wyznaję, że, skoro już muszę od roboty się oderwać, ten sposób leczenia wydaje mi się nęcący. Tylko chciałbym Wuja porwać na tę wyprawę. Proszę o tem pomyśleć. Toby było istotną rozkoszą. Wuj by tu po mnie zjechał i wyruszylibyśmy w drogę razem.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Nantes, 11 września 1835.

O wycieczce do Edynburga sam nie wiem jeszcze, co powiedzieć. Chcąc podróżować roztropnie, trzeba się na noclegi zatrzymywać. To służy na zdrowie, ale dla kieszeni bardzo szkodliwe. Okrutnie się wyexpensowałem w tej drodze[1]), aż mi wstyd. Jednak, ile można, oszczędnie się żyło. Nie wiem, czy nowemu pomnożeniu expensy można będzie w tym roku podołać. Zobaczymy.»

Panowie: Karol Sienkiewicz i Hipolit Błotnicki, pełniący w domu xięstwa naraz obowiązki archiwistów,

[1]) Xiążę przepędził lato w Eaux-Bonnes w Pirenejach.

sekretarzy, bibliotekarzy i nauczycieli a równocześnie wierni stróże ich mienia, dokładnie zestawiwszy bilans dochodów i rozchodów xięcia, orzekli, że ostatecznie może sobie na tę podróż pozwolić, tem bardziej, że «expens podróży zrównoważy się niebytnością w Paryżu».

Władysław Zamoyski do matki:

«Dieppe, 26 września 1835.

Wczoraj wybraliśmy się na wycieczkę do Eu, gdzie jest rezydencya królewska, staroświecki Orleanów pałac. Dzień był piękny, przejażdżka udała się doskonale. A ja cieszyłem się, że choć tak obchodziłem urodziny mojej kochanej, jedynej, nieoszacowanej, nieporównanej matki. Było nas tyle: pani Ludwikowa Małachowska z trzema córkami, Staś Małachowski, Witołd (Czartoryski) mnie tu powierzony i lord Dudley Stuart, który właśnie rano przypłynął. Powiozłem z sobą trochę szampana! i wszyscy wypili zdrowie matki. Potem obecność lorda Dudley Stuart dała pochop do kilku toastów narodowych.

Wczoraj rano, nim wyjechaliśmy, wpadłem do kościoła i tam za Matkę odmówiłem modlitwę.

Witołd kąpie się w morzu żwawo, pływa nieźle, rozwija się dobrze pod wszelkiemi względami. Władzio[1]) śliczny i doskonały chłopczyk, wspaniała natura: szczery, otwarty, odważny a zarazem roztropny, do nauk skłonny.

Wyjeżdżamy z wujem do Londynu, skąd bez zwłoki do Edynburga, statkiem parowym, który płynie dwa dni ponad brzegiem.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Caregii, 15 września 1835.

Czy uwierzysz, że mimo choroby tyle mam rozmaitych zajęć, że dzień za krótki, aby im podołać. Staś

---

[1]) Władysław Czartoryski (1828—1894), drugi syn x. Adama, ożeniony 1° v° z Maryą Amparo hrabiną de Vista Allegra, córką królowej Krystyny hiszpańskiej i xięcia Riancares, 2° v° z xiężniczką Małgorzatą d'Orléans, córką xięcia de Nemours, drugiego syna Ludwika Filipa, i xiężniczki Wiktoryi Augusty sasko-kobursko-gotajskiej.

i Eliza naprzemian głośno mi czytają a ja przez ten czas robię na drutach chustkę wełnianą dla ciebie na szyję, miękką, ciepłą; może ci będzie dogodna choć w drodze a ile w niej oczek, tyle ci błogosławieństw zasyłam przy robocie. Biorę lekcye włoskiego języka, potem ze Stasiem lekcye logiki od pana Micard[1]. Czytam Procida, extra piękne. Potem interesa, listy, przejażdżka, salon, w którym muzyka, rysowanie, roboty, czytanie, z mężem gawędka o tylu rzeczach a osobliwie o was wszystkich. I tak dnie schodzą okropnie prędko. To lato, choć tak zachmurzone, choć ciągle jestem mniej więcej słaba, tak jakoś przeszło, że nie wiem, gdzie się podziało. Serdecznie kocham lorda Dudley Stuart; jeżeli istnieje jaka jego litografia, przyślij mi ją, chciałabym rysy jego poznać. Cieszę się z duszy, żeś mógł niejedno w Anglii uczynić. Czy ci wdzięczni za to? Wiem, że nie w tym celu pracowałeś, ale słodko z takiem uznaniem, a jeśli go niema, to i tak dobrze.

Jest we Florencyi jakiś ojciec kapucyn, który przyjechał z Tyflisu, dużo tam Romana (Sanguszkę) widywał; mówi o nim z największem uwielbieniem, ale serce się kraje na to, co opowiada[2].»

---

[1]) Nauczyciel Stanisława Zamoyskiego.

[2]) Pod koniec 1835 roku x. Eustachowa Sanguszkowa, matka x. Romana, pisała do pani Zamoyskiej: «Romana mianowano sierżantem czy podoficerem. Jednak w Wiedniu car mówił pani Lanckorońskiej u xiężnej Metternich, że Roman jest człowiekiem godnym poważania, że swoje nieszczęście zniósł szlachetnie; «to też mianowałem go oficerem». Ale to nieprawda.»

X

PODRÓŻ PO SZKOCYI I ANGLII

PAŹDZIERNIK 1835 — LUTY 1836

W chwili gdy x. Adam z siostrzeńcem wybierali się do Szkocyi, zaszły w Polsce dwa wypadki, które znowu uwagę Europy na nią zwróciły.

Car Mikołaj zaprosił z wielkim rozgłosem swego teścia, króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III i Ferdynanda I, nowego cesarza austryackiego, do Kalisza na wspólne manewry. Miały one pokazać światu ich potęgę i łączność niezachwianą mimo śmierci (2 marca 1835) Franciszka I, jednego z twórców świętego przymierza. Ale w Wiedniu zaczynano rozumieć, że Austryi grozi niebezpieczeństwo nie tylko od rewolucyonistów, przed którymi obawa rzuciła ją niegdyś w objęcia Moskwy, ale i od potężnej opiekunki, gotowej udusić ją w swych objęciach. Car, widząc tę zmianę frontu, niczego nie zaniechał, aby cesarza Ferdynanda i jego ministrów pozyskać. Przed udaniem się do Kalisza odwiedził Ferdynanda w Cieplicach czeskich, jeździł z nim do Pragi, znienacka zjawił się w Wiedniu w odwiedziny u cesarzowej matki, kilkakrotnie odwiedzał xięcia i xiężnę Metternich; wszystko napróżno. Ferdynand nie wziął w manewrach udziału. Na zaproszenie stawił się tylko (12 września 1835) król pruski z licznem wojskiem; car ściągnął w okolicę Kalisza około 50.000 żołnierza.

Państwa zachodnie z zaciekawieniem i nieufnością patrzały na te zbrojne popisy; przypuszczano, że pokrywają jakieś wojenne zamiary. Jednak wszystko się skończyło dla wojsk na marszach i kontrmarszach, dla panujących i ich gości na nabożeństwach, ucztach i balach. Car pragnął nie tylko zastraszyć, ale i olśnić Europę, lecz, mimo rozwiniętego przepychu, nie brakło świetnemu widowisku słabych stron, o których wiadomość przedostała się za granicę i to za pośrednictwem «najlepszych przyjaciół». Sztabowcy pruscy, obecni na przeglądzie, ogłosili drukiem wkrótce po rewii sprawozdanie bardzo niepochlebne o sile zbrojnej moskiewskiej i o moskiewskim wojskowym zarządzie.

Pani Zamoyskiej pisano z kraju: «Wojsko wróciło z Kalisza zgłodniałe, obdarte, zniechęcone i nędzne. W Kaliszu niesłychane odbywały się zajścia. Żołnierze, kiedy cesarz przejeżdżał, wołali chleba. Musiał kilka razy do nich przemawiać, żeby ich uspokoić; w ich przytomności oficerów łajał, nakazywał, żeby żołnierzom dostarczano, czego im potrzeba. Oficerowie zaś pałkami się mścili na żołnierzach. Jenerałowie moskiewscy niezadowoleni z posiadłości udzielonych im w Królestwie; tyle muszą z nich do skarbu opłacać, że te gratyfikacye ciężarem dla nich się stają. Kurlandczykom i Inflantczykom postawiono za warunek, że syn, mający odziedziczyć taką donacyę po ojcu, przejdzie poprzednio na prawosławie. Oni pod takim warunkiem nie chcą przyjmować majątków. To wszystko Mikołaja w okropny humor wprawia. W Warszawie mówią, że Moskale są upokorzeni tem, co o rządach Mikołaja mówią i piszą za granicą, i że żal w sercu do niego za to czują. Skądinąd podobno Staro-Moskalom jego zachowanie dogadza, jego słowa między nimi znajdują uznanie.»

Dnia 26 września, po skończonych manewrach, car udał się ponownie do Cieplic w odwiedziny do cesarza Ferdynanda, tym razem w towarzystwie króla pruskiego;

stamtąd zjechał do Warszawy, 15 października, po raz drugi od czasu powstania. Nazajutrz przyjął na zamku przedstawicieli miasta, którzy go w imieniu mieszkańców powitali. Nie pozwalając im odczytać adresu, z jakim się stawili, sam do nich przemówił w słowach, które przechodziły wszystko, co carowie moskiewscy dotychczas wobec Polaków ośmielili się wypowiedzieć. Niektóre dzienniki zagraniczne przychylne Moskwie, wobec powszechnego oburzenia tą mową wywołanego, twierdziły, że mylnie była podaną, ale urzędowa gazeta petersburska sprostowała mniemane, czy istotne pomyłki, podając urzędowe brzmienie mowy cara. Kronika emigracyi polskiej (t. III, str. 340) umieściła jej tłomaczenie według odpisu przywiezionego do Paryża przez francuskiego konsula jeneralnego w Warszawie, Durand. Następujące ustępy największą zwróciły uwagę: «Macie do wyboru albo trwać w waszych złudzeniach i marzeniach o Polsce niepodległej, albo żyć spokojnie i jako wierni poddani pod moim rządem. Jeżeli ciągle uporczywie marzyć będziecie o narodowości oddzielnej, Polsce niepodległej i tym podobnych urojeniach i dziwactwach, nie możecie nie ściągnąć na siebie wielkich nieszczęść. Kazałem tu wystawić cytadelę i zaręczam wam, że za najmniejszem poruszeniem każę zburzyć miasto. W perzynę obrócę Warszawę i nie ja ją z gruzów podniosę.»

Mowa cara inne w Europie wywołała wrażenie niż to, które on prawdopodobnie sprawić zamierzał: dała lepsze zrozumienie jego charakteru, rządów i pogardy traktatów a tem samem ożywiła współczucie i życzliwość dla Polaków. Doświadczyć tego mieli x. Adam i Zamoyski w czasie swej podróży.

Władysław Zamoyski do matki:

«Craigdarock (Stewartrick of Kirkcudbright), na wsi u pana Cutlar Fergusson, 21 października 1835.

Od wczoraj jesteśmy w Szkocyi, wjechaliśmy przez Gretna Green i Dumfries. Dziś, pierwszy dzień niemal

po naszym wyjeździe z Londynu, spoczywamy u naszego przyjaciela Fergussona. Wuj zdrów i bardzo kontent, moje zdrowie znacznie się polepsza. Po całych dniach jeździm albo chodzim, wieczór nie zasiadam do żadnego pisania, stosując się do woli mojej Matki kochanej. Tu w blizkości wstąpiliśmy na dzień do pana Beaumont, który jest prezesem «Assocyacyi» polskiej w Londynie; ogromnie majętny i wiele łoży na przedmioty, które nas obchodzą. Ruch umysłów w tym kraju sprawia, że pobyt tutaj jest dla nas do najwyższego stopnia zajmujący. Widzieliśmy w Leeds nową kolej żelazną, dwadzieścia mil długą, która prowadzi do Bolton Abbey, należącej do xięcia Devonshire; śliczna miejscowość. Miło mi było myśleć, że Matka tu bawiła. Potem widzieliśmy jeziora Westmoreland, tu znowu przypomniałem sobie nasze wycieczki na Lago Maggiore; kiedyż się podobnych doczekamy? W Sheffield, gdyśmy żegnali jednego fabrykanta po obejrzeniu jego zakładu i dziękowaliśmy mu, on, człowiek dosyć prosty, powiedział lordowi Dudley Stuart: «Życzę tym panom, żeby im dozwolonem było we własnym kraju, według swej myśli pracować, zamiast nasze zakłady zwiedzać.» Podobne uczucia spotykamy wszędzie. Za kilka dni będziemy mieli niespodzianą sposobność przekonania się o nich. Fergusson mieszka tutaj w hrabstwie czyli stewartry, z którego po raz siódmy jest wybrany członkiem do parlamentu. Dnia 26 dają mu wyborcy obiad w Castle Douglas, na którym będziemy. Wieść o tem rozeszła się i gotują się z przyjęciem wuja. Rad jestem, że wuj będzie miał sposobność przemówienia choć raz publicznie w tym kraju.

Niema dnia, żebym nie żałował, że czwarte i próżne miejsce w naszym koczu nie jest zajęte przez Zdzisława; że nasze dwa życia nie są bliżej połączone, niemała strata dla obydwóch. Kończę, bo i to długie pisanie na to, co mi dozwolone, i wołają mię na «shooting», gdzie nas czekają bażanty i cietrzewie.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Dumfries, 29 października 1835.

Nasz obiad fergussonowski udał się doskonale. Wuj, chociaż po angielsku, przemówił cudnie. Fergusson, nasz poczciwy towarzysz, lord Dudley Stuart, i wielu innych miejscowych wyrazili się w sposób bardzo żywy o nas i o naszej przyszłości. Prócz tego rzecz była nader ciekawa ze względu na niepospolite wykształcenie polityczne co do kwestyi wewnętrznych kraju, którego dowody dawali wyborcy z tutejszego hrabstwa, jednego z najbiedniejszych w Szkocyi, nie posiadającego miasta nad 7.000 mieszkańców. Tu, w Dumfries, spotkał nas dowód uczuć życzliwych i nader uprzejmych. Miasto przysłało deputacyę do wuja, ofiarując jemu i mnie prawo obywatelstwa. Toż samo lordowi Dudley Stuart a Fergussonowi, który nas tu odprowadził, złożyli jednocześnie adres do prezesa rządu z oświadczeniem swego zadowolenia i zaufania.»

Zamoyski dołączył do tego listu dziennik z mowami w Castle Douglas. Fergusson wzniósł zdrowie xięcia Adama: «Jego cnoty», mówił, «zasługi, cierpienia są zbyt bolesne, bym mu je chciał w tej chwili przypominać; powiem tylko, że szczycić się możemy jego obecnością wśród nas, bo, jeżeli kiedy istniał człowiek, który cnotą i nieszczęściem wart współczucia cywilizowanego świata, jest nim xiążę Czartoryski. Wyraźmy mu tedy współczucie nasze w taki sposób, by zabrzmiało przez całą Europę i obiło się o tron samego cara. Zdanie moje o sprawie polskiej wypowiedziałem w izbie, przetłomaczono je na wszystkie języki, a sposób, w jaki było przyjęte wśród narodów, mających jakiekolwiek pojęcie o wolności, budzi we mnie nadzieję, że nie było całkiem bez pożytku. Poglądy moje nie zmieniły się z wejściem do rządu i ufam, że dożyję chwili, gdy Polska będzie znowu pełna chwały, niepodległa i szczęśliwa. Niech żyje xiążę Czartoryski.» Mowa ta przyjęta była grzmotem oklasków.

Fergusson wniósł następnie zdrowie Zamoyskiego: «Mamy tu wśród siebie jeszcze jednego, co za Polskę walczył i krew swoją wylewał; nosi on na sobie chlubne znaki tej walki i gotów jest każdej chwili kosztem swej krwi rozpocząć ją na nowo. Wnoszę zdrowie tego młodego jeszcze, lecz świetnego oficera. Niech żyje hrabia Zamoyski.»

Lord Dudley Stuart z głębokiem wzruszeniem wypowiedział, do jakiego stopnia upokorzonym się czuje z postępowania rządu angielskiego w sprawie polskiej, wykazał krzywdy Polski i obowiązek ratowania jej, małoduszność rządu, barbarzyństwo i ohydę postępowania Moskwy. «Anglia», mówił, «miała i dotychczas ma siły potrzebne do zwalczenia Moskwy i, chociaż wogóle nie jestem zwolennikiem wojny, to jednak w tym przypadku z radością bym ją witał i pewien jestem, że niema w Anglii uczciwego człowieka, coby się chętnie nie podpisał na wojnę z ciemiężycielem Polski.» Nareszcie przepraszał za długość swej mowy, na co ogólny powstał okrzyk: «mów dalej, mów dalej». I mówił dalej lord Dudley, że sam siebie pohamować nie może, gdy wspomni, że on, Szkot, do Szkocyi powraca z takiem dla niej sercem i tak mile jest w niej witany a widzi tu, przy tym stole, ludzi najzacniejszych, którzy tyle, co on, kraj swój kochają a tak wiele więcej dla niego pracowali, walczyli, przecierpieli, a którym nie dozwolono doznać słodyczy powrotu w rodzinne strony. Na tę myśl taka boleść, takie oburzenie go ogarnia, że nad niemi zapanować nie może: «Wnoszę, Panowie, życzenie, aby każdy naród otrzymał to, do czego ma prawo, a każdy ciemiężyciel to, na co sobie zasłużył.»

Dalsza podróż x. Adama przez Szkocyę stała się jakby tryumfalnym pochodem. Ludność małych miasteczek występowała naprzeciw niemu z muzyką i adresami. W większych miastach lordowie provost (burmistrze) przyjmowali ich na ratuszach, oprowadzali po znaczniejszych

zakładach naukowych, przemysłowych, miłosiernych. Na każdym kroku gorące powitania i mowy. Xięciu wyrażano współczucie w nieszczęściu, hołd jego cnotom należny, żywe życzenia i przepowiednie odrodzenia Polski. Lordowi Dudley dziękowano, że, jako Anglik, narodowi swemu zaszczyt przynosi, występując w obronie Polski i Polaków. Zamoyskiego spotykało serdeczne uznanie za waleczność.

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Florencya, 25 listopada 1835.

Pojmujesz, z jakiem zajęciem czytałam i odczytywałam list twój z 29 dopiero otrzymany. Już od kilku dni czytaliśmy wszystkie te szczegóły w dziennikach, bo nawet mowę twego wuja podają w całości. Łatwo odgadniesz, z jakiem uczuciem ją czytałam, ale truchleję, że złość, którą to wzbudzi, doprowadzi do nowych prześladowań. Wyznaję ci, że wszystkiego się boję. Aż śmiesznie było czytać mowę mego brata prawie jednocześnie z inną mową, o której wiesz.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Hamilton Palace[1]), 4 listopada 1835.

Jesteśmy tu prawie od tygodnia zatrzymani przez lumbago wuja. Lord Dudley Stuart jednocześnie padł z koniem, stłukł nogę i leży kulawy. Ja jeden zdrów, którego oni łaskawie niby chorego mieli w opiece. Chodzę, jeżdżę po okolicy i poluję, co zdrowiu tak służy, że się dziwię i cieszę. Z nadzwyczajną łatwością przyzwyczajam się do tego życia zajętego próżniaka. Hamil-

[1]) W Wielkiej Brytanii nazwa pałacu przysługuje tylko królewskim siedzibom i takim, w których odbyła się kiedykolwiek rada królewska. W początkach XVIII wieku królowa Anna, chcąc się odwdzięczyć ówczesnemu xięciu Hamilton za gościnność doznaną w jego domu w czasie podróży po Szkocyi, zwołała u niego radę a tem samem nazwę pałacu siedzibie jego nadała. Gmach ten swojemi rozmiarami, pięknością budowy, wspaniałym księgozbiorem. mnóstwem nagromadzonych w nim zabytków sztuki i całem urządzeniem zasługuje w zupełności na taką nazwę.

tonowie goszczą nas, jak potrafią najuprzejmiej i, chociaż bardzo ceremonialni i pompatyczni, są przyjacielscy, ale niezabawni. Ich córka, lady Lincoln, przyszła xiężna Newcastle, jest perłą tej rodziny. Mnóstwo gości codziennie tu przyjeżdża i stąd odjeżdża. Obiady co wieczór niezmiernie długie a poobiedzia męskie jeszcze dłuższe. Byłoby to ciężkiem utrapieniem dla ludzi, którzy cały dzień polowali, gdyby nie było rzeczą przyjętą na stołku drzemać. To też poczytują za zasługę tym, którzy tylko na wpół drzemią, za pomocą nieustannie zażywanej tabaki. To moje życie mechaniczne, bezmyślne coraz przerywa myśl o Matce drogiej, niepokój o nią i gorące westchnienie do Boga. Kiedyż, kiedyż będę mógł mieć o niej staranie? kiedyż wolno mi będzie przybyć do niej choć na krótkie, ale tak sercu potrzebne odetchnienie? Po tej podróży będę musiał jeszcze przez dłuższy czas unikać ciągłych zatrudnień. Ja zaś tego nie wytrzymam, chyba przy Matce drogiej. Już i tego argumentu próbuję, żeby uzyskać pozwolenie.»

«Leniwe życie» w Hamilton palace posłużyło Zamoyskiemu do skreślenia kilku uwag, widocznie natchnionych mu naraz duchowem zimnem, jakie wionęło wśród tamtejszych przepychów i mową cara w Warszawie:

«Niewiara ogólna w to, co się o Polsce pisze lub mówi, stanowi, mimo współczucia dla Polaków, jedną z trudności przywiązanych do sprawy polskiej. Najżyczliwsi nawet myślą, czy udają, że myślą, iż nasze cierpienia pochodzą nie z prześladowań, lecz jedynie z utraty niepodległości a, sądząc, że odzyskanie jej jest niepodobne, uważają, iż najlepiej dla Polaków zaniechać dobijania się o nią i zapomnieć o dawnych dziejach. Najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem Polski nie są państwa zaborcze, ale zwątpienie o jej przyszłości. Jak temu zwątpieniu przeszkodzić? Jak zrzucić całun, którym Polskę pokrywają? Jak zdobyć wiarę, kiedy się twierdzi, że Polska żyje, walczy, nadziei nie traci, że u niej wiara

w ostateczne zwycięstwo jest tak żywą, jak gotowość do ofiar, choćby ich skutek miał być dalekim? Jak przekonać ludzi, którzyby uwierzyć nie mogli bez wyrzutów sumienia? Jak ich przekonać, że katy, które od sześćdziesięciu lat nad Polską się pastwią, jeszcze jej nie dobiły, przeciwnie, że ona jest nieustannym przedmiotem niepokoju dla swych prześladowców? Ludzie zrozumieć nie mogą i zaledwie przebaczyć umieją, że naród, który się dał złupić, wydziedziczyć, rozćwiartować, w opłakanem położeniu, do jakiego doszedł, zamyśla zwyciężyć swych panów. Jak mówić do ludzi, którzy słuchają nieuważnie, niechętnie, nieufnie? Jak ich przekonać, zająć, wzruszyć? Car się tego podjął. Car sam na siebie i na stan Polski ściągnął uwagę, sam dowiódł, że dla Polski w takich warunkach nie może być mowy o rzetelnem pogodzeniu się z obecnym losem, o łączności z Moskwą.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Mount Stuart, na wyspie Bute,
15 listopada 1835.

Jesteśmy tu na bardzo ładnej wyspie gośćmi naszego poczciwego towarzysza, lorda Dudley Stuart, w niebytności właściwego pana a jego synowca, lorda Bute[1]). Nic piękniejszego nad tę okolicę: brzegi rzeki Clyde przy ujściu i wyżej aż tutaj pyszne. Wyspy otaczające, mianowicie Arran, okryte górami Highland, dziś pod śniegiem, podczas gdy tutaj nadspodziewanie nadzwyczaj piękne mamy dni. Z Hamilton wyjechaliśmy po nader długim pobycie, wszyscy znowu zdrowi. W Glasgow widzieliśmy wiele pięknych i ciekawych zakładów. Stamtąd jechaliśmy przez Pollok-Shaw pana John Maxwell[2]), członka parlamentu. Paisley i Greenock do Ardgowen, siedziby sir Michael Shaw-Stewart[3]), również członka parlamentu. Dzień ten był jakby nieprzerwanem w tych trzech

[1]) Jan, drugi margrabia Bute (1793—1848).
[2]) Sir John Maxwell (1768—1844).
[3]) Sir Michael Shaw-Stewart, um. 1836.

miastach witaniem nas. Dwa razy wypadło odpowiadać na adresy. Lord Dudley Stuart roku zeszłego popierał mocyę na poratowanie licznych w tej okolicy tkaczy podupadłych przez zaprowadzenie mechanicznego tkactwa. Ci go serdecznie witali za dzielne wystąpienie w ich sprawach a do tego łączyli dzięki za popieranie sprawy polskiej. Był to według angielskiego wyrażenia mój «maiden-speech», pierwsza mowa na publicznem zgromadzeniu. W łaskawości swej uznali, że cudownie się sprawiłem, co dowodzi, że się spodziewali, iż będzie jeszcze gorzej niż było. Spostrzegłem z zadziwieniem, że, pominąwszy pierwszą chwilę, to wcale łatwo mi przyszło. Tutaj używamy zupełnej swobody, polujemy, póki dzień a potem załatwiamy okropnie opóźnione korespondencye. W tej chwili wszyscy trzej po obiedzie w salonie przy jednym ogniu piszemy. Stary dom, piękna miejscowość. Ja coraz zdrowszy, nie mogę wierzyć, że mi czegoś braknie, ale Matki drogiej zdrowie kiedy się polepszy? Dziękuję Bogu, że, skoro nie wolno mi być przy Matce, jestem zmuszony jeździć i ruszać się, bo przy takiem pragnieniu jechania do Matki byłoby czego dwadzieścia razy żółtaczki dostać.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Castle Toward, Argyleshire, naprzeciw
wyspy Bute (Rothesay), 23 listopada 1835.

Odbyliśmy wycieczkę do Inverary statkiem parowym przez Loch Tyne i z powrotem przez Loch Long. Niestety, w bardzo brzydki czas tak, żeśmy prawie nic nie widzieli. Co najlepszego było w tej podróży to, że zdrowie wuja mimo niepogody i niewygody nie ucierpiało; o mojem nie mówię, bo się ono takich trudów nie boi. Tu jesteśmy w gościnie u kupca, który umiejętnością i szczęściem zrobił wielki majątek. Jest przytem wykształcony w rozmaitych kierunkach. Jest on tutaj powagą w sprawach handlowych dla rządu czy to whigów, czy torysów. Stoi na czele prawie wszystkich większych przedsiębiorstw w tej części

kraju: kanałów, statków parowych, kolei żelaznych etc. Przytem ma posiadłość ziemską, na której tak gospodarzy, że jest policzony w Szkocyi do dobrych farmerów. Wszystko to sprawia, że jest on dla mnie niewyczerpaną studnią wiedzy i bardzo mnie zajmuje. Od wojny nie zwracałem uwagi, nawet za pobytem w Anglii, na te wszystkie przedmioty stanowiące pomyślność materyalną tego kraju. Zdawało mi się, że tak daleko do czasu, kiedyby takie wiadomości znalazły u nas zastosowanie. Ta myśl odbierała mi ochotę zajmowania się niemi, gdyż byłem wyłącznie zajęty tem, co poprzednio musi być załatwionem. Dzisiaj jednak niezmiernie mnie to zajmuje, może dlatego, że z taką łatwością znajduję tyle rozmaitych umiejętności, których w zwykłych warunkach byłbym musiał szukać. To mnie odmładza. Machinalnie notuję, co widzę i słyszę, zapisuję tytuły książek itd. i rozmyślam nad tem, jakby coś z tego do naszych dojść mogło.

Do tych wszystkich rozmów miesza się jednak w tej chwili z podwójną siłą to, co mnie głównie zajmuje. Mowa J. C. Mości w Warszawie sprawia tak niepospolite wrażenie, że najobojętniejszych porusza. Nasz stary gospodarz należy do tej liczby. Mało o nas wie, niechętny dla wszelkiej wojny jako szkodliwej dla handlu, przemysłu itp., przytem jest on prędzej torysem niż whigiem, właściwie «old whig», bo dzisiejszych rządzących nazywają «radical whig». Wszakże po przeczytaniu mowy cara i uwag czynionych o niej po wszystkich dziennikach z powszechną zgrozą, wpadł w ognisty gniew a dzisiaj przytaczał słowa starego doktora Johnson[1]), sławnego torysa: «Gdyby kto chciał zrobić ze mnie swego niewolnika, tobym go zamordował». Taki to tu naród i takie uczucia nawet u najzimniejszych, nawet u najnieprzyjaźniejszych dla przesadzonej wolności. Zwracam uwagę na dzienniki

[1]) Samuel Johnson (1709—1783), krytyk i pisarz, nazwany w Anglii królem literatury.

tutejsze o naszej sprawie w tych czasach, mianowicie «Times» od 12 do 19 b. m. Ze wszystkich jednak najznakomitszy «Journal des Débats» z 11, 13, 15 i następne.

Piszą z Paryża, że sam Ludwik Filip nie powściąga swej zgrozy od chwili, kiedy, zapytawszy posła Pahlena[1]), czy być może, aby ta mowa nie była fałszem, odebrał odpowiedź zapewniającą o jej autentyczności i chwalącą ten dowód szczerości[2]). Tu na to mówią, że niema ludzi bardziej szczerych, jak rozbójnicy, którzy po drogach ludzi napadają, żądając worka lub życia. My nad wyraz się tą mową cieszymy, ona lepiej wyjaśni istotny stan naszej sprawy niż wszystko, cobyśmy powiedzieć mogli, potwierdza każde słowo mowy x. Adama w Castle Douglas, przytem jest nową, jawną obelgą dla Europy, gdy nazywa marzeniem nadzieję utrzymania tego,

---

[1]) Piotr hr. Pahlen (1775—1864), poseł moskiewski w Paryżu od 1834.

[2]) W. M. Torrens, autor życiorysu lorda Melbourne, pisze, że król angielski, Wilhelm IV, również «silnie potępiał przemowę cara w Warszawie do polskiej deputacyi, jako niweczącą układy traktatu wiedeńskiego» i napisał ostry list do prezesa ministrów w którym dowodził, że «polityka Moskwy wymaga środków obronnych i że należy otrzymać od parlamentu powiększenie marynarki». Torrens robi przytem uwagę, że prezesowi ministrów i ministrowi spraw zagranicznych nie trudno było odgadnąć, z jakiego źródła pochodziły myśli królewskie. (Memoirs of viscount Melbourne, by W. M. Torrens M. P. T. II, str. 150) Zdaje się, iż, pisząc te słowa, Torrens miał na myśli wpływ wywierany na Wilhelma IV przez panią Dawson Damer, gorącą przyjaciółkę sprawy polskiej. Była ona córką admirała lorda Hugh Seymour, po kądzieli pochodziła od sławnego ministra, sir Roberta Walpole; babka jej, lady Waldegrave, po stracie pierwszego męża, zaślubiła xięcia Gloucester, młodszego syna Jerzego II. Panna Seymour, wcześnie straciwszy rodziców, stała się przedmiotem sławnego w Anglii procesu między własną rodziną a panią Fitzherbert, morganatyczną żoną xięcia Walii, później Jerzego IV, która się dopominała o opiekę nad nią i ostatecznie, za wpływem króla wygrała proces. Pani Fitzherbert wychowała przybraną córkę pod okiem Jerzego IV, stąd jej późniejsze stosunki z dworem i poufne wiadomości, jakich Zamoyskiemu udzielała. Wydana za mąż za pułkownika Dawson Damer, pozostała nadal z dworem w ścisłych stosunkach.

co postanowiły traktaty. Nie dziś chwila do wybuchu, ale trudno wątpić, że ta mowa tę chwilę przybliża. Nam trzeba cierpliwie wyczekiwać skutków zaczepnej fanfaronady i wzrastającego oburzenia narodów[1]).

Dziś płyniemy na noc do Glasgow skąd, przez Stirling do Taymouth, do lorda Breadalbane[2]), mego dawnego a dobrego znajomego jeszcze z Genewy. Jest to jeden z najznakomitszych panów tego kraju; zabawimy tam dni kilka.

Pac testamentem wykazał kapitał 8.000.000 fr. Zapisał córce $^3/_5$ a $^2/_5$ rozdzielił na różne cele. Kniaziewicza mianował opiekunem córki, Bignona i Ludwika Platera egzekutorami[3]).»

Władysław Zamoyski do matki:

«Edynburg, 8 grudnia 1835.

Obiad dany tu dla xięcia odbył się jak najpomyślniej. Było przeszło trzysta osób a między nimi wiele znakomitości. Do ostatnich zalicza się lord advocate of Scotland; jako pierwszego urzędnika tutaj nazywają go: «prime minister of Scotland»; z wielką wymową sam wniósł zdrowie xięcia. Wuj, jak zwykle, mówił doskonale. Musiałem i ja mówić. Zdrowie moje wniósł sir

---

[1]) Zewsząd dochodziły Zamoyskiego wyrazy zgrozy na mowę cara. Dawid Urquhart pisał ze Stambułu (10 stycznia 1836): Dałem przetłomaczyć na język turecki mowę cara. Turcy nie są wystraszeni nią, ale oburzeni. Mówią: «Ta mowa była wypowiedziana do Polaków, ale stosuje się i do nas.»

Z Florencyi pani Zamoyska pisze (15 grudnia 1835): «I my cieszymy się z mowy Mikołaja. Tutaj ogromne sprawiła wrażenie, nawet na najbardziej ospałych.»

[2]) Jan, drugi margrabia Breadalbane (1796—1862).

[3]) Jen. Pac umarł w Smyrnie 31 sierpnia 1835. Zdawało się, że cesarz Mikołaj skorzysta z tej sposobności, żeby oddać sierocie olbrzymi majątek, który zabrał ojcu. Kilku panujących wstawiło się za nią, cesarz kazał odpowiedzieć, że dobra jen. Paca już dał pewnemu jenerałowi rosyjskiemu. Był to sposób położenia końca wszelkim zabiegom. (W. Z.)

George Warrender[1]), w wyrazach nadzwyczaj pochlebnych; pilno mu popisać się z tem osobiście przed Matką drogą we Florencyi[2]). Byłbym chciał, żeby Matka widziała tę ucztę, bo w istocie wieczór ten był pyszny, mowy wspaniałe, zapał niesłychany, przytem doskonały porządek. Wrażenie ogromne, szczególnie z powodu obecności dwóch członków rządu, którzy obaj przemawiali i to w bardzo silnych wyrazach. Rozwój umysłowy tutejszej ludności jest nadzwyczajny, jej zdrowy rozum, umiarkowanie, energia. Bystrość, z jaką zrozumieli, że nie trzeba naszej sprawy wiązać z żadnem wyłącznie stronnictwem, przezorność, z jaką wszyscy mówcy bez wyjątku umieli uniknąć zadraśnięcia swych politycznych przeciwników, ale wspólnych przyjaciół naszej sprawy, są godne podziwu. Spieszę, chciałem tylko dać znak życia.»

Przechował się spis toastów wniesionych podczas uczty edynburskiej:

1. Lord Breadalbane, chairman, prezes uczty, wnosi kolejno zdrowia króla, królowej, królewny Wiktoryi i wszystkich członków rodziny królewskiej, potem armii, marynarki i sprawy polskiej.

2. X. Czartoryski wnosi zdrowie lorda Dudley Stuart i przyjaciół Polski.

3. Lord Dudley Stuart wnosi toast na cześć walecznych Polaków, którzy na wygnaniu i w niedostatku utrzymują przy życiu narodowe istnienie swej ojczyzny. Zamoyski dziękuje.

4. Lord advocate (edynburski) wnosi zdrowie x. Czartoryskiego.

---

[1]) Sir George Warrender (1782—1849), potomek zasłużonej rodziny kupieckiej z Edynburga.

[2]) Pani Zamoyska, po odwiedzinach sir George'a, pisała do syna: «Nie mogę ci dać pojęcia, jak kocham tych poczciwych ludzi. Sir George wydawał mi się dawniej trochę nudnym, teraz wydaje mi się najmilszym i najlepszym człowiekiem na świecie.»

5. X. Czartoryski odpowiada i wnosi zdrowie lorda provost (burmistrza), magistratu i radnych miasta Edynburga.

6. Lord provost odpowiada i wnosi toast na cześć dwóch «najmłodszych» obywateli Edynburga, x. Czartoryskiego i Zamoyskiego.

Każdy z osobna dziękuje.

7. Dr Browne[1]) wnosi toast na rychłe odbudowanie Polski. Kapitan Jabłoński dziękuje a Zamoyski zapisuje, że «doskonale».

8. Lord Kinnaird[2]) wnosi toast na zwycięstwo wolności cywilnej i religijnej w całym świecie.

9. Fergusson na zwycięstwo sprawy konstytucyjnej w Hiszpanii i Portugalii.

10. Convenor[3]) Dick wnosi zdrowie Fergussona i wszystkich członków izb, którzy tak gorąco bronili spraw polskich. P. M. Stewart, członek parlamentu, odpowiada a Zamoyski dodaje, że «tęgo».

11. Sir G. Warrender wnosi zdrowie Zamoyskiego. Zamoyski odpowiada.

12. Sir Gibson-Craig[4]) wnosi zdrowie Beaumonta, członka parlamentu, i prezesa Towarzystwa przyjaciół Polski. Beaumont odpowiada.

13. Solicitor-General (prokurator) wnosi zdrowie wychodźców polskich, zamieszkałych w Edynburgu.

Szczepanowski odpowiada.

14. Pan W. Gibson-Craig[5]) wnosi zdrowie prezesa, lorda Breadalbane. Tenże odpowiada.

---

[1]) Wilhelm Alexander Browne (1806—1885), lekarz wsławiony nauką i miłosierdziem.

[2]) Jerzy Wilhelm Fox, dziewiąty baron Kinnaird (1807—1878), w późniejszych latach prezes Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski i obrońca jej w parlamencie.

[3]) Jeden z gospodarzy uczty.

[4]) Sir James Gibson-Craig (1765—1850), prawnik.

[5]) Wilhelm Gibson-Craig, syn poprzedniego, później szkocki minister skarbu.

15. Pan Jameson[1]) wnosi toast na cześć Ordona[2]) i bohaterów warszawskich w 1831 roku.

Ordon odpowiada.

16. Pan Hume wnosi toast na cześć Niemcewicza i literatury polskiej.

17. Pan Crawfurd[3]) ku przymierzu Francyi z Anglią w sprawie wolności.

18. Pan Mac Dougall na cześć Dembińskiego, Dwernickiego i dzielnego wojska polskiego.

19. Pan M. Stewart, członek parlamentu, na cześć polskich dzieci porwanych przez tyrana, aby wnet powróciły do ojczyzny z duchem ojczystym.

20. Pan W. E. Aytoun[4]) na cześć Kościuszki.

21. Pan A. G. Carmichael[5]) na cześć Tomasza Campbell.

22. Pan James Moncreiff[6]) na zupełne i ostateczne zniesienie wszelkiej niewoli i oswobodzenie Słowian

Władysław Zamoyski do matki:

«York, 30 grudnia 1835.

Bawiliśmy w Edynburgu dni kilkanaście w ciągłych prawie trudach, wynikających z niezmiernej uprzejmości mieszkańców. Z Edynburga pojechaliśmy do Gosford, do lorda Wemyss[7]), gdzie nader miło było słyszeć i wi-

---

[1]) Robert Jameson (1772—1854), geolog i mineralog profesor nauk przyrodniczych i konserwator muzeum uniwersyteckiego w Edynburgu.

[2]) Julian Konstanty Ordon, kapitan artyleryi, ciężko ranny pod Wolą przy bohaterskiej obronie reduty 52 w dniu 6 września 1831, na emigracyi przez długie lata profesor matematyki i języków w Szkocyi. Um. 1887.

[3]) Jan Crawfurd (1783—1868), uczony oryentalista i etnolog.

[4]) Wilhem Edmonstoune Aytoun (1813—1865), prawnik i literat, napisał poemat «Polonia».

[5]) Alexander Gibson Carmichael, od 1849 baronet (1812—1850).

[6]) Jan Moncreiff, sędzia.

[7]) Franciszek, siódmy hr. Wemyss (1779—1853).

dzieć dowody pamięci o braciach[1]). Byłem tu na dwóch polowaniach na lisy z lordem Elcho, starszym synem gospodarza[2]). Myślałem o Andrzeju, który po tych samych polach lisa gonił i dobre sobie imię zdobył. W całej tej okolicy na każdym kroku spotykam najpochlebniejsze o braciach wspomnienia. W Biel pod Haddington byliśmy u pana Fergussona, ale nie Cutlar Fergussona, tylko tego, który Matkę znał przed trzydziestu laty w Wiedniu. Mieliśmy pyszne u niego polowanie przez dwa dni, po trzysta sztuk dziennie. Ja sam jednego dnia ubiłem pięćdziesiąt sztuk. Stamtąd objeżdżaliśmy Melrose Abbey i Abbots Ford, siedzibę sir Walter Scotta. Potem przepędziliśmy tydzień u lorda Grey, byłego pierwszego ministra w Howick, Northumberland. Lord Grey teraz spoczywa na ustroniu, to też otwarcie mówi o wszystkiem i otwarcie, choć późno, wyznaje xięciu, że polityka jego w naszej sprawie była zbyt nieśmiałą. Wyraża żal swój, że nam ręki nie podał w czasie potrzeby. Mówi, że rząd angielski zapóźno, ale wyraźnie spostrzegł, iż (1831) źle ocenił własne siły i środki, jakiemi mógł rozporządzać dla powstrzymania Moskwy. Późno to, ale jest przecie nagrodą usiłowań czynionych, że sprawę naszą lepiej tu rozumieją. Dopomaga sam Mikołaj, którego powszechnie zaczynają mieć w podejrzeniu i przewidują nieodległą konieczność rozstrzygnięcia przez wojnę trudności, coraz się wzmagających na Wschodzie. Rzecz to zapewne godna uwagi, że takie zdanie podziela dziś lord Grey, który przez całe życie nieustannie przeciwił się wszelkiej wojnie i nas dla tej zasady poświęcił. O przyszłości mówi tak jak wszyscy tutaj obecnie; nie pojmuje, jakby się trudności z Moskwą rozstrzygnąć mogły bez wojny. Pocieszającem jest widzieć, że już nie dla nas podnoszą się takie głosy, ale dla ich własnego bezpieczeństwa,

[1]) Konstantym i Andrzeju, z czasu ich pobytu w Szkocyi 1820—1821.

[2]) Franciszek baron Elcho, od 1853 dziewiąty hr. Wemyss (1796—1883).

a zarazem oglądają się na nas, jako na sprzymierzeńców. Jednak nie pojmuję, któryby z pomiędzy mężów stanu tutejszych mógł powziąć myśl wielką, śmiałą — i rozpocząć. A wszakże w tym kraju, gdy jakie uczucie silne rośnie i rozpowszechnia się, rzadko, by pozostawało bez skutku. My tylko po cichu wołamy «hilf Mikołaj».

Zwiedziliśmy wspaniałe katedry Durham i York. Lord i lady Carlisle[1]) są w Paryżu, więc tym razem nie pojedziemy do Castle Howard, czego żałuję z powodu wspomnień o Matce, które się tam dobrze przechowują.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Liverpool, 1 stycznia 1836.

Przebyliśmy z pyszną szybkością kolei żelaznej drogę z Manchester do Liverpool. Trudno sobie wyobrazić olbrzymi postęp dokonany w tym kraju. Sieć kolei żelaznych pokryje go niebawem całkowicie, nieobliczone sumy są na to użyte. Teraz dodano do kolei Liverpool komunikacyę podziemną na półtory mili angielskiej długą, prowadzącą do portu; ten dodatek kosztował dwa i pół miliona fr. a cena biletów nie podniesiona. Zrobiono to tylko dla uniknięcia konkurencyi innej kolei, którą budować zamierzano. Dobrobyt ludności pracującej podnosi się do niebywałych rozmiarów.

Zdrowia nasze bardzo dobre; nie wiem, jak będzie z mojem, gdy znowu sprobuję więcej pracować a mniej będę polował; jednak mam dobrą nadzieję.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 43, Pall Mall, 16 stycznia 1836.

Ostatni list mocno mnie przeraził, gdy o Matki niezdrowiu donosi. Za każdą taką wiadomością wznawia się mój żal, że żyję daleko od Matki, że tracę tyle lat szczęścia. Z nikim już na świecie tyle, jak z Matką, nie znajdowałbym rozkoszy w pożyciu, przy nikim, jak przy

---

[1]) Jerzy, szósty hr. Carlisle (1773—1848), ożeniony z Georgianą, córką xięcia Devonshire.

Matce, nie lubiłbym wypoczywać po pracy i spowiadać się z najskrytszych uczuć i myśli, przed Matką ciesząc się otwarcie dobremi, szukając pobłażania na gorsze i zachęty do lepszych.

Po napisaniu ostatniego listu przepędziliśmy tydzień w Sandon u lorda Harrowby bardzo przyjemnie. Syn jego starszy, lord Sandon, ma za sobą siostrę ukochaną lorda Dudley Stuart. Znał Matkę i Leona (Sapiehę) w Akwizgranie w roku 1821 i zachowuje tego pamięć żywą. Zawsze był dla nas przyjacielski i osobiście i politycznie, ale nigdy jak teraz. Obwoził nas po ogromnych garncarniach w Staffordshire, gdzie sześćdziesiąt tysięczna ludność zajęta jest wyłącznie garncarstwem. Ofiarował mi stamtąd dla Matki bardzo ładny kałamarz. Jego siostra, lady Georgina Wortley, jest jedną z «fashionable» londyńskiego towarzystwa i należy do stronnictwa torysów, jak cała rodzina. Wiedziałem, że jest do nas uprzedzona, ale tydzień tam przebyty pokonał to usposobienie. Wogóle zdaje się nam, że taki sam skutek otrzymujemy i w innych podobnie usposobionych domach. Następnie zwiedziliśmy Birmingham, Stratford, ojczyznę Szekspira, gdzie nam opowiadano o polskiej xiężnej Czartoryskiej[1]), Oxford i kollegium w Eton, w którem najznakomitsi mężowie Anglii otrzymali wychowanie a nareszcie zamki Warwick, Kenilworth, Bleynheim, Windsor. W Bleynheim Stuart nabył dla Matki, na zastąpienie nieodżałowanej «Gryzi», maleńkiego charlot, wsławionej rasy miejscowej. Nazywa się «Pam», co znaczy «valet de coeur» (niżnik); ma jedenaście miesięcy, śliczny jest, ale okropny tchórz, wrzeszczy jak waryat, kiedy go zostawić samego w ciemnym pokoju. Mam z nim kłopotu bez miary, ale mi to miłe, bo myślę, że to dla Matki i że taką mi będzie radością kiedyś jej go oddać. Gdy siły

---

[1]) Zdaje się, iż stamtąd x. jenerałowa przywiozła krzesło Szekspi›a do Puław, o czem dzienniki w swoim czasie się rozpisywały.

pozwolą, niech Matka napisze liścik do lorda Dudley Stuart, dziękując za psiaka i za mnie, którego, oprowadziwszy po wyspie, wrócił zdrowego jak rybę. Dobrzeby nadmienić i o innych jego ważniejszych zasługach dla nas. Będzie umiał to ocenić. Miał matkę, której był jedynym synem i którą ubóstwiał.»

Za powrotem ze Szkocyi skończyła się swoboda, jakiej x. Adam i Zamoyski używali podczas podróży; w Londynie czekały na nich listy a prawie wszystkie przynosiły brzemię trosk osobistych i emigracyjnych. Do bardzo dotkliwych należała wiadomość o bankructwie domu handlowego: Ludwik Jelski & comp., któremu wielu wychodźców powierzyło znaczne sumy.

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Londyn, 19 stycznia 1836.

Stało się, jak rozsądni i doświadczeni przeczuwali. Gdzie się wielu topi, tam każdy idzie się zanurzać. Nowy to dowód, że, chcąc nie dopuścić do złego, potrzeba tyle wiadomości, ile ich trzeba do czynienia dobrze. Bez tej znajomości rzeczy, nie można mieć silnej woli, ani stawić oporu niedoświadczonej zarozumiałości.

Cały kapitał domu pochłonięty, pozostają kłótnie między akcyonaryuszami. Usiłujemy przynajmniej uchronić się od brudu. Ileż się cieszę, że ciebie nie wplątałem do tego. Xiążę najwięcej traci ze wszystkich. Musi ograniczyć i tak skromne wydatki. Szczęściem wypadki ogólne są zajmujące i odrywają myśl od osobistych dolegliwości.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 23 lutego 1836.

Markotno mi myśleć, że Wujowi ubywa wygód w miarę wzrastających potrzeb. Zdrów jest, ale są rzeczy, które mu dziś mniej łatwo przychodzą niż przed laty. Większej potrzebuje usługi, pomocy. Anna jest pełna odwagi, dzieci, mianowicie Witołd, zacnie i rozumnie wchodzą

w położenie. Daj Boże, żeby te próby przynajmniej ich i nas samych wyrobiły.»

W pierwszych listach do braci po powrocie do Londynu, Zamoyski zaznacza zmianę w stosunkach Anglii do Moskwy: «Rząd, jak się zdaje, postanowił obalić potęgę moskiewską. Środkiem ku temu przymierze z Francyą i Austryą, droga przez Turcyę, Dardanele, Kaukaz a naostatku przez nas, na ostatku, ale z postanowieniem o tyle bardziej stanowczem. Traktat wiedeński zniszczony i ostatecznie za taki uważany. Z tego wynika, że prędzej czy później przyjdzie do wojny a celem jej będzie cofnięcie granic Moskwy od Turcyi, od Prus, od Niemiec. Urquhart zaledwie się kryje ze swem współpracownictwem w wydawnictwach, które wszystkie tchną wojną z Moskwą a raczej tem, co czynić wypada, aby nie przyszło do wojny, przynajmniej nie w warunkach przez Moskwę od dawna przygotowanych tak, że wszystkie korzyści byłyby po jej stronie. Sam zważ, jaka stanowcza zmiana zapatrywań zaszła w tym kraju, kiedy rząd zezwala własnemu urzędnikowi, na tak ważnem stanowisku, na podobne pisma. Przed sześciu miesiącami nikt o nas nie dbał, nikt nie widział możności zużytkowania naszej sprawy. Główną sprężyną tego zwrotu jest Urquhart, który sam przed sześciu miesiącami uważał sprawę naszą za przeszkodę do tego, co Anglia powinna czynić przeciw Moskwie. On chciał, aby Anglia opierała się głównie o sprawę wschodnią, bo tę tylko rozumiał. Dzisiaj we wszystkiem działamy wspólnie. Łączność naszych nadziei z ich własnym inteteresem i ocaleniem Turcyi zaczynają rozumieć ci, co się temi kwestyami zajmują. Naszym obowiązkiem w takich okolicznościach cierpliwie i karnie czekać, jednak nie spać, dostarczać materyałów dyplomatycznych i statystycznych o naszym kraju, a na to wasza pomoc nam potrzebna.»

Przesyłając braciom bezpieczną drogą ważniejsze druki i dzienniki: «Journal de Débats», «który teraz

doskonały», «Morning Chronicle», «Standard», «Portfolio», Zamoyski prosi, by czytano z szczególną uwagą artykuły Urquharta o handlu Anglii z Moskwą. «Pojmiesz łatwo», pisze do Zdzisława, «jak one muszą zajmować naród angielski, którego polityka jest przeważnie handlowa. Potrzebaby podobnych artykułów o handlu polsko-angielskim. «Portfolio» wszyscy tu czytują i wrażenie wywiera ogromne. Nigdy żadne wydawnictwo o sprawach zagranicznych do tego stopnia publiczności nie poruszyło, co o tyle większe ma znaczenie, że Anglicy z trudnością dają się oderwać od spraw wewnętrznych, które całkowicie czas im pochłaniają. Mowa warszawska jak z nieba zesłana w najlepszą porę. Nasza podróż także wywarła wpływ zbawienny. W wydawnictwach Urquharta są częste wzmianki o Polsce niemiłe dla nas. Jest to taktyką autora; chce on przemawiać wyłącznie w interesie turecko-angielskim, aby nie wikłać sprawy względami, które zdają się ją utrudniać, a które jednak tak są ściśle z nią związane, że ich przemilczeć niepodobna. Nasze nadzieje nie potrzebują podniecania, ani też są na cudzem współczuciu oparte. Byle Anglia zrozumiała, że musi położyć tamę Moskwie, to my samo przez się przyjdziemy jej na pamięć. Dziś Anglia już przebudzona, rząd widzi niebezpieczeństwo i sam ściąga na nie uwagę narodu, bez którego nic uczynić nie może. Wszystko to wolno i miękko idzie, ale nie dziw, że po tak długim śnie wśród największych dostatków i największej pomyślności handlowej przebudzenie wolne. Austrya, jak często bywało, jest osią, około której obracają się wszelkie widoki powodzenia. Idzie o wciągnienie Austryi do przymierza przeciwko Moskwie. To i dla nas pożądane. Wiadomości jednak z Galicyi nader groźne i trudne nawet do zrozumienia. Nie pojmuję, czemu Austrya ten kraj ciśnie. Jak Polska potrzebuje Austryi dla odzyskania swej niepodległości, tak Austrya potrzebuje Polski niepodległej dla zabezpieczenia własnej niezależności. Do tego stosujcie wasze mowy w Galicyi,

o ile wam mówić wypada. Listy pisane z kraju pod wrażeniem tego, co przed rokiem zaszło, pokazują obawy o nasze tu działania, jak gdyby miały pociągnąć za sobą szaleństwa w rodzaju tych, które zapamiętali. Możesz takim obawom śmiało zaprzeczyć. Dalibóg mylą się. Liczę na ciebie, że im wytłomaczysz, co robię i jakie nasze nadzieje.»

Zamoyski skorzystał również z przybycia do Londynu dawnego znajomego z 5 pułku ułanów, Artura Gołuchowskiego, by z nim pomówić o działalności x. Adama i przez niego zanieść do kraju prawdziwe o niej pojęcie. Na zarzut Gołuchowskiego, że emigracya chce wywołać powstanie w zaborze austryackim, odpowiada: «Insurekcya w Galicyi? Ktoby jej dzisiaj chciał? Bogaci? nie. Chłopi? nie. Więc część średniej szlachty i młodzież szkolna? Insurekcya przeciw komu? Czy przeciwko wszystkim trzem mocarstwom, czy przeciw Austryi tylko? W pierwszym razie, jakie porozumienie z innemi prowincyami? a w każdym razie jacy naczelnicy na rozmaitych punktach? Jakiż cel może mieć insurekcya, któraby miała przeciw sobie nie tylko trzy mocarstwa zaborcze, ale całą Europę i wszystkich ludzi roztropnych, tak jak było przeciw szwajcarskim, sabaudzkim, niemieckim wyprawom.

Wszyscy nam przyznają ducha, ale zaprzeczają rozumu. Czas, byśmy przestali popisywać się duchem a okazali, że mamy roztropność i świadomość spraw europejskich. Jużeśmy upadli kilka razy, w znacznej mierze dla braku tej świadomości, raz przez obojętność dla Europy, to znowu przez niewczesne i zapóźne oglądanie się na nią. W dzisiejszym stanie Europy żaden naród odrębnie działać nie może. A czy nam, najsłabszym, przystoi rościć sobie prawo do kierowania europejskim ruchem? Jakiż obowiązek dla nas ważniejszy nad pilnowanie szeregu, jaki nam los przeznaczył? Los stawia nas dzisiaj nie w przedniej straży, ale w drugiej linii. Rzucanie się naprzód pociągnęłoby za sobą karę zasłużoną, odrzucenie nas jeszcze dalej

w tył. Czy tracimy na czekaniu? Na to odpowiedzieć można przez inne pytania. Czy duch upada przez prześladowanie? Przeciwnie, po ostatniej wojnie, gdyby nie prześladowanie, gdyby nie zawziętość Moskwy i jej namiestników, Austryi i Prus, kto wie, czy zgubne zwątpienie nie byłoby kraj ogarnęło. Gdzie duch najsilniej się utrzymuje? Niewątpliwie tam, gdzie prześladowanie najsilniejsze to jest w Królestwie. A w samej Galicyi czy duch nie wzrósł znacznie przez ostatnie dwa lata?»

Gołuchowski z Londynu udawał się do Florencyi. Zamoyski powierzył mu listy do Zdzisława; przypomina w nich bratu, że znał Gołuchowskiego w sztabie głównym, przy Skrzyneckim a następnie w 5 pułku ułanów: «Nie brak mu zdrowego sądu, chociaż dotychczas niewiele go przykładał do spraw publicznych; poprzestawał, jak tylu innych u nas, na tem, co dają dzienniki. Długo z nim rozmawiałem, bo warto.»

XI

OTWARCIE IZB W PARYŻU I LONDYNIE. — NAJAZD KRAKOWA (1836)

Przy dorocznych rozprawach izb francuskich nad adresem do tronu przyszło w styczniu 1836 do dosyć gorących przemówień o Polsce. Rozprawy te były wywołane przez mowę cara w Warszawie i podsunięte izbom przez samychże ministrów, chociaż się im później rzekomo przeciwili. W istocie rząd francuski mimo względów dla Moskwy, pragnął jednak, żeby jakieś dowody oburzenia Francyi rozeszły się po świecie i posłużyły carowi za ostrzeżenie, że, za silnie strunę naciągając, sam zmusi gabinet tuileryjski do nieprzyjaznych kroków, których ogólne poczucie sprawiedliwości będzie się domagało.

W izbie panów hr. Tascher[1]), stronnik rządu, tak napiętnował politykę moskiewską: «Przywłaszcza sobie ona za pomocą traktatów, czego nie zdobyła mieczem, roztacza opiekę nad narodami, które zamierza opanować, zagrabia to, nad czem opiekę roztacza Przyjaźń tego państwa jest zabójczą. Jedną ręką trzymając Bałtyk

---

[1]) Jan Samuel Ferdynand hr. Tascher de la Pagerie (1779—1858), krewny cesarzowej Józefiny.

a drugą Dardanele, może, pod wodzą despotyzmu, od północy do południa walczyć przeciw cywilizacyi.»

Po hr. de Tascher zabrał głos Montalembert. Ze zwykłą sobie wymową wyliczył okrucieństwa popełniane przez Mikołaja w Polsce. X. de Broglie, prezes ministrów, odpowiedział, że rząd już w 1831 uczynił, co mógł, w obronie Polski i Polaków, że więcej uczynić się nie da, że nie trzeba rozjątrzać sprawy bezskutecznemi słowami. Nareszcie pocieszał izbę nadzieją, że «z czasem i przy roztropności, prawda i sprawiedliwość niewątpliwie w Polsce zwyciężą».

Pan Villemain[1]) zauważył, że, jeśli rząd w 1831 roku wśród tak trudnych dla niego okoliczności istotnie uczynił, co tylko mógł dla Polski, to nie czas na tej drodze ustawać, kiedy położenie Polski jest coraz gorsze, a Francya, ciesząc się pokojem na wewnątrz, ma siłę potrzebną do działania na zewnątrz.

W izbie poselskiej 11 stycznia Bignon podnosił, że król Francuzów w mowie swej nie wzmiankował Polski, ale że inny mówca to uczynił, «mówca mający więcej potęgi od nas wszystkich, głos silniejszy od tych, co się słyszeć dają z francuskich i angielskich mownic, mówca, który współczucie wszystkich narodów ku Polsce wzniecił, który wszystkie rządy pobudza do obrony traktatów tem samem, że je za nic liczy. Ten głos z nad Wisły rozległ się żałobnem echem po cywilizowanym świecie. Kogoż ta mowa na wskroś nie wzruszyła? Któż nie jest pod jej wrażeniem? W Warszawie najwyższą instancyą sądową cytadela, sędziami armaty. Jeżeli głos ten nie został zrozumiany, to chyba polityka pozbawiona jest wszelkiej mądrości a litość we wszystkich sercach wygasła.»

---

[1]) Abel Franciszek Villemain (1790—1870), profesor literatury w Sorbonie, członek akademii francuskiej, par Fraucyi, minister oświaty 1839 i 1840—1844.

Po baronie Bignon przemówił Saint-Marc Girardin[1]; zwracał uwagę na to, że wobec wzrastającej potęgi Prus i ich służalstwa względem Moskwy tem dotkliwszem staje się zniknięcie Polski. Mówił, że już nawet nie upomina się o Polskę, jaką była w 1772, ale o tę, którą utworzył traktat wiedeński. Uznawał, że ta Polska była małą, upokorzoną, ale jednak godną uszanowania: «Była to jeszcze ojczyzna, były instytucye traktatem zastrzeżone, były izby, była mownica polska. W niej upatrywaliśmy zaporę przeciw Moskwie, gdyż między Moskwą a wolnością taka jest sprzeczność, że wolność sama przez się jest dla Moskwy wędzidłem. Gdzież jest dzisiaj ta zapora, gdzież szaniec przez traktat postawiony przeciw zaborom Moskwy? Statutem organicznym z 1832 roku car o sto mil na Zachód posunął swe granice. Statut ten był zamachem nie tylko na Polskę, ale i na Europę. Protestacye są potrzebne, by nie dopuścić do przedawnienia.»

X. de Broglie odrzekł, że rząd francuski przed ogłoszeniem statutu wystąpił przeciw niemu w Petersburgu, twierdząc, że jest pogwałceniem traktatów. Przypomniał, że już w Monitorze, zbijając «Gazetę Petersburską» urzędową, powiedział, że Francya ma wszelkie prawo stawania w obronie traktatu, który sama podpisała i że Polacy przez powstanie nie utracili zastrzeżonych im praw. «Ale to wszystko», zakończył x. de Broglie, «na nic się nie przydało i nie ma celu powtarzania daremnych słów.»

Hr. de Mornay[2] wniósł następującą poprawkę do adresu: «Ufamy, że wspólnie z W. Brytanią, król będzie mógł przywrócić równowagę Europy, tak potrzebną dla zachowania pokoju i że pierwszym jej zadatkiem będzie

---

[1]) Franciszek Saint-Marc-Girardin (1801—1873), literat, jeden z redaktorów «Journal de Débats», członek akademii francuskiej.

[2]) Karol hr. de Mornay (1803—1878), za Ludwika Filipa poseł w Badenie i Sztokholmie, członek izby parów od 1845, usunął się od życia publicznego w 1848.

utrzymanie starodawnej narodowości polskiej zastrzeżonej traktatami.»

Minister spraw wewnętrznych, Thiers, przeciwił się poprawce. «Nie jestem», mówił, «wrogiem sprawy polskiej i nie chciałbym działać na jej szkodę, ale jako minister, zawsze odradzałem tego rodzaju poprawki. Niech pan Barrot Polską się zajmuje, jak to zwykł czynić, to jego rzecz. Co do mnie, inną mam Polskę na głowie i nie mogę się zajmować tą, która już nie istnieje. Mam stanowcze przekonanie i wypowiedziałem je w izbie (1834), że Francya nic uczynić nie mogła dla Polski, nawet gdy ta była pełną życia. Zresztą, ani przypuścić można, by wam się udało przeprowadzić tę poprawkę. Jestem pewien, że ją izby odrzucą.»

Mimo przewidywań pana Thiers wniosek hrabiego de Mornay przeszedł w izbie poselskiej znaczną większością głosów. Odilon Barrot poparł go gorącą mową.

Otwarcie parlamentu angielskiego nastąpiło w tym roku, 4 lutego.

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, luty 1836.

W angielskich izbach trudno wprowadzić jakąkolwiek poprawkę do adresu, bo zwyczaje parlamentarne tutejsze różnią się od francuskich Tutaj adres jest tylko echem mowy tronowej, a każda poprawka jest uważana jako dowód nieprzychylności względem ministrów. Prawdopodobnie tedy jakaś poprawka będzie wniesiona, poparta przez kilku mówców a potem cofnięta, skoro ministrowie dadzą jakie takie tłomaczenie mniej więcej zadawalniające. Teraz gdy Cutlar Fergusson, należąc do ministeryum, nie może robić wniosku o wprowadzenie wzmianki o Polsce do adresu, zastąpi go lord Dudley Stuart.

Wielkie tu zaciekawienie, czy się ministeryum liberalne utrzyma i co będzie postanowione co do spraw wscho-

dnich. Niektórzy członkowie rządu nalegają, aby flota angielska zajęła stanowisko na morzu Czarnem, coby niekoniecznie wojnę za sobą pociągnęło, a chociażby do niej przyszło, uważają, że lepiej toczyć wojnę na morzu Czarnem niż na morzu Śródziemnem. My lękamy się, że tam mogłoby przyjść do guzów a potem zakończyć się bez wzmianki o nas, chociaż o nas mówią dużo, — i dobrze, że mówią, choćby dlatego, że później trudno im będzie nas się zaprzeć.

Król (Wilhelm IV) odzywa się z tem, że zachowa obecnych ministrów, jeżeli mu dadzą środki do utrzymania poważnej floty na morzu Czarnem. Trwa więc nadzieja, że rząd ośmieli się wystąpić przeciw Moskwie. Ja jednak wątpię, żeby ten rok przyniósł co ważnego, mimo że opinia narodu silnie się objawia.

Przy rozprawach nad orędziem królewskiem lord Dudley Stuart powiedział: «Ludzie wszelkich stronnictw, we wszystkich częściach kraju, są zaniepokojeni niebezpieczeństwem, na jakie Moskwa naraża handel Anglii, jej stanowisko polityczne w Europie, jej posiadłości indyjskie, wszystko, co dla Anglii jest najżywotniejszem. Ten niepokój wzmógł się w ostatnim czasie przez manewry w Kaliszu i zjazd w Cieplicach czeskich, a mowa cara w Warszawie oburzyła całą Anglię i wywołała największy wstręt (indignation and disgust). Mowa ta, tchnąca dzikim despotyzmem (savage tyranny), jest obrazą dla ludzkości; pogarda zaś, jaką wyraża dla traktatów, jest obelgą dla Anglii i dla całej Europy. Myślałbym, że w tak uroczystej chwili należało ministrom doradzić królowi, aby oznajmił, co uczynić zamierza dla usunięcia powodów do ogólnego niepokoju i oświadczył, że nie zgadza się na pogwałcenie traktatów. Zaniedbując to, ministrowie, mojem zdaniem, nie dopełnili obowiązku. Król wspomniał o ścisłem porozumieniu między Anglią a Francyą. Pod tym względem mowa jego była echem mowy króla Francuzów. Czemuż nasz adres do tronu nie

jest również echem szlachetnych słów i zdrowych zasad, wyrażonych przez francuską izbę poselską w obronie narodowości polskiej? Czemu nie zacieśniamy naszych węzłów z Francyą, pokazując, iż dzielimy jej uczucia dla walecznych i nieszczęśliwych?

Jeden tylko ustęp mowy królewskiej jest pocieszający, to zamiar powiększenia floty. Gdyby nam powiedziano, że ta flota ma służyć do hamowania Moskwy, gdziekolwiek nieprawnie wtargnie, mielibyśmy słuszne powody do zadowolenia. Wojny radbym i ja uniknąć, ale jedyny na to sposób nie lękać się jej. Mowa królewska nie wyraża takiego postanowienia; wyznać tedy muszę, że jestem bardzo niezadowolony. Nie chcąc utrudniać stanowiska ministrów, których politykę wewnętrzną pochwalam, odstępuję z ciężkiem sercem i nie bez rozterki wewnętrznej od zamiaru żądania poprawki (an amendment) w adresie. Ostrzegam jednak izbę, że wkrótce znów w tej samej sprawie przemówię.»

Lord Palmerston odparł, że mylnem jest mniemanie, jakoby milczenie rządu świadczyło, iż się zgadza na gwałcenie traktatów, dotyczących Polski, i na jej szkodę. Co zaś do Turcyi, zaręczył raz więcej, że rząd czuwa nad tem, aby nic nie zaszło na Wschodzie, coby nadwerężyło niepodległość państwa tureckiego lub naruszyło jego granice.

Kilka następnych tygodni zeszło Zamoyskiemu na przygotowaniach do mowy lorda Dudley Stuart, zapowiedzianej na 19 lutego. W dniu tym lord Dudley skreślił obraz geograficznego położenia Moskwy, przypomniał, że car panuje nad większą połową Europy i nad trzy razy tak wielkim obszarem w Azyi. Podał statystykę poddanych cara: «Katarzyna II panowała nad dwudziestu dwu milionami poddanych, a Mikołaj liczy ich pięćdziesiąt cztery miliony, ślepo posłusznych na każde jego skinienie». Wyliczył zdobycze moskiewskie od 1721 roku: «Małą Tartaryę, Krym, Oczaków, Polskę, Finlandyę, Besarabię, Kaukaz. Nad samem morzem Czarnem 200 mil wybrzeża.» Wymienił następnie kraje, nad któremi Moskwa wpływ

swój rozciągnęła: «Wołoszczyznę, Mołdawię, Grecyę, Egipt, nareszcie Prusy, których rozwój należy do jej systematu politycznego». Wykazał, jaki to wpływ Moskwa wywiera w tych krajach: «Gdziekolwiek wkracza, tam zaprowadza przedajność, zepsucie, szpiegostwo, zdzierstwo i niewolę». Zażądał przedłożenia izbie traktatu w Hunkiar-Iskelessi, «mocą którego żaden wojenny okręt nie może się pokazać na morzu Czarnem bez zezwolenia Moskwy. Nawet statek wojenny, którym lord Durham jako poseł płynął do Rosyi musiał uledz rozbrojeniu, aby uniknąć konieczności proszenia o pozwolenie wejścia do portu; z portu zaś nie salutowano go, jakoby w mniemaniu, że to tylko okręt kupiecki.»

Lord Dudley prosił dalej o udzielenie izbie korespondencyi rządu angielskiego z rosyjskim w sprawie polskiej i traktatu petersburskiego z 29 stycznia 1834, określającego granicę moskiewsko-turecką w Azyi.

Lord Palmerston odmówił przedłożenia korespondencyi, dotyczącej Polski, powołując się na to, że już w dniu 9 lipca 1833 zapewnił izbę, że protestował w Petersburgu przeciw zmianom zaprowadzonym w konstytucyi Królestwa Polskiego. Co do traktatu petersburskiego, przyznał, że treść jego nie jest mu dostatecznie znaną i skończył, powtarzając zapewnienie, że nietykalność Turcyi jest przedmiotem troskliwości rządu.

Wkrótce po tych słowach ukazały się w Paryżu, w urzędowym «Monitorze», mylne wiadomości o granicy moskiewsko-tureckiej a jednocześnie wyszły mapy państwa ottomańskiego z okrojoną od strony kraju zakaukazkiego granicą.

Władysław Zamoyski do Ludwika Platera:

(bez daty).

«To, coś odkrył w Monitorze o wilajecie erzerumskim, sprawia, że obecnie Andriveau[1]), na rue du Bac, sprzedaje

[1]) Andriveau-Goujon, słynny księgarz, powaga w sprawach geograficznych i wydawnictwie map.

mapy państwa ottomańskiego, na której Erzerum i inne państwa bynajmniej do Moskwy nie należące, znajdują się w jej granicach [1]). Ciekawa to rzecz i może dostarczyć materyału na porządny list do Debatów z zapytaniem, jak rzecz stoi. Byłaby to dobra sposobność do przytoczenia tego, co lord Dudley Stuart powiedział w swej mowie o traktacie petersburskim z 1834, że tak długo jak ten traktat nie jest urzędownie ogłoszony przez któryś z rządów Europy, granica między Moskwą a Azyą Mniejszą jest rzeczą dla Europy nieznaną, co umożliwia zmienianie tych granic bez wiedzy Europy. I to wobec takiego stanu rzeczy król angielski, — a zdaje się i francuski, — stawia się jako poręczyciel nienaruszalności państwa ottomańskiego.»

Zamoyski, posyłając matce dzienniki ze sprawozdaniem o posiedzeniu izby gmin w dniu 19 lutego, mówi, że lordowi Dudley Stuart nigdy się jeszcze tak świetnie nie powiodło: «Cieszę się dla niego; dla nas rzecz to jednak dotąd małej wagi. Jest to tylko początek.»

Z listów dochodzących o tymże czasie z kraju widać, że bardzo rozmaicie zapatrywano się tam na właściwość i pożytek rozpraw o Polsce. Jedni im przypisywali chwilowe wstrzymanie wywożenia polskich dzieci w głąb Rosyi, inni przeciwnie narzekali, że wszelkie rozprawy za granicą ściągają na kraj prześladowania i że «trochę nas lepiej Moskale duszą».

Na los wychodźców rozprawy miały wpływ dodatni. Przy obliczeniach budżetowych, które niebawem nastąpiły, przyznano im w Anglii i we Francyi żołdy jednogłośnie, bez zwykłych o to starań. W Paryżu uchwalono 2.500.000 fr. na rok następny, a 500.000 fr. na pokrycie

---

[1]) Erzerum, zdobyte i spustoszone przez Paskiewicza w lipcu 1829, zwróciła Moskwa Turcyi traktatem adryanopolskim, 27 września 1829.

zaległości z roku ubiegłego. Referent, Vatout, wyraził w sprawozdaniu komisyi przekonanie, że nie widzi innego sposobu ulżenia skarbowi, jak przywrócenie Hiszpanom pokoju a Polakom ojczyzny[1]).

W Londynie kanclerz skarbu, Spring-Rice, sam z siebie, niepytany, spotkawszy lorda Dudley Stuart, oświadczył mu, że na radzie ministrów uchwalono ponowić polskim wychodźcom zapomogę 10.000 f. szt. To samo powtórzył w izbie gmin 5 lutego, na wniosek lorda Dudley Stuart[2]).

X Adam, pragnąc korzystać z życzliwego na razie usposobienia ministrów, sprowadził w tymże czasie do Londynu jenerała Chrzanowskiego dla przedstawienia go Palmerstonowi i umieszczenia, jeśli podobna, w służbie dyplomatycznej angielskiej na Wschodzie. Krótko po przybyciu Chrzanowskiego do Londynu Zamoyski pisał do brata (luty 1836): «Cieszy mnie, że się tu na nim poznano i że nasz mały a najlepszy żołnierz wysłany zostaje przez rząd tutejszy z dwoma towarzyszami, których sobie sam dobierze, do armii tureckiej w Azyi; popłynie stąd 1 kwietnia 1836 na Maltę. Dziwnie się wyrobił od czterech lat, tu najlepsze sprawił wrażenie. Szkoda tylko, że nie ma kilku cali więcej wzrostu, wyglądałby bardziej imponujący[3]).»

---

[1]) W 1836 pobierało zapomogi 4.832 Polaków.

[2]) W dniu 21 maja Niemcewicz zapisał w swoim dzienniku: «Burzyciele czyli kreatury moskiewskie w Portsmouth: Krępowiecki, Worcell, Stawiarski zbałamucili tam poczciwych, lecz ciemnych żołnierzy naszych i przymusili ich do podpisania skargi na lorda Dudley Stuart, jakoby on wyrobione przez niego w parlamencie pieniądze dla Polaków, dla siebie obrócił.»

[3]) Chrzanowski, za przybyciem na miejsce przeznaczenia, zajął się postawieniem wojska sułtańskiego na stopie europejskiej; praca jego wielce była ceniona przez seraskiera (ministra wojny), Chozrew baszę.

Ledwo ubitą została sprawa Chrzanowskiego ku wielkiemu zadowoleniu Polaków, kiedy, 1 marca 1836, doszła do Londynu wiadomość o zajęciu wolnego miasta Krakowa przez zbrojne oddziały Austryi, Moskwy i Prus. Zamoyski skreślił przebieg tych wypadków w piśmie dla rządu angielskiego i izb:

«W pierwszych dniach stycznia 1836 zgładzono w Krakowie niejakiego Pawłowskiego, szpiega na żołdzie moskiewskim. To morderstwo i potłuczenie szyb w czasie przymusowego oświetlenia miasta w dniu imienin cara (18 grudnia 1835) poczytali rezydenci trzech państw opiekuńczych za objaw rozległego spisku rewolucyjnego. Notą z 9 lutego 1836 zażądali od senatu krakowskiego odstawienia na Podgórze, w przeciągu ośmiu dni, wszystkich «wychodźców polskich[1]) i innych osób niebezpiecznych», znajdujących się w granicach wolnego miasta. Wygnańcy mieli być wyprawieni do Ameryki, o ile nie zdołaliby udowodnić, że znajdą przytułek w którymś z krajów europejskich. Rezydenci ostrzegli zarazem senat, że, jeśli nie uczyni zadość ich żądaniom, wyręczą go wojska państw opiekuńczych. Wobec takiej groźby, ci, przeciwko którym dekret był wymierzony, w przeddzień oznaczonego terminu, posłuszni wezwaniu senatu, udali się dobrowolnie w liczbie trzystu na Podgórze. Austryacy odstawili ich do Tryestu. Rząd krakowski przesłał tamtejszemu konsulowi francuskiemu 25.000 fr. na ich pierwsze potrzeby.

Nie pomogła wolnemu miastu uległość senatu i wychodźców. Pod pozorem, że senat tylko częściowo uczynił zadość żądaniom rezydentów, dnia 17 lutego 1836 jenerał austryacki Kauffmann wkroczył z oddziałem wojska do miasta, w trzy dni potem weszli Moskale, a nazajutrz po nich Prusacy. Ogółem przestąpiło granice

---

[1]) Tą nazwą rezydenci obejmowali każdego Polaka, nie będącego obywatelem krakowskim a nie opatrzonego paszportem od jednego z państw opiekuńczych.

rzeczypospolitej krakowskiej 3.000 ludzi, z tego 560 jazdy. Konferencya zawiadomiła senat (16 lutego), że utrzymanie tej siły zbrojnej ciężyć będzie na mieszkańcach Krakowa, stosownie do raz przyjętej reguły[1]). Oddział austryacki składał się przeważnie z Polaków; to też żołnierze nie dokuczali mieszkańcom, tylko oficerowie Niemcy odznaczyli się brutalnością. Nazajutrz po wkroczeniu Austryaków rozpoczęły się po domach rewizye i, jak świadczą listy z Krakowa, ośmdziesiąt osób rodem z Królestwa i zabranych prowincyi wydano Moskalom. Ogółem do tysiąca ludzi zmuszono w tych czasach do opuszczenia miasta.

Wygnańcy krakowscy po drodze do Tryestu wszędzie byli witani z największem współczuciem i hojnie wspierani. Wszystko, co policya austryacka głosiła o buntach i oporze wydalonych, było fałszem, chybaby łzy nieszczęśliwych poczytywano za bunt. Cała Europa litość im okazała, litość i tylko litość. Bo co szkodzi Europie, że tysiąc tułaczy mniej lub więcej chleba po świecie żebrać będzie, że tysiące Sybiraków pomnożą się o kilkuset? Co szkodzi, że wolne miasto stratowane pod nogami tych, co się obowiązali niepodległości jego bronić? Co szkodzi, że i na przyszłość wyludniać będą Kraków? Austryacki urzędnik policyi już wypracował spis ludności krakowskiej w celu pozbycia się mieszkańców, którzy dopiero po 1821 roku uzyskali w wolnem mieście prawo obywatelstwa.

W dzień imienin cesarza Ferdynanda odbyła się wielka parada oddziałów, składających korpus okupacyjny. Zaraz potem opuściły one miasto; pozostało jednakowoż 500 piechoty i 50 konnicy austryackiej pod pozorem, że milicyę rozwiązaną przez rezydentów trzeba na nowo od-

---

[1]) Regułą nazwano przykład dany przez oddział moskiewski, który zajmował Kraków od połowy września do połowy listopada 1831. Moskale zapowiedzieli wówczas, że za wszystko płacić będą, a opuścili Kraków, nic nie zapłaciwszy, oświadczając, że wolne miasto zasłużyło na tę karę z powodu swych nieżyczliwych uczuć. (W. Z.)

tworzyć[1]). A że warunki postawione przez konferencyę do wstąpienia w szeregi nowej milicyi są takie, że na 120.000 mieszkańców znaleziono zaledwie 17, którzyby je posiadali, okupacya austryacka może się przedłużyć bez końca. Senat sam podobno prosił o pozostawienie w Krakowie załogi austryackiej i nic w tem dziwnego, skoro powszechnie szanowany prezydent senatu, Wielogłowski[2]), zmuszony był podać się do dymisyi, a na jego miejsce konferencya wbrew wszelkiemu prawu naznaczyła człowieka, który jest uległem narzędziem w jej ręku[3]). Jakież zresztą znaczenie ma dla rzeczypospolitej krakowskiej usunięcie się obcych wojsk z jej granic, skoro konferencya każdej chwili może wojska napowrót sprowadzić? Ta stała okupacya dyplomatyczna jest o wiele groźniejszem bezprawiem niż chwilowe zajęcie miasta przez obce wojska. Senat wszystkie akta wydaje już tylko za upoważnieniem konferencyi. Pana Gutt, komisarza policyi austryackiej, mianowano kierownikiem policyi krakowskiej, a pana Holefeld, majora austryackiego, dowódcą zamierzonej milicyi. Obydwaj uchylili się od przysięgi wierności dla ustaw krajowych, którą każdy nowy urzędnik winien złożyć.

Uczniowie uniwersytetu są aresztowani i więzieni bez wiedzy władzy akademickiej. Granice rzeczypospolitej

---

[1]) X. Metternich w depeszy do hrabiego Apponyi, posła austryackiego w Paryżu, pisze 28 marca 1836: «Mów stale o blizkiem opuszczeniu Krakowa przez nas», a 24 kwietnia: «Wymarsz wojsk z Krakowa już się rozpoczął. Moskale i Prusacy zapewne miasto opuścili, tylko jeden batalion i jeden szwadron austryacki pozostał dla zastąpienia milicyi, która się dopiero zbiera. Sam prezydent senatu i miasto zażądali tego oddziału, nie chcąc pozostać bez wojskowej opieki. Tak więc owa wielka sprawa krakowska zejdzie do bardzo drobnych rozmiarów. Owocem jej będzie pokój w mieście, dobre stosunki z ościennemi państwami i sześćset do ośmiuset buntowników mniej.» (Mémoires du prince de Metternich. T. VI, str. 140—142)

[2]) Kasper Wielogłowski, prezes 1833—1836.

[3]) Józef Haller, prezes 1836—1840.

są szczelnie zamknięte sto trzydziesto tysięczna-ludność odcięta jest od reszty świata; handel i przemysł upadną doszczętnie w takich warunkach.

Ex-prezydent senatu, Wielogłowski, w liście do x. Metternicha z 25 lutego 1836 dobitnie wykazał, że rezydenci sami doprowadzili do tego wszystkiego, czem następnie usprawiedliwili zajęcie miasta. Senat daremnie się upominał u nich o podpisanie paszportu dla ludzi niesfornych, których chciał z rzeczypospolitej wydalić, paszportów tych nie otrzymał, daremnie starał się powiększyć milicyę dla utrzymania porządku.

Dziwna to rzecz, że Austrya przoduje w gwałtach przeciw wolnemu miastu; ona pierwsza do Krakowa wtargnęła, austryacki jenerał dowodził korpusem okupacyjnym, austryaccy urzędnicy są wykonawcami srogich rozkazów wszystkich trzech rządów. Czy Austrya czyni to z własnego popędu i dla własnej korzyści? Trudno temu wierzyć. Przeciwnie, Austryi to zawdzięcza Kraków, iż od dawna nie jest łupem Moskali; tylko dzięki jej silnemu wystąpieniu opuścili to miasto w 1831; co więcej cesarz austryacki odmówił wcielenia Krakowa do swych posiadłości, gdy mu to car nastręczał w Cieplicach czeskich we wrześniu 1835[1]). Ale Austrya, straciwszy nadzieję powstrzymania Moskwy, wolała prawdopodobnie uprzedzić ją w Krakowie a może też, zniechęcona polityką państw zachodnich, poniżyła się aż do przyjęcia takiej nagrody za swą długoletnią uległość względem cara. Posłowie austryaccy w Paryżu i Londynie usprawiedliwiali postępowanie swego rządu, dowodząc, że car dla utrzymania pokoju w swych polskich i litewskich posiadłościach nie może dłużej znosić polskiego narodowego bytu w Krakowie, Austrya zaś dla dogodzenia naraz carowi i państwom

---

[1]) Po tej odmowie hr. Nesselrode, wracając z Cieplic, zatrzymał się w Krakowie, gdzie kazał potajemnie wystosować na swoje ręce prośbę do cara, podpisaną przez kilku kupców miejscowych, o wcielenie Krakowa do cesarstwa rosyjskiego. (W. Z.)

zachodnim, które nie rade widziałyby Moskwę rozszerzającą swe granice, zgodziła się na zajęcie Krakowa. Jakkolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, że w całej tej sprawie główną sprężyną jest Moskwa. Postępowanie Austryi nie powinno dziwić nikogo, czyni ona to, do czego zmusza ją położenie, a nie chcąc się narazić na straty bez korzyści, nie poprzestaje na półśrodkach. Ale dziś jeszcze możnaby ją od Moskwy oderwać; na to jednak potrzebaby ze strony państw zachodnich czynów a nie słów. Nim się Austrya narazi na gniew Moskwy, musi być pewną, że znajdzie sprzymierzeńców gotowych ją poprzeć. Zajęcie Krakowa i udział, jaki w niem wzięła Austrya, dobitnie pokazują, że Moskwa raz więcej pozyskała dla siebie siłę, której można było użyć przeciwko niej.

Co do zachowania się Austryi względem państw zachodnich, było ono inne wobec Francyi niż wobec Anglii. Francyę, jakkolwiek po czasie, ostrzegł gabinet wiedeński poufnie o zajęciu Krakowa a temu zawiadomieniu towarzyszyło zapytanie, czyby nie zechciała przyjąć wygnańców, którym w przeciwnym razie grozi wywiezienie do Ameryki. Wobec Anglii rząd austryacki zachował milczenie o zajściach krakowskich. Lord Palmerston tłomaczy sobie to milczenie, jako hołd oddany rzetelnemu postępowaniu Anglii i jako dowód, że trzy państwa dobrze wiedziały, że on nigdy swego zezwolenia nie da na podobny potępek[1]).

Dopiero na wiadomość o nocie rezydentów z 9 lutego Palmerston postanowił wysłać do konsula w Warszawie, pułkownika Barnett, kuryera z rozkazem, aby się nie-

[1]) Tymczasowy pełnomocnik angielski w Wiedniu, Henryk Fox, opowiadał x. Adamowi, 22 października 1836, że przewidział zajęcie Krakowa, nim do niego przyszło. Obawy swoje wyjawił Palmerstonowi i prosił o rozkazy. Następnie, gdy widział, że jego przewidywania są blizkie spełnienia, wyprawił kuryera do Londynu, błagając o upoważnienie sprzeciwienia się bezprawiu. Wszystko napróżno. (W. Z.)

zwłocznie udał do Krakowa i, rozpoznawszy tam stan rzeczy, przysłał tymże kuryerem sprawozdanie do Londynu. Zanim jednak kuryer wyjechał, najazd wolnego miasta był rzeczą dokonaną.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 8 marca 1836.

Bylibyśmy już wrócili do Paryża, gdyby nie zajęcie Krakowa wojskami trzech dworów, co się stało nowem polem do działania a przynajmniej do usiłowań. W pierwszej chwili wielkie tu było oburzenie i to więcej u niektórych członków rządu niż wśród publiczności, która nie rozumiała rzeczy i mało wiedziała o istnieniu Krakowa. Niestety czas mija a rządy nie stawiają kroków, które łatwo przy tej sposobności uczynić można było, bo powód był uderzający, nagły. Nie tracimy nadziei, że nakoniec poślą stąd i z Paryża konsulów do Krakowa na stały pobyt, ale takie okoliczności dają miarę istotnego tu stanu rzeczy, mało dla nas pocieszającego. Obawa wplątania się w wojnę jest pierwszą przyczyną i pobudką wszystkiego, co tu myśli, robi lub nie robi większość ludzi kierujących sprawami narodu, — obrzydliwość. Nie dziwię się, że ludzie roztropni chcą wojny uniknąć, ale małodusznością i brakiem przezorności sami drogę do niej torują i to może w gorszych warunkach i niezaszczytną. Niezmierna zamożność tego kraju sprawia, że ludzie są głusi na niebezpieczeństwa, o których staramy się ich ostrzegać. Mimo to nawoływać nie przestaniemy, gdyż im mniej się nam powodzi, tem więcej powtarzamy sobie: «rób, co możesz». Oto długie i oklepane wywody, ale malują trochę nasze życie tutaj.»

W sam dzień, kiedy doszła do Londynu wiadomość o zajęciu Krakowa, sir Stratford Canning zapytał Palmerstona w izbie gmin, czy rząd angielski został urzędownie powiadomiony przez trzy dwory o tym ich wspólnym kroku. Palmerston przyznał, że wieści dochodzące go z Krakowa zdają się świadczyć o nowem zgwałceniu tra-

ktatu wiedeńskiego, ale dodał, że urzędowych wiadomości nie odebrał znikąd.

Te słowa posłużyły Zamoyskiemu za osnowę do artykułu dla dzienników:

«10 marca 1836.

Sam pozór zgwałcenia traktatu 1815 względem wolnego miasta Krakowa i milczenie o tem państw opiekuńczych wkłada na Anglię obowiązek wejścia w bezpośredni stosunek z samymże rządem rzeczypospolitej krakowskiej. Ajent angielski, wysłany do Krakowa, powinienby z traktatem w ręku zapytać rząd rzeczypospolitej: 1. Jaki był od 1815 i jaki jest obecnie stosunek tego rządu do trzech rezydentów? 2. Co to za konwencya z 1833, na którą się rezydenci powołują? 3. Co to za nowa konstytucya, nadana rzeczypospolitej 30 maja 1833, skoro już istniała konstytucya z 3 maja 1815, ustanowiona za zgodą mocarstw i wciągnięta do ogólnego traktatu? 4. Co to za konferencya, w imię której rezydenci rządzą? 5. Co zaszło w Krakowie i w czem rzeczpospolita uchybiła traktatom? 6. Co znaczy zamiar wywożenia takich tłumów do Ameryki? ...Stosunki zawiązane z rządem rzeczypospolitej przez ajenta dyplomatycznego utorują drogę dla konsula.»

Któryś z dzienników angielskich, chcąc zawczasu wyszydzić polskie zachody, pisał, że Anglia już śmieszność na siebie ściągnęła, posyłając konsula do Warszawy, teraz ma innego posyłać do Krakowa, wnet prawdopodobnie wyśle ajenta na księżyc. Zamoyski odpowiedział, że rząd angielski utrzymuje konsulów w państewkach włoskich i niemieckich o mniejszym obszarze i o mniejszej ludności niż rzeczposposPolita krakowska, a pod względem dyplomatycznym nie mających takiego, jak ona, znaczenia. Że zresztą dyplomacya ma właśnie na celu bronić małych i słabych przed chciwością sąsiadów, gdyż wielkie i potężne państwa jej obrony nie potrzebują.

Dnia 18 marca sir Stratford Canning ponownie zaczepił Palmerstona o zajścia krakowskie; po-

parli go sir Harry Verney, lord Dudley Stuart, O'Connel i Hume.

Lord Palmerston tłomaczył się, że dopiero przed kilku dniami odebrał depesze w tym przedmiocie od posłów angielskich w Wiedniu, Berlinie i Petersburgu, tak że nie miał czasu przedsięwziąć odpowiednich kroków, ale dodał: «Nie widzę powodu, któryby usprawiedliwiał gwałtowne środki, jakich się chwycono względem Krakowa. Krok trzech państw narusza jeden z najważniejszych układów dyplomatycznych obecnej doby: dla nas równie jest ważnem, by niepodległość maleńkiego państwa, jakiem jest Kraków, była uszanowana, jak ważnem jest, by uszanowano niepodległość wielkich mocarstw jak np. Prus.»

W dniu 20 kwietnia sir Stratford Canning i pan Grote przedstawili izbie niższej petycye w obronie handlu angielskiego z Persyą i Turcyą przeciw Moskwie, pierwszy od kupców i przemysłowców miasta Glasgow, drugi od wielkich domów handlowych londyńskich. To wystąpienie posłużyło tegoż dnia panu Patrick Stewart za wstęp do mocyi o Krakowie. Wezwał w niej izbę, aby podała adres do króla z prośbą o wysłanie ajenta dyplomatycznego do Krakowa. Radykał Roebuck powstał przeciw wnioskowi, mówiąc, że Anglia nie powinna się mieszać do spraw zagranicznych; podział Polski nazwał wypadkiem, który «w skutkach swych okazał się zbawiennym».

Największe wrażenie sprawiły mowy sir Roberta Peela i Palmerstona. Peel, znany z przychylnych uczuć dla Moskwy, oświadczył się przeciw wnioskowi, ale zbijał wywody Roebucka co do polityki zagranicznej; twierdził, że, gdyby fakty przytoczone przez Stewarta okazały się prawdziwemi, to Anglia powinna powstać nie tylko w obronie swego handlu, ale i swej czci. Zwrócił uwagę izby na wzrastającą od niejakiego czasu niechęć ku Moskwie; jako przykład podał oburzenie panujące powszechnie

w Anglii przeciw stypulacyom traktatu adryanopolskiego, który w chwili zawarcia odpowiadał zupełnie duchowi czasu [1]).

Lord Palmerston wyraził przekonanie, że Moskwa nie zdoła wytępić narodowości w kraju tak ludnym, tak walecznym, jak Polska i mającym takie stanowisko, jakie ona sobie w Europie zdobyła. Na dowód baczności rządu angielskiego przypomniał, że już do Persyi konsula wysłano, toż samo postanowiono uczynić względem Krakowa, ostrzegał jednak, iż nie jest rzeczą przyjętą, aby izby wskazywały rządowi, dokąd ma ajentów naznaczać; prosił zatem Stewarta o cofnięcie wniosku, co tenże uczynił, uważając słowa ministra za dostateczną rękojmię.

Władysław Zamoyski do matki:

«Londyn, 27 kwietnia 1836.

Przepraszam stokrotnie za spóźnienie w pisaniu, nadmiar zatrudnienia mi przeszkodził. Dnia 20 była znowu rozprawa, którą proszę przeczytać i uwagi nad nią dnia 21 i 22 w Timesie i innych. Sir Robert Peel pierwszy raz tak mocno o tem powiedział. Mowa jego i petycye z Londynu i Glasgow będą miały wielki odgłos w kraju, ani, spodziewam się, nie uspokoi nikogo pozorne ustąpienie z Krakowa. Mowa pana Roebuck paskudna, jednak więcej dobrego niż złego, nam przyniesie, bo on sławny radykał, przeto wielu naszych otworzy oczy na to, czego od tego rodzaju ludzi i zasad oczekiwać [2]).»

---

[1]) Traktatem tym (27 września 1829), który zapieczętował niepodległość Grecyi, Turcya przyznała Moskwie Prut i prawy brzeg Dunaju jako granicę, prawo żeglugi dla statków kupieckich na całym Dunaju, a dla wojennych po ujście Prutu; w Azyi miasta Achałczyk, Anapę i Achałkałaki wraz z ich okręgami, co zamknęło Porcie możność stosunków z Kaukazem; wolny handel w całej Turcyi, opiekę nad Mołdawią i Wołoszczyzną, choć pod panowaniem Turcyi; wszystkim państwom, nie będącym w wojnie z Portą, zawarowano wolne przejście przez Dardanele; ten ostatni punkt uległ, jak wiadomo, zmianie na korzyść Moskwy w 1833.

[2]) Wśród pracy nad rozprawami o Krakowie lord Dudley Stuart przygotowywał bal na korzyść ubogich wychodźców. Bal odbył się

We francuskiej izbie niższej hrabia de Mornay zapytał ministrów 25 marca, czy rząd był powiadomiony, że już w Münchengrätz trzej sprzymierzeńcy postanowili wkraczać zbrojnie do rzeczypospolitej krakowskiej, ilekroć jeden z nich tego zażąda, mimo że nienaruszalność jej granic uroczyście była zawarowana. Nowy prezes ministrów, Thiers, odmówił wyjaśnienia[1]. W dniu 3 czerwca hr. de Mornay powtórzył w izbie to samo pytanie, poparł go Saint-Marc-Girardin. Wykazał, że wszystko, co w traktacie wiedeńskim było ujemnego dla Francyi, to zostało uszanowane, a co tylko było dla niej dodatnie, to rządy Północy zdeptały. Thiers ograniczył się na powtórzeniu po państwach zaborczych, że Kraków stał się przytułkiem polskich rewolucyonistów, że niepokój i bunt rozchodzą się z niego do sąsiednich części dawnej Polski.

«Anglia», pisał Zamoyski, «szczerą była w zamiarze wmieszania się do zatargu między Krakowem a państwami opiekuńczemi, Francya zniechęciła ją, odmawiając swego współudziału. Nieżyczliwość pana Thiers względem Krakowa tłomaczy się w części polityką, jakiej się równocześnie chwycił względem Szwajcaryi. Rewolucyoniści wszelkiej narodowości znajdowali tam wówczas przytułek; pobyt ich na granicach Francyi był nieustanną groźbą dla monarchii lipcowej i dla samego Ludwika

18 kwietnia i przyniósł w tym roku, dzięki rozbudzonej uwadze na sprawę polską, szczególnie znaczny dochód.

Na kilka godzin przed balem odbyło się czwarte ogólne posiedzenie «Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski». Zajęto się na niem potrzebą rozpowszechniania dzieł o Polsce w czytelniach publicznych i omawiano środki, mogące zapewnić tym książkom czytelników. Między innemi wystosowano okólniki polecające je przyjaciołom Polski.

[1]) Dnia 6 lutego 1836 upadło ministeryum xięcia de Broglie; 22 tegoż miesiąca objął prezydencyę, wraz z teką ministra spraw zagranicznych, Thiers, sprawy wewnętrzne hr. de Montalivet, marszałek Maison pozostał nadal ministrem wojny.

Filipa. To też Thiers natarczywie domagał się od kantonów szwajcarskich wydalenia znacznej liczby politycznych emigrantów. W tych żądaniach upatrywał pewne podobieństwo do wymagań, stawianych rzeczypospolitej krakowskiej przez państwa opiekuńcze a tem mniej chciał je drażnić, im więcej potrzebował przeciw kantonom poparcia Austryi, którego ona mu też nie szczędziła. Próżną było rzeczą przedstawiać panu Thiers i jego kolegom, na jak fałszywych podstawach opierają swe żądania państwa opiekuńcze; nie chciał o tem sądu wydawać. Poprzestawał na przepowiadaniu Anglii, że jej się nie uda wyprawić ajenta konsularnego do Krakowa i oburzał się na Palmerstona za powzięcie takiego postanowienia bez poprzedniego porozumienia się z Francyą. To pewne, że, jeśli wysłanie równoczesne konsula angielskiego i francuskiego byłoby niechybnie wywołało gwałtowny opór państw opiekuńczych, posłanie jednego tylko z obu konsulów nie miało wogóle warunków powodzenia. Ostatecznie Thiers zadowolnił się protestacyą przeciw zajęciu wolnego miasta i uroczystem zapewnieniem Austryi, że załoga jej opuści Kraków z chwilą, gdy milicya napowrót służbę w mieście obejmie. Jednocześnie Thiers zgodził się na przyjęcie do Francyi wygnańców krakowskich i na wypłacenie im żołdów na równi z innymi wychodźcami. Wkrótce potem (6 września 1836) ustąpił[1]). Od tego czasu niejednokrotnie zarzucał swemu następcy, hrabiemu Molé[2]), że nie nakłonił Austryi do wypełnienia zobowiązań, które on, Thiers, potrafił od niej otrzymać i miał mocny zamiar, jak twierdził, wykonania ich dopilnować.

[1]) Z powodu niemożności porozumienia się z królem w sprawie hiszpańskiej. Thiers, jak wiadomo, był zwolennikiem interwencyi francuskiej na korzyść królowej Krystyny a Ludwik Filip pragnął pozostać biernym świadkiem walk między Krystynosami a Karlistami.

[2]) Ludwik Mateusz hr. Molé (1780—1855), minister spraw zagranicznych 11 sierpnia — 4 listopada 1830, prezes ministrów i minister spraw zagranicznych 6 września 1836 — 8 marca 1839.

Tak panu Thiers, jak hrabiemu Molé kilkakrotnie, ale napróżno tłomaczono, że żądania, stawiane Szwajcaryi przez Francyę, nie przeszkadzają jej opiekę rozciągać nad Krakowem; przeciwnie, Francya tem śmielej to uczynić może, iż, żądając od Szwajcaryi wydalenia wychodźców, granic jej nie przestępuje. Sama na granicach się zatrzymując, ma prawo domagania się podobnej względności od rządów opiekuńczych.»

Po oświadczeniach Palmerstona w izbie gmin nikt już w Anglii nie wątpił, że konsul będzie niebawem do Krakowa posłany. Zgłosiło się kilku ochotników, między nimi przyjaciel lat młodych Krasińskiego, Henryk Reeve[1]). Już poprzednio zwrócił on na siebie uwagę artykułem o Krakowie, napisanym wespół z Zamoyskim do «British and Foreign Review». Pod koniec 1836, podczas podróży po Niemczech, zapragnął osobiście Kraków poznać. Miło przytoczyć choć niektóre wyrazy podziwu, jakich nie szczędził wolnemu miastu w chwilach jego najcięższej doli.

Henryk Reeve do matki:

«Kraków, 18 października 1836.

Niewymownego doznaję zadowolenia, że list ten wysłać mogę z byłej stolicy Polski. Wspaniała starożytność tego miasta, uprzejme przyjęcie, jakiego doznałem, różnorodne wspomnienia, które czynią to miejsce świętem dla mnie, wszystko to sprawia, że pobyt w Krakowie uważam za uwieńczenie moich podróży i zaliczam go do najmilszych i najbardziej znaczących chwil mego życia.

Ze świtem ujrzałem rozciągającą się przed nami wspaniałą nadwiślańską dolinę, ogromne mury królewskiego zamku, miejskie wieżyce i kościoły lśniące w promieniach wschodzącego słońca. Był to widok tak pod-

[1]) Henryk Reeve (1813—1895), współpracownik przez lat kilka kwartalnika «The British and foreign Review», następnie «Timesa», registrator tajnej rady królewskiej 1843—1887, wydawca «Edinburgh Review» od 1855.

niosły, tak radosny, że nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czegoś podobnego doznał. Przeprawiłem się przez Wisłę bez trudności i wnet znalazłem się w murach dostojnego, lecz niestety podupadłego grodu. Nie mogę wypisać ani połowy tego, coby było do powiedzenia o podziwu godnych szczątkach budownictwa i niezliczonych wspomnieniach, jakie się z niemi wiążą. Jest to prawie druga Praga; ten sam romantyczny charakter, ta sama włoska wspaniałość, ten sam kościelny przepych i to samo opustoszenie.»

Reeve zawitał i do pana Pawła Popiela do Ruszczy. Z zachwytem wyraża się o gospodarzu, o miejscowej ludności i o dworze. «Nie widziałem», pisze, «siedziby tak skromnej a zarazem tak wytwornej[1]).»

Henryk Reeve do Władysława Zamoyskiego:

«Hampstead, 30 listopada 1836.

Nigdy tak nie żałowałem odległości, która nas rozłącza, jak od powrotu mego z Krakowa[2]). Gdybyś tu był, wiadomości, które zebrać potrafiłem, byłyby więcej przyniosły korzyści niż ja z nich wyciągnąć potrafię.

W Pradze jenerał Skrzynecki i jego żona przyjmowali mnie z wielką uprzejmością. W Wiedniu widziałem się z sir Frederick Lamb[3]), ale chociaż osobiście okazał się uprzejmym, nie podobały mi się jego zapatrywania na sprawę krakowską. Widocznie ulega wpływowi gabinetu wiedeńskiego, a że nie rozumie istotnego stanu rzeczy, jego sprawozdania zły wpływ wywierają na Foreign Office.

Do Krakowa dojechałem 15 października. Pojmiesz łatwo, z jakiem zajęciem zwiedzałem tę bolesną stolicę, ozdobę wschodniej Europy, z jaką rozkoszą odwiedziłem Ruszczę, Bielany, okolice i pomniki tego niezrównanego

---

[1]) Memoirs of the life of Henry Reeve, by Laughton. T. I, str. 75--77.

[2]) W chwili pisania tego listu, Zamoyskiego nie było już w Londynie.

[3]) Sir Frederick Lamb, młodszy brat lorda Melbourne, później lord Beauvale, poseł w Wiedniu.

miasta. Opuściłem Kraków 23 października. Za powrotem zaraz się wziąłem do napisania raportu dla pana Strangways[1]), dołączyłem doń wszystkie dokumenty, jakie posiadałem. Raport ten zacząłem, wypowiadając, wbrew zapatrywaniom Lamba, moje głębokie, dowodami stwierdzone przekonanie, że nigdy nic nie zaszło takiego w Krakowie, coby mogło usprawiedliwić wkroczenie trzech rządów. Wykazałem potworne zachowanie się rezydentów od samego zajęcia Krakowa do obecnej chwili. Zdałem sprawę z wyborów do sejmu krakowskiego a nareszcie z samowolnego odroczenia go. Zaznaczyłem, że zarówno Austrya, jak Moskwa, postanowiły zagarnąć to miasto, a że Krakowianie, jeśli już muszą stracić samoistność, to jednozgodnie wolą Moskwę od Austryi. Podałem niektóre wiadomości o stosunkach handlowych Krakowa z Anglią, które są bez porównania większe niż sobie wyobrażałem. Napomknąłem i o kredycie rzeczypospolitej.

Wiem, że lord Palmerston przyrzekł dać panu Craven[2]), o którym mówią, że jest zapisany jako pierwszy kandydat na konsula do Krakowa, ostateczną odpowiedź za dwa miesiące, a było to temu miesiąc.»

Równocześnie lord Dudley Stuart pisał: «Reeve doskonałe sprawozdanie opracował o Krakowie. Wykazuje w niem, iż stan rzeczy jest tam wiele groźniejszy niż sobie wystawiano, objaśni Palmerstona o niejednem.»

---

[1]) Wilhelm Tomasz Horner Fox Strangways, od 1858 czwarty hrabia Ilchester (1795—1865), podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych od 1835, pełnomocnik angielski przy sejmie Związku niemieckiego w Frankfurcie n. Menem 1840—1849, gorący przeciwnik Moskwy.

[2]) Prawdopodobnie August Craven, mąż Pauliny de la Ferronnays, autorki: «Récit d'une soeur».

XII

PODRÓŻ DO FLORENCYI. — ŚMIERĆ MATKI

W maju 1836 wypadło ordynatowi Zamoyskiemu jechać do kraju dla spraw majątkowych; oddalając się na dłuższy czas z Florencyi, pozwolił synowi korzystać z jego nieobecności żeby matkę odwiedzić. Zamoyski, na tę wiadomość, opuścił bezzwłocznie Londyn z zamiarem pospieszenia przez Francyę do Włoch, lecz ciężka niemoc zatrzymała go w Paryżu przez blizko dwa miesiące.

Doszła tam właśnie wieść o śmierci Klaudyi Potockiej w Genewie, 6 czerwca 1836. Jaką stratą zgon jej był dla wychodźców i jaki żal wzniecił, świadczą ówczesne listy. X. Adamowa Czartoryska pisze do pani Tytusowej Działyńskiej: «Klaudya była opatrznością nieszczęśliwych, śmierć jej bardzo nas obciążyła. Oprócz ubogich i chorych mamy sto czterdzieści dzieci do wyżywienia i wychowania. Jeśli jaka może być pociecha po takiej stracie, to widok powszechnego żalu; śmierć jej wywołała jęk boleści z wszystkich piersi[1].»

---

[1]) Inny rodzaj uznania spotkał Klaudyę Potocką jeszcze za życia. Pani Kisielew pisała z Wiednia, 1 maja 1836: «X. Orłow, mówiąc mi o osobach, których car szczególnie nienawidzi, pierwszorzędnie zaliczył do nich Klaudyę a przy tej sposobności przytoczył słowa naszego

Użalano się na panią Klaudyę, że sama była powodem tego nieszczęścia; Zamoyski mówi, że «zabiła się samochcąc, siebie za nic licząc».

Władysław Zamoyski do matki:

«Paryż, 26 czerwca 1836.

Wczoraj był nowy zamach na króla[1]). Bardzo to smutno, ale trudno się dziwić, gdy się pomni, że kraj ten od sześćdziesięciu lat jest nieustannie podkopywany przewrotnemi zasadami, a większa część ludności nie powstrzymana wędzidłem wiary. To też na pierwsze postawione mu pytania człowiek ten (Alibaud) odpowiedział: «Ja, kiedym głodny, nie żebrzę, zabijam tego, który mi przeszkadza żyć dostatnio.» Król, jak zawsze, okazał spokój niezachwiany. Piękne są jego odpowiedzi do rozmaitych deputacyi, korzystne sprawią wrażenie, ale smutno i brzydko, że tak król jak jego otoczenie poprzestają na odwoływaniu się wyłącznem do korzyści materyalnych, jakie obecny porządek rzeczy zabezpiecza krajowi. Na ileż ważnych względów możnaby się powołać poza tem jednem. To nieustanne odwoływanie się do korzyści materyalnych sprzyja moralnemu rozkładowi tego kraju, jeśli go nie sprawia.

X. Orleanu i x. de Nemours[2]) mieli jechać do Florencyi; cieszyłem się, że ich Matka zobaczy, żałuję, że skracają swą podróż[3]). X. Orleanu byłby się Matce podobał i byłaby mu Matka za mnie powiedziała: dziękuję... Jestem pod wrażeniem niesłychanego powodzenia, jakie

---

ojcowskiego monarchy: «Nie mam powodu kochania Polaków, ale co do Polek, to ich ścierpieć nie mogę (je les abhorre)». Cesarz austryacki mniej więcej tak samo się wyraził a ja z tego powodu szczycę się moją płcią.»

[1]) Poprzedni zamach, w którym zginął marszałek Mortier, dokonany był 28 lipca 1835.

[2]) X. Ludwik Karol de Nemours (1814—1896), drugi syn Ludwika Filipa i Maryi Amelii.

[3]) X. Orleanu objeżdżał wówczas dwory niemieckie w zamiarach małżeńskich; na wieść o zamachu wrócił pospiesznie do Paryża.

go spotkało u wszystkich dworów, do których w ostatniej swej podróży zawitał, mimo uprzedzeń, jakie tam panowały przeciwko całej jego rodzinie. Niewątpliwie, miły sposób zachowania się, jaki go znamionuje, bywa często udziałem ludzi złych i niemądrych, ale jakiegoż wpływu dodaje ludziom rozumnym i zacnym. W naszej rodzinie doszliśmy pod tym względem do purytańskiej surowości, która ludzi łatwo zrażać może.

Jutro moje imieniny. Wuj i ciotka mnie fetują i obdarzają. Wuj mi darował swój krzyż wojskowy, zasłużony w 1792 roku. Mam już od Matki drogiej wstążkę krzyżową Kościuszki. Niełatwo będzie nosić godnie takie znaki.

Moja Matko droga, ściskam i kocham; liczę dnie, kiedy, widząc twarz ukochaną, uspokoję się po wyrazie smutku i cierpienia, który na portrecie widzę. Dziękuję niemniej za niego. Przybył jakby w sam raz na moje imieniny. Miły jest, acz bolesny.»

Przyspieszony powrót xięcia Orleanu do Paryża dozwolił Zamoyskiemu widzieć się z nim przed wyjazdem. Tegoż dnia zapisał:

«14 lipca 1836.

(X. Orleanu) mówił o zamachu na króla. Tłomaczył, że Alibaud, jak tylu innych, uległ wpływom anarchistów włoskich i niemieckich, zbierających się w Szwajcaryi. Mówił obszernie o środkach, jakie Francya przedsięwziąć zamierza, żeby takim wpływom przeszkodzić.

Następnie zapytał: «A jakie wiadomości z Polski? Nie zapomniałem naszych rozmów w Compiègne temu dwa lata, waszych uczuć szlachetnych, waszych nadziei, waszej wiary w wytrwałość rodaków.» — «Nic się nie zmieniło,» rzekłem, «ani w naszych uczuciach, ani w naszych nadziejach, ani w bezlitośnych prześladowaniach, jakim podlegamy.» — X. Orleanu: «Z tego wszystkiego, co w podróży widziałem i słyszałem, nic pomyślnego donieść wam nie mogę. Przewaga Rosyi w krajach niemieckich

jest zdumiewająca. Wszystkie rządy ulegają jej wpływowi, nawet wojska niemieckie na cara się oglądają. Z trudnością możnaby sobie wystawić, do jakiego wpływu Rosya tam dochodzi, rozdając w wojskach hojną ręką ordery. Sam widziałem pruskiego oficera, ozdobionego sześciu orderami moskiewskiemi a ani jednym pruskim. Wszyscy, którzy się lękają rozwoju zasad liberalnych, jedynie od Rosyi wyglądają ratunku. Cesarz Mikołaj stał się papieżem tego stronnictwa. Ku niemu lgnie cała młodzież arystokratyczna niemiecka.» — Przerwałem: «To wszystko przeciw Francyi.» — X. Orleanu: «Niewątpliwie; to też Zachód powinien systematycznie i stanowczo stawić czoło potędze Wschodu. Do Anglii i Francyi powinny się przyłączyć Hiszpania, Portugalia, Belgia, Holandya, Szwajcarya.» — «A Austrya? czyż niema nadziei pozyskania jej?» — X. Orleanu: «Na teraz nie widzę żadnej; chyba sprawa turecka mogłaby ją kiedyś od Rosyi oderwać, ale ta chwila nie zdaje mi się blizką a i to nicby Polsce nie przyniosło. Mówiłem o tem z xięciem Metternich. Jest to człowiek niezwykłej wartości i bez uprzedzeń. Wyraził się o Polsce w sposób najbardziej stanowczy a nieprzychylny. Mówił: «Dla Polski widzę tylko dwa sposoby odrodzenia: albo zwycięstwo rewolucyi w Europie, a przeciw temu walczyć będziemy wszelkiemi siłami, albo porozumienie się mocarstw, ale tego ani ja ani mój syn nie zobaczymy. Zresztą Polacy tylko przez obcych rządzeni być mogą.» Zaręczał, że Galicya jest bardzo szczęśliwą i że wcale nie dąży do wyzwolenia się z pod austryackiej władzy. Następnie kazał mi przez trzecią osobę powiedzieć, że w razie, gdyby Austrya zmuszoną była wystąpić zaczepnie przeciw Rosyi na Wschodzie, odszkodowałaby to sobie, przyłączając do Galicyi jakąś część moskiewskiego zaboru. Sądzę, że nie przystaliby nigdy na utworzenie się w pośród nich, lub poza ich plecami ogniska zasad liberalnych, jakiemby Polska była. Raczej odstąpiliby Francyi brzegi Renu, Sabaudyę, Szwajcaryę. Co do króla pruskiego,

oskarża on Polaków o niewdzięczność. Powiedział razu jednego, że, skoro Polacy zrobili już rewolucyę, powinni ją byli zrobić na korzyść w. x. Konstantego, który był ich dobroczyńcą.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Marsylia, 19 lipca 1836.

Przybyłem tu wczoraj szczęśliwie po sześćdziesięciu ośmiu godzinach podróży, z których dwie tylko były spoczynku. Posyłam Wujowi opis rozmowy z młodym xięciem Orleanu. Chciałbym, żeby Wuj dał mu poznać, że Metternich nie tyle jest człowiekiem bez uprzedzeń, ile jest przebiegły; pragnął zrobić na xięciu korzystne wrażenie a jednocześnie wygłosić niektóre postanowienia, jakoby nieodzowne, o których dobrze wiedział, że są przeciwne życzeniom xięcia. Nie idzie za tem, by ich nie miał zmienić, ale zawsze mu na rękę głosić nieodwołalność tych postanowień, dopóki jakaś siła wyraźna i stanowcza nie nada mu innego kierunku. Powtóre, że tamte rządy, bojąc się nadewszystko zasad Francyi i Anglii, wolałyby widzieć te zasady rozszerzone do Renu i Sabaudyi niż patrzeć na nie w Warszawie. To nie dziw, ale co dziwna, że Francya, widząc, iż cała nienawiść tamtych krajów jest przeciwko niej, nie postrzega, iż korzystniej dla niej mieć sprzymierzoną potęgę w Warszawie niż granicę posuniętą o przestrzeń, która nic jej sił nie dodaje. Dobrzeby było, żeby Wuj z przyjacielską powagą zwrócił uwagę młodego xięcia i na to, że najsłabszą stroną Francyi jest jej chęć zaborów, że ta chęć sprzeciwia się prawdziwej i statecznej wolności a mianowicie jej (Francyi) przewadze w gabinetach; ta bowiem przedewszystkiem na bezinteresowności opartą być musi. Przeto, jeśli Metternich łudzi przyzwoleniem na rozszerzenie jej granic, to chyba dlatego, iż w tem dążeniu Francyi leży jej osłabienie moralne wobec Europy. Gdyby zaszła mowa o dwóch obozach Wschodu i Zachodu, dobrzeby powiedzieć, że niedość zaprowadzić ścisły związek między państwami zachodniemi, trzeba,

żeby ten związek czynnie zajął się osłabianiem strony przeciwnej. Głównym punktem do takiego działania Turcya. Ona na teraz jest tym ważnym szańcem, który musi uledz jednej lub drugiej stronie. Tam Polaków pojedyńczo użytkować. O związku sprawy tureckiej ze sprawą naszą nie mówiłbym teraz. Dość na tem, że Polacy z nieczynności chętnie przejdą do czynności przeciw Moskwie.»

W tymże czasie Zamoyski spisał inną rozmowę między dyplomatami, powtórzoną x. Adamowi przez Henryka Fox[1]), chwilowego zastępcę posła angielskiego w Wiedniu:

«Z okazyi Krakowa Fox zapytał kanclerza, czy Austrya chce doprowadzić do wojny, na co Metternich żywo odparł: «Wojny? czyż pan nie wie, czem jest Austrya? Austrya jest zlepem prowincyi, które się wzajemnie nienawidzą i nienawidzą wspólnego im rządu; za pierwszym wystrzałem armatnim rozpadnie się.» Te słowa, dziwne w ustach x. Metternicha, wypowiedziane były po obiedzie i może niepoczytalnie. Zdawało się, iż Węgier lęka się najbardziej. Pan Fox często, jak twierdzi, rozmawiał z nim o Polsce i o potrzebie odbudowania jej ze względu na spokój i bezpieczeństwo Europy. X. Metternich utrzymywał, że chętnie widziałby odbudowanie Polski[2]). «Wszakże», mówił, «nie trzeba zapominać, że chwila przesilenia wystawiłaby ten kraj na wybuch zasad anarchistycznych, czego żadne mocarstwo a szczególniej Austrya, nie widziałoby bez obawy. Chociażby to trwało tylko dwadzieścia cztery godziny, miałbym przez ten czas

---

[1]) Henryk Edward Fox, od 1840 czwarty baron Holland, sekretarz poselstwa angielskiego w Turynie 1832, w Wiedniu 1835, pełnomocnik przy Związku niemieckim 1838, we Florencyi 1838—1846. Umarł 1859.

[2]) Mac Gregor (podsekretarz stanu w ministerstwie handlu) twierdzi, iż z ust xięcia Metternicha słyszał słowa: «Cóż mnie Galicya obchodzi? Mnie niczego nie trzeba poza Karpatami, Alpami i Apeninami.» Oczywiście Galicyę radby oddać, żeby Polskę przywrócić, nie inaczej. (W. Z.)

niepokój niezmierny.» Potem dodał: «Zresztą, proszę nie sądzić Polski po kilku znajomych panu Polakach, np. x. Adamie», — i widać było, że wpływowi xięcia przypisywał zapatrywanie wyrażone przez Henryka Fox, — «nikt bardziej odemnie nie uznaje jego wielkich zalet, jego charakteru i zasad. Wiem dobrze, że nie jest jakobinem; jakżeby nim był? Ale reszta narodu nie jest do niego podobną. Pod tym względem nie należy się łudzić.»

Pierwszy list Zamoyskiego z Florencyi, przesłany pannie d' Arnaud (28 lipca 1836), jest cały jednym wyrazem boleści na widok beznadziejnego stanu, w jakim zastał matkę: «Stan ten trwa od ośmnastu miesięcy, a jam o nim nie wiedział!» Do siostry Działyńskiej pisał: «Mimo całego przywiązania do matki, którą kocham nad wszystko, tak przywykłem spuszczać się na jej o nas i o mnie troskliwość, żem nie dosyć pamiętał, iż ona nawzajem mnie potrzebować może. Chciałbym, żebyśmy to wszyscy lepiej na przyszłość zrozumieli. Dziś nic jej tak nie uszczęśliwia, jak obecność dzieci i wnuków, przeto na odwiedzanie jej trzeba, żebyśmy się wszyscy z kolei ułożyli[1]). Choć biedna matka często cierpi, choć smutno nad wyraz, używam jednak z rozkoszą pobytu w domu. O tylu rzeczach, mimo stałej korespondencyi, nie wiedziałem, których teraz się dowiaduję o was wszystkich.»

---

[1]) Pani Działyńska, nie mogąc na wezwanie brata odrazu pospieszyć do Florencyi, przysłała matce dla rozrywki rozmaite drobne wiadomości o wnukach. Między innemi pisała o siedmioletnim synu (7 grudnia 1836): «Jaś zwykł kończyć pacierz słowami: «Boże, zmiłuj się nad biedną ojczyzną i nad wszystkimi, co za nią cierpią» Od kilku dni opuszczał ostatnie słowa tej modlitwy. Zapytałam, dlaczego i tłomaczyłam, ilu to nieszczęśliwych cierpi na wygnaniu, w więzieniu, w nędzy. A on mi na to: «Czy nie pamiętasz, Mamo, tych wierszy, które mnie się tak podobają: «Dulce et decorum est pro patria mori.» Czegoż ja mam się za nich modlić, kiedy ja sam radbym za ojczyznę umrzeć?»

Przy matce Zamoyski zastał, prócz najmłodszego rodzeństwa, Elizy i Stanisława, brata Augusta, niedawno przybyłego z Królestwa. Od niego powziął szczegóły o stanie kraju.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Florencya, 1 sierpnia 1836.

Główne wrażenie moje jest, że kraj i moralnie i materyalnie żyje, żyje silnie, czynnie, żyje w nadziei tej samej, co my. Zniszczenie ze wszech względów mniejsze niż mniemałem i niż powszechnie za granicą mniemamy. Rząd jest w ręku wyłącznie ludzi nienawistnych i znienawidzonych; za to zatrudnienia prywatne, przemysłowe, gospodarskie i tym podobne dopełniają ludzie stosunkowo znakomici, co też się okazuje przez postępy różne. Ordynacya mianowicie zdaje się być polem wielu ulepszeń. Szkoły szczebrzeszyńskie są dziś najlepsze w Królestwie. W Szczebrzeszynie przed powstaniem było przeszło czterystu uczni, dziś liczba nie dochodzi dwustu, ale nauki dobre. Wszystko to dzieje się pod zasłoną wielkiej łaski Paskiewicza dla Konstantego, który na to nie szczędzi starania w Warszawie. Reszta braci mniej w Warszawie bywa. Jędrzej nigdy prawie. Moskali pobyt w kraju łagodzi i robi przychylnymi narodowi; to wszystko jednak zostaje w ich sercu, gdyż rozkazy z góry zawsze jedne i zawsze srogie. O wojsku moskiewskiem szczegóły nie do uwierzenia. Opuszczenie niesłychane, nędza, zniechęcenie. U starszych, mianowicie u Paskiewicza, obojętność dla parad największa. Musztry już wcale niepodobne do tego, co było za w. xięcia. Na schodach do Paskiewicza w zamku szyldwachy wyciągają rękę do przechodzących i proszą o jałmużnę na chleb. Ci tylko mają poważanie u Moskali, co i w naszem poważaniu stoją za poczciwe służenie sprawie w czasie powstania. Niemniej jednak upewniają Moskale, że za pierwszą obawą wszystkich w głąb (Moskwy) wywozić będą i codziennie Syberyą pojedyńczym grożą za najmniejsze po-

zory. Mimo to wiedzą w kraju niemało i niemało czytają i odbierają pisma, które w nielicznych egzemplarzach krążą po całym kraju i bywają przepłacane. Na Auguście nie widzę strachu, choć mówi o potrzebnych ostrożnościach.

Sołtan podobno pisywał o pewnym księdzu Ryłło[1]), Litwinie, Jezuicie w Rzymie. Ksiądz ten młody, trzydzieści trzy lat, i pełen najlepszego ducha wysłany przez swego jenerała na misyę do Kurdystanu. Przedmiot misyi jego: rozpoznać w tamtych stronach stan religii, a gdy będzie można, zaprowadzić misyę centralną na którym punkcie, mianowicie u Kurdów niepodległych, którzy są między Turcyą a Persyą, a między którymi on liczy do czterech milionów ludności nestoryańskiego chrześcijańskiego wyznania. Stamtąd celem jego jest wysyłać misye na Kaukaz i w ogólności walczyć wszędzie z wpływem Moskwy. Jedzie pod pozorem poszukiwań archeologicznych, w których jest biegły. Rzecz nader ciekawa, że w tym przedmiocie popierany jest przez Instytut archeologiczny, który ma swe gałęzie w Rzymie i w różnych stolicach, oraz przez Towarzystwo azyatyckie londyńskie, którego prezes, sir... Johnson wie nawet o istotnym i całkowitym celu podróży jego i wspiera go wpływem i silną rekomendacyą u ajentów konsularnych angielskich. Przy tej okazyi dowiaduję się, że rząd angielski wspiera w różnych posiadłościach swoich misye jezuickie, mianowicie w Kalkutta i na Jamaice, może z powodu, że misye protestanckie zasiewają bunty między krajowcami, między czarnymi zwłaszcza. Z Kurdystanu do obozu Reszyd baszy[2]) nie będzie

---

[1]) Ksiądz Maxymilian Ryłło Jundziłł (1802—1848) głosił słowo Boże w Syryi, Azyi Mniejszej, Egipcie, Afryce środkowej. Zmarł w Nubii. Journal des Débats pisał o nim 9 lipca 1840: «Człowiek to przedsiębiorczy i poświęcony, zjednał sobie przywiązanie i cześć ludności Libanu.»

[2]) Naczelnego wodza armii tureckiej w Azyi.

daleko, należy więc przy pierwszej okazyi pewnej donieść Chrzanowskiemu, że ksiądz Maxymilian Ryłło Jundziłł, jezuita, patryota gorący, człowiek żwawy a pełen roztropności, jak się wydaje, ma się zgłosić do niego, czy to osobiście, czy też listownie, że można i należy utrzymywać z nim stosunki ciągłe, że będzie w naszej korespondencyi «Anglikiem, archeologiem, nazwiska Mr Ryll». O Rzymie i dokładniejszym sądzie tamże o nas dobre daje wiadomości; on to wspólnie z Sołtanem najwięcej przyczynił się do tego.»

Władysław Zamoyski do panny d' Arnaud:

«Florencya, 29 września 1836.

Wuj (x. Adam) przyjechał tu 24, w wilię dnia urodzin matki. Domyślasz się, jaka szczęśliwa. Dla zabawienia jej graliśmy «Pannę na wydaniu» Scribe'a z wielkiem powodzeniem. Wuj i dr Chiostri byli jedynymi widzami. Eliza była śliczna i odegrała swoją rolę doskonale. Ja przedstawiałem ojca chrzestnego. Starałem się, jak mogłem, matkę rozśmieszyć, chociaż roli nie umiałem.»

W innych listach Zamoyski pisze o ośmnastoletniej siostrze: «Bardzo ładna i miła wesoła a przytem rozsądna. Główną jej cechą prostota, w tym stopniu jest ona rzadką zaletą, zwłaszcza, że połączona z wdziękiem i zastanowieniem.»

Więcej jeszcze uwagi a raczej troski wzbudzał w Zamoyskim szesnastoletni brat, Stanisław. «Nauczycielowi jego obecnemu», pisał do ojca, «brak sądu, moralnej przewagi nad uczniem. Każde zdanie kończy wyrazem «nieprawdaż?», który doskonale oddaje jego stan umysłowy; w istocie sam nigdy nie wie, czy to, co mówi, jest złe lub dobre.» Zamoyski badał usposobienie i zdolności brata, ułożył dla niego rozkład nauk odpowiednio do wyjątkowych warunków, w jakich się znajdował, a widząc, że brat jest pobożny, do wiary jego przemawiał dla otrzymania potrzebnych wysiłków. W notatkach do rozmów z nim pisał: «Wiara i wykonywanie obowiązków, które ona na-

kłada, potrzebują nauki. Nauka jest w pewnej mierze modlitwą; przykładając się do nauki, cześć oddajemy Bogu, ale na to trzeba się uczyć z postanowieniem użytkowania nauk do jak najlepszego wypełnienia obowiązków. Uczyć się trzeba z zapałem tak, aby nauka służyła do zaspakajania żądz szlachetnych i poskramiania złych. Wybór nauk powinien być natchniony poczuciem obowiązku i chęcią nauczenia się, jak żyć uczciwie i pożytecznie.» Ordynat zamierzał sprowadzić dla Stanisława nauczyciela Szwajcara, jak to niegdyś uczynił dla starszych synów. Zamoyski nalega w listach do ojca, żeby to był katolik i nauczyciel z powołania, nie z rzemiosła; człowiek niezbyt światowy, ale ze światem obeznany o tyle, żeby mógł uczniem pokierować; człowiek, któryby nie tylko udzielał nauk, ale sąd ucznia kształcił i wprawiał go do samodzielnej pracy. Pragnie, żeby brat wiedział dokładnie, ile ma na osobiste wydatki i żeby z tych wydatków ścisły utrzymywał rachunek; chce, żeby się pozbył gratów, żeby miał wzorowy porządek w pokoju sypialnym i szkolnym, «po wojskowemu, potrzebne sprzęty, nic poza tem». Radzi, żeby nauczyciel wprawiał ucznia do codziennego zastanowienia się nad sposobem, w jaki obowiązkom swoim zadośćuczynił to jest do rachunku sumienia. Zalicza do przewinień nieszanowanie godzin, ociąganie się ze spoczynkiem wieczornym i wynikające stąd późne wstawanie, roztargnienia przy nauce, zajmowanie się dwiema rzeczami na raz, niepanowanie nad ruchami rąk i całego ciała, co, choć samo w sobie mało znaczące, przeszkadza jednak do poważnej pracy. Równocześnie starał się o umieszczenie brata w liceum florenckiem, a gdy rząd toskański odmówił przyjęcia go przez wzgląd na posła moskiewskiego, odwiózł Stanisława z nowym nauczycielem, Schwartzmannem, do szkoły publicznej w Pistoi.

Ordynat zapowiedział swój powrót do Florencyi na pierwszego października, tymczasem tygodnie po tygo-

dniach mijały a nie wracał, ani o sobie znać dawał, mimo że pani Zamoyska kilkakrotnie dopominała się «z niewymownym smutkiem» o jego powrót. Dopiero w połowie listopada Zamoyski dowiedział się przypadkowo z pogłosek krążących po mieście, że ojciec tknięty został paraliżem we Lwowie u córki, x. Leonowej Sapieżyny. Atak był stosunkowo lekki, ale ogólne zachwianie zdrowia i ubezwładnienie prawej ręki sprawiało, że pisać nie mógł, z otoczenia zaś jego nikt widocznie pisać nie śmiał ani mógł przybyć. Zdzisław rwał się do matki, ale go ojciec zatrzymywał przy sobie, żeby razem z nim w drogę się puścić, innych synów krępowały trudności paszportowe.

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Florencya, 26 listopada 1836.

...Nie wątpię, że chorobę ojca wywołał, przy obawie o matkę, widok naszego nieszczęśliwego kraju, widok zdolny każdego struć. Twoje serce, drogi Dudley, musi teraz znosić wraz ze mną wszystko, co cierpię. Po raz pierwszy w życiu odczuwam, jak zniechęcenie może duszę opanować i odjąć jej siłę i zdolność do dalszego życia. Ufam, że przezwyciężę tę słabość, ale czuję się okropnie nieszczęśliwym. Biedny wuj tu jest, on też bardzo przywiązany do mojej matki i tybyś ją ubóstwiał, gdybyś ją znał.»

Pani Zamoyska tem bardziej pragnęła powrotu męża, że rząd toskański nalegał na wyjazd x. Adama i Zamoyskiego. «Było tu gorąco około nas», pisze ten ostatni 7 stycznia 1837, «niewiadomo, jak długo potrwa uproszona cierpliwość.» Sądząc, że list zastanie brata już w Wiedniu, Zamoyski prosi go o kupienie kilku polskich książek dla młodszego rodzeństwa: «Raumera Historyę podziału Polski i mapę podziałów w Niemczech wydaną, oraz dwa rapiery dla Stanisława do fechtowania.» Dalej pisze: «Za widzeniem się z Senfftem[1]) zapytaj go, jakie

[1]) Hr. Senfft-Pilsach (1774 1853), poseł saski w Paryżu 1806—1809, w służbie Austryi od 1813, poseł w Hadze i Londynie. Przeszedł na katolicyzm z żoną i synem.

być mają moje stosunki z rządem jego (Austryą), zwłaszcza, gdy zostanę dziedzicem[1]). Czy mnie tam puszczą, choćby na krótko? Zapytaj, jakich to stosunków w jednym z swoich listów zalecał mi strzedz się, boby mnie kompromitować mogły. Stosunki moje tutaj ograniczają się do dr Chiostri, z domu wychodzę tylko, by «pigliar un pocco d'aria» i spieszę z powrotem.»

Władysław Zamoyski do jen. Franciszka Morawskiego[2]):

«Florencya, 1 lutego 1837.

Wyglądam od dawna listu Jenerała kochanego, którego się moja matka spodziewała i na który było umówione, że ja odpiszę. Biedna moja matka, biedniejsi my. Ona cierpi srogo, ale nas rozpacz ogarnia. List Jenerała ucieszył mnie, uprzytomnił mi jego osobę i rozmowy. I tem się ucieszyłem, że nietyle mi się Jenerał wydałeś przygnieciony smutkiem, jak się lękałem tego, mianowicie podczas niewoli. Cieszę się bardzo, że i muza czynna. O to właśnie wołać chciałem do Wołogdy, żeby pod tem wrażeniem i natchnieniem pisać, byle nie po Owidyuszowsku, ale owszem w duchu krzyżackiego mistrza. Kiedy już o muzie piszę, pozwolę sobie wojnę wydać Jenerałowi za jego wierność dla Byrona. To są niepożyteczne dla nas piękności i wywody. Wyznaję, że mam żal do poezyi Byrona, bom nieraz spostrzegł, że one obniżają charaktery i zdają się stworzone dla pozbawienia ich wszelkiej tęgości pod wpływem jałowej mizantropii. Ale przepraszam, że się do nie swojej rzeczy mieszam. Już nieraz od którego z naszych wierszopisów przyjęty zostałem z uśmiechem litości, gdym się ośmielał pragnąć, żeby wiersz

---

[1]) Rodzice przeznaczyli Zamoyskiemu Cewków, część posagu matki w zaborze austryackim.

[2]) Franciszek Dzierżykraj Morawski (1783—1861), jenerał i poeta, adjutant x. Józefa Poniatowskiego, minister wojny w 1831. Po powstaniu wygnany do Wołogdy, wrócił stamtąd w połowie 1833 i osiadł w Poznańskiem.

u nas, dopóki nie upłynie wiek żelazny, był wyłącznem niemal narzędziem, budzącem wszystkie, jakie nam najpotrzebniejsze, narodowe cnoty. Jeśli nie w zastosowaniu do poezyi, to wiem, że podzielasz Jenerał ze mną to pragnienie wszystkiego, coby naród nasz podnosić, poprawiać, ulepszać mogło, a zatem przebaczysz mi mój wybryk literacki.

Cieszę się, że Tadzio[1]) tak urósł i że już o uniwersytecie dla niego mowa. Radbym i ja, żeby Staś się mógł z nim spotkać w Berlinie, ale Stasiowi życzyć będę mniej prawa Sawiniuszowego, mniej jeszcze Heglowskiej filozofii, ale najwięcej użycia rozlicznych sposobności do odbycia kursu wiadomości wojskowych. Chciałbym, aby one stanowiły jedną z głównych części wychowania każdego z nas, jakiekolwiek będą przytem nauki inne i tymczasowe zatrudnienia.

Dodam o naszych smutkach domowych... Prosić muszę, abyś Jenerał w przyszłym liście nie pokazał powiększonej obawy o matki wyzdrowienie, bo niejeden już taki list kazał jej domyślać się niebezpieczeństwa, które potrafiliśmy dotąd przed nią utaić. Oszukiwanie to ile mnie kosztuje, tego nikt nie zgadnie. Może nastąpi chwila, w której ona tak silna, tak wielka, pomyśli, że należało więcej jej zaufać i dać czas dłuższy do urządzenia się do woli. Ta myśl mnie dręczy do żywego. Zresztą to ukrywanie prawdy i niewola, którą ono nakłada, pozbawia mnie codziennie, czuję to, najcenniejszych zwierzeń ubóstwianej matki. To też jedynie myśl, że tym sposobem przedłużam jej życie, wymódz to może na mnie. Przez pięć lat prawie zupełnie pozbawiony byłem widzenia się z nią; usługi, które wolno mi teraz jej oddawać, uważam za łaskę niebios, mimo strasznych przewidzeń przyszłości. Ale prawdziwie, ja o przyszłości nie myślę, tak próżnia, która mnie czeka, duszę mi mrozi

---

[1]) Tadeusz Morawski, syn jenerała.

i pobudza do zniechęcenia, którego po raz pierwszy w życiu zaczynam doznawać. Cały żyję teraźniejszością przy niej i jakgdyby dla pogorszenia ciosu, jaki nademną wisi, codzień więcej do niej się przywiązuję, co dnia bardziej mi się serce rozdziera.»

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Florencya, 14 lutego 1837.

Siła ducha naszej matki, wśród tylu mąk, nie jest samą tylko cierpliwością i zdaniem się na wolę bożą. Pozwala jej w krótkich przerwach albo zwolnionych nieco bólach używać całej i podwójnej niemal dzielności umysłu i wprawia nas w podziw, w ubóstwienie niemal. Pobożność jej podziwu godna, głęboko wierzę w jej świętość, ale to nie jest dla nas niczem nowem, czyż ona nas do tego nie przyzwyczaiła przez całe życie? Co mnie zdumiewa, to jej siły umysłowe, to wzniosłość jej duchowa, to jej dzielność niesłychana, myśli tak wielkie, któremi jest ciągle zajęta. Ten widok na wskroś mnie przenika. Nie martw się obawą, że matka nie rozumie przyczyn, dla których musisz sobie odmówić przybycia do niej. Jej dusza wszystko rozumie.»

Cały styczeń i połowa lutego przeszły dla pani Zamoyskiej stosunkowo nieźle. Dopiero 18 widać z listów, że Zamoyski przewiduje blizki już koniec matki. «Kto chce matkę zastać», pisze do brata Jana, «nie ma chwili do stracenia. Bóg może przedłużyć jej cierpienia, ale lekarze wyraźnie swą niemoc uznają.»

Od tego dnia Zamoyski zapisywał najdrobniejsze szczegóły dotyczące matki i każde jej słowo «dla nieobecnych, jako jedyną dla nich pociechę»:

«21 lutego 1837. — Rano po strasznej nocy, gdy matce oznajmiono księdza Valiani, spytała: «Czy już tak źle? bo w takim razie trzeba mnie ostrzedz.» Odtąd we wszystkich jej słowach i czynnościach przebijało przekonanie, że ostatnia jej chwila nadchodzi. Mszy św. w jej pokoju odprawionej wysłuchała ze skupieniem, którego

nic przerwać nie mogło, ani łzy otaczających, ani oczy domowników na nią zwrócone. Wiatyk przyjęła z duszą wzniesioną ku niebu. W jej oczach łza nie postała. Na nas spoglądała z wyrazem prawie nagany, żeśmy łez powstrzymać nie mogli.

22. — Widocznem było, że się odrywa od tego, co ziemskie.

23. — Rano ksiądz jak zwykle przyszedł mszę św. odprawić. Kilka razy powtórzyła, że jej żal tych wszystkich, którym podobna pociecha nie dana. Wyglądała prawie radosna, przejęta wdzięcznością dla Boga. Po mszy mówiła do nas: «Kochajcie Boga, kochajcie go zawsze i powiedzcie wszystkim oddalonym, że to moja ostatnia, najżywsza do was wszystkich prośba.» Potem o mężu: «Mój biedny, kochany mąż. Bóg mi odmówił tej pociechy, by go widzieć jeszcze. Zdawna to przeczucie niepokoiło mnie. To jedno czyni mój koniec przykrym, bo nikt za mnie powiedzieć mu nie może, ile go kocham, ile mu za wszystko wdzięczna jestem. Nikt mu za mnie nie poleci tylu rzeczy o wszystkich dzieciach i o każdym z osobna, ale możeby nie zniósł tego widoku, może tak lepiej. Kochajcie go, pielęgnujcie.» Potem, zwracając się do xięcia Adama z głębokiem wejrzeniem: «Nikt nie wie, ilem mu winna, byłam młoda, lekkomyślna. On mnie ustrzegł.» Serdecznie się żegnała z domownikami, troszcząc się o przyszłość każdego, wzajemnej opiece jednych drugim polecając. Do mnie klęczącego przy łóżku: «Mój ty W. biedny. Wiem, co we mnie tracisz. Jakże żałuję i dlatego, że mój mąż nie mógł zjechać, że nikt mu nie powie, jak ja mogłam i chciałam mu powiedzieć, czem byłeś dla mnie i w tych ostatnich czasach, jaką pociechą i pomocą.» W tej rozmowie po raz pierwszy zstąpiła jakby z wyżyn, na których trwała od 21. Pocieszała nas, jak mogła, z twarzą pogodną.

24. — Kazała mi wziąć klucze, listy uporządkować, rozdzielić i oddać tym, co je pisali. Mówiła o ostatniej

swej woli, o zapisach dla sług, o opiece nad nimi, prosiła o względy dla nich: «Zawsze byli dobrzy, niech im Bóg wynagrodzi[1])». Żałowała, że nie wykończyła tłomaczenia książki Lammenais: «Guide du jeune âge». Gdym powiedział, że ja tłomaczenia dokończę, rzekła: «Dobrze, i rozdasz wszystkim dzieciom i wnukom dokoła. Niech wiedzą, że im tę naukę chciałam zostawić.» Rozmawiała z zupełnym spokojem, ale widać było, że więcej poddaje się żalowi na myśl opuszczenia nas, niż w pierwszej chwili, kiedy zrozumiała blizkie niebezpieczeństwo. Kazała sobie przynieść różne drobiazgi, chcąc, by każdy miał po niej pamiątkę. A gdy które z dzieci, chcąc jej oszczędzić zmęczenia, powiedziało: «Nie będziemy sobie zazdrościć, odrzekła «ale ja jestem zazdrosna o moją miłość, która jest równą dla was wszystkich.» Następnie kazała «ten obmierzły portret (Mikołaja I) zaraz im tam do Petersburga odesłać[2])». Jednak dodała «i jemu wiele zawdzięczam; on sprawił, że całkiem zerwałam ze światem». Potem, zwracając się do mnie: «Ty mój W. biedny, służ teraz zupełnie twej drugiej matce, jak dotąd służyłeś jednej i drugiej. Służ wytrwale do końca.» A gdym powiedział, że jedna drugiej tak była potrzebną, odrzekła: «Nie ustawaj przecie, bo to obowiązek.» Pytała Elizy, przy kim zostać woli, czy przy której z sióstr, czy przy ojcu. Eliza odrzekła, że ojcu służyć pragnie. Stasia mnie poleciła, a do Stasia: «Słuchaj jego rad, pamiętaj, że on mnie zastępuje, że jabym inaczej nie powiedziała: osłodziłeś mi ostatnie chwile, dając dobrą o sobie nadzieję. Wytrwaj na tej drodze.» Żegnając się z panem Schwartzmannem, mówiła: «Naucz pan Stasia poznać i kochać Boga, w tem jest wszystko.»

---

[1]) Pani Zamoyska już w lipcu 1835 spisała swą ostatnią wolę, pamiętając o każdym z domowników, ale po dwuletniej chorobie pragnęła im się wywdzięczyć za starania dodatkowem wynagrodzeniem.

[2]) Pani Zamoyska była «damą portretu» to jest miała order z wizerunkiem cesarza, otoczonym brylantami.

Wieczorem wyraziła swą wolę, żeby na jej pogrzebie uniknąć wszelkiej okazałości, prosiła tylko o msze św. Mówiła, że mąż postanowi o jej zwłokach. Prosiła, żeby kaplica u św. Krzyża w Warszawie, w której wraz z braćmi grób ojca umieściła, została dokończona jej kosztem skromnie, ale przyzwoicie. Mówiła: «Proszę męża i dzieci, aby ile możności w każdy piątek mszy św. słuchali. Wiecie, żem się za was zawsze w piątki modliła; proścież wy teraz Boga za mnie, ale nie za mnie tylko, za wszystkie dusze zmarłych.»

25. — Rano odwiedził matkę ojciec Mojżesz, starzec wielce przez nią szanowany. Odbyła przed nim spowiedź jeneralną; pożegnawszy ją, mówił z uwielbieniem: «To święta.» Mimo że mszę św. u niej odprawiano, ojciec Mojżesz poradził, by proszono o wiatyk z parafialnego kościoła, aby zadośćuczynić zwyczajom. Wiatyk miał być przyniesiony nazajutrz, ale że w nocy zaszło wielkie pogorszenie, w wątpliwości, czy do rana dożyje, przyniesiono jej go w nocy z całą okazałością zwykłą we Włoszech. Proboszczowi asystował ksiądz Dziwulski[1]). Słysząc dzwonek, matka nasza radośnie westchnęła: «Otóż Pan Bóg do mnie przychodzi.» Na modlitwy głośno odpowiadała, powoli, wyraźnie, z naciskiem. Przy Ojcze nasz dwa razy powtórzyła słowa: «jak my przebaczamy naszym winowajcom» i dodała: «o, przebaczajmy winy przeciw nam popełnione». Klęcząc po lewej stronie nizkiego łóżka, podpierałem matkę przez cały czas Komunii św. i ostatniego namaszczenia, potem przez część nocy leżała na mem ramieniu, od czasu do czasu przemawiając jakby z większą jeszcze czułością, ale tak byłem wzruszony, że słów tych nie byłem w stanie zapamiętać. Słowa jej były zwrócone do nas wszystkich, męża i dzieci, że ich błogosławi i ich dzieci błogosławić będzie. Z osobna

---

[1]) Kapelan x. Wirtemberskiej, Maryanin, dla białego habitu zwany księdzem białym.

żegnała i krzyżem świętym znaczyła brata i siostrę i każdego z domowników. Gdy się z kolei przybliżył z głośnym płaczem dr Chiostri, tłomacząc, że nic więcej uczynić nie było w jego mocy, dziękowała mu w najczulszych wyrazach i nam poleciła powiedzieć ojcu, co dla niej uczynił, żeby go wynagrodził. Nareszcie znużona usnęła, ale wnet się przebudziła w niezmiernem udręczeniu, wyglądała ostatniej chwili przez kilka godzin z wzrastającą niecierpliwością, jakby czuła, że jej nic nie pozostaje już do czynienia, że jest gotowa. Ale Bóg chciał jeszcze doświadczyć jej cierpliwości. Ten koniec nocy był nadzwyczaj przykry. Powtarzała kilka razy: «Panie Boże, jeśli taka twoja wola, niech już ten koniec przyjdzie.»

26. — Prosiła, aby odmawiano głośno przy niej Zdrowaś Marya, co też uczynił August i panna Świderska[1]). Znowu po jednemu nazwała każde z dzieci i wnuków, zaczynając od najstarszego: «Konstanty, mój kochany Konstanty, niech mu Bóg błogosławi, jak ja mu błogosławię.» Mówiła, że ma sobie dużo do wyrzucenia względem niego, kiedy był dzieckiem, że była młoda i niedoświadczona, tak jak bywały wówczas młode mężatki. «W staraniach o nim kierowałam się tylko ślepem przywiązaniem, a on dużo z tego powodu szkody poniósł. Powiedzcie mu, że list jego bardzo mi miły, że osładza moje ostatnie chwile. Powiedzcie mu, że jego rzeczą czuwać nad utrzymaniem porozumienia w rodzeństwie. Proszę go, żeby Boga kochał, a Bóg go oświeci. Konstanty ma swój sposób sądzenia o tem, co dla kraju pożyteczne. Czas pokaże, kto ma słuszność, czy ci, co o przyszłości wnioskują z obecnych pozorów, czy też ci, których oskarżają, że się łudzą. Nie żądam, żeby stanął po jednej czy po drugiej stronie, ale go proszę, żeby przez pamięć na mnie, mimo trudnych czasem okoliczności, utrzymywał

---

[1]) Garderobiana pani Zamoyskiej.

ścisłe, poufne z braćmi stosunki, żeby się trzymał prawa bożego i wewnętrznego głosu, który nigdy nie myli. Ileż korzyści wyniknęłoby z połączonych sił takiego hufca, jakim wy jesteście.» Następnie nazwała Andrzeja i jego rodzinę, potem Jana, każdego błogosławiąc. Potem do mnie: «W. mój drogi, on mnie nigdy nie zmartwił, tylko gdym się lękała o jego życie i zdrowie.» Potem, położywszy rękę na mojem czole, trzy razy krzyżem je naznaczyła. «Celinka (Tytusowa Działyńska), biedna, kochana i jej mąż, niech go Bóg oświeca», i znowu nazwała każde z ich dzieci: Iziunia moja[1]), Jaś, Jadwinia, królowa kochana[2]), Marynia[3]), Cesia.»

Doktor Chiostri przerwał jej, obawiając się zbytniego zmęczenia. «Pozwól, pozwól kochany panie Chiostri», mówiła, «o czemżebym myślała, jeżeli nie o dzieciach, o mężu, o Bogu.» Nie zdawała się zbyt zmęczona. Zapytała, czy to dziś już 25?; odpowiedziałem, że dopiero się skończył. «Dzień okropny», rzekła, pomnąc na bitwę pod Grochowem, «ale Bóg nie chciał.»

Pana Senfft polecała nam kochać i wynagradzać mu przyjaźń jego dla niej: «On ze mną traci wszystko, co go jeszcze wiązało do ziemi[4]).»

Potem zaczęła znowu cierpieć, mówiła głośno: «Mój Boże, daj koniec», a popatrzywszy na mnie dodała: «albo ulgę.»

27. — Około czwartej z rana, kiedy przybliżyłem się do łóżka matki, wyciągnęła do mnie rękę z westchnieniem i rzekła: «Mój W.» Ja, myśląc, że cierpienie to westchnienie wymogło, wyraziłem żal, że jej ulżyć niczem nie mogę, na co odpowiedziała: «Wiem, żebyś wszystko zrobił, ale, kiedy już taka nademną wola Boża, szanuj

---

[1]) Późniejsza x. Adamowa Czartoryska z Rokosowa.

[2]) Późniejsza Władysławowa Zamoyska.

[3]) Późniejsza Zygmuntowa Grudzińska.

[4]) Pani Zamoyska po śmierci (w 1836) pani Senfft, z którą żyła w przyjaźni, stała się powiernicą jej męża.

się ty, niech cię zmartwienie nie zabija, nie poddawaj się smutkowi», a zwracając się do swego brata, prosiła, żeby nad jej synem czuwał, żeby pilnował, by miał dosyć ruchu, dosyć konnej jazdy. «Niech ja mu nie będę szkodą na zdrowiu.» Prosiła brata, żeby i swoje tak potrzebne zdrowie szanował, bo on jest sztandarem, chorągwią, nadzieją wszystkich.

Dr Chiostri przekładał jej obowiązek podtrzymywania swych sił. Podobieństwo przedłużonej męki przejmuje biedną matkę widocznym smutkiem, jednak myśl o Bogu i uległość dla jego woli przemaga obawę cierpień. Martwi się, że ten stan, przedłużając się, nas «zabija». Powiedziano jej na zachętę, że Jan i Celina spieszą z przyjazdem, że dla nich tak wielkiem byłoby szczęściem zastać ją. Myśl ta krzepi ją widocznie, bo tym sposobem jeszcze coś dla dzieci uczynić może. Na wspomnienie o dwóch wnuczkach[1]), które przywozi Celina, twarz jej się rozweseliła i obróciwszy się ku cioci Wirtemberskiej, rzekła «królowa jedzie». Potem posiliła się.

27 wieczór. — Cierpienia się wzmogły, siły raczej powiększone. Jednak więcej się żali, wzdycha do końca. Wołamy księdza Dziwulskiego, który za pierwszem słowem wzbudza w niej głęboką, zupełną uległość dla swej doli według woli bożej.

Dziś przez dzień cały odbywało się wystawienie Przenajświętszego Sakramentu w kościele Annunziaty na intencyę naszej matki; po południu poszedłem się tam modlić. Przejęty szczerą chęcią lepszego przestrzegania nadal praw boskich, którą świeżo we mnie wpoiła nauką, prośbą a zwłaszcza przykładem, chcąc skądinąd zrobić Bogu ofiarę z najdroższego mi szczęścia, prosiłem, aby i nadal mogła być przewodnikiem moim i sędzią, chociażbym nie miał już więcej cieszyć się jej widokiem. I tak mam silną nadzieję, że się stanie; widzieć jej nie będę, ale

---

[1]) Elżbiecie i Jadwidze Działyńskich.

przewodnikiem moim we wszystkich czynnościach życia, sędzią, którego wyroków słuchać będę ze skwapliwością i obawą, tem być dla mnie nie przestanie już nigdy. Smutna, posępna przyszłość moja, nawet służba ojczyzny tak dotąd sercu miła, że żadne poświęcenie nie było dla niej trudne i ją odtąd spełniać będę, da Bóg, z niezmienną stałością, ale już tylko z poczucia obowiązku i bez nagrody, którą dotąd dla siebie upatrywałem w rozkoszy, jakiej doznawała moja droga matka, słysząc o moich usiłowaniach.

28. — O trzeciej z rana opanowały ją straszne udręczenia i omdlewania. Wśród srogich cierpień mówiła przerywanym głosem: «Teraz już na zbawienie liczę; Boże, zmiłuj się nademną». Chwilę potem: «Boże, jakże ciężka kara za moje grzechy». Ostatnia to była okropna walka. Ksiądz kapelan odczytywał modlitwy za konających. Każdy wyraz uległości w modlitwach przy niej odmawianych z naciskiem powtarzała na znak poddania. Zdawało się widzieć walkę piekła z niebem, bo męki piekielne chyba gorszemi być nie mogą, ani dusze świętych bardziej stałe w wierze i pokorze. Modlitwa i cierpienia nie przeszkodziły jej do ostatniej chwili okazywać nam swą miłość i troskliwość. Raz rzekła: «O, dzieci moje, bądźcie dobre, abyście nie zasłużyły na taką śmierć.»

O wpół do jedenastej rano skończyła. Ksiądz Dziwulski zaraz mszę św. przy niej odprawił a po mszy odmówił ulubioną litanię matki naszej do Najświętszej Panny.

W nocy z 28 lutego na 1 marca. — O mój Boże, jeżeliby dusza matki naszej nie znalazła pociechy za takie męki i nagrody, za takie cnoty, życie i wiarę, — jakażby była sprawiedliwość twoja? — Wierzę tedy, wierzę w jej szczęście wieczne, niezachwiane. Ale jeśli sprawiedliwość nagradza, to i karać musi, a jeśli kary twoje wieczne są takie, jak męki, któremi może dla naszej nauki, bo doprawdy nie za jej własne winy, matkę naszą świętą do-

świadczyłeś, o Boże, to okropne stać się mogą skutki naszej lekkomyślności i roztargnienia.

Boże, zmiłuj się nad nami, oświeć, wesprzyj, zbaw nas dla nas samych i dla matki naszej.

Jakże nieocenioną pociechę Bóg nam daje w tej strasznej boleści tym tak pięknym końcem. Te ostatnie dnie, ta przytomność umysłu, która nam poznać dała całą wzniosłość i piękność jej duszy, całą czułość jej serca dla nas, słowem wszystko, co w niej tracimy, to żalu naszego nie wzmoże, a wspomnienia te zostaną na zawsze głęboko wrażone i niezatarte. Co do mnie, wśród rozpaczy, dała mi niezrównane szczęście. Matko moja ukochana, ty zawsze mojej pamięci obecną zostaniesz. Chęć podobania się tobie nie opuści mnie nigdy. Myśl o śmierci będzie mi słodką przez nadzieję połączenia się z tobą, a życie moje musi być czystem, abym tą nadzieją się umacniał, a więc i przyszłe życie tobie zawdzięczać będę.»

W nocy z 2 na 3 marca, czuwając po raz ostatni przy zwłokach matki, Zamoyski pisał do brata, Zdzisława:

«Nie w tem upatruję dla ciebie stratę niepowetowaną i powód do żalu, żeś nie odebrał z ust własnych matki ukochanej licznych i zazdrości godnych dowodów jej kochania, upatruję je nierównie więcej w tem, żeś nie widział i nie słyszał matki przez ciąg owego pamiętnego tygodnia, w którym, po dopełnieniu obowiązków względem Boga, zdawała się żyć już nie życiem ludzkiem, ale raczej spełniać posłannictwo boskie na ziemi, posłannictwo nauki o prawdziwej mądrości i wierze, posłannictwo napiętnowane męczeństwem. Czego nauczała, to ci wiadomo, ale jak wlewała wiarę we wszystkich otaczających, jakie przekonanie wzbudzała o niezawodności swej nauki, tego nikt za nią powiedzieć nie potrafi, nawet jej własne słowa spisywane dla was przez czas długiego jej męczeństwa.»

Do sióstr Zamoyski pisał w kilka dni później:

«...Ostatnie zlecenie matki do nas i do was było: «Kochajcie się między sobą, kochajcie ojca, kochajcie ojczyznę i Boga.» Słowa te w ich najrozciąglejszem i najszerszem znaczeniu, niechże będą naszą rodzinną ustawą.»

Przesyłając lordowi Dudley Stuart pamiątkowy krzyżyk po matce z drzewa «olszynki», Zamoyski mówi:

«Krzyżyk ten darowano jej za ostatniej bytności w Warszawie w 1834 roku. Żadnego na nim nie wyryto napisu, co dowodzi, gdzie i w jakich warunkach był wykonany[1]). Jest on przytwierdzony do zwykłego krzyża dla przypomnienia, że nieprzyjaciel zarówno naszą wiarę, jak i narodowość prześladuje. Prześladowanie jest tak gwałtowne, że ksiądz Szweykowski, który słów parę przemówił na nabożeństwie za moją matkę w Warszawie, wysłany został do Płocka.»

«Jedną z pierwszych moich myśli po skonaniu matki była myśl o pomniku dla niej. Rzeźbiarz Bartolini[2]) był częstym gościem w jej domu, wykonał dla niej, a raczej dla mnie, piękne popiersie jej ukochanego brata, x. Adama. Skoro więc żyć przestała, wezwałem Bartoliniego, by się jej raz ostatni przypatrzył i w tym widoku szukał natchnienia do najwłaściwszej pamiątki po niej.

---

[1]) Z listu majora Urbanowicza (13 października 1840) do panny Gibson Craig, wielkiej dobrodziejki Polaków w Szkocyi, widać, że za staraniem Mickiewicza i pani Klaudyi wykonano i na emigracyi z gałązek olszynki, sprowadzonych do Drezna, pewną ilość takich krzyżyków. Na złote okucia, zdobiące je, użyto dukatów, bitych podczas powstania w mennicy warszawskiej z obrączek ślubnych, składanych do skarbu na potrzeby wojska. Pani Klaudya do końca życia nosiła na piersiach, w zwykłym krzyżu hebanowym krzyżyk olszowy z napisem: «z Olszynki» i datą bitwy grochowskiej.

[2]) Wawrzyniec Bartolini (1778—1850), profesor sztuk pięknych we Florencyi, odznaczał się prostotą pomysłów i czystością linii.

Skoro wszedł do pokoju, w którym spoczywała na śmiertelnem łożu, złożył jakby ręce do modlitwy i rzekł z wzruszeniem: «A cóżbym mógł obmyśleć piękniejszego, jak to, co widzę. Tę postać, jaką dziś widzimy, trzeba utrwalić.» A widząc, jak liczni ją otaczali członkowie rodziny i przyjaciele, hołd ostatni jej oddający, dodał: «Chciałbym i w tym pomniku zostawić ślad i tego otoczenia, w jakiem skończyła.» To umyśliłem wyrazić herbowemi tarczami najbliższych członków rodziny.

Pomnik ten (ukończony w 1846) należy do najpiękniejszych dzieł Bartoliniego[1]. Oparty o boczną ścianę jednej z większych kaplic kościoła Santa Croce ma u góry medalion Najświętszej Panny, naśladowany z dzieła jednego z pierwszych rzeźbiarzy średniowiecznych. Pod medalionem napis z ewangelii św. Mateusza: «Merces vestra copiosa est in coelis[2].» Podstawa posągu, jakby łoże, okryta napisami w polskim i łacińskim języku. U wezgłowia: «Jej piękne przymioty, rzadkie cnoty, niezmordowana dobroczynność, wielka pobożność były dla rodziny i dla wielu wzorem i nauką.» U podnóża imię, nazwisko i napis: «Kochająca Boga i Ojczyznę Polka.» Dokoła tarcze wyobrażające członków najbliższej rodziny. Napis nad temi tarczami: «Żono, matko i siostro wstawiaj się za nami» i drugi z księgi Machabeuszów: «Supra modum autem mater mirabilis et bonorum memoriae digna. Singulos illorum hortabatur voce patria, fortiter[3].»

Zanim jeszcze układy z Bartolinim były ukończone, spotkała Zamoyskiego jedyna radość, jakiej wówczas mógł doznać, długo oczekiwany, a niestety spóźniony,

---

[1]) Bartolini wykonał między innemi: popiersie Napoleona I, Cherubiniego, pani de Staël, Byrona i grobowiec lady Stratford Canning.

[2]) Zapłata wasza obfita jest w niebiesiech. (Mat. V, 12)

[3]) Nad miarę matka dziwna a pamiątki między dobrymi godna. Każdego z nich ojczystym głosem mężnie napominała. (II Machab. VII, 20, 12)

przyjazd braci, Jana i Zdzisława z żoną, oraz pani Działyńskiej z dwojgiem dzieci. Ordynat zamierzał również zjechać. Siostra jego, x. Alexandrowa Sapieżyna, pisała o nim: «Katusze cierpi, przeczuwa swe nieszczęście a pytać nie śmie, chce się jeszcze łudzić a złudzeniom już nie wierzy. Posiadał wszystko, co tylko wyobraźnia ludzka może wymarzyć do szczęścia. Żona zaspakajała wszystkie potrzeby jego duszy, serca, umysłu; ona umiała mu dogodzić we wszystkiem, przytępiać cierpkość humoru, wkraść się do serca, podsunąć dobrą radę. Teraz osierocony, pozbawiony jej pieczołowitości, przygnębiony chorobą, walczy samotny z nieszczęściem. Udaje wesołość, uśmiecha się, a łza w oku zdradza cierpienie wewnętrzne. Kocha bardzo dzieci swoje, ale nawykł niemi rządzić, o ich bycie myśleć a nie nawykł na nich się wspierać i w nich szukać pociechy. Ale nie trzeba się zrażać, trzeba go ciągle otaczać staraniem i poświęceniem, powoli nawyknie do tego nowego rodzaju szczęścia.»

Zamoyski pragnął doczekać się ojca we Florencyi, lecz jenerał de Flahaut, adjutant xięcia Orleanu, ostrzegł go, żeby zamiaru zaniechał, gdyż «żadne nieszczęście nie zmiękczy cara i nie przebaczy ojcu spotkania z synem». Niezależnie od tej przeszkody stan zdrowia ordynata uniemożliwił mu tak długą podróż. Zamoyski jednak przedłużył pobyt we Florencyi dla dozorowania pierwszych robót nad pomnikiem matki. X. Adam w maju powrócił do Paryża, Jan do kraju, Stanisław z nauczycielem Schwartzmannem przenieśli się do Pistoi, Eliza zaś, pod opieką nauczycielki, panny Zeithan, garderobianej, p. Świderskiej, metra muzyki pana Corsi, p. Cecylii Beydale i brata Augusta, trzema powozami, 30 maja, wyruszyła w drogę na Wiedeń do Krasiczyna, gdzie ojciec jej powoli do sił powracał.

W wilię wyjazdu Elizy, Zamoyski pisał do x. Sapieżyny, że młodsza siostra, jadąc do ojca, pod jej bezpo-

średnim kierunkiem znajdować się będzie: «Ma ona już sąd swój o rzeczach; żeby na nią wpływ wywierać, trzeba być w jej oczach bez zarzutu. Nie mówię tego ze względu na rzeczy ważne, bo o to niema u was obawy, ale zachodzi mnóstwo drobnych okoliczności w codziennem życiu, w których można się zachowywać w sposób mniej lub więcej odpowiedni a o których bardzo młoda osoba sądzi według ścisłych prawideł, jakie jej w wychowaniu stawiano. Otóż ważną rzeczą młodych nie dziwić, nie zrażać. Trzeba przynajmniej tłomaczyć im powody swego postępowania, aby nie czuli swej wyższości, postępując inaczej. Mówię to z powodu wrażenia, jakie na Elizie sprawiają drobne przekroczenia co do akuratności i porządku.»

Z listów Zamoyskiego w sprawie wychowania najmłodszego brata zebrałby się spory tom. Razu jednego, po rozstaniu się ze Zdzisławem, pod którego opieką Stanisław miał przebywać we Włoszech, pisze do niego:

«Biedny Staś od śmierci matki upada pod ciężarem smutku. Strzedz go trzeba, by to sił nie przemogło.» Prosi Zdzisława o wyrozumiałość dla niego, «zdaje mi się, że przesadzasz w sztywności dla dziecka, choćby on na to czasami zasługiwał. Mylisz się, sądząc, że to posłuży za karę. Wysiłek, aby zapanować nad twojem ponurem usposobieniem, tobie samemu wyjdzie na korzyść. Jednostajność humoru była cnotą wysoce cenioną przez filozofów pogańskich, wiara Chrystusowa postawiła natomiast miłość, która wyklucza humory i daje święty zapał do zacnych przedsięwzięć. Kiedy zapał ten duszę ogarnia, daje jej panowanie nad wyrazem twarzy i przystęp do serc ludzkich i udziela się tym, którzy są jego przedmiotem. Staś ci daje sposobność jedyną do rozwijania i doskonalenia siebie samego. Ile razy ci się nie uda to, co czynisz dla pokierowania nim, zastanów się głębiej nie tylko nad nim, ale i nad sobą samym. Trzeba dostosować cel, do którego się dąży, do zdolności ucznia i środków, jakiemi się względem niego rozpo-

rządza i raczej zanadto swe wymagania ograniczyć niż zbytnio rozszerzać, aby uniknąć zabójczego zniechęcenia, jakie wynika z powtarzającej się bezskuteczności wysiłków. Ograniczać się do tego, co możliwe, a tak unikać codziennych zawodów, które smutek rzucają na wychowanie, a następnie na samoż życie.»

W innym liście z tej pory Zamoyski pyta Zdzisława, co stanie się ze Stasiem, jeśli on, Zdzisław, zamieszka w Wiedniu: «Dla Stasia raczej Monachium lub Pragę bym doradzał. Wiedeń pod względem szkolnym bardzo nizko stoi a Senfft twierdzi, że to samo powiedzieć można o całem cesarstwie austryackiem. Praga z całego państwa austryackiego zdaje się najmniej złą i dla Polaka najbardziej odpowiednią[1]). Trzeba szukać dla Stasia nowych warunków życia, ludzi nowych, aby duszę hartować, umysł oświecić, umocnić, horyzont rozszerzyć. On już takie ma zasady moralne, żebym się nie lękał puszczać go samego między ludzi, tembardziej ze Schwartzmannem, ale temu trzeba podać myśl, żeby go coraz samemu sobie zostawiał, tak w naukach, jak w sprawach potocznego życia, a przytem czuwał, napominał, poprawiał. Gdyby mnie był oddany, kierowałbym nim z daleka tylko, żeby go nie krępować i nie być mu poduszką na lenistwo. Trzeba, żeby się nauczył żyć, chwytać, słuchać, pytać, zgadywać, nie próżnować, nie nudzić się, nie kapcanieć.

Mówisz, że się obawiasz odpowiedzialności. Wierzaj mi, nigdy tego frazesu nie powtarzaj. Ile razy obowiązek nakazuje powzięcie postanowienia, zastanów się, rozpatrz a potem palnij, co masz na myśli, niech się dzieje, co Bóg da.»

---

[1]) Henryk Reeve w liście z 6 sierpnia 1836 tak się wyraża o Wiedniu i Pradze: «Ze wszystkich miast Europy Wiedeń najmniej mnie ku sobie pociąga. Wyjeżdżam z niego równie mądry, jak przyjechałem, bez innej korzyści nad możność pochwalenia się, że w nim byłem. Pragę opuszczam z największym żalem, zdobyła mój podziw, zachęciła mnie swemi niewyczerpanemi skarbami do poszukiwań, dała mi zupełnie nowy pogląd na dzieje i na Europę.»

XIII

VIXEN I KONSULAT KRAKOWSKI. — SUBSYDYA (1837)

Po stracie matki dochodziły Zamoyskiego z różnych stron listy z wyrazem współczucia dla niego a uwielbienia dla niej. Jeden z nich, w krótkich słowach, streszcza je wszystkie.

Henryk Reeve do Władysława Zamoyskiego:

«Hampstead, 28 marca 1837.

Czemuż wśród tylu ciężkich klęsk i tak głębokiej niedoli przyszło jeszcze twemu sercu dźwigać to wielkie zmartwienie. Nikt więcej odemnie nie mógł z tobą współczuć w tych ostatnich czasach. Wychowany przez matkę, która dla mnie była tem, czem twoja matka była dla ciebie, wiem, jak błogą jest ta miłość od Boga dana. Rozumiem wielkość ciosu, jaki ugodził w najpierwszą życia twego przyjaźń. Ta boleść nie opuści cię już nigdy, ale zostanie ci pociecha, żeś osłodził ostatnie chwile tej przedziwnej kobiety. Wrócisz do twego zadania, dopełniwszy najboleśniejszych i najuroczystszych obowiązków synowskich. W tych ostatnich nikt cię zastąpić nie mógł, ale co do pierwszego, możesz liczyć na współudział nas wszystkich, którzy kochamy ciebie i twoich, ciebie i twoją ojczyznę.»

Nie były to czcze słowa. Przyjaciele Zamoyskiego w Anglii i Francyi czynili, co tylko mogli, by praca polska nie ucierpiała na jego długiem oddaleniu.

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 22 stycznia 1837.

Pytasz mnie, czy nowoprzybyli wychodźcy dopuszczeni są do udziału w subsydyach [1]. Ani trochę. A skutkiem tego to jest mego natarczywego upominania się o nie, stosunki moje z ministrami są trudne. Spring Rice i Melbourne w szczególności bardzo są na mnie zagniewani i vice versa, jak się możesz domyślić [2]. Palmerston nie odpisał mi na mój ostatni list. Nieoceniony Fox Strangways jest jedynym w rządzie, którego można zużytkować. Mam też z nim dobre stosunki. Na Palmerstona zły jestem o niedotrzymanie słowa i nieposłanie konsula do Krakowa, jak przyrzekł. Nie omieszkam rzucić mu tego w oczy (dosłownie: w zęby).»

Wychodźców nie dopuszczonych do zapomogi rządowej było w Anglii podówczas stu pięćdziesięciu. Lord Dudley, wyczerpawszy zwykłe sposoby zdobywania dla nich grosza, jak bale, amatorskie przedstawienia, loterye itp. skorzystał z podróży do Szkocyi w sprawach wyborczych, by wezwać kaznodziei wszystkich sekt i wyznań do zbierania składek na polskich rozbitków [3]. Jednocześnie starał się zgodę utrzymywać wśród samychże wychodźców i przekonać ich, że żale rozsiewane między nimi przeciw Assocyacyi, jakoby w rozdawaniu zapomóg

---

[1]) Ci, którzy nie znajdowali się na spisie z sierpnia 1835.

[2]) Lord Dudley nie mylił się co do usposobienia ministrów względem niego. Melbourne pisał do Spring Rice'a (15 sierpnia 1836): «Przyjdzie tu Dudley Stuart ze swą deputacyą jutro o trzeciej dręczyć mnie o Polaków. Proszę cię, przyjdź także.» (Memoirs of viscount Melbourne, by W. M. Torrens. M. P. T. II, str. 207)

[3]) Jedno z tych kazań, pastora Archibald Bennie, gorące i wymowne, wypowiedziane w kościele św. Andrzeja w Edynburgu, wyszło w druku pod tytułem «Christian Benevolence».

uwzględniała stronnictwa polityczne i hojniej obdzielała «arystokratów» niż «demokratów», są nieuzasadnione. Mówił im, że, będąc doskonale obznajmiony z działalnością Assocyacyi, ręczyć może, iż ona nie jest stronniczą, że wsparcia są udzielane ze ścisłą sprawiedliwością.

Inny członek Assocyacyi, Sheridan, Irlandczyk, usiłował również uśmierzać polityczne zawiści raz po raz wybuchające między wychodźcami; mawiał im, że «oskarżanie kogoś o zasady arystokratyczne jest szaleństwem, gdyż wolność polityczna polega na wolności przekonań; Anglia ma torysów a przecież jest krajem wolnym.»

Polityczne zachody lorda Dudley Stuart w 1837 miały swoje szczególne znamię, zaszedł bowiem pod koniec poprzedniego roku wypadek, o którym można było mniemać, że zaważy na stosunkach międzynarodowych w Europie. Kupiec angielski, George Bell, opatrzony listem polecającym od lorda Palmerston do posła W. Brytanii w Stambule, lorda Ponsonby, otrzymał od tegoż zaręczenie, że może z wszelką swobodą prowadzić handel na morzu Czarnem z Czerkiesami, gdyż rząd W. Brytanii nie otrzymał zawiadomienia o blokadzie brzegów kaukaskich przez Moskwę. Na tej zasadzie Bell najął «schooner» (statek) «Vixen» i, naładowawszy go solą, której brak Czerkiesi silnie odczuwali, gdyż od Moskali kupować jej nie chcieli, a także bronią i prochem, której od Moskali kupować nie mogli, puścił się na kaukaskie wybrzeża. Dnia 25 listopada 1836 zawinął do czerkieskiej zatoki «Sudżuk Kale». Czerkiesi jak najlepiej witali Anglików i chętnie słuchali Bella, namawiającego ich do udania się pod opiekę W. Brytanii. Lecz wnet brick wojenny moskiewski, wyśledziwszy Vixen, ujął ją i przemocą zabrał ze sobą do Sebastopola, pod groźbą zatopienia. Bell, zmuszony zostawić własnego brata i statek z całą załogą i ładunkiem w ręku moskiewskiego kapitana, sam z niemałą trudnością wymknął się i udał do Anglii po ratunek. Nie otrzymawszy od rządu pomocy, na jaką liczył,

odwołał się do narodu, ogłaszając swe przygody i krzywdy w Timesie, 2 lutego 1837.

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 20 lutego 1837.

Sprawa Vixen cały kraj porusza i przerzuca do obozu przeciwnego Moskwie. Na meetingu u sir W. Molesworth[1]) mówiono, że, jeżeli Moskwa w istocie bezprawnie zagrabiła Vixen, to chyba chwila wojny nadeszła. Gdym o tem mówił Palmerstonowi, powiedział, że bardzo z tego rad. George Bell i ja namówiliśmy Roebucka do zapowiedzenia wniosku o przedłożenie izbie papierów, dotyczących Vixen, przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy do poruszenia tej sprawy i sprawy wschodniej wogóle. Zapytasz, czemu wybieram Roebucka za swego rycerza? Prawda, że ludzie umiarkowani powszechnie go nienawidzą, ale swoim talentem takie w tym roku stanowisko zdobył w izbie, że ze wszystkich, którzyby się tej sprawy podjąć chcieli, on największą uwagę otrzyma. A przytem taki wniosek, wprowadzony przez członka stronnictwa ultra-pokojowego, wielkie w całej Europie wywoła wrażenie. Torysi na równi z radykałami oburzają się z porwania Vixen, ale tyle tylko o tę sprawę dbają, o ile im ona posłużyć może do dokuczenia rządowi. Palmerston nie przeciwi się rozprawom.»

Dnia 17 marca 1837 Roebuck postawił w izbie zapowiedziany wniosek o przedłożenie papierów w sprawie Vixen. Palmerston odmówił udzielenia ich, jednak nie uznał blokady czerkieskich portów, na mocy której Moskwa zagrabiła Vixen. Lord Dudley Stuart, popierając Roebucka, przypomniał, że Anglia ongi nie w taki sposób obelgi znosiła. «Za czasów Cromwella, gdy razu jednego francuska marynarka skonfiskowała statek jakiegoś angiel-

---

[1]) Sir William Molesworth (1810—1855), członek parlamentu, założyciel pisma «London Review», organu radykalizmu filozoficznego, krótko przed śmiercią został ministrem kolonii.

skiego kupca, Cromwell rozkazał Anglikom, by w odwecie zagrabili dwa statki francuskie, sprzedali je i pieniędzmi z tej sprzedaży pokryli szkodę poniesioną przez kupca a pozostałość zwrócili rządowi francuskiemu.» Przytaczał i inne wypadki, w których Anglia ostro stawała w obronie swych praw, swego handlu, swych poddanych i porównał zachowanie się poprzednich rządów z obecnym. Mówił, że to nie pierwszy raz w tych czasach Moskwa gwałci sztandar W. Brytanii na morzu Czarnem i pytał, jak długo jeszcze lord Palmerston zamierza znosić cierpliwie podobne obelgi Dowodził, że dla położenia im końca jeden jest tylko sposób, by flota angielska żagle rozpięła na morzu Czarnem a polityka angielska, wbrew zasadom, którym obecnie hołduje, stała się mniej bezwzględną wobec słabych, mniej pokorną i bojaźliwą względem mocnych, mniej czołobitną wobec Moskwy. Lord Palmerston odpowiedział, że sprawa Vixen oddaną jest do rozpatrzenia pod sąd prawników koronnych, a rząd oczekuje ich wyroku[1]).

[1]) Michał Budzyński zabawne podaje szczegóły o pobocznym udziale, jaki w tym sporze przypadł na biednych polskich wychodźców. Pisze: «Lord Palmerston, chcąc sobie zdać sprawę, jakie znaczenie handlowe Kaukaz może przedstawiać dla Anglii, kazał sprowadzić dzieła w różnych językach o Czerkasyi. Poseł angielski w Petersburgu (lord Durham) zalecił dzieło pisane przez Rosyanina. Było tego cztery tomy, szukano tłomaczów. Lord Dudley Stuart wziął na siebie wyszukanie ich między Polakami, na każdy tom po dwóch... Ministeryum przeznaczyło cztery f. szt. za każdy arkusz druku a 100 f. szt. dla Falkenhagena Zaleskiego, który był tłomaczem i poprawiaczem. Około 20 września odbieram list od lorda Dudley Stuart oznajmujący, że ja i brat mój przeznaczeni byliśmy do przetłomaczenia jednego tomu. Że zaś Falkenhagen pragnął, aby ten przekład połączył umysły i różne stronnictwa spoił między sobą, dodał nam kapitana Wielogórskiego Józefa a użył do pracy swojej kapitana Stolcmana, owego dowódcę oddziałów prowadzonych do Szwajcaryi. Drugi tom wziął Stanisław Koźmian ze Skrzydlewskim, trzeci Pągowski z Olizarowskim, czwarty Falkenhagen Około trzeciej zajechała telega psem popędzana i wniesiono do mego mieszkania sześć ryz papieru sinego, doskonałych, dziesięć tuzinów ołówków, linii sześć piór (gęsich) kop dwadzieścia, worek gumelastyk i ze dwa tuziny scyzoryków. To wszystko, jak mi

Dochodzenia prawne trwały przeszło rok. W lutym 1838 właściciele Vixen wytoczyli przeciw Towarzystwu asekuracyjnemu skargę o odszkodowanie za utratę okrętu. Towarzystwo broniło się, twierdząc, że okręt nie zginął wskutek burzy lub wypadku, ale wskutek pogwałcenia praw kraju, do którego brzegów przybił. Przysiężni (jury) mieli rozstrzygnąć, czy Sudżuk-Kale należy prawnie do Moskwy czy do Czerkiesów. «Ich orzeczenie», pisał lord Dudley, «nie wystraszy cara, nie odeprze jego wojska, ale przebieg procesu będzie zajmujący dla lorda Palmerston, a może obaj, i on i lord Durham, będą powołani na świadków.» Lord Dudley Stuart wyznawał jednak, że niedość dobrze o rządzie trzyma, by przypuszczać, że Anglia wyjdzie z chlubą z tego zatargu. Nie mylił się. Jakkolwiek sprawa nabrała rozgłosu, Palmerston zniósł obelgę z cierpliwą wyrozumiałością dla Moskwy [1]), nalegania izb zbywał krótko i żartobliwie a ostatecznie oświadczył, że, po bliższem zbadaniu rzeczy, przekonano się, iż brak prawnych podstaw do upominania się u Moskwy o odszkodowanie. Gdy wkrótce potem sir Stratford Canning wprowadził do izby gmin wniosek o naznaczenie komisyi

oznajmiono, przysłane z ministeryum spraw zagranicznych dla napisania i porządnego przepisania przekładu statystyki Czerkasyi. Każdy tłomacz miał kopistę. Tym sposobem rozlały się krople manny karmiącej nas biedaków, którzy niedawno krwawo na chleb zarabiali rydlem i taczkami. Do dwóch miesięcy tłomaczenia były skończone i znajomości ścisłe między członkami dwóch stronnictw zawiązane. Niejeden wyniósł przekonanie o czystych chęciach x. Adama.» (Wspomnienia mojego życia. Michał Budzyński. T. I, str. 241—243)

Pośrednikiem między tłomaczami a lordem Palmerston był Fox Strangways. Tytuł dzieła: Opisanie posiadłości rosyjskich na Kaukazie. (Z listu Zaleskiego do W. Zamoyskiego, 23 października 1837)

[1]) Karol Greville, sekretarz tajnej rady królewskiej, pisze, że lord Palmerston z początkiem 1837, wobec zbliżającej się śmierci Wilhelma IV, wielkiego przeciwnika Moskwy, przeczuwał, że będzie zmuszony zmienić kierunek swej polityki co do Wschodu. Wtedy to wyparł się przedsięwzięć, które dotychczas popierał, i ludzi, których do wykonania ich używał. (The Greville Memoirs. Część druga. T. I, str. 118)

parlamentarnej dla wyświetlenia przebiegu całej sprawy, izba odrzuciła wniosek większością szesnastu głosów, 200 na 184.

Wkrótce po pierwszej rozprawie dotyczącej Vixen lord Dudley Stuart przypomniał Palmerstonowi obietnicę wysłania konsula do Krakowa i zapytał, kiedy się z niej uiścić zamierza.

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 22 marca 1837.

Musiałeś w dziennikach wyczytać zapytanie, jakie tej nocy postawiłem Palmerstonowi, jego oświadczenie, że konsula nie pośle i moją zapowiedź, że w takim razie w najbliższym czasie wywołam o tem dyskusyę. Wszystkich sił dobywam w służbie sprawy, jak gdybym nie wiedział o mojej nieudolności i o tem, że przelotną tylko korzyść przynieść mogę. Często przygnębiony, czasem zniechęcony, tyle mam jednak ducha i męstwa, żeby zawsze wracać do walki, gdy się sposobność nadarza. — Bóg z tobą.»

Henryk Reeve do Władysława Zamoyskiego:

«Hampstead, 28 marca 1837.

Zapewne wiesz już o niesłychanej zmianie frontu, do jakiej się Palmerston przyznać odważył, jeśli takie niedołęstwo nazwać można zmianą frontu. Utrzymuje, że stanowisko Anglii względem Austryi zmusza go do złamania słowa danego w ubiegłym roku [1]. Skoro się tylko parlament znowu zbierze, lord Dudley zamierza ostro zaczepić tak szkaradny postępek. Umówiliśmy się, że ja poprę jego kroki żywem wystąpieniem w Review Obecnie pracuję nad tem; czemuż ciebie tu niema!

Nota Wielogłowskiego do Metternicha już wyszła w Foreign Quarterly. Wrócę się do niej. Wydam też

---

[1]) Zbliżenie się ówczesne Metternicha do whigów doprowadziło w 1838 do traktatu handlowego między Anglią a Austryą.

notę konferencyi trzech rezydentów z 2 czerwca 1836 o organizacyi policyi i milicyi krakowskiej i przytoczę kilka ważnych faktów, o których się dowiedziałem w czasie mej podróży. Żywię się befsztykami i odczytuję Juniusa[1]), żeby zrobić przedmowę, któraby znowu zasłużyła na brawo Beaumonta. Najśmieszniejsze w tem wszystkiem to rojenia Palmerstona, że zdobędzie przychylność Austryi na morzu Czarnem, dając się przez nią odrwić nad Wisłą. Zamierzam mu powiedzieć, że na to, aby sobie zdobyć zaufanie rządu bojaźliwego i niewolnika okoliczności, trzeba okazać się śmiałym i panem okoliczności.

Nie chciałem ci pisać w liście z Krakowa, przez kogo i jak byłem tam przyjęty. Wszystko otrzymałem, czego tylko pragnąć mogłem. Twoje nazwisko dostatecznie mnie poleciło.

Żegnam cię, pisuj i bądź przekonany o mej wytrwałości.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Florencya, 13 kwietnia 1837.

Palmerston zawiadomił x. Adama poufnym listem, że konsula do Krakowa nie pośle, gdyż, jak mówi, więcej byłoby z tego szkody niż korzyści, jak zwykle bywa, gdy jeden stanie przeciwko trzem. Smutna to rzecz widzieć stopniowy upadek polityki angielskiej. Patrząc na tych dyplomatów, możnaby się śmiać i płakać. Tutaj naczelnik i sekretarz poselstwa angielskiego wcale się nie troszczą o sprawy dyplomatyczne; zaledwie gazetę do ręki wezmą i nie są w stanie zrozumieć, ani zapamiętać, co zawiera. Henryk Fox opowie ci, co myśli o poselstwie w Wiedniu a on sam czy nie grzeszy przeciw swemu krajowi leniwem życiem? Źle będzie, jeśli Anglicy nie będą pamiętali, że naród wolny żyje siłą ducha publicz-

---

[1]) Nazwisko, pod którem ukrywał się autor gwałtownych listów politycznych, wydawanych w Londynie od 1769 do 1772, przeciwko ministeryum lorda North.

nego, że brak gorliwości o sprawę publiczną jest zbrodnią przeciw ojczyźnie, bo do upadku ją prowadzi...

Czy Europa nie ocenia postępów wstecz, jakiemi się Moskwa odznacza? Biedne województwa przechrzczone na gubernie, aby zatrzeć wszelki ślad dawnych nazw. Ale kogo to w Europie obchodzi? Chciałem do chorego ojca jechać; nie pozwolili.»

Mimo że nie było już nadziei otrzymania czegokolwiek od Palmerstona, lord Dudley Stuart nie odstąpił od zapowiedzianej rozprawy. Odkładano ją z dnia na dzień a nareszcie naznaczono, prawdopodobnie z umysłu, na 25 maja 1837, dzień wyścigów w Epson. Wyścigi te budzą w Anglii żywe zajęcie; to też znaczna liczba członków parlamentu udała się na nie; w izbie pozostało zaledwie czterdziestu posłów. Lord Dudley Stuart nie dał się i tem zniechęcić. Przekonany, że przed rozejściem się parlamentu innego dnia na swój wniosek nie otrzyma, a wiedząc, że mowa jego w każdym razie do dzienników się dostanie, zadał sobie pracę wyłożenia rzeczy obszernie i poparł ją licznie podpisanemi petycyami od mieszkańców Edynburga i Canterbury.

Z Paryża udzielali Zamoyskiemu wiadomości głównie Niemcewicz i Karol Sienkiewicz; były one również mało pocieszające.

Julian Ursyn Niemcewicz do Władysława Zamoyskiego:

«Montmorency, 6 stycznia 1837.

...Niema komu chodzić za naszą sprawą. Ja słaby na nogi, inni chodzą, ale napróżno. W adresie nie będzie wzmianki o Polsce. Xiężna de Lieven zupełnie Talleyranda i xiężnę de Dino zmoskwiciła. Same smutki donieść można. Obojętność, prawie niechęć ku nam. Zmniejszenie subsydyów już zapowiedziane na ten rok, a za dwa lata ustaną zupełnie. Niektórym już je odbierają[1].

[1]) Do tych należał synowiec Niemcewicza.

Tymczasem i we Francyi i w Anglii motłochy szaleją i do ostatka dobrą sprawę psują.»

Jednakowoż przy rozprawie nad trzecim paragrafem adresu izby niższej, który się kończył życzeniem ogólnego pokoju, Odilon Barrot, jak to Niemcewiczowi przyrzekł, zabrał głos 13 stycznia, mówiąc, że najlepszym sposobem ubezpieczenia pokoju jest poszanowanie praw i wniósł, żeby w tym paragrafie umieszczono, że Francya nie przestanie stawiać praw przyznanych narodowości polskiej na pierwszem miejscu. Na żądanie prezesa izby wniosek ten odczytano dwa razy, poczem uchwalony został większością ośmiu głosów, 189 na 181.

W styczniu również, 26 i 28, omawiano w izbie poselskiej podanie, wniesione przez polskich wychodźców, w którem żalili się na zamierzone przez rząd uszczuplenie o jedną piątą wypłacanych im żołdów i to licząc od 1 stycznia wstecz. Prosili, by poprzednio zniesiono prawo z 21 kwietnia 1832, zabraniające wychodźcom zmieniać dowolnie miejsce pobytu i przebywać w Paryżu lub innych większych miastach, co im odejmowało możność szukania odpowiedniego zarobku. Pan Guizot, minister oświaty, przedłożył izbie, że jest we Francyi 6.360 wychodźców, z których 5.151 Polaków, że koszt na nich łożony od sześciu lat przewyższa 20 milionów, że dla utrzymania żołdów na dotychczasowej stopie potrzebaby dodatkowego rocznego kredytu 700.000 franków, że rząd nie może narzucać krajowi takiego wydatku, że izba sama musi postanowić, czy chce skarb na tyle obciążać. Mimo wrażenia sprawionego tak znaczną sumą, mimo życzenia wyrażonego przez wiceprezesa izby pana Jacqueminot[1]), ażeby «zakończyć tę czczą rozprawę i przejść do porządku dziennego», izba znaczną większością głosów odesłała pe-

---

[1]) Jenerał Jan Franciszek wicehr. Jacqueminot (1787—1865), poseł z I okręgu Paryża, gorący stronnik Ludwika Filipa, w 1848, jako naczelnik gwardyi narodowej, swą nieczynnością przyczynił się do zwycięstwa rewolucyi.

tycyę pod rozwagę prezesa ministrów, co dowodziło, że jej nie odrzuca i nie lekceważy.

Dnia 18 maja 1837, pan de Montalivet[1]), nowy minister spraw wewnętrznych, oświadczył izbie, że, chociaż wszystkie raporty prefektów o prowadzeniu się Polaków bardzo są dla wychodźców pochlebne, jednak z rozkazu króla przychodzi ją wezwać, by potwierdziła prawo z 21 kwietnia 1832. Przypomniał, że prawo to ułatwia zadanie rządu względem emigrantów, że możność dana policyi wydalania niesfornych wichrzycieli jest dla samych emigrantów korzystną[2]). Uznawał przytem, że zmniejszenie zapomóg o piątą część znienacka i to w zimie byłoby zbyt dotkliwem, że jednak zamierzone rozporządzenie nie stosuje się do kobiet, kalek i starców, ale jedynie do ludzi zdolnych na siebie pracować. Przypominał, że Francya potrzebuje oszczędności, że rząd czyni, co tylko może, żeby dać wychodźcom sposobność uzdolnienia się do pracy, że szkoły rządowe są dla nich otwarte bezpłatnie, że rząd ich uwalnia od opłat wpisowych przy egzaminach. Mówił, że przy uszczupleniu zapomóg nie o jedną piątą, ale o jedną dziesiątą część, dodatkowy kredyt będzie niezbędny z powodu zwiększającej się ustawicznie liczby wychodźców i że komisya budżetowa jest zdania, iż należy uchwalić do poprzednio naznaczonej sumy 2.500.000 fr., dodatkowy kredyt nie na 700,000, jak tego żąda kilku członków izby, ale, «godząc interes skarbu z ratowaniem niedoli», na 300.000 fr.

Saint-Marc-Girardin na posiedzeniu z 24 czerwca wyraził zdanie, że stopniowe zmniejszanie zapomóg powinno się

---

[1]) Marthe-Camille Bachasson, hr. de Montalivet (1801—1880), kilkakrotnie minister spraw wewnętrznych 1831—1840, zawiadowca dochodów królewskich

[2]) Było w tem niestety trochę prawdy. Jen. Mycielski w liście do Zamoyskiego z 4 lutego pisze, że, odkąd «wielkie dzwony (les gros bourdons) emigracyjne Paryż opuściły, używamy niezakłóconego, nawet doskonałego pokoju; zamąca go tylko oskubanie subsydyów, które się utrzymuje mimo wyraźnej woli izb.»

zacząć od ujęcia nie piątej i nie dziesiątej, ale dwudziestej części subsydyów i że to rozporządzenie winno być zastosowane do wszystkich wychodźców, będących w możności pracowania na chleb a nie zależne, jak to się zdarza, od łaski i niełaski policyjnych raportów i szpiegostwa. Przypomniał, że stu pięćdziesięciu Polaków powraca z Hiszpanii, gdzie w legii zagranicznej walczyli w obronie konstytucyi a zatem w sprawie wolności. W Afryce walczyli pod sztandarem Francyi, w Hiszpanii zaś w imię zasad przez Francyę głoszonych. Na zarzut, że ciężary powodowane przez emigracyę spadają głównie na Francyę, Saint-Marc-Girardin odpowiedział: «Polacy dla innych narodów nic nie uczynili, dla Francyi krew przelewali, od niej nagrody się domagają, od niej im się ona należy. Czyż sława Francyi nie wymaga, żeby nagrodziła tych, co się jej zasłużyli, czy jej nie nakazuje wdzięczności? Izba coraz uchwala znaczne wydatki na rozmaite zakłady naukowe, biblioteki, muzea, pomniki a to wszystko nie czyni dla oszczędności, ale dla dobrej sławy narodowej. Szczodrobliwość jest spuścizną, która stanowi moralne mienie narodu i jest jego pociechą w nieszczęściach.»

Pan de Tracy przedstawiał izbie, że zmniejszenie subsydyów, utrzymując zarazem prawo kwietniowe, «równa się skrępowaniu człowieka a następnie żądaniu od niego, żeby się za zarobkiem krzątał»; robił uwagę, że przy uchwalaniu wydatków tego rodzaju trzeba mieć na względzie zapatrywania i życzenia tych, co podatki płacą, a że on ręczy, iż niema Francuza, któryby nie przemówił za wydatkiem na żołdy dla wychodźców: «Lud nasz nie umiałby nazwać wszystkich bitew, w których krew polska od pięćdziesięciu lat wraz z naszą płynęła, ale wie, że jedni tylko Polacy zostali nam wierni w nieszczęściu do ostatka. Jeżeli nie inaczej, czego od obecnych polityków spodziewać się nie można, to przynajmniej hojnością względem wychodźców Francya powinna powstać przeciw nieprawościom na Polsce dopełnianym.»

Ostatecznie izba dość znaczną większością głosów uchwaliła dodatkowy kredyt 300.000 fr., a na rok bieżący 70.000 fr. dla wojskowych powracających z Hiszpanii.

Ogółem w roku 1837 poruszono sprawę polską, czy to przy adresie, czy przy subsydyach lub w innych okolicznościach, siedm razy w izbie poselskiej a w izbie parów cztery razy. Przy wielkiej sprzeczności zdań najżyczliwiej przemawiali za nami hr. Tascher, pan Villemain, jen. Lallemand[1]), hr. d'Argout, baron Mounier i x. de Broglie.

Sprzeczność zapatrywań na sprawę polską okazywała się również poza izbami. I tak, pan Desprez, znakomity prawnik, napisał w porozumieniu z Zamoyskim do «Revue des deux mondes» artykuł, w którym starał się wykazać, że upadek Turcyi, rozwój Moskwy i przyszłe stanowisko Francyi wobec Europy wiążą się ze sprawą polską. Pan Buloz[2]) artykułu nie przyjął na zasadzie, że «sprawy polskiej już niema, że może ona co najwyżej dostarczyć paragrafu do kronik, ale nie artykułu do przeglądu, żyjącego jedynie ciekawością czytelników». «Starałem się go przekonać», pisał Desprez «o rzeczywistem istnieniu sprawy polskiej i że w danym razie mogłaby stać się ważną dla Francyi, zwłaszcza gdyby przyszło do zawikłań na Wschodzie.»

---

[1]) Fryderyk baron Lallemand (1774—1839).

[2]) Franciszek Buloz (1803—1877) objął w 1831 kierunek «Revue des deux mondes» i mało znane dotychczas pismo podniósł wkrótce do wielkiego znaczenia.

XIV

WŁADYSŁAW ZAMOYSKI W RZYMIE

We wspomnieniach z pierwszej swej bytności we Włoszech w 1830 roku Zamoyski pisze, że wówczas ani na myśl mu nie przyszło postarać się o posłuchanie u ojca św. i o jego błogosławieństwo, że, co więcej, nie rozumiał związku między sprawą ojczystą a sprawą Kościoła i nierozdzielności tego, co ziemskie, z tem, co duchowe. Wspólność tę dały mu zrozumieć, jak mówił, rządy zaborcze, prześladując w naszym kraju zarówno wiarę i narodowość, a klęski poniesione przez sprawę naszą w 1831 roku dla braku silnej kierującej władzy, nauczyły go oceniać doniosłość takiej władzy w każdym porządku rzeczy, nareszcie utrata tej, którą nazywał «swym sędzią i swem sumieniem», obudziła w nim potrzebę umocnienia i kierunku dla własnej duszy. To też postanowił nie opuścić tym razem Włoch bez zbliżenia się do stolicy św. i oddania hołdu naczelnikowi Kościoła.

Wszakże dostęp do dworu papieskiego nie był dla Polaków łatwym. W Rzymie, tak jak u wszystkich innych dworów, cudzoziemcy przedstawiani byli przez swoje poselstwa, co oczywiście zamykało przystęp do stolicy św. wychodźcom polskim. Zamoyski mógł wprawdzie, jako obywatel francuski, być przedstawiony ojcu św. przez posła francuskiego, ale o sprawie polskiej z papieżem

chciał mówić jako Polak a zarazem pragnął otworzyć drogę do Watykanu nie tylko sobie, ale i innym rodakom. Rzecz wydawała mu się tem ważniejszą, że od upadku powstania między stolicą św. a Polską wzajemna panowała nieufność. Car Mikołaj nie szczędził trudów dla ujęcia sobie Grzegorza XVI. Umiał on wyzyskać na korzyść swej polityki obawę papieża przed wszelkim ruchem przewrotowym, powszechną w Europie, a w papieżu tem łatwiejszą do zrozumienia, że był on więcej od innych panujących zagrożony przez rewolucyonistów, bo ich nienawiść odnosiła się naraz do jego świeckiej i do jego duchowej władzy. Cóż dziwnego, że Grzegorz XVI, nie dość powiadomiony przez Polaków o stanie ich kraju, uległ chwilowo wpływom tego, który najgorliwiej o wpływ w Rzymie się starał. Na usilne domaganie się Mikołaja, poparte przez austryacki i pruski dwór, wydał 9 czerwca 1832, encyklikę do duchowieństwa polskiego, w której przypominał odwieczne zasady Kościoła katolickiego o obowiązku uległości dla władzy świeckiej w porządku doczesnym. Opierając się na twierdzeniach, jakoby wiarogodnych, posła moskiewskiego, pisał w niej, że powiadomiono go, iż straszne klęski, które Polskę nawiedziły, sprowadzone zostały poduszczeniem ludzi niegodziwych, którzy za pomocą kłamliwych knowań, pod pozorem religii, powstają przeciw władzy prawowitych xiążąt. Dlatego on, jako wspólny ojciec wiernych, upomina duszpasterzy do czuwania, aby ci ludzie przewrotni nie szerzyli fałszywych dogmatów i innych zasad pośród powierzonej im owczarni i nie wyzyskiwali łatwowierności prostaczków dla obalenia porządku społecznego. «Przeciwko podżegaczom rewolucyi,» mówi encyklika, «trzeba śmiało głosić, że posłuszeństwo, jakie należy się od ludzi władzom od Boga ustanowionym jest zasadą, od której nikt nie ma prawa się uchylać z wyjątkiem wypadków, w których władza nakazywałaby rzeczy przeciwne prawom bożym i kościelnym.» Do tych zasad ogólnych, które

stosują się zarówno do wszystkich czasów i narodów, ojciec św. dodawał pod wpływem otrzymanych od Mikołaja zaręczeń, że cesarz okaże się dla Polski pełen dobrotliwości, że zawsze przyjmie pośrednictwo stolicy św. w tem, co Polaków dotyczy i uwzględni prośby jej na korzyść wiary katolickiej w Królestwie wyznawanej, której przyrzekł nigdy opieki swej nie odmówić.

Encyklika ta, wbrew ogólnemu moskiewskiemu zwyczajowi, staraniem policyi, skwapliwie była rozdawana po całym kraju i przedstawiana jako rodzaj «exkomuniki», rzuconej przez papieża na uczestników wojny 1831. Wielu Polaków w kraju i na wychodźtwie uwierzyło, że grozi ona rzeczywiście klątwą wszelkiemu usiłowaniu naszemu dla odzyskania niepodległości; to też najboleśniejszy miała odgłos i niejednego zachwiała w przywiązaniu do stolicy św. A tak Mikołaj oszukał naraz ojca św. co do istotnej, narodowej a nie rewolucyjnej cechy naszego powstania i oszukał Polaków co do rzeczywistych uczuć ojca św. dla Polski. Encyklika i wśród cudzoziemców przykre sprawiła wrażenie. Margrabia de Custine w dziele «La Russie en 1839» nazywa wpływ Moskwy w Rzymie potwornym i mówi, że naród, gotów dla Kościoła życie oddać, został przez papieża wyklęty i zniechęcony w świętej obronie swej wiary. Inaczej sądził o liście papieskim hr. de Mérode-Westerloo, blizkie mający stosunki ze stolicą św. Pisał do Zamoyskiego (8 lutego 1834): «Nie wierzę, by papież podawał rękę nieprzyjaciołom Polski, wiem, że aż do łez boleje nad niepodobieństwem przeszkodzenia niegodziwościom popełnianym w waszym kraju. A jeśli starał się pozyskać Mikołaja, ganiąc powstanie i nawołując do chrześcijańskiej cierpliwości wobec prześladowań, czynił to jedynie w nadziei ułagodzenia tego nowoczesnego Dyoklecyana.»

W chwili ukazania się listu papieskiego Zamoyski pisał do x. Adama (12 października 1832), że krok ten wymaga uroczystego ze strony polskiej oświadczenia, ale

musi ono być oględne, że należy podać dowody, iż papieża w błąd wprowadzono a strzedz się wszelkiego odcienia nieprzychylnego dla Rzymu i religii: «W rzeczy samej małoby nas obchodzić powinna bulla papieska, gdybyśmy nie byli religijni. Nie należy o niej mówić, jakoby szkodliwy wpływ wywierała tylko na mniej oświecone warstwy społeczeństwa; trzeba nacisk położyć na boleść, jaką nam wszystkim sprawia. Trzeba wystosować pismo, któreby miało odgłos w całej Europie, rodzaj manifestu w obronie katolicyzmu w Polsce. Podpisy niech będą pojedyńcze osób znakomitych, bez tytułów innych jak tylko osobiste: Lelewel, jako były członek rządu etc.»

Do takiego pisma wówczas nie przyszło. Xiążę jednak i Zamoyski nie przestawali odtąd obmyślać sposobów obznajmiania ojca św. z istotnym stanem naszego kraju. W początkach 1834 roku Adam Sołtan z poręki xięcia jeździł do Rzymu, a gdy pod koniec 1836 roku, Montalembert w poślubnej podróży tamże się udając, przejeżdżał przez Florencyę, Zamoyski prosił go, by przemówił u ojca św. za Polakami i wyjednał im wstęp do Watykanu.

Montalembert, gorący katolik i przyjaciel Polski, miał warunki odpowiednie, by w Rzymie za Polakami przemawiać, a wszakże i jemu niełatwo to przyszło. Dnia 17 lutego 1837, po trzeciem i ostatniem posłuchaniu u ojca św., zapisał w dzienniku podróżnym: «W chwili, kiedy nas papież żegnał, zbieram się na odwagę, żeby słów kilka wyrzec o polskich wygnańcach, którzy mi polecili, bym u stóp jego złożył hołd ich miłości, posłuszeństwa i żalu, jakim są przejęci z powodu, że ich papież zganił. Na te słowa przerwał mi i, biorąc mnie za obie ręce, rzekł ze zwykłą mu serdecznością: «Ależ, kochany hrabio, ja ich nie zganiłem» i zaczął opowiadać wszystko, co się starał uczynić dla Polski, między innemi rozmowę z polskim wysłańcem w czasie powstania, któremu doradzał, by Polska nie dobijała się wyuzdanej

wolności. Tłomaczył, że encyklika do biskupów polskich jest zupełnie podobna do tej, którą napisał do biskupów hiszpańskich w czasie rozruchów tam się rozpoczynających [1]), zalecając im, aby, o ile podobna, do polityki się nie mieszali i żeby swoich dyecezan starali się uspakajać. Zakończył, mówiąc: «Ja Polaków w mojem sercu ojcowskiem noszę i w twojej osobie im błogosławię», poczem dwa czy trzy razy głowę moją przeżegnał [2]).»

W kilka dni po tej rozmowie Montalembert napisał do Zamoyskiego: «Jesteś oczekiwany, przyjeżdżaj.» Zamoyski jednak dla wszystkich bolesnych spraw, które musiał załatwić we Florencyi, dopiero z początkiem czerwca udał się ze Zdzisławem do Rzymu na dwa tygodnie.

«Nazajutrz po moim przyjeździe przyjął mnie kardynał Lambruschini [3]) i zawiadomił, że ojciec św. będzie się ze mną widział dnia następnego. Byłem zaopatrzony w pewną ilość dokumentów, dowodzących otwartego prześladowania Kościoła katolickiego w Polsce. Miałem nawet od jednego z naszych pierwszorzędnych biskupów, księdza Gutkowskiego [4]), biskupa podlaskiego, list, wrę-

---

[1]) Te słowa dowodzą, do jakiego stopnia papież nie był obeznany ze sprawą polską, skoro walkę Hiszpanów przeciw własnemu rządowi porównywał z walką Polaków przeciw Moskalom.

[2]) Montalembert. La jeunesse (1810—1836). R. P. Lecanuet, prêtre de l'Oratoire. Str. 493—494.

[3]) Kardynał Ludwik Lambruschini (1776—1855), sekretarz kardynała Consalviego na kongresie wiedeńskim, nuncyusz w Paryżu 1827, kardynał 1831, sekretarz stanu do spraw zagranicznych 1836—1846.

[4]) Jan Marceli Gutkowski (1776—1863), kapelan obozowy wojsk X. Warszawskiego, wzięty do niewoli moskiewskiej 1812, pięć lat przebył w guberni Kałuskiej. Następnie kapelan jeneralny wojsk Królestwa Polskiego i, jako taki, stosownie do umowy ordynata Zamoyskiego z rządem, proboszcz infułat kollegiaty zamoyskiej W maju 1820 dawał ślub w. x. Konstantemu i Joannie Grudzińskiej Biskup podlaski od 3 lipca 1826, objął urząd w 1829. Ciągłe staczał walki z rządem o prawa Kościoła; wraz z biskupem krakowskim, Skórkowskim, nalegał na zniesienie antykościelnych ustaw, dotyczących małżeństw.

czony mi przez rodaka przybyłego z kraju. Grzegorz XVI list ten przeczytał z widocznem wzruszeniem i treść jego mi opowiedział. Biskup żalił się papieżowi, że jest ustawicznie krępowany w pełnieniu swych obowiązków pasterskich przez twierdzenie policyi moskiewskiej, poparte nawet piśmiennemi dowodami, że, opierając się rozporządzeniom rządu, ściąga na siebie naganę ojca świętego[1]). Papież nie zataił przedemną przykrości, jaką mu ten list sprawił. «Cóż mam począć», rzekł, «z rządem, który nie inaczej do mnie przemawia, jak pod groźbą, że mścić się będzie na moich polskich synach, jeśli ich do uległości nie skłonię. Któż o tem nie wie, że uległość względem ustalonej władzy jest zasadą Kościoła? Mniemałem tedy, że mogę choćby dla opóźnienia gwałtów przypomnieć tę zasadę. Nie miałem jednak na myśli ganić przez to moich synów i drogich biskupów, gdy obowiązek swój spełniają, opierając się rozporządzeniom, uwłaczającym prawom kościelnym i przynoszącym szkodę religii. Ale jak się tu porozumiewać, skoro wszelki stosunek z nimi jest wzbroniony?» Oświadczyłem papieżowi, że, gdyby chciał mi powierzyć odpowiedź na list biskupa podlaskiego, postarałbym się, by do własnych jego rąk doszła. Ojciec św. obiecał napisać. Z żywem zajęciem słuchał moich opowiadań o położeniu katolików w Polsce. Polecił mi złożyć w sekretaryacie stanu dowody, jakie z sobą przywiozłem i kazał mi się wrócić niebawem. W parę dni później oddał mi list do biskupa Gutkowskiego i tyle był łaskaw, że mi go przeczytał. List ten miał na celu pocieszenie biskupa, upewniając go, że papież liczy na jego wierność i poświęcenie w obronie Kościoła.

Dowiedziałem się w Rzymie, że niektórzy wybitni członkowie św. kollegium wyrzucali papieżowi encyklikę z 9 czerwca 1832. Jeden z nich, patryarcha jerozolimski,

[1]) Mowa tu zapewne między innemi o liście, który Grzegorz XVI wysłał 16 listopada 1836 drogą urzędową do biskupa Gutkowskiego po odebraniu skarg przeciw niemu od władz moskiewskich.

człowiek podeszłego wieku, głośno w konsystorzu zganił ten list apostolski i powiedział ojcu św.: «Rozchodzi się pogłoska, iż miliony katolików są niesłusznie wystawione to na groźby, to na rozmaite ponęty. Obawiać się można, aby dotknięci w tem, co im najdroższe, nie upadli na duchu i nie ulegli. Utrata tych dusz i licznych pokoleń, które może pójdą za niemi, zostanie na twem sumieniu, ojcze święty, dlatego, żeś ten nieszczęsny list podpisał.» To sprawiło, że śmiałem wyrazić ojcu św., co czułem. Synowskie przywiązanie dla jego osoby natchnęło mi potrzebne do tego zaufanie. Grzegorz XVI był widocznie wzruszony, łzy mu się do ócz cisnęły. Postąpił ku mnie i, serdecznie mnie chwytając za oba ramiona, z wyrzutem na mnie spojrzał i rzekł: «Ależ ja was nigdy nie ganiłem. W pierwszej chwili nie zrozumiałem was, to prawda. Ale i wy sami, czyście się starali w czasie waszej wojny dostatecznie mnie powiadomić? Prawda że byłem w błąd wprowadzony. Właśni moi słudzy, ci, na których byłem obowiązany polegać, oni sami dali się uwieść i mnie uwiedli. Ubolewałem nad waszą niedolą, ale ostatecznie zostaliście pokonani. Zdawało się, że wszystko skończone, samą już tylko religię można było bronić przed zemstą zagniewanego zwycięzcy. Groźby mnie zachwiały, przeraziłem się prześladowaniem, jakie miało spaść na was i przewyższyć wszystko, czegoście już doznali. Ustąpiłem przed istotnem wyzwaniem. Ostrzegano mnie, że wszyscy biskupi polscy będą wywiezieni na Sybir. Pytałem sam siebie, co się stanie z waszym nieszczęśliwym narodem, gdy będzie pozbawiony swych pasterzy, a odemnie tak już jest oddalony, że głos jego oddawna mnie nie dochodzi. W sumieniu myślałem, że wobec takich niebezpieczeństw może powinienem wyrazić te kilka słów o potrzebie poddania się losowi i przypomnieć waszym biskupom, czego apostołowie uczyli, że obowiązkiem chrześcijanina, obowiązkiem sumienia jest posłuszeństwo wobec ustanowionej władzy. Nie omieszkałem

jednak dodać, że władzy nie wolno nakazywać tego, co się przeciwi przykazaniom boskim i kościelnym.»

Ojciec św. pokazał mi wydrukowaną encyklikę, na której własną jego ręką podkreślony był przytoczony mi ustęp: «Czegoż więcej potrzeba było dla waszego sumienia? Czyż prawa Kościoła i religii nie były deptane przez zwycięzcę i to właśnie, kiedy mój list was dochodził? Mam prawo zarzucić wam, żeście mnie nieuważnie czytali, żeście w opóźnieniu, z jakiem zdanie moje wypowiedziałem, nie poznali, jaki gwałt i jak uparta natarczywość mnie do tego ostatecznie skłoniła[1]).» Szczęśliwy, słysząc te ojcowskie słowa, zapytałem ojca św., czy upoważnia mnie do powtórzenia ich, gdyż one staną się dla moich rodaków wielką pociechą i dadzą im siłę do znoszenia utrapień, które ich może jeszcze czekają. Grzegorz XVI upoważnił mnie do tego, mówiąc: «Uczynisz to z roztropnością[2]).»

Wszedłem do ojca św. z goryczą w sercu, wyszedłem przejęty wdzięcznością i uwielbieniem[3]).»

---

[1]) Warszawa upadła 8 września 1831 a encyklika ukazała się 9 czerwca 1832.

[2]) W sześć miesięcy później list powierzony mi przez papieża wydał swoje owoce. Poufna zachęta i błogosławieństwo ojca św. dodały otuchy biskupowi. Doprowadzony do ostateczności, pokazał list otrzymany od ojca św. Paskiewiczowi. Tenże od tej pory przestał napierać biskupa i zwrócił się do Rzymu z gwałtownemi wyrzutami, że stolica św. tajne utrzymuje stosunki z biskupami polskimi. Niedługo potem (1840) car Mikołaj zesłał biskupa do mohylewskiej gubernii a następnie (1842) skazał go na wieczyste wygnanie. Austrya pozwoliła mu osiąść w Galicyi. (W. Z.)

[3]) Powyższy opis posłuchania u Grzegorza XVI umieścił ksiądz Lescoeur, oratoryanin, w dziele swem o Kościele katolickim w Polsce i dodał do słów Zamoyskiego następującą uwagę: «Opowiadanie jen. Zamoyskiego otrzymało milczące, ale uroczyste potwierdzenie stolicy św. Encyklika Grzegorza XVI do polskich biskupów nie jest umieszczona między bullami tego papieża. Nie znaczy to, by stolica św. chciała coś cofnąć z zasad wyrażonych w liście papieskim, chciała

Władysław Zamoyski do brata, Augusta:

«Rzym, 20 czerwca 1837.

Oto jest odpis ojca św. na list biskupa N. mnie powierzony. Odpis ten z rąk własnych ojca św. otrzymałem przy zaleceniu ścisłej tajemnicy w doręczeniu go biskupowi. Treść tego listu pokaże, tak jak i ja miałem sposobność przekonania się, że uczucia ojca św. dla Kościoła i duchowieństwa polskiego, a mianowicie dla biskupa N., są jak najprzychylniejsze. Widziałem ojca św. kilkakrotnie[1]) i miałem szczęście rozmawiania z nim poufnie a stąd przekonałem się, że, jeżeli był czas, w którym zręczność nieprzyjaciół potrafiła obudzić przeciw nam nieufność a nawet pozory niechęci stolicy św., czas ten minął a natomiast zaszło najżywsze współczucie dla naszych cierpień, najczulsza troskliwość o ratowanie zagrożonej w Polsce wiary katolickiej. Niedość, że ojciec św. ze szczególną łaskawością i dobrocią przyjmował mnie i słuchał wyrazów głębokiego smutku, w jakich opisywałem stan obecny religii u nas i jej srogie prześladowanie, niedość, że wyznawał swe obawy, oparte na dokładniejszej już teraz znajomości rzeczy i w dobitnych wyrazach uczucia swoje w tej mierze wynurzał, niedość nakoniec, że, wyznając swą niemoc przeciwko zawziętej, gwałtownej a zarazem chytrej polityce Moskwy, zwracał modły swe ku Najwyższemu, miałem oprócz tego skądinąd jeszcze sposobność poznania ducha i usposobień, jakie dziś panują między doradcami ojca św., słowem między tymi, którzy kierują sprawami Kościoła. Wszyscy dziś tłomaczą bez ogródki żal swój do rządu rosyjskiego,

---

tylko zaznaczyć, że akt wydarty jej podstępem i fałszywem przedstawieniem polskiego powstania uważać trzeba za niebyły.» (L'église catholique en Pologne sous le gouvernement russe, par le père Lescoeur, prêtre de l'Oratoire. Drugie wydanie. T. I, str. 211—215)

[1]) Z listu pani Laury Tarnowskiej do biskupa Skórkowskiego widać, że ojciec św udzielił Zamoyskiemu posłuchania sześć razy w ciągu dwóch tygodni.

oraz szukają sposobu, jak przyjść w pomoc Kościołowi i duchowieństwu polskiemu tak łacińskiemu, jak unickiemu. Pragną porozumienia z niem lepszego i częstszego. Opowiadają o niepojętej bezczelności, z jaką poselstwo rosyjskie używa to groźby, to podstępu, to jawnego kłamstwa na wydarcie ojcu św. pism do duchowieństwa naszego, które tem łatwiej i szkodliwiej bywały przez rząd ten tłomaczone i przekształcane, że zawierały same tylko ogólniki, nie stosujące się w myśli Głowy Kościoła do żadnego w szczególności wydarzenia, ani do żadnej osoby.

Aczkolwiek znalazłem dwór rzymski zawiadomiony o całej sile i doniosłości prześladowania, które dziś ciąży na Kościele w naszym kraju, usłyszałem jednak niejeden wyrzut nam czyniony, że niedosyć staramy się, żeby fakty te były znane Europie, coby opinię publiczną oświecało i nam przychylną czyniło. Zapytywano mnie, czyby w Niemczech np. w Kolonii, albo w Belgii a mianowicie w Liège nie należało przez gazety, sprawom katolicyzmu poświęcone, głosić przed światem czynów gorszących rządu rosyjskiego i faktów których wiadomość powinna się rozchodzić, ażeby oburzenie powszechne w części przynajmniej tamowało wściekłe zamiary tego rządu.

Spostrzegłem także rodzaj żalu do duchowieństwa naszego, że zbyt mało okazuje pilności w staraniu się o częste i niemylne porozumienie ze stolicą rzymską. Tłomaczyłem naszych duchownych surowym zakazem rządu, wymaganą od księży przysięgą, że z Rzymem bezpośrednio korespondować nie będą; tłomaczyłem srogą zemstę, jakaby przekraczających czekała. Mimo to wszystko sam ojciec św. uznawał te przeszkody za niedostateczne na usprawiedliwienie zaniechanych stosunków. Gdy na ostatku ośmieliłem się wyznać, że duchowieństwo i kraj, w błąd wprowadzeni, nieśmiało tylko ku ojcu św. zwracają oczy, mniemając, że potępia opór, jaki ciemiężycielom stawiamy, ojciec św. przerwał żywo: «Ja się do

polityki nie mieszam; co tylko do duchowieństwa polskiego pisałem i to nawet, co obawą większego złego przymuszony pisałem, to zawierało same tylko ogólne, odwieczne wiary chrześcijańskiej przepisy, które przypomnieć mniemałem być rzeczą nieszkodliwą, zwłaszcza w chwilach powszechnego wstrząśnienia i zaburzeń.» Z tych i podobnych słów poznać można było wyraz żalu i szczerą chęć zatarcia wrażeń bolesnych, jakie zapewniałem, że naród cały uczuł, gdy mógł mniemać, iż w walce świętej jest od ojca św. opuszczony.

Pobyt mój w Rzymie zbyt krótki na ten raz nie pozwolił mi przekonać się, o ile dalsze czyny stolicy rzymskiej odpowiedzą takim jej uczuciom. O jednej rzeczy przecież mnie uroczyście zapewniono: odtąd młodzież polska, przybywająca do Rzymu dla poświęcenia się stanowi duchownemu lub kształcenia się w nim, znajdzie w seminaryach rzymskich przyjęcie bez względu na reklamacye posłów zagranicznych, dotąd zawsze sprzeciwiających się przyjmowaniu ich i bez względu na trudności czynione tym księżom w powrocie do kraju[1]. Przypuszczając nawet niepodobieństwo dla nich powrotu, obecność ich w Rzymie sama przez się stanie się wielką dla wiary katolickiej w kraju obroną, środkiem do kierowania duchowieństwem polskiem i wczesnego rozumienia jego potrzeb lub grożących niebezpieczeństw.

P. S. Jeżeli, wręczając list tu zawarty biskupowi N., nadmienisz mu o mnie, chciej, proszę, polecić mnie jego łaskawej pamięci i modlitwom, do których daje mi niejako prawo cześć moja dla gorliwości niezachwianej, z jaką broni wiary naszej, której sprawa jest i dla

---

[1]) Pierwsi, którzy z tego pozwolenia skorzystali, byli: ksiądz Hieronim Kajsiewicz i Piotr Semenenko; wszakże umieszczenie się w Rzymie niełatwo im przyszło, gdyż, jako Polacy i wychodźcy, podwójnie byli poselstwu moskiewskiemu nienawistni Ochotnicy z kraju do stanu duchownego zaczęli przybywać dopiero w parę lat później.

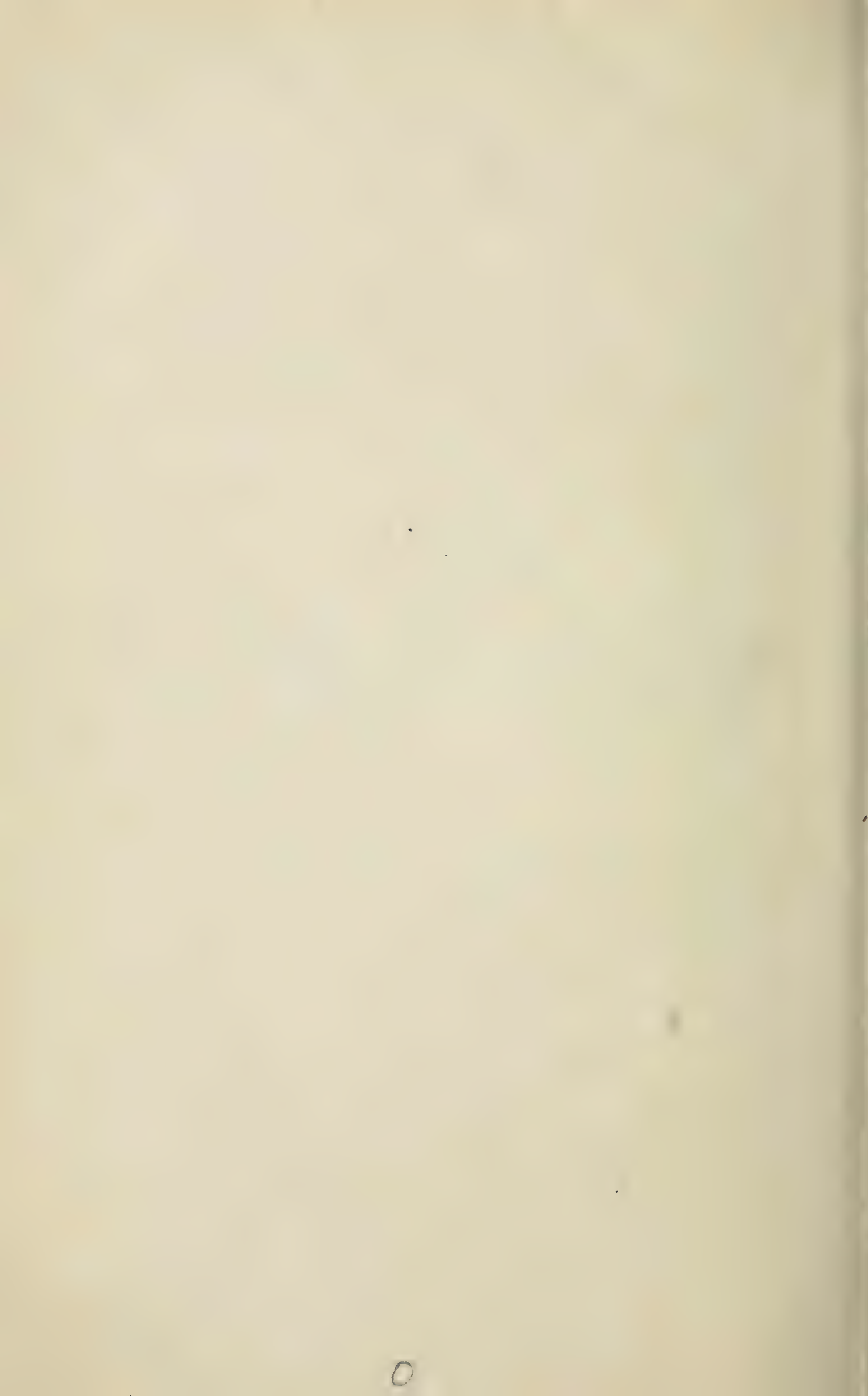
nas tu przedmiotem najtroskliwszego i najżarliwszego zajęcia.»

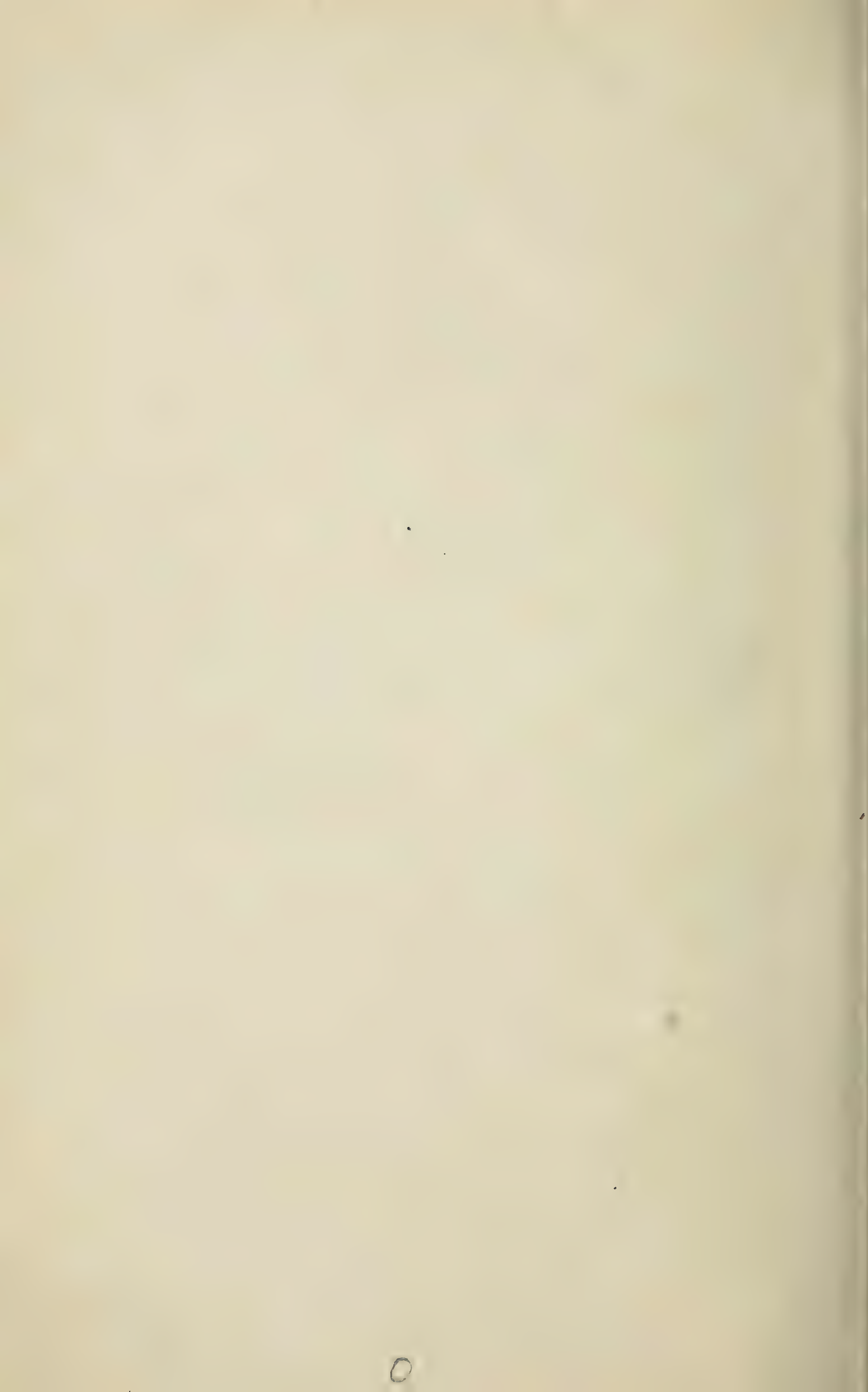
Posyłając listy swe z Rzymu do kraju na ręce x. Leonowej Sapieżyny, Zamoyski pisał: «Obaczysz z nich, że staję się katolikiem na dobre i że wszystkich do tego napędzam. Podróż do Rzymu udała mi się ze wszech miar nadspodziewanie. Dalibóg, warto będzie tu wracać tak ze względów narodowych, jak osobistych.»

KONIEC TOMU TRZECIEGO

SKOROWIDZ

SPIS RZECZY






UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 11 10 017 6